



IAN McDONALD

RZEKA BOGÓW

LICZTA WYOBRAZANI

IAN MCDONALD

RZĘKA BOGÓW

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

WYDAWNICTWO MAG

WARSZAWA 2009



Tytuł oryginału:

River of Gods

Copyright © 2004 by Ian McDonald

Copyright for the Polish translation

© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii:

Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Tomasz Maroński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-154-6

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

Spis treści

CZEŚĆ I. GANGA MATA 6

Rozdział 1 Shiv 7

Rozdział 2 Pan Nandha 12

Rozdział 3 Shaheen Badoor Khan 22

Rozdział 4 Najia 28

Rozdział 5 Lisa 38

Rozdział 6 Lull 47

Rozdział 7 Tal 52

Rozdział 8 Vishram 60

CZEŚĆ II. SAD ĆID EKAM BRAHMA 70

Rozdział 9 Vishram 71

Rozdział 10 Shiv 75

Rozdział 11 Lisa, Lull 83

Rozdział 12 Pan Nandha, Parvati 103

Rozdział 13 Shaheen Badoor Khan, Najia 114

[Rozdział 14 Tal 127](#)

[Rozdział 15 Vishram 137](#)

[CZEŚĆ III. KALKI 151](#)

[Rozdział 16 Shiv 152](#)

[Rozdział 17 Lisa 158](#)

[Rozdział 18 Lull 168](#)

[Rozdział 19 Pan Nandha 180](#)

[Rozdział 20 Vishram 193](#)

[Rozdział 21 Parvati 204](#)

[Rozdział 22 Shaheen Badoor Khan 215](#)

[Rozdział 23 Tal 227](#)

[Rozdział 24 Najia 241](#)

[Rozdział 25 Shiv 247](#)

[CZEŚĆ IV. TANDAWA NRITJA 254](#)

[Rozdział 26 Shiv 255](#)

[Rozdział 27 Shaheen Badoor Khan 262](#)

[Rozdział 28 Tal 269](#)

[Rozdział 29 Banana Club 277](#)

[Rozdział 30 Lisa 279](#)

[Rozdział 31 Lull 289](#)

[Rozdział 32 Parvati 298](#)

[Rozdział 33 Vishram 302](#)

[Rozdział 34 Najia, Tal 311](#)

[Rozdział 35 Pan Nandha 317](#)

[Rozdział 36 Parvati, Pan Nandha 323](#)

[Rozdział 37 Shaheen Badoor Khan 330](#)

[Rozdział 38 Pan Nandha 337](#)

[Rozdział 39 Kunda Khadar 343](#)

[Rozdział 40 Vishram 345](#)

[Rozdział 41 Lisa 353](#)

[Rozdział 42 Lull 358](#)

[Rozdział 43 Tal, Najia 363](#)

[Rozdział 44 Shiv 368](#)

[Rozdział 45 Rondo Sarkhand 373](#)

[CZEŚĆ V. DŹJOTIRLINGA 375](#)

[Rozdział 46 Wszyscy 376](#)

[Rozdział 47 Lull, Lisa 470](#)

[SŁOWNICZEK 476](#)

[OD TŁUMACZA 485](#)

CZEŚĆ I GANGA MATA

ROZDZIAŁ 1 SHIV

Niesiony prądem trup obraca się. W miejscu, gdzie Ganges przecina pięć betonowych pasm nowego mostu, na podporach osadzają się tratwy z rzecznych śmieci, girlandy gałęzi i plastiku. Ciemna bryła ciała w czarnym nurcie wygląda przez chwilę tak, jakby miała do nich dołączyć. Łagodny prąd pociąga je jednak, obraca i przeprowadza nogami do przodu, pod łukiem stali i ruchu ulicznego. Z podniebnych przęseł dobiega ryk ciężarówek. Lśniące chromem, wymalowane w pstrokatych bogów, dniem i nocą szturmują miasto przez most, grzmiąc muzyką z głośników na dachach. Płytką woda drga.

Shiv, po kolana w rzece, zaciąga się głęboko papierosem. Święta Ganga. Osiągnąłeś moknię. Wyrwał się z ćakry. Wianki aksamitek owijają mu się wokół mokrych nogawek. Obserwuje trupa, aż zniknie mu z oczu, potem łukiem czerwonych iskier ciska papierosa w noc i chlupiąc, idzie z powrotem, tam gdzie po osie w wodzie stoi jego merol. Siada na skórzanym tylnym siedzeniu, a chłopak podaje mu buty. Porządne buty. Porządne włoskie skarpetki, nie jakieś bharackie gównno. Za dobre, żeby je marnować na muł i szlam Matki Gangi. Chłopak zapuszcza silnik; muśnięte światłem reflektorów cienkie jak drut sylwetki rozpierzchają się po białym piasku. Jebane dzieciaki. Wszystko dojrzą.

Wielki merol pnie się znad rzeki, przez spękane błoto na biały piasek. Shiv nigdy dotąd nie widział tak niskiej wody. Te gadki o Ganga devi, rzece-bogini nigdy specjalnie doń nie przemawiały - bajki w sam raz dla kobiet, a radza *swoje wie*, albo co z niego za radza - ale widząc, jaka jest płytka, jaka słaba, czuje się nieswojo, jakby patrzył na broczącą krwią ranę w ramieniu starego przyjaciela, ranę, której nie da się wyleczyć. Pod pękatymi oponami chrupią kości. Merol rozrzuca dzieciakom resztki ogniska, potem chłopak, Yogendra, włącza napęd na cztery koła i wiezie ich prosto pod górę, wygryzając dwie bruzdy w połaci aksamitek. Pięć pór deszczowych temu sam był takim nadrzecznym dzieciakiem, siedział przy takim kopającym ogieńku, grzebał w piasku, szukając w szlamie szmat i innych skarbów. I skończy też tutaj. Jak wszyscy. Rzeka wszystko uniesie. Błoto i czaszki.

Wiry niosą ciało, chwytając zwoje jedwabnego sari i powoli je rozwijając. Gdy podpływa do niskiego mostu pontonowego pod zrujnowanym fortem w Ramnagarze, trup wykonuje ostatni obrót i uwalnia się. Wąż jedwabiu wiję się przed nim, zahacza o obły nos pontonu i spływa wzdłuż obu jego boków. Ten most zbudowali angielscy saperzy, w państwie przed państwem przed tym państwem; pięćdziesiąt pontonów połączonych wąską stalową belką. Tędy idzie lżejszy ruch - fatfaty, motorowery, motocykle, rowerowe riksze, od czasu do czasu lawirujące między rowerami maruti, z nieustannie roztrąbionym klaksonem; oraz piesi. Most pontonowy to jedna wstęga dźwięku, nieskończona taśma magnetyczna brzmiąca echem kół i stóp. Nagie zwłoki kobiety dryfują parę centymetrów pod autoriksami.

Za Ramnagarem prawy brzeg rozpościera się szeroko i piaszczyście. Tutaj nadzy sadhu

wznoszą swe obozowiska z łązy i bambusa i ćwiczą się w zapamiętanej ascezie zanim o świcie popłyną do świętego miasta. Za ich ogniskami strzelają w niebo potężne gazowe pochodnie wielkich przetwórci należących do międzynarodowych korporacji, podświetlając lśniące grzbiety bawołów zbijających się w gromadkę w wodzie obok rozpadającego się Asi Ghatu, pierwszego ze świętych ghatów Varanasi. Na rzece migocą płomyki - paru pielgrzymów i turystów puściło już na wodę dije w małych spodeczkach z liści mango. Będzie ich przybywać, kilometr za kilometrem, ghat za ghatem, aż Ganges zmieni się w konstelację prądów i wstęg światła, kreśląc wzory, w których mędrcy dostrzegą zwiastuny, wróżby i przyszłość narodów. Oświetlają płynącą dalej kobietę. Ukazują jej przeciętną twarz, twarz z tłumy, twarz, której nikomu nie zabraknie, jeśli w ogóle wśród jedenastu milionów mieszkańców miasta jakakolwiek twarz mogłaby być niezastąpiona. Jest pięć kategorii ludzi, których rzuca się rzece, bo nie wolno kremować ich na ghatach: trędowaci, dzieci, kobiety ciężarne, bramini i ukąszeni przez kobrę królewską. Jej bindi mówi, że nie należy do żadnej z tych kast. Niepostrzeżenie prześlizguje się między tłumem łodzi z turystami. Białe dłonie są delikatne, nienawykłe do pracy.

Na ghacie Manikarnika płoną stosy. Żałobnicy znoszą bambusową lektykę nad samą wodę, po zasłanych popiołem stopniach i spękany błocie. Zanurzają w rzece-odkupicielce owinięte szafranowym całunem ciało, uważnie obmywają mu wszystkie członki. Potem niosą je na stos. Dogładający stosów niedotykalni Domowie obkładają płócienny zwój drewnem, a inni, stojący po pas w wodzie, przesiewają ją płaskimi wiklinowymi koszami, odcedzając złoto z popiołów zmarłych. Każdej nocy na ghacie, gdzie Brahma Stworzyciel złożył ofiarę z dziesięciu koni, pięciu braminów pali arati na cześć Matki Gangi. Pobliski hotel płaci im za to po dwadzieścia tysięcy rupii miesięcznie na głowę, ale ich modlitwy nie tracą od tego na żarliwości. Odprawiają nad ogniem pudzę o deszcz. Ostatni monsun był trzy lata temu. Teraz bluźniercza tama Awadhów w Kunda Khadar zamienia w proch ostatnie krople krwi w żyłach Gangi. Ostatnio różane płatki rzucają na wodę nawet niewierzący i agnostycy.

Yogendra steruje wielkim merolem po tej drugiej rzece, nieznaną posuchy rzece opon, poprzez ścianę dźwięku i ruchu, wieczny czakram Varanasi - jednego wielkiego korka. Przeciskając się między fatatami, objeżdżając rowerowe riksze, zjeżdżając na drugą stronę drogi, aby ominąć krowę przeżuwającą stary podkoszulek, właściwie nie zdejmuje ręki z klaksonu. Shiv ma immunitet na wszystkie wykroczenia drogowe, z wyjątkiem przejechania krowy. Ulica zlewa się z chodnikiem: stragany, budy z gorącym jedzeniem, kaplice, uliczne świątynki obwieszane girlandami nagietków. „Pozwólcie naszej Rzece swobodnie płynąć!” - obwieszcza ręcznie wypisany transparent protestujący przeciw tamie. Banda chłopaków z call centre, idąca na łowy w najlepszych czystych koszulach i spodniach, przecina terenówce drogę. Tłuste łapy na lakierze, Yogendra krzyczy na tę bezczelność. Ruch uliczny staje się coraz gęstszy i bardziej skrupowany, kobiety i pątnicy muszą przyciskać się do ścian i drzwi, żeby przepuścić Shiva. Powietrze aż uderza do głowy oparami alkopaliwa. To podróż monarchy, to demonstracja. Trzymając na kolanach zroszoną od zimna metalową butlę, Shiv wjeżdża do miasta, z którym łączy go imię i dziedzictwo.

Najpierw było Kashi: pierworodne pośród miast; siostra Babilonu, Teb, która przeżyła je oba; miasto światła, gdzie Dżjotirlinga Śiwy, boska twórcza energia, eksplodowała z ziemi świetlnym słupem. Potem zostało Varanasi, najświętszym z miast, dworem bogini Gangi, miastem śmierci i pątników, które przeżyło cesarstwa i królestwa, Radżów i wielkie narody, płynąc przez czas, jak

jego rzeka płynie przez wielką równinę północnych Indii. Za nim wyrosło Nowe Varanasi; globalne dolary wlewające się w indyjską studnię siły roboczej bez dna wypiętrzyły wały i fortece nowych osiedli, pnące się za pałacami szklane iglice siedzib wielkich korporacji oraz wąskie, splątane ulice. Potem nastąpiło nowe państwo i Nowe Varanasi znów stało się legendarnym Kashi; pępkiem świata odrodzonym jako najnowsza Ginza południowej Azji, tylko że towarem są tu ciała. To miasto schizofrenii. Na zatłoczonych ulicach pielgrzymi potracają japońskich seksturystów. Między klatkami nastoletnich prostytutek żałobnicy niosą na ramionach zmarłych. Zasymilowani, szczupli goście z Zachodu, z brodami i koralikami, oferują masaż głowy, podczas gdy dziewczyny ze wsi zapisują się do agencji matrymonialnych i uważnie przeglądają linię z rocznym dochodem w bazach danych desperatów.

Hello, hello, skąd jesteś? Gandzia Nepali kadzidelka? Chce młodą dziewczynę, bara bara? Zobaczyć jak kobieta wkłada sobie amerykańską piłkę do football? Dziesięć dolarów. Zrobi ci tak wielki fiut, że będzie straszyl ludzi. Karty, horoskopy, hora czakra, tłuste czerwone tilaki odciskane na czołach turystów. Nieletni guru. Ciuchy! Moda! Sportowe podróbki, lewe oprogramowanie, kopie pakietów wielkich firm, produkcje filmowe z ostatniego miesiąca, zdubbingowane przez jednego faceta, jednym głosem, w sypialni twojej kuzynki, palmery i lighthoeki z podejrzanym fabryczek, wątpliwe dżin i whisky pędzone w starych garbarniach (najbardziej szacowna marka, John E. Walker). Odkąd zepsuł się monsun, zepsuła się także woda; na butelki, na szklaneczki, na łyżki, ze zbiorników, cystern, opakowanych w folię palet, plastikowych butelek, plecaków i worków z kozłej skóry. Ci Banglowie i ich góra lodowa; myślisz, że z tego spadnie nam w Bharacie choćby jedna kropla? Kupuj, pij.

Mijając rozplomieniony ghat i świątynię Śiwy, powoli, tektonicznie przewracającą się w varanaski muł, rzeka skręca nieco na wschód. Trzeci zestaw filarów mostu tnie wodę na kocie jęczyczki. Falują światła, światła ekspresowego śatabdi pędzącego przez rzekę na dworzec w Kashi.

Opływowy ekspres głośno postukuje na złączach, gdy zwłoki kobiety uwalniają się spod kolejowego mostu na otwartą wodę.

Za Kashi i New Varanasi jest jeszcze trzecie Varanasi. Na planach i w materiałach prasowych architektów i ich firm PR-owskich nazywa się „New Sarnath”, wykorzystując prestiż starodawnego buddyjskiego miasta. Wszyscy inni mówią „Ranapur”; na wpół zbudowana stolica świeżo opierzonego rodu polityków. Jak zwał, tak zwał, jest to największy plac budowy w całej Azji. Światła nigdy nie gasną, nigdy nie ustaje praca. Hałas jest ogłuszający. Pracuje tu sto tysięcy ludzi, od ćowkidarów po inżynierów budowlanych. Przepiękne i śmiało wieżowce wyrastają z bambusowych kokonów rusztowań, buldożery rzeźbią szerokie bulwary i aleje ocieniane zmodyfikowanymi genetycznie drzewami asioka. Nowe państwa domagają się nowych stolic, Ranapur będzie zatem wizytówką kultury, przemysłu i wizjonerstwa Bharatu. Centrum Kulturalne Sajidy Rany. Centrum konferencyjne Rajiva Rany. Wieża telekomunikacyjna Ashoka Rany. Ministerstwa i administracja państwowa, ambasady, konsulaty, inne rządowe rekwizyty. Ranowie uczynią z Varanasi to, co Brytyjczycy z Delhi. Tak mówi się w budynku w sercu tego wszystkiego, Bharad Sabha, kwiecie lotosu z białego marmuru, gdzie mieści się Parlament Bharatu i urząd Sajidy Rany, pani premier.

Reflektory budów odbijają się od płynącego rzeką kształtu. Nowe ghatty mogą sobie być z

marmuru, ale rzeczne dzieciaki to stuprocentowe Varanasi. Zadarte głowy. Coś tam jest. Coś jasnego, błyszczącego. Hartowane kiepy. Dzieciaki rzucają się w wodę. Brodzą, zanurzone po uda po płytkiej, cieplej jak krew w wodzie, nawołując się gwizdami. Coś jest. Trup. Trup kobiety. Nagi trup kobiety. W Varanasi to nic szczególnego, ani nowego, niemniej chłopcy i tak wyciągają ją na brzeg. Może da się z niej odzyskać jeszcze jakąś ostatnią wartościową rzecz. Bizuterię. Złote zęby. Protezy stawów biodrowych. W promieniach budowlanych reflektorów chłopcy wywlekają zdobycz za ramiona na brudny piasek. Na szyi błyska coś srebrnego. Chciwe dłonie łapią łańcuszek z trisulą, trójzębem wyznawców Pana Śiwy. I nagle dzieciaki uciekają z cichym krzykiem.

Kobieta jest rozcięta od mostka po łono. W świetle z budowy połyskuje splątana masa jelit. Dwa krótkie cięcia czysto pozbawiły ją jajników.

Shiv w swoim szybkim, niemieckim samochodzie tuli do siebie omszoną kondensacją srebrną butlę, podczas gdy Yogendra przeciska go przez korek.

ROZDZIAŁ 2 PAN NANDHA

Pan Nandha, gliniarz, Pies Kryszny podróżuje dziś rano pociągiem, w wagonie pierwszej klasy. Pan Nandha jest w wagonie pierwszej klasy jedynym pasażerem. Pociąg to elektryczny ekspres, śatabdi, firmy Bharat Rail: mknie trzysta pięćdziesiąt na godzinę specjalnie zbudowaną szybką linią, przechylając się na łagodnych zakrętach. Wioski drogi pola miasteczka świątynie uciekają rozmazane w tył, spowite sięgającą tylko do kolan poranną mgiełką. Pan Nandha w ogóle ich nie widzi. Za przyciemnionym oknem skupia się na wirtualnych stronicach „Bharat Timesa”. Artykuły i reportaże wideo unoszą się nad stołem, gdy jego lighthoek pompuje mu dane bezpośrednio do kory wzrokowej. W ośrodkach słuchowych: *Nieszpory najświętszej Maryi Panny* Monteverdiego, wykonywane przez wenecką Cameratę i Chór św. Marka.

Pan Nandha bardzo lubi włoską muzykę renesansową. Pan Nandha jest głęboko zafascynowany muzyką europejskiej tradycji humanistycznej. Pan Nandha sam uważa się za człowieka renesansu. Może więc czytać sobie informacje o wodzie, albo i wojnie, o demonstracjach pod figurą Hanumana, o projekcie budowy stacji metra pod rondem Sarkhand, skandalach, plotkach i sporcie, lecz część jego kory wzrokowej, do jakiej lighthoek nigdy nie dotrze, wyobraża sobie piazze i kampanile siedemnastowiecznej Cremony.

Pan Nandha nigdy tam nie był. Nigdy nie zwiedzał Włoch. Jego wyobrażenia to malownicze obrazy z kanału History Planet, skrzyżowane z własnymi wspomnieniami z Varanasi, miasta jego narodzin, i Cambridge, miasta, gdzie na nowo narodził się intelektualnie.

Pociąg mija w pędzie wiejską cegielnię; dym z pieców ściele się nad mgłą. Stosy cegieł przypominają ruiny nienarodzonej cywilizacji. Stoją tam dzieciaki i gapią się, machając dłońmi, oszołomione szybkością. Kiedy pociąg przejedzie, wleżą na tory i zaczną szukać wetkniętych w złącza szyn jednopaisowych monet. Ekspres rozsmarowuje je cieniutko po szynie. Można coś za nie kupić, ale nic cenniejszego niż oglądanie, jak stają się kleksem na drodze śatabdiego.

Wzdłuż wagonu idzie kołyszącym się krokiem ćaj-wallah.

- Sahib?

Pan Nandha wręcza mu dyndającą na sznureczku torebkę. Herbaciarz kłania się, bierze ją, udrapowuje na plastikowym kubku i nalewa wrzątku z utrzymanego na głowie naczynia. Pan Nandha cierpi na ciężką drożdżycę. Herbatka jest ajurwedyjska, przygotowana na receptę. Pan Nandha unika także zbóż, owoców, produktów sfermentowanych, w tym alkoholu, wielu produktów sojowych oraz wszystkich mlecznych.

Telefon zadzwonił o czwartej nad ranem, kiedy pan Nandha dopiero co zasnął po przyjemnym seksie ze swoją piękną żoną. Próbował jej nie przeszkadzać, ale ona nigdy nie może spać, kiedy on

się budzi, więc wstała i przygotowała mu Torbę Delegacyjną, której zawartość dhobi-wallah utrzymywał w porządku - świeżą i poskładaną. Odprowadziła go do samochodu Ministerstwa. Samochód ominął plac przed dworcem, zatłoczony fatfatami i rikszami czekającymi na sypialny z Agry, i podwiózł go przez bocznicę rozrządową prosto na peron, gdzie czekał już długi, opływowy, elektryczny pociąg. Funkcjonariusz Bharat Rail zaprowadził go do zarezerwowanego miejsca w zarezerwowanym wagonie. Trzydzieści sekund później pociąg ulotnił się z dworca Kashi. Całe trzysta metrów wagonów zatrzymano dla Psa Kryszny.

Pan Nandha wspomina seks z żoną i dzwoni do niej z palmera. Pojawia się w jego korze wzrokowej. Nie dziwi się, widząc ją na dachu. Odkąd zaczęły się prace nad ogrodem, Parvati spędza na dachu apartamentowca coraz więcej czasu. Za betoniarką, stertami bloczków i workami z kompostem pan Nandha widzi poranne światła w oknach czynszówek, nachylających się mocno do siebie nad wąskimi ulicami. Zbiorniki z wodą, panele słoneczne, anteny satelitarne i rzędy doniczek z geranium odcinają się konturem na tle bezbarwnego, mglistego nieba. Parvati odgarnia za ucho pasemko włosów i mruży oczy do bindi kamerki.

- Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Za dziesięć minut będę na miejscu. Po prostu chciałem do ciebie zadzwonić.

Uśmiecha się. Panu Nandzie topnieje serce.

- Dziękuję, miło, że o mnie pomyślałeś. Obawiasz się tego zadania?

- Nie, to rutynowa ekskomunika. Chcemy ją dopaść, zanim wybuchnie panika.

Parvati kiwa głową, wciągając dolną wargę, jak to ma w zwyczaju, kiedy myśli.

- A ty co będziesz dzisiaj robić?

- O - mówi, odwracając się ku ogrodowi. - Przyszedł mi do głowy taki pomysł. Nie złość się na mnie, proszę, ale pomyślałam, że nie potrzeba nam tylu krzaków. Chciałabym posadzić trochę warzyw. Parę rzędów fasolek, trochę pomidorków i papryki - dają świetną osłonę - może nawet trochę ketmii i bakłazanów? I zioła. Bardzo chcę hodować zioła, asant, kolendrę, słodką bazylię.

Pan Nandha uśmiecha się w swoim zarezerwowanym fotelu pierwszej klasy.

- Moja prawdziwa miejska ogrodniczka.

- Ależ nic, czego mógłbyś się wstydzić. Tylko parę grządek, zanim przeniesiemy się do Cantonmentu, do bungalowu. Mogłabym ci hodować warzywa na twoje sałatki. Oszczędzilibyśmy trochę, przywożą je z Europy, z Australii, widziałam nalepki. Zgadzasz się?

- Co tylko zechcesz, kwiatuszku.

Parvati klaszcze w dłonie z radości.

- No to dobrze. Może to trochę bezczelne z mojej strony, ale już umówiłam się z Krishanem do dostawcy nasion.

Pan Nandha często powątpiewa, czy dobrze zrobił, sprowadzając swoją ukochaną żonę do varanaskiego krwiożerczego towarzystwa, wiejską dziewczynę między kobry. Socjety z Cantonmentu - jego koledzy z pracy, osoby równe mu rangą - napawa go obrzydzeniem. Szepty, spojrzenia, plotki, zawsze słodziutkie i ugrzecznione, ale ciągle ważą, mierzą i oceniają. Cnota i występki w najdelikatniejszej z równowag. Dla facetów sprawa jest prosta. Ożeń się najlepiej, jak dasz radę - o ile dasz radę. Pan Nandha ożenił się w ramach swojej dżati - bardziej niż Arora, jego przełożony w Ministerstwie, bardziej niż większość rówieśników. Porządne małżeństwo Kayastha-Kayastha, ale tu, w nowym Ranapurze, te rygory wydają się już bez znaczenia. Widziałeś tę żonę Nandhy? Co za akcent, posłuchaj. W ogóle nie umie mówić. Ani słowa. Nie ma nic do powiedzenia. Otwiera gębę i wylatują muchy. Kompletna wioska. Mówię ci. Dalej włazi nogami na deskę klozetową i kuca.

Pan Nandha stwierdza, że pięści ma zaciśnięte z wściekłości na samą myśl o wplątaniu Parvati w te okropne gierki: mój mąż to, moje dzieci tamto, mój dom owamto. Ona wcale nie potrzebuje bungalowu w Cantonmencie, dwóch aut, pięciorga służących i dziecka od znanego projektanta. Sprawdziła, jak każda nowoczesna żona, jego kwestie finansowe i badania genetyczne, jednak ich związek zawsze opierał się na szacunku i miłości; nie był rozpaczliwym skokiem po pierwszy towar na darwinowskim rynku matrymonialnym Varanasi. Kiedyś z kobietą dawali posag. To mężczyzna był wartością, bogactwem. Na tym właśnie polega problem. Teraz, po ćwierć wieku selekcji zarodków, dyskretnych podmiejskich klinik i staroświeckich, tradycyjnych w Kashi, zabiegów na schodach, w samochodzie, w powietrzu, w miejskiej klasie średniej Bharatu jest czterokrotnie więcej mężczyzn niż kobiet.

Pan Nandha czuje delikatną zmianę przyspieszenia. Pociąg zwalnia.

- Muszę kończyć, kochanie, dojeżdżamy do Nawady.

- Ale nic ci nie grozi, skarbie, prawda? - pyta Parvati. Spogląda z obawą w kamerę.

- Nic a nic, skarbie. Robiłem to sto razy.

- Kocham cię, mężu.

- Kocham cię, mój skarbie.

Żona pana Nandhy znika mu z głowy. Zrobię to dla ciebie, myśli, gdy pociąg dowozi go na miejsce decydującej rozgrywki. Zabijając to, będę myśleć o tobie.

Przystojna kobieta-dżemadar miejscowej Obrony Cywilnej wita pana Nandhę eleganckim salutem z peronu. Dwuszereg dżawanów powstrzymuje swoimi lathi tłum gapiów. Gdy konwój wyjeżdża na ulicę, eskorta ustawia się z przodu i z tyłu.

Nawada to miasto-ulicówka, nazwa nalepiona na unię czterech gównianych miasteczek. Potem z nieba spadła garść dotacji na rozwój, pospiesznie zaprojektowana siatka ulic, ekspresowo

zbudowane metalowe szopy z fabrykami i magazynami, wypchane farmami danych i call centrami. Spinamy kablami i łączami satelitarnymi, podłączamy do prądu i niech nam tłuką krory rupii. To właśnie między budami magazynów z falistego aluminium i włókna węglowego, nie w niebotycznych wieżach Ranapuru, wykuwa się przyszłość Bharatu. Pan Nandha w ogromnym, wojskowym hummerze mija niesieciowe sklepy i warsztaty produkujące części do samochodów. Czuje się jak wjeżdżający do miasta płatny morderca. Z drogi zjeżdżają mu skutery wiozące z tyłu siedzące bokiem, po damsku, wiejskie dziewczyny.

Eskorta skręca w zaułek między dwiema szopami z pianobetonu, syrenami torując drogę hummerowi. Słup elektryczny ugina się pod ciężarem nielegalnie podpiętych kabli. Pod ogromną, pozbawioną okien betonową kostką siedzą w kucki kobiety, dzieląc się śniadaniowym ćajem i plackiem roti; mężczyźni stoją z dala od nich, w najdalszym zakątku placu, i palą. Pan Nandha patrzy na wyciągnięte do błogosławieństwa ręce farmy słonecznej Ray Power. Pozdrowienie oddane słońcu.

- Wyłączcie te syreny - poleca przystojnej dżemadarce, która nazywa się Sen. - To coś ma inteligencję przynajmniej na poziomie zwierzęcia. Jeśli ktoś je ostrzeże, będzie próbowało wykopiuwać się na zewnątrz.

Sen odkręca szybę i wykrzykuje rozkazy eskorcie. Syreny milkną.

Hummer jest jak stalowa cieplarnia. Spodnie pana Nandhy przyklejają się do winylowego pokrowca na siedzeniu, ale jest zbyt dumny, by się wiercić. Nasuwa hoeka na ucho, przytyka przekaźnik kostny w najlepszym punkcie czaszki i otwiera skrzyneczkę z awatarami.

Ganeśa, Pan Pomyślnych Początków i Pogromca Przeszkód, majestatycznie jadący na szczurze, wznosi się nad płaskimi dachami i lasami anten Nawady, potężny jak burzowa chmura. W rękach ma swe atrybuty: bodziec, pętlę ze sznura, złamany słoniowy kieł, ryżowy pierożek i miskę z wodą. W wydatnym brzuchu mieści całe cyberprzestrzenie wszechświaty. On jest portalem. Pan Nandha zna na pamięć gesty przywołujące każdy z awatarów. Ręką przyzywa latającego hanumana z jego maczugą i górą; Śiwę Nataradżię, Władcę Tańca, o jeden taneczny krok od zniszczenia i odrodzenia wszechświata; Durgę Ciemną, boginię słusznego gniewu, z bronią w każdej z dziesięciu rąk; Pana Krysznę z fletem i naszyjnikiem; Kali burzycielkę opasaną w talii odciętymi rękami. W oczach umysłu pana Nandhy agenci aeai Ministerstwa nachylają się nad maleńką Naradą. Są gotowe. Chętne. I głodne.

Eskorta skręca w podjazd dla ciężarówek. Rój policjantów próbuje rozdzielić cisnących się ludzi, by przepuścić hummera. Uliczka jest zablokowana: karetka, radiowóz policyjny, elektryczny dostawczy jeepney. Pod przednim kołem furgonetki coś leży.

- Co się tu dzieje? - pyta pan Nandha, podchodząc z wysoko uniesioną legitymacją Ministerstwa.

- Sir, pracownik z fabryki spanikował i wybiegł na ulicę, prosto pod koła - odpowiada sierżant policji. - Coś krzyczał o dzinnie, że w fabryce jest dzinn i zaraz ich wszystkich dopadnie.

Wy to nazywacie „dżinnem”, myśli pan Nandha, rozglądając się po okolicy. Ja zaś „memem”. Niematerialnym replikatorem, jak żarty, plotki, zwyczaje, wierszyki dla dzieci. Umysłowe wirusy. Bogowie, demony, dżinny, zabobony. To coś w fabryce nie jest żadną nadnaturalną istotą, nie ma płomiennego ducha, ale z pewnością jest niematerialnym replikatorem.

- Ilu jest tam w środku?

- Dwa trupy, sir. To była nocna zmiana. Reszta uciekła.

- Proszę oczyścić ten obszar - rozkazuje pana Nandha.

Dżemadarka Sen przekazuje rozkaz swoim dżawanom. Pan Nandha mijając zwłoki z narzuconą na twarz skórzaną kurtką oraz dygocącego kierowcę furgonetki na tylnym siedzeniu policyjnego maruti. Lustruje miejsce. W tej pogiętej, metalowej szopie produkuje się pastę-tikkę. Rodzina emigrantów zarządza nią z Bradford. Nowe miejsca pracy w twojej ojczyźnie. Na tym właśnie stoją mieściny w rodzaju Nawady. Dla pana Nandhy sama idea pasty-tikki to obrzydlistwo, ale w tym roku kuchnia brytyjskiej azjatyckiej diaspory to sam szczyt mody. Mruży oczy, zerkając na szafkę telefoniczną.

- Niech ktoś przetnie ten kabel.

Gdy wiejska policja ugania się za drabiną, pan Nandha odszukuje brygadzystę nocnej zmiany, grubego Bengalczyka skubiącego nerwowo skórki wokół paznokci. Śmierdzi czymś, pan Nandha przypuszcza, że pastą-tikką.

- Macie tu komórkową stację bazową albo łącze satelitarne? - pyta.

- Tak tak, wewnętrzną sieć komórkową. Dla robotów. I takie coś, co odbija sygnały od śladów meteorów, żeby rozmawiać z Bradford.

- Pani Sen niech ktoś z pani ludzi zajmie się anteną satelitarną. Może jeszcze zdążymy zatrzymać wykopiowywanie.

Policji wreszcie udaje się wypchnąć mieszkańców pobliskiego slumsu na koniec uliczki. Dżawan macha z dachu, dając znać, że gotowe.

- Proszę wyłączyć wszystkie urządzenia telekomunikacyjne - poleca pan Nandha. Dżemadar Sen i sierżant Sunder wchodzą wraz z nim do nawiedzanej fabryki. Poprawia swój garnitur w stylu Nehru, wyciąga mankiety koszuli i w przysiadzie przemyka pod metalową roletą na pole bitwy. - Trzymajcie się blisko i róbcie dokładnie to, co mówię. - Oddychając powolną techniką pranajama, w której Ministerstwo ćwiczy swoich funkcjonariuszy, pan Nandha dokonuje wstępnej oceny wzrokowej.

Typowy produkt dotacji na wsparcie rozwoju. Plastikowe beczki z surowcami spożywczymi po jednej stronie, główna linia produkcyjna pośrodku, pakowanie i wysyłka po drugiej. Żadnych zabezpieczeń, ubrań ochronnych, sprzętu do ochrony przed hałasem, klimatyzacji; jedna łazienka dla mężczyzn, jedna dla kobiet.

Wszystko ograniczone przez księgowych do niezbędnego minimum. Minimalna robotyzacja; w tych miastach zawsze tańsze są ludzkie ręce. Po prawej szereg kostek z plastiku zawierających biura i sprzęt aeai. Dozowniki z wodą i wentylatory, wszystkie nieruchome. Słońce jest już wysoko. Hala przypomina stalowy piec.

Po lewej stronie stoi wbity w ścianę wózek widłowy. Zwłoki, na wpół wyprostowane, są ledwo widoczne między nim a ścianą z falistej blachy. Krew, lśniąca i z rojącymi się muchami, skrzepła pomiędzy kołami. Człowiek został nadziany na widły podnośnika, jak na bagnet. Pan Nandha sznuruje z niesmakiem usta.

Wszędzie oczy kamer. Nic się już z tym nie da zrobić. Widzi ich.

Podczas swojej trzyletniej kariery łowcy zbiegłych aeai pan Nandha zobaczył sporo zwłok, które powstają, kiedy ludzie i sztuczne inteligencje wejdą sobie w drogę. Wyciąga broń. Oczy pani dżemadar się rozszerzają. Pistolet pana Nandhy jest wielki, czarny i wygląda jak odlany w piekle. Ma wszystkie gałki, wihajstry i bajery, jakich potrzebuje na swojej broni Pies Kryszny, ma automatyczne celowanie i dwa rodzaje ognia. Dolna lufa zabija mięso; rozpryskowe pociski o niskiej prędkości. Jedno trafienie w dowolną część ciała to pewna śmierć od urazu uderzeniowego. W końcu Dum-Dum to nazwa dzielnicy Kolkaty. Górna lufa jest na duchy. Emituje impulsy elektromagnetyczne; zygawat mocy zogniskowany w trzymilisekundowy kierunkowy promień. Białkowe układy fajczą się. Kwantowe procesory lecą w Heisenberga. Nanorurki węglowe odparowują. To broń do anihilowania zbuntowanych aeai. Sterowana żyroskopami orientującymi się po GPS-ie i kontrolowana przez awatar Indry, Pana Piorunów, broń pana Nandhy zawsze zabija i nigdy nie pudłuje.

Smród pasty-tikki dotkliwie szarpie pana Nandha na dnie. Jak to możliwe, że ten muł, ten syf, to sam szczyt mody? Jeden z wielkich, stalowych przemysłowych garów jest przewrócony, zawartość wylana na podłogę. Tu leżą drugie zwłoki. Górna połowa ciała tonie w paście-tikce. Pan Nandha czuje zapach gotowanego mięsa, zakrywa usta chusteczką. Zauważa spodnie na kant, eleganckie buty, wyprasowaną koszulę. Czyli to będzie informatyk. Doświadczenie pana Nandhy mówi, że aeai, jak psy, najpierw atakują swoich panów.

Przywołuje Sen i Sundera. Wiejski policjant zachowuje się nerwowo, natomiast pani dżemadar unosi karabin.

- To nas słyszy? - pyta, obracając się.

- Wątpię. Aeai pierwszego poziomu rzadko mają umiejętności językowe. Mamy do czynienia z czymś o inteligencji małpy.

- I charakterem tygrysa - rzuca sierżant Sunder.

Pan Nandha wywołuje Śiwę z przestrzeni fabryki, układa dłonie w mudrę i hala ożywa, rozświetlając się systemem nerwowym łącz informacyjnych. Dla Śiwy to moment: wejść do fabrycznego intranetu, wyśledzić serwer, mały, nijaki sześcianik na rogu biurka i precyzyjnie się przez firewall do systemu fabryki. Katalogi i pliki rozmywają się w tyłomózgowiu pana Nandhy. Jest.

Zabezpieczone hasłem. Przywołuje Ganeśię. Pogromca Przeszkód natychmiast znajduje kwantowy klucz. Pan Nandha się niepokoi. Odprawia Ganeśię i posyła Krysznę. Za tą kwantową ścianą może się kryć jakiś dzinn. Albo równie dobrze trzy tysiące zdjęć chińskich dziewczyn kopulujących z wieprzami. Pan Nandha obawia się, że zbuntowana aeai zdążyła się powielić. Jedna wysłana wiadomość, a wytopienie tego spod ziemi zajmie całe tygodnie. Kryszna melduje, że log ruchu wychodzącego jest czysty. Czyli to jest ciągle gdzieś w budynku. Pan Nandha wyłącza bezprzewodową sieć, odłącza serwer i bierze go pod pachę. Jego ludzie w Ministerstwie dobiorą mu się do tajemnic.

Przystaje, węszy. Czyżby odór pasty-tikki stał się silniejszy i bardziej gryzący? Pan Nandha pokasłuje, coś drapie go w gardle - palone chili. Widzi, że Sen też węszy i marszczy czoło. Słyszysz szum wielkiego elektrycznego wyciągu.

- Uciekamy! - krzyczy i dokładnie w tym momencie łańcuchowy napęd rolety rusza z szarpnięciem, a kadź do gotowania numer dwa eksploduje dławiącym dymem z chili. - Szybko, szybko! - rozkazuje, wymrugując drażniące łzy, z chusteczką przyciśniętą do ust. Razem z pozostałymi ucieka pod opadającą roletą. Brakowało paru milimetrów. W uliczce z irytacją otrzepuje brud z garnituru.

- Bardzo denerwujące - mówi pan Nandha. Woła do robotników od pasty-tikki: - Ej, wy! Jest jakieś inne wejście?!

- Z boku, sahib - odpowiada nastolatek z chorobą skóry, jakiej pan Nandha wolałby nie oglądać w pobliżu czegokolwiek spożywanego przez ludzi.

- Nie ma czasu do stracenia! - woła, unosząc broń. - Mogło już wykorzystać zamieszanie i uciec. Za mną.

- Ja tam nie idę - protestuje Sunder, z dłońmi na udach. Mężczyzna w średnim wieku, nabierający tłuszczu na brzuchu i biodrach, a w podręczniku procedur posterunkowego z Nawady nie ma nic na taką okazję. - Nie jestem zabobonny, ale jeśli to nie dzinn, to ja nie wiem co.

- Dzinnow nie ma - mówi pan Nandha.

Sen idzie tuż za nim. Jej maskujący ubiór jest dokładnie koloru pasty-tikki. Zakrywają twarze, wciskają się w duszne boczne przejście wyściełane niedopałkami i wchodzą wyjściem przeciwpożarowym. Powietrze dusi od dymu z chili. Pan Nandha czuje, jak wpija mu się pazurami w głąb gardła, kiedy grzebie w awatarach, szukając najpotężniejszego z programów, Kali Burzycielki. Wpina się do fabrycznej sieci i wpuszcza ją do systemu. Przejdzie przez strony www, sieci przewodowe i bezprzewodowe, wkopiuje się do każdej stacjonarnej i przenośnej jednostki komputerowej. Oznaczy, wysledzi i wykasuje wszystko, co jest pozbawione licencji. Kiedy Kali skończy, z Pasta-Tikka, Inc. zostaną tylko strzępy. Właśnie dlatego pan Nandha odizolował fabrykę. Wpuszczona do globalnej sieci Kali w sekundę narobiłaby na całym kontynencie szkód na krory rupii. Nie ma lepszego psa na aeai niż inna aeai. Zdarzało się, że sam zapach Kali, mangusty w pogoni za węzem, wystarczał, by wypłoszyć aeai z kryjówek.

W pełnej rozdzielczości lighthoeka Kali wygląda niesamowicie - opasana odciętymi rękami, krzywe szable uniesione, wysunięty język i wybałuszone oczy. Wznosi się nad powoli osiadającą chmurą dymu z chili, a wokół niej jedna po drugiej gasną konstelacje danych. Tak pewnie wygląda śmierć, myśli pan Nandha. Delikatna niebieska poświata przepływu informacji migoce i gaśnie punkt za punktem. Impulsy nerwowe zawodzą jedne po drugich, bodźce zmysłowe słabną, świadomość się rozpada.

Spłoszona milknącymi wokół maszynami Sen przybliży się do pana Nandhy. Działają tu siły i istoty, których nie rozumie. Kiedy przez pełną minutę już nic się nie rusza ani nie gaśnie, Sen pyta:

- Myślisz, że wszystkie zdechły?

Pan Nandha sprawdza raport od Kali.

- Usunąłem dwieście podejrzanych plików i programów. Jeśli choć jeden procent z tego to kopie aeai... - Ale jego zmysły drażni coś więcej niż tylko chili w gardle.

- Czemu one to robią? Czemu zniecka dostają wścieklizny? - pyta Sen.

- Zawsze odkrywałem, że u źródeł problemu z komputerem leży ludzka ułomność - mówi pan Nandha, obracając się powoli, próbując ustalić, co wzbudziło jego podejrzenie. - Podejrzewam, że nasz przyjaciel kupował od sundarbanów nielegalne, hybrydowe aeai. Z mojego doświadczenia wynika, że z przechowalni danych nigdy nie wyszło nic dobrego.

Sen ma kolejne pytanie, ale pan Nandha ucisza ją gestem. Słyszy ruch, bardzo daleki, bardzo słabutki. Kali pozostawiła z fabrycznego softu akurat tyle, żeby Śiwa mógł się podłączyć do systemów monitoringu. W kamerach nie ma nic, tak jak się spodziewał, ale w rozmytym świetle podczerwieni coś się porusza. Zadziiera głowę, spoglądając na galeryjkę suwnicy na końcu hali.

- Widzę cię - mówi, kiwając na Sen. Ta wchodzi na galerię z jednego końca. Pan Nandha wybiera drugi. To coś jest gdzieś u góry, na suficie. Idą ku sobie.

- W którymś momencie się rzuci - ostrzega Nandha.

- Co się rzuci? - szepcze Sen, ściskając swoją potężną broń.

- Podejrzewam, że skopiowała się do robota i próbuje tym sposobem uciec. Spodziewaj się czegoś małego i szybkiego.

Pan Nandha słyszy to teraz między metalicznymi odgłosami ludzkich kroków, coś drapiącego o dach, próbującego wybić sobie dziurę i uciec. Pan Nandha unosi rękę, pokazując dzemadar Sen, by szła ostrożnie. Ma przecucie, że jest dokładnie pod tym czymś. Wpatruje się we wronie gniazdo kabli i rurek. Nagle dżga go kamera-oko na słupku. Pan Nandha odskakuje. Sen unosi broń; zanim zdąży pomyśleć, wypuszcza serię w sufit. Coś spada tak blisko pana Nandhy, że prawie go uderza, coś składającego się z samych nóg, rozedrganych, rozbieganych. To robot inspekcyjny, mała, wspinająca się maszynka podobna do czepiaka. Pojedynczych firm z reguły na nie nie stać, ale firmy developerskie kupują po jednym i obsługują nim cały kwartał hal. To coś będzie miało dostęp do

wszystkich budynków w tej strefie przemysłowej. Maszyna staje dęba, pędzi ku niemu, potem zawraca i leci bezładnym zygzakiem ku Sen. Wie tylko, że chce istnieć, a te stworzenia chcą ją zabić. Spanikowana nagłą serią, Sen zapomina wszelkie wojskowe instynkty, gdy to coś pędzi ku niej w podskokach. Gmera przy swoim karabinku szturmowym. Pan Nandha ze spokojem, klarownie uświadamia sobie, że jej panika go zabije.

- Nie! - krzyczy i wyciąga pistolet.

Indra namierza cel, celuje, strzela. Impuls na chwilę przeciąża nawet jego hoeka. Świat znika oślepiiony wybuchem. Robot zamiera, dostaje konwulsji, spada w snopie żółtych iskier. Nogi mu drgają, wysuwają się słupki z oczami. Z otworów wentylacyjnych unoszą się strużki dymu. Pana Nandhy to nie zadowala. Stoi nad martwą aeai, potem klęka i podpina skrzynkę z awatarami do złącza serwisowego. Ganeśa podłącza się do systemu operacyjnego. Kali stoi w pogotowiu z szablami w górze.

Nie żyje. Została ekskomunikowana. Pan Nandha wstaje i otrzepuje się. Chowa broń. Niechlujnie to wyszło. Niezadowolająco. Pozostały pytania. Wiele znajdzie odpowiedź, kiedy Banda z Piętnastego rozpruje serwer, ale Gliną Kryszny nie zostaje się bez intuicji, a ta podpowiada panu Nandzie, że owa plątanina metalu i plastiku jest wstępem do nowej i długiej historii. Opowie tę historię, rozwikła jej zawiłości, rozszyfruje postacie i zdarzenia, zamykając całość właściwym zakończeniem, ale w tej chwili jego najbardziej palącym problemem jest pozbycie się z garnituru smrodu spalonej pasty-tikki.

ROZDZIAŁ 3 SHAHEEN BADOOR KHAN

Shaheen Badoor Khan patrzy z góry na antarktyczny lód. Z dwóch tysięcy metrów to bardziej obiekt geograficzny niż lód, biała wyspa, jak zbiegła Sri Lanka. Oceaniczne holowniki wypożyczone z Zatoki są największe, najmocniejsze i najnowsze, przypominają jednak pająki mocujące się z wielkim cyrkowym namiotem, szarpiące za jedwabne nitki odciągów. Teraz już tylko pilnują: górę trzyma Południowo-wschodni Prąd Monsonowy i całe zamieszanie płynie sobie na północno-północny-wschód z prędkością pięciu mil morskich na dzień. Tu, w głębi oceanu, pięćset kilometrów na południe od delty, gdzie punktami odniesienia mogą być tylko lód, niebo i ciemnobłękitna, głęboka woda, nic nie zdradza tego ruchu. Ile czasu i jak mocno będą musiały potem ciągnąć, żeby ją zatrzymać? - zastanawia się Shaheen Badoor Khan. Wyobraża sobie górę wbitą głęboko w wyspę Gangasagar u ujścia świętej rzeki, potężne lodowe klify wystające spomiędzy namorzynów.

Tilt-jet państwa Bengal, wiozący ładunek bengalskich polityków i ich dyplomatycznych gości od sąsiada i odwiecznego rywala, państwa Bharat, chybotuje się w chłodnym mikroklimacie, odwijającym się spiralą z ogromnej kry. Shaheen Badoor Khan zauważa, że jej powierzchnia jest pobrużdżona jarami i rozpadlinami. Połyskuje bystro spływająca woda; topniejący lód wyźłobił w ścianach głębokie kaniony, z lodowych klifów wytryskują łukami malownicze wodospady.

- Nieustannie się przesuwa - mówi energiczny klimatolog-Bengalczyk siedzący po drugiej stronie przejścia. - Traci masę i zmienia się środek ciężkości. Musimy utrzymywać ją w równowadze, nagły przechył blisko lądu mógłby skończyć się katastrofą.

- Nie potrzebujecie w delcie kolejnego przyływu - potakuje Shaheen Badoor Khan.

- O ile w ogóle ona tam dopłynie - mówi Minister ds. Wody i Energii Bharatu, wskazując brodą górę. - Przy takiej szybkości topnienia...

- Panie ministrze... - mówi szybko Shaheen Badoor Khan, ale nadworny klimatolog nie przepuszcza okazji do zabłyśnięcia.

- Wszystko jest obliczone co do grama. Spokojnie mieścimy się w parametrach zmiany mikroklimatu.

Błyska przy tym kosztownie wypielęgnowanymi zębami, pokazując dokładność zbliżeniem kciuka i palca wskazującego. Bezbłędnie. Shaheen Badoor Khan wstydzi się niezmiernie, gdy któryś z jego ministrów otwiera usta i publicznie demonstruje swą ignorancję, zwłaszcza wobec ugładzonych Bengalczyków. Dawno pojął, że do polityki nie potrzeba szczególnego talentu, zdolności ani inteligencji. Po to ma się doradców. Umiejętność polityka polega na wysłuchaniu ich rad i przedstawieniu ich tak, by wyglądało na to, że wymyślił to wszystko sam. Shaheen Badoor Khan denerwuje się, że ktoś mógłby pomyśleć, że niewłaściwie pouczył swoją grupkę.

- Poleć z nimi, Shah - poprosiła premier Sajida Rana. - Nie pozwól Srinavasowi wyjść na idiotę.

Bengalski minister ds. góry lodowej gramoli się przejściem z szerokim niedźwiedzim uśmiechem. Shaheen Badoor Khan wie ze swoich źródeł o wojnach pomiędzy wydziałami bengalskiej administracji, na czym podwórku mają wylądować dziesięciokilometrowe kawałki Lodowca Szelfowego Amery'ego. Napięcie między dwiema stolicami zawsze miło rozegrać na korzyść Bharatu. Ochrona Środowiska przegrała na koniec z Nauką i Techniką, z drobną pomocą Przemysłu i Rozwoju, który odpowiadał za podpisanie kontraktów, i dlatego odpowiedni minister stoi teraz w przejściu, trzymając się oparcie. Shaheen Badoor Khan czuje jego oddech.

- No i jak? Wszystko nasze własne, my nie poleciliśmy do Amerykanów, żeby pomogli nam z zaopatrzeniem w wodę, jak ci z Awadhu i ich tama. Ale pan to świetnie wie.

- Kiedyś rzeka jednoczyła nas wszystkich - zauważa Shaheen Badoor Khan. - Teraz kłócimy się jak dzieci Matki Gangi: Awadh, Bharat, Bengal. Głowa, ręce i nogi.

- Ile ptaków - mówi Srinavas, wyglądając przez okno.

Za górą ciągnie się blada smuga, jak dym z okrętowego komina: stada morskich ptaków, całe tysiące, rzucają się w wodę, polując na srebrne sardynki.

- To tylko dowodzi, że zimny prąd działa - oznajmia klimatolog, próbując wychylić się zza swojego ministra. - Ściągamy nie tyle górę lodową, ile kompletny ekosystem. Niektóre lecą za nami aż od samej Wyspy Księcia Edwarda.

- Pan minister chciałby wiedzieć, kiedy się spodziewacie pierwszych korzyści - indaguje Shaheen Badoor Khan.

Naipaul zaczyna już trąbić o śmiałości i rozmachu bengalskiej inżynierii klimatycznej, ale przerywa mu jego własny magik od pogody. Shaheen Badoor Khan aż mruga na to niewybaczalne zachowanie. Ci Bengalczyki nie mają żadnej etykiety, czy co?

- Klimat to nie stara krowa, którą można sobie pędzić, gdzie się zechce - mówi klimatolog, nazwiskiem Vinayachandran. - To subtelna nauka mówiąca o drobnych zmianach i przesunięciach, które przez lata kumulują się w ogromne, potężne skutki. Wyobraźcie sobie, panowie, staczającą się z góry kulę śniegową. Tu spadek temperatury o pół stopnia, tam przesunięcie termokliny w oceanie o parędziesiąt metrów, gdzie indziej zmiana ciśnienia o pojedyncze milibary...

- Bez wątplenia, pan minister zastanawia się jednak, kiedy nastąpią pierwsze drobne zmiany wywołane tą... kulą śniegową... - powtarza Shaheen Badoor Khan.

- Nasze symulacje przewidują powrót klimatu do normy w ciągu sześciu miesięcy - odpowiada Vinayachandran.

Shaheen Badoor Khan kiwa głową. Podsunął już swojemu ministrowi wszystkie sugestie. Teraz może wyciągnąć własne wnioski.

- Czyli to wszystko... - minister ds. Wody i Energii Bharatu macha ręką ku obcemu przybyszowi w Zatoce Bengalskiej - to wszystko jest za późno. Kolejny nieudany monsun. Może gdybyście ją stopili i posłali nam rurociągiem, na coś by się zdała. Możecie zawrócić Ganges? To może by nam pomogło.

- Ta góra ustabilizuje monsun na najbliższe pięć lat, w całych Indiach - upiera się minister Naipaul.

- Panie ministrze, nie wiem jak pański, ale mój kraj jest spragniony teraz - mówi V.R. Srinavas prosto w oko kamery wiadomości, wychylając się zza oparcia fotela przed sobą.

Shaheen Badoor Khan zaciera ręce, zadowolony, że ten tekst pojawi się w nagłówkach wszystkich gazet od Kerali po Kaszmir. Srinavas to prawie taki sam błazen jak Naipaul, ale w potrzebie zawsze można liczyć na jego ciętą ripostę.

Nowy, piękny, najnowocześniejszy na rynku tilt-jet ponownie się przechyla, ustawia silniki do poziomego lotu i kieruje się na Bengal.

Równie nowe, piękne i najnowocześniejsze na rynku jest świeżo zbudowane lotnisko w Dhace, podobnie jak jego nowiuteńki system kontroli lotów. Dlatego właśnie lot dyplomatyczny o najwyższym priorytecie tkwi w kolejce przez pół godziny, a potem siada na skrawku lądowiska naprzeciwko airbusa Bharat Air. Problem z interfejsem; kontrolerami lotów są aeai pierwszego poziomu, o umyśle, instynkcie autonomii i morale przeciętnego królika; jak to skomentował felietonista „Bharat Times”: to i tak lepiej niż przeciętny ludzki kontroler lotów z Dhaki. Shaheen Badoor Khan maskuje uśmiech, ale nikt nie zaprzeczy, że Zjednoczony Bengal Wschodni i Zachodni to państwo znające się na technologii, odważne, myślące perspektywicznie, wyrafinowane i reprezentujące światowy poziom - wszystko to, do czego aspirują aleje i atria bharackiego Ranapuru, a czemu przeczą brud, ruina i żebractwo Kashi.

Wreszcie docierają samochody. Shaheen Badoor Khan schodzi za politykami na płytę. Beton odbija ciepło. Wilgoć wysysa wszelkie wspomnienia o lodzie, oceanie i chłodzie. Powodzenia z tą lodową wyspą, myśli, wyobrażając sobie gorliwych bengalskich inżynierów wspinających się na odłamek Amery'ego, w ciepłych parkach z obszytymi futrem kapturami.

Na przednim siedzeniu samochodu ministra Srinavasa Shaheen Badoor Khan zakłada hoeka za ucho. Pasy do kołowania, samoloty, trapy, wózki z bagażami zlewają się z interfejsem biurowego systemu. Aeai przesiewała mu mejle, ale i tak uwagi osobistego parlamentarnego sekretarza Sajidy Rany wymaga ponad pięćdziesiąt wiadomości. Kiwnięcie palca mówi „tak” raportowi o problemie gotowości bojowej Bharatu, „nie” - informacji dla prasy dotyczącej kolejnych ograniczeń w zużyciu wody, „później” - prośbie o wideokonferencję od N.K. Jivanjeego. Kreśli dłońmi mudry jak zwinna tancerka kathak. Zgięciem palca przywołuje z powietrza notatnik. „Proszę mnie informować o rozwoju sytuacji na rondzie Sarkhand”, pisze na burcie airbusa Air Bengal wirtualnym hindi. „Mam co do tego pewne przecucia”.

Shaheen Badoor Khan urodził się, mieszka i zakłada, że umrze, w Kashi, ale wciąż nie rozumie pasji i gniewu, jakich domagają się ci niechlujni hinduistyczni bogowie. Podziwia ich dyscyplinę i ascetyzm, tylko że w zamian za to oferują bardzo marne zabezpieczenie. Każdego dnia po drodze do Bharat Sabha mija małą plastikową budkę na skrzyżowaniu Lady Castlereagh Road, gdzie sadhu przez piętnaście lat trzymał w górze lewą rękę. Shaheen Badoor Khan taksuje wzrokiem człowieka, który teraz nie mógłby opuścić tej uschłej gałązki z kości, ścięgien i obumarłych mięśni, nawet gdyby zażyczył sobie tego jego bóg. Shaheen Badoor Khan nie jest otwarcie religijny, jednak te krzykliwe, dynamiczne posągi, kipiące od ramion, symboli, wehikułów, atrybutów i towarzyszy, jakby rzeźbiarz miał w obowiązku wcisnąć na nie każdy teologiczny szczegół, obrażają jego estetykę. Jego islamska szkoła jest wyrafinowana, mocno cywilizowana, ekstatyczna i mistyczna. Nie maluje się na neonowy róż. Nie wymachuje publicznie penisem. A jednak pod balkonami jego haveli co rano tysiące ludzi schodzą po ghatach, żeby obmyć grzechy w wyschniętym strumieniu Gangi. Wdowy wydają ostatnie rupie, żeby mężowie mogli spłonać nad świętą wodą i wejść do Raju. Co roku młodzi mężczyźni rzucają się pod koła rydwanu Dżagannatha w Puri i giną zmiażdżeni - choć moloch godziny szczytu w Puri i tak pochłania więcej ofiar. Armie młodych mężczyzn napadają na meczety i zrównują je gołymi rękami z ziemią, bo uchybiają czci pana Ramy, a ten człowiek dalej siedzi na krawężniku, z ręką uniesioną jak laska. A na rondzie w nowym Sarnath stoi brudna, betonowa figura Hanumana, nie ma nawet dziesięciu lat, ale kiedy się mówi, że trzeba ją przesunąć, żeby zrobić miejsce na budowaną stację metra, bandy chłopaków w białych koszulach i dhoti już wymachują pięściami, walą w bębny i gongi. Będą z tego ofiary, myśli Shaheen Badoor Khan. Śnieżna kula drobnych zmian. N.K. Jivanjee i jego fundamentalistyczna partia Shivaji zajeżdżą tego molocha na śmierć.

Przy recepcji dla VIP-ów wybucha kolejne zamieszanie. Wygląda na to, że klasa business lotu BH137 jest zarezerwowana dla dwóch VIP-ów naraz. W pierwszej chwili Shaheen Badoor Khan dostrzega tylko tłumek reporterów z mikrofonami, na wysięgnikach i swobodnie latającymi, przed salonikiem dla VIP-ów. Minister Srinavas już się mizdrzy, obiektywny patrzy jednak gdzie indziej. Shaheen Badoor Khan przeciska się grzecznie przez tłum do dyspozytora, z wysoko uniesioną legitymacją.

- Co się dzieje?

- Och, panie Khan, nastąpiła jakaś pomyłka.

- Żadna pomyłka. Minister Srinavas i jego ludzie wracają tym lotem do Varanasi. Skąd w ogóle takie zamieszanie?

- Pewna znana osoba...

- Znana osoba - powtarza Shaheen Badoor Khan z pogardą, od której mógłby uschnąć cały plon.

- Model. Rosjanin - mówi dyspozytor, czerwieniąc się. - Bardzo znany. W Varanasi jest jakiś pokaz. Przepraszam za zamieszanie, panie Khan. - Shaheen Badoor Khan już prowadzi swój zespół do wyjścia.

- Kto? - pyta minister Srinavas, mijając tłumek.

- Jakiś ruski model - odpowiada Shaheen Badoor Khan swoim łagodnym, precyzyjnym głosem.
- Aaa! - mówi minister, wytrzeszczając oczy. - Juli.
- Słucham?
- Juli - powtarza Srinavas, wyciągając szyję, żeby zerknąć na sławę. - To neutko.

To słowo rozbrzmiewa jak świątynny dzwon. Tłum się rozdziela. Shaheen Badoor Khan widzi wyraźnie wewnątrz poczekalni dla VIP-ów. I zamiera. Dostrzega wysoką sylwetkę w długim, pięknie skrojonym płaszczu z białego brokatu, wyszywanym w splecione dziobami tańczące jastrzębie. Stoi do niego tyłem i Shaheen Badoor Khan nie widzi twarzy, patrzy jednak na krągłości białej cery; długie, delikatnie poruszające się dłonie; elegancko wyrzeźbioną szyję, idealną, gładką krzywiznę bezwłosej czaszki.

Ciało obraca się ku niemu. Shaheen Badoor Khan widzi zarys szczęki, krawędź kości policzkowej. Zachłystuje się powietrzem, odgłos jest jednak niesłyszalny w reporterskim tumultcie. Twarz. Nie wolno mu spojrzeć na twarz, bo będzie zgubiony, przeklęty, zamieni się w kamień. Tłum znów się przesuwa, plecy odcinają widok. Shaheen Badoor Khan stoi jak sparaliżowany.

- Khan? - słyszy. To jego minister. - Khan, dobrze się czujesz?
- Eee... tak, panie ministrze. Zrobiło mi się trochę słabo od tej wilgoci.
- Tak, ci cholerni Bengalczycy powinni coś zrobić z tą klimą.

Czar pryska, ale Shaheen Badoor Khan, prowadząc swojego ministra po trapie, wie, że nigdy nie zazna spokoju.

Pracownik obsługi naziemnej wręcza wszystkim prezenty od ministra Naipaula, termosy z herbem Zjednoczonego Bengalu Wschodniego i Zachodniego. Po zapięciu pasów, zasłonięciu kotary odgradzającej klasę ekonomiczną, kiedy airbus Bharat Air podskakuje na nierównym betonie, Shaheen Badoor Khan otwiera swój termos. W środku jest lód: kostki lodowca do gin slingów Sajidy Rany. Shaheen Badoor Khan zakręca termos i przyciska go do siebie, kiedy airbus startuje, a jego koła opuszczają Bengal, tak jakby zimno mogło uleczyć ranę na jego brzuchu. Nie uleczy. Nigdy. Shaheen Badoor Khan patrzy przez okno na równomiernie szarzejącą ziemię - samolot leci na zachód, do Bharatu. Widzi białą kopułę czaszki, łuk szyi; blade, piękne dłonie, eleganckie jak minarety, kości policzkowe zwracające się ku niemu jak cud architektury. Tańczące żurawie.

Tak długo czuł się bezpieczny. I czysty. Shaheen Badoor Khan tuli do siebie lód z lodowca, zamyka oczy w milczącej modlitwie, serce ma rozświetlone ekstazą.

ROZDZIAŁ 4 NAJIA

Lal Darfan, gwiazda serialowa numer jeden, udziela wywiadów w haudzie na grzbiecie sterowca w kształcie słonia, unoszącego się nad południowymi zboczami nepalskich Himalajów. Ubrany w bardzo elegancką koszulę i luźne spodnie, opiera się o wałek leżący na niskiej sofie. Na niebie za nim rozciągają się pasmami transparenty chmur. Szczyty kreślą zębatą, białą granicę, ścianę na krawędzi pola widzenia. Obrzeżające haudę frędzle trzepoczą na wietrze. Lal Darfan, boski amant w największej i najstynniejszej operze mydlanej Indiapendent Productions, *Miasto i wieś*, ma do towarzystwa pawia stojącego u węzłowia otomany. Karmi go okruchami wafli ryżowych. Lal Darfan jest na diecie niskotłuszczowej. Plotkarskie magazyny o niczym innym nie mówią.

Dieta, myśli Najia Askarzadah, to niezły pomysł, jak na wirtualną gwiazdę serialową. Bierze głęboki wdech i zaczyna wywiad.

- Na Zachodzie trudno nam uwierzyć, że *Miasto i wieś* mogą być aż tak popularne. Natomiast tutaj, pan jako aktor interesuje publiczność chyba tak samo, jak pana postać, Ved Prekash.

Lal Darfan uśmiecha się. Zęby ma tak wspaniale i nieprawdopodobnie białe, jak mówią telewizyjne kanały plotkarskie.

- Bardziej - odpowiada. - Ale pani pyta chyba raczej, po co aeai-postaci potrzebna jest aeai-aktor? Iluzja w iluzji, prawda?

Najia Askarzadah ma dwadzieścia dwa lata, jest wolnym strzelcem i nie ma zobowiązań. W Bharacie przebywa od czterech tygodni i właśnie dopadła wywiad, który, jak liczy, przypieczętuje jej karierę.

- Zawieszenie niewiary - mówi. Słyszy pomruk silników sterowca, po jednym w każdej słoniowej nodze.

- Chodzi po prostu o to. Rola nigdy nie wystarcza. Publiczność musi widzieć rolę kryjącą się za rolą, obojętne, czy to ja - Lal Darfan skromnie dotyka dłońmi swojej niedługo mającej się wyrzucić talii - czy hollywoodzki aktor z krwi i kości, czy jakiś idol pop. Zadam pani pytanie. Co pani wie o jakiejś zachodniej gwiazdce pop, niech to będzie na przykład Blóchant Matthews? To, co zobaczy pani w telewizji, przeczyta w plotkarskich pismach i na czatach. A co pani wie o Lалу Darfanie? Dokładnie to samo. Oni nie są dla pani bardziej realni niż ja. Ani mniej.

- Ale prawdziwą celebrity ludzie mogą zawsze spotkać przypadkiem, mignie im na plaży, na lotnisku, albo w sklepie...

- Mogą? A skąd pani wie, że ktoś komuś mignął?

- Bo słyszałam... A.

- Rozumie pani teraz? Wszystko odbywa się przez takiego czy innego pośrednika. I z całym szacunkiem, ja jestem prawdziwą *celebrity*, bo moja sława jest bardzo prawdziwa. W dzisiejszych czasach, jeśli cokolwiek staje się realne, to właśnie przez sławę, czyż nie?

Na głos Lala Darfana poszło pół miliona osobogodzin. Jest wyliczony, aby uwodzić, i owija Nają kolejnymi warstwami. Mówi:

- Mogę zadać osobiste pytanie? Bardzo proste: jakie jest pani najwcześniejsze wspomnienie?

Ono jest zawsze pod ręką, ta noc pełna ognia, pośpiechu i strachu, jak geologiczna warstwa irydu w jej życiu. Ojciec wygarniający ją z łóżka, podłoga zasłana papierami, dom pełen hałasu, promienie światła falujące w ogrodzie. To pamięta najlepiej: stożki latarek wijące się po krzakach róż, idące po nią. Ucieczka przez osiedle. Ojciec przeklinający pod nosem, bo silnik samochodu kręci, kręci i kręci. Latarki podchodzące coraz bliżej i bliżej. Ojciec klnie i klnie, choć był kulturalny nawet wtedy, gdy przyszła po niego policja.

- Leżę na tylnym siedzeniu samochodu - mówi. - Leżę na płasko, jest noc, jedziemy szybko przez Kabul. Tata prowadzi, obok siedzi mama, ale nie widzę ich zza oparcia. Słyszę tylko, jak rozmawiają, i wydaje mi się, że są bardzo daleko. Włączyli radio, słuchają czegoś, a ja tego nie rozumiem. - Teraz już wie, że w wiadomościach mówiono o nalocie policji na schronisko dla kobiet i wydaniu nakazu aresztowania. Od pojawienia się tej wiadomości mieli tylko kilka minut, zanim policja zablokuje lotnisko. - Widzę mijane latarnie. Przesuwają się bardzo regularnie i precyzyjnie. Światło się zapala, przechodzi po mnie, potem w górę po oparciu siedzenia i wychodzi przez okno.

- Mocny obraz - mówi Lal Darfan. - Ile miała pani wtedy lat? Trzy, cztery?

- Niecałe cztery.

- Ja także mam najwcześniejsze wspomnienie. Stąd wiem, że nie jestem Vedem Prekashem. Ved Prekash ma scenariusz, a ja pamiętam szal z orientalnym wzorem, powiewający na wietrze. Niebo było niebieskie, czyste, a brzeg szalu jakby wlatywał z boku w kadr, kiedy akcja toczyła się poza nim. Bardzo wyraźnie widzę, jak trzepocze. Mówią mi, że to było na dachu naszego domu w Patnie. Mama zabrała mnie, żebym trochę odpoczął od spalin, siedziałem sobie na kocyku pod parasolką. Szal był uprany i wisiał na sznurze; co dziwne, był z jedwabiu. Pamiętam to wyraźnie, jak mało co. Musiałem mieć nie więcej niż dwa lata. No, właśnie. Proszę. Dwa wspomnienia. Tak, ale pani powie: pana jest sfabrykowane, a moje to prawdziwe przeżycie. Ale skąd pani wie? Może to pani opowiedziano i pani zrobiła z tego wspomnienie, może być fałszywe, może być sztucznie sfabrykowane i wszczepione. Setki tysięcy Amerykanów wierzą, że zostali uprowadzeni przez szarych obcych, którzy wtykali im do odbytu rozmaite urządzenia; to fantazja i w stu procentach przypadków fałszywe wspomnienie, ale czy są przez to fałszywymi ludźmi? Co tworzy nasze wspomnienia? Układ ładunków elektrycznych w cząsteczkach białek. Tu chyba się aż tak bardzo nie różnimy. Ten sterowiec, głupawy słoń-gadżet, który kazałem sobie zbudować, wizja unoszenia się nad Nepalem; dla pani to tylko układy ładunków na białkowych cząsteczkach. I tak jest ze wszystkim. Może pani nazywać to iluzjami, dla mnie to fundamentalny budulec mojego świata. Wyobrażam

sobie, że postrzegam je zupełnie inaczej niż pani, ale skąd mam wiedzieć? Skąd wiadomo, że to, co dla mnie jest zielone, tak samo wygląda dla pani? Wszyscy jesteśmy pozamykani w małych klateczkach własnego ja; Najia, obojętne, z kości czy plastiku, żadne z nas nie może z tego wyjść. Więc czy możemy ufać w to, co zdaje się nam, że pamiętamy?

Ja mogę, panie komputer, myśli Najia Askarzadah. Muszę nawet, bo na tych wspomnieniach opiera się wszystko, czym jestem. Siedzę tutaj, w tej groteskowej wirtualnej kopule rozrywki z gwiazdą telewizyjnego mydłańca, pełną złudzeń o własnej wielkości, dzięki wspomnieniu o poruszających się światłach.

- Ale w takim razie, czy pan, jako Lal Darfan, nie stąpa zbyt blisko krawędzi? Rozumie pan, Ustawy Hamiltona dotyczące sztucznej inteligencji...

- Psy Kryszny? Eunuchy McAuleya - rzuca jadowicie Lal Darfan.

- Chodzi mi o to, że dla pana przyznanie się, że jest pan samoświadomy - rozumny, jak pan, zdaje się, twierdzi - to podpisanie na siebie wyroku śmierci.

- Nigdy nie powiedziałem, że jestem rozumny, albo samoświadomy, cokolwiek to znaczy. Jestem aeai poziomu 2.8 i dobrze mi z tym. Twierdzą tylko, że jestem równie realny jak pani.

- Czyli nie byłby pan w stanie zdać testu Turinga?

- Nie powinienem zdawać testu Turinga. Nie chciałbym zdawać testu Turinga. Zresztą, co to za dowód, taki test? Przedstawię pani test Turinga. Klasyczna konstrukcja, dwa zamknięte pokoje i badmaś ze staroświeckim terminalem. W jednym pokoju pani, w drugim Satnam z PR-u. Podejrzewam, że to on panią oprowadzał, bo jemu zawsze przydzielają dziewczyny. Ma w sobie trochę z narcyza. Badmaś z ekranem wpisuje pytania, pani wstukuje odpowiedzi. Standardowo. Zadaniem Satnama jest przekonanie badmaśia, że jest kobietą. Wolno mu w tym celu kłamać, oszukiwać, mówić, co tylko zechce. Chyba widzi pani, że to nie sprawi mu szczególnego problemu. I co? Czy Satnam staje się wtedy kobietą? Nie wydaje mi się; Satnamowi na pewno się nie wydaje. I czym się to różni od sytuacji, kiedy komputer potrafi udawać rozum? Czy symulacja czegoś automatycznie się tym czymś staje, czy może inteligencja to coś aż tak niezwykłego, jedyna rzecz, której się nie da zasymulować? I czego w ogóle dowodzi taki test? Można z niego wnioskować o naturze samego testu Turinga oraz o niebezpieczeństwie polegania na minimalnej informacji. Każda aeai, na tyle bystra, żeby zdać test Turinga, jest na tyle bystra, żeby go oblać.

Najia Askarzadah unosi dłonie w kpiącym geście poddania się.

- Wie pani, jedno mi się w pani podoba - dodaje Lal Darfan. - Przynajmniej nie zadawała mi pani przez całą godzinę głupich pytań o Veda Prekasha, jakby to on był prawdziwą gwiazdą. O właśnie, i propos, muszę już iść na charakteryzację...

- Och, przepraszam i dziękuję - mówi Najia Askarzadah, próbując grać uprzedzająco grzeczną dziennikarkę, podczas gdy naprawdę cieszy się, że wychodzi z umysłowej przestrzeni tej pedantycznej istoty.

Planowała coś lekkiego, błahego i mydlanego, a wyszła egzystencjalna fenomenologia ze szczyptą retro postmodernizmu. Ciekawe, co powie jej redaktor, nie mówiąc już o pasażerach nocnego niewyspańca TransAm Chicago-Cincinnati, kiedy wyciągną samolotowy magazyn z kieszeni w fotelu. Lal Darfan zaś tylko rozpromienia się błogo, gdy sala audiencyjna wokół rozpływa się, aż zostaje tylko sam *uśmiech*, czysty Lewis Carroll, niknący na tle himalajskiego nieba, które potem zwija się Najii w tyle głowy i ląduje z powrotem na render farmie, w obrotowym i bujanym fotelu z widokiem na ciągnące się po horyzont długie szeregi ustawionych jeden na drugim walców białkowych procesorów: mózgi w słojach z powieści s.f.

- Przekonujący jest gościu, prawda? - Woda po goleniu Satnama-trochę-z-narcyza jest nieco nachalna. Najia zdejmuje lighthoek, wciąż trochę dezorientowana całkowitym zanurzeniem podczas wywiadu.

- Myślę, że on myśli, że myśli.

- Dokładnie tak go zaprogramowaliśmy. - Satnam ma medialny styl, strój i niewysiloną pewność siebie, Najia zauważa jednak malutki trójząb Śiwy na platynowym łańcuszku wokół szyi. - Bo tak naprawdę Lal Darfan idzie tak ściśle według scenariusza, jak Ved Prekash.

- To mój punkt widzenia, pozory kontra rzeczywistość. Skoro ludzie mogą uwierzyć w wirtualnych aktorów, to co jeszcze łykną?

- Proszę nie wychlapać tego, co teraz powiem. - Satnam prowadzi ją z uśmiechem do kolejnej części studia. Kiedy się uśmiecha, jest niemal śliczny, myśli Najia. - To dział metaseriału. Stąd Lal Darfan dostaje scenariusz, o którym myśli, że go nie przestrzega. Doszło już do tego, że metaseriał jest równie duży jak sam serial.

Dział to długa farma stacji roboczych. Szklane ściany są spolaryzowane na ciemno, serialiści pracują w półświecie niskich lampek i poświacie ekranów. Dłonie projektantów rysują w neuroprzestrzeni. Najia powstrzymuje wzdrygnięcie na samą myśl spędzenia lat pracy w takim miejscu, odcięta od słońca. Zabłąkane światło zwraca jej uwagę, padając na wysokie kości policzkowe, bezwłosą głowę, delikatną dłoń - teraz jej kolej przerwać Satnamowi.

- A to kto?

Satnam wyciąga szyję.

- A, to jest Tal. Nowy. On zajmuje się tłami wizualnymi.

- Chyba odpowiedni zaimek to „ono” - mówi Najia, próbując dokładniej przyjrzeć się baletowi dłoni neutka.

Nie potrafi wyjaśnić, dlaczego jest zaskoczona widokiem trzeciej płci w studiu produkcyjnym - w Szwecji neutki też skupiały się w artystycznych branżach, indyjski serial numer jeden powinien mieć podobną siłę przyciągania. Chyba zakładała - dochodzi do wniosku - że długa historia indyjskich transseksualistów i aseksualistów zawsze pozostawała w ukryciu.

- Ono czy on, wszystko jedno. Cały dzień tylko się chwali, bo zaprosili je na imprezę, gdzie będzie jakaś wielka celebrity.

- Juli. Ten ruski model. Próbowałam zdobyć zaproszenie, żeby udzielił mi wywiadu. Udzieliło.

- I w zastępstwie przyszła pani do Grubego Lala.

- Nie, naprawdę interesuję się psychologią aktorów aeai. - Najia zerka na neutko. Ono unosi wzrok. Ich spojrzenia spotykają się na moment. Żadnego rozpoznania ani porozumienia. Wraca do swojej pracy. Jego dłonie rzeźbią w cyfrach.

- Gruby Lal nie ma pojęcia, że postacie i fabuła to standardowe pakiety - ciągnie Satnam, prowadząc Najię między świecącymi się stacjami roboczymi. - Sprzedajemy licencje, a nadawcy z różnych krajów podkładają im własnych aktorów aeai. Kto inny gra Veda Prekasha w Bombaju, albo w Kerali, i są takimi megagwiazdami, jak Gruby Lal u nas.

- Wszystko jest wersją - mówi Najia, próbując odszyfrować przepiękny taniec smukłych dłoni neutka.

Na korytarzu Satnam uderza w gadkę szmatkę.

- Czyli pani naprawdę pochodzi z Kabulu?

- Wyjechałam stamtąd, mając cztery lata.

- Za wiele o tym nie wiem. Ale to na pewno musiało być...

Najia zatrzymuje się w korytarzu jak wryta i odwraca twarzą do niego. Jest o pół głowy niższa, ale on i tak cofa się o krok. Łapie go za dłoń, rysuje mu na kostkach numer UCC.

- Mój numer. Zadzwoń, może odbiorę. Może zaproponuję, żebyśmy się gdzieś umówili, ale to ja wybieram gdzie, okej? A teraz dziękuję za wycieczkę. Myślę, że sama trafię do wyjścia.

Jest dokładnie w tym miejscu i czasie, gdzie mówił, kiedy Najia podjeżdża w fatfacie do krawężnika. Tak jak prosiła, nie ubrał się w nic, co zanadto mu się podoba, ale triśuli nie zdjął. Sporo ich ostatnio widziała na sztychach mężczyzn na ulicach. Sadowi się obok niej; mała motoriksza chyboce się na swoim domowej roboty zawieszaniu.

- Ja wybieram, pamiętasz? - mówi, Rikszarz wjeżdża w rojny ruch.

- Wycieczka w nieznane? Nie ma sprawy - odpowiada Satnam. - Jak tam, napisałaś ten artykuł?

- Napisałam, wysłałam, koniec.

Wystukała go tego popołudnia na tarasie Imperial International, hotelu dla turystów z plecakami

w Cantonmencie, gdzie wynajmuje pokój. Kiedy magazyn zapłaci, wyprowadzi się stamtąd. Potąd ma już tych Australijczyków. Ciągle tylko o wszystko mendzą.

Bo sprawa wygląda tak: Najia Askarzadah ma faceta. Ma na imię Bernard. Także „Imperialista”, którego roczna dziekanka przedłużyła się do dwóch, trzech, pięciu lat. Jest Francuzem, ma dwie lewe ręce, jest przekonany o własnym geniuszu i jest potwornym chamem. Najia podejrzewa, że siedzi w hostelu tylko po to, by wrywać świeże dziewczyny, takie jak ona. Ale uprawia seks tantryczny i potrafi, intonując mantry, utrzymać fiuta przez godzinę w kobiecie. Jak dotąd, tantra z Bernardem polegała na tym, że Najia siedzi mu na kolanach przez dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści minut, ciągnąc za rzemyk owinięty wokół jego kutasa, żeby był twardy, twardy, twardy, dopóki nie przewróci oczyma i nie powie: „Kundalini się zbudził”, co oznacza, że dragi wreszcie zaskoczyły. Najia nie tak wyobraża sobie tantrę. Nie tak wyobraża sobie własnego faceta. Jako Satnama też nie - z wielu podobnych powodów, ale to tylko taki spontaniczny pomysł, gra, więc czemu nie? Przez swoje dwadzieścia dwa lata, wszędzie gdzie mogła, nawigowała przez życie, orientując się na podobne „czemu nie?”. One zaprowadziły ją do Bharatu, wbrew radom nauczycieli, przyjaciół i rodziców.

New Varanasi ciągiem niepasujących elementów i nieciąłości przechodzi w stare Kashi. Ulice zaczynają się w jednym tysiącleciu, kończą w drugim. Oszaliamiające korporacyjne iglice nachylają się nad chaosem zaułków i niezmiennych od czterech stuleci drewnianych domów. Wiadukty metra i autostrady na estakadach przeciskają się między piaskowcowymi *lingamami* walących się świątyń. Duszący zapach gnijących płatków kwiatów przenika nawet nieustanny rausz alkoholowych silniczków, rozpuszczając się w miejską perfumę, którą miasta skrapiają się wokół otworów wydalniczych. Bharat Rail zatrudnia zamiataczy z miotłami z gałązek, żeby czyścili z nich tory. Kashi rodzi je miliardami, stalowe koła nie radzą sobie z nimi. Fatfat skręca w ciemny zaułek sklepów z ubraniami: z daszków straganów zwisają blade plastikowe manekiny, beznogie i bezrękie, ale mimo to uśmiechnięte.

- Mogę zapytać, gdzie mnie wiesz? - pyta Satnam.

- Zaraz się dowiesz.

Tak naprawdę Najia Askarzadah też nigdy tutaj nie była, ale odkąd usłyszała Australijców przechwalających się, jacy to byli odważni, że tam weszli, i w ogóle się nie brzydili, wcale nie, ciągle szukała pretekstu, żeby znaleźć ten klub, najpokątniejszy z pokątnych. Nie ma pojęcia, gdzie jest, ale myśli że rikszarz wiezie ich w dobrym kierunku, bo dyndające manekiny ustępują miejsca dziwkom w otwartych witrynach. Większość przyjęła standardowy zachodni mundurek - lycrę i mocno emfatyczne obuwie - niektóre trzymają się tradycji, w stalowych klatkach.

- Tutaj - mówi szofer fatfata. Plastikowy bąbel, pasiasty jak osa, kołysze się na resorach.

„Walki! Walki!” - wykrzykują naprzemienne neony nad maleńkimi drzwiczkami między sklepem z hinduistycznymi dewocjonaliami a prostytutkami popijającymi *Limcę* pod herbaciarnią. Kasjer siedzi w blaszanej budce przy drzwiach. Wygląda na trzynaście, czternaście lat, a już wszystko w życiu widział spod swojej czapeczki Nike. Za nim, schody prowadzą w górę, oświetlone nagimi świetlówkami.

- Tysiąc rupii - mówi, wyciągając rękę. - Albo pięć dolarów.

Najia płaci miejscowymi pieniędzmi.

- Niezupełnie tak wyobrażałem sobie pierwszą randkę - mówi Satnam.

- Randkę? - dziwi się Najia, prowadząc go po schodach, które idą w górę, skręcają, opadają, znów skręcają i wreszcie wychodzą na balkon nad ringiem.

Wielka hala była kiedyś magazynem. Jej historię zdradzają przemysłowe lampy i rury, mdląco zielona farba, świetliki z żaluzjami w dachu. Teraz to arena. Nad pięciometrowym sześciokątem piasku spiętrzone rzędy drewnianych ław, stromo jak w auli. Wszystko jest nowe, zbudowane z budowlanych belek ukradzionych z cierpiącej na chroniczny niedobór gotówki varanaskiej Szybkiej Kolei Miejskiej. Fronty balkonów są zrobione z boków drewnianych skrzynek. Kiedy Najia zdejmuje dłoń z poręczy, cała lepi się od żywicy.

Cały magazyn faluje, od budek bukmacherów i stanowisk dla walczących z boków ringu, aż po ostatni rząd balkonu, gdzie faceci w kraciastych roboczych koszulkach albo dhoti stoją na ławkach, żeby lepiej widzieć. Są tu prawie sami mężczyźni. Nieliczne kobiety są ubrane seksownie.

- No, ja nie wiem - mówi Satnam, ale Najia już czuje zapach ciasno stłoczonych ciał, potu, organicznych płynów.

Przepycha się do przodu i zerka na ring. Miękkie, zużyte banknoty rozmazują się, zmieniając właścicieli przy stolikach do zakładów. Ręce powiewają wachlarzami rupii, dolarów i euro; sattamani zapisują każdą pajsę. Oczy wszystkich są zwrócone na pieniądze. Tylko jeden człowiek, po przekątnej od niej, na parterze, unosi wzrok, jakby poczuł ciężar jej spojrzenia. Młody, bajerancko ubrany. Ewidentny Łobuz, myśli Najia. Ich oczy się spotykają.

Naganiacz, pięcioletni chłopaczek w kowbojskim stroju, obchodzi ring, zagrzewając publiczność, a dwóch starszych facetów z grabiami zamienia zakrwawiony piasek w ogródek Zen. Ma na krtani mikrofon jak bindi; jego dziwaczny głos, jednocześnie młody i stary, trajkocze z nagłośnienia przez strumień miksów anokha: tabla plus elektronika. Słyszając jego intonację, naznaczoną niewinnością, a zarazem doświadczeniem, Najia zastanawia się, czy nie jest czasem Braminem. Nie: Bramin siedzi w łożu w pierwszym rzędzie, z wyglądu dziesięciolatek, ubrany jak dwudziestoparolatek, otoczony przez dziewczyny marzące o telewizji. Naganiacz to po prostu jeszcze jeden chłopaczek z ulicy. Najia stwierdza, że oddycha szybko i płytko. Nie wie, gdzie się podział Satnam.

Jazgot, już i tak ogłuszający, wzmaga się, gdy uczestnicy wychodzą na ring, żeby oprowadzić swoje zwierzaki. Unoszą je wysoko nad głowę, skradając się po piasku, żeby wszyscy widzieli, na co wyłożyli pieniądze.

Mikroszable to przerażające stwory. Pierwotnie patent należał do małej kalifornijskiej firmy genetech. Zmieszcili standardowego *Felis domesticus* ze zrekonstruowanym ze skamielin DNA *Smilodona fatalisa*. Wynik: szablozębny tygrys-miniaturka, istota wielkości sporego maine coona, z

uzębieniem rodem z górnego paleolitu i takimiż manierami. Krótko cieszyły się sławą jako pupile gwiazd, dopóki właściciele nie odkryli, że zabijają ich własne i cudze koty, psy, gwatemalczyki i niemowlęta. Firma złożyła wniosek o upadłość, zanim wydano nakazy, ale patent był już masowo naruszany na ringach Manili, Szanghaju i Bangkoku.

Najia obserwuje, jak muskularna dziewczyna w obciętym topie bez rękawów i workowatych spadochroniarskich bojówkach paradyje ze swoim czempionem, unosząc jego głowę wysoko ponad ringiem. To wielki, siwo pręgowany kot, zbudowany jak myśliwiec szturmowy.

Przepiękny potwór, geny zabójcy. Kły są schowane w skórzanych pochewkach. Najia widzi jej dumę i miłość, skierowany ku niej tłumny ryk podziwu. Konferansjer chowa się na swoim podium. Bukmacherzy wydają lawinę świstków. Rywale cofają się do boksów.

Dziewczyna w topie bez rękawów wbija kotu igłę ze stymulantem, jej współnik przesuwając przed nosem fiolkę z jakimiś poppersami. Wstrzymują bohatera. Wstrzymują oddech. Konkurenci szprycują swojego wojownika, niskiego, szczupłego mikroszablę, ponurego jak noc. Na arenie zapada cisza. Zapowiadacz daje sygnał pneumatycznym klaksonem. Rywale spuszczają koty ze smyczy i ciskają je na ring.

Tłum krzyczy jednym głosem i jedną krwią. Najia Askarzadah ryczy i wyje razem z nimi. Istnieją dla niej tylko dwa bojowe koty, skaczące i gryzące się nawzajem w ringu. Do oczu i uszu napływa krew.

Walka jest przerażająco szybka i krwawa. Po paru sekundach jedna łapa pięknego, srebrnego pręgowanica wisi na skrawku chrząstki i skóry. Z otwartej rany tryska krew, ale zwierzę i tak wrzeszczy na przeciwnika, próbuje skakać i robić uniki, dyndając bezwładnym trójkątnym ochłapem, siekąc potwornymi, zabójczymi kłami. W końcu leży i spastycznie obraca się na grzbiecie, ryjąc w piasku krwawą falę. Zwycięzcy już wzięli mistrza na smycz i wloką rozwścieczonego, rozwrzeszczanego potwora do boksu. Siwo pręgowany kot jęczy i jęczy, aż ktoś z ławki sędziów podchodzi i spuszcza mu na głowę bloczek żuzłobetonu.

Dziewczyna w topie bez rękawów gapi się ponuro, zgarniając z piasku zmiażdżoną, drgającą masę. Zagryza dolną wargę. Najia kocha ją w tym momencie, kocha chłopaczka, z którym wymieniła spojrzenia, kocha wszystkich i wszystko na tej drewnianej arenie. Serce jej się szarpie, oddech pali, pięści ma zaciśnięte i drżące, źrenice rozszerzone, a mózg rozplomieniony. Jest żywa i święta na osiemset procent. Znów nawiązuje kontakt wzrokowy z Ewidentnym Łobuzem. Kiwa głową, ale widzi, że musiał sporo przegrać.

Zwycięzcy występują na ring, by przyjąć owacje tłumu. Konferansjer krzyczy przez głośniki, ręce rzucają na stolik bukmacherów kasę kasę kasę. Po to właśnie przyjechałaś do Bharatu, mówi sobie Najia. Żeby tak poczuć życie, śmierć, iluzję i rzeczywistość. Żeby coś przegryzło się przez tę pieprzoną, rozsądną, zdrową, tolerancyjną Szwecję. Żeby spróbować czegoś szalonego i krwawego. Sutki jej stwardniały. Wie, że jest wilgotna. Wypiera się tego, że ściągnęła ją tutaj ta wojna, wojna o wodę, której nadejścia wszyscy się tak boją. Ona się nie boi. Pragnie tej wojny. Bardzo bardzo.

ROZDZIAŁ 5 LISA

Czteryście pięćdziesiąt kilometrów ponad Zachodnim Ekwadorem Lisa Durnau wbiega w stadko bobetów. Rozpierzchają się, zrywają na potężne nogi i uciekają z uniesionymi semaforowymi grzebieniami. Baldachimowy las odbija ich świergotliwe okrzyki ostrzegawcze. Pasące się młode unoszą głowy, w przestrachu wymachując przednimi łapami, po czym piszczą i nurkują rodzicom do toreb. Wysokie do pasa zaurotorbacze rozbiegają się dwoma przestraszonymi skrzydłami od Lisy w jej legginsach, topie i butach do biegania; młode desperacko próbują wepchnąć się głową naprzód między fałdy na brzuchach. To jeden z najbardziej udanych gatunków Biomu 161. W lasach symulowanego Ósmego Miliona Przed Naszą Erą jest od nich aż czarno. W Alterre w jeden prawdziwy dzień upływa sto tysięcy lat, więc jutro mogą wyrzucić - kiedy zmiany klimatyczne wysuszą ten wysoki, wilgotny las parasolowych drzew. Jednakże w obecnej ekologicznej chwili, wycinku czasowym tego, co jest w innej epoce, na innej Ziemi, będzie północną Tanzanią, teraźniejszość należy do nich.

Tupot i pośpiech bobetów płoszy grupkę tranterów, wspiętych na tylne łapy, wysysających liście drzewa Trudeau. Wielkie, powolne drzewożerne stwory opadają na dłuższe tylne nogi i bezładnie rozbiegają się galopem. Płyty wewnętrznego pancerza poruszają się jak maszyny pod pasiastą jak kora wierzbowa skórą. Kamuflaż - William Morris, myśli Lisa Durnau. Flora - René Magritte. Drzewa Trudeau to idealne półkule liści, rozsiane regularnie po równinie, jak ćwiczenie z rozkładu losowego. Niektóre z gałęzi rodzą pąki, kołyszące się wahadłowo na wietrze. Potrafią rozrzucić nasiona w promieniu stu metrów, jak strzałkowce do rozpędzania demonstracji. Stąd właśnie bierze się ich matematyczna regularność. Żadne Trudeau nie wyrośnie w cieniu innego; ale w koronie tego lasu żyje prawdziwa obfitość gatunków.

Między drzewami migają jakieś cienie - stadko pasożytniczych bechhamów odskakuje od martwego trantera, w którym złożyły jaja. Szybujący wysoko ystavat nurkuje, spada, zygżakuje i zagarnia nieruchawego zauroperza w sieć ze skóry rozpiętą między tylnymi nogami. Szamotanina, rozpruwający cios dzioba i myśliwy znów się wznosi. Niezniszczalna, nienaruszalna Lisa Durnau biegnie dalej. Żaden bóg nie bywa śmiertelny we własnym świecie, a ona przez ostatnie trzy lata była reżyserem, zarządzającym i mediatorem Alterre, Ziemi równoległej ewoluującej w przyspieszonym tempie na jedenastu i pół miliona komputerów w Prawdziwym Świecie.

Bechhamy. Trantery. Trudeau. Lisa Durnau uwielbia tę figlarność taksonomii Alterre. Zasady astronomii zastosowane do biologii alternatywnej - znajdujesz coś czającego się na twoim twardym dysku, możesz to nazwać. Stąd mcconkeye, mastroianni, ogunwe, hayakawy i nowaki. Hammadi, cuesday i bjorki.

Bardzo to w stylu Lulla.

Złapała już własny rytm. Mogłaby tak biec w nieskończoność. Niektórzy słuchają przy tym

muzyki. Niektórzy czatują, czytają pocztę, albo wiadomości. Inni każą swoim asystentom informować się o zadaniach na dzień. A Lisa Durnau sprawdza, co nowego w dziesięciu tysiącach biomów przetwarzanych na jedenastu i pół miliona komputerów uczestniczących w największym ewolucyjnym eksperymencie. Jej standardowa trasa to pętla wokół kampusu Kansas University, gdzie wspaniały, tajemniczy bestiariusz nakłada się na ruch uliczny Lawrence. Zawsze znajdzie się coś, co zadziwi i zachwyci, jakieś nowe nazwisko z książki telefonicznej dyndające na niesamowitym stworzeniu, które kłami i pazurami wydostało się z krzemowej dżungli. Kiedy na węźle Biome 158 w Guadalajarze czystym ewolucyjnym trafem z owadów wyewoluowały okrytostawowe, poczuła tę ekscytującą satysfakcję, jaką budzi niespodziewany zwrot akcji. Nikt nie przewidział lopezów, ale tkwiły, uśpione, w samych regułach gry. Dwa dni później w szkole podstawowej w Lancashire wyewoluowały rozmnażające się pasożytniczo beckhamy i o władnęło nią to samo. Nie daje się tego przewidzieć.

A potem wystrzelono ją w kosmos. Tego też się nie spodziewała.

Dwa dni temu przebiegała swoje kółko wokół uczelni, mijając mellitowe budynki dla kadry, z Alterre nałożoną na kansaskie lato. Przy akademikach zawróciła: prysznic, szampon, gabinet. Kiedy do niego weszła, odsączając skręconym papierowym ręcznikiem wodę z uszu, czekała na nią kobieta w garsonce. Okazała dokumenty tożsamości i uprawnienia do różnych czynności - Lisa nawet nie wiedziała, że jej państwo takich czynności potrzebuje - i trzy godziny później Lisa Durnau, dyrektor Symulatora Ewolucji Alterre, znalazła się na pokładzie rządowego naddźwiękowego transportowca, dwadzieścia dwa tysiące metrów nad środkowym Arkansas.

Federalna powiedziała jej, że jest ścisły limit wagi bagażu, Lisa jednak i tak zapakowała sobie strój do biegania. Traktowała go jak przyjaciela. Wzięła go ze sobą na drogi Centrum Kosmicznego Kennedy'ego, żeby się rozprostować, rozejrzeć, spróbować spojrzeć z innej perspektywy na to, gdzie jest i co jej rząd chce z nią zrobić. W zachodzącym po drugiej stronie lagun słońcu przebiegła wzdłuż stojących jak wartownicy rzędów rakiet, starych silników na paliwo stałe, pocisków i ciężkich dźwigów startowych. Majestatyczne, groźne maszyny, teraz powbijane w ziemię jak pale, stojące bez sensu, o cieniach długich jak kontynenty.

Po czterdziestu ośmiu godzinach zaliczyła kolejne kółka na kolistej bieżni Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, przemieszczającej się nad południową Kolumbią. Oczyma zanurzonymi w Alterre widziała wznoszący się w oddali, pod osłoną drzewa Trudeau, zamek Krijceków. Krijceki to ewolucyjni nowobogaccy Biomu 163, z południowo-wschodniego wybrzeża Afryki. Gatunek dinozaurów wielkości palca, który wykształcił kolonie o zaawansowanej strukturze społecznej, opartej na kolorze skóry i herkulesowej architekturze. Ma bezpłodne robotnice, rozplodowe trutnie i składające jaja królowe - wszystko. Nowa kolonia zaczyna od małego podziemnego bunkra i rozprzestrzenia się, zamieniając wszystko co organiczne na pulpę i ugniatając ją zręcznymi małymi rączkami w potężne pomosty, wieże, przypory i sklepione komory na jaja. Czasem Lisa Durnau żałuje, że nie może sprzeciwić się zasadom nazewnictwa Lulla: choć „krijcek” brzmi odpowiednio groźnie, wolałaby nazwać je „gormenghastami”.

Sygnal w ośrodku słuchowym mówi jej, że tętno osiągnęło już odpowiednią wartość liczbową przez odpowiedni czas. Nadrobiła zaległości. Zebrała się w garść dzięki nierzeczywistości Alterre. Stopniowo się zatrzymuje, wchodzi w tryb ochłonięcia i wyskakuje z Alterre. Wirówka

Międzynarodowej Stacji Kosmicznej to pierścień o średnicy, kręcący się tak, by dawać jedną czwartą ziemskiego ciężenia. Unosi się stromo przed nią i za nią; Lisa stale znajduje się na dnie odśrodkowej studni grawitacyjnej. Wiszące rośliny dodają trochę zieleni, ale nic nie jest w stanie zatuszować, że wokół nic, tylko aluminium, włókno węglowe, plastik, a za nim - nic. NASA nie robi okien w swoich statkach. Jak dotąd, kosmos jest dla Lisy Durnau pełzaniem z jednego hermetycznego pomieszczenia do drugiego.

Rozciąga się i przeciąga. Słabsza grawitacja inaczej obciąża inne grupy mięśniowe. Zrzuca podeszwy do biegania, napina palce stóp, stojąc na metalowym plastrze miodu. Oprócz narzuconego przez NASA intensywnego reżimu ćwiczeń bierze suplementy wapniowe - jest w tym wieku, gdy kobieta zaczyna myśleć o własnych kościach. Nowicjusze na ISS mają opuchnięte twarze i kończyny górne, bo w ciele przemieszczają im się płyny; jednorocznicy wyglądają smukło, lekko i kocio; ale weteranom zaczynają się zjadać własne kości. Większość czasu spędzają w starym centrum, z którego stacja rozrastała się chaotycznie podczas swej półwiecznej historii. Nieliczni schodzą do nieczystej grawitacji, odśrodkowej czy innej. Legenda mówi, że nie daliby rady. Lisa Durnau wyciera się wilgotną chusteczką, chwyta szczebel na ścianie i ręką za ręką wspina się wzdłuż szprychy do rdzenia stacji. Czuje, jak jej waga maleje wykładniczo; może złapać kolejny uchwyt i podciągnąć się w górę o dwa, pięć, dziesięć metrów. Zaraz ma w rdzeniu spotkanie z Federalną. Jakiś weteran nurkuje ku niej, w połowie drogi wykonując eleganckie salto, żeby skierować stopy w dół. Kiwa głową i przetacza się obok Lisy, która przy jego elastyczności czuje się jak słoń morski, ale kiwnięcie głową jest pocieszające. Najcieplejsze z powitań na jakie stać ISS. Pięćdziesiąt osób to na tyle mało, żeby ze wszystkimi być po imieniu, ale wystarczająco dużo, by pojawiła się polityka. Czyli tak jak na uczelni. Fizyczność przestrzeni kosmicznej podoba się Lisie, ale żałuje, że budżet nie wysilił się na okna.

Szok numer dwa przyszedł pierwszego ranka w centrum Kennedy'ego, gdy siedziała na werandzie z widokiem na ocean, a pokojówka nalewała jej kawę. Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że dr Lisa Durnau, biolog ewolucyjny, zniknęła bez śladu, uprowadzona przez własne państwo. Nie zdziwiła się, słysząc od kobiety w garsonce, że ma zostać wysłana w kosmos. Departament Stanu nie przerzucał ludzi naddźwiękowymi samolotami do Kennedy'ego, żeby mogli sobie poobserwować życie ptaków. Kiedy skonfiskowano jej palmera i zastąpiono go modelem bez funkcji gadania, była to niedogodność, ale nie szok. Zdumienie, ale nie szok, kiedy odkryła, że opróżniono dla niej cały hotel. Siłownia, basen, pralnia. Wszystko tylko dla niej. Dzwoniąc po obsługę, czuła przyzwoite, prezbiteriańskie poczucie winy, dopóki nikaraguańska pokojówka nie oznajmiła jej, że ma dzięki temu coś do roboty. To znaczy, sama pokojówka powiedziała, że pochodzi z Nikaragui. Nalewała jej kawę - w tym samym momencie oszałamiającej paranoi przyszedł drugi szok: Lull przecież też zniknął. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że to cokolwiek innego niż reakcja na rozpad małżeństwa.

Na następnym spotkaniu Lisa Durnau postawiła się Garniturzycy, która miała na nazwisko Suarez-Martin, wymawiane z hiszpańskim akcentem.

- Muszę wiedzieć - powiedziała, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, nieświadomie powielając swoją rutynową rozgrzewkę. - Czy to samo stało się z Thomasem Lullem?

Federalna zajęła sobie na gabinet apartament menedżerski. Siedziała zwrócona plecami do panoramicznego okna wychodzącego na rakiety i pelikany.

- Nie wiem. Ale rząd Stanów Zjednoczonych nie miał nic wspólnego z jego zniknięciem. Ma pani moje słowo.

Lisa Durnau przeżyła tę odpowiedź parę razy.

- No dobra, to dlaczego ja? O co tu chodzi?

- Na pierwsze pytanie mogę udzielić odpowiedzi.

- No to już.

- Wzięliśmy panią, bo nie mogliśmy jego znaleźć.

- A drugie?

- Też będzie odpowiedź, ale nie tutaj. - Przesunęła po blacie plastikowy worek. - To będzie pani potrzebne.

Na worku widniało logo NASA, w środku był jeden standardowy kombinezon pod skafander, jaskrawożółty, taki sam rozmiar dla wszystkich.

Gdy ponownie zobaczyła Suarez-Martin, federalna nie miała już na sobie garsonki. Leżała przypięta do przeciwprzeciążeniowej leżanki, spod lotniczego skafandra na nadgarstkach i pod szyją wystawały jej skrawki żółtego ubranka NASA. Oczy miała zamknięte, a usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie, choć Lisa odniosła wrażenie, że to rytuał strachu przed czymś znanym, a nie zupełnie nowym. Taki lotniskowy różaniec.

Pilot zajmował leżankę po lewej. Zajęty przedstartowymi testami i sprawdzaniem łączności, potraktował Lisę jak każdy inny ładunek. Wierciła się na leżance i czuła, jak żel przemieszcza się i dostosowuje do kształtów jej ciała - nieprzyjemnie intymne wrażenie. Daleko pod nią, w głębi wyrzutni, ładował się już trzydziestoterawatowy laser o promieniu skupionym na parabolicznym lustrze pod jej tyłkiem. Zaraz wystrzelą mnie w kosmos na końcu promienia świetlnego, gorętszego niż słońce, pomyślała, zdumiewając się spokojem, z jakim rozważała tę szaloną koncepcję. Może to niewiara w odruchu obronnym? A może nikaraguańska pokojówka wrzuciła jej coś do kawy? Kiedy próbowała zdecydować, odliczanie dotarło do zera. Komputer kontroli startów odpalił wielki laser. Powietrze pod Lisą zapłonęło i wykopało lekki stateczek z przyspieszeniem trzech g na orbitę. Dwie minuty później przyszła jej do głowy myśl tak absurdalna, że nie powstrzymała się przed chichotem, od którego przez żelową leżankę przeszły fale. Patrzcie no! Szczyt świata. Najbardziej ekskluzywne biuro podróży na świecie. Klub osiemsettyśięczników! I to wszystko w czymś, co wygląda jak designerski wyciskacz do pomarańcz.

Właśnie wtedy trzeci szok podkradł się zniemacka i rzucił na nią. Była to świadomość, jak niewielu ludziom będzie jej brakować.

Naszywka identyfikacyjna na żółtym kombinezonie mówi „Daley Suarez-Martin”. Federalna należy do osób, które urządziły sobie biuro gdziekolwiek, choćby w klitce pełnej zafoliowanej karmy dla astronautów. Palmer, butelka z wodą, płaski ekranik i zdjęcia rodzinne przypięte rzepami do ściany, tworząc łuk: trzy pokolenia Suarezów-Martinów ustawione na ganku wielkiego domu między palmami w wielkich terakotowych donicach. Ekranik telewizyjny jest ustawiony na zegar i mówi Lisie, że jest 1:15 Greenwich. Wykonuje odejmowanie. Środowy wieczór, byłaby teraz w Tacorofico Superica i piła trzecią margaritę, z bandą tych co zawsze znajomych.

- Jak tam adaptacja? - pyta Daley Suarez-Martin.

- Eee... no, w porządku. Naprawdę. - Wciąż coś ją delikatnie boli w tyle głowy, trochę jak przy pierwszym użyciu lighthoeka. To pewnie resztki leków przeciwko startowemu urazowi, które wypociła w kołowrotku dla chomików. W nieważkości czuje się potwornie obnażona. Nie wie co zrobić z rękami. Piersi sterczą jej jak lufy armat.

- Nie będzie tu pani długo siedzieć, naprawdę - mówi Daley Suarez-Martin. Na orbicie uśmiecha się dużo częściej niż w Kennedym albo w gabinecie Lisy w Lawrence. Nie bardzo można emanować urzędowym autorytetem w ubranku, które wygląda jak strój olimpijskiego saneczkarza. - Na początek jestem pani winna przeprosiny. Nie poinformowaliśmy pani do końca o stanie faktycznym.

- O niczym mnie nie poinformowaliście. Spodziewam się, że chodzi o projekt Tierra, i to dla mnie wielki zaszczyt brać udział w tej misji, ale naprawdę na co dzień pracuję w zupełnie innym kosmosie.

- To jest pierwsza taktyczna zmyłka - oznajmia Daley Suarez-Martin. Zagryza dolną wargę. - Nie ma żadnej misji Tierra.

Lisa Durnau rozdziawia usta.

- Ale cały ten Epsilon Indi...

- To akurat prawda. Jest tam Tierra. Po prostu wcale się na nią nie wybieramy.

- Zaraz, zaraz, zaraz. Widziałam ten żagiel świetlny. W telewizji. Cholera, gapiłam się nawet, kiedy umieszczaliście go w punkcie L5 i wyciągaliście, podczas tej testowej misji. Znajomi mają teleskop. Oglądaliśmy wszystko na monitoru, przy grillu.

- Oczywiście, że mogła to pani widzieć. Żagiel świetlny jest stuprocentowo prawdziwy i instalowaliśmy go w piątym punkcie Lagrange'a. Tylko że to nie był test. To była właściwa misja.

W tym samym roku, kiedy Lisa Durnau dostała się do drużyny piłki nożnej szkoły średniej Fremont High i przekonała, że rockersi, basenowe imprezy i seks nieszczególnie się komponują, NASA odkryła Tierre. Pozasłoneczne układy planetarne wyskakiwały z wielkiej czerni tak szybko, że taksonomowie nie nadążali z wertowaniem słowników mitów i baśni w poszukiwaniu nazw, lecz

kiedy rozeta siedmiu teleskopów Obserwatorium Darwina przyjrzała się bliżej odległemu o dziesięć lat świetlnych Epsilonowi gwiazdozbioru Indianina, odkryła przytuloną blisko do tego słońca bladą niebieską kropkę. Wodny świat. Ziemiński świat. Spektroskopy nacięły atmosferę i znalazły tlen, azot, CO₂, parę wodną i złożone węglowodory, które mogły powstać tylko na skutek aktywności biologicznej. Coś tam sobie żyło, blisko słońca, w wąskiej nadającej się do zamieszkania strefie Epsilonu Indi. Może owady. A może ludzie, obserwujący tymczasem przez teleskopy naszą własną błękitną kropeczkę blisko Słońca. Zespół odkrywców ochrzcił planetę Tierrą. Pewien Teksasczyk natychmiast ogłosił, że przejmuje ją na własność, razem ze wszystkim, co na niej mieszka. Właśnie dzięki tej historii Tierra przebiła się przez plotki o gwiazdach i morderstwie miesiąca do gadek przy kasie w supermarkecie. Kolejna Ziemia? Ciekawe, jaka tam pogoda? Jak można być właścicielem planety? Normalnie, wystarczyło złożyć wniosek. Tak jak połowa twojego DNA należy do jakiejś firmy biotech. Kiedy idziesz z kimś do łóżka, zawsze łamiesz prawa autorskie.

Potem nadeszły obrazy. Darwin miał na tyle dobrą rozdzielczość, że było widać ukształtowanie powierzchni. Mapa Tierry z jej trzema kontynentami i potężnymi oceanami zawisła na ścianie w każdej cywilizowanej szkole. Kiedy Lisa Durnau realizowała swój projekt alternatywnej ewolucji na pierwszym roku w University of California w Santa Barbara, miała ją na swoim wygaszacz ekranu, na przemian ze zdjęciem Emina Perry'ego, mistrza olimpijskiego w biegach na pięć kilometrów. NASA opracowała wizję wysłania tam międzygwiazdnej sondy, wspólnie z firmą First Solar, orbitalno-energetycznym ramieniem koncernu EnGen, która proponowała wykorzystanie swojego systemu orbitalnych maserów oraz żagla świetlnego. Przelot miał zająć dwieście pięćdziesiąt lat. Kiedy harmonogramy wydłużyły się jeszcze bardziej, Tierra cofnęła się w tło społecznej percepcji, a Lisa stwierdziła, że bardziej interesuje ją eksploracja dziwnych światów i odkrywanie nowych form życia w kosmosie własnego komputera. Alterre była równie realna jak Tierra, a ekspedycje o wiele łatwiejsze i tańsze.

- Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi - mówi teraz, naprawdę w kosmosie.

- Sonda na Tierrę to projekt w fazie slajdów do prezentacji - odpowiada Suarez-Martin. Włosy ma spięte do tyłu skomplikowanym systemem brokatowych spinek. Krótkie loki Lisy unoszą się wokół niej jak mgławica. - Prawdziwa misja polegała na skonstruowaniu kosmicznego napędu, na tyle mocnego, żeby móc wprowadzić spory obiekt w orbitalny punkt Lagrange'a.

- Jaki „spory obiekt”? - Lisa Durnau nie potrafi skojarzyć niczego, co przytrafiło się jej przez ostatnie pięćdziesiąt pięć godzin, z niczym z poprzednich trzydziestu siedmiu lat doświadczenia. Mówią jej, że to kosmos, a tu jest gorąco, śmierdzi skarpetkami i nic nie widać. Twój rząd wykonuje ci przed nosem największą iluzjonistyczną sztuczkę w historii, ale nikt tego nie zauważa, bo wszyscy gapią się na ładne obrazki.

- Asteroidę. Tę tutaj. - Daley Suarez-Martin wyczarowuje grafikę na ekranie. Standardowy kartofel z głębokiego kosmosu, w niezbyt dobrej rozdzielczości. - Nazywa się Darnley 285.

- Musi być bardzo szczegółna - mówi Lisa. - Co, chce nam wyryć drugi krater Chicxulub?

Federalna wygląda na zadowoloną. Wyświetla kolejną grafikę, krzyżujące się barwne elipsy

- Darnley 285 to asteroida, której tor przecina się z Ziemią, wykryta przez system NEAT w roku dwa tysiące dwudziestym siódmym. Proszę popatrzeć na tę animację. - Postukuje w żółtą elipsę, z jednej strony bliską Ziemi, z drugiej sięgającą poza Marsa. - Najbliższy punkt orbity ma wewnątrz orbity Księżyca.

- Blisko, jak na obiekt typu NEO - stwierdza Lisa. Widzisz, też umiem gadać po waszemu.

- Okres obiegu Darnleya 285 to tysiąc osiemdziesiąt pięć dni; za następnym razem może się zbliżyć na tyle, by stanowić statystyczne ryzyko. - Animacja przechodzi o włos od błękitnej Ziemi.

- Więc zbudowaliście żagiel świetlny, żeby odsunąć ją na bezpieczną odległość.

- Żeby ją przesunąć, ale nie chodzi o bezpieczeństwo. Proszę się uważnie przypatrzeć. To jest orbita wyliczona na rok dwa tysiące trzydziesty. A to faktyczna. - Pojawia się gruba, żółta elipsa. Dokładnie taka sama, jak orbita z roku dwa tysiące dwudziestego siódmego - ciągnie Federalna. - Bliska interakcja z NEO Sheringham 12 przy kolejnym obiegu powinna spowodować, że przy następnym podejściu jest jeszcze bliżej, sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów. A jednak, w dwa tysiące trzydziestym trzecim... - Wyświetla się kolejna, kropkowana parabola, zaobserwowany tor: identyczny jak w roku dwa tysiące dwudziestym siódmym. - To anormalna sytuacja.

- Pani twierdzi...

- Niezidentyfikowana siła koryguje orbitę Darnleya 285, utrzymując go w tej samej odległości od Ziemi.

- Jezus - szepcze Lisa Durnau, córka kaznodziei.

- Przy podejściu w roku dwa tysiące trzydziestym dziewiątym wysłaliśmy tam sondę. Misja była ściśle tajna. Coś znaleźliśmy. Potem rozpoczęliśmy większy projekt, żeby to ściągnąć. To właśnie była misja z żaglem świetlnym, przykrywką był Epsilon Indi. Musieliśmy ściągnąć tę asteroidę w miejsce, gdzie da się jej dokładnie, porządnie przyjrzeć.

- I co tam znaleźliście?

Daley Suarez-Martin uśmiecha się.

- Jutro tam panią wyślemy. Zobaczy pani na własne oczy.

ROZDZIAŁ 6 LULL

Wpół do dwunastej i skacze już cały klub. Reflektory na wysięgnikach obrysowują owal piasku. Ciała ciągną do światła jak ćmy. Poruszają się, ocierają, oczy zamknięte w ekstazie. Powietrze pachnie użytym dniem, grubymi warstwami potu i wolnocłowymi „Chanel”. Dziewczyny noszą tegoroczne luźne, krótkie sukienki bez talii, dwuczęściowe kostiumy z zeszłego lata, od czasu do czasu klasyczne stringi z paskami w kształcie „V”. Chłopcy jak jeden mąż z nagimi torsami i zwojami biżuterii na szyi. Wróciły wiechciowate bródki, irokezy są już mocno zeszłoroczne, malowane na ciele *tribale* niemal śmiertelnie niemodne, a na top wychodzą dekoracyjne blizny, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Thomas Lull cieszy się, że zdechły australijskie stringi eksponujące penisa. Pracuje na imprezach u braci Ghosht przez ostatnie trzy sezony, biorąc kasę pod stołem, i naoglądał się już szybkich przyływów i odpływów mody w kulturze młodzieżowej, ale te sznureczki ciągnące je do góry jak peryskopy...

Siada na miękkim, zdeptanym, szarym piasku, opierając przedramiona na podciągniętych kolanach. Morze jest dziś niezwykle ciche, linia wody prawie bez zmarszczek. Gdzieś nad nią krzyczy ptak. Powietrze jest nieruchome, gęste, wymęczone. Zupełnie nie ma posmaku monsunu.

Rybacy mówili, że odkąd Bengalczyki przeciągnęli swój kawał lodu wzdłuż Tamil Nadu, pochrzaniły się wszystkie prądy. Za jego plecami ciała poruszają się w kompletnej ciszy.

Z ciemności wyłaniają się sylwetki. Dwie białe dziewczyny w sarongach i bluzkach bez pleców. Włosy brudnoblond i ta przesadna skandynawska opalenizna, podkreślana jeszcze przez blade nordyckie oczy. Są boso, trzymają się za ręce. Ile wy macie lat, dziewiętnaście, dwadzieścia? - zastanawia się Thomas Lull. Z tą waszą wzmacnianą opalenizną, z majtkami od bikini pod wyprasowanymi turystycznym żelazkiem sarongami. To wasz pierwszy przystanek, zobaczyłyście coś na stronie internetowej dla turystów-wędrowców, coś akurat na tyle szalonego, żebyście zechciały sprawdzić, czy spodoba się wam w dzikim świecie. Nie mogłyście się już doczekać, kiedy uciekniecie ze swojej Uppsali czy Kopenhagi i zrobicie wszystko to, co kipi wam w sercu.

- Hej tam! - woła półgłosem Thomas Lull. - Jeśli chcecie wziąć udział w imprezie, muszę sprawdzić parę rzeczy. Dla waszego własnego bezpieczeństwa. - Zręcznie jak szuler wyciąga zestaw do skanowania.

- Jasne - mówi niższa, bardziej złotowłosa dziewczyna. Thomas Lull przepuszcza przez skaner jej garść pigułek i plasterków.

- Z tych rzeczy nic nie robi z ciebie warzywka. Danie dnia to Transic Too, nowy emotyk, dostaniesz od dowolnej osoby w pobliżu sceny. A teraz, pani szanowna... - Zwraca się do wytrzeszczonej plażowej Wikingi, która zaczęła imprezować już wcześniej. - Muszę sprawdzić, czy nie wejdzie w interakcję z czymś, co już sobie wrzuciłaś. Proszę... - Zna procedurę, ślini palec,

przesuwa nim po płytce czujnika. Wszystko zapala się na zielono. - Nie ma problemu. Życzę paniom miłej zabawy. Przypominam, że impreza jest ściśle bezalkoholowa.

Kiedy przepychają się na środek cichego kłębowa, przypatruje się ich tyłkom, widocznym pod prześwitującymi sarongami. Dalej trzymają się za ręce. Fajnie, myśli Lull. Ale emotyki napawają go lękiem. Komputerowe uczucia zmiksowane przez nielicencjonowane aei poziomu 2,95 w bharackich sundarbanach, a potem hodowane i krzyżowane w butelce po coli w jakiejś garażowej fabryczce i przelane na plasterki do przyklejania, pięćdziesiąt dolców sztuka. Łatwo poznać, kto je brał. Te grymasy, uśmiechy, wyszczerzone zęby i niesamowite odgłosy ciał usiłujących wyrazić emocje niemające odpowiednika w ludzkich potrzebach ani doświadczeniu. Nigdy nie spotkał nikogo, kto umiałby mu powiedzieć, jak się wtedy czuje. Choć właściwie nigdy też nie spotkał kogoś, kto umiałby opowiedzieć o naturalnych ludzkich emocjach. Wszyscy jesteśmy programowymi duchami chodzącymi na rozproszonej sieci Brahmy. Ten ptak dalej gdzieś tam krzyczy.

Thomas zerka przez ramię na milczącą imprezę - każdy z tancerzy we własnej prywatnej bańce, podryguje do spreparowanego tylko dla niego rytmu emitowanego przez łącze hoeka. Oszukuje sam siebie, że pracuje w te imprezowe noce, bo potrzebna mu gotówka - tak naprawdę ciągnie go do ludzkich skupisk. Jednocześnie pragnie i obawia się tego obserwowanego u tancerzy samozatracenia, zlania się w jedną, nieświadomą całość, odrębności i jedności zarazem. Ta sama miłość i odraza, którą zwabiło go rozczłonkowane ciało Indii, jedna ze stu najbardziej rozpoznawalnych twarzy Ziemi, wtasowanych w wyzwalaające i przerażające półtora miliarda pozbawionych twarzy mieszkańców subkontynentu. Odwracasz się, odchodzisz i znikasz. Ta umiejętność rozpląnięcia się w tłumie ma i drugą stronę medalu: Thomas Lull potrafi wykryć w stadzie indywidualności osoby niezwykle, niepasujące do stada.

Ona porusza się pod prąd tłumy, na wskroś ciał, pod włos nocy. Jest ubrana na szaro. Skórę ma bladą, pszeniczną, indoaryjską. Krótkie, chłopięce, bardzo lśniące włosy z nutką czerwieni. Duże oczy. Oczy gazeli, opiewane przez poetów w języku urdu. Wygląda niesamowicie młodo. Na czole ma trójpasiastą tilakę Wisznu. Nie wygląda z nią głupio. Kiwa głową, uśmiecha się; fala ciał zamyka się wokół niej. Thomas Lull próbuje ustawić się tak, by ją widzieć, samemu nie będąc widzianym. To nie żądza, pożądanie, hormony czterdziestoparolatka. To najzwyczajniejsza fascynacja. Musi jeszcze na nią popatrzeć, dowiedzieć się czegoś więcej.

- Przepraszam. - Australijska para, chce, żeby sprawdzić ich towar.

Thomas Lull przepuszcza go przez skaner, jednocześnie obserwując imprezę. Szarość to tutaj idealny kamuflaż. Wtopiła się we wzajemne oddziaływania poruszających się w ciszy kończyn.

- Okej. Wszystko gra. Ale na stroje eksponujące penisa mamy tu zero tolerancji.

Gość marszczy czoło. Won stąd, daj mi się zająć moją rozrywką. O, tam jest, koło decków. Chłopcy *bhati* flirtują z nią. Nienawidzi ich za to. Wróc do mnie. Waha się i pochyla głowę, szukając słowa. Przez chwilę wydaje mu się, że zaraz kupi coś produkcji Bangalore Bombastic. Nie chce, żeby to zrobiła. Ona jednak kręci głową i idzie dalej. Znow znikła pośród ciał. Thomas Lull stwierdza, że ją śledzi. Świetnie się wtopia w tłum. Nie nosi hoeka. To jak odbiera muzykę? Thomas Lull przesuwają się na skraj miejsca do tańca. Uświadamia sobie, że ona tylko z pozoru tańczy. Tak

naprawdę robi coś innego, chłonie zbiorowy nastrój i porusza się zgodnie z nim. Cholera, kim ona jest?

Potem jej taniec ustaje. Mruży oczy, otwiera usta, wstrzymuje oddech. Przyciska dłoń do falującej piersi. Nie może oddychać. Nachyla się, próbując pozbyć się ucisku w płucach. Thomas Lull świetnie zna te objawy. Ten wróg to jego stary znajomy. Dziewczyna stoi pośrodku cichego tłumu i walczy o oddech. Nikt nie widzi. Nikt nie wie. Głusi i ślepi w prywatnych tanecznych bańkach. Thomas Lull toruje sobie drogę między ciałami. Nie do niej, lecz do tych Skandynawek.

Na skanerze ma odczyt ich towaru. Zawsze znajdzie się ktoś, kto spróbuje na chama podkreślić wpływ salbutamolu na reduktazę ATP.

- Potrzebne mi twoje piguły, szybko.

Złotowłosa patrzy na niego, jakby był niesamowitym obcym z Antaresa. Może dla niej i jest. Grzebie w różowej torebeczce „Adidasa”.

- Masz.

Lull wyciska białoniebieskie tabletki. Szara dziewczyna oddycha teraz bardzo płytko, wsparła ręce na biodrach, w przerażeniu szuka wzrokiem pomocy. Lull przepycha się między imprezowiczami, rozgniatając małe żelatynowe kapsułki i potrząsając nimi w dłoni.

- Otwórz usta - rozkazuje. - Na trzy wdech i trzymaj do dwudziestu. Raz, dwa, trzy.

Przyciska jej do ust złożone dłonie i mocno dmucha między kciuki, wdmuchując jej proszek do płuc. Zamyka oczy, liczy. Thomas Lull łapie się na tym, że patrzy na jej tilakę. W życiu takiej nie widział. Wygląda jak wtopiony w skórę plastik, albo goła kość. Nagle czuje, że musi jej dotknąć. Jego palce są już o milimetr od ciała dziewczyny, kiedy ona otwiera oczy. Lull pospiesznie cofa dłoń.

- Teraz lepiej?

Dziewczyna kiwa głową.

- Tak. Dziękuję.

- Trzeba było wziąć ze sobą jakieś leki. Mogło ci się stać coś poważnego. Ci ludzie są jak duchy. Mogłabyś tu umrzeć, a oni by nad tobą tańczyli. Chodź.

Prowadzi ją przez labirynt ślepych tancerzy na ocieniony piasek. Dziewczyna siada, rozstawiając bose stopy na zewnątrz. Thomas Lull klęka obok. Ona pachnie drzewem sandałowym i płynem do płukania tkanin. Dwadzieścia lat doświadczenia ze studentami pozwala mu określić jej wiek na jakieś dwadzieścia, może dziewiętnaście lat. Lull, daj spokój. Uratowałaś jakąś dziwną, zabłąkaną dziewczynkę przed atakiem astmy i od razu wyciągasz przedpodrywową listę kontrolną. Trochę godności.

- Strasznie się bałam - mówi. - Głupia jestem, mam inhalatory, ale zostawiłam je w hotelu... Nie przyszło mi do głowy...

Dla mniej doświadczonego ucha jej miękki akcent brzmiałby jak angielski, Lull jednak rozpoznaje nosowy przydech z Karnataki.

- Masz szczęście, że Pan Astma usłyszał swoim superuchem, jak się dusisz. No, chodź. Na dzisiaj koniec imprezy. Gdzie mieszkasz?

- Palm Imperial Guest House.

Porządny hotel, nietani, popularniejszy raczej wśród starszych turystów Thomas Lull zna foyer i bary wszystkich hoteli na trzydzieści kilometrów w obie strony kokosowego wybrzeża. W niektórych zna także pokoje. Młodziaki z plecakami i studenci na dziekankach wolą plażowe budy. Takich też trochę widział. Zabił w nich parę węży.

- Odprowadzę cię. Achuthanandan się tobą zajmie. Miałaś lekki szok, musisz teraz odpocząć.

Ta tilaka: jest pewien, że ona się rusza. Tajemnicza dziewczyna wstaje. Nieśmiało, oficjalnie, podaje mu rękę.

- Bardzo dziękuję. Bez ciebie byłabym w poważnych tarapatach.

Thomas Lull ujmuje dłoń. Smukła, estetyczna, miękka i sucha. Dziewczyna nie potrafi spojrzeć mu w oczy.

- Taki zawód Pana Astmy.

Idzie z nią ku światłom, między palmami. Jest przypływ, drzewa się ożywiają. Lampy na werandzie hotelu tańczą i migoczą za woalem liści. Plażowa impreza za jego plecami wydaje się nagle wymęczona i czerstwa. Wszystko, co przed jej poznaniem było cenne i ważne, ma teraz błądy posmak starości. Może nadchodzi monsun, może znów owieje go wiatr.

- Jak chcesz, mogę cię nauczyć takiej prostej techniki. Jak byłem mały, bardzo męczyła mnie astma; to taka sztuczka z oddychaniem, wpływa na wymianę gazową. Całkiem prosta. Nie miałem ataku od dwudziestu lat, więc będziesz mogła wyrzucić wszystkie inhalatory. Pokażę ci podstawy; możesz przyjść na przykład jutro...

Dziewczyna waha się, zastanawia, po czym kiwa głową. Tilaka odbija jakieś światełko.

- Dziękuję. To będzie dla mnie bardzo cenne.

Jak ona się wysławia; z rezerwą, po wiktoriańsku, z szacunkiem dla akcentu.

- No dobrze, to znajdziesz mnie...

- Zapytam bogów, oni mi powiedzą. Wiedzą, jak trafić wszędzie.

Na to Thomas nie znajduje odpowiedzi, więc po prostu wbija ręce w kieszenie swoich
bojówek i mówi:

- No to, jak bogowie pozwolą, widzimy się jutro, a... jak masz na imię?

- Aj. - Wymawia to z francuska: *aż*. Zerka na światła hotelu, dyndające na wietrze kolorowe
żaróweczki. - Dalej już dam sobie radę. Bardzo dziękuję. Do jutra, panie profesorze Lull.

ROZDZIAŁ 7 TAL

Tal jedzie dziś plastikową taksówką. Mały bąbelkowaty fatfat podskakuje na krostach i dziobach wiejskiej drogi, prowadzony przez nerwowego szofera w świetle jedynej przedniej lampki. Już o mało co nie zderzył się z zabłąkaną krową i szpalerem kobiet z chrustem na głowach. Parasolowe drzewa wyłaniają się z głębokiej, gęstej wiejskiej nocy. Taryfiarz przypatruje się poboczu, szukając bocznej drogi. Wskazówki dotyczące dojazdu ma przyklejone do deski, żeby widzieć je w świetle wskaźników. Tyle i tyle kilometrów taką drogą, przez tyle i tyle wiosek, drugi skręt w prawo po ściennej reklamie bielizny Rupa. Nigdy wcześniej nie był poza miastem.

Specjalny miks Tala gra nieregularne rytmy anokha przemieszane z grzmiącymi akordami slaw metalu, na cześć gościa. Na imprezę z taką sławą powinno się mieć ekstraspecjalny miks. Życie Tala można mierzyć ciągiem plików ze ścieżkami dźwiękowymi. Jego aeai DJ spreparowało zestaw niezłych, pulsujących beatów, kiedy szkicowało pawilon weselny dla pary Chawła/Najiadwala. W życiu tych aktorów z *Miasta i wsi* tyle się teraz dzieje.

Nagle szarpnięcie zrzuca Tala z ławeczki. Fatfat staje jak wryty. Tal poprawia rozpraszający termicznie płaszcz, cmoka, widząc kurz na jedwabnych spodniach, i wtedy zauważa żołnierzy. Sześciu z nich wyłania się z nocnego, wiejskiego kamuflażu. Pызaty Sikh unosi rękę. Podchodzi do taksówki.

- Nie widzieliście nas?

- Trochę jesteście tacy... mało widoczni - odpowiada szofer.

- Jakieś prawo jazdy? Pewnie nie? - pyta dżemadar.

- Nic z tych rzeczy. Mój kuzyn...

- Nie wiecie, że jesteśmy w stanie podwyższonej czujności? - napomina ich Sikh. - Powolne pociski Awadhów może już idą przez nasz kraj. Trudno je wykryć, maskują się na sto sposobów.

- Ale tak powolne jak ten strucel to nie są - żartuje taksówkarz.

Sikh powstrzymuje uśmiech i pochyla się, żeby zerknąć na pasażera. Tal pośpiesznie wyłącza beat. Siedzi bardzo nieruchomo, bardzo prosto, serce bije zdradziecko głośno.

- A pan? Pani?

Żołnierze chichoczą. Sikh jadł cebulę. Talowi wydaje się, że od tego smrodu i napięcia zaraz zemdleje. Otwiera wieczorową torebkę, wyciąga grube, obramowane złotymi muszlami zaproszenie. Sikh ogląda je, jakby mogło być podstawą do pełnej rewizji osobistej, potem wciska z powrotem

Talowi.

- Masz szczęście, że tu dziś stoimy. Przejechaliście wasz skręt o dobre parę kilometrów. Pewnie siedem albo osiem. Czyli teraz musicie...

Tal odzyskuje oddech. Gdy taksówkarz zawraca, Tal wyraźnie słyszy przez warkot alkoholowego silniczka wredny rechot żołnierzy.

Mam nadzieję, że was dopadną te powolne pociski, myśli.

Na wpół zrujnowana świątynia Ardhanariswary stoi między drzewami przy gruntowej ścieżce odchodzącej pod kątem prostym od szosy. Organizatorzy imprezy oświetlili zjazd bioluminescencyjnymi nalepkami. Zielone światełka rysują twarze na pniach drzew, upiornie podświetlają przygarbione posągi i jakśów, osadzonych w przedwiecznej glebie. Motywem przewodnim przyjęcia są dwa przeciwne bieguny: *sakti* i *puruśa*: energia żeńska i męska, *sattwa* i *tamas* - inteligencja duchowa i przyziemny materializm. Baseny w kształcie joni zostały rozrzutnie napełnione wodą. Tal wspomina własną toaletę przed imprezą: oszczędne ochłapanie się butelką podgrzanej mineralnej. W White Forcie - gigantycznej aglomeracji osiedli mieszkalnych, gdzie Tal ma swoje dwupokojowe mieszkanie, nie ma wody już od dwóch miesięcy. Dniem i nocą pochody kobiet i dzieci chodzą w górę i w dół z bańkami, mijając jego drzwi.

Pośrodku zbiorników jarzą się gazowe płomienie. Kiedy taksówkarz przeciąga jego kartę przez czytnik, Tal przypatruje się dwóm bliźniaczym strażnikom-dwaparalom. W zawalonych arkadach dominuje wizerunek Ardhanariswary, pół męski, pół żeński. Jedna pełna pierś, przecięty w połowie sterczący penis, pojedyncze jądro, mignięcie wargi sromowej, sugestia szczeliny. Korpus ma po męsku szerokie ramiona, po kobiecemu pełne biodra, dłonie złożone w rytualne mudry, ale całość robi androgyniczne wrażenie. Trzecie oko Śiwy na czole jest zamknięte. Gdzieś wewnątrz dudni muzyka. Ściskając w dłoni zaproszenie, Tal wchodzi między stróżującymi bóstwami na imprezę sezonu.

Nawet kiedy pokazało im zaproszenie, cały zespół stwierdził, że je podrobiło. W dziale zajmującym się projektowaniem wizualnego tła dla fałszywego życia aktorów aei największej indyjskiej opery mydlanej zakłada się tak z automatu. Tal samo w to nie wierzyło, kiedy znalazło na swojej tacy z pocztą ten śmietankowy wafel.

FASHIONSTAR PROMOTIONS, w imieniu MODE ASIA,

ma zaszczyt zaprosić TALA,

zam. Kl. 30 m. 27, p. XII, Apartamenty Indiry Gandhi,

(bo nazwy White Fort używa tylko policja, urząd skarbowy i komornicy)

na

PRZYJĘCIE POWITALNE

z okazji przybycia JULIEGO na BHARACKI TYDZIEŃ MODY.

Lokalizacja: Świątynia Ardhanariswara, Okręg Mirza Murad

22 uderzenia w gong

Narodowość: Nowa Płeć R.S.V.P.

Papier był w dotyku ciepły i miękki, jak ludzka skóra. Tal pokazało go Mamie Bharat, mieszkającej po sąsiedzku wiekowej wdowie, łagodnej duszy uwięzionej przez rodzinę w jedwabnej celi. Nowoczesność: niezależna starość. Trzy miesiące wcześniej Tal wprowadziło się i zostało rodziną Mamy Bharat. I tak nikt inny nie chciał z nim rozmawiać. Zgodziło się na codzienne wizyty na śniadanie i przekąski, sprzątanie dwa razy w tygodniu i nigdy nie pytało, kim właściwie miałoby dla niej być - synem czy córką.

Starsza pani przesunęła palcami po zaproszeniu, gładząc je i gruchając delikatnie, jak kochanka.

- Takie miękkie - powiedziała. - Takie miękkie. Tam wszyscy będą tacy jak ty?

- Neutki? W większości tak. Taki jest motyw przewodni.

- Ach, no to wielki zaszczyt, najlepsi goście w mieście, wszyscy ci ludzie z tivi.

Tak, pomyślało Tal. Ale dlaczego akurat ten człowiek z tivi?

Tal idzie przez cieniastą mandapę świątyni, oświetloną pochodniami dzierzonymi przez czwororękie awatary bogini Kali, i czuje w swoich nadi delikatny ucisk zachwyty. *Tam* stoi Znany Reżyser Filmowy i czuje się niezbyt komfortowo, rozmawiając z Szanowaną Młodą Pisarką pod zdumiewająco pornograficznym posągami. *Tu* stoi Międzynarodowa Gwiazda Tenisa, z ulgą stwierdzająca, że ma do towarzystwa nie tylko Wielkiego Zawodowego Golfistę, ale i Futbolistę Ligi Indyjskiej z rozpromienioną żoną u boku - będą mogli pogadać sobie o uderzeniach i handicapach. A *tamten* to pan Międzygwiazdny Promotor Gwiazd Pop i jego najnowsze osiągnięcie pop inżynierii, którego debiutancka piosenka jeszcze przed wydaniem musi wejść na pierwsze miejsca list. Dziewczyna w za krótkiej spódniczce, trochę zbyt mocno ściskająca swój koktajl i śmiejąca się

trochę zbyt głośno, to na pewno jest PR-ówka z Fashionstar Promotions. A nie uwzględnił jeszcze trzech niespełna dwudziestopięcioletnich radców od białkowego softu, dwóch nerwowych projektantów gier i mocno szemranego Magnata Sundarbanów, przedsiębiorcy z cyberdżungli darwinowskiego programowania, samego jak palec, nonszalanckiego, nieco tygrysięgo, jak tylko może być facet dysponujący na każde skinienie legionem aeai-ochroniarzy. Oraz te krzykliwie ubrane twarze o krzykliwych gębach, których Tal nie rozpoznaje, ale widać, że zawdzięczają sławę magazynom mody, czterdziestoparoletni telewizyjni wydawcy, spoceni i zbyt dobrze znający się nawzajem, dziennikarze od plotek z bardzo szerokim i bardzo aktywnym peryferyjnym polem widzenia oraz wszystkie varanaskie imprezowe meble, ponure i skrzywione, że przyćmiewa ich tu stado jakichś neutków. Jest nawet paru generałów, olśniewających jak papugi w pełnym stroju galowym. Teraz, kiedy idzie z Awadhem na noże, wojsko jest *trés trés chic*. Nie należy także zapomnieć o grupce chłopaczków, wyglądających na dziesięcioletnich, patrzących spode łba nad żyroskopowo stabilizowanymi szklankami - Złote Dzieci, Bramini i Braminki.

Neeta, asystentka Devgana, szefa Tala, dała mu listę kontrolną. Większość zespołu od metaseriali nie toleruje jej stuprocentowej bezmyślności, Tal natomiast ją lubi. Z jej nieudawanej banalności wynikają często niespodziewane, bardzo Zen skojarzenia. Ciekawiło ją, co włoży, jaki zrobi makijaż, gdzie pójdzie na drinka-rozbiegówkę i gdzie się potem zmasakruje na afterparty. Idąc na największe i najbardziej nadmuchane wydarzenie sezonu, trzeba się trochę postarać. Już po samym przejściu przez kolumnadę odklikuje z tej listy trzydzieści nazwisk.

Wejścia do sanktuarium i wolnego baru strzegą dwie rakszasy. Gra Adani w remiksie Biblical Brothers. Opadają krzywe szable. Aktorzy są żywi, ale dolna para ramion jest zrobotyzowana. Tal zachwyca się pokrywającą całe ciało charakterystyczną. Jest bezbłędna. Skanują zaproszenie. Szable się unoszą. Tal wchodzi w krainę czarów. Przyszły wszystkie neutki z miasta, co do jednego. Tal zauważa, że jego płaszcz do kostek z rozpraszających optykę włókien nadal jest na topie, ale od kiedy w charakterze dodatku królują zsunięte wysoko na czoło gogle narciarskie? Nie cierpi przegapić ruchu. Kiedy podchodzi do baru, głowy odwracają się, potem nachylają ku sobie. Czujecie rozchodzącą się za sobą falę plotek: „Co to za neutko, jakieś nowe. Gdzie ono się podziewało, jest po Odejściu czy po Wejściu?”.

Nie zwracam uwagi na wasze uwagi, oświadcza, mówiąc do siebie. Ma być tu gwiazdą. Wybiera sobie miejsce na końcu powyginanego plastikowego baru i robi przegląd talentów. Czwororęcy barmani wstrząsają akrobatycznymi koktajlami. Tal podziwia zręczność zrobotyzowanych rąk.

- Co to? - pyta, wskazując na stojący na czubku fluorescencyjny stożek złotego lodu.

- Non-Russian - odpowiada barman, a jego dolne ręce chwytają kolejną szklankę i nabierają nią lód.

Tal ostrożnie próbuje. Coś z syropem waniliowym, na bazie wódki, trochę soku z cytryny i odrobina niemieckiej cynamonówki; przez szczeliny w kostkach lodu dryfują płatki złota. Brzęczenie mikrożyra łaskocze go w palce.

Potem dynamika imprezy otwiera przed nim chwilowy korytarz widoczności, tak że Tal

dostrzega Gwiazdę We Własnej Osobie: Juli, w śnieżnobiałym misiu polarnym i goglach narciarskich o złotych szklach.

Odbiera mu mowę. Paraliżuje je obecność celebrity. Ulatują wszystkie medialne pozy i całe wyrafinowanie. Juli było jego idolem jeszcze przed Odejściem: supergwiazda, jako konstrukt, manipulacja, jak obsada *Miasta i wsi*, A teraz ono stoi tutaj, z krwi i kości i ubrania, i Tal jest oszołomione. Musi znaleźć się bliżej Juliego. Musi usłyszeć jego oddech i śmiech, poczuć jego ciepło. Dziś w całej świątyni są tylko dwie prawdziwe rzeczy. Goście, neutki, obsługa, muzyka, wszystko nieokreślone - domena Ardhanariswary. Stoi teraz za Julim, na tyle blisko, że może wyciągnąć rękę i go urzeczowić. Kość policzkowa się przesuwa. Juli się odwraca. Tal szczerzy się w szerokim, głupkowatym uśmiechu. O bogowie, wyglądam jak kretyn śliniący się na widok gwiazdy. Co mam powiedzieć? Ardhanariswaro, boże dylematów, pomóż mi. Bogowie: czy ja śmierdzę, bo miałom na umycie się tylko pół butelki wody... Wzrok Juliego przemyka po nim, przebija je na wskroś, anihiluje i ogniskuje się na kimś za jego plecami. Juli uśmiecha się, rozkłada rękę.

- Kochanie!

Przemyka obok - ciepła fala futra, złota opalenizna i kości policzkowe jak brzytwy. Orszak idzie za nim. Czyjeś biodro poszturchuje Tala, wytrąca mu z ręki szklankę, która spada na podłogę, kołysze się wariacko i prostuje, wirując na czubku. Tal stoi oszołomione, skamieniałe jak cudaczne seksualne posągi.

- Ojej, chyba upuściłeś drinka. - Głos przebijający się przez paplaninę nie należy ani do mężczyzny, ani do kobiety. - Tak nie można, prawda, moje drogie? Nie przejmuj się, krewniaku, to banda pieprzonych dziwek, a my to tylko tło.

Jest o głowę niższe od Tala, ciemnoskóre, z minimalną zmarszczką nakątną: odrobina genów assamskich albo nepalskich. Nosi się z nieśmiałą dumą. Ubrane jest w coś prostego, białego, całkiem spoza mody, jedynym ustępstwem wobec aktualnego stylu jest mikowy pył skrzący się na ogolonej czaszce. Tal nie ma pojęcia, ile może mieć lat - u nich tak zawsze.

- Tranh.

- Tal.

Dygają i całują się na powitanie. Ono ma długie, eleganckie palce, z francuskim manikiurem, nie to co krótkie klepacze klawiaturowe Tala, z poobgryzаныmi paznokciami.

- I tak było paskudne, prawda? - mówi Tranh. - Pijemy, skarbie. Halo! - Postukuje w bar. - Dość tych nieruskich sików. Dzin. Chota peg, dwa razy. Zdrowie.

Po ckliwym, teatralnym koktajlu dnia, zwykła, czysta szklanka z plasterkiem cytryny wydaje się bardzo dobra, bardzo czysta i bardzo zimna i Tal czuje, że sunie mu po kręgosłupie jak słupek zimnego ognia, prosto do mózgu.

- Fantastyczny drink - stwierdza Tranh. - Na nim wyrósł Radź. Cała ta chinina! Halo! - To do barowego awatara. - Aktor-wallah! Jeszcze dwa takie!

- Naprawdę nie powinnom, z rana idę do pracy, a w ogóle to nawet nie wiem, jak mam wrócić - mówi Tal, ale neutko wsuwa mu w dłoń zroszoną szklanę, muzyka nabiera idealnego rytmu, a powiew wiatru przemyka przez rozwaloną świątynię, pociągając za sobą ognie i cienie, wszyscy oglądają się za nim, zastanawiając się czy to nie pierwsze tchnienie monsunu. Budzi w okropnej imprezie nutkę szaleństwa, sprawia, że Tal czuje się oszołomione, pełne słów, pełne życia, zachwycone, że znalazło się w nowym mieście, w nowej pracy, w oku towarzyskiego wiru wraz z drobnym, śniadym i prześlicznym neutkiem.

A potem już wszystko rozplywa się jak kaligrafia na deszczu. Tal odkrywa, że tańczy, nie wiedząc jak się znalazło na parkiecie, wokół więcej ludzi przygląda się niż tańczy, właściwie to nikt oprócz niego, tylko Tal, samo, pięknie, bezbłędnie, jakby skupić w jeden punkt i jeden niepokój ten wiatr, który niespodzianie przewiał świątynię; jak chota pegi, do których jest nieprzyzwyczajone, jak światło, jak noc, jak pokusa, jak zogniskowany na Tranhu laser, oświetlający tylko je, mówiący *chcę muszę pragnę chodź*, przyzywający, *chodź*, wyciągający je stamtąd, krok za krokiem, ono uśmiecha się, kręci głową, *nie, ja nie robię, kurde, takich rzeczy*, ale gra śakti i purusi zwabia je w krąg, wreszcie Tal widzi, że Tranh dygoce, jakby coś wypełzło z nocy i weszło w nie, coś samotnego, coś, co potrafi opętać, i wtedy Tranh uśmiecha się lekkim, szalonym uśmiechem, wchodzą razem w krąg muzyki, jedno polujące, drugie ofiara, wszystkie oczy zwrócone są na nie, Tal zaś kątem oka dostrzega, jak Juli, najjaśniejsza gwiazda na nieboskłonie, wymyka się cichcem ze swoim orszakiem. Zepchnięte na drugi plan.

Środki masowego pokazu chciałyby bardzo, żeby domknęły dramaturgię, całując się, one jednak, mimo erotycznych rzeźb spływających z każdej kolumny i przypory, są indyjskimi neutkami: to nie miejsce i nie czas na pocałunek.

Potem już siedzą w taksówce, Tal nie wie jak i gdzie, ciemność jest jednak wielka, w jego oczach dudni muzyka i szumią chota pegi, ale wszystko stopniowo staje się wyraźniejsze i bardziej dyskretne. Teraz wie, czego chce. Wie, co się stanie. Ta pewność to tępe, ciemnoczerwone pulsowanie w dole brzucha.

Na tylnym siedzeniu trzęsącego fatfata Tal pozwala swojemu przedramieniu opaść, wrażliwą wewnętrzną stroną, na udo Tranha. Chwila wahania; palce Tranha gładzą jego wrażliwą, bezwłosą skórę, wyszukują pod nią ukryte wypustki układu sterowania hormonalnego i delikatnie wystukują kody podniecenia seksualnego. Serce Tala niemal natychmiast rusza, przyspiesza oddech, rumieni się twarz. Sex trąca struny jego ciała jak sitar, każda struna i wszystkie organy rozbrzmiewają tą samą harmoniczną. Tranh podaje mu przedramię. Tal gra na podskórnych wypustkach, maleńkich i wrażliwych jak gęsia skórka. Czuje, jak Tranh sztywnieje, gdy ogarnia go burza hormonów. Siedzą tak obok siebie na tylnym siedzeniu szarpiącej taksówki, nie dotykając się, ale dygocąc z pożądania, nie mogąc mówić.

Hotel jest koło lotniska, komfortowy, anonimowy, międzynarodowo dyskretny. Znudzona recepcjonistka ledwo unosi wzrok znad romantycznego pisemka. Nocny portier podskakuje, potem sprawdza dokumenty tożsamości i z powrotem zanurza się w telewizorze, emitującym najciekawsze

migawki z meczów krykieta. Szklana winda wiezie je wzdłuż boku hotelu do pokoju na piętnastym piętrze, wzory kreślone przez światła lotniska rozlewają się po nich coraz szerzej, jak klejnoty na koszulach. Niebo szaleje od gwiazd i światełek nawigacyjnych wojskowych transportowców, latających z powodu wzmożonej czujności. Wszystko dziś dygocze na niebie i na ziemi.

Wpadają do pokoju. Tranh wyciąga ku niemu ręce, Tal jednak prowokująco wymyka się. Jedna niezbędna rzecz: znajduje pokojowe nagłośnienie i wtyka do niego chip. ŁÓŻKOWY MIX. Nina Chandra gra, a Tal się chwieje, zamyka oczy i roztapia się. Tranh przybliży się do niego. Wczuwając się w rytm, zsuwa buty, zrzuca śnieżnobiałe okrycie, lniany garnitur, siatkową bieliznę Znanej Matki. Podaje mu przedramię.

Tal przebiega palcami po orgazmicznych guziczkach.

Wszystko jest ścieżką dźwiękową.

Duch ulatniających się chota pegów budzi je i posyła do łazienki w poszukiwaniu wody. Wciąż pijane, oszołomione tym, co się stało, gapi się w płynący z jednouchwytowego kranu nieskończony strumień. Pokój wypełnia szary przedświtowy blask. Leżące na łóżku Tranh wygląda w nim bardzo drobno i krucho. Samoloty latają niestrudzenie. Coś w tym porannym świetle sprawia, że wszystkie pooperacyjne blizny na ciele Tranha zaczynają rzucać się w oczy. Tal kręci głowę, nagle bardzo potrzebuje się rozplakać, wślizguje się jednak do łóżka obok Tranha i drży, kiedy drugie neutko porusza się przez sen i obejmuje je ramieniem. Tal zasypia i budzi się dopiero, słysząc stukanie pokojówki, która chce posprzątać pokój. Jest dziesiąta. Tal ma potwornego kaca. Tranh sobie poszło. Zniknęły jego ubrania, buty, podarta bielizna. Rękawiczki. Wszystko. Na ich miejscu leży wizytówka, z nazwą ulicy, adresem i jednym słowem: „Niebranżowy”.

ROZDZIAŁ 8 VISHRAM

Prezenter naprawdę rozśmieszył teraz publiczność. Vishram w garderobie czuje to jak fale rozbijające się o brzeg. Głęboki śmiech. Śmiech, któremu nie sposób się oprzeć, nie można przestać nawet kiedy boli. Najwspanialszy dźwięk na świecie. Można zidentyfikować publiczność po jego brzmieniu. Cienki śmiech na południu, płaski, pusty w Anglii Środkowej i rezonujący, tubalny, jak głos dobrego chóru dobiegający z góry w kościele - na wyspach, tu mamy jednak porządny glasgowski śmiech. Śmiech z własnego boiska. Vishram Ray postukuje stopą, nadyma policzki i czyta przypięte do ściany garderoby poźółkłe recenzje. *Tyle* brakuje, żeby sobie zapalił.

Znasz swój materiał. Możesz go zapodawać na wrywki, tam i z powrotem, po angielsku, w hindi, stojąc na głowie, albo przebrany za sałatę. Wiesz gdzie łapiesz publiczność na haczyk, gdzie budujesz napięcie, masz trzy nawiązania do tematu, wiesz gdzie możesz polecieć improwizacją i gdzie, nie zmieniając biegów, wjechać z powrotem na tor. Umiesz jednym strzałem uciszyć upierdliwego widza. Śmieją się z żartów typu przy mikrofonie, więc czemu ty czujesz się, jakbyś miał w dupie pięść, która powoli wywleka ci flaki? Własna publiczność zawsze jest najtrudniejsza, a dziś do tego ma władzę. Kciuki w górę, kciuki w dół, głosujemy własnym gardłem na zwycięzcę glasgowskiej edycji konkursu „Ha Ha Śmieszne”. To pierwsza przeszkoda przed Edynburgiem i nagrodą Perriera. Na pierwszej najłatwiej się wywalić.

Wodzirej powoli rozgrzewa publiczność. Prawa strona składa ręce. Lewa strona przenikliwie gwizdże na palcach. Balkon tytanicznie ryczy. Przed państwem Vishraaam! Raaaaaaaay! Wybiega z bloków startowych w jaskrawe światła sceny, ryk widowni, ku swojej metalowej kochance, szczupłej stalowej sylwetce samotnego mikrofonu.

Swoim klubowym okiem zauważa, że zostawiła płaszcz w szatni i postanawia: spróbuję. Ona staje słupka jak surykatka, patrzy w lewo, w prawo, wszędzie. Idzie do baru, wokół sali, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Rusza w przeciwną stronę, śledząc ją przez dżunglę ciał. Ma tu grupkę znajomych, groźnie wyglądający garnitur, drugi, którego kręci jej ciało, ale niech tylko spróbuje jej dotknąć, i grubawy, który poleci na wszystko. Da się ją od nich odciąć, oddzielić. Vishram wylicza sobie czas i dociera do baru ten ułamek sekundy przed nią. Dziewczyna chce go ominąć, z lewej, z prawej.

- Oj, przepraszam, proszę bardzo! - woła Vishram.

- Nie, pan był...

- Nie, nie, proszę.

Akcent z Glasgow. Miejscowa to zawsze słuszny wybór. Ma na sobie wiązaną na plecach bluzkę z dekoltem w „V” i biodrówki o tak niskim stanie, że kiedy pochyła się nad barem, żeby wywrzeszczyć zamówienie, widać dwie bliźniacze połówki jej zgrabnego tyłka.

- Ja stawiam. - Do barmanki: - I jeszcze black doga z wódką.

- To my powinniśmy panu postawić...! - krzyczy mu do ucha. Kręci głową, przy okazji zerkając, czy jego kumple patrzą. Patrzą.

- Ja. Wygrałem, czuję się jakbym rozbił bank.

Nadchodzą butelki. Wręcza je po kolei swojemu towarzystwu, ustawionemu za nią, i stuka się z nim.

- Gratulacje. To przeszedł pan?

- Tak, do finału w Edynburgu. A potem już tylko sława, fortuna, własny sitcom... - Czas na manewr numer jeden. - Wie pani co, ledwo słyszę własne myśli, nie mówiąc już o prowadzeniu dowcipnej i inteligentnej konwersacji. Możemy stanąć gdzieś dalej od kolumn?

Narożnik przy automacie z papierosami, pod balkonem, nie jest znacząco cichszy od reszty klubu, ale za to oddalony od jej znajomych i ciemny.

- Głosowałam na pana - mówi.

- Dziękuję. Więc wiszę pani tego drinka. Pani... przepraszam, uciekło mi imię.

- Nie wypuszczałam go. Anye.

- Anye, pięknie... Vishram.

- Gaelickie.

- Jasne, gaelickie. Legendarna gaelicka solidność Vishram.

- Podziękuj za to moim rodzicom. Dwoje solidnych Szkotów, jedno i drugie. Wiesz co, Szkocja i Bharat mają wiele wspólnego. Dwa nowe państwa.

- Ale w kategorii staromodnej przemocy na tle religijnym to chyba my wygrywamy.

- To nie widziałeś, jak pogrywa nasza Firma.

Podczas gdy Anye gada, Vishram manipuluje ciałem, odcinając jej dostęp do parkietu, do znajomych. Manewr numer dwa - izolacja - zakończony, czas przejść do manewru numer trzy. Udaje, że rozpoznaje muzykę.

- O, to niezłe. - Kawałek paskudny, ale tempo 115 jest w sam raz. - Masz ochotę na drobne

boogie?

- Bardzo mam ochotę na drobne boogie - odpowiada, wychodząc z narożnika, z delikatnym błyskiem w oczach.

Przepisowe pięć tańców później wie już, że studiuje prawo na Glasgow U, jest działaczką Szkockiej Partii Narodowej, lubi góry, nowe państwa, imprezować z przyjaciółmi i wracać do domu bez nich. Brzmi idealnie, więc stawia jej kolejnego drinka - znajomi zbili się w ponurą gromadkę na najbliższym damskich toalet końcu baru - całuje ją szybko, byle jak i znowu porywa na parkiet. Anye tańczy ciężkawo, ale z zapałem, wymachując wszystkim. Lubi, jak są takie mięsiste. W połowie numeru z umiarkowanym, zmiennym tempem, kieszeń jego spodni zaczyna go wołać po imieniu. Nie zwraca na to uwagi.

- Nie odbierasz?

Wyciąga palmera, mając nadzieję, że to ktoś, kto chce pogadać z nim o występie. Nie. *Vishram, mówi Shastri*. Nie teraz, wierny sługo. Zdecydowanie nie teraz.

Ale klub już go nudzi. Przejdźmy do manewru numer cztery.

- Zostajemy tutaj czy gdzieś się przejdziemy?

- Jestem łatwa.

Dobra odpowiedź.

- To może wpadłabyś do mnie, na małą kawę?

- Oki. Wpadłabym.

Na zewnątrz, na Byres Road, nadal utrzymuje się ta magiczna, erotyczna pora; światła samochodów wyglądają nienaturalnie, teatralnie, jak w filmowej scenie, gdzie dzień udaje noc. Taksówka posuwa się w zwolnionym tempie przez półmrok o północy. Anye siada blisko niego na wielkiej, skórzanej kanapie. Vishram wyciąga dłoń. Dziewczyna rozpiera się na siedzeniu, rozluźniając przód spodni. On strzela z gumki od majtek. Manewr numer pięć.

- Dowcipas z ciebie - mówi, prowadząc jego palec.

Złoty granit kamienicy wygląda, jakby świecił w półmroku. Vishram czuje na twarzy nagromadzone w kamieniu ciepło. Nadal pachnie strzyżoną w parku trawą.

- Ładnie - mówi Anye. - Drogo.

Vishram wciąż trzyma dłoń w jej stringach, jednym gorącym paluszkiem prowadząc ją po schodach. Napięcie w kroku, oddech, mięśnie brzucha - wszystko mu sugeruje, że zaraz będzie ją miał na podłodze, ciężko, mocno i nago. Trzeba się dowiedzieć, jakie dźwięki wydaje. Zobaczyć brudy w jej głowie, pragnienia, co ma jej zrobić drugie ciało. W skurczu pożądania omal nie

wywraca się o próg. Stopą wkopuje w głąb hallu coś, co leżało tam i czekało na niego. Zastanawia się, czy tego nie zostawić. Automatycznie zapalające się światło wydobywa zielono-srebrne logo Firmy.

- Sekundkę.

Jego przedwzwód i tak już opada.

Plastikowa koperta priorytetu jest zaadresowana do pana Vishram Raya, Kelvingtove Terrace 22 m. la, Glasgow, Szkocja. Zbrzydzone, wytrzeźwiały i oklapnięty Vishram otwiera kopertę. Dwie rzeczy: list od Shastriego, sędziwego majordomusa i bilet na LHR-a z Glasgow do Varanasi, pierwsza klasa, w jedną stronę.

Kobietę w bardzo eleganckim kostiumie, w poczekalni Raja Class linii Bharat Air, zaczął zagadywać, bo wciąż czuł się nakrecony zwycięstwem i alkoholem, ale przede wszystkim przez sfrustrowane libido.

Kiedy przyjechała limuzyna, dopinał neseser z podróżnymi utensyliami. zaproponował, że odwiezie Anye do domu. Rzuciła mu lodowate spojrzenie solidnej gaelickiej aktywistki narodowej.

- Przepraszam, rodzina...

Wyglądało na to, że jest jej bardzo zimno, w tych spodniach, z taką ilością odsłoniętej skóry, kiedy biegła przez wczesny, sierpniowy, glasgowski przedświt. Vishram zdążył na odprawę z dziesięciominutowym zapasem. Podczas krótkiego, wahadłowego lotu do Londynu siedział zupełnie sam w zwężającym się ogonie. Zszedł po schodkach lekko oszołomiony tempem tego wszystkiego i udał się prosto do poczekalni pierwszej klasy, zdecydowany napić się wódki. Prysznic, golenie, zmiana ubrania i lufa polskiej przywróciły mu jego Vishram Rayowość. Poczł się na tyle pewny siebie, że nawet spróbował zagadać do kobiety w przystosowanym do latania kostiumie. Tak dla zabicia czasu. Gad grasujący w poczekalniach.

Nazywa się Marianna Fusco. Jest korporacyjnym prawnikiem. Wezwano ją do Varanasi, żeby zajęła się kwestią skomplikowanego zarządu powierniczego.

- A ja to po prostu jestem rodzinną czarną owcą, takim nadwornym błaznem. Najmłodszy brat, wysłali go do Anglii, żeby studiował prawo w jakimś coś-tam-bridge, a on wylądował w Szkocji i próbuje zostać komikiem. Tak swoją drogą, najwyższa forma ludzkiej sztuki. I podejrzewam, że nie tak bardzo różna od prawa. Oboje jesteśmy stworzeni dla areny.

Tej przynęty nie chwyta, pyta natomiast:

- Ilu ma pan braci?

- Starszy misiek i średni misiek.

- Żadnej siostry?

- W Varanasi, przynajmniej w mojej dzielnicy, niespecjalnie występują jakieś siostry.

- Słyszałam - mówi, obracając się leniwie ku niemu na skórzanej kanapie. - Jak to jest, kiedy społeczeństwo ma cztery razy tyle mężczyzn, co kobiet?

- Nie ma za wiele prawniczek - odpowiada Vishram, rozpierając się na skrzypiącej tapicerce. - Czy w ogóle kobiet pracujących.

- Będę musiała pamiętać, żeby wykorzystać swoją przewagę - odpowiada prawniczka. - Jeszcze jedną wódkę? To będzie długi lot.

Zaraz po trzeciej proszą ich na pokład. Fotel Vishrama daje się rozłożyć. Po latach w tanich liniach ilość miejsca na nogi wydaje się niewiarygodna. Te wszystkie przyciski i bajery tak go bawią, że nie zauważa przypinającej się obok pasażerki.

- O, witam. Niezły przypadek, prawda?

- Żaden przypadek - oznajmia Marianna Fusco, zrzucając zakiet. Pod stretchową bluzką ma ładnie zarysowane ramię.

Pierwszego armaniaka przynoszą nad Belgią, gdy naddźwiękowy samolot pnie się stromo na swoje przelotowe trzydzieści trzy kilometry. Nie jest to trunek, który by kiedykolwiek przyszedł Vishramowi do głowy, on specjalizuje się w wódce. Ale teraz pomyślał, że dobrze pasuje do postaci, jaką tu odgrywa. Na tle nieba barwy indygo rozmawiają z Marianną Fusco o swoich dzieciństwach, jej spędzonym w gigantycznej rodzinie powiązanej pierwszymi i powtórnymi ożenkami - konstelacji rodzinnej, jak to nazywa, jego - w burżuazyjnym varanaskim patriarchacie. To emergentne społeczne rozwarstwienie wydaje jej się fascynujące - Anglicy zawsze tak mają. Od wieków właśnie to uwielbiają w indyjskiej kulturze i literaturze. Poczucie winy i dreszczyk naprawdę porządnego systemu klasowego.

- Moja rodzina jest dość zamożna. - Bardziej to ograj. - Ale nie Bramini. To znaczy, nie przez duże „B”. Ojciec jest kszatriją, na swój sposób całkiem pobożnym. Grzebanie w DNA byłoby bluźnierstwem.

Dwa następne armaniaki i rozmowa osuwa się w drzemkę. Vishram, na rozłożonym luksusowo fotelu, podciąga lotniczy koc pod brodę. Wyobraża sobie niemal kosmiczny chłód za nanowęglową ścianką. Marianna, pod swoim kocem, przysuwa się do niego. Jest ciepła, jest o wiele za blisko i oddycha równo z nim.

Manewr numer sześć. Gdzieś nad Iranem obejmuje dłonią jej pierś. Przysuwa się jeszcze bardziej. Całują się. Armaniakowe języki. Wierci się i przybliża jeszcze. Wysuwa jej piersi z białej, elastycznej bluzki. Marianna Fusco ma wokół sterczących jak pociski sutków duże otoczki, pokryte gęsią skórą porów. Podciąga swoją wygodną, choć biznesową spódnicę, gdy jeździec fali uderzeniowej osiąga 3,6 Macha. Lize je i próbuje wsunąć w nią palec, ona jednak przechwytyje go i

kieruje do drugiej, napiętej dziurki. Stęka cichutko, nasuwa mu się na palec aż do nasady i zreżnie odpina mu suwak. Ciężki penis Vishrama wyskakuje w przerwę między fotelami. Marianna Fusco pociera żołądź kciukiem. Vishram Ray, starając się, żeby nie usłyszała go stewardesa, pociera palcem łechtaczkę.

- Kurwa - szepcze ona. - Kręć. Kręć, kurwa.

Przerzuca przez niego nogę, napiera mocniej na palec. Sutra na trzydziestu trzech kilometrach. W jednej czwartej drogi na orbitę Vishram Ray ostrożnie szczytuje w serwetkę Raja Class Bharat Air. Marianna Fusco ma w ustach pół lotniczej poduszki i wydaje z siebie stłumione pomiaukiwania. Vishram kładzie się na plecach, czując pod sobą każdy centymetr pułapu samolotu. Właśnie trafił do najbardziej ekskluzywnego klubu na świecie - Klubu Trzydziestotrzytysięczników.

Doprowadzają się do porządku w łazience, osobno, chichocząc niepohamowanie przy każdym spojrzeniu. Poprawiają ubrania, trzeźwo wracają na miejsca i zaraz potem słyszą zmianę tonu silników - naddźwiękowiec zaczyna opadać na Nizinę Hindustańską, nurkując jak płonący meteor.

Czeka na nią po drugiej stronie kontroli celnej. Podziwia krój jej ubrania i to, jak jej wzrost i zdecydowany chód wyróżniają ją spośród Bharatczyków. Wie, że nie nastąpią żadne telefony, mejle ani ciągi dalsze. Ściśle profesjonalna relacja.

- Może cię podrzucę? - pyta. - Ojciec na pewno wysłał po mnie samochód... wiem, że to obciach, ale on jest w takich sprawach staromodny. Nie ma problemu, żebym cię podwiózł do hotelu.

- Dzięki - odpowiada Marianna Fusco. - Nie podobają mi się te taksówki.

Limuzynę nietrudno wypatrzeć. Szofer zatknął nawet na błotnikach małe flagi z logo Ray Power. Bez zmrużenia oka bierze torbę Marianny Fusco, pakuje ją do bagażnika i odgania stadko żebraków i badmaśiów. Vishram czuje się ogłuszony przez parę sekund upału pomiędzy lotniskiem a klimatyzowanym autem. Za długo siedział w chłodnym klimacie. I zapomniał ten zapach, jak popioły róż. Samochód wjeżdża w ścianę koloru i dźwięku. Vishram czuje skwar, ciepło ciała, tłustą węglowodorową sadzę na szybach. Ludzie. Nigdy niewysychająca rzeka twarzy. Ciała. Odkrywa nowe uczucie, które trochę przypomina znajomą tęsknotę za domem, ale wyraża się przez okropną, przyziemną nędzę ludzi tłoczących się w tle tych bulwarów. Ojczyźniane mdłości. Nostalgiczna zgroza.

- Jesteśmy blisko ronda Sarkhand, prawda? - pyta Vishram w hindi. - Chciałbym je zobaczyć.

Szofer kiwa głową i skręca w prawo w najbliższą przecnicę.

- Gdzie jedziemy? - pyta Marianna Fusco.

- W miejsce, o którym będziesz mogła opowiadać swojej konstelacji rodzinnej.

Główną drogę przegradzają policyjne barierki, kierowca jedzie więc znaną sobie trasą przez

kręte jak jelito boczne uliczki i wypada z nich prosto w środek zamieszek. Wdeptuje hamulec. Przez maskę koziołkuje młody chłopak. Zbiera się, bardziej oszołomiony niż ranny, pulchny już-nie-nastolatek z wiechciem świętego węża, uderzenie zatrzęsło za to samochodem i jego pasażerami. Uwaga tłumu natychmiast przenosi się z pstrokatej figury Hanumana pod betonowym chatri na auto. Ręce bębnią w maskę, dach, drzwi. Kołyszą zawieszaniem. Tłum widzi wielkiego mercedesa, przyciemniane szyby, flagi jakiejś firmy - sprzymierzeńca sił, które chcą zniszczyć ich święte miejsce i wybudować na nim stację metra.

Szofer pospiesznie wrzuca wsteczny, pali gumy, cofając się w zaułek pod transparenty suszącego się prania i chwiejne drewniane balkony. W powietrzu fruują cegły, odbijają się od karoserii. Kiedy przednia szyba nagle rozgwieżdża się białą pajęczyną, Marianna Fusco wydaje krótki okrzyk. Kierowca, wpatrzony w obraz wstecznej kamery, przeciska się autem między dwoma bambusowymi rusztowaniami. Młodzi karsevakowie gonią go, waląc w blachy swoimi lathi i wykrzykując przekleństwa pod adresem bezbożnych Ranów i ich demonicznych, muzułmańskich propagandzistów. Wymachują urwanymi firmowymi flagami. W tych zaułkach wystarczy jeden koktajl Mołotowa i nie żyją setki ludzi, myśli Vishram. Kierowcy udaje się jednak przedostać do punktu wejścia, znaleźć chwilową lukę w rwącym potoku pojazdów i wcisnąć się w nią tyłem. Furgonetki, autobusy, motorowery stają jak wryte. Szofer zakręca na ręcznym. Święci młodziankowie pędzą za nimi, prześlizgując się między fatfatami i japońskimi pikapami ozdobionymi hinduską ikonografią. Prześlizgują się, biegną, zbliżają się. Kierowca rozkłada ręce w desperacji. W tym korku nic się nie da zrobić. Oglądając się przez ramię, Vishram może odczytać napisy na znaczkach, które sobie przypinali. Wtem Marianna Fusco krzyczy „O Jezus Maria!”, a samochód staje na tyle raptownie, by Vishram uderzył czubkiem nosa w oparcie fotela kierowcy. Przez łzy, oszołomiony, widzi przed sobą opadającego z nieba stalowego demona: Rawanę-pożeracza, pana demonów, przysiadającego na hydraulicznie amortyzowanych tytanowych udach, z rozłożonymi wachlarzowato dziesięcioma ostrzami. Maleńka główka modliszki patrzy wprost na niego, rozkładając dentystyczny arsenał nasadek i czujników. I znów skacze. Vishram czuje, jak zbrojne w pazury stopy rysują dach limuzyny.

Odwraca się, patrzy w tylną szybę: robot ląduje za przystankiem autobusowym. Ruch zamiera, karsevakowie rozpierzchają się jak kozy. Stwór kroczy ulicą, wężąc wokół lufami gatlingów. Na pancerzu ma gwiazdzisty sztandar. Amerykański robot bojowy.

- Co to, kur...?

Rozpętali wojnę, kiedy był na imigracji. Kierowca wskazuje coś po drugiej stronie skrzyżowania, na ulicy pełnej neonowych wystaw i świecących parasolek. Mężczyzna w ciemnym, kosztownym ubraniu wykrzykuje obelgi pod adresem oddalającej się maszyny. Za nim leży rozcięty na dwa filety terenowy mercedes. Facet podnosi odłamki elektroniki i metalu, ciska nimi za robotem.

- Dalej nie ro...

- Sahib - rzuca szofer, ruszając. - Tak długo pana nie było, że zapomniał pan, jak wygląda Varanasi?

Reszta drogi do hotelu Marianny Fusco upływa w ponurej ciszy. Dziękuje mu uprzejmie, radźputański portier salutuje i unosi jej torbę. Wchodzi po schodach, nie oglądając się.

Czyli marne szanse na powtórkowy numererek.

Poobijana limuzyna skręca w osłoniętą drzewami asioka bramę pomiędzy sklepem z częściami samochodowymi a szkołą informatyczną. Od razu znajduje się w innym świecie. W Indiach pierwszą rzeczą, jaką dają ci pieniądze, jest spokój. Ryk ulicy cichnie do pulsu. Szaleństwo miasta zostaje odgródzone.

Na powitanie powracającego syna marnotrawnego służba oświetliła cały podjazd naftowymi pochodniami. Bębniarze pozdrawiają Vishrama tuszem i eskortują limuzynę, a oto dom: wielki, dumny i niewiarygodnie biały w świetle reflektorów. Vishram czuje, jak do oczu napływają mu nieproszone łzy. Żyjąc pod tym dachem, zawsze wstydził się przyznać, że mieszka w pałacu, krzywiąc się na jego kolumny, frontony, szeroki portyk ocieniony wiciokrzewem i hibiskusem, tę cholerną biel, czyściutkie marmurowe wnętrza, stare dziwaczne, pornograficzne drewniane rzeźby oraz malowane po nepalsku sufity. Rodzina kupców zbudowała go w czasach Radżu, w stylu mającym przypominać im rodzinne strony. Nazwali go Shanker Mahal. Teraz ta nastoletnia wzdarda, zażenowanie własnym uprzywilejowaniem znika - wysiada, a dom wita go znajomymi zapachami kurzu, miodli indyjskich, piżmowym aromatem azalii i delikatnym smrodkiem kanalizacji, która nigdy za dobrze nie działała.

Oczekują go na stopniach. Najniżej stary Shastri, z rękoma już złożonymi w namaste. Po jego bokach służba domowa, kobiety po lewej, mężczyźni po prawej. Wciąż jest z nimi Ram Das, szacowny ogrodnik, wiekowy, ale jak zawsze pełen zapału - Vishram w to nie wątpi - do swojej nieustającej wojny z małpami. Na środkowym poziomie bracia Vishrama. Najstarszy Ramesh wydaje się wyższy i chudszy niż ostatnio, jakby grawitacja astronomicznych obiektów, które studiuje, wyciągała go ku niebu. Nadal brakuje jakiejś znaczącej kobiety. Nawet w Glasgow Vishram słyszał, jak indyjska diaspora plotkuje o jego weekendowych wypadach do Bangkoku. Obok brat - chodzący ideał, Govind. Doskonały garnitur doskonała żona doskonała para bliźniąt-dziedziców, Runu i Satish. Vishram dostrzega gromadzącą się w talii brata oponę tłuszczu. U boku ma prześliczną DiDi, dawną prezenterkę telewizji śniadaniowej, obecnie żonę-trofeum. Po drugiej stronie aja piastuje najnowszego członka rodu. Dziewczynkę. Jak przystało na rok 2047. Vishram grucha i śmieje się do małej Priyi, ale coś w niej sugeruje mu, że jest Braminką. Coś pierwotnego, coś z feromonami, coś nie tak z chemią.

Matka zajmuje najwyższy stopień; jak zawsze szczytująca się swą uległością - tak właśnie pamięta ją Vishram. Cień pomiędzy kolumnami. Ojca nie ma.

- A gdzie Dadadzi? - pyta.

- Spotka się z nami jutro w gabinecie - odpowiada matka. Tylko tyle.

- Wiesz, o co chodzi? - pyta Vishram Ramesha, kiedy kończą się powitania, płacze i wszystkie „ja nie mogę, aleś ty wyrósł”.

Ramesh kręci głową, Shastri tymczasem kiwa palcem na portiera, żeby zaniósł walizkę Vishrama do pokoju. Vishram nie ma ochoty tłumaczyć się ze stanu limuzyny, więc wymawia się zmianą stref czasowych i idzie się położyć. Spodziewał się, że dostanie swój stary pokój, portier prowadzi go jednak do sypialni dla gości po wschodniej stronie domu. Jest urażony, że traktuje się go jak obcego, jak gościa. Potem jednak, rozkładając swoje nieliczne rzeczy w ogromnych mahoniowych szafach i komodach, cieszy się, że przedmioty z dzieciństwa nie obserwują go, powracającego z życia poza nimi. Ściągnęłyby go z powrotem, znów uczyniły nastolatkiem. Stare domiszcze nigdy nie dorobiło się wartej złamanego grosza klimatyzacji, kładzie się więc nago na prześcieradle, zbrzydzone żarem, wypatrując twarzy w wymalowanej na suficie roślinności, słuchając szelestów małych łapek w pnączach za oknem. Leży tak, na skraju snu, ześlizgując się w nieświadomość i budząc raptownie, kiedy z miasta wokół przebija się jakiś na wpół zapomniany odgłos. W końcu poddaje się i wychodzi nago na żeliwny balkon. Skórę oprósza mu powietrze i perfumy miasta Śiwy. Nad zamglonym, żółtawym miejskim horyzontem migoczą grona samolotowych światełek. Żołnierze, którzy latają w nocy. Próbuje sobie wyobrazić wojnę. Ganiające po zaułkach roboty do zabijania, awatary Kali z tytanowymi ostrzami we wszystkich czterech rękach. Nadlatujące znad Gangesu i ostrzeliwujące ziemię helikoptery szturmowe aeai, pilotowane przez wojowników siedzących na drugim końcu Ziemi. Amerykańscy sojusznicy Awadhu walczą nowocześnie, żaden żołnierz nie rusza się z domu, nie zobaczysz ani jednego czarnego worka. Zabijają z innego kontynentu. Obawia się, że ta dziwna scena widziana dziś na ulicy jest prorocza. Ranowie nie mają już zbyt wielkiego pola do manewru między wodą a fundamentalistami.

Skrzypnięcie żwiru, jakiś ruch na siwym trawniku. Spomiędzy rzuczanych przez nocne jaśminy księżycowych cieni wyłania się Ram Das. Vishram zamiera na balkonie. Kolejna zachodnia idea, do której się przyzwyczał: swobodna nagość. Ram Das wychodzi na przystrzyżony trawnik, unosi dhoti i sika, pod leniwym indyjskim księżycem, przechylonym, jak święty łuk boga Agniego. Otrzepuje się, odwraca i powoli kiwa głową Vishramowi, na powitanie i pozdrowienie. Idzie. Gdzieś krzyczy paw.

Nareszcie w domu.

CZEŚĆ II SAD ĆID EKAM BRAHMA

ROZDZIAŁ 9 VISHRAM

Od pół godziny Vishram Ray nie może już się przechwalać, że nigdy w życiu nie posiadał garnituru. Zawsze rozumiał, że kiedyś może być mu potrzebny, i to bardzo, więc pewna rodzina chińskich krawców w Varanasi miała zestaw jego wymiarów oraz wybór materiału, kroju, podszewki i wzorów dwóch koszul. Teraz, siedząc za tekowym stołem w sali posiedzeń zarządu, ma ten garnitur na sobie. Pół godziny temu przywiózł go do Shanker Mahal kurier rowerowy. Vishram jeszcze poprawiał kołnierzyk i mankiety, gdy pod schody podjechała flotylla samochodów. Teraz zaś siedzi na dwudziestym piętrze wieżowca Ray Power - Varanasi jest brudnobrązową plamą u jego stóp, Ganges odległym zawijaszem spatynowanego srebra i dalej nikt mu nie chce powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Ci Chińczycy naprawdę znają się na krawiectwie. Kołnierzyk leży idealnie. Prawie nie widać szwów.

Drzwi sali się otwierają. Gęsiego wchodzi korporacyjni prawnicy. Vishram Ray zastanawia się, jakim rzeczownikiem zbiorowym określa się takie stado prawników. Dywizja pazerna? Ostatnia w szeregu jest Marianna Fusco. Vishram Ray czuje, że opada mu szczęka. Marianna Fusco rzuca mu najwęższy z uśmiechów, z pewnością nie taki, jakiego można by się spodziewać po kimś, z kim: a) pieprzyłeś się w pierwszej klasie, b) uciekałeś z ulicznych zamieszek, i siada naprzeciwko niego. Vishram wyciąga pod stołem palmera i wstukuje niewidzialny tekst. CO TY TU, KURNA, ROBISZ?

Asystenci otwierają podwójne drzwi, żeby wpuścić z kolei członków zarządu.

MÓWIŁAM, ŻE CHODZI O RODZINNY BIZNES.

Dla Vishrama wiadomość Marianny niemal unosi się nad jej cyckami. Ma na sobie ten świetny i niezmiernie praktyczny kostium.

Ale on też nie wypadł sroce spod ogona. Miejsca zajmują bankierzy, przedstawiciele banków spółdzielczych i banków grameen. Wielu członków wiejskich spółdzielczych banków mikrokredytowych nigdy w życiu nie było tak wysoko nad ziemią. Gdy Vishram spokojnie nalewa sobie lewą ręką wody - prawą wystukując TO JAKAŚ GRA? - do sali wchodzi jego ojciec. Nosi prosty garnitur z zaokrąglonymi klapami, długość marynarki jest jedynym ustępstwem wobec mody, ale i tak odwracają się za nim wszystkie głowy. Ma minę, której Vishram nie widział od dzieciństwa, kiedy ojciec zakładał firmę: stanowczy spokój człowieka, który wie, że postępuje słusznie. Za nim idzie Shastri-cień.

Ranjit Ray staje u szczytu stołu. Nie siada. Wita się z zarządem i gośćmi. Wielkie, wyłożone drewnem pomieszczenie aż wibruje od napięcia. Vishram oddałby wszystko za takie wejście.

- Szanowni współpracownicy, partnerzy, znakomici goście i moja droga rodzino - zagaja Ranjit Ray. - Dziękuję wam za przybycie, które dla wielu z was wiązało się ze znacznym kosztem i niedogodnościami. Pozwólcie, że na początek oświadczę: nie zapraszałbym was, gdybym nie uważał, że chodzi o sprawy najwyższej wagi.

Głos Ranjita Raya jest łagodny, głęboki, modlitewny, słyszalny wyraźnie w każdym kącie wielkiego pomieszczenia. Vishram przypomina sobie, że nigdy nie słyszał, by go podnosił.

- Mam sześćdziesiąt osiem lat, trzy lata więcej niż przyjęło się uważać za kres ekonomicznie użytecznego życia w etosie biznesowym ludzi Zachodu. W Indiach natomiast jest to czas na refleksję, na zastanowienie się nad innymi drogami, które można było w życiu obrać, które można jeszcze obrać. - Łyk wody. - Na ostatnim roku moich studiów inżynierskich na Hindu University w Varanasi zrozumiałem, że prawa ekonomii podlegają prawom fizyki. Fizyczne procesy rządzące tą planetą i jej nieustającym życiem narzucają na nasz ekonomiczny rozwój ograniczenie równie silne, jak szybkość światła na naszą wiedzę o wszechświecie. Uświadomiłem sobie, że nie jestem po prostu inżynierem. Jestem hindusem-inżynierem. Dzięki tym przemyśleniom wiedziałem, że jeśli wykorzystam swoje umiejętności, by uczynić Indie silnym i szanowanym narodem, będę musiał przy tym postępować na sposób indyjski. Na sposób hinduski.

Spogląda na żonę i synów.

- Moja rodzina słyszała to już wiele razy. Ufam, że wybaczą mi, gdy powtórzę się raz jeszcze. Udałem się na roczną pielgrzymkę. Szedłem ścieżką bhakti, czyniłem pudżę w siedmiu świętych miastach, kąpałem się w świętych rzekach i szukałem rady u swamich i sadhu. I każdemu z nich, w każdej świątyni, w każdym świętym miejscu, zadawałem to samo pytanie.

„Jak ten inżynier ma prowadzić prawe życie?” - dopowiada sam sobie Vishram. Istotnie: słyszał to kazanie więcej razy niż jest w stanie się doliczyć: jak ten inżynier-hindus spożytkował krone rupii z mikrokredytowej spółdzielni na budowę tanich, niewymagających konserwacji przydomowych generatorów słonecznych, opartych na nanorurkach węglowych. Pięćdziesiąt milionów urządzeń później, dodajmy jeszcze rektyfikatornie alkoholu paliwowego, wytwórnie biomasy, farmy wiatraków, generatory odzyskujące energię termiczną prądów oceanicznych oraz ośrodek badawczo-rozwojowy, gdzie indyjskie - hinduskie - umysły zgłębiają pustkę energii punktu zerowego. Ray Power jest jedną z czołowych firm Bharatu - Indii. Firmą, która osiągnęła wszystko na indyjski sposób, przez zrównoważony rozwój, łagodny dla Ziemi, zgodny z kołem karma. Firmą, która w stanowczy sposób nawiguje wokół maelstromu rynków międzynarodowych. Firmą, która zatrudnia ekscytujących nowych indyjskich architektów, aby wybudowali jej siedzibę z ekologicznego drewna i szkła, która wpuszcza do zarządu dalitów. Wielka i inspirująca opowieść, uwaga Vishrama zbacza jednak na obciążone brokatowym stretchem piersi Marianny Fusco. Pojawia się na nich kpiąco liliowy tekst: SŁUCHAJ, CO MÓWI OJCIEC!

CZARNA OWCA BEE BEE - wystukuje kciukami w odpowiedzi.

GRY SŁÓW TO NAJNIŻSZA FORMA HUMORU.

OCH, TO PRZEPRASZAM, ZAWSZE MYŚLAŁEM, ŻE TO SARKAZM - wyszywa ciętą

ripostę na klapach swojego ekspresowego garnituru. I dlatego prawie udaje mu się przeoczyć puentę.

- Dlatego właśnie zdecydowałem, że nadszedł czas jeszcze raz zbadać, jak można prowadzić prawe życie.

Zelektryzowany Vishram unosi wzrok.

- Dziś o północy zrezygnuję ze stanowiska prezesa Ray Power. Zrzekam się mojego bogactwa i władzy, prestiżu i odpowiedzialności. Opuszczam moją rodzinę, dom i raz jeszcze biorę w dłonie laskę i miskę sadhu.

Sala posiedzeń Ray Power nie byłaby cichsza i bardziej znieruchomiała, gdyby wpuszczono do niej gaz paralizujący. Ranjit Ray uśmiecha się uspokajająco. To nie działa.

- Proszę zrozumieć: nie jest to decyzja, którą podejmuję z lekkim sercem. Bardzo dużo dyskutowałem o tym z moją żoną i ona w pełni się ze mną zgadza. Shastri, mój pomocnik i towarzyszy od tylu lat, że nie podejmuję się ich zliczyć, dołącza do mnie w tej podróży, nie jako sługa, dziś w nocy bowiem zrzekam się wszelkich rang, ale jako współposzukiwacz prawego życia.

Udziałowcy zrywają się na równe nogi, krzyczą, pytają. Dalitka krzyczy Vishramowi w ucho coś o klientach i siostrach, on sam natomiast czuje się odległy, spokojny, przykuty do fotela poczuciem nieuchronności. Całkiem jakby wiedział, że to wszystko się stanie, od chwili, gdy na jego progu w Glasgow pojawił się bilet na samolot. Ranjit Ray ucisza zebranych.

- Przyjaciele, nie myślcie, proszę, że was pozostawiam. Pierwszym przykazaniem człowieka wybierającego duchową ścieżkę jest opuścić ten świat w sposób odpowiedzialny. Jak wiecie, pewne korporacje chciałyby wykupić naszą firmę, lecz Ray Power jest przede wszystkim firmą rodzinną i nie oddam jej na pastwę obcych i niemoralnych sposobów zarządzania.

Nie rób tego, myśli Vishram. Nie mów tego.

- Dlatego właśnie przekazuję kontrolę nad firmą moim synom, Rameshowi, Govindowi i Vishramowi. - Odwraca się kolejno ku każdemu z nich, wyciągając dłonie, jak do błogosławieństwa.

Ramesh ma taką minę, jakby właśnie ktoś go postrzelił. Jego wielkie, żyłaste ręce leżą płasko na stole jak oskórowane zwierzęta. Govind natomiast puszy się i toczy wzrokiem wokół stołu: już dzieli salę na sprzymierzeńców i wrogów. Vishram jest odrętwiały, jak aktor, który uwiązał w scenariuszu.

- Zatrudniłem zaufanych doradców, aby wspomogli was w okresie przejściowym. Obdarzam was wielkim zaufaniem. Proszę, żebyście okazali się go godni.

Marianna Fusco nachyla się nad stołem z wyciągniętą ręką. Obok niej leży na lśniącym blacie pakiet związanych wstęgą papierów. Vishram widzi na dole strony kropkowane miejsce oczekujące na jego podpis.

- Gratuluję i witamy w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym, panie Ray.

Ujmuje dłoń: pamięta jej silny, suchy i miękki uścisk na własnym fiucie.

I nagle rozpoznaje scenariusz.

- Lear - szepcze.

ROZDZIAŁ 10 SHIV

Yogendra zatrzymuje terenówkę na środku ulicy przed klubem MUSST. I policja, i złodzieje wiedzą, że radza ma miejsce parkingowe tam, gdzie mu się spodoba zostawić samochód. Otwiera Shivowi drzwi. Omijają ich podzwaniające rowerowe riksze. „MUSST, za barem Talv” - obwieszcza neon. Teraz, kiedy wszyscy mają własne miksy robione przez spersonalizowane DJ-skie aeai, kluby reklamują się barmanami. Jest dzień powszedni i dość wcześnie, więc nie ma jeszcze polujących na żony etatowców, ale dziewczyny już siedzą. Shiv wślizguje się na swój stołek. Yogendra siada z tyłu, za nim. Shiv stawia na blacie termos z jajnikami. Podblatowe światło zmienia go w jakiś pozaziemski artefakt z filmu fantastyczno-naukowego. Barman Talv przesuwając po płaszczyźnie fluorescencyjnego plastiku szklany półmisek z paanem. Shiv bierze odrobinę do ust, obraca przy policzku, czeka aż bhang przesiąknie do krwiobiegu.

- Gdzie Priya?

- Tam, z tyłu.

Dziewczyny w kozakach do kolan, krótkich spódniczkach i obcisłych, jedwabnych topach gromadzą się wokół stolika, gdzie zaczyna się klubowa polichromia. Pośrodku, w aureoli szklaneczek po koktajlach, siedzi dziesięcioletni chłopaczek.

- Kurwa, Bramini - mówi Shiv.

- Może nie wygląda, ale jest pełnoletni - mówi Talv, napełniając dwie szklanki z shakera, zdradziecko podobnego do Shivovego stalowego łupu.

- Tyle jest porządnych facetów, którzy dadzą im wszystko, czego zechce, ładny dom, perspektywy - nigdy nie będzie musiała pracować - porządną rodzinę, dzieci, awans, a one i tak wiszą na tym dziesięciolatku, jak cielaki na cycku - irytuje się Shiv. - Ja to bym ich wszystkich powystrzelał. To wbrew naturze.

Yogendra częstuje się paanem.

- Ten dziesięciolatek mógłby dziesięć razy kupić i sprzedać ten lokal. A poza tym, kiedy ja i ty pójdziemy na ghaty, będzie jeszcze długo chodził po świecie.

Koktajl jest chłodny, niebieski, mocny i wypędza czerwony paan w głębokie, odległe zakamarki. Shiv rozgląda się po klubie. Żadna z dziewczyn nie odwzajemnia dzisiaj jego spojrzenia. Te, które nie śmieją się z Braminem, mają wzrok wbity w stojące na stole tivi.

- Co je tak wkręciło?

- Coś o modzie - odpowiada Talv. - Ściągnęli tu tego ruskiego modela, neutko. Juri, czy jakoś tak.

- Juli - poprawia go Yogendra. Jego dźwięki są szkarłatne od paanu. W błękitnym świetle sznur pereł, który ma zawsze wokół szyi, połyskuje jak dusze. Czerwone, białe, niebieskie. Amerykański uśmiech. Odkąd Shiv z nim pracuje, zawsze miał na sobie te perły.

- Ich też bym powystrzelał - mówi Shiv. - Zboki. No dobra, ci Bramini grzebią sobie w genach, ale to przynajmniej mężczyźni i kobiety.

- Czytałem, że neutki pracują nad sposobami klonowania się - rzuca łagodnie Talv. - Zapłacą normalnym kobietom, żeby nosiły ich dziecko.

- To już jest po prostu obrzydliwe - mówi Shiv.

Kiedy się odwraca, żeby odstawić na bar pustą szklankę, na świecącym niebieskim blacie leży pasek papieru.

- Co to ma być?

- To się nazywa „rachunek” - odpowiada Talv.

- Słucham? Od kiedy ja płacę w tym lokalu za drinki?

Rozwija mały kwitek, zerka na kwotę. Zerka jeszcze raz.

- No, nie. Co to, kurwa, ma być? Co, mój kredyt już wam nie pasuje? To chcesz mi powiedzieć? Shiv Faraji, my już mu nie wierzymy?

Słyszając podniesiony głos, dziewczyny odrywają wzrok od telewizora, podświetlone błękitno jak boginie. Talv wzdycha. Wtedy pojawia się Salman. To właściciel, ma układy, jakich nie ma Shiv. Shiv unosi rachunek jak akt oskarżenia.

- Właśnie mówiłem tej tutaj gwiazdzie...

- Słyszałem różne rzeczy o twojej wypłacalności.

- Przyjacielu, całe miasto się ze mną liczy.

Salman kładzie zimny palec na zimnym termosie.

- Twoje notowania już tak nie rosną, jak kiedyś.

- Co, jakiś skurwiel przebija moją ofertę? Wsadzę mu jajca do suchego lodu...

Salman kręci głową.

- To sprawa makroekonomiczna. Siły rynku, panie szanowny.

Teraz bar klubu Musst robi mocny zoom, ściany i narożniki odpływają od Shiva, centrum zajmuje wielka, wydęta głowa Bramina, kiwająca się jak napęczniony helem balon na festynie i śmiejąca się z niego jak błazeńska wańka-wstańka.

Niektórym oczy zachodzą czerwoną mgłą. Dla Shiva zawsze była niebieska. Intensywny, jaskrawy, głęboki błękit. Łapie talerz z paanem, tłucze go, przyciska dłoń Talva do baru, unosząc nad jego kciukiem długie szklane ostrze, jak gilotynę.

- Niech no tylko drgnie i nie ma kciuka - syczy. - Misch. Baru.

- Shiv. Czekaj - mówi bardzo powoli, z wyrzutem, Salman.

Shiv wie, że to syk kobry, ale wokół wszystko niebieskie, wszystko miga niebiesko. Dłoń na ramieniu. Yogendra.

- No dobra - cedzi Shiv, nie patrząc na nic i na nikogo. Odkłada szklany odłamek, unosi ręce. - Niech wam będzie.

- Daruję ci to - mówi Salman. - Ale pan szanowny zapłaci. Wszystko. W trzydzieści dni. Standardowe biznesowe warunki.

- Jasne, coś tu się kompletnie pojebało - odpowiada Shiv, cofając się. - Ja się dowiem co, i jeszcze będziecie mnie przepraszać.

Wywraca kopniakiem stołek, ale termosu z organami nie zapomina. Dziewczyny wreszcie na niego patrzą.

Ajurwedyjska restauracja zamyka się o punkt ósmej, ponieważ jej filozofia mówi, że nie powinno się jeść później. Shiv domyśla się z wyglądu uliczki, że już więcej się nie otworzy. Stoją tam dwa zaprzężone w kuce wózki, wynajęta furgonetka, trzy dostawcze trójkołowce i banda płatnych od godziny gundów, podających sobie z rąk do rąk kartonowe pudła. Główny kelner Videsh, rozkręca stoły i ledwo unosi wzrok, gdy wbiegają Shiv i chłopak. Pani Ovary* siedzi w swoim kantorku i wybiera papiery z szafki na akta. Shiv stawia z hukiem termos na porysowanej blasze.

- Gdzieś się wybieramy?

- Przed chwilą posłałam chłopaka do ciebie.

- Nie było mnie. Załatwiałem sprawy. Ale mam coś takiego, nie? Wyciąga palmera.

- Shiv, tylko bezpieczna łączność. Nie to.

Pani Ovary to mała, gruba, niemal kulista kobieta z Kerali, z tłustym, długim do tyłka

warkoczykiem, którego od dwudziestu lat nie uwalniała z więzów. Dla swoich chłopaków jest Ajurwedyjską Matką, wciska im różne mikstury i proszki w papierkach. Ci, co wierzą, obdarzają ją prawdziwymi uzdrowicielskimi mocami. Shiv oddaje swoje Yogendrze, który opycha je turystom z Łodzi. Jej restauracja ma międzynarodową renomę, zwłaszcza wśród Niemców. Zawsze było w niej pełno bladych północnych Eurasów z tymi ponurymi minami, jakie ma się po trzydziestu dniach nieustannych problemów żołądkowych.

- Proszę mi coś wyjaśnić. Pani wywała wszystko do wózków, a to nagle... - wskazuje swoją chłodną, stalową butlę - ...zrobiło się trędowate.

Pani Ovary umieszcza w plastikowej teczce kilka arkuszy bilansowych. Zero skóry, w ogóle żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego. Ludzkie produkty do konsumpcji przez ludzi, to po ajurwedyjsku. Wchodzi w to także terapia embrionalnymi komórkami macierzystymi.

- Co wiesz o technologii nieblastulowych komórek macierzystych?

- To samo, co nasze, normalne, z zarodków, tylko że można wykorzystać dowolne komórki, z dowolnej części ciała, nie z embrionów. I na razie nikomu nie działa.

- Działa idealnie, od godziny jedenastej czasu wschodnioamerykańskiego. To, co tam masz, jest warte mniej niż ten termos.

Shiv znów widzi niesione prądem ciało. Widzi wydymające się za kobietą sari. Widzi ją na obdrapanym emaliowanym blacie Wszechazjatyckiej Kliniki Urody, otwartą pod chirurgiczną lampą. Nie cierpi marnotrawstwa. A zwłaszcza nie cierpi, kiedy niedoświadczony chirurg zamienia rutynową ekstrakcję jajników w krwawą jatkę.

- Zawsze znajdują się ludzie, których nie będzie stać na amerykańską technologię. Tu jest Bharat...

- Chłopcze, znasz pierwszą zasadę biznesu? Wiedzieć, kiedy się wycofać i ograniczyć straty. Moje koszty są potworne: lekarze, kurierzy, gliniarze, celnicy, politycy, radni, wszyscy nic, tylko wyciągają rękę. To wszystko się zaraz zawali. A ja nie zamierzam być wtedy pod spodem.

- Dokąd pani jedzie? - pyta Shiv.

- Chyba jasne, że ci nie powiem. Jeśli masz choć trochę rozumu, już dawno zdywersyfikowałeś swój biznes.

Shiva nigdy nie było stać na ten luksus. Na każdym etapie podróży z Chandni Basti do tej ajurwedyjskiej restauracji miał zawsze tylko jedną rzecz do wyboru. Moralność jest dla ludzi, którzy nie mieszkają na basti. Nie miał wyboru, włamując się do tej apteki. W latach Separacji każdy badmaś mógł sobie skombinować broń, jednak Shiv Faraji już wtedy wyróżniał się stylem. Styl to ukradziony terenowy nissan wbity w stalową roletę apteki. Siostra wyleczyła się z gruźlicy. Kradzione antybiotyki uratowały jej życie. Zrobił to, czego ojciec nie chciał i nie mógł zrobić. Pokazał im, co można osiągnąć odwagą i determinacją. Z pieniędzy aptekarza nie tknął nawet jednej

paisy. Radża bierze tylko to, czego potrzebuje. Miał dwanaście lat. O dwa mniej niż teraz jego adiutant Yogendra. Każdy krok był jedynym możliwym. To samo teraz, kiedy jajniki rozlazły mu się w palcach. Pojawi się jakaś okazja. Chwyci ją. To będzie jedyna okazja. Nie zrobi tylko jednego: nie ucieknie. To jego miasto.

Pani Ovary zatrzaskuje walizę.

- Przydaj się na coś. Daj zapalniczkę.

Stara, amerykańska, wojskowa, z czasów, kiedy weszli do Pakistanu. Z czasów, kiedy jeszcze wysyłali palących papierosy żołnierzy, nie maszyny. Madam Ovary podkłada ogień. Papiery zapalają się.

- Tutaj wszystko skończone - mówi. - Dziękuję ci za twoją pracę. Dobrze ci życzę, ale nie próbuj się ze mną kontaktować. W żadnym wypadku. Nie spotkamy się nigdy, więc żegnaj na zawsze.

W samochodzie Shiv wciska włącznik radia. Głędzenie. Ci didżeje nic, kurna, tylko gładzą, jakby to był jedyny sposób na odróżnienie ich od aeai: lejący się z ust nieprzerwany potok pierdół. Jak Ganges: ciągły potok gówna. Jesteś didżejem, to graj muzykę. Muzykę, którą chcą usłyszeć ludzie, która ich pocieszy, przypomni o czymś szczególnym albo skłoni do płaczu. Opiera głowę o szybę. W świetle wskaźników widzi swoją twarz w półprofilu, nałożoną jak duch na przechodniów. On jednak czuje się tak, jakby każdy, na kogo padnie jego obraz, odbierał mu kawałek czegoś. Pierdolone gładzenie.

- Chłopaku, gdzie mnie wiesz?

- Na walki.

Ma rację. W takiej podłej sytuacji nie ma lepszego miejsca. Shivowi nie podoba się jednak, że chłopak jest tak blisko, że ciągle obserwuje, przygląda się, ocenia.

„Walki! Walki!” - dudni klub. Shiv schodzi wąskimi schodkami, poprawia mankiety, pod mostek wbija mu się zapach krwi i pieniędzy i świeżego drewna i adrenaliny. Uwielbia to miejsce najbardziej na świecie. Zerka po klientach. Parę nowych twarzy. Tamta dziewczyna, na górze przy poręczy, ta z tym perskim nosem, próbująca wyglądać nonszalancko. Chwyta jej spojrzenie. Odwzajemnia je, całkiem długo. Może innym razem. Teraz konferansjer zapowiada kolejną rundę, Shiv idzie więc do stolika bukmacherów. Daleko, na Sonarpur Road straż pożarna gasi pożar restauracji, która zapaliła się od szafki na akta, w tym samym czasie stworzenie o anatomii dziesięciolatka i dwa razy większym apetycie przesuwa pulchne palce ku śakti joni swojej dziewczyny, a kobieta, która zginęła na darmo, dryfuje przez Ganges ku moksi, tu jednak są ludzie ruch światło śmierć taniec i strach i dziewczyna oprowadzająca po piaskowym ringu przepięknego siwo pręgowanego kocura. Shiv wyciąga z marynarki portfel ze skóry krokodyla, rozpościera banknoty w wachlarz i kładzie je na stole. Błękit. Ciągłe widzi ten błękit.

- Lach rupii - mówi Bachchan.

Shiv nie ma więcej pieniędzy, ani nadziei na więcej pieniędzy. Skryba Bachchana liczy gotówkę i wypisuje kwitek. Shiv siada przy ringu, a konferansjer krzyczy: „Walka! Walka!”. Tłum ryczy i zrywa się z miejsc, a Shiv wraz z nim, przyciskając swoją erekcję do drewnianej balustrady. I wtedy intensywny błękit opuszcza go: na piasku leży mięso siwego pręgowanego mikroszabli, a sto tysięcy ląduje w skórzanej sakwie sattamana. Chce mu się śmiać. Nagle rozumie nauczanie sadhu: błogosławieństwem nie mieć niczego.

W samochodzie śmiech wyrywa się z niego. Shiv wali głową raz za razem w szybę. Po twarzy spływają mu łzy. Wreszcie odzyskuje oddech. Wreszcie może mówić.

- Jedź do Murfiego - rozkazuje. Jest potwornie głodny.

- Za co?

- W schowku są jakieś drobne.

Tea Lane gromadzi swoje dymy i wyziewy pod kopulastymi parasolami. Nie służą żadnym meteorologicznym celom. Murfi twierdzi, że jego parasol chroni przed światłem księżyca, które ma za złowrogie. Murfi twierdzi różne rzeczy, a przede wszystkim twierdzi, że ma takie imię. Podobno irlandzkie. Irlandzkie jak sadhu Patryk.

Tea Lane wyrosła, żeby karmić ludzi, którzy budują Ranapur. Za straganami z gorącym jedzeniem, przyprawami i owocami na ulicę otwierają się drewniane okiennice prawdziwych herbaciarni, wypływając na jezdnię blaszane stoliki i składane krzeselka. Nad cichym sykiem palników gazowych i jazgotem nakręcanych odbiorników radiowych plujących Hitami Hindi, z setek wiszących na ścianie telewizorów leci niekończąca się fala serialowego dialogu. Na pinezkach wisi dziesięć tysięcy kalendarzy z serialowymi boginiami.

Shiv wychyla się z okna, odliczając ostatnie drobniaki w małej dłoni Murfiego.

- A dla niego trochę tej pizza pakory. - Dla Shiva to jak pakora z małpiego gówna, Yogendra uważa jednak, że ta przekąska to szczyt zachodniego szpanu. - Murfidzi, mówisz, że możesz wsadzić do pakory, co tylko zechcesz. Spróbuj tego.

Murfi odkręca termos, odgarnia opary suchego lodu, usiłuje zajrzeć do środka.

- Eee, co tam jest?

Shiv mu wyjaśnia. Murfi krzywi się, rzuca termos z powrotem Shivowi.

- No nie, zatrzymaj je sobie. Nigdy nie wiesz, na co ktoś może mieć smaka.

To nie ma związku z kuchnią Murfiego, ale pomiędzy pierwszym a drugim kęsem apetyt Shiva gdzieś się ulatnia. Wszyscy ludzie patrzą w jedną stronę. Gdzieś poza niego. Shiv wyrzuca gazetę pełną smażonych różności. Bezdomne psy rzucają się na nie. Wyrywa Yogendrę jego panierowane gówno.

- Wywal to gówno i jedziemy stąd.

Yogendra wciska pedał, a gdy z poślizgiem rusza opustoszałą ulicą, coś uderza w dach tak mocno, że merol przysiadła na osiach. Amortyzator eksploduje jak granat, coś niebiesko błyska, śmierdzi spaloną elektroniką. Samochód kołysze się na trzech pozostałych punktach zawieszenia. Na górze coś się rusza. Yogendra kręci, kręci i kręci rozrusznikiem, ale silnik nie chce zapalić.

- Spieprzamy - rzuca Shiv, gdy przez dach przebija się ostrze.

Długie, krzywe jak sejmitar, ząbkowane, lśniące jak stal chirurgiczna, przebija mercedesa od dachu po tunel wału. Shiv i Yogendra wykoziółkują na Tea Lane, a klinga tnie dalej, patrosząc tłoczony stal jak składane w ofierze dziecko.

Teraz Shiv widzi, co walnęło w dach tej kupy niemieckiego złomu za sześćdziesiąt milionów rupii, i myśli, że już nie żyje: przedstawienie paraliżuje go tak jak wszystkich gapiów na Tea Lane. Szyba rozsypuje się w drobny mak, gdy ostrze bojowego robota kończy pierwsze przejście. Dolne, chwytne ramiona łapią brzegi w miejscu przecięcia i rozrywają dach. Tępy fallus działka elektromagnetycznego śledzi Shiva na ulicy, wbija weń swoje jednookie spojrzenie. To mu nic nie robi. Shiv gapi się jak zahipnotyzowany na wielkie ostrze, które wydobywa się z wraku niegdyśszego merola siódemki i ustawia do poziomego cięcia. Maszyna unosi się na odnóżach i podchodzi do niego. Na boku wciąż ma numer seryjny oraz mały gwiazdzisty sztandarek, ale Shiv wie, że jego pilotem nie jest jakiś osiemnastolatek o refleksie gracza, uzależniony od metamfetaminy, wpięty w sieć dwadzieścia pięter pod ziemią, gdzieś na amerykańskich Wielkich Równinach. To będzie ktoś w budzie tej furgonetki bez okien, na tyłach czynnego całą dobę kina, ktoś kto pali bidi i wymachuje rękoma w cyberprzestrzeni, imitując taniec bogini Kali. Ktoś, kto go zna.

Shiv nie próbuje uciekać. Te maszyny wyciągają stowę w galopie i kiedy tylko zwęszą twoje DNA, przebija się ostrzami przez każdą przeszkodę, aż dotrą do twojego miękkiego podbrzusza. Miejski Robot Bojowy nachyla się nad nim. Mała, wredna główka modliszki opuszcza się, kręcąc się obiektywy czujników. Shiv się rozluźnia. To na pokaz dla ulicy.

- Pan Faraji? - Shiv prawie wybucha śmiechem. - Informacja dla pana: od tej chwili wszystkie pana długi i finansowe zobowiązania wobec pana Bachchana przejmuje Agencja Windykacyjna Ahimsa.

- Bachchan windykuje moje konto?! - krzyczy Shiv, patrząc na resztki ostatniej oznaki jego statusu, wypatroszone na ulicy, broczące alkopaliwem.

- Dokładnie, panie Faraji - odpowiada robot. - Pana należności wobec Zakładów Sportowych Bachchana wynoszą obecnie osiemnaście milionów rupii. Ma pan od dzisiaj jeden tydzień na uregulowanie całości, w przeciwnym razie przejdziemy do kolejnych kroków windykacyjnych.

Machina odwraca się na tylnych nogach, spręży i przeskakuje przez stragany z herbatą, przysiadła i człapie ku skrzyżowaniu.

- Ej! - woła za robotem Shiv. - Może by tak fakturę? - Podnosi kawałki niemieckiej inżynierii

precyzyjnej i ciska nimi za windkatorem długów.

ROZDZIAŁ 11 LISA, LULL

- No dobrze, pani Durnau, a pani najlepszy pomysł? - zapytał Thomas Lull. Siedział po drugiej stronie szerokiego biurka, na którym leżało jej CV i prezentacja, oraz na tle okna widokowego, wychodzącego na szeroką rzekę Kansas. Był najgorętszy czerwiec stulecia. - Gdzie pani była, kiedy przyszedł pani do głowy?

(Ta retrospekcja błysnęła jej dwadzieścia dwie godziny od ISS i dwadzieścia sześć od Darnleya 285, kiedy była napchana po uszy kosmicznymi lekami i wetknięta w zapinany na suwak wór przyczepiony rzepami do ściany kapsuły transportowej, żeby nie przeszkadzać kapitan-pilot Beth, która miała lekko zatkaną prawą dziurkę nosa i przy oddychaniu pogwizdywała rytmicznie, aż ten odgłos wypełniał Lisie Durnau cały wszechświat).

Nikt w życiu nie widział jeszcze takiego czerwca - ani personel na lotnisku, ani dziewczyna w wypożyczalni samochodów, ani uczelniany ochroniarz, którego zapytała o drogę. To było coś więcej niż gorący prąd z wybrzeża Peru czy przedśmiertna drgawka Golfsztromu. Klimatologia weszła w strefę zakazaną, gdzie nie dawało się już niczego przewidywać. Thomas Lull przejrzał jej CV, zerknął na pierwszą stronę prezentacji, a kiedy wyświetliła pierwszy slajd, zatrzymał ją tym pytaniem jak podkrecona piłka.

Lisa Durnau nadal pamięta przyływ złości. Przycisnęła dłonie do nogawek eleganckiego kostiumu, żeby ją stłumić. Kiedy je uniosła, na kolanach miała dwa mokre ślady, jak ostrzeżenia przed urokiem.

- Panie profesorze, zawodowa uprzejmość wymaga, żeby poświęcił mi pan trochę uwagi.

Mogła spokojnie zostać w Oksfordzie. Dobrze jej było w Oksfordzie. Carl Walker sprzedałby własne organy, żeby zatrzymać ją w Keble. Lepszy doktoranci niż ona wracali zdruzgotani z tego miasta pastuchów, gdzie szkoły na mocy prawa wciąż nauczały o Inteligentnym Projekcie. Lecz jeśli najlepszy na świecie ośrodek badań nad cyberżyciem leżał na wzgórzu w Pasie Biblijnym, Lisa Durnau musiała wspiąć się na to wzgórze. Mimo że odrzuciła ojcowską chrześcijańską wizję świata jeszcze zanim rodzice się rozstali, prezbiteriański upór i samodzielność miała wplecione w DNA. Nie zamierzała pozwolić temu facetowi wytrącić się z równowagi.

- Może pani zasłużyć na moją uwagę - odparł - odpowiadając na to pytanie. Chcę poznać pani natchnienie. Chwilę, w której trafia w panią jak błyskawica. Chwilę, w której od siedemdziesięciu godzin wspomaga się pani kawą i deksedryną, bo wie pani, że jeśli odpuści, choćby na moment, coś ucieknie. Chwilę, w której idea wylania się z pustki i ukazuje, kompletna, pełna, gotowa. Chcę wiedzieć, gdzie, kiedy i jak to panią trafiło. Nauka to kreacja. Nie interesuje mnie nic poza tym.

- Okej - mówi Lisa Durnau. - To było w damskiej toalecie na stacji Paddington w Londynie.

Profesor Thomas Lull rozpromienił się i rozparł w fotelu.

Grupa Kosmologii Poznawczej spotykała się dwa razy w miesiącu w gabinecie Stephena Sangera w londyńskim Imperial College. Była to jedna z tych rzeczy, o których Lisa wiedziała, że powinna się kiedyś za to zabrać, ale i tak pewnie to nigdy nie nastąpi - coś, jak zapisywanie wydatków, albo posiadanie dzieci. Carl Walker wysyłał jej na DW grupowe notatki i streszczenia. Były intelektualnie stymulujące, nie wątpiła, że członkostwo w grupie wyrobiłoby jej nazwisko i posunęło karierę do przodu, oni jednak podchodzili do tematu od strony kwantowej teorii informacji, a myśli Lisy poruszały się po topologicznych krzywych. Potem sporządzane co dwa miesiące raporty zaczęły oddalać się od kwantowoinformacyjnego bełkotu w stronę spekulacji, że Sztuczna Inteligencja mogłaby w istocie być równoległym światem, zbudowanym z komputerowego kodu tak samo, jak krużganki i chórzyści Oksfordu - z cząstek elementarnych i DNA. To już była jej parafia. Przez miesiąc opierała się, potem Carl Walker zabrał ją na piątkowy lunch, który skończył się o północy w jamajskiej restauracji, pić imbirowego guinnessa i kołysaniem się do *Towers of Dub*. Dwa dni później znalazła się w sali konferencyjnej na czwartym piętrze, gdzie jadła na śniadanie czekoladowe croissanty i uśmiechała się o wiele za dużo do czołowych myślicieli tego kraju, zajmujących się miejscem umysłu w konstrukcji wszechświata.

Wszyscy uzupełnili kubki z kawą i zaczęła się dysputa. Jej szybkość zapierała Lisie dech w piersiach i rozwiewała włosy. Notatki w ogóle nie oddawały rozległości i zróżnicowania dyskusji. Poczła się jak grube dziecko na meczu koszykówki - wszystkie chwyt i skoki za późno i za wolno. Kiedy już dorywała się do głosu, odpowiadała na coś sprzed trzech innych idei, a konwersacja pędziła dalej. Słońce przesunęło się nad Hyde Parkiem, a Lisa Durnau czuła, że ogarnia ją rozpacz. Byli szybcy i błyskotliwi i mylili się strasznie strasznie strasznie, a ona nie mogła dojść do głosu, żeby im to powiedzieć, już się nudzili tym tematem. Wydawało się im, że wydoili go ze wszystkiego i trzeba iść dalej. Zaraz przepadnie okazja. Chyba że im powie. Teraz zaraz natychmiast. Jej prawe przedramię leżało płasko na stole. Powoli uniosła je do pionu. Skupiły się na nim spojrzenia wszystkich zebranych. Nastąpiła nagła, przeraźliwa cisza.

- Przepraszam - odezwała się Lisa Durnau. - Mogę coś powiedzieć? Chyba się mylicie.

I opowiedziała im o koncepcji, według której życie, umysł, inteligencja powstają z podstawowych właściwości wszechświata równie mechanicznie jak siły fizyczne czy materia. O tym, że CyberZiemia to model innego wszechświata, który mógłby istnieć w poliwersum, wszechświata, gdzie umysł to nie emergentne zjawisko, lecz coś fundamentalnego, jak stała struktury subtelnej, jak omega, jak zestaw wymiarów. Wszechświat, który *myśli*. „Jak Bóg” - powiedziała i już wypowiadając te słowa, dostrzegła luki, skazy, nieprzemyślane fragmenty i wiedziała, że widzą je wszystkie osoby zebrane wokół tego stołu. Słyszała swój własny głos, napastliwy, tak strasznie pewny siebie; była taka pewna, że w wieku dwudziestu czterech lat zna wszystkie odpowiedzi. Ucichła do przepraszającego mamrotania.

- Dziękuję za tę wypowiedź - powiedział Stephen Sanger. - Sporo interesujących koncepcji...

Nawet nie dali mu skończyć zdania. Chris Drapier z Wydziału Sztucznych Inteligencji Poziomu Trzeciego z Cambridge uderzył pierwszy. Był najbardziej obcesowy, najgłośniejszy i najbardziej pedantyczny, a w dodatku Lisa przyłapała go, jak w kolejce do termosu z kawą gapi się na jej tyłek.

Nie ma sensu wyciągać jakichś argumentów *deus ex machina*, kiedy kwantowa teoria informacji ma już wszystko całkiem elegancko pozszywane do kupy. To zakrawa na witalizm - nie, to *mistycyzm*. Następna była Vicki McAndrews z Imperiala. Wypatrzyła jedną dyndającą teoretyczną nitkę, pociągnęła za nią i cała konstrukcja runęła. Lisa nie dysponowała topologicznym modelem przestrzeni, ani choćby mechanizmem opisanego tego *wszechświata, który myśli*. Lisa natomiast słyszała tylko ów wysoki pisk, z tyłu, za oczami, jaki rozlega się, kiedy masz ochotę się rozplakać, ale ci nie wolno. Siedziała zanihilowana między kubkami po kawie i plamami po czekoladowych croissantach. Nie miała o niczym pojęcia. Nie miała talentu. Okazała się bezczelna i głupia, mieląc ozorem, podczas gdy każdy rozsądny doktorant siedziałby, kiwał głową, dolewał wszystkim kawy i podawał ciasteczka. Jej gwiazda znalazła się na bezwzględnym dnie. Kiedy chyłkiem uciekała, Stephen Sanger rzucił parę słów pociechy, ona jednak była zdruzgotana. Przepląkała cały Hyde Park i drogę przez Bayswater na dworzec Paddington. W dworcowej restauracji wytrąbiła pół butelki słodkiego wina, bo wyglądało na to, że ta pozycja w menu pozwoli najszybciej się nawalić. Siedziała przy stole, dygocząc ze wstydu, połykając łzy i nabierając pewności, że jej kariera jest skończona, że tego nie potrafi, że nawet nie rozumie, o co im chodziło. Pęcherz odezwał się dziesięć minut przed godziną odjazdu. Usiadła w kabinie toalety, z dzinsami spuszczonej do kolan, starając się nie szlochać na głos, bo przy akustyce londyńskich dworcowych toalet wszyscy by to usłyszeli.

I wtedy zobaczyła. Nie wiedziała co właściwie. Gapiała się na drzwi kabiny - nie miało to ani kształtu, ani formy, ani słów, ani twierdzeń. Ale było, kompletne i niewyobrażalnie piękne. Lisa Durnau wypadła z kabiny, pobiegła do sklepu Paperchase'a, kupiła blok i wielki mazak. Potem popędziła na pociąg. Nie zdążyła. Gdzieś pomiędzy piątym a szóstym wagonem trafiło ją jak błyskawica. Dokładnie wiedziała, co ma zrobić. Szlochając, klęknęła na peronie, a jej rozdygotane ręce usiłowały zapisywać równania. Idee lały się przez nią strugą. Była spięta na krótko z kosmosem. Wieczorna zmiana obchodziła ją wokół, nawet nie spojrzawszy. Wszystko w porządku, chciała im powiedzieć. Wszystko bardzo w porządku.

Teoria M-gwiazdy. Przez cały czas miała ją przed samym nosem. Jak mogła nie dostrzec? Jedenaście wymiarów zwiniętych w rozmaitość Calabiego-Yaua, trzy rozpostarte, jeden czasowy, siedem zwiniętych poniżej długości Plancka. Ale uchwyty, czyli otwory w tych kształtach, narzucały energię skręcenia superstrun, a zatem i harmoniczne, będące podstawowymi fizycznymi własnościami. Musiała tylko zamodelować CyberZiemie jako rozmaitość Calabiego-Yaua i wykazać jej równowagę ze strukturą możliwą w ramach teorii M-gwiazdy. To wszystko tkwiło w tej strukturze - krył się w niej wszechświat z wbudowanym pokładowym komputerem. Umysły były tam osnową rzeczywistości, a nie czymś otorbionym w wyewoluowanym węglu, jak w naszym bąblu poliwersum. Proste. Takie proste.

Przez całą drogę pociągiem do domu płakała z radości. Siedząca naprzeciwko para młodych Francuzów-turystów, dotykała się nerwowo za każdym razem, gdy Lisę targał nowy atak rozkoszy. Przez cały tydzień, kiedy spisywała swe przemyślenia, ataki radości zmuszały ją do wychodzenia z pokoju i wałęsania się po Oksfordzie. Każdy budynek, każda ulica, sklep i osoba napełniały ją przemożnym zachwytem nad życiem i ludzkością. Była zakochana we wszystkim, w każdym drobiazgu.

Carl Walker przekartkował brudnopis, przy każdej kartce uśmiechając się szerzej i szerzej.

Wreszcie powiedział:

- No to im pokazałaś. Skurwielom.

Siedząc w zaklimatyzowanym na śmierć gabinecie Thomasa Lulla, Lisa Durnau wciąż potrafiła poczuć emocjonalne pozostałości tamtej eksplozji, jak mikrofalowe echo ogni Wielkiego Wybuchu. Thomas Lull zakręcił się w fotelu i nachylił ku niej.

- Świetnie - powiedział. - Musisz wiedzieć dwie rzeczy o tym przybytku. Klimat jest tu chujowy jak mało gdzie, za to ludzie bardzo życzliwi. Bądź dla nich miła. Mogą ci się przydać.

Dziś, dla rozrywki Thomasa Lulla, doktor Darius Ghotse wiezie w koszu swojego trójkołowego roweru, którym kursuje wzdłuż plaży Thekkady, zestaw nagrań klasycznego angielskiego słuchowiska komediowego *Its That Man Again*. Już wyobraża sobie, jak wkłada plik do maszyny profesora Lulla, słyszy głęboki głos wyśpiewujący tytułową piosenkę.

- To ma sto pięćdziesiąt lat! - powie wtedy. - Kiedy na Londyn spadały bomby, siedzieli w tunelach metra i słuchali tego!

Doktor Ghotse kolekcjonuje stare programy radiowe. Na łódź Thomasa Lulla przyjeżdża przeważnie w porze śniadania; siadają sobie wtedy pod szalosem z palmowych liści, żeby popijać čaj i słuchać obcego humoru *The Goons* albo hiperrealistycznej komedii *Blue Jam* Chrisa Morrisa. Doktor Ghotse szczególnym uwielbieniem darzy radio BBC. Jest wdowcem i emerytowanym pediatrą, ale w głębi duszy jest przede wszystkim Anglikiem. Żałuje, że Thomas Lull nie zna się na krykcie. Mógłby się wtedy podzielić z nim tymi wszystkimi klasycznymi komentarzami Aggersa i Johnnersa.

Grzechocze rowerkiem na pełnej kolein uliczce biegnącej wzdłuż zalewu, oganiając się kopnięciami od kur i niesfornych psów. Bez hamowania skręca starym trójkołowcem ze ścieżki prosto na trap, a z niego na długą, zadaszoną matą łódź kettuwallam. Ten manewr wykonywał już wiele razy. Nigdy jeszcze nie wpadł do wody.

Thomas Lull ma na kokosowym dachu wymalowane tantryczne symbole, a na kadłubie białą nazwę: *Salve Vagina*. Poważnie obrażają uczucia miejscowych chrześcijan. Ksiądz sam go o tym poinformował. Thomas Lull w odpowiedzi poinformował go, że on (ksiądz) może jego (Lulla) krytykować, jeśli zdoła uczynić to łaciną równie nieskazitelną, jak nazwa łodzi. Mała, ale mocna antena satelitarna jest przytwierdzona taśmą klejącą w najwyższym punkcie pochyłych mat zadaszona. Na rufie pomrukuje alkoholowy generator.

- Profesorze? - Doktor Ghotse pochyla się pod niskim okapem, wysoko unosząc odtwarzacz. Łódź, jak zawsze, pachnie kadzidłem, alkoholem i nieświeżym jedzeniem. Gra kwintet Schuberta, niezbyt głośno. - Profesorze?

Znajduje profesora Lulla w jego małej, schludnej sypialni, przypominającej drewnianą muszlę.

Na nieskazitelnie czystej bawełnie leżą koszule, spodnie i skarpetki. Porządnie składa koszulki: boki do środka, potem na trzy razy. Przez tyle lat żył na walizkach, że stało się to niemal drugą naturą.

- Co się stało? - pyta doktor Ghotse.

- Trzeba wyjeżdżać - odpowiada Thomas Lull.

- Czyli kobieta? - Doktora zawsze konsternował ten apetyt Lulla na dziewczyny z plażowego klubu i powodzenie u nich. Mężczyźni w późniejszej fazie życia powinni być samowystarczalni, bez żadnych dodatków.

- Można tak powiedzieć. Poznałem ją wczoraj wieczorem w klubie. Miała atak astmy. Uratowałem ją. Tam zawsze znajdzie się ktoś, kto sobie przysmaża salbutamolem tętnice wieńcowe. Zaproponowałem, że nauczę ją paru sztuczek Butejki, a ona odwróciła się i powiedziała: „To do zobaczenia jutro, panie profesorze Lull”. Darius, ona zna moje nazwisko. Trzeba wyjeżdżać.

Kiedy doktor Ghotse poznał Lulla, ten pracował w sklepie ze starymi płytami - plażowy żul wśród starodawnych kompaktów i winyli. Doktor był niedawno owdowiałym emerytem, łagodzącym ból kolejnymi zesłowiecznymi śmiesznościami. W tym sardonicznym Amerykaninie znalazł pokrewną duszę. Na rozmowach i wspólnym słuchaniu nagrań upłynęły całe popołudnia, jednak dopiero po trzech miesiącach doktor Ghotse zaprosił człowieka ze sklepu płytowego na popołudniową herbatę. Pięć wizyt później, gdy popołudniowa herbata zmieniła się w wieczorny dżin z podziwianiem zza palm wspaniałego zachodu słońca, Thomas Lull wyjawiał mu swoją prawdziwą tożsamość. Z początku doktor był urażony, że człowiek ze sklepu płytowego, którego poznał, był postacią zbudowaną z kłamstw. Potem poczuł ciężar: nie chciał być odbiorcą tęsknoty i gniewu tego człowieka. Na koniec zaś był dumnym posiadaczem tajemnicy w najlepszym, światowym gatunku, za którą kanały informacyjne dałyby mu fortunę. Zaufano mu. Wreszcie zdał sobie sprawę, że zapoznając się z Lullem, miał taki sam plan: znaleźć kogoś, kto wysłucha, komu się zaufa.

Doktor Ghotse chowa odtwarzacz do kieszeni bluzy. Nie będzie dziś *Its That Mam Again*. Ani jutro, ani kiedykolwiek, jak się zdaje. Thomas Lull unosi tomik Blake'a w twardej oprawie, który leżał obok każdego łóżka w jego życiu. Waży go w dłoni i wkłada do walizki.

- Chodźmy, nastawiłem kawę.

Rufa łodzi otwiera się w zaimprovizowaną werandę, osłoniętą wszechobecnymi kokosowymi matami. Doktor Ghotse pozwala Lullovi nalać dwie kawy, choć niespecjalnie lubi kawę, i wychodzi za nim między dwa już znajome fotele. Kąpiące się dzieciaki chlupią wodą, o dwa stopnie jaśniejszą i chłodniejszą niż kawa.

- No i? - pyta doktor. - Gdzie pojedziesz?

- Na południe - odpowiada Lull.

Dopóki się nie odezwał, nie miał pomysłu. Odkąd przycumował do brzegu zalewu stary kettuwallam do wożenia ryżu, jasno mówił, że będzie tu tylko dopóki wiatr nie wydmuchnie go gdzie

indziej. Wiatr dmuchał, palmy się chwiały, chmury przelatywały, nie roniąc deszczu, a Thomas Lull tkwił na miejscu. Z czasem pokochał tę łódź i poczucie plażowego wykorzenienia - fakt, że nigdy nie będzie musiał przed nikim się wykazywać. Ale ona знаła jego nazwisko.

- Może na Lanke.

- Wyspa demonów - mówi doktor Ghotse.

- Wyspa plażowych barów - ripostuje Lull. Schubert dociera do końca. Wodne dzieciaki nurkują i pluskają, śniade, uśmiechnięte twarze pokryte drobnymi kroplami. Pomysł jednak wrył mu się w głowę i nie chce wyjść. - Może nawet popłynąłbym łodzią do Malezji albo Indonezji. Są tam wyspy, na których nikt nie pozna mojej twarzy. Mógłbym sobie otworzyć małą, fajną szkółkę nurkowania. O, no właśnie... A zresztą, nie wiem.

Odwraca się. Doktor Ghotse też to czuje. Od mieszkania na wodzie robisz się wrażliwy na wibracje jak rekin. *Salve Vagina* kołysze się delikatnie od kroków na trapie. Ktoś wszedł na pokład. Gdy przemieszcza się po nim, kettuwallam lekko się przechyla.

- Halo? Tam jest bardzo ciemno. - Aj przykuca i przechodzi pod kokosową matą na rufowy pokład. Ma na sobie ten sam powiewny szary strój co wczoraj wieczorem. W dziennym świetle jej tilaka jeszcze bardziej rzuca się w oczy. - Przepraszam, widzę, że jest z panem doktor Ghotse. To ja przyjdę później...

Powiedz to, myśli Thomas Lull. Jej bogowie dali ci jedną szansę - odeślij ją, zniknij i nie oglądaj się za siebie. Tylko że ona, nie spotykając go, znała jego nazwisko, zna też nazwisko doktora Ghotse, a Thomas Lull nie potrafi odpuścić sobie żadnej tajemnicy.

- Nie, nie, proszę zostać, jest kawa.

Należy do ludzi, u których uśmiech odmienia całą twarz. Klaszcze w dłonie ucieszona tym drobiazgiem.

- Z przyjemnością, bardzo dziękuję. Już przepadł.

Piknięcie oznaczające pół godziny. Lisa Durnau wynurza się z głębokiej otchłani wspomnień. Kosmos, zauważa, to wymiar w sam raz dla pałaczy marychy.

- Halo - skrzeczy. - Jest tu gdzieś jakaś woda? - Jej mięśnie zaczynają się kurczyć i więdnąć.

- Masz po prawej rurkę - mówi kapitan-pilot Beth, nie odrywając wzroku od wskaźników.

Lisa wygina się i siorbie ciepłą, stęchlą destylowaną wodę. Koledzy pani pilot ze stacji, płci męskiej, gadają z nią i flirtują. Nigdy nie przestają gadać i flirtować. Lisa zastanawia się, czy im w ogóle udaje się za coś naprawdę zabrać, czy są tak wychudzeni i osłabieni, że od czegokolwiek choć trochę podobnego do rżniątka przełamaliby się na pół? Podkrada się do niej nowe wspomnienie.

Jest z powrotem w Oksfordzie, biegnie. Uwielbiała tam biegać. W mieście było pełno ścieżek i zieleni, a aktywność fizyczna zajmowała poczesne miejsce w studenckiej kulturze. Wybrała swoją dawną trasę z czasów college'u Keble, wzdłuż kanału, przez zieleńce wokół college'u Christ Church, w górę Bear Lane, na High Street, tam pomiędzy przechodniami do bramy All Souls i dalej, na Park Road. Miłe ćwiczenie, bezpieczne, dobrze znane stopom. Dzisiaj skręciła w prawo i tyłami Merton College, potem przez ogród botaniczny, przebiegła do Magdalen, gdzie odbywała się konferencja. Oksfordowi było z latem do twarzy. Na trawie biwakowały grupy studentów. Z boiska niesły się głuchoe futbolowe kopnięcia i krzyki, odgłosy, za którymi tęskniła w Kansas. Także za światłem, tym osobliwym złotym blaskiem angielskiego wieczoru, obiecującego uwodzicielską noc. Na wieczór miała zaplanowany prysznic, szybkie spojrzenie na kompletnie nieoczekiwane masowe wymieranie gatunków morskiej biosfery Alterre oraz kolację w High Table, zamykając konferencję oficjalną w sukienkach i marynarkach. O wiele bardziej wolałaby być na ulicach, z ludźmi, ze złotym światłem, jak ćma muskającym nagą skórę.

W jej pokoju czekał Lull.

- Widzę cię, L. Durnau - powiedział. - Widzę cię w tych bezsensownych, króciutkich, obcisłych lycrowych spodenkach i tym mini topie, z tą butelką wody. - Podszedł ku niej. Cała się świeciła i śmierdziała potem. - I zaraz ci zdejmę te bezsensowne, króciutkie spodenki.

Chwycił obiema dłońmi za elastyczną gumkę i zerwał z niej szorty i majtki. Lisa Durnau cicho jęknęła. Jednym ruchem zdjęła koszulkę do biegania, zrzuciła z nóg buty i skoczyła na niego, owijając go nogami w tali. Spleceni ze sobą, poczłapali pod prysznic. Gdy on walczył ze swoim ubraniem i przeklinał obcisłe skarpetki, polewała się wodą. Wskoczył do brodzika, przycisnął ją do wykafelkowanej ściany. Lisa uniosła biodra, jeszcze raz owinięła go nogami, próbując trafić waginą na jego fiuta. Lull cofnął się o krok, delikatnie ją odsunął. Lisa pochyliła się i stanęła na rękach, obejmując teraz nogami jego tors. Thomas Lull pochylił się, wsunął jej język. Lisa, na wpół utopiona, na wpół w ekstazie, chciała krzyżeć, ale się powstrzymywała. O wiele przyjemniej jest z tym walczyć, na wpół uduszona, odwrócona, podtopiona. Potem jeszcze raz przyszpiliła go udami, wziął ją, owinięta wokół siebie, rzucił na łóżko i pieprzył się z nią, aż w budynku oddzwoniono ciszę nocną.

W restauracji High Table usiadła obok Duńczyka-doktoranta, cała rozmarzona, że może na żywo rozmawiać z pomysłodawcą projektu Alterre. Thomas Lull pośrodku stołu dyskutował z Mistrzem o społecznym darwinizmie terapii genowej. Poza unoszeniem wzroku na niektóre jego stwierdzenia, jak: „Zabijmy tych Braminów teraz, kiedy jeszcze nie ma ich za dużo”, udawała, że go nie widzi. Takie były zasady. Rzec toczyła się wyłącznie na konferencjach. Zaczęta na jednej, na kolejnych realizowała się w pełni. Kiedy osiągnie swój wyznaczony koniec, warunki i zasady rozstania też zostaną ustalone pomiędzy punktami konferencji. A dopóki to nie nastąpi, seks jest po prostu fantastyczny.

Lisa Durnau zawsze uważała seks za coś odpowiedniego dla innych ludzi, ale nigdy nie był wpisany w jej scenariusz. Nie widziała w nim nic nadzwyczajnego, mogłaby spokojnie obyć się bez seksu. I wtem, z najbardziej nieoczekiwaną osobą, w najbardziej niedogodnej relacji, odkryła seksualność, w której mogła wykorzystać swoją naturalną sprawność fizyczną. Oto miała partnera, który lubi ją spoconą, słoną w smaku, w ukochanym stroju do biegania, który lubi *al fresco* i *al*

dente, przyprawione aspektami libido, które tłumiła w sobie od dwudziestu lat. Wysportowana córka pastora Durnaua nie praktykowała takich rzeczy jak udawany gwałt albo tantra. W owym czasie zwierzała się z sekretów siostrze, Claire, mieszkającej w Santa Barbara. Wieczorami wisały na telefonie, wchodząc we wszystkie brudne szczególiki i trzęsąc się ze śmiechu. Żonaty facet. I do tego jej szef. Teoria Claire głosiła, że dzięki temu posmakowi tajemnicy i nielegalności Lisa spełnia własne fantazje.

Zaczęło się w Paryżu, na lotnisku de Gaulle'a, w poczekalni odlotów Terminalu 4. Lot na O'Hare się opóźniał. Jakaś awaria kontroli lotów w Brukseli spowodowała zator sięgający aż na Wschodnie Wybrzeże. BAA142 wisiał na tablicy z czterogodzinnym opóźnieniem. Lisa i Lull wracali po intelektualnie wyczerpującej tygodniowej obronie lullowskiego argumentu, że odróżnienie „realnego” od „wirtualnego” jest pozbawionym znaczenia szowinizmem, przed ciężkimi atakami grupy francuskich neorealistów. O tej porze Lisa chciała już tylko wczłgać się po schodkach do domu i sprawdzić, czy pan Cheknavorian z naprzeciwka podlał jej zioła. Tablica zaklekotała, opóźnienie wzrosło do sześciu godzin. Lisa jęknęła. Odbębniła mejle. Uzpełniła finanse. Zajrzała do Alterre, w sennej fazie pomiędzy nagłymi wybuchami ewolucji. Była trzecia rano; z tej nudy, zmęczenia i zawieszenia w pustce jaskrawo oświetlonej poczekalni pomiędzy państwami, nagle oparła głowę na ramieniu Lulla. Poczula, że przysuwa się do niej, zaczęli się całować. I po chwili wymknęli się do lotniskowych pryszniców, gdzie gość z obsługi wręczył im po ręczniku i szepnął: „*Vive le sport*”.

Lubiła towarzystwo Thomasa Lulla. Był zabawny, umiał mówić, miał poczucie humoru. Wiele ich łączyło: wartości, poglądy. Filmy, książki. Jedzenie: legendarne Meksykańskie Piątki. Od tego wszystkiego dość daleko było jednak do pieprzenia się od tyłu na mokrej terakocie kabiny prysznicowej Terminalu 4, choć w pewnym sensie... wcale nie. Bo gdzie się zaczyna miłość, jak nie w bliskości? Zaczynasz lubić to, co widzisz codziennie. Chłopaka po drugiej stronie płotu. Kolegę spotykanego przy baniaku z wodą. Przyjaciela przeciwnej płci, z którym zawsze byłaś blisko. Wiedziała, że zawsze coś do Lulla czuła - po prostu nie umiała tego nazwać, ani w żaden sposób zadziałać, dopóki wyczerpanie, frustracja i zaburzenie nie wytrąciły jej z własnej Liso-Durnauowości.

On już takie miewał. Pamiętał imiona ich wszystkich oraz niektóre twarze. Opowiedział jej o nich, kiedy reszta wróciła do rodzin i partnerów, a zostało tylko ich dwoje, dzbanek margarity i dopalające się oliwne lampki. Nigdy nie studentki, jego żona była zbyt dobrze znana w kampusie. Przeważnie jednorazowe numerki na wyjazdowych konferencjach, raz mejlowy romans z pewną pisarką z Sausalito. A teraz ona, kolejne nacięcie na nodze od łóżka. Nie umiała powiedzieć, w którym miejscu to się skończy. Ale nadal kręciły ich prysznice.

Po kolacji i drinkach wyplątali się z konwersacyjnego supła i przez mosty na Cherwell udali do tańszej części miasta. Były tu studenckie bary, które nie poddały się korporacyjnemu usieciowieniu. Z jednego piwa zrobiły się dwa, potem trzy, bo lali tu sześć niepasteryzowanych gatunków.

W połowie czwartego Lull powiedział:

- L. Durnau. - Uwielbiała to określenie. - Gdyby coś się ze mną stało, wszystko jedno co, tak się mówi, „gdyby coś się stało”, prawda? Zajmiesz się Alterre?

- Jezu, Lull. - Tak do niego mówiła. Lull i L. Durnau. Za dużo L i U. - Spodziewasz się czegoś? Coś... masz?

- Nie, nie, nie. Po prostu, nigdy nic nie wiadomo. Tobie ufam, że byś je poprowadziła jak trzeba. Żeby nie oblepiali chmur jakimiś pieprzonymi reklamami coca-coli.

Reszty niepasteryzowanych, niefiltrowanych nigdy nie spróbowali. Gdy szli ku akademikom przez ciepłą, zgiełkliwą noc, Lisa powiedziała:

- Tak. Zajęłabym się. Jeśli tylko przekonasz kadrę, mogę się opiekować Alterre.

Dwa dni później wrócili do Kansas City ostatnim nocnym lotem; obsługa zamykała za nimi lotnisko. Tylko jet lag sprawiał, że jadąc na uczelnię, Lisa nie zasnęła. Wysadziła Thomasa Lulla na przedmieściu przed jego obrośniętym zielenią domem.

- Na razie - szepnęła.

Wiedziała, że nawet o trzeciej nad ranem nie należy się spodziewać pocałunku. Kiedy weszła do siebie po schodach, otworzyła siatkowe drzwi i cisnęła torbę na podłogę, skumulowany w ciele szok rozjechał ją jak ciężarówka. Skierowała ciało do wielkiego łóżka. Zadzwoił palmer. Zastanowiła się, czyby nie odebrać. Lull.

- Możesz tu przyjechać? Coś się stało.

Nigdy, przenigdy nie słyszała, by jego głos brzmiał w ten sposób. Przerażona, ruszyła samochodem przez szarzejący przedświt. Na każdym skrzyżowaniu wyobrażenia wchodziła na kolejny poziom lęków i potencjalnych możliwości, ale w ich tle krył się jeden podstawowy strach: zostali wykryci. Paliły się wszystkie światła, drzwi były otwarte.

- Hej, jest tam kto?

- Tutaj.

Siedział na starej skórzanej kanapie z wygiętym oparciem, którą pamiętała z wydziałowych grill party i niedzielnych Dni Sportu. Kanapa i dwa wysokie regały na książki były jedynymi meblami w pokoju. Resztę wyniesiono. Podłoga była goła, w ścianach tkwiły haki po obrazach, wyglądając jak hiszpańskie pytajniki.

- Nawet koty - powiedział Thomas Lull. - Nawet ich mysz do zabawy. Uwierzysz? Mysz do zabawy. Powinnaś zobaczyć mój pokój. Tam sobie nie pożałowała. Zajęła się każdą książką, płytą i teczką. To chyba nie tyle rozstanie z żoną, ile pożegnanie z kolekcją ulubionych włoskich oper.

- Coś ci powiedziała?

- Wcześniej? Nic. Wszedłem i wszystko było tak jak widzisz. I to. - Uniósł kawałek papieru. - Standardowy tekst, że nie sprawdzało się, przykro mi, ale to było jedyne wyjście. Nie próbuj się ze mną kontaktować. Widzisz, ma na tyle inicjatywy, żeby bez słowa ostrzeżenia wszystko spakować i

pozabierać, ale kiedy przychodzi do czułego pożegnania, wali wszystkimi, kurwa, najbardziej wytartymi schematami. Cała ona. Cała ona.

Zaczął dygotać.

- Thomas. Chodź, nie możesz tutaj zostać. Chodź, pojedziemy do mnie. W pierwszej chwili zdziwił się, a potem kiwnął głową.

- Tak. Dziękuję ci.

Lisa wzięła jego torbę i ruszyli do samochodu. Nagle wydał się jej bardzo stary i niepewny. W domu zaparzyła mu herbatę, którą popijał, kiedy ścieliła mu łóżko dla gości - na wszelki wypadek.

- Mogę? - poprosił. - Mogę przyjść do ciebie? Nie chcę być sam.

Ułożył się plecami do niej i objął rękoma. Za każdym razem, gdy osuwała się w sen, płoszyły ją ostre jak fotografie obrazy zbezczeszczonego pokoju i Lulla, małego jak chłopiec na wielkiej, dorosłej sofie. W końcu usnęła, gdy szarość przedświt wypełniła jej wielką sypialnię.

Pięć dni później, kiedy już wszyscy powiedzieli mu, że „co za menda”, i że świetnie sobie radzi, że wyjdzie z tego i znów będzie szczęśliwy, że zawsze ma jeszcze pracę/przyjaciół/siebie, Thomas Lull bez słowa ostrzeżenia zniknął ze świata, realnego i wirtualnego. Lisa nigdy więcej go nie widziała.

- Proszę mi wybaczyć, ale to dość nieortodoksyjny sposób leczenia astmy - mówi doktor Ghotse.

Aj czerwienieje, oczy wyłazą jej na wierzch, wygina palce. Tilaka drży.

- Jeszcze parę sekund - mówi Thomas Lull. Czeka, aż ona nie będzie mogła wytrzymać i jeszcze sekundę. - Dobra, wdech. - Aj otwiera usta i ekstatycznie, z sapaniem wciąga powietrze. Thomas Lull zatyka je dłonią. - Przez nos. Zawsze przez nos. Pamiętaj, usta do gadania, nos do oddychania.

Zabiera rękę, obserwuje powolne nadymanie się jej okrągłego brzuszka.

- Nie prościej wziąć leki? - stwierdza doktor Ghotse. Bardzo delikatnie trzyma maleńką filiżankę w obu dłoniach.

- Cały sens tej metody w tym - wyjaśnia Thomas Lull - że potem już nigdy nie potrzebuje się leków. I trzymaj.

Doktor Ghotse przypatruje się Aj, znów opróżniającej płuca długim, świszczącym wydechem przez nos, a następnie wstrzymującej oddech.

- Bardzo to podobne do pranajamy.

- Metoda jest z Rosji, z czasów kiedy ludzi nie było stać na leki przeciwastmatyczne. - Thomas Lull obserwuje wydech Aj. - I znów trzymaj. Teoria jest bardzo prosta, jeśli tylko się zaakceptuje fakt, że wszystko, czego uczono cię przedtem o oddychaniu jest kompletną bzdurą. Według doktora Butejki tlen to trucizna. Korodujemy od chwili urodzenia. Astma jest reakcją organizmu, który próbuje nie przyjmować już tego trującego gazu. Ale my cały czas łazimy z otwartymi gębami, jak wielkie walenie, nabieramy pełne płuca tlenu i powtarzamy sobie, że robi nam dobrze. Metoda Butejki to po prostu próba zrównoważenia O₂ i CO₂, a to oznacza, że musisz pozbawić płuca tlenu, żeby nagromadzić w nich zdrową ilość dwutlenku węgla. Czyli robisz to, co Aj teraz. I wdech. - Aj, pobladła, odrzuciła głowę do tyłu i nabrała powietrza. - Dobra, oddychaj normalnie, ale przez nos. Jeśli poczujesz panikę, kilka rund wstrzymywania oddechu, ale nie otwieraj ust. Przez nos, zawsze przez nos.

- Wygląda na podejrzenie proste - mówi doktor Ghotse.

- Najlepsze pomysły zawsze są najprostsze - mówi Lull, showman oddechologii.

Pożegnawszy się z poskrzypującym swoim trójkołowcem doktorem, Lull odprowadza Aj do hotelu. Ciężarówka i mikrobusiki maruti toczą się prostą białą drogą, trąbiąc licznymi klaksonami. Thomas Lull unosi rękę, pozdrawiając kierowców, których kojarzy. Nie powinno go tutaj być. Powinien odesłać ją machnięciem dłoni i uśmiechem, a gdy tylko zniknie mu z oczu, zabrać torbę i pójść na dworzec autobusowy. Sam nie wie dlaczego mówi:

- Powinnaś wrócić na jeszcze jeden seans. Opanowanie tej techniki trochę zajmuje.

- Nie wydaje mi się, panie profesorze Lull.

- Czemu?

- Bo pana już tu pewnie nie będzie. Widziałam walizkę na łóżku. Pan dzisiaj wyjeżdża.

- A skąd ten pomysł?

- Bo pana znalazłam.

Thomas Lull się nie odzywa. Czytasz mi w myślach? - myśli. Do brzegu zalewu przybija dłubanka wioząca elegancko ubranych uczniów, bulgocąc alkoholowym silniczkiem.

- Wydaje mi się, że chce pan wiedzieć, jak pana znalazłam - dodaje łagodnie Aj.

- Tak ci się wydaje?

- Tak, bo najłatwiej byłoby panu po prostu wyjechać, a nadal pan tu jest. - Zatrzymuje się, unosi głowę, śledząc ptaka o ostrym dziobie i gniewnych oczach, szybującego w dół z wieży pastelowego kościoła św. Tomasza, poprzez liście palm o pniach pomalowanych w ostrzegawcze białoczerwone pasy, by usiąść na krawędzi moczących się w wodzie koprowych wydmuszek. - Czaplą siodłata, *Ardeola grayii* - mówi, jakby pierwszy raz słyszała te słowa. - Hm. - Idzie dalej.

- Wyraźnie chcesz, żebym o to zapytał.

- Jeśli to pytanie, odpowiedź brzmi: zobaczyłam pana. Chciałam pana znaleźć, ale nie wiedziałam, gdzie pan jest, więc bogowie pokazali mi pana w Thekkady.

- Jestem w Thekkady, bo nie chciałem, żeby ktoś mógł mnie znaleźć, bogowie czy ktokolwiek inny.

- Wiem o tym, ale ja nie dlatego pana szukałam. Chciałam pana znaleźć, bo mam takie zdjęcie.

Wyciąga palmera. Obraz jest rozmyty: mimo palmowych liści światło słoneczne jest bardzo silne. Zdjęcie zrobiono w równie słoneczny dzień, trzech Zachodniaków mruży oczy przed świątynią Padmanabhaswamy w Thiruvananthapuram. Jeden to mężczyzna o nieco ziemistej cerze, kobieta pochodzi z południowych Indii. Facet obejmuje kobietę w talii. Trzecim jest wyszczerzony Thomas Lull, w hawajskiej koszuli i okropnych szortach. Kojarzy to zdjęcie. Zrobili je siedem lat temu, po konferencji w New Delhi, kiedy spędził miesiąc, podróżując po świeżo podzielonych Indiach, lądzie, który zawsze go w równym stopniu fascynował, odpychał i przyciągał. Sprzeczności Kerali zatrzymały go o tydzień dłużej niż planował; jej perfumy z kurzu, piżma i smażących się w słońcu kokosowych mat, to poczucie odwiecznej wyższości nad przerytą kastami Północą, mroczni, cuchnący, chaotyczni bogowie i ich krwawe obrzędy, to dawne i skuteczne uświadomienie sobie politycznej prawdy, że komunizm polega na obfitości, nie na niedoborze; i ciągle nowe, wyrzucane przez fale skarby i podróżnicy.

- Bez dwóch zdań, to ja - przyznaje.

- A tych dwoje pan rozpoznaje?

Serce Lulla bije mocniej.

- Jacyś turyści - kłamię. - Pewnie mają dokładnie takie samo zdjęcie. A powinienem?

- Sądzę, że to mogą być moi prawdziwi rodzice. Próbuję ich znaleźć. Właśnie dlatego poprosiłam bogów, żeby pana odszukali.

Teraz z kolei Thomas Lull staje jak wryty. Przejeżdża ciężarówka ozdobiona wizerunkami Śiwy, jego żony i synów, ciągnąc za sobą falę kurzu i muzyki filmi z Chennai.

- A skąd masz to zdjęcie?

- Firma prawnicza w Varanasi, w Bharacie, wysłała mi je na osiemnaste urodziny.

- A twoi adopcyjni rodzice?

- Są z Bangalore. Wiedzą, co robię. Mam ich błogosławieństwo. Zawsze wiedziałam, że jestem adoptowana.

- Masz jakieś ich zdjęcie?

Przewija do zdjęcia przedwcześnie wyrosniętej nastolatki siedzącej na stopniach werandy, kolana grzecznie złożone razem, ręce wokół łydek, broniące dostępu do dziewictwa. Nie ma jeszcze tilaki Wisznu. Za nią stoją mężczyzna i kobieta o południowoindyjskiej urodzie, ubrani po zachodniemu. Wyglądają na ludzi, którzy wobec swojej córki będą zawsze otwarci, szczerzy i zachodni, nie będą przeszkadzać jej w drodze do odkrycia samej siebie. Wraca do fotografii przed świątynią.

- A to, mówisz, są twoi prawdziwi rodzice?

- Tak podejrzewam.

„Niemożliwe”, chce powiedzieć Thomas Lull. Ale milczy, choć, milcząc, grzęźnie w kłamstwie. Nie, Thomas, grzęzniesz w kłamstwie za każdym krokiem. Twoje życie jest zbudowane z kłamstw.

- Nie pamiętam ich - mówi Aj. Głos ma beznamiętny i neutralny, podobnie jak cień na jej powiekach. Mogłaby mówić o formularzu podatkowym. - Kiedy dostałam to zdjęcie, nie czułam nic. Ale mam jedno takie wspomnienie: tak stare, że wygląda trochę jak sen. Biały koń. Biegnie, podbiega do mnie i staje dęba z kopytami w powietrzu, całkiem jakby tańczył. Tylko dla mnie. O, widzę go. Bardzo go lubię. To chyba jedyne, co pamiętam z tamtego czasu.

- A ci prawnicy nic nie wyjaśniają?

- Niestety. Miałam nadzieję, że może pan mi pomoże. Ale pan chyba nic nie wie, muszę pojechać do Varanasi i znaleźć tych prawników.

- Tam zaraz wybuchnie wojna.

Aj ściąga brwi. Tilaka się marszczy. Thomas Lull czuje, jak ściska mu się serce.

- To będę musiała powierzyć swoje bezpieczeństwo bogom - oświadcza. - Na podstawie tego zdjęcia powiedziały mi gdzie pan jest, może poprowadzą mnie i w Varanasi.

- Bardzo przydatni ci bogowie.

- Jeszcze jak, panie profesorze. Nigdy mnie nie zawiedli. Są jak aura wokół ludzi i przedmiotów. Oczywiście nie od razu zrozumiałam, że nie każdy ich widzi. Najpierw myślałam, że to po prostu z grzeczności, że wszyscy są nauczeni nie mówić, co widzą, a ja jestem niekulturalną i niewychowaną dziewczynką, która wykrzykuje wszystko na głos. Potem zorientowałam się, że oni nic nie widzą i nic nie wiedzą.

William Blake jako obszarpany siedmiolatek zobaczył w Londynie platan rojący się od aniołów. Tylko interwencja matki uratowała go przed spraniem przez ojca. Zadufanie i kłamstwo. Całe życie później ten sam wizjoner zajrzał w oko słońca i ujrzał niezliczony dwór Ojca Niebieskiego śpiewający „Święty święty święty jest Pan Bóg Zastępów”. Thomas Lull każdego powszedniego poranka mrużył oczy, zerkał w kansaskie słońce, lecz nie widział nic oprócz syntezy termojądrowej i kwantowych niepewności. Czuje napięcie w dole brzucha, ale to nie stary wąż

seksualnego oczekiwania, znajomy z plażowego podrywania ciepłych od słońca turystek z plecakami. To coś innego. Fascynacja. Strach.

- Dowolną osobę albo przedmiot? - pyta.

Aj przechyla głowę. To coś pośredniego pomiędzy zachodnim skinieniem a indyjskim okrężnym gestem.

- No więc kto to jest? - Thomas Lull wskazuje na blaszany stragan z palmowym napojem, gdzie siedzi pan Sooppy, odganiając się od much postrzępionym egzemplarzem „Thiruvananthapuram Timesa”.

- Sandeep Sooppy. Sprzedaje napoje i mieszka na Joy of the People Road 1128.

Thomas Lull czuje, że można powoli kurczy mu się ze strachu.

- I nigdy w życiu go nie spotkałaś.

- Nigdy go nie spotkałam. Pana przyjaciela, doktora Ghotse, też nie.

Przejeżdża zielono-żółty autobus. Aj znów przekrzywia głowę, mruży oczy, odczytuje numer rejestracyjny.

- A ten autobus należy do Nalakatha Mohanana, choć prowadzi pewnie ktoś inny. Jest dawno po dacie przeglądu technicznego. Nie radzę wsiadać.

- Prowadzi pewnie Nalakath - stwierdza Thomas Lull. W głowie mu się kręci, jakby wypalił z jedną ósmą kostki nepalskiego haszyszu, które pan Sooppy sprzedaje spod lady swojego straganu. - Ale jak to jest: ci twoi bogowie mogą określić stan hamulców Nala, po prostu zerkając na jego tablice, ale ani słowa o ludziach, którzy według ciebie są twoimi prawdziwymi rodzicami?

- Nie widzę ich - mówi Aj. - Są jak ślepa plamka w moim polu widzenia. Kiedy na nich patrzę, wszystko się wokół zamyka i nic nie widać.

- Zaraz. - Same czary są niesamowite, ale luka w czarach, to już straszne. - Jak to nic nie widać?

- Widzę ich jako ludzi, ale żadnej aury wokół nich, żadnych bogów i żadnych informacji o nich i ich życiu.

Nasilający się wiatr trzęsie ostrymi palmowymi liśćmi i duszą Thomasa Lulla. Siły gromadzą się wokół niego, zamykają go w mandali cudzych losów i zbiegów okoliczności. Człowieku, leć dalej, uciekaj stąd. Nie angażuj się w tajemnice tej kobiety. Okłamałeś ją, więc jeśli ona ciebie nie, trudno ci będzie to znieść.

- Nie umiem ci pomóc - mówi. Stoją przed bramą hotelu Palm Imperial. Słyszy przyjemne, sprężyste pyknięcia tenisowych rakiet. Wiatr zwierza się bambusom, fala znów jest wysoka. Nie chce

mu się stąd wyjeżdżać. - Przykro mi, że fatygowalaś się na darmo.

Zostawia ją w hallu. Czeka, aż pójdzie do pokoju, i potem gada z Achunthanandanem, dyrektorem hotelu, powołując się na dawną przysługę. Wyciąga od niego jej dane z księgi meldunkowej. Ajmer Rao. 385 Valahanka Road, Silver Oak Development, Rajankunte, Bangalore. Osiemnaście lat. Zapłacone biznesową czarną kartą Bank of Bharat. Niezły kaliber, jak na dziewczynę dorabiającą sobie w keralskich klubach dla bhari. Bank of Bharat. Czemu nie First Karnatic albo Allied Southern? Przy zastępach świetlistych bogów to i tak drobnostka, drobna zagadka. Idąc prosta, białą drogą do domu, próbuje wypatrzeć je ukradkiem, dostrzec kątem oka, przyłapać na skraju pola widzenia jak mroczki. Drzewa pozostają jednak drzewami, ciężarówki uparcie ciężarówkami, a wśród moczących się włókien kokosowych poluje czapla siodłata.

Na pokładzie *Salve Vagina* Thomas Lull zρέcznie zakrywa tomik Blake'a stosikiem plażowych koszul i zapina torbę. Wyjeżdżaj i nie oglądaj się za siebie. Kto się obejrzy, zamieni się w sól. Zostawia doktorowi Ghotse karteczkę i trochę pieniędzy, żeby zatrudnił jakąś miejscową do spakowania reszty rzeczy w kartony. Pośle po nie, kiedy dotrze tam, gdzie ma dotrzeć.

Wraca na drogę, machnięciem zatrzymuje fatfata i jedzie nim na dworzec autobusowy, ściskając na kolanach torbę. Dworzec to ładnie powiedziane: poobijane autobusiki marki Tata zrobiły sobie pętlę w szerszym miejscu i zawracają tam, nie zważając na budynki, na przechodniów czy innych użytkowników drogi. Jaskrawo wymalowane, przemykają między straganami krawcowych, sprzedawców gorących przekąsek i wszechobecnych palmowych napojów. Maruti z grzechoczącymi dmuchawami oraz pikapy mahindra z otwartym tyłem przepychają się przez rozgardiasz przy użyciu klaksonów. Pięć autobusowych systemów nagłaśniających konkuruje różnymi filmowymi przebojami.

Autobus do Nagercoil nie odjedzie jeszcze przez godzinę, więc Thomas Lull kupuje sobie napój palmowy, przysiada pod parasolem sprzedawcy na poplamionej olejem ziemi i przygląda się, jak kierowca i konduktor klóćą się z pasażerami i niechętnie ładują ich bagaże na dach. Mikrobus hotelu Palm Imperial jak zawsze pędzi na złamanie karku. Boczne drzwi odsuwają się z hukiem, wysiada Aj. Ma ze sobą małą szarą torbę, nosi ciemne okulary i portfelową spódnice na spodnie. Otaczają ją chłopcy, łapią za torbę, nieoficjalni bagażowi. Thomas Lull wypada z cienia, podchodzi do niej, unosi torbę.

- Odjazdy do Varanasi są tam, proszę pani.

Kierowca autobusu do Nagercoil trąbi klaksonem. Ostatni dzwonek, odjazd na południe. Ostatni dzwonek, odjazd tam, gdzie pokój i kursy nurkowania. Thomas Lull prowadzi Aj między chudymi chłopakami, ku odpalającemu właśnie biodiesla pośpieszemu autobusowi z Thiruvananthapuram.

- Zmienił pan zdanie?

- Prawo dżentelmena. Poza tym zawsze chciałem obejrzeć wojnę z bliska.

Wskakuje na schody, wciąga Aj za sobą. Przepychają się przez przejście do tylnego siedzenia. Thomas Lull usadza Aj przy okiennej kratce. Pręty oceniają jej twarz. Upał nie z tej ziemi. Kierowca

ostatni raz trąbi i odjeżdża na północ.

- Panie profesorze, nie rozumiem. - Gdy autobus nabiera szybkości, jej krótkie włosy falują.

- Ja też nie - mówi Thomas Lull, patrząc z niesmakiem na zatłoczone siedzenia. Przyciska się do niego koza. - Ale wiem, że rekiny toną, jak przestają pływać. I że bogowie to czasem za mało, żeby trafić gdzie trzeba. No, chodź.

- Dokąd pan idzie? - pyta Aj.

- W taką pogodę jak dziś nie będę siedzieć przez pięć godzin ściśnięty tutaj. - Puka w szklaną ściankę odgradzającą kierowcę. Ten wpycha paan pod policzek, kiwa głową, zatrzymuje autobus. - Chodź i weź torbę. Bo wszystko ci z niej wyciągną.

Thomas Lull wspina się po drabince na dach i wyciąga rękę do Aj.

- Rzuć ją tutaj.

Aj zamachuje się torbą. Dwóch chłopaczków na dachu chwytają ją i upychają bezpiecznie między belami materiału na sari. Jedną ręką przytrzymując ciemne okulary, Aj gramoli się na dach i siada obok Thomasa Lulla.

- O, tu jest pięknie! - wykrzykuje. - Wszystko widać!

Lull wali w dach.

- Na północ!

Autobus wypływa świeży obłok biodieslowskich spalin i rusza.

- A teraz, metoda Butejki dla zaawansowanych.

Lisa Durnau nie jest pewna, ile razy kapitan-pilot Beth wołała ją po imieniu, ale pulpit cały się świeci, gadają wszystkie kanały łączności, a w powietrzu czuć, że niedługo coś się wydarzy.

- Podchodzimy?

- Ostatnie poprawki kursu przed podejściem - mówi drobna kobietka z ogoloną głową. Lisa czuje delikatne szturchnięcie: to bekają silniczki korekcyjne.

- Możesz to podpiąć do mojego hoeka?

Nie będzie iść na ślepo na spotkanie ze stuprocentowo autentycznym Tajemniczym Obcym Artefaktem. Kapitan-pilot Beth wiesza hoeka na unieruchomionym uchu Lisy, wyszukuje najlepszy punkt na czaszce, potem dotyka kilku zapalonych przycisków na pulpicie. Świadomość Lisy Durnau

ekspłduje w kosmos. W pełnej propriocepcji poczucie, że jej ciało jest statkiem, że skóra styka się z próżnią, jest wszechogarniające. Lisa Durnau unosi się jak anioł pośrodku powolnego, obrotowego baletu inżynierii kosmicznej: drabiniaste skrzydła baterii słonecznych, rozetka foliowych luster jak halo miniaturowych słońc; pętla czułej anteny nad głową, błyska mijający prom powrotny. Cała konstrukcja jest skąpana w oślepiającym świetle i spięta liną z pajakiem w jej ciemnym sercu: to Darnley 285. Pył zbierany przez miliony lat sprawia, że jest tylko odrobinę mniej czarny od próżni. Potem lustra się przesuwiają i Lisa aż się zachłystuje, gdy na powierzchni rozbłyskuje srebrna trójlistna koniczyna. Zdumienie zmienia się w śmiech - ktoś przylepił na kosmicznym kamieniu logo Mercedesa. Ktoś, nie człowiek. Triskelion jest olbrzymi, każde ramię ma dwieście metrów. Zamaszysty walc spowalnia, kapitan-pilot Beth zrównuje prędkość orbitalną z asteroidą, Lisa Durnau zmusza się do myślowej reorientacji. Już nie dryfuje twarzą naprzód ku miażdżącej czarnej skale: ma asteroidę pod stopami i opada ku niej jak anioł. Pół kilometra przed lądowaniem zauważa skupisko świateł ludzkiej bazy. Kopuły i zaadaptowane kapsuły desantowe pokrywa gruba warstwa wzbitego podczas budowy kurzu. Czysto lśni jedynie triskelion obcych. Wahadłowiec przesuwa się ku krzyżowi celowniczem czerwonych świateł nawigacyjnych. Orszak automatycznych manipulatorów pilnie pracuje, czyszcząc lampy i soczewkę startowego lasera. Spoglądając w górę, widzi, jak wędrują ręka za ręką w górę i dół kabli energetycznych i łącznościowych. Córka kaznodziei Durnaua myśli o biblijnej drabinie jakubowej.

- Dobra, teraz cię odłączę - mówi kapitan-pilot Beth.

Chwila dezorientacji. Lisa mruga w zagraconym kokpicie statku transportowego. Liczniki lecą do zera. Czuje najdelikatniejszy ze wstrząsów, usiadli. Teraz szczęknięcia, brzęknięcia i syki, kapitan-pilot Beth odpina ją, Lisa Durnau wytacza się, same skurcze mięśni i zaiste obrzydliwy smród potu. Darnley 285 nie ma wystarczającej grawitacji, żeby przyciągnąć, ale dość, by nadać poczucie kierunku. Tu jest dół. Tu lewo, prawo, przód, tył i góra. Kolejna mentalna reorientacja. Wisi głową w dół, jak nietoperz. Na dole, przed twarzą, zaczepy wjazdu obracają się, ukazuje się wąski tunel jak kanał rodny. Gdzieś dalej wjazd tak samo obraca się i otwiera. Krępy, ostrzyżony na jeża facet wysuwa przez niego głowę i ramiona. Nos i oczy sugerują polinezyjskie geny niezbyt daleko w dół drzewa genealogicznego, identyfikator na ramieniu mówi „US Army”. Ale wyciągając do niej rękę, pięknie się uśmiecha.

- Pani doktor Durnau, nazywam się Sam Rainey, jestem kierownikiem projektu. Witamy na Darnleyu 285, albo, jak go nazywają nasi kochani archeolodzy, Tabernakulum.

ROZDZIAŁ 12 PAN NANDHA, PARVATI

Odkąd karsevakowie rozbili się na stałe pod zagrożoną figurą Ganeśi, korki w mieście są jeszcze gorsze, a drożdżycy pana Nandhy jeszcze bardziej daje mu się we znaki. Co gorsza, ma spotkanie z Vikiem z działu Odzyskiwania Informacji. Wszystko w nim go drażni, od przezwiska awansowanego do roli imienia (co się nie podoba w Vikramie, pięknym, historycznym imieniu?) po styl prosto z MTV. Jest przeciwieństwem biwakujących na rondzie fundamentalistów. Jeśli rondo Sarkhand to atawistyczne Indie, Vik jest ofiarą tego co nowoczesne i efemeryczne. Lecz tak naprawdę dzień pana Nandhy zepsuła prawie-kłótnia z Parvati.

Oglądała telewizję śniadaniową i na swój nieśmiały sposób, unosząc dłonie, śmiała się z gospodarzy programu witających wybuchami entuzjazmu swoich plotkarskich, serialowych, *celebryckich* gości.

- Słuchaj, ta faktura... to strasznie dużo.

- Faktura?

- Za nawadnianie kropelkowe.

- Ale to jest konieczne. Brindzał bez tego nie wyrośnie.

- Parvati, tu niektórzy ludzie nie mają wody, żeby ugotować ryż.

- Właśnie dlatego zdecydowałam się na nawadnianie kropelkowe. Jest najoszczędniejsze.

Oszczędzanie wody to nasz patriotyczny obowiązek.

- Pan Nandha powstrzymał westchnienie do wyjścia z pokoju. Zatwierdził płatność z palmera, a jego aeai poinformowała go, że Vik zażyczył sobie spotkania, i wyznaczyła mu nową, nieznaną trasę, prowadzącą do pracy, z ominięciem ronda Sarkhand. Wrócił, by pożegnać się z Parvati, która akurat oglądała codzienne wiadomości.

- Słyszałeś? - zapytała. - N.K. Jivanjee wsiądzie na ratha jatę i przejedzie przez kraj jak Rama, aż uda mu się zebrać do marszu na rondo Sarkhand milion wieśniaków.

- Ten cały N.K. Jivanjee to demagog i jego partia też. Potrzebna jest jedność narodowa przeciwko Awadhowi, a nie milion jakichś karsewackich chamów maszerujących na Ranapur.

Pocałował Parvati w czoło. Osłoda na bóle całego dnia.

- Do widzenia, mój bulbul. Będiesz pracować w ogrodzie?

- Tak, o dziesiątej przyjdzie Krishan. Miłego dnia, skarbie. I nie zapomnij odebrać z pralni garnitur, mamy dziś ten bankiet u Dawarów.

Teraz pan Nandha jedzie szklaną zewnętrzną windą w górę wieżowca Vajpayee. Czuje pieczenie w żołądku. Wyobraża sobie, jak kwasy żołądkowe zżerają go od wewnątrz, komórka po komórce.

- Vikram.

Vikram nie jest specjalnie wysoki ani specjalnie zgrabny, ale to nie przeszkadza mu ubierać się zgodnie z najnowszą modą. Obecnie jego strój składa się z workowatego T-shirtu bez rękawów, z inteligentnej tkaniny błyskającej losowymi tekstami - doktryna mówi, że przez swą przypadkowość osiągają moc koanów Zen - oraz bojówek obciętych poniżej kolan i futbolowych podkolanówek. Ma też Nike Predators kosztujące miesięczną pensję wyprężonego przy wejściu Sikha. Dla pana Nandhy jest to kompletny brak godności. A już kompletnie nie toleruje paseczka zarostu ciągnącego się od dolnej wargi do grdyki.

- Kawy?

Vik zawsze ma kawę, w niestygnącym kubku. Pan Nandha nie może pić kawy. Jego zgaga nie cierpi kawy. Daje cichej asystentce Vikrama, której imienia nie może zapamiętać, torebkę ajurwedyjskiej herbaty. Jednostka centralna stoi na biurku Vika. Typowa półprzezroczysta niebieska kostka, osmalona w środku od strzału elektromagnetycznego pana Nandhy. Vik podłączył ją do zestawu różnych czujników i monitorów.

- Okej - mówi i pstryka palcami. Z głośników szepcze *Theater of Bludd*, przyciszony przez szacunek dla pana Nandhy, wielbiciela Monteverdiego. - Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś czasem zostawiał nam coś, nad czym da się popracować.

- Wyraźnie widziałem faktyczne niebezpieczeństwo - odpowiada pan Nandha i nagle spływa na niego olśnienie. Vik-bajerant, Vik-spec od technologii, Vik-fan trance metalu, zazdrości mu. Chciałby mieć takie misje, zarezerwowane wagony pierwszej klasy, świetnie skrojone garnitury, pistolet strzelający na dwa sposoby i pełną kieszeń awatarów.

- Zostawiłeś jeszcze mniej niż zwykle - mówi Vik - ale dość, żeby tam wetknąć parę nanosond i dojść, o co chodziło. Przypuszczam, że ten programista...

- Był pierwszą ofiarą.

- Jak zawsze, nie? Byłoby fajnie, gdyby mógł nam odpowiedzieć na pytanie, czemu jego domowej roboty satta aeai miała w tle uruchomiony program kupujący i sprzedający na międzynarodowych rynkach inwestycyjnych.

- Możesz jaśniej?

- Morva z finansowego lepiej ci wytłumaczy, ale wygląda na to, że Pasta-Tikka nieświadomie pakowała krory rupii w firmę venture capital pod nazwą Odeco.

- Rzeczywiście muszę pogadać z Morwą - postanawia pan Nandha.

- Jedno mogę ci powiedzieć od razu. - Vik dźga palcem wskazującym linię kodu na cieniutkim, błękitnym ekranie.

- Hm? - Pan Nandha uśmiecha się słabo.

- Maczał w tym palce nasz stary znajomy, Jashwant Dżajnista.

Parvati Nandha siedzi wśród amarantusa na dachu swojego bloku mieszkalnego. Ocienia ręką oczy i obserwuje, jak kolejny wojskowy transportowiec wślizguje się ze wschodu i znika między korporacyjnymi wieżowcami Nowego Varanasi. One i krążące wysoko czarne kanie to jedyne rzeczy zakłócające spokój jej ogrodu w sercu miasta. Parvati podchodzi do krawędzi, wychyla się przez gzyms. Dziesięć pięter niżej ulica jest lepka od ludzi, jak ramię od krwi.

Idzie na drugi koniec wykafelkowanego patio, do wystającej grządki, podkasuje sari i przysiadła, żeby przyjrzeć się sadzonkom kabaczków. Namiot plastikowej cieplarni jest cały zaparowany. Już o tej porze temperatura powietrza na dachu wynosi trzydzieści siedem stopni, a niebo jest ciężkie, nieprzeniknione, wisi nisko, karmelowożółte od smogu. Parvati zagląda między folię a ziemię, wdycha zapach gleby, kompostu, wilgoci i wzrostu.

- Niech sobie same rosą.

Krishan to wielki facet i potrafi poruszać się bardzo cicho, jak to często wielcy faceci, ale Parvati poczuła chłód jego cienia na meszku na swoim karku, jak rosę na liściach kabaczka.

- Oj, przestraszyłeś mnie - mówi, onieśmielona i spłoszona: to taka gra, w którą lubi z nim grać.

- Proszę wybaczyć, pani Nandha.

- No i co? - pyta Parvati.

Krishan wyjmując portfel i wręcza jej sturupiowy banknot.

- Jak pani zgadła?

- To oczywiste. To musiał być Govind, bo inaczej po co śledziłyby ją aż do tego podejrzanego domu w Brahmur East, tylko po to, żeby potem z niej kpić? Nie, nie, nie, tylko prawdziwy mąż potrafiłby znaleźć swoją żonę, obojętne, co zrobiła, wybaczyć jej i przywieźć z powrotem do domu. Wiedziała, że to on, od chwili kiedy pojawił się na schodach tego salonu tajskiego masażu. Nie nabrałam się na przebranie pilota linii lotniczych. Jej rodzina mogła się jej wyprzeć, ale prawdziwy mąż nigdy. A teraz musi tylko zemścić się na reżyserze tego całego *Gwiazdy Super Śpiewają*.

- Khursheed.

- Nie, on prowadzi restaurację. Reżyserem jest Arvind. Govindowi uda się zemścić, jeśli wcześniej nie dopadną go ci Chińczycy od budowy kasyna.

Krishan unosi ręce, poddaje się. Nie jest wyznawcą *Miasta i wsi*, ale jeśli to sprawia przyjemność jego klientom, będzie oglądał i zakładał się o zwroty tej nieprawdopodobnie skomplikowanej intrygi. Dziwna robota: farma na dachu bloku mieszkalnego w samym centrum. Sugeruje sporo kompromisów. Trudne bywają takie małżeństwa, miasto i wieś.

- Powiem kucharce, żeby przyniosła ci ćaj - mówi Parvati.

Krishan obserwuje, jak woła w dół schodów. Ta wiejska gracia. Miasto - blichtr, wieś - mądrość. Krishan zastanawia się nad jej mężem. Wie, że jest urzędnikiem państwowym i że swoje należności reguluje szybko i bez handryczenia się. Dysponując połową obrazu, może jedynie spekulować, jak wygląda ich związek, co ich w sobie pociąga. Zresztą, co do tej atrakcyjności, spekulować za wiele nie potrzeba. Czasem zachodzi w głowę, skąd on sam weźmie żonę, kiedy nawet dziewczyna z niskiej kasty może jednym spojrzeniem, jednym machnięciem dłoni upolować sobie solidnego męża z klasy średniej. Trzeba być świetnym ogrodnikiem. Zarabiać pieniądze, zasiać je, wyhodować więcej pieniędzy. Kupić maruti i wyprowadzić się do Lotus Gardens. Tam ożenisz się najlepiej, jak się da.

- Dzisiaj - oznajmia Krishan, dopiwszy ćaj i odstawiwszy szklanekę na drewniany brzeg grządki. - Myślę, że może powinny tam być jakiś groch, fasola, żeby dawały trochę osłony. Od lewej strony jest pani całkiem odsłonięta. A tutaj ćwierć grządki na zachodnie warzywa do sałatek. Teraz to szczyt mody na przyjęciach, zachodnie sałatki. Kucharz może kroić świeże na oczach gości...

- Nie przyjmujemy gości - mówi Parvati. - Ale dziś jest wielki bankiet u Dawarów. Wielka uroczystość. Tam jest tak pięknie, tyle drzew. Ale pan Nandha mówi, że niewygodnie byłoby tam mieszkać, za daleko. Za dużo jeżdżenia.

Wniesienie na górę starych, drewnianych kolejowych podkładów, z których robi obramowania grządek, zajmuje mu dwa kursy po schodach. Układa je mniej więcej na miejscu, potem przycina i dopasowuje wodoodporną folię i składa wszystko razem. Parvati Nandha siada na brzegu grządki z pomidorami i papryką.

- Pani Nandha, nie przegapi pani *Miasta i wsi*? - pyta Krishan.

- Nie, nie, dziś przełożyli na wpół do dwunastej, bo jest mecz finałowy z Anglią.

- A, rzeczywiście. - Krishan uwielbia krykiet. Jak ona sobie pójdzie, będzie mógł włączyć radio.

- Nie zwracaj na mnie uwagi.

Zabiera się za wiercenie w podkładach otworów odpływowych, ale przez cały czas ma świadomość, że pani Nandha siedzi tam i patrzy.

- Krishan... - odzywa się po jakimś czasie.

- Słucham?

- Po prostu, jest taka ładna pogoda, a kiedy siedzę na dole, to słyszę to szuranie, stukanie, walenie młotkiem, i widzę to wszystko dopiero, jak jest skończone.

- Rozumiem - odpowiada Krishan-mali. - Wcale mi pani nie przeszkadza.

To nie jest prawda.

- Pani Nandha - mówi, skręcając śrubami ostatni podkład. - Zdaje się, że przegapia pani swój serial.

- Naprawdę? Oj, nie zauważyłam, która jest godzina. Nieważne, obejrzę sobie powtórkę wieczorem.

Krishan unosi worek kompostu, rozcina go ogrodniczym nożem i przesypuje żyzną brązową ziemię-karmicielkę przez palce na dach.

Pałący się pies wydziela tłusty, żrący dym. Jashwant Dżajnista, a przed nim jego chłopaczkę od miotły, stoją z zamkniętymi oczyma. Pan Nandha nie wie, czy zamknęli je w modlitwie, czy z wściekłości. Po chwili pieśń jest już małą ognistą kulką. Inne wciąż obszczekują stopy pana Nandhy, zbyt głupie w swoich zaprogramowanych obsesjach, żeby zidentyfikować prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Jesteś podłym, okrutnym człowiekiem - mówi Jashwant Dżajnista. - Twoja dusza jest czarna jak antracyt, nigdy nie osiągniesz światła moksi.

Pan Nandha sznuruje usta i mierzy z pistoletu do nowego celu, kreskówkowego pieska o smętnych oczach i futrze w żółto-brązowe łaty. Stwór wyczuwa zainteresowanie, merda ogonem i z wywieszonym językiem człapie ku panu Nandzie przez wzburzone morze psów-robotów. Pan Nandha uważa schroniska dla zwierząt za pretensjonalną bzdurę. Varanasi nie jest w stanie wykarmić własnych dzieci, a co dopiero mówić o bezdomnych kotach i psach. Ale schroniska dla cyberzwierzaków zasługują na całkiem inny poziom pogardy.

- Sadhu - mówi pan Nandha. - Co sadhu wie o firmie Odeco?

Ministerstwo nie pierwszy raz pojawia się w Schronisku dla Sztucznego Życia Mahavira. W dżajnizmie trwa ciągła dyskusja, czy cyberzwierzaki i sztuczne inteligencje mają duszę, czy nie. Lecz Jashwant jest ze starej szkoły Digambara. Wszystko, co żyje, porusza się, je i rozmnaża ma dźiwę, więc kiedy dzieciakom nudzi się elektroniczny pies z kreskówki, a Wierny Cyberstróżujący osiemnaście razy zadzwonił w nocy po gliniarzy, jest dla nich inne miejsce niż wysypiska Ramnagaru. Ale wcale nie sporadycznie schronienie znajduje tu także ścigana aeai. Pan Nandha i jego awatary już dwa razy w ciągu ostatnich trzech lat dokonywali w tym miejscu masowej ekskomuniki.

Jashwant czekał na niego przed obskurną szopą z tłoczonego aluminium w biznesowej dzielnicy Janpuru. Ktoś albo coś dało mu cynk. Pan Nandha nic już teraz nie znajdzie. Gdy Jashwant podchodził, by go przywitać, zamiatacz, dziesięcioletni chłopak, miotłą na długim trzonku pilnie wymiatał ze ścieżki świętego męża owady i inne pełzające stworzenia. Jashwant, jako przedstawiciel dżajinizmu Digambara, nie nosił ubrania. Był potężnym człowiekiem z grubą oponą tłuszczu w pasie, cierpiącym na nieustanne wzdęcia od świętej węglowodanowej diety.

- Sadhu, prowadzę dochodzenie w sprawie śmiertelnego wypadku, związanego z nielicencjonowaną aeai. Zidentyfikowaliśmy, że została ściągnięta z punktu transferowego na terenie tego magazynu.

- Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć, ale jeśli ma pan nakaz, bardzo proszę sprawdzić nasz system. Jestem pewien, że stwierdzi pan, że wszystko jest prawnie w porządku. Panie Nandha, tu jest schronisko dla zwierząt, nie sundarban.

Zamiatacz ruszył pierwszy. Miał na sobie tylko bardzo skąpe dhoti, a jego skóra lśniła, jakby natarto ją oliwą ze złotym pyłem. Podczas poprzednich wizyt widywał już takich chłopaczków. Wszyscy mieli pusty wzrok i za dużo odsłoniętej skóry.

W środku był taki jazgot, jaki pamiętał pan Nandha, albo i większy. Na betonowej podłodze kłębiły się tysiące cyberkundli, nieustannie krążących od ładowarki do ładowarki. Metalowa skorupa rezonowała ich wyciem, skrzeczeniem, ujadaniem, mruczeniem.

- Przez ostatni miesiąc przybyło ponad tysiąc - powiedział Jashwant. - Myślę, że to lęk przed wojną. W grzesznych czasach ludzie zastanawiają się nad swoimi wartościami. Odrzucają różne rzeczy jako bezwartościowy ciężar.

Pan Nandha wyciągnął pistolet i wymierzył do pękatego kanapowca siedzącego i wymachującego przednimi łapami i ogonem, z wywieszonym różowym, plastikowym językiem. Strzelił do niego. Teraz Indra Gromowładny ma w swoim celowniku powoli przesuwanego się *scoobiego*.

- Czy sadhu dostarczył nielicencjonowaną Sztuczną Inteligencję Poziomu 1 dla firmy Pasta-Tikka z Nawady?

Jashwant odwraca głowę w bólu, ale to nie jest właściwa odpowiedź. Elektromagnetyczny piorun wyrzuca kreskówkowego psa na półtora metra. Łąduje na grzbiecie, miota się raz i zaczyna dymić.

- Zły, podły człowieku!

Zamiatacz unosi swoją miotłę, jakby chciał sprzątnąć stąd pana Nandhę i jego grzech. Nie jest do końca nieprawdopodobne, że ma w niej zakażone igły. Pan Nandha osadza utrzymanka sadhu spojrzeniem.

- Sadhu.

- Tak! - odpowiada Jashwant. - Oczywiście, że ode mnie wyszła, pan o tym wie. Ale ona tylko przechowała się w naszej sieci.

- A skąd przyszła, sadhu? - pyta pan Nandha, unosząc broń. Teraz celuje w łączącego kaczkowato stalowego jamnika, na krzywych łapach, całego w uśmiechu, po czym przenosi lufę na pięknego cybercollie z górnej półki, nieodróżnialnego od żywego aż po sierść z żywoplastyku i w pełni interaktywne oczy. Dżajniście wymyka się krótki jęk duchowej udręki.

- Sadhu, nalegam.

Jashwant porusza ustami.

Indra mierzy, celuje i strzela na jedno drgnienie intencji pana Nandhy. Cybercollie wydaje długi jękliwy skowyt, na moment uciszając w hali wszystkie poszczekiwanie, wygina się od głowy do ogona w łuk, który prawdziwemu psu złamałby kręgosłup, i kręci się na boku po posadzce.

- No i, sadhu?

- Przestań przestań przestań, pójdiesz do piekła! - piszczy Jashwant.

Pan Nandha opuszcza broń i jednym strzałem kończy męki stworzenia. Teraz obiera sobie za cel przepięknego wyzła w tygrysie pasy.

- Badrinath! - wrzeszczy Jashwant. Pan Nandha wyraźnie słyszy, jak pierdzi ze strachu. - Sundarban Badrinath!

Pan Nandha wsuwa pistolet do kieszeni marynarki.

- Radhakvishna, bardzo mi sadhu pomógł. To niezwykle interesujące. Proszę pozostać na terenie hali, niedługo przybędzie policja.

Odchodząc, zauważa, że chłopaczek od miotły równie sprawnie posługuje się gaśnicą.

Ram Sagar Singh, bharacki Głos Krykieta, bulgoce w radiu na baterie słoneczne kolejność odbijania w ostatniej grze. Budzi wspomnienia u Krishana, drzemiącego pod trejażem z hibiskusem. Ten niespieszny głos przemawiał doń przez całe życie, bliższy i mądrzejszy niż bóg.

Był normalny dzień nauki, ale ojciec obudził go jeszcze po ciemku.

- Dziś na ul-Huq broni Naresh Inżynier.

Sąsiad, Thakur, wiozł właśnie ładunek skóry obuwniczej do odbiorcy w Patnie i z przyjemnością podwiózł ojca i syna Kudrati swoim pikapem. Styl jazdy niższych kast, ale Naresh Inżynier najprawdopodobniej ostatni raz bierze kij do ręki.

Kudrati zawdzięczali ziemię Gandhiego i Nehru; została odebrana zamindarowi i przekazana rolnikom z Biharipuru. Szczycili się jej historią - nie tylko historią dziedzictwa Kudratich, ale całego państwa: państwa, które nazywało się *Indie*, nie Bharat, Awadh, Maratha czy Zjednoczone Bengale. Dlatego właśnie ojciec Krishana, przez wzgląd na tę nazwę, musi zobaczyć, jak największy zrodzony od pokolenia odbijający podchodzi do linii.

Krishan miał osiem lat i pierwszy raz był w mieście. Kanały tivi StarAsia nie przygotowały go na tłumy przed stadionem Moin ul-Huq. Nigdy nie widział tylu ludzi naraz. Ojciec pewnie prowadził go przez tłum, który wirował, kreśląc wzory we wzorach, jak na drukowanej tkaninie.

- Dokąd idziemy? - zapytał Krishan, widząc, że poruszają się pod prąd ogólnego nurtu płynącego ku bramkom.

- Bilety ma mój kuzyn Ram Vilas, siostrzeniec twojego dziadka.

Przypomina sobie, jak rozglądał się po morzu twarzy, jak zdecydowanie ciągnęła go dłoń ojca. Potem zdał sobie sprawę, że ludzi jest więcej niż przewidział ojciec. Wyobraził sobie rozległe, zielone przestrzenie, trybuny w oddali, kulturalne owacje i zapomniał umówić się z Ramem Vilasem w konkretnym miejscu. Teraz trzeba będzie chodzić spiralą przez cały ul-Huq i w razie potrzeby przyglądać się każdej twarzy.

Po godzinie w upale tłum się przeredził, ale ojciec Krishana pruł dalej. We wnętrzu betonowego owalu skrzeczenie głośników przedstawiło graczy: Hindusi powitali ich wybuchami oklasków i okrzyków. Ojciec i syn obaj już wiedzieli, że siostrzeńca dziadka nigdy tu nie było, że nigdy nie było żadnych biletów. W ukośnym cieniu głównej trybuny stał sprzedawca krakersów nimki. Kiedy weszli w zasięg smrodu gorącego zjełczałego oleju, Krishan dostrzegł, co zelektryzowało ojca. Na szklanym blacie balansowało radio, bręcząc głupkowatym popem.

- Mój syn i ja przyjechaliśmy na mecz testowy - zagadał ojciec do sprzedawcy. Rzucił na blat zwitek rupii. - Pan przestawi radio! I poproszę trochę tych pappadi.

Sprzedawca złapał gazetowy rożek i sięgnął do gorącego tłuszczu.

- Nienienie! - ojciec Krishana niemal wrzasnął z frustracji. - Najpierw radio! Potem jedzenie. Dziewięćdziesiąt siedem i cztery.

Odezwał się Ram Sagar Singh, ze swoją elegancką angielszczyzną prosto z BBC, Krishan zaś usiadł z papierowym rożkiem gorących pappadi, opierając się o ciepły blaszany wózek, i słuchał meczu. I tak właśnie pamięta ostatnie rundy Naresha Inżyniera: siedząc pod wózkami sprzedawców nimki pod stadionem Moin ul-Huq, słuchając Rama Sagara Singha i nasłuchując słabiutkiego, na wpół wyobrazonego uderzenia kija, a potem narastającego ryku tłumy z tyłu; cały dzień, patrząc na przesuwane się po betonowym parkingu cienie.

Krishan Kudrati uśmiecha się w drzemce pod pnącym hibiskusem. Na jego zamknięte powieki nasuwa się ciemniejszy cień, powiew chłodu. Otwiera oczy. Parvati Nandha stoi nad nim i patrzy z góry.

- Naprawdę powinnam cię obsztorcować, śpisz na moim czasie.

Krishan zerka na zegarek na radiu. Ma jeszcze dziesięć minut swojego czasu, ale siada prosto i wyłącza radio. Gracze jedzą teraz lunch, a Ram Sagar Singh czerpie ze swojej przepastnej składnicy krykietowych ciekawostek.

- Chciałam tylko zapytać, co myślisz o moich nowych bransoletkach na dzisiejsze przyjęcie - mówi Parvati z jedną ręką na biodrze jak tancerka, drugą wymachując przed nim.

- Może bym coś zobaczył, gdyby pani przez chwilę się nie ruszała.

Metal odbija światło i oślepia go. Instynktownie wyciąga rękę. Bez namysłu łapie ją za przegub. Świadomość tego paraliżuje go. Po chwili puszcza.

- Bardzo piękne - mówi. - To złoto?

- Tak - odpowiada Parvati. - Mój mąż uwielbia kupować mi złoto.

- Pani mąż jest bardzo dobry dla pani. Będzie pani na tym przyjęciu gwiazdą numer jeden.

- Dziękuję. - Parvati spuszcza głowę, zawstydzona własną bezpośredniością. - Bardzo jesteś miły.

- Nie, ja po prostu mówię prawdę. - Ośmielony słońcem i ciężkim aromatem ziemi, odważa się:

- Proszę mi wybaczyć, ale sądzę, że nie słyszy pani tego tak często, jak powinna.

- Szczery jesteś nad wyraz! - karci go Parvati, potem delikatnie dodaje: - W tym radiu, to krykiet?

- Drugi mecz testowy, w Patnie. Mamy dwieście osiem w pięć.

- Nic z tego krykieta nie rozumiem. Wydaje się strasznie skomplikowany i chyba trudno wygrać.

- Jak się zna zasady i strategię, jest to najbardziej fascynujący ze wszystkich sportów - mówi Krishan. - Najbliższy Zen ze wszystkiego co angielskie.

- Chętnie się trochę dowiem. Na tych towarzyskich imprezach o niczym innym się nie gada. Głupio się czuję, jak tak stoję i nie mogę nic powiedzieć. Może nie znam się na polityce czy gospodarce, ale krykieta mogłabym się nauczyć. Może ty mnie nauczysz?

Pan Nandha jedzie przez Nowe Varanasi do wtóru *Dydony i Eneasza*, w nagraniu Londyńskiej Opery Kameralnej, którą wyróżnia za jej bezceremonialne podejście do angielskiego baroku. Na skraju postrzegania zmysłowego, jak plotkę o monsunie, ma wieczorny bankiet u Dawarów. Chętnie by się czymś wymówił. Pan Nandha obawia się, że Sanjay Dawar obwieści szczęśliwe poczęcie swojego następcy. Podejrzewa, że Bramina. I Parvati znowu zacznie. Tyle razy już jasno mówił,

jakie ma poglądy, ale ona słyszy tylko mężczyznę, który mówi, że nie da jej dzieci. To go przygnębia.

Dysonans w ośrodku słuchowym: dzwoni Morva z Finansowego. Ze wszystkich swoich ludzi w Ministerstwie, pan Nandha jedynie do niego żywi jakikolwiek szacunek. Papierowe dowody mają w sobie coś eleganckiego i pięknego. To wykrywanie przestępstw w najczystszej i najświętszej formie. Morva nigdy nie musi wychodzić z biura, nigdy nie staje na ulicy, nie grozi przemocą, nie nosi broni, ale za biurkiem na dwunastym piętrze może paroma gestami ręki i mrugnięciami powieki objąć myślą cały świat. Czysty, odcieleśniony umysł, przemykający od firmy-wydmuszki do raju podatkowego, przechwalni danych, po rachunek depozytowy. Stopień abstrakcji jego pracy ekscytuje pana Nandhę: pojęcia w ogóle nieprzekładające się na świat fizyczny. Czyste strumienie, przepływy niematerialnych pieniędzy przez chwilowe skupiska informacji.

Wytropił Odeco. To tajemnicza firma inwestycyjna zaszyta w karaibskim raju podatkowym, mocno oddana wyrzucaniu megadolarów w błoto. Jej inwestycje w Bharacie obejmują Wydział Sztucznej Inteligencji na University of Bharat w Varanasi; Ośrodek Badawczo-Rozwojowy firmy Ray Power i pewną liczbę cieplarni specjalizujących się w darwinowskim sofocie, na krawędzi legalności hodujących niskopoziomowe aeai. Ale nie takie, co wyskakują z potajemnych hazardowych zakładów na tyłach fabryczki Pasta-Tikka i wpadają w amok, myśli pan Nandha. Nawet inwestor wysokiego ryzyka, jak Odeco, nie poważiłby się współpracować z sundarbanami.

Amerykanie boją się tych dżungli, tak jak wszystkiego poza swoimi granicami, i wynajmują pana Nandhę i jemu podobnych do prowadzenia swojej niekończącej się wojny z dzikimi aeai, natomiast sam pan Nandha w dużej mierze dataradźów podziwia. Mają energię i przedsiębiorczość. Mają dumę i liczą się na świecie. O sundarbanach z Bharatu, Państw Bengalu, Bangaloru i Mumbaju mówi się wszędzie. Są azylem legendarnych Trzecich Generacji, aeai rozumnych ponad rozum, przewyższających ludzką inteligencję jak bogowie.

Sundarban Bandrinath fizycznie mieści się w skromnym mieszkaniu na piętnastym piętrze, na Vidyapeeth. Sąsiedzi dataradzi Radhakrishny na pewno nawet nie podejrzewają, że obok nich mieszka dziesięć tysięcy cybernetycznych bogów. Pan Nandha przebija się klaksonem między motorowerami, żeby zaparkować, i jednocześnie przywołuje awatary. Ktoś ostrzegł Jashwanta. Dataradźowie mają wszędzie tyle czułek, wykrywających drgania globalnej sieci, że prawie jakby sami widzieli przyszłość. Zamykając samochód, pan Nandha patrzy, jak ulica i niebo wypełniają się wielkimi jak góry bogami. Śiwa skanuje ruch na łączach radiowych, Krysna intranet i extranet, Kali unosi sierp nad talerzami satelitarnymi Nowego Varanasi, by ściąć wszystko, co zechce się z Bandrinathu wykopiować. „Nasza rozkosz to niszczenie, psoty talentem jedynym”, śpiewa chór Angielskiej Orkiestry Kameralnej.

I nagle wszystko robi się białe. Bogowie znikają z nieboskłonu. *Dydona i Eneasza* doznają zwarcia w połowie *continuo*. Pan Nandha wyrywa hoeka z ucha.

- Z drogi! Z drogi! - krzyczy do przechodniów.

W pierwszym tygodniu pracy w Ministerstwie pan Nandha przeżył impuls elektromagnetyczny o pełnej mocy. Jest nie do pomylenia. Gdy wbiega po schodach do foyer, wystukując na zacinającym się palmerze wezwanie policyjnych posiłków, wydaje mu się, że widzi coś - za duże na ptaka, za

małe na samolot - co odrywa się od mieszkalnego wieżowca i znika na niebie, w poświacie miasta. Parę sekund później architraw nad oknami mieszkania na piętnastym piętrze wybucha płomieniem.

- Uciekać! Uciekać! - krzyczy pan Nandha, gdy dymiące odłamki sypią się na gapiów, ale w głowie ma tylko jedną myśl: nie zdąży teraz odebrać garnitur od Mukherjeego.

ROZDZIAŁ 13 SHAHEEN BADOOR KHAN, NAJIA

Pani premier Sajida Rana jest dziś ubrana na złoto i zielono. Jej gabinet wie, że kiedy ubiera się we flagę, należy oczekiwać powoływania się na narodową dumę. Stoi u wschodniego szczytu długiego tekowego stołu w jasnej marmurowej sali posiedzeń rządu w Bharat Sabha. Równoległą ścianę zdobią olejne portrety w złotych ramach - przodkowie i polityczne wzory. Jej ojciec, Diljit Rana, w jedwabnej todze brytyjskiego radcy królewskiego. Jawaharlal Nehru, powściągliwy i jakby lekko wystraszony w swojej pięknie skrojonej tunice, jakby widział cenę, jaką przyszłe pokolenia zapłacą za jego szybki i byle jaki układ z Mountbattenem. Mahatma, ojciec wszystkich, z miską i kołowrotkiem. Wojowniczka Rani Lakshmi Bai, stojąca w strzemionach wierzchowca, dowodząca szarżą na Gwalior. Oraz autokraci z tego drugiego potężnego indyjskiego rodu współdzielącego miano Gandhi - Sonia, zabity w zamachu Rajiv, Indira - męczenniczka, Matka India.

Marmurowe ściany i sufit sali posiedzeń wyrzeźbiono w kunsztowne wzory z hinduskiej mitologii. Mimo to, akustyka jest sucha i dźwięczna. Niosą się nawet szepty. Sajida Rana kładzie dłonie na połyskującym teku, opiera się na nich - to postawa wojownika.

- Czy przetrwamy, jeśli uderzymy na Awadh?

V.S. Chowdhury, minister obrony, zwraca na swoją przywódczynię spojrzenie jastrzębich oczu.

- Bharat przetrwa. Varanasi przetrwa. Varanasi jest wieczne.

W rozbrzmiewającej echem sali nie ma wątpliwości, co chce przekazać.

- A możemy ich zwyciężyć?

- Nie. Nie ma szans. Widzieliście Shrivastawę w Białym Domu, jak podawał rękę McAuleyowi, jako przedstawiciel Najbardziej Uprzywilejowanego Państwa.

- Następna będzie Shanker Mahal - mówi sekretarz ds. energetyki, Vajubhai Patel. - Amerykanie od dawna węszą wokół Ray Power. Awadh nie musi atakować, mogą nas po prostu wykupić. Ostatnio słyszałem, że stary Ray robił Surja Namaskarę na ghacie Manikarna.

- To kto, kurna, prowadzi biznes? - pyta Chowdhury.

- Astrofizyk, handlowiec opakowań i komik-samouk.

- Bogowie, ratujcie, właściwie trzeba by się już poddać - mruczy Chowdhury.

- Nie wierzę, o czym tu się gada - mówi Sajida Rana. - Jak stare baby przy pompie. Ludzie chcą wojny.

- Ludzie chcą deszczu - mówi Biswanath, minister ochrony środowiska. - Tylko tego chcą. Żeby przyszedł monsun.

Sajida Rana zwraca się do swojego najbardziej zaufanego doradcy. Shaheen Badoor Khan zapatrzył się na marmur, jego uwagę pochłonęły wulgarne, włożące jedno na drugie pogańskie bóstwa na ścianach i na suficie. Potem w myślach usuwa co bardziej ordynarne kontury, rzeźbione stożki piersi, prostacko sterczące lingamy, sprowadza je do androgynicznego, rozmazanego ciała, wpływającego i wypływającego z własnego zarysu. W wizji pojawia się ukos kości policzkowej, elegancki łuk karku, gładka, doskonała krzywizna bezwłosej czaszki, dostrzeżona na korytarzu lotniska.

- Khan, co pan przywozi z Bengalów?

- To fikcja - odpowiada Shaheen Badoor Khan. - Bengalczycy, jak zawsze, chcą pokazać, jakimi są wielkimi inżynierami. Nowoczesna technologia na ratunek. Ta góra lodowa to sztuczka PR-owska. Są niemal tak samo wyschnięci, jak my.

- I dokładnie o to chodzi. - Głos zabiera minister spraw wewnętrznych Ashok Rana. Shaheen Badoor Khanowi nepotyzm nie przeszkadza, ale powinno się przynajmniej spróbować dopasować osobę do stanowiska. Ashok, udając, że mówi od siebie, wygłosi krótką mowę popierającą stanowisko siostry, obojętne jakie. - Ludzie chcą wody, a jeśli do tego trzeba wojny...

Shaheen Badoor Khan wzdycha delikatnie, ale wystarczająco głośno, żeby brat pani premier to zauważył. Wtrąca się minister obrony Chowdhury. Ma wysoki, zrzędlawy głos, dźwięczący nieprzyjemnymi harmonicznymi wśród kłótliwych marmurowych apsar.

- Według Zespołu Planowania Strategicznego Wojsk Lądowych najlepszy ruch to wyprzedzający atak na samą tamę. Wysłać drogą powietrzną małą grupę komandosów, przejąć tamę, utrzymać ją do ostatniej chwili, potem wycofać się przez granicę. Tymczasem naciskamy na ONZ, żeby wysłała na tamę siły pokojowe.

- Jeśli do tego czasu Amerykanie nie zarządzą sankcji - zauważa Shaheen Badoor Khan.

Wzdłuż długiego, ciemnego stołu przetacza się pomruk aprobaty.

- Wycofać się? - Ashok Rana nie dowierza. - Nasi dzielni dzawani zadają Awadhowi potężny cios, a potem podwijają ogon i uciekają? Jak to będzie wyglądać na ulicach Patny? Oni w tym Zespole Planowania Strategicznego w ogóle nie mają izzatu?

Shaheen Badoor Khan czuje, jak klimat w sali się zmienia. To pieprzenie o dumie, dzielnych żołnierzach i tchórzostwie ekscytuje ich.

- Moje zdanie, jeśli można... - mówi w idealnej, rezonującej ciszy.

- Pana zdanie jest zawsze mile widziane - wtrąca Sajida Rana.

- Według mnie największym zagrożeniem dla tego rządu są aranżowane demonstracje na

rondzie Sarkhand, nie spór o tamę z Awadhem.

Głosy po obu stronach stołu podnoszą sprzeciw. Sajida Rana unosi rękę, zapada cisza.

- Panie sekretarzu, proszę dalej.

- Nie mówię, że nie będzie wojny, choć sądzę, że moje stanowisko wobec inwazji na Awadh jest już doskonale wszystkim znane.

- Babskie stanowisko - mówi Ashok Rana. Shaheen słyszy, jak szepcze do swojego doradcy: - I muzułmańskie.

- Mówię o zagrożeniach dla tego rządu. To oczywiste, że największą groźbą są dla nas wewnętrzne podziały i niepokoje, podsycane przez Shivajich. Dopóki nasza partia cieszy się masowym poparciem społecznym w sprawie uderzenia na Awadh, wszystkie negocjacje dyplomatyczne będą przechodzić przez ten gabinet. Wszyscy zgadzamy się, że wojskowy atak to tylko narzędzie, które ma ściągnąć Awadhów do negocjacyjnego stołu, mimo że Ashok ma tak dobre zdanie o dzielności naszej armii. - Patrzy Ashokowi w oczy wystarczająco długo, by dać mu do zrozumienia, że ma go za głupca, awansowanego powyżej swoich kompetencji. - Jeśli jednak Awadh i ich protektorzy z Ameryki dostrzegą polityczną alternatywę, mającą w Bharacie duże poparcie, to N.K. Jivanjee chętnie ustawi się w roli czyniącego pokój. Zostanie człowiekiem, który zapobiegł wojnie, sprawił, że na nowo popłynął Ganges i obalił butnych Ranów, hańbę Bharatu. I minie pokolenie, zanim znów będziemy oglądać tę salę od środka. To wszystko kryje się za tymi gierkami z rondem Sarkhand. Tu nie idzie o moralne oburzenie Najświętszego Hindusa Bharatu. Jivanjee chce poszczuć nas tłumem. Chce wjechać tym swoim dżagannathem przez Chandni Boulevard prosto do tej sali.

- Możemy go za coś aresztować? - pyta Dasgupta, minister spraw zagranicznych.

- Zaległe podatki? - rzuca Vipul Narvekar, asystent Ashoka Rany.

Rozlegają się dyskretne śmiechy.

- Mam propozycję - mówi Shaheen Badoor Khan. - Niech N.K. Jivanjee osiągnie to, czego chce, ale wtedy, kiedy my tego zechcemy.

- Panie Khan, proszę wyjaśnić. - Premier Sajida Rana się pochyła.

- Mówię tak: dajmy mu na razie wolną rękę. Niech sobie jedzie tym rydwanem, niech tańczą za nim Shivaji. Niech będzie głosem hinduskich narodowców, niech sobie przemawia, niech podżega do wojny i łechce urażoną bharacką dumę narodową. Niech doprowadzi kraj do wojny. Jeśli my okażemy się gołębiami, on będzie musiał zostać jastrzębiem. Już wiemy, że potrafi podburzyć tłum do zamieszek. Można ich skierować przeciwko Awadhom w peryferyjnych miastach. Oni poproszą Delhi o obronę i cała rzecz się wyescaluje. Pana Jivanjeeego nie trzeba przekonywać, żeby podjechał swoją ratha jatrą pod samą tamę w Kunda Khadar. Awadhowie będą kontratakować; wtedy do głosu dochodzimy my, jako strona poszkodowana. Partia Shivaji jest skompromitowana, jako ci, co to wszystko zaczęli; Awadhowie mają problem ze swoimi Amerykanami, a my wracamy do stołu jako

partia rozsądku, rozumu i dyplomacji.

Sajida Rana się prostuje.

- Jak zawsze subtelnie, panie sekretarzu.

- Jestem tylko cywilnym urzędnikiem... - Shaheen Badoor Khan pokornie schyla głowę, ale dostrzega wzrok Ashoka Rany. Jest wściekły. Odzywa się Chowdhury:

- Panie sekretarzu, z całym szacunkiem, ale chyba nie docenia pan woli ludu Bharatu. Bharat to nie tylko Varanasi i jego problemy ze stacjami metra. My w Patnie, coś o tym wiemy, jesteśmy prostymi, patriotycznymi ludźmi. Tam każdy sądzi, że wojna zjednoczy lud i zmarginalizuje N.K. Jivanjeego. Rozgrywanie subtelnych gier w czasach narodowego zagrożenia to niebezpieczna taktyka. Przez nas i przez was płynie ten sam Ganges, nie tylko wy jesteście spragnieni. Tak jak pani mówi, pani premier: ludzie potrzebują wojny. Nie chcę iść na wojnę, ale uważam, że musimy, a skoro tak, powinniśmy uderzać szybko i jako pierwsi. Wtedy negocjujemy z pozycji siły, a kiedy w pompach pojawi się woda, wszystkim otworzą się oczy i uznają Jivanjeego i jego karsewaków za bezwartościowe śmiecie. Pani premier, czy kiedykolwiek źle oceniła pani nastroje ludzi w Bharacie?

Kiwnięcia głów, pomruki. Klimat znów się zmienia. Sajida Rana stoi u szczytu stołu Rady Ministrów i patrzy na swoich przodków i wzorce na ścianie, jak to Shaheen Badoor Khan widywał już tyle razy - wzywa ich, aby uświęcili decyzję, którą podejmie w imieniu Bharatu.

- Wysłuchałam pana, panie Chowdhury, ale myślę, że propozycja pana Khana ma sens. Skłaniam się ku temu, żeby ją wypróbować. Pozwolę N.K. Jivanjeemu odwalić robotę za nas, ale armia niech zostanie w trzygodzinnej gotowości bojowej. Panowie, meldunki na moją skrzynkę do godziny szesnastej zero zero, o siedemnastej roześlę dyrektywy. Dziękuję, zamykam posiedzenie.

Rząd i doradcy wstają, gdy Sajida Rana odwraca się i wychodzi, barwnie roztrzepotana, za nią gęsiego wychodzą asystenci. Jest wysoką, chudą, ładną kobietą; mimo wnuka w drodze ani śladu siwizny we włosach. Gdy przechodzi, Shaheen Badoor Khan czuje cień Chanel. Jeszcze raz zerka na pełzające po ścianach i suficie erotyczne bóstwa, powstrzymuje wzdrygnięcie.

W korytarzu ktoś dotyka jego rękawa: minister obrony.

- Panie Khan.

- W czym mogę pomóc, panie ministrze?

Chowdhury zaciąga Shaheena w okienną wnękę. Nachyla się ku niemu i cicho, bezbarwnie mówi:

- Panie Khan, udane spotkanie, ale przypomnę pana własne słowa: „Tylko cywilny urzędnik”.

Wciska teczkę pod pachę i odbiega korytarzem.

Najia Askarzadah, skacowana od krwi, budzi się późno w swojej koi dla studentów-turystów, w hotelu Imperial. Człapie do wspólnej kuchni w poszukiwaniu ćaju, omija Australijczyków narzekających, jak płaski jest krajobraz i że nie można dostać przyzwoitego sera, nalewa sobie szklankę i dręczona koszmarami wraca do pokoju. Przypomina sobie, jak mikroszable rzuciły się na siebie, jak zerwała się z miejsca, by razem z resztą ryknąć krwiożerczym głosem. Czuje się brudniejsza i grzeszniejsza niż po jakichkolwiek dragach albo seksie - jest od tego uzależniona.

Najia sporo się zastanawiała, czemu tak pociąga ją niebezpieczeństwo. Rodzice wychowali ją na Szwedkę, permissywnie, liberalnie pod względem seksualnym i po zachodniemu. Na wygnanie nie zabrali żadnych zdjęć, pamiątek, żadnych słów, języków ani geografii. Jedyne, co ma w sobie afgańskiego, to nazwisko. Klosz rodzicielski był tak szczelny, że Najia dopiero na pierwszym semestrze studiów, gdy profesor zaproponował jej napisanie pracy o polityce Afganistanu po wojnie domowej, zrozumiała, że ma kompletną, ukrytą tożsamość. Owa tożsamość rozwarła się przed Najią Askarzadah, skandynawską, poliseksualną studentką humanistycznego kierunku, i pochłonęła ją na trzy miesiące, podczas których owa praca stała się fundamentem jej późniejszej magisterki. Istnieje życie, które mogła prowadzić, a dotychczasowa kariera jest dla niej tylko grą wstępną. Bharat na krawędzi wojny o wodę jest przygotowaniem do powrotu do Kabulu.

Siedzi na chłodnej werandzie Imperialu i sprawdza pocztę. Pismu podoba się jej wywiad. Bardzo się podoba. Chce zapłacić za nią osiemset dolarów. Stuknięciem zatwierdza umowę w Ameryce. Jeden krok na ścieżce do samego Kabulu, ale tylko jeden. Musi zaplanować następną rozmowę. Będzie polityczna. Następnym jej rozmówcą będzie Sajida Rana. Sajida Rana interesuje wszystkich. Jaki styl rozmowy? Jak kobieta z kobietą. Pani premier, jest pani politykiem, przywódcą, członkiem potężnej dynastii w kraju, który potrafi podzielić jedno rondo i gdzie mężczyźni tak desperacko pragną ożenku, że to oni płacą posag, gdzie dzieci-potwory dojrzewające dwa razy szybciej niż zwykli ludzie sięgają po przywileje i upodobania dorosłych zanim skończą dziesięć lat, kraju, który umiera z pragnienia i zaraz z tego powodu rozpęta wojnę.

Ale przede wszystkim jest pani kobietą w społeczeństwie, gdzie kobiety o pani klasie i wykształceniu zniknęły za zasłoną nowej purdy. Co sprawiło, że udało się pani, i właściwie tylko pani, uciec od zagłaskania w tej jedwabnej klatce?

Niezły tekst. Najia otwiera palmera. Gdy już ma go wstukać, palmer ćwierka. To będzie Bernard. Chodzenie na walki jest mało tantryczne. Mało tantryczne jest chodzenie z innym facetem. Nie jest zaborczy, więc nie musi jej wybaczać, ona musi sama zadać sobie pytanie: czy to przybliży ją do samadhi?

- Bernard - mówi Najia Askarzadah - odpiardol się i tak, kurwa, zostań. Myślałam, że zazdrość u ciebie nie występuje. Czy to jest tylko kolejna bzdura, którą sprzedajesz kobietom, tak jak całą tę tantrę z twoim fiutem?

- Czy pani Askarzadah?

- Och, przepraszam, wzięłam pana za kogoś innego. Słyszysz teraz silny szum powietrza.

- Halo? Halo?

Potem:

- Pani Askaradah. Proszę w ciągu pół godziny pojawić się w hali firmy Deodar Electrical przy Industrial Road. - Wykształcony głos, z nieznacznym akcentem.

- Halo? Kto mówi, proszę posłuchać, przepraszam, że...

- Hala firmy Deodar Electrical, Industrial Road.

I rozłącza się. Najia Askaradah spogląda na palmera, jakby trzymała w dłoni skorpiona. Ani numeru, ani nazwiska, ani słowa wyjaśnienia. Wstukuje podyktowany adres, palmer wyświetla mapę dojazdu. Po minucie jest już za bramą na motorowerze. Deodar Electrical to część dawnych terenów studia *Miasta i wsi*, podzielonych między małe firemki, kiedy serial przeszedł do wirtuala i przeprowadził się do głównej siedziby Independent w Ranapurze. Mapa prowadzi ją pod wielką, podwójną bramę, gdzie nastolatek w długiej kurtce i kamizelce słucha przy stoliku radiowej relacji z krykieta. Zauważa, że na szyi ma trójząb Shivaji, taki sam, jaki widziała u Satnama.

- Ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, żebym tu przyszła. Najia Askaradah.

Młodziak lustruje ją od stóp do głów. Usilnie próbował zapuścić wąsy.

- A. Tak, powiedziano nam, że mamy na panią czekać.

- Powiedziano? Kto?

- Proszę ze mną.

Otwiera małe drzwiczki we wrotach bramy. Pochylają się i przechodzą.

- Ooo, wow - wyrywa się Najii.

Ratha jatra wznosi się na piętnaście metrów pod studyjnymi reflektorami, jak czerwono-złota piramida balkonów i balustrad, kipiąca od bogów i aditjów. To ruchoma świątynia. Na jej szczycie, niemal dotykając dźwigarów stropu, znajduje się pleksiglasowa kopuła z figurą Ganeśi na tronie, ludowego boga zawłaszczonego przez Shivajich. Podstawa, szeroki taras dla działaczy partyjnych i PR-owców, spoczywa na dwóch płaskich platformach.

- Te ciężarówki są spięte ze sobą - mówi z zapalem przewodnik.

- Zawsze będą równo jechać, rozumie pani? Przyczepimy liny, jeśli ludzie będą chcieli pokazać, że ciągną, ale Shivaji nie zamierza nikogo wykorzystywać.

Najia nigdy nie widziała startu rakiety, nigdy się tym nie interesowała, ale wyobraża sobie, że tamte hale montażowe charakteryzuje podobny zgiełk i zapach: wszystko otoczone dźwigami i rusztowaniami, robotnicy w kombinezonach i maskach przeciwpyłowych chodzą w górę i dół wzdłuż złotych burt, lekkie roboty łączeniowe wtykają ryjki z klejem w różne kąty i zakamarki. Powietrze otumania zapachem farby i pyłem włókna szklanego, stalowa hala dźwięczy elektrycznymi

zszywaczami, wiertarkami, tarczówkami. Najia przygląda się unoszonemu w górę na linach posągowi Vasu. Dwóch robotników z nalepkami Shivaji na kombinezonach wkleja go na miejsce, pośrodku rozety akolitów tańczących wokół Wisznu na tronie. Pośrodku wznosi się złoty zikkurat świętego wehikułu. Rydwan Dżagannatu. Moloch we własnej osobie.

- Proszę robić zdjęcia - mówi przewodnik. - Bezpłacie.

Najia uruchamia aparat w palmerze, trzęsą się jej ręce. Wchodzi między robotników i maszyny i pstryka, dopóki nie zapełni całej pamięci.

- A one mogą, tego... do gazet? - bąka do Shivajiego, który wydaje się tu jedyną osobą obdarzoną jakąkolwiek władzą.

- Ależ tak - odpowiada. - Chyba po to tu panią sprowadzono.

Palmer cicho dzwoni. Znów nieujawniony numer. Najia ostrożnie odbiera.

- Słucham?

Tym razem to nie ten wykształcony głos. Kobieta.

- Halo? Łączę rozmowę z panem N.K. Jivanjeem.

- Kto...? Słucham...? Halo? - jąka się Najia.

- Pani Askaradah? Witam. - To on. To naprawdę on. - I co pani sądzi?

Brakuje jej słów. W gardle zasycha. Przęłyka ślinę.

- No, eee... imponujący.

- Świetnie. Tak właśnie ma być. Kosztował cholernie dużo pieniędzy, ale wydaje mi się, że zespół odwalił kawał dobrej roboty, prawda? Składa się w większości z byłych scenografów i dekoratorów z telewizji. Cieszę się, że się pani podoba. Myślę, że robi podobne wrażenie na wielu innych osobach. Oczywiście, naprawdę liczą się tylko Ranowie. - Śmiech Jivanjeego to głęboki czekoladowy bulgot. - A więc, pani Askaradah. Możliwość obejrzenia mojego wozu wcześniej to ogromny przywilej, który przyniesie pani godziwą sumę pieniędzy. Rozumie pani, prawda? Bez wątplenia zastanawia się pani: o co chodzi? Chodzi po prostu o to, że partia, której mam zaszczyt przewodzić, czasami nie chce wypuszczać niektórych informacji konwencjonalnymi kanałami. Więc pani będzie tym nieoficjalnym kanałem. Oczywiście rozumie pani, że możemy to zawiesić w każdej chwili. Moja sekretarka przygotowała krótkie oświadczenie, które zaraz prześle na pani palmera. Mówi o mojej pielgrzymce, o mojej lojalności wobec Bharatu, mojej intencji, by ta pielgrzymka była narzędziem zjednoczenia narodowego w obliczu wspólnego wroga. Wszystko to jest do weryfikacji w moim biurze prasowym. Czy mogę liczyć, że coś z tego pokaże się w wieczornych wydaniach? Świetnie. Bardzo dziękuję, pani Askaradah, i pozdrawiam.

Przygotowane oświadczenie przychodzi z dyskretnym sygnałem. Najia przegląda je. Dokładnie,

jak mówił N.K. Jivanjee. Czuje się, jakby ktoś walnął ją w czoło czymś wielkim, ciężkim i miękkim. Ledwo słyszy co mówi chłopaczek z Shivaji:

- To on? To naprawdę był on? Nie słyszałem wszystkiego, co on mówił?

N.K. Jivanjee. Z Sajidą Raną każdy może pogadać. Ale N.K. Jivanjee. Najia Askarzadah obejmuje się z radości rękoma. Pierwsza! Na wyłączność! Zdjęcia copyright by Najia Askarzadah. Licencje kupi cała planeta, zanim atrament wyschnie na umowie. Jest już na motorowerze, kurs na redakcję „Bharat Timesa”. Wymyka się przez bramę z drutu prosto pod nadjeżdżający szkolny autobus, gdy jednej myśli udaje się przebić przez oszołomienie:

„Dlaczego ja?”.

O dziesiątej wystąpi Mumtaz Huq, piosenkarka ghazal. Shaheen Badoor Khan ma nadzieję być o tej porze daleko stąd. Nawet nie lubi Mumtaz Huq. Ma ją na paru składankach w samochodzie, ale ona nie ma tak czystego głosu jak R.A. Tora. Po prostu nie lubi takich imprez. Ścisza w dwóch dłoniach szklankę soku z granatów i trzyma się w cieniu, skąd może dyskretnie obserwować.

Ogród Dawarów jest chłodną, wilgotną oazą pełną pawilonów i altan pośród słodko pachnących drzew i misternie wystrzyżonych krzewów. Mówi o pieniądzach i łapówkach dla Departamentu Wodociągów. Świecowe latarnie i olejowe pochodnie zapewniają barbarzyńskie oświetlenie. Kelnerzy w radźputańskich kostiumach krążą między gośćmi ze srebrnymi tacami z przekąskami i kieliszkami. Na pandalu pod drzewiastymi jaśminami muzycy rzępołą i dudlą do rytmu elektrycznego basu. Tu wystąpi Mumtaz Huq, a później będą fajerwerki. To właśnie powtarzała Neelam Dawar wszystkim swoim gościom. Ghazal i fajerwerki. Radujcie się!

Bilquis Badoor Khan wyszukuje męża w kryjówce.

- Skarbie, chociaż trochę byś się postarał.

Shaheen Badoor Khan całuje żonę na pokaz, po całusie w każdy policzek.

- Nie. Zostaję tutaj. Albo mnie rozpoznają i jest jeden temat, wojna, albo nie, i wtedy szkoły, kursy akcji i krykiet.

- Krykiet... tak a propos... - Bilquis dotyka lekko, konspiracyjnym gestem, rękawa Shaheena. - Shaheen, posłuchaj... to bezcenne... Nie wiem, skąd Neelam je bierze. W każdym razie, ta straszna, niechlujna wieśniara, czyjaś żona, znasz ten typ, wysiadła prosto z autobusu z Biharu, wżeniła się wysoko i wszyscy muszą o tym wiedzieć. O, widzisz, tam stoi. No, w każdym razie: stoimy sobie, rozmawiamy, a ona krąży wokół, widać, że biedactwo chce wtrącić swoje trzy rupie. Schodzi na krykiet i stulecie Tandong, wtedy się odzywa: czy to nie wspaniałe, że tak przy ósmej piłce, w sam raz na herbatę... Poważnie. Według niej *over* ma osiem piłek. No, po prostu bezcenne.

Shaheen Badoor Khan patrzy na kobietę stojącą samotnie pod pagodowym figowcem, z kubkiem lassi w dłoni. Dłoń na srebrnym kubku jest smukła i długa, wymalowana henną. Obrączkę ma

wytatuowaną na palcu. Nosi się z wiejską elegancją, wysoka, wyrafinowana na swój naturalny, niezmanierowany sposób. Shaheenowi Badoor Khanowi wydaje się niewypowiedzianie smutna.

- Tak, bezcenne - mruczy, odwracając się od żony.

- Oj, Khan! Myślałam, że pokażesz tam swoją pogańską gębę.

Shaheen Badoor Khan próbował trzymać się z dala od Bala Ganguly'ego, ale grubas wyczuwa nowiny na kilometr, jak ćma *Actias luna*. To jego cel w życiu i pasja - jest właścicielem największego varanaskiego portalu z informacjami. Choć nigdy nie widzi się go bez orszaku nieżonatych współpracowników - imprezy, na które go zapraszają, wabią kobiety, jakie chcieliby poślubić - sam Ganguly jest zaprzysięgłym kawalerem. „Tylko dureń zaharowuje się, budując sobie klatkę”, mawia. Shaheen Badoor Khan wie także, że jest liczącym się donatorem Shivaji.

- No i co tam u Sabha? Mam sobie kopać schron czy tylko robić zapasy ryżu?

- Przykro mi cię rozczarować, ale nie ma wojny w tym tygodniu. - Shaheen Badoor Khan rozgląda się za drogą ucieczki. Kawalerowie go okrążają.

- No wiesz, nie zdziwiłbym się, gdyby Rana wypowiedziała wojnę, a pół godziny później wysłała buldożery na rondo Sarkhand. - Ganguly śmieje się z własnego dowcipu. Ma tubalny, bulgotliwy, zaraźliwy śmiech. Shaheen Badoor Khan sam łapie się na uśmiechu. Dworzanie konkurują, kto się zaśmieje najgłośniej. Sprawdzają, czy patrzą na nich jakieś kobiety. - Ale wiesz, Khan. Wojna to poważna sprawa. Sprzedaje ogromne ilości powierzchni reklamowej.

Niezamężne kobiety, zgromadzone w swoim pawilonie, zerkają mimo przyzwoitek, uśmiechają się, ale nie śmia spojrzeć prosto w oczy. Shaheen Badoor Khan znów zwraca uwagę na żonę ze wsi pod świętym figowcem. Między światami. Ani tu, ani tam. Najgorsze miejsce na świecie.

- Nie pójdziemy na wojnę - rzuca gładko Shaheen Badoor Khan. - Jeśli pięć tysięcy lat historii wojen czegoś nas nauczyło, to właśnie tego, że nie nadajemy się do wojen. Lubimy pozować, potrząsać szablą, ale do bitwy się nie palimy. Tak właśnie przejechali się po nas Brytyjczycy. Siedzieliśmy sobie na naszych obronnych pozycjach, oni nadchodzili i nadchodzili, a my myśleliśmy: „No, kiedyś muszą przestać”. Ale oni nacierali dalej, z bagnetami na broni. Tak samo było w zero drugim i w dwudziestym ósmym w Kaszmirze, tak samo będzie w Kunda Khadar. Zgromadzimy wojska po naszej stronie tamy, oni po swojej, rzucimy sobie parę pocisków z moździerza, wszyscy zadowolą swój izzat i będą mogli rozejść się do domów.

- W dwudziestym ósmym ludzie nie ginęli z braku wody - mówi gniewnie jeden z gazeciarzy.

Ganguly zamiera, przełyka kolejną dowcipną ripostę. Byle reporterzy nie odzywają się ni stąd, ni zowąd do prywatnych sekretarzy pani premier. Shaheen Badoor Khan wykorzystuje ogólne zakłopotanie, żeby wykręcić się od dalszej rozmowy. Dziewczyny z niskich kast wodzą za nim oczyma. W mieście czy na wsi, władza pachnie tak samo. Shaheen Badoor Khan kiwa im głową, ale już widzi Bilquis na kursie przechwytyjącym, z jej przyjaciółkami eksprawniczkami. Kobiety, Które Kiedyś Występowały w Sądzie. Kariera Bilquis, jak u całego pokolenia wykształconych, pracujących

kobiet, zniknęła za woalem zajęć towarzyskich i konwenansów. Nie wypędził ich z miejsc pracy żaden imam, żadne prawo, żaden kastowy obyczaj. Po co pracować, skoro o każdą pracę bije się pięciu mężczyzn, a dowolna wykształcona, atrakcyjna towarzysko kobieta może się wżenić w pieniądze i prestiż? Witamy w szklanej zenanie.

Te szalenie bystre kobiety rozmawiają teraz o wdowie po wspólnym znajomym: szanowana dama, działaczka Shivaji, całkiem inteligentna. Wróciła do domu spod stosu na ghacie i co? Bankrutka. Ani paisy w kieszeni. Wszystkie meble, do ostatniej deski, poszły jako zabezpieczenia. Dwa tysiące czterdziesty siódmy, a wykształcona kobieta nadal może wylądować na ulicy. No, ale przynajmniej nie musiała pójść do tych, wiecie... Organistów. Ktoś coś słyszał o niej ostatnio? Trzeba by zajrzeć. Dziewczyny muszą się trzymać razem. Solidarność i w ogóle. Facetom nie można ufać.

Muzycy zajmują miejsca na pandalu, stroją instrumenty, wygrywają sobie nawzajem po nucie. Kiedy na scenę wejdzie Mumtaz Huq, Shaheen Badoor Khan się ewakuuje. Koło bramy jest drzewo, schowa się w jego cieniu, a kiedy rozlegnie się owacja, wykradnie się i zawoła taksówkę. Ktoś inny też dostrzegł tę okazję, facet w wymiętym, urzędniczym garniturze, z pełnym kieliszkiem Omara Chajjama w dłoni. Rysy twarzy ma dość wyrafinowane, choć przykryte mocnym cieniem jednodniowego zarostu. Ma wielkie, ciemne, zwierzęce oczy, a w nich zwierzęcy strach - instynktowny strach zwierząt przed tym co nowe.

- Nie lubi pan muzyki? - pyta Shaheen Badoor Khan.

- Wolę klasyczną - odpowiada tamten. Ma głos kształcony w Anglii.

- Zawsze uważałem Indirę Shankar za niedocenioną artystkę.

- Nie, klasyczną, znaczy zachodnią klasyczną. Renesans. Barok.

- Znam trochę, ale raczej nie gustuję. Niestety, dla mnie strasznie pobrzmiewa histerią.

- To romantycy - mówi tamten z uśmiechem, widać, że już uznał go przynajmniej trochę za swojego. - A czym się pan zajmuje?

- Jestem urzędnikiem państwowym - odpowiada Shaheen Badoor Khan.

Mężczyzna zastanawia się nad jego odpowiedzią.

- Ja też - mówi. - A mogę wiedzieć, jaka specjalność?

- Zarządzanie informacją.

- Moja to zwalczanie szkodników - mówi. - Zatem, zdrowie gospodarzy.

Unosi kieliszek, a Shaheen Badoor Khan zauważa, że jego garnitur jest poplamiony kurzem i dymem.

- Tak jest - potakuje. - Zdrowie dziecka.

Mężczyzna się krzywi.

- Tu się z panem nie zgodzę. Mam spore obiekcje wobec terapii genowej.

- Dlaczego?

- To recepta na rewolucję.

Shaheen Badoor Khan aż podskakuje, słysząc zaciętość w jego głosie. Gość ciągnie:

- Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje Bharat jest kolejna kasta. Mogą się nazywać Braminami, a w istocie są prawdziwymi Niedotykalnymi. - Opamiętuje się. - Proszę wybaczyć, naprawdę nic o panu nie wiem, czy pan...?

- Dwóch synów - odpowiada Shaheen Badoor Khan. - Tradycyjną metodą. Chwała Bogu, już bezpiecznie studiują, pewnie co wieczór chodzą na takie imprezy i polują na materiał do ożenku.

- Jesteśmy kalekim społeczeństwem - mówi tamten.

Shaheen Badoor Khan zastanawia się, czy on nie jest czasem dzinnem, wysłanym, by poddać go próbie: każde jego słowo trafia go prosto w serce. Wspomina młode małżeństwo, świetlane perspektywy kariery, droga usłana różami, rodzice tacy z nich dumni, tacy zachwyceni. No i oczywiście czekają na wnuki. Macie wszystko, oprócz tego jednego - syna. Syna i rezerwowego syna. Potem wizyty lekarzy, o których nie prosili, rodziny studiujące wyniki. Potem malutkie, gorzkie pigułki i czas krwi. Shaheen Badoor Khan nie jest w stanie zliczyć, ile córek spuścił z wodą. Tymi oto rękoma wyłamywał kończyny bharackiemu społeczeństwu.

Pogadałby z nim dłużej, ale uwagę tamtego odwraca przyjęcie. Shaheen patrzy tam, gdzie on: kobieta, z której sztychła Bilquis, piękna dama ze wsi, przedziera się przez podekscytowany tłum. Zaraz wejdzie diwa.

- Moja osobista żona - mówi facet. - Proszę wybaczyć. Miło mi było pana poznać.

Odstawia kieliszek z szampanem na podłogę i idzie do niej. Oklaski; na scenie pojawia się Mumtaz Huq. Uśmiecha się i uśmiecha i uśmiecha do publiczności. Dzisiaj wieczorem, pierwsza piosenka będzie dedykowana hojnym gospodarzom, będzie życzeniem nadziei, długiego życia i szczęścia dla ich błogosławionego dziecka. Muzycy zaczynają. Shaheen Badoor Khan się wymyka.

Uniesiona dłoń Shaheena Badoor Khana nie zatrzymuje żadnej z taksówek, nieczęstych na tym przedmieściu, gdzie jeździ się prywatnymi środkami transportu. Terkoce fatfat, zawraca w przerwie zieleńca pośrodku ulicy i podjeżdża do krawężnika. Shaheen rusza ku niemu, ale kierowca dodaje gazu i odjeżdża. Shaheen Badoor Khan dostrzega jakąś postać, owiniętą obfitą szatą, w cieniu plastikowej budki. Fatfat jeszcze raz przejeżdża przez pas rozdzielający i zbliża się do Shaheena. Z bąbla wygląda jakaś twarz, elegancka, obca, nie z tego świata. Kości policzkowe rzucają cienie. Światło połyskuje na bezwłosej, przyprószonej miką czaszce.

- Zapraszam, może pan pojechać ze mną.

Shaheen Badoor Khan cofa się, jakby dzinn wypowiedział tajemne imię jego duszy.

- Nie tutaj, nie tutaj - szepcze.

Neutko mruga, rzuca mu spowolnionego całusa. Silniczek wyje, maleńki fatfat odpływa w noc. Uliczne światło wydobywa coś srebrnego na szyi neutka, trisulę Siwy.

- Nie - błaga Shaheen Badoor Khan. - Nie.

Spoczywa na nim odpowiedzialność. Wprawdzie synowie dorośli i wyfrunęli, żona jest dlań obcą osobą, ma jednak na głowie wojnę, suszę, troskę o całe państwo. Niemniej, kierunek, jaki podaje kierowcy maruti, które udaje mu się wreszcie zatrzymać, nie prowadzi do haweli państwa Khanów. W inne miejsce, szczególne miejsce. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał tam iść. Wątlą nadzieję. To szczególne miejsce znajduje się w gali zbyt wąskim, by wjechać samochodem, przykrytym od góry misternie rzeźbionymi dżharokami i pudłami klimatyzatorów. Shaheen Badoor Khan otwiera drzwi taksówki i wysiada w inny świat. Oddycha płytko, ściśniętą, drżącą piersią. Tutaj. W mignięciach światła z otwierających się i zamykających drzwi, dwie sylwetki, zbyt smukłe, zbyt eleganckie, zbyt niesamowite, by należeć do przyziemnych ludzi.

- Och - wzdycha cicho. - Och.

ROZDZIAŁ 14 TAL

Tal biegnie. Głos woła je po imieniu z taksówki. Nie ogląda się. Biegnie, wydymając za sobą szal rozmazujący się w mgłę ultrabłękitnych orientalnych kwiatów. Trąbią klaksony, nagle pojawiające się twarze wykrzykują obelgi; pot i zęby. Tal chwieje się, o włos uniknąwszy potrącenia przez małego, szybkiego forda; muzyka łupie *umc-umc-umc*. Wiruje, robi unik przed ogłuszającym klaksonem ciężarówki, prześlizguje się między wiejskim pikapem i ruszającym z przystanku autobusem. Na moment zatrzymuje się na pasie rozdzielającym, ogląda. Bąbel fatfata wciąż powarkuje na chodniku. Postać stoi tam, mignęła mu w świetle reflektorów. Tal daje nurka w stalową rzekę.

Tego ranka Tal próbowało się ukryć, za pracą, za ogromnymi, zachodzącymi na boki ciemnymi okularami pilota tilt-jeta, za Panem Kaca, ale każdy musiał przyjść po porcję plotek o *niesssamowitych* gościach na tej *niesssamowitej* imprezie. Neeta była wręcz znokautowana taką liczbą gwiazd. Nawet wyluzowani gostkowie kręcili się wokół stacji roboczej Tala, żaden oczywiście nie zapytał wprost, ale chłonęli aluzje i podejrzenia.

W plotkarskiej sieci było tego pełno, podobnie na kanałach z informacjami, nawet serwisy rozsyłające najnowsze nagłówki wrzucały zdjęcia z przyjęcia na palmery ludzi w całym Bharacie. Na jednym z nich para neutków szła na całość na parkiecie, a naokoło sławy z czołówki listy klaskały i wiwatowały.

Potem za oczyma Tala pękła neuronowa Kunda Khadar i wszystko zalało go z powrotem. Każdy. Drobnym. Szczegół. Grzebanie się taksówkarza, szept i przekleństwa w hotelu na lotnisku. Blask poranka, beznamiętny i szary, obiecujący kolejny dzień niemiłosiernego ultraskwaru i wizytówka na poduszce. „Niebranżowy”.

- Och - szepnęło Tal. - Nie.

Wymknęło się do domu tak wcześnie, jak tylko pozwolił zbliżający się ślub Aparny Chawli i Ajay Najiadwali, jak trzęsący się, paranoiczny wrak człowieka. Skulone w fatfacie czuło obecność wizytówki w torbie, ciężką i niepewną, jak uran. Pozbądź się jej teraz. Niech wyfrunie przez okno. Niech ześliźnie się z siedzenia. Zgub, zapomnij. Ale nie mogło. Okropnie, potwornie się bało, że zakochało się bez pamięci i że nie ma na tę okazję żadnej ścieżki dźwiękowej.

Kobiety znowu kursowały po schodach, w górę i w dół z plastikowymi kanisterkami, ich rozmowy przygasały, gdy Tal przeciskało się obok, mamrocząc przeprosiny, potem wznawiały się chichoty i ciche szept. Każdy rumor, każdy strzęp głosu z radia wydawał mu się ciśniętą w nie bronią. Nie myślał tym. Za trzy miesiące się stąd wyniesiesz. Tal wpadło do swojego pokoju, zdarło

z siebie sztywne, cuchnące papierosami imprezowe ciuchy i nagie zanurkowało do swojego wspaniałego łóżka. Zaprogramowało sobie dwie godziny snu bez REM, ale ekscytacja, ból serca i cudowna, niesamowita konsternacja wygrały z podskórnymi pompami, leżało więc na plecach, obserwując, jak po suficie wędrują, jak powolne robaki, świetlne dziobki rzucające przez mocowania żaluzji, i słuchając pozbawionego głosu, chóralnego głosu poruszającego się miasta. Rozprostowało ostatnią, szaloną noc, wygładziło wszystkie jej fałdy. Nie szło na imprezę, żeby zaangażować się uczuciowo. Ani nawet po seks. Szło po prostu, żeby dobrze się bawić, ze sławami, z odrobiną blichtru. Nie szukało takiej przepięknej osoby. Nie chciało się wiązać. Nie chciało związku, relacji. A już ostatnią rzeczą była miłość od pierwszego wejrzenia. Miłość i inne okropieństwa - wydawało mu się, że zostawiło je za sobą, w Mumbaju.

Mana Bharat długo nie reagowała na pukanie Tala. Wyglądała, jakby cierpiała ból, jej ręce niepewnie manipulowały przy zamkach. Tal obmyło się w szklance wody, splukując wierzchnie warstwy snu i brudu, ale dym, alkohol i seks wżarły się w ciało. Czuło je od siebie, siedząc na niskiej sofie i patrząc na lecące w kablówce informacje bez fonii, podczas gdy staruszka przygotowywała čaj. Szło jej to wolno, z wyraźną trudnością. Jej starzenie się przerażało Tala.

- No więc - zaczęło Tal - chyba się zakochałam.

Mama Bharat zakołysała się na fotelu, przechylając głowę.

- Więc musisz mi wszystko powiedzieć.

I Tal zaczęło swoją historię, od wyjścia spod drzwi Mamy Bharat, aż po wizytówkę na poduszce następnego, martwego ranka.

- Pokaż mi - powiedziała Mama Bharat. Obracała ją w swojej skórzastej, małpiej dłoni. Zasznurowała usta.

- Mężczyzna, który zostawia wizytówkę z adresem klubu, a nie domu, nie przekonuje mnie.

- To nie mężczyzna.

Mama Bharat zamknęła oczy.

- Oczywiście. Przepraszam. Ale zachowuje się jak mężczyzna. - W gorącym świetle wpadającym przez skośne drewniane żaluzje zawirowały pyłki kurzu. - Co do niego czujesz?

- Czuję, że jestem zakochane.

- Nie o to pytałam. Co czujesz do *niego*?

- Chyba... czuję... chcę być z nim, chcę iść, gdzie ono idzie, widzieć to, co ono widzi, robić to, co robi, po prostu, żeby poznać te wszystkie drobne drobiazgi. Ma to jakiś sens?

- Wszelki sens na świecie - odparła Mama Bharat.

- I jak pani myśli, co mogę zrobić?

- A co możesz zrobić innego?

Tal wstało raptownie, zacisnęło dłoń.

- No to zrobię. Zrobię.

Mama Bharat uratowała porzuconą filizankę Tala z dywanu, zanim zdążyło zalać go słodkim, gorącym cąjem w ekscytacji i determinacji. Śiwa Nataradża, Pan Tańca, z uniesioną na wieki niszczycielską stopą, przyglądał mu się ze swego stanowiska na komodzie.

Tal spędziło resztę popołudnia na rytuale wychodzenia na miasto. Był to namaszczone i skomplikowany obrzęd, zaczynający się od sporządzenia miksu. W myślach zatytułowało go *Dziwny klub* - na wyprawę do Tranha. Aesai-DJ ściągnęła sobie mieszankę późnochilloutowych rytmów oraz muzyki wietnamsko-birmańsko-assamskiej. Tal zdjęło z siebie uliczne ciuchy i stanęło przed lustrem, unosząc ramiona nad głowę, zachwycając się okrągłymi barkami, szczupłym jak u dziecka torsem, pełnymi udami, podbrzuszem wolnym od jakiegokolwiek seksualnego narządu. Uniosło nadgarstki, przyjrzało się w odbiciu gęsiej skórcie podskórnych przycisków. Kontemplowało piękne blizny.

- Dobra, zagraj.

Muzyka ryknęła, aż zatrzęsała się podłoga. Paswan, sąsiad, niemal od razu zaczął walić w ścianę i wykrzykiwać o hałasie drugiej zmianie biednej żonie i dzieciach, które doprowadzi do obłądu ten świr cudak zboczeniec. Tal ukloniło się sobie w namaste, przetańczyło do klitkowej garderoby i baletowym obrotem zaciągnęło zasłonę. Wyginając się do rytmu, przeglądało ubrania, splatając permutacje, sugestie, znaki i sygnały. Pan Paswan walił teraz do drzwi, klnąc się, że spali je żywcem, sam zobaczy. Tal położyło zestaw ubrań na łóżku, przetańczyło do lustra, w ścisłym porządku od lewej do prawej otworzyło pudełka z kosmetykami i przygotowało się do komponowania.

Kiedy słońce zachodziło przepięknym karminem zanieczyszczeń i krwi, Tal było już ubrane, umalowane i przygotowane. Paswanowie przestali walić godzinę temu i teraz traktowali Tala półgłównym szlochom. Tal wyciągnęło kość pamięci z odtwarzacza, wsunęło do torby i wyszło w szalony szalony wieczór.

- Pod ten adres proszę.

Kierowca fatfata zerknął na kartę i kiwnął głową.

Klub mieścił się w nieciekawym zaułku, jak to najlepsze kluby - Tal wiedziało z doświadczenia. Drzwi miał z rzeźbionego drewna, szare i postrzępione od lat upału i zanieczyszczeń. Tal domyślało się, że są starsze niż brytyjskie rządy. Zamrugało dyskretne bindi kamerki. Drzwi otworzyły się przy dotyku. Tal wyłączyło swój miks, żeby słyszeć. Tradycyjna muzyka, gra dhol i bansuri.

Wzięło głęboki oddech i weszło do środka.

Kiedyś było to eleganckie haweli. Balkony z takiego samego zerodowanego drewna wznosiły się na pięć pięter nad środkowym dziedzińcem-ogrodem, teraz zakrytym szkłem. Po rzeźbionych drewnianych kolumnach puszczo pnącza i pnące farmako-banany, by wspięły się aż do żeber szklanej kopuły. Ze środka dachu zwisały grona bioluminescencyjnych lampek, jak dziwne, zepsute owoce; na wykafelkowanej podłodze porzastawiano terakotowe oliwne lampki. Wszystko migotało i kryło się w cieniach. Z zakamarków drewnianych krążganków dobiegały ciche rozmowy i melodyjny bulgot śmiechu neutków. Muzycy, skupieni na rytmie, siedzieli zwróceni twarzami do siebie na macie obok sadzawki, płytkiego prostokąta upstrzonego liliami.

- Witaj w moim domu.

Drobna kobieta o ptasich rysach pojawiła się jak bóg na filmie. Miała na sobie karmazynowe sari, bramińskie bindi i przekrzywiła głowę. Tal domyślało się, że ma z sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat. Jej spojrzenie skakało mu po twarzy.

- Czuj się jak u siebie w domu. Mam tu gości ze wszystkich towarzyskich kręgów, z Varanasi i nie tylko. - Zerwała spomiędzy szerokich liści banana wielkości kciuka, obrała go i podała Talowi. - Jedz. Rosną dziko.

- Nie chcę być niekulturalne, ale...

- Ale chcesz wiedzieć, co on ci zrobi. Wprowadzi cię w nasz tutejszy klimat. Jeden na początek, taki jest tutaj zwyczaj. Jest wiele odmian, ale te przy drzwiach są dobre na początek. Resztę odkryjesz podczas dalszej podróży. Rozluźnij się, moje piękne. Jesteś wśród przyjaciół.

Jeszcze raz podała mu banana. Biorąc go, zauważyło łuk plastiku za jej prawym uchem. Blindhoek, hoek dla niewidomych. Ugryzło banana. Smakował jak banan. Nagle zaczęło dostrzegać szczegóły rzeźby na drzwiach, wzór na kafelkach, kolory i splot dhuri. Poszczególne frazy muzyczne oddzieliły się od siebie, zaczęły się gonić i oplatać nawzajem. Ostrość widzenia. Wyostrenie świadomości. Światło gdzieś w tyle głowy, jak wewnętrzny uśmiech. Tal zjadło w dwóch kęsach resztę banana. Niewidoma kobieta wrzuciła skórkę do małego, drewnianego kosza już do połowy wypełnionego czerniejącymi, pachnącymi łupinami.

- Szukam kogoś. Tranha.

Czarne oczy staruszki zwróciły się ku jego twarzy.

- Tranh. Śliczność. Nie, Tranha jeszcze tu nie ma. Ale Tranh będzie, za czas jakiś. - Staruszka radośnie klasnęła w dłonie.

Potem banan wszedł i Tal poczuło, jak relaksujące ciepło rozchodzi mu się od agna čakry. Włączyło muzykę i zaczęło zwiedzać dziwny klub. Balkony mieściły niskie sofy i otomany, poustawiane dyskretnie wokół stolików. Dla niebiorących bananów były eleganckie mosiężne fajki wodne. Tal przepłynęło obok spowitej dymem, poruszającej się w zwolnionym tempie pary neutków. Kiwnęły mu głowami. Ale było też mnóstwo płciowców. W jednym zakątku Chinka w pięknym, czarnym kostiumie całowała się z neutkiem, leżącym na plecach na otomanie. Jej palce igrały z

hormonalną gęsią skórką na przedramieniu. Gdzieś głęboko Tal myślało, że naprawdę powinno stąd iść, ale czuło tylko unoszący je ciepły prąd. Dobrze by zrobił jeszcze jeden banan...

Odmiana z ostatniej kolumny po lewej przyniosła krótki, ostry przypływ przyjemności. Tal przesunęło się ostrożnie nad brzeg sadzawki, żeby spojrzeć w górę po balkonach. Im wyżej się wchodzi, tym mniej potrzeba ubrania - wywnioskowało. I w porządku. Wszystko było w porządku. Przecież ślepa staruszka powiedziała.

- Tranh? - zapytało splątanych ciał skupionych wokół pachnącej nargili.

Bolesnie młode i śliczne neutko o delikatnych wschodnioazjatyckich rysach wyjrzało spomiędzy mężczyzn.

- Przepraszam - rzuciło Tal i błędziło dalej. - Widzieliście Tranh? - zapytało kobiety o nerwowej minie stojącej obok kanapy pełnej roześmianych neutków. Wszyscy na niego spojrzeli. - Jest tu Tranh?

Mężczyzna stał przy trzecim pnączu z magicznymi bananami. Był ubrany oficjalnie: w półformalny wieczorowy garnitur. Jayjay Valaya - domyśliło się Tal po kroju. Przystojny facet, w średnim wieku, ale dbający o własne ciało. Delikatne, estetyczne rysy, wąskie wargi, błysk inteligencji w rozbieganych oczach. I oczy, i twarz zdradzały nerwowość. Dłonie, zauważyło Tal dzięki cudownej, bardzo wszystko wyostrzającej, mocy bananów, były wymanikiurowane i drżały.

- Słucham? - zapytał elegant.

- Tranh. Tranh. Jest tu gdzieś?

Facet skonsternował się, potem urwał banana z kiści nad głową. Podał go Talowi.

- Szukam kogoś - odpowiedziało Tal.

- A kto to jest? - zapytał tamten, znów wyciągając banana. Tal odsunęło go delikatnie dłonią.

- Tranh? Widział pan? Nie... - I już prawie odchodziło.

- Proszę! - zawołał za nim elegant, ściskając banana między palcami jak lingam. - Proszę, zostań ze mną i mów, po prostu mów...

I wtedy zobaczyło go. Ten profil, ułożenie kości policzkowych, sposób pochylania się przy ożywionej rozmowie, gra dłoni w świetle latarni, śmiech jak świątynny dzwon, były nie do pomylenia nawet w tym migotliwym blasku, w cieniu rzucanym przez balkony.

- Tranh.

Nie uniosło wzroku, pogrążone w ożywionej rozmowie z przyjaciółmi, wszyscy pochyleni nad niskim stolikiem, głęboko we wspólnych wspomnieniach.

- Tranh.

Tym razem usłyszało. Uniosło wzrok. W pierwszej chwili Tal wyczytało z jego twarzy puste niezrozumienie. Nie kojarzę cię. Potem rozpoznanie, przypomnienie, zdumienie, szok, niezadowolenie. Na koniec zażenowanie.

- Przepraszam - powiedziało Tal, wycofując się z niszy. Gapiły się nań wszystkie twarze. - Przepraszam, to pomyłka...

Odwróciło się i dyskretnie uciekło. W jego czaszce pulsowała potrzeba płaczu. Nieśmiały mężczyzna wciąż stał wśród liści. Wciąż czując na sobie oczy wroga, Tal przyjęło banana z jego miękkiej dłoni, obrało go, wgryzło się. Farmakologia zaraz zaskoczyła, poczuło, jak rozmiary dziedzińca rozdymają się do nieskończoności. Oddało mężczyźnie dziwny owoc.

- Nie, dziękuję - wyjąkał, ale Tal już ujęło go za ramię i prowadziło do pustej łoży z sofą. Spojrzenia tamtych wciąż piekły go w tyle głowy.

- A więc - powiedziało, siadając bokiem na niskiej sofie i owijając szczupłymi rękoma zgięte kolana. - Chce pan porozmawiać ze mną, to rozmawiajmy.

Spojrzenie w tył. Dalej patrzą. Skończyło banana, migotliwe latarnie rozleciały się na boki, następną wyraźną myślą było wyobrażenie frontu kurdyjskiej restauracji. Kelner poprowadził ich pomiędzy zdumionymi gośćmi do małej łoży na tyłach, odgrudzonej pachnącym, rzeźbionym cedrowym parawanem.

Banany ślepej staruszki szybko przychodziły i wcześniej wychodziły - jak kulturalni goście. Tal poczuło, jak geometryczne wzory na drewnianych przegrodach przybliżają się z niebiańskiej nieskończoności do klaustrofobii. W restauracji było gorąco, a głosy klientów, hałasy z kuchni i z ulicy były nieznośnie głośnie i ostre.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że cię tutaj przywiozłem. Tam mi się nie podobało - mówił facet. - Nie nadawało się do rozmowy. Za to tutaj jest dyskretnie; właściciel jest moim dłużnikiem. - Przyniesiono *meze* i butelkę przezroczystego trunku z dzbanem wody. - Arak. - powiedział tamten, nalewając sobie. - Sam nie piję, ale słyszałem, że to doskonale wpływa na odwagę. - Dolał wody. Tal zdumiało się, widząc jak przejrzysty płyn zamienia się w bielutkie mleko. Upiło łyk, skrzywiło się na obcy smak anyżku, potem napiło się jeszcze raz, wolniej, z namysłem.

- Co za ćutja z niego - oświadczyło. - Ćutja. Nawet nie chciało na mnie spojrzeć, tylko siedziało i chichrało się z kumplami. Żałuję, że w ogóle tam przyszedłem.

- Tak trudno znaleźć kogoś, kto chce słuchać... - odparł mężczyzna. - Ktoś, kto nie knuje, nie wypytuje o coś, albo nie chce mi czegoś sprzedać. Mam taką pracę, że wszyscy chcą usłyszeć, co mam do powiedzenia, co myślę, rzucają się na każde słowo, jak na złoto. Zanim cię spotkałem, byłem na bankiecie w Cantonmencie. Wszyscy chcieli usłyszeć, co powiem, wszyscy czegoś ode mnie chcieli, oprócz jednego człowieka. Dziwnie wyglądał i powiedział dziwną rzecz: powiedział, że jesteśmy kalekim społeczeństwem. Wysłuchałem go.

Tal upiło łyk araku.

- Óó óuit, my, neutki, wiemy to od zawsze.

- Więc powiedz mi o swoich tajemnicach. Powiedz, kim jesteś. Chciałbym się dowiedzieć, jak się takim stałóś.

- No cóż... - odparłó Tal, pod uważnym wzrokiem rozmówcy świadome każdej blizny i implantu - ...nazywam się Tal, urodziłóm się w dwa tysiące dziewiętnastym w Mumbaju, pracuję w Indiapendent, przy scenografii metaseriału *Miasto i wieś*.

- A w tym Mumbaju, w roku dwa tysiące dziewiętnastym, kiedy się urodziłóś, to...

Tal położyłó palec na jego ustach.

- Nigdy - szepnęłó. - Nie pytaj, nie powiem. Zanim Odszedłóm, byłem innym wcieleniem. Dopiero teraz żyję, rozumiesz? Wcześniej to było inne życie, umarłóm i narodziłóm się na nowo.

- Ale jak... - indagował tamten.

Tal znów położyłó swój miękki, blady palec na jego ustach. Czuió, jak drżą, dygot ciepłógo, słódkiego oddechu.

- Mówiłéś, że chcesz słuchać - powiedziałó i otuliłó się szalem. - Mój ojciec był choreografem w Bollywood, jednym z najlepszych. Widziałéś *Rishtë*? Ten numer, kiedy tańczą na dachach samochodów w korku? To jego.

- Niestety, nie bardzo interesuję się filmami.

- Na koniec to wszystko zrobiłó się za bardzo *campowe*, zbyt wykoncypowane, wydumane, zbyt nawiązujące do samego siebie. *Zawsze* tak się robi, najpierw cóś staje się przegięte, a potem umiera. Matkę poznał na planie *Zakochanych prawników*. Jest Włószką, uczyła się obsługi latającej karnety - w tamtych czasach w Mumbaju byli najlepsi fachowcy, nawet Amerykanie wysyłali tam ludzi na naukę techniki. Poznali się, ślub, sześć miesięcy później - ja. I zanim zapytasz: nie. Byłóm jedynakiem. Moi rodzice byli atrakcją na Chowpatty Beatch. Brali mnie na wszystkie imprezy, byłóm prawdziwą ozdobą. Śliczne dziecko, baba. Nie schodziliśmy ze stron magazynów filmi i plotkarskich brukowców; Sunny i Costanza Vadher, ze swoim ładniutkim dzieckiem, na barbecue w Chelliah. Rodzice byli największymi egoistami, jakich w życiu widziałóm - i zarazem w ogóle się tego nie wstydzili. O to właśnie oskarżyła mnie Costanza, kiedy Odszedłóm; że jestem niewiarygodnie samolubny. Uwierzysz? A od kogo niby się nauczyłóm? Głupi nie byli. Może samolubni, ale nie głupi, musieli wiedzieć, co się stanie, kiedy zaczęto wprowadzać aeai. Najpierw polecili aktorzy - jednego dnia w „Chati”, „Bollywood Masali” i „Namaste!” na każdej stronie pełno Vishala Dasa i Shruti Rai na otwarciu Klubu 28, a w kolejnym „Filmfare” dają potrójnie rozkładaną wkładkę, gdzie nie ma ani centymetra żywego ciała. To naprawdę poszłó tak szybko.

Mężczyzna grzecznie się dziwi.

- Sunny mógł zrobić stu ludzi tańczących na gigantycznym laptopie, lecz teraz jedno dotknięcie i tańczą stąd po horyzont, wszyscy idealnie równo. Albo milion ludzi tańczących na chmurach, jednym kliknięciem. On oberwał tym pierwszy. Zrobił się nieprzyjemny, chamski, wyzywał się na ludziach. Zgorzkniał, kiedy to zwróciło się przeciw niemu. Może dlatego ja chciałam zająć się serialami; żeby pokazać mu, że mógł coś zrobić, gdyby tylko chciał, gdyby tak nie przyssał się do swojego image'u i pozycji. Zresztą, może słabo go rozumiem. Ale potem oberwała także Costanza - skoro nie potrzeba aktorów i tancerzy, to i kamery są zbędne. Wszystko dzieje się w maszynie. Kłócili się: miałam z dziesięć, jedenaście lat, słyszałam, jak drą się tak głośno, że sąsiedzi zaczęli walić do drzwi. Oboje siedzieli przez cały dzień w domu, oboje szukali pracy, ale jeśli tylko jedno coś faktycznie znalazło, robili się zazdrośni jak cholera. A wieczorem dawaj na te same imprezy i bankiety co kiedyś, żeby płaszczyć się przed ludźmi o jakąkolwiek pracę. Costanza lepiej sobie poradziła. Dostosowała się, znalazła inną pracę w branży, przy tworzeniu scenariuszy. Sunny nie potrafił. Po prostu poszedł sobie. Chuj mu w dupę. I tak nie było z niego pożytku.

Tal sięgnęło po arak, pociągnęło gorzki haust.

- I wszystko się skończyło. Mam ochotę powiedzieć, że jak film, lecą napisy, zapalają się światła i wracamy do rzeczywistości, ale tak nie było. Zabrakło trzeciego aktu. Tego, gdzie wbrew-wszelkim-przeciwnościom-żyli-długo-i-szczęśliwie. Po prostu robiło się coraz gorzej i gorzej, aż się skończyło. Urwało się, jakby pękła taśma i nagle nie mieszkałam w apartamencie na Manori Beach, nie chodziłam do szkoły Johna Connona i na te wszystkie imprezy, gdzie gwiazdy cmokały „ależ on śliczny i zobacz tylko jak wyrósł”. Mieszkałam w dwupokojowym mieszkaniu w Thane, z Costanzą, chodziłam do katolickiej szkoły Bom Jesus i nienawidziłam tego. Nienawidziłam. Chciałam wrócić do tej magii, tańca, zabawy, przyjęć i chciałam, żeby to trwało jeszcze po napisach. Po prostu, żeby wszyscy patrzyli na mnie i mówili: „Wow”. Tyle. Wow.

Usiadło prosto, aby wzbudzić zachwyt, lecz tamten spojrzał z przestachem i czymś jeszcze, czego Tal nie umiało zidentyfikować.

- Niezwykła z ciebie istota - powiedział. - Czuję kiedykolwiek, że żyjesz w dwóch światach naraz i żaden z nich nie jest prawdziwy?

- Dwóch? Skarbie, światów jest tysiące. I są tak prawdziwe, jak tylko zechcesz. Ja coś o tym wiem, całe życie przeżyłam pomiędzy nimi. Żaden nie jest prawdziwy, ale jak się do nich wejdzie, wszystkie są takie same.

Mężczyzna kiwnął głową, nie na znak zgody z tym, co powiedziało Tal, ale w odpowiedzi na jakiś wewnętrzny dialog. Poprosił o rachunek, zostawił na srebrnej tacy plik banknotów.

- Robi się późno, a ja jutro z rana mam sprawy.

- Jakie to sprawy?

Uśmiechnął się.

- Jesteś już drugą osobą, która mnie dzisiaj o to pyta. Zajmuję się zarządzaniem informacją.

Dziękuję, że tu ze mną przyjechałeś i dotrzymałeś mi towarzystwa. Jesteś naprawdę niezwykłą osobą, Tal.

- Nie przedstawiłeś mi się.

- Prawda, raczej nie.

- Jakie to męskie - powiedziało Tal, wychodząc za facetem na ulicę. Ten już zatrzymywał taksówkę.

- Możesz mi mówić Khan.

Coś się zmieniło, pomyślało Tal, wsuwając się na tylne siedzenie marud. W Banana Clubie ten Khan był nerwowy, nieśmiały, pełen poczucia winy. Nawet w restauracji nie czuł się swobodnie. Coś z jego opowieści wpłynęło na jego myśli i nastrój.

- Po północy nie jeżdżę do White Fortu - powiedział taksówkarz.

- Zapłacę potrójnie - odparł Khan.

- Podjadę najbliżej, jak się da.

Khan oparł głowę na zatłuszczonym oparciu.

- Wiesz, ta restauracyjka naprawdę jest świetna. Właściciel przyjechał tu z dziesięć lat temu, w ostatniej fali kurdyjskiej emigracji. Trochę... mu pomogłem. Założył ten interes, dobrze mu idzie. Chyba i on jest uwięziony między dwoma światami.

Tal słuchało tylko jednym uchem, kuląc się w arakowym poblasku. Przytuliło się do Khana, dla ciepła, dla oparcia. Wsunęło wewnętrzną rękę w przestrzeń między nimi. Rząd wypukłości sterczał w ulicznym świetle, jak sutki u karmiącej suki. Tal widziało, że Khan wzdrygnął się na ten widok. Potem dłoń wepchnęła mu się za luźne spodnie, nad nim zamajaczyła twarz, usta zacisnęły się na jego wargach. Język wcisnął się do środka jego ciała. Tal wydało stłumiony krzyk, Khan cofnął się wstrząśnięty, robiąc miejsce, by Tal mogło odepchnąć go i krzyknąć. Fatfat podskoczył i stanął pośrodku drogi. Tal już otworzyło drzwi i wyskoczyło, ciągnąc za sobą szal, zanim jeszcze uświadomiło sobie, co właściwie robi.

Tal pobiegło.

Tal przestaje biec. Staje z dłońmi na udach, dyszy. Khan ciągle tam jest, patrzy przez mgłę reflektorów, nadaremno krzyczy w uliczny zgiełk. Tal powstrzymuje szloch. Ciągle czuje na skórze jego wodę po goleniu, smak jego języka w ustach. Dygocąc, czeka parę bezpiecznych minut, nim zatrzyma wolnego fatfata. DJ Aeai gra miks na *Noc, która zrobiła się straszna*.

ROZDZIAŁ 15 VISHRAM

Nowy szyk na nowy dzień. Pod markizą Ośrodka Badawczego Ranjita Raya stoją w szyku wszyscy, od sprzątaczy po dyrektora. Wyglądają na zdenerwowanych. Ale nie tak, jak wasz niespodziewany i nieprzygotowany prezes, myśli Vishram Ray, gdy samochód zmysłowo grzechocze na zwirowym podjeździe. Sprawdza mankiety, pociąga za kołnierzyk.

- Trzeba było włożyć krawat - mówi Marianna Fusco. Jest opanowana, nieskazitelna, wszystkie kanty idealnie geometryczne.

- Nanosiłem się już krawata za całe życie - odpowiada Vishram, przylizując włosy w lusterku w zagłówku szofera. - W każdym razie, jak zaświadczy dowolny historyk ubrania, krawat ma jeden cel: wskazywać na twojego fiuta. To niespecjalnie po hindusku, wiesz.

- Vishram, wszystko wskazuje na twojego fiuta.

Vishramowi wydaje się, że, otwierając drzwi, słyszy pogardliwy śmieszek szofera.

- Nic się nie denerwuj, już się z tobą łączę.

Marianna szepce mu do ucha, gdy z namaszczeniem idzie po stopniach. W głowie ożywa mu hoek. Obraz przez chwilę jest rozmazany, zanim aeai nie usunie śmieci i nie odfiltruje reklam, i już idzie z wyciągniętą ręką na spotkanie dyrektora. GANDHINAGAR SURJEET, mówi unoszący się przed nim niebieski tekst. UR. 2009-02-21, ŻONA SANJUAY, DZIECI: RUPESH (7) I NAGESH (5). W RAY RESEARCH OD 2043, WCZEŚNIEJ WYDZIAŁ ZASOBÓW ODNAWIALNYCH UNIWERSYTETU W BANGALORE. PIERWSZY DOKTORAT... Vishram mrugnięciem pozbywa się reszty informacji.

- Panie Ray, witamy pana serdecznie w naszym ośrodku.

- To dla mnie przyjemność, doktorze Surjeet.

Naprawdę chodzi tylko o odgrywanie roli.

- Zastał pan nas nieco nieprzygotowanych.

- Nawet w połowie nie tak, jak ja sam. - Żart chyba wchodzi dobrze. Ale wtedy powinni się zaśmiać, prawda? Doktor Surjeet podchodzi do szefów działów.

INDERPAULGAUR - mówi niestrudzony palmer. UR. 2011-08-15, CHANDIGARH. DZIAŁ BIOMASY STAN CYWILNY: WOLNA. HISTORIA ZATRUDNIENIA W RAY POWER: DO RD PRZYSZŁA W 2034 Z UNIVERSITY OF PANJAB, FILIA W CHANDIGARH.

DAJ MU ICH PRZEDSTAWIĆ - ostrzega Marianna liliowym kolorem nad głową doktora Surjeeta. Doktor Gaur to zębata, pulchna kobieta w tradycyjnym stroju, choć heok z anodyzowanego aluminium zakrzywiający się obok kucyka nie ma w sobie nic staromodnego. Vishram zastanawia się, co wypisuje nad jego głową. VISHRAM RAY - SYN MARNOTRAWNY. NIEUDANY PRAWNIK. KOMIK AMATOR. MA SIĘ ZA ZABAWNEGO, JAK NIE WIEM CO.

- To dla mnie wielki zaszczyt - mówi, wykonując namaste.

- Dla mnie przede wszystkim, zapewniam panią - odpowiada Vishram.

I dalej, wzdłuż szeregu szefów działów, starszych pracowników naukowych, kierowników zespołów oraz tych, którzy mają na koncie ważne publikacje.

- Jestem Khaleda Husainy - mówi drobna, energiczna kobieta w kostiumie w zachodnim stylu i czadorze na głowie. - Miło mi pana poznać. - Zajmuje się mikrogeneracją. Pasożytniczą energią.

- Czyli co, ludzie mogą wytwarzać prąd po prostu chodząc tam i z powrotem?

- Oczywiście, wystarczą pompy w chodniku - odpowiada z zapalem. - Wszędzie marnuje się ogromna ilość energii, tylko czeka, żebyśmy ją wykorzystali. Wszystko, co pan robi, co pan mówi, jest źródłem energii.

- Trzeba by to podpiąć do naszego działu prawnego.

Tym razem zasłużył sobie na chichoty.

- A co pani robi, żeby Ray Power stało się numerem jeden? - pyta młodą, prawie ładną kobietę, której przywieszka mówi „Sonia Yadav”.

- Nic - odpowiada z uśmiechem.

- Aha. - Vishram idzie dalej. Kolejne dłonie do uściśnięcia, twarze do zapamiętania. Woła za nim.

- Mówiąc „nic”, miałam na myśli energię z niczego. Nieskończoną, darmową energię.

- Teraz słucham uważnie.

- Zabieram pana do laboratorium punktu zerowego - wyjaśnia, prowadząc Vishrama i jego świtę do swojej jednostki badawczej. Przygląda mu się uważnie.

- Poruszają się panu oczy. Ktoś panu coś wysyła?

Vishram zgięciem palca wyłącza milczące uwagi Marianny Fusco.

Inżynierowie ojca zaprojektowali mu budynek przypominający bardziej mebel niż architekturę. Wszędzie drewno i tkaniny, wygięte w krzywizny i łuki, półprzezroczyste, powietrzne. Pachnie

sokiem drzewnym, żywicą i drzewem sandałowym. Podłogi są z klonowych desek intarsjowanych w sceny z *Ramajany*. Sonia Yadav lustruje szpilki Marianny. Ta zsuwa je i chowa do torby. Vishram myśli, że bosa stopy nawet tu pasują. To święte miejsce.

Na pierwszy rzut oka laboratorium punktu zerowego go rozczarowuje. Nie buczą żadne maszyny, nie wiją się zwoje kabli, tylko same biurka i szklane przepierzenia. Białe tablice są całe zabazgrane. Bazgroły przechodzą z nich na ściany. Na każdym centymetrze kwadratowym powierzchni tłoczą się symbole i liczby, pod różnymi kątami, owinięte pętlami czarnego mazaka, harpunami długich linii, czarnych i niebieskich strzałek, poprzybijane do jakiegoś twierdzenia po drugiej stronie tablicy. Rozhulane równania rozpełzają się po biurkach, stolikach, wszystkich płaskich powierzchniach, po których da się pisać markerem. Matematyka jest dla Vishrama nieczytelna jak sanskryt, ale ten kokon teorii i wizji jest uspokajający - to jakby znaleźć się we wnętrzu modlitwy.

- Może to nie wygląda imponująco, ale naukowcy z EnGen zapłaciliby kupę kasy, żeby móc tu wejść - mówi Sonia Yadav. - Większość gorących eksperymentów robimy na akceleratorze na Uniwersytecie, albo na Zderzaczach Hadronów w Europie, ale tu się dzieje prawdziwa praca. Praca głową.

- Gorących?

- Mamy dwa podejścia, nazywamy je zimnym i gorącym. Nie będę zanudzać pana teorią, ale chodzi o poziomy energetyczny i pianę kwantową. Dwa sposoby patrzenia na nic.

- I pani jest z tych gorących? - pyta Vishram, studiując hieratyczne symbole na ścianie.

- Absolutnie - odpowiada Sonia.

- I może pani zrobić, to co mówi? Wygenerować energię z niczego? Stoi pewnie, z blaskiem wiary w oczach.

- Tak.

- Panie Ray, naprawdę powinniśmy iść dalej - nagli dyrektor Surjeet. Gdy jego ekipa wychodzi, Vishram bierze marker i szybko pisze na blacie: KOLACJA DZIŚ?

Sonia Yadav odczytuje zaproszenie do góry nogami.

- Sprawy ściśle zawodowe - szepce Vishram. - Powie mi pani, co jest w tej branży hitem, a co kitem.

OK - pisze czerwonym mazakiem. 20 PRZYJADĘ TU. Dwa razy podkreśla OK.

I natychmiast na korytarzu widać coś, od czego dobry humor Vishrama obwisa w okamgnieniu: Govind, w swoim przyciasnym garniturze, z falangą prawników, toczy się korytarzem, jakby ten należał do niego. Dostrzega młodszego brata, otwiera usta na powitanie, przekleństwo, błogosławieństwo, szyderstwo - Vishram ma to gdzieś, nigdy tego nie usłyszy, bo głośno woła:

- Panie dyrektorze, proszę zawołać ochronę! - Potem, gdy dyrektor gada do palmera, Vishram staje przed bratem i jego ekipą, unosząc palec. - Nie odzywaj się ani słowem. To miejsce nie należy do ciebie. Jest moje. - Przybiega ochrona; dwóch bardzo masywnych Radźputów w czerwonych turbanach. - Proszę wyprowadzić pana Raya z budynku i zeskanować jego twarz do systemu bezpieczeństwa. Nie wolno mu tu wracać bez mojego pozwolenia na piśmie.

Radźputowie chwytają Govinda pod ramiona. Serce Vishrama raduje się, gdy widzi, jak szybkim truchtem wyprowadzają go korytarzem.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - krzyczy Govind przez ramię. - On zniszczy ten ośrodek, jak wszystko, co w życiu dostał. Znam go od lat. Lampart nigdy nie zmienia cętek, on was wszystkich zniszczy, zmarnuje tę świetną firmę. Nie słuchajcie go, on o niczym nie ma pojęcia! O niczym!

- Przepraszam za niego - mówi Vishram, kiedy drzwi zatrząskują się za ciągle protestującym bratem. - No dobrze, to możemy iść dalej, chyba że już wszystko widziałem?

Zaczęło się przy śniadaniu.

- Co ja właściwie odziedziczyłem? - zapytał Mariannę Fusco, z ustami pełnymi kitchiri, podczas odprawy śniadaniowej na balkonie od wschodu.

- W sumie to dział badawczo-rozwojowy. - Rozłożyła dokumenty wokół jego tłustego talerza, jak karty tarota.

- Czyli żadnych pieniędzy i kupa odpowiedzialności.

- Twój ojciec raczej nie wymyślił tego dla kaprysu.

- A co ty o tym wiesz?

- Co, kto, gdzie i kiedy.

- Zgubiłaś jedno pytanie.

- Na nie chyba nikt nie zna odpowiedzi.

Ja znam, pomyślał Vishram. Wiem, jak świetnie jest porzucić oczekiwania i zobowiązania. Wiem, jak przerażającym i oswobodzającym doświadczeniem jest po prostu pójść sobie w świat, mając tylko zebraczą miskę, próbując żyć ze śmiechu innych ludzi.

- Mogłaś mi powiedzieć.

- I złamać moją tajemnicę zawodową?

- Marianno Fusco, jesteś zimną, twardą kobietą.

Zagarnął widelcem kolejny łażunek kitchiri. Pomiędzy geometrycznie posadzone angielskie róże, teraz wyschnięte i zwiędłe po trzech latach niespotykanej suszy, wędrował Ramesh. Ręce miał założone z tyłu, gestem równie wiecznym i znajomym, jak całe domostwo Shanker Mahal. Sześćioletni Vishram przedrzeźniał starszego brata, chodząc za nim, z rękoma na plecach, ustami zaciętymi w niezrozumiałym skupieniu, uniesioną głową, wypatrując w świecie cudów.

Ciekawe jak to jest na tych wycieczkach do Azji Wschodniej? - zastanawiał się. Te dziewczyny z Bangkoku, co potrafią zrobić i zagrać wszystko, czego zapragniesz. Poczł delikatne drgnienie poniżej pępka, małą falę hormonów. Ale to byłoby za łatwe. Żadnego zdobywania, żadnej gry, próbowania się na wolę i dowcip, żadnej milczącej umowy między dwiema stronami, zgadzającymi się na uczestnictwo w grze, z jej podstępami, etapami i regułami. Ciepły wiatr pachnący miastem targnął inkorporacyjnymi dokumentami. Vishram przytrzymał je na miejscach za pomocą filiżanek, spodków i sztucców. Ramesh, próbujący powąchać zaszuszone róże, uniósł twarz do ciepłego powiewu i szczerze się zdziwił, widząc na tarasie swojego najmłodszego brata i jego prawniczkę.

- A, tam siedzicie. Liczyłem na to, że gdzieś was znajde.

- Co, niedobra kawa?

- Jeszcze jak. I nie ma już dla mnie, co?

Vishram kiwnął na służącego. Wspaniałe, jak szybko człowiek przyzwyczajają się z powrotem do służby. Ramesh dźgnął talerz kitchiri widelcem.

- Czemu on mi to dał? Ja tego nie chcę, ja nawet nie rozumiem, o co chodzi. Nigdy nie rozumiałem. Zawsze to Govind miał głowę do biznesu, ja jestem astrofizykiem, znam się na chmurach cząsteczek w głębokim kosmosie. Nie na produkcji prądu.

Podział był sprytny, szekspirowski. Ramesh chciałby dostać działkę niezemskiego myślenia o niebieskich migdałach. Dostał samo mięso działu produkcji.

Ambicją Govinda byłaby centralna infrastruktura. A dostał kontrolę nad siecią przesyłową. Druty, kable i słupy. A Syn Numer Trzy, nachalny, ciągle pragnący zwracać na siebie uwagę, dostał machinę tak skomplikowaną, że nawet nie miał pojęcia, czy ona cokolwiek robi. Obsadzanie wbrew typowi. Wredny, stary sadhu.

Ojciec wyszedł z domu przed świtem. Jego ubrania wisały schludnie w garderobie. Palmer i hoek równiutko ułożone na poduszce, razem z portfelem i uniwersalną kartą. Buty, pięknie wyglansowane, stały ustawione czubkami do łóżka, pod idealnym kątem prostym. Grzebień i szczotka do włosów ze srebrnym trzonkiem przyłapane na ostatnim pocałunku na toalecie. Kukunoor, nowy chidmatgar teraz, gdy stary Shastri wybrał ścieżkę pielgrzyma, pokazał to wszystko Vishramowi z tym samym beznamiętnym tonem mówiącym o zbędnej historii, jaki słyszał w szkockich zabytkach i zamkach. Nie wiedział, gdzie poszedł jego pan. Matka także nie wiedziała, choć Vishram podejrzewał, że istnieje jakiś tajny kanał komunikacji do monitorowania losów spadku. Własna firma to jednak zawsze własna firma.

- Ram, co ty mi chcesz powiedzieć?

- To nie dla mnie.

- No i?

Ramesh bawił się widelcem.

- Govind złożył mi propozycję.

- Nie tracił czasu.

- Uważa, że rozdzielanie produkcji od przesyłu jest katastrofalne. Amerykanie i Europejczycy od lat konkurują, chcąc położyć łapę na Ray Power. A teraz jesteśmy podzieleni, słabi, i to tylko kwestia czasu, kiedy ktoś złoży któremuś z nas propozycję nie do odrzucenia.

- Z pewnością był bardzo przekonujący. Tylko że to bardzo zastanawiające, skąd bierze pieniądze na ten pokaz braterskiej solidarności.

Marianna Fusco już miała otwartego palmera.

- Jego raporty roczne są zdeponowane w rejestrze sądowym - powiedziała - ale zyski spadają mi od pięciu kwartałów z rządu i banki robią się trochę nerwowe. Powiedziałabym, że w ciągu paru lat będzie występował o ochronę przed wierzycielami.

- A skoro to nie Govinda, to musisz sobie postawić pytanie: czyje to pieniądze?

Ramesh odepchnął od siebie talerz z kitchiri.

- Czy ty mógłbyś mnie wykupić?

- Govind ma przynajmniej firmę i rating kredytowy. Ja mam notes ze skeczami i kupę niepotwierdzonych kopert z foliowymi okienkami.

- No to co można zrobić?

- Będziemy prowadzić tę firmę. Jest mocna. To Ray Power, dorastaliśmy razem z nią, znamy ją na wylot, jak ten dom. Ale powiem ci, Ram, jedno: nie pozwolę ci winić się za to, co się wydarzy. A teraz przepraszam, mam spotkanie z pracownikami.

Marianna Fusco wstała razem z nim, kiwnęła Rameshowi głową i weszli w chłodny mrok domu. Małpy z wrzaskiem zeskoczyły z drzew, rzucając się na resztki kitchiri.

Vishram poczuł Govinda, zanim zobaczył jego odbicie w lusterku.

- Słuchaj, mogłem ci przywieźć z wolnoćlowego dowolną ilość porządnej wody po goleniu. Ciągłe używasz tego „Arpala”? Co to, jakiś patriotyczny obowiązek, narodowy zapach Bharatu?

Govind wśliznął się w odbicie za plecami Vishrama, który poprawiał sobie spinki na mankietach. Dobry garnitur. Wyglądam lepiej niż ty, grubasku.

- I od kiedy to się wchodzi bez pukania? - dodał Vishram.

- Od kiedy to rodzina musi pukać?

- Odkąd wszyscy zrobili się wielkimi biznesmenami. Zresztą, jutro już nie będę tu nocować. Wyprowadzam się do hotelu. - Mankiety w porządku. Klapy w porządku. Kołnierz w porządku. Błogosławieni ci chińscy krawcy. - No, dawaj tę ofertę.

- Więc Ramesh z tobą rozmawiał.

- Myślałeś, że tego nie zrobi? Słyszałem, że masz problemy z płynnością.

Govind usiadł, nieproszony, na brzegu łóżka. Vishram zauważył w lustrze, że stopy brata nie sięgają ziemi.

- Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale chcę tylko utrzymać jedność firmy.

- Masz rację.

Dalej stał zwrócony do niego plecami.

- EnGen nie kryje, że chce przejąć Ray. Podchody robili już kiedy ojciec był prezesem. I wcześniej czy później dopną swego. Nie ma co liczyć, że damy sobie radę z Amerykanami. Na koniec i tak nas połkną, ale to my możemy zdecydować, czy w małych kawałkach, czy w jednym dużym. Ja wiem, co wolę. Wiem, co będzie lepsze dla firmy, którą zbudował nasz ojciec. W jedności siła.

- Nasz ojciec zbudował indyjską firmę na indyjski sposób.

- Mój brat, głos społecznego sumienia? - Po tych pięciu słowach Vishram wiedział, że zostali wrogami na wieki. Ramą i Rawaną. - Te staruszki i bankierzy grameen pierwsi rzucą się na ciebie, gdy tylko zaczną spływać oferty - ciągnął Govind. - Przemawiają szlachetnie i patriotycznie, ale połóż przed nimi worek dolarów i sam zobaczysz, jaka jest ta solidarność biedoty. Oni znają się na biznesie lepiej niż ty.

- Nie wydaje mi się - rzucił cicho Vishram.

Brat zmarszczył brwi.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Powiedziałem, że nie wydaje mi się. Właściwie, obojętne, co teraz powiesz, ja i tak zwrócę się przeciwko tobie. I odtąd już tak będzie. Cokolwiek zrobisz, cokolwiek powiesz, jaką złożysz ofertę, czy zawrzesz układ, ja będę przeciwko. Możesz mieć rację, albo nie, mogę zarobić na tym

miliard dolarów, ale i tak się sprzeciwię. Ponieważ teraz mogę, a ty już nie masz wyjścia, nie możesz nic zrobić, ani polecić na skargę, ani wydawać rozkazów z pozycji starszego brata, bo ja i tak będę właścicielem jednej trzeciej Ray Power. I jeszcze: siedzisz w mojej sypialni, wszedłeś bez pukania, ja cię tu nie zapraszałem, ale daruję ci to, bo ostatni raz nocuję w tym pokoju, w tym domu. A teraz mam robotę.

Dopiero sadowiąc się na schłodzonej klimatyzacją skórze samochodu, Vishram zauważył we wnętrzu dłoni małe, krwawe półksiężycy - stygmaty od paznokci, zaciskanych pięści.

Włoska knajpa jest żałosna, ale to jedyna w mieście. Vishram, zatęskniwszy już za kuchnią glasgowskich Włochów, potężnej rasy, zapalił się do pomysłu zjedzenia pasty i wypicia ruffino. Dopiero później przypomniał sobie, że w Varanasi nie ma zakorzenionej włoskiej mniejszości, że w ogóle nie ma w genach włoszczyzny. Cała obsługa jest miejscowa. Muzyka jest poskładana z list przebojów. Wino - za ciepłe i wymęczone od długiej suszy. A w menu jest coś, co nazywa się pasta-tikka.

- Przepraszam, że to taki beznadziejny lokal - mówi do Soni Yadav. Ona walczy z rozgotowanym spaghetti.

- Nigdy wcześniej nie jadłam włoskiej kuchni.

- I teraz też nie jesz.

Postarała się na tę skromną kolacyjkę. Zrobiła coś z włosami, założyła parę złotych i bursztynowych drobiazgów. „Arpege 27”: pewnie z jakiegoś europejskiego wolnocłowego. Podoba mu się, że ma na sobie oficjalne sari, a nie paskudny zachodni kostium. Vishram rozpiera się w fotelu, łączy czubki palców, a potem uświadamia sobie, że za bardzo wygląda na czarny charakter z Bonda, i rozluźnia się.

- Jak myślisz, na ile gościu po studiach humanistycznych może ogarnąć energię punktu zerowego?

Sonia Yadav z wyraźną ulgą odsuwa talerz.

- Okej, na początek powiedzmy, że to nie jest dokładnie punkt zerowy, jak myśli większość ludzi. - Kiedy mówi, albo zastanawia się nad czymś trudnym, między jej oczyma pojawia się delikatna zmarszczka. Jest prześliczna. - Pamięta pan, co mówiłam w laboratorium o zimnym i gorącym? Klasyczne teorie punktu zerowego są zimne. Ale nasze teorie mówią, że one nie zadziałają. Że nie mogą działać: stan podstawowy jest jak ściana, której po prostu nie da się obejść. Druga zasada termodynamiki jest nie do złamania.

Vishram unosi chlebowy paluszek, łamie go teatralnie na pół.

- Zimne i gorące na razie rozumiem...

- Dobra, próbuję dalej. R' propos, ten numer z paluszkami widziałam w remake'u *Pyar Diwana Hota Hai*.

- No to jeszcze trochę wina?

Pozwala sobie nalać, ale nie tyka go. Mądra kobieta. Vishram rozpięta się w fotelu z wymęczonym chianti - starożytny rytuał słuchania opowiadającej kobiety.

A opowieść jest dziwna i magiczna, równie pełna sprzeczności i niemożliwości, co legendy z *Mahabharaty*. Istnieje wiele światów i obiektów, które mogą być równocześnie sprzeczne ze sobą. Są rzeczy, których nigdy nie da się w pełni poznać ani przewidzieć, które jednak, odkąd są ze sobą splątane, pozostają połączone nawet po rzuceniu ich w dwa końce wszechświata - i to, co dzieje się z jedną z nich, jest natychmiast odczuwane przez drugą. Vishram patrzy, jak Sonia demonstruje mu przy użyciu widelca, dwóch kaparów i fałd na obrusie doświadczenie Younga z dwiema szczelinami i myśli: kobieto, w jakimże ty dziwnym i obcym świecie mieszkasz. Kwantowy wszechświat jest kapryśny, niepewny i niezgłębialny, jak potrójny świat leżący na wielkim żółwiu, rządzony przez bogów i demony.

- Z uwagi na zasadę nieoznaczoności, cały czas powstają i znikają wirtualne cząstki o wszystkich możliwych poziomach energetycznych. Wynika z tego, że teoretycznie w każdym centymetrze sześciennym pustej przestrzeni jest nieskończona ilość energii, jeśli tylko uda nam się sprawić, żeby te wirtualne cząstki nie zniknęły.

- Muszę powiedzieć, że gościu po studiach humanistycznych nie rozumie z tego ani słowa.

- Nikt nie rozumie. Nie podświadomie, głęboko, w sensie słowa „rozumienie”. Mamy tylko opis, jak to działa, który sprawdza się lepiej niż wszystkie wymyślone wcześniej teorie, w tym teoria M-gwiazdy. To jest jak umysł Brahmy: nikt nie rozumie myśli boga-stwórcy, ale to nie znaczy, że nie ma aktu stworzenia.

- Jak na naukowca, sporo używasz religijnych nawiązań.

- Ten naukowiec wierzy, że żyjemy w hinduskim wszechświecie. - Sonia Yadav wykląda swój punkt widzenia. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem jak ci chrześcijańscy fundamentaliści, kreacjoniści - to żadna nauka; kwestionuje empiryzm i samą poznawalność wszechświata. Kreacjoniści dopasowują materiał dowodowy do swojej interpretacji Pisma. Natomiast ja myślę to, co myślę, dzięki doświadczalnym dowodom. Jestem racjonalną hinduską. Nie mówię, że rzeczywiście wierzę w bogów, ale kwantowa teoria informacji i teoria M-gwiazdy mówią o połączeniu wszystkiego ze wszystkim, o tym, że pojawianie się pewnych własności nie może być nigdy przewidziane przez ich elementy składowe, oraz że obiekty bardzo duże i bardzo małe to dwie strony tej samej superstruny. Czy ja muszę tłumaczyć Rayowi hinduską filozofię?

- Temu Rayowi chyba by się przydało. Czyli nie będzie pani ciągnąć N.K. Jivanjeego na jego ratha jatrze. - Widział zdjęcia w wieczornych wiadomościach. Komuś trafił się niezły materiał.

- Ciągnąć nie będę, ale mogę się pojawić w tłumie. Zresztą on i tak ma napęd na biodiesel.

Vishram odchyła się w fotelu, pociąga za dolną wargę - robi to kiedy spostrzeżenia i frazy wypowiedzi zbiegają mu się stadami, kracząc i skupiając się w komediowy skecz.

- No to powiedz mi: nie nosisz bindi, przyszedłeś bez przyzwoitki, jak to się komponuje z N.K. Jivanjeem i umysłem Brahmy?

Sonia Yadav znów pokazuje tę zmarszczkę.

- Powiem prosto z mostu. Przez dżati i warnę nasz kraj tkwił w mroku przez trzy tysiące lat. Kasta nigdy nie była drawidyjską ideą, to ci Ariowie i ich obsesja na punkcie dzielenia i rządzenia. Dlatego Brytolom tak się tutaj podobało - nadal fascynuje ich wszystko co indyjskie. Podziały klasowe to ich narodowa narracja.

- Nie w tej części Brytanii, gdzie ja byłem - zauważa na marginesie Vishram.

- Jak dla mnie, N.K. Jivanjeemu chodzi o dumę narodową, o Bharat dla Bharatczyków, nie wyprzedawany po kilogramie Amerykanom. O hinduską energię punktu zerowego. A kobieta w dwudziestym pierwszym wieku nie potrzebuje przyzwoitki; zresztą, mój mąż mi wierzy.

- O - mówi Vishram, mając nadzieję, że nie okazał zawodu. - A ta teoria M-gwiazdy?

O ile on to rozumie, rzecz idzie następująco. Na początku była teoria strun, o której słyszał, coś jakby wszystko było dźwiękami rezonujących strun. Bardzo ładnie. Bardzo muzycznie. Bardzo po hindusku. A potem M-teoria, która próbowała rozwikłać sprzeczności w teorii strun, ale sięgała w różne kierunki, jak nogi rozgwiazdy. Teoretyczny środek pojawił się ostatni, w końcówce lat dwudziestych, jako właśnie teoria M-gwiazdy.

- Gwiazdę rozumiem, ale skąd to M?

- Mało wiadomo - Sonia Yadav się uśmiecha. Teraz piją Stregę. Likier lepiej pasuje do klimatu.

W teorii M-gwiazdy pierwotne struny, zagięte i poskładane w brany w jedenastu wymiarach, tworzą poliwersum wszystkich możliwych wszechświatów, z których każdy różni się podstawowymi własnościami od tego doświadczanego przez ludzi.

- Tam jest wszystko - mówi Sonia Yadav. - Światy z dodatkowym wymiarem czasowym, światy dwuwymiarowe - w dwuwymiarowych nie ma grawitacji. Światy, gdzie samoorganizacja i życie są podstawową własnością czasoprzestrzeni... Nieskończona liczba wszechświatów. I na tym właśnie polega różnica między zimnymi i gorącymi teoriami punktu zerowego.

Vishram kiwa na jeszcze jedną kolejkę Stregi. Nie wie, czy to Czarodziejski Łyk, czy ta fizyka, ale jego mózg jest w stanie Otulonym w Watę.

- Drugie prawo termodynamiki obala zimną teorię u samych podstaw. - Kelner przynosi drugą kolejkę. Vishram przypatruje się Soni Yadav przez złoto w małym, pękatym kieliszku. - Proszę przestać i zacząć słuchać! Aby się na coś przydać, energia musi gdzieś przejść. Musi przepłynąć z

punktu wyższego do niższego, z ciepłego, do zimnego, jeśli pan woli. W naszym wszechświecie punkt zerowy, punkt fluktuacji kwantowych, to stan podstawowy. Z niego energia nigdzie nie popłynie, wszędzie ma pod górę. Ale w innym...

- Stan podstawowy, jak go nazywasz, może być wyższy... Sonia Yadav klaszcze dłońmi w milczącym namaste.

- Otóż to! Otóż to! I wtedy naturalnie przepłynie z punktu wyższego do niższego. Możemy skorzystać z tej nieskończonej energii.

- Najpierw trzeba znaleźć taki wszechświat.

- Znaleźliśmy już dawno temu. Jak nasz, tylko o trochę zmienionej strukturze, nieodległa różnica według teorii M-gwiazdy. Ma mocniejszą grawitację i stałą rozszerzania, więc w napiętej czasoprzestrzeni próżnia ma o wiele więcej energii. To dość mały wszechświat i niezbyt daleko.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, że one wszystkie siedzą jeden w drugim i na odwrót.

- Topologicznie tak. Ja mówię o odległości energetycznej, jak mocno musimy nagiąć brany, żeby dopasować je do tamtej geometrii. W fizyce wszystko sprowadza się do energii.

Nagiąć mózgi - no dobra*.

Sonia Yadav stanowczo odstawia kieliszek na kratkowany obrus, pochyla się - Vishram nie może się oprzeć fizycznej energii bijącej z jej oczu, twarzy, ciała.

- Chodź ze mną - mówi. - Chodź, sam zobaczysz.

W porównaniu z Glasgow, University of Bharat w Varanasi jest w nocy niezwykle grzeczny. Żadnych porzucanych plastikowych tacek z rozmiękłymi od deszczu frytkami, szklanek po piwie, nie trzeba omijać po ciemku pawiowych pizz. Z podcieni nie dochodzą odgłosy kopulacji, z krzaków oddawania moczu. Żaden agresywny pijak nie zatacza się z boku z rasistowskimi przekleństwami. Po przykurzonych, przywiedłych trawnikach nie włączają się poobejmowane bandy półnagich dziewcząt. Tu jest pełno groźnej ochrony, paru profesorów na rozklekotanych rowerach bez świateł, trajkot samotnego radia i klimat ciszy nocnej emanujący z pozamykanych budynków i akademików.

Kierowca kieruje się ku samotnemu światełku. Budynek Fizyki Doświadczalnej jest lekki, storczykowaty, sporządzony z podświetlanych plastikowych płyt i pylonów, śmiały i delikatny. Napis na marmurowym cokole głosi: Ośrodek Fizyki Wysokich Energii im. Ranjita Raya. Pod delikatną, roślinną architekturą kryje się ponury, napędzany impulsowym laserem akcelerator cząstek.

- Wygląda na to, że mój ojciec był człowiekiem o wielu twarzach - mówi Vishram, gdy nocny strażnik na kiwnięcie głową wpuszcza ich do hallu. Znają tu jego twarz.

- Jeszcze nie umarł - mówi Sonia, a Vishram się wzdryga.

Grupą wind na końcu hallu jadą przez rurę na dach potwora. To rzeczywiście mitologiczne stworzenie, robak-pożeracz światów zwinięty w kłębek pod Sarnathem i Gangesem. Vishram spogląda przez szklane okienko na elektryczne urządzenia wielkości silników okrętowych i próbuje sobie wyobrazić cząstki zmuszane do dziwnych i nienaturalnych stosunków.

- Kiedy puszczaemy go na pełną moc, żeby otworzyć przejście, w pułapce tych magnesów powstaje pole wystarczająco silne, żeby wyssać ci hemoglobinę z krwi - mówi Sonia Yadav.

- Skąd wiadomo?

- Sprawdziliśmy na kozie, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. Idziemy.

Sonia Yadav prowadzi ich w dół długim ciągiem betonowych schodów, do śluzy. Pulpit bezpieczeństwa zagląda jej w gałkę oczną, otwiera pierwsze drzwi śluzy.

- Wychodzimy w kosmos, czy co? - pyta Vishram, gdy zatrząskują się zamki.

- Urządzenie powstrzymujące. Tylko tyle.

Vishram postanawia, że nie chce wiedzieć, co tu jest powstrzymywane, więc stroszy piórka.

- Wiem, że ojciec jest bogaty... był bogaty, bogaci kupują sobie prywatne samoloty, prywatne wyspy, ale żeby bogaci kupowali sobie prywatne akceleratory cząstek?

- Są jeszcze inni sponsorzy - rzuca Sonia Yadav.

Wewnętrzny właz obraca się, wchodzi do bezbarwnego betonowego pokoju, oświetlonego migrenowym blaskiem świetlówek i monitorów. Młody człowiek z brodą huśta się na krześle z nogami na stole, czytając popołudniówkę. Stoi przy nim przemysłowy termos z ćajem i styropianowy kubek; komputery dudnią oldskulową bhangrą z jakiejś bengalskiej stacji. Widząc nocnych gości, zrywa się na równe nogi.

- Sonia, przepraszam. Nie wiedziałem.

- Deba, to jest...

- Wiem, miło mi pana poznać. - Z nadmiernym zapałem ściska mu dłoń. - Przyszedł pan zerknąć na nasz mały, prywatny wszechświat?

Drugie drzwi prowadzą do małej betonowej klatki, w którą goście wpasowują się jak cząstki pomarańczy. Przed głową Vishrama znajduje się płyta z grubego szkła. Wyteża wzrok, ale nic przez nią nie widzi.

- Nam wystarczą cyferki, ale niektórzy ludzie mają tę atawistyczną potrzebę zobaczenia na własne oczy - mówi Deba. Wziął ze sobą kubek ćaju; upija łyk. - No dobrze. Jesteśmy w punkcie obserwacyjnym, obok naszej pułapki, w naszych wewnętrznych fizycznych żartach nazywamy to Aresztem. Areszt to nieco przerobiony torus tokamaka - to coś panu mówi? Nic? Proszę sobie

wyobrazić odwrotny obwarzanek; ma zewnątrz, a wewnątrz jest najtwardsza wyobrażalna próżnia. A nawet jeszcze twardsza niż można sobie wyobrazić - nic tylko czasoprzestrzeń i fluktuacje kwantowe. I to.

Gasi światło. Vishram na moment ślepnie, potem dostrzega narastający za oknem blask. Przypomina mu się studentka fizyki, którą zabrał kiedyś do domu; powiedziała mu, że siatkówka potrafi wykryć pojedyncze fotony, więc ludzkie oko widzi w skali kwantowej. Nachyla się, źródłem światła jest błękitna kreska, ostra jak laser. Vishram widzi, jak zakrzywia się zgodnie z kształtem tokamaka. Przyciska twarz do szyby.

- Ojoj, będą oczy pandy - ostrzega Deba. - Mocno sieje ultrafioletem.

- To jest... inny wszechświat?

- To jest próżnia w innej czasoprzestrzeni - mówi Sonia Yadav. Staje wystarczająco blisko Vishrama, by mógł się napawać zapachem jej „Arpege 27”. - Jest stabilna od paru miesięcy. Pomyśl, że to takie inne nic, o energii próżni wyższej niż u nas...

- I to przelewa się do naszego wszechświata.

- Wiele więcej to nie jest, dostajemy raptem dwa procent ponad to, co włożyliśmy, ale mamy nadzieję, że z tej czasoprzestrzeni otworzymy sobie bramę do innej, o wyższej energii, i tak dalej w górę drabinki, aż będziemy mogli dostać znaczący zwrot.

- A to światło...

- Kwantowe promieniowanie; wirtualne cząstki tego wszechświata; nazywamy go numerem dwieście osiemdziesiąt osiem, wpadają w prawa fizyki naszego świata i anihilują na fotony.

Nie, to nie to, myśli Vishram, patrząc w światło innego czasu i przestrzeni. Ty, Sonia, też dobrze o tym wiesz. To światło Brahmy.

CZEŚĆ III KALKI

ROZDZIAŁ 16 SHIV

Chłopak z ulicy zawsze gdzieś ma matkę.

Czuł się prawie, jakby wracał do domu, idąc przez wąskie galeie pomiędzy budami, nurkując pod kablami elektrycznymi, starając się stąpać eleganckimi butami tylko po kartonowych ścieżkach, bo ulice Chandni Basti nawet podczas najsuchszej z susz były pełne błota koloru szczyń. Ścieżki nieustannie się zmieniały, gdy budy się zawały, albo dobudowywano nowe, ale Shiv szedł na punkty orientacyjne: Niezniszczalne Części. Samochodowe pana Rama, gdzie bracia Shasi i Ashish rozbierali volkswagena na śrubki; Maszyna do Szycia pana Pilaia, pod swoim parasolem; Ambedkar, agent skupujący dzieci, siedzący na swoim podwyższeniu z europalet i palący słodką gandzię. Wszędzie ludzie; patrzą, odsuwają się, gestem odganiają się od uroku, wodzą za nim spojrzeniem, bo zobaczyli coś spoza swojego świata, coś ze smakiem, klasą, w świetnych butach, po prostu coś. Prawdziwego mężczyznę.

Matka uniosła wzrok na jego cień w drzwiach. Wcisnął jej pieniądze, rulon zatłuszczonych rupii. Dostał trochę gotówki od gościa, który zabrał szczątki merola. Niewiele mu zostało, ale syn zawsze powinien spłacać dług matce. Udawała, że nie chce, ale zaraz zauważył, że wtyka je pod cegłę przy ogniu.

Wrócił. Ma tu tylko ćarpoja w rogu, ale jest dach nad głową, ogień, dwa razy na dzień soczewica i bezpieczna świadomość, że nikt i nic, żadna mordercza maszyna z krzywymi szablami zamiast rąk go tutaj nie znajdzie. I w tym jest jednak pewne zagrożenie. Łatwo byłoby ześliznąć się znów w dawną rutynę: coś zjeść, trochę kimnąć się w południe, tu coś podkraść, trochę połączyć z kolegami, pogadać o tym, o tamtym, pogapić się na dziewczyny i minie dzień, rok, całe życie. Nie, on musi myśleć, gadać z ludźmi, ściągać długi, egzekwować przysługi. Yogendra lata po basti i po mieście, nasłuchując, co mówią o Shivie ulice, kto odwraca się do niego plecami, a kto ma jeszcze resztkę honoru.

I jeszcze ta siostra.

Leela stanowi napomnienie, że syn i brat nie powinien zostawiać rodziny bez opieki od święta Divali do Guru Purnimy. Kiedyś ładna, cicha, nieśmiała, ale rozsądna siedemnastolatka - mogłaby dobrze wyjść za mąż - stała się chrześcijanką, metodystką. Raz wieczorem poszła z koleżanką na jakąś religijną imprezę organizowaną przez stację kablówki i wróciła urodzona na nowo. Znalazła Pana Swojego Jezusa Chrystusa, ale to nie dość: wszyscy inni też muszą go znaleźć. Szczególnie jej brat, naajgorszy baaadmaś. Więc podchodzi do niego ze swoją Biblią na cienkim jak mgiełka papierze, z którego, jak Shiv wie, robi się najlepsze skręty, swoimi broszurkami i upierdliwym zapachem.

- Siostro, ja tu przyszedłem na odpoczynek i relaks. Zakłócasz mi go. Gdyby twoje

chrześcijaństwo było dla ciebie ważne, szanowałaś swojego brata. Tam chyba jest gdzieś napisane, czcij i szanuj brata swego.

- Moi bracia to moi bracia i siostry w Chrystusie. On powiedział: przeze mnie znieprawisz swoją matkę i ojca. I brata też.

- W takim razie to bardzo głupia religia. Któryś z twoich braci i sióstr w Chrystusie załatwił ci leki, kiedy umierałaś na gruźlicę? Który z nich rozwalił aptekę tego bogatego gościa? Zostaniesz nikim, niczym. Jak nie będziesz Hinduską jak należy, nikt nie zechce się z tobą ożenić. Wysznie ci macica. Będziesz płakać o dzieci. Nie jest mi to miło mówić, ale nikt oprócz mnie nie powie ci tej prawdy w oczy. Mama nie powie, twoi chrześcijańscy kołesi też nie. Robisz ogromny błąd, powinnaś natychmiast przestać.

- Ogromny błąd to postanowić pójść do piekła - rzuca buntowniczo Leela.

- A tutaj, to co jest, jak myślisz? - pyta Shiv.

Yogendra obnaża swoje popsute zęby.

Po południu Shiv ma spotkanie: Priya z klubu Musst. Nie zapomniano, jak się tam dobrze bawił. Obserwuje herbaciarnię przez piętnaście minut, żeby mieć pewność, że to ona i że jest sama. Aż boli serce, kiedy ją widzi w tych spodniach opinających krągłość tyłka, w delikatnej jedwabnej bluzeczce, bursztynowych okularach, z bladą skórą i czerwonymi ustami, które wypuczają się, gdy niecierpliwie rozgląda się za nim, próbując wypatrzeć jego włosy, twarz, chód pośród kłębiących się ciał. Uosabia wszystko, co stracił. Musi się stąd wydostać. Znow wspiąć się do góry. Na nowo zostać radzią.

Zamawia jej herbatę, siadają na ławce przy metalowym blacie. Ona proponuje, że zapłaci, ale nie: on wyciąga banknot z kurczącego się zwitka. Nikt na Chandni Basti nie zobaczy, jak kobieta stawia Shivowi Faraji herbatę. Nogi ma długie, szczupłe, wielkemiejskie. Mężczyźni z Chandni Basti mierzą je wzrokiem, potem zauważają rąbek skórzanej kurtki faceta obok. I ruszają w swoją stronę. Yogendra siada na odwróconej plastikowej beczce po nawozie i dłubie w zębach.

- I jak tam, tęsknią za mną moje kobiety i barman? - Podaje jej bidi, sam zapala od palnika gazowego pod bulgocącym kociołkiem z wodą.

- Jesteś w niezłym kanale. - Zapala swoje od niego, hollywoodzki pocałunek. - Wiesz kto to jest Agencja Windykacyjna Ahimsa?

- Jakaś banda bandytów.

- Gang Dawooda. Dla nich skupowanie długów to nowa branża. Shiv, chodzą za tobą Dawoodowie. To goście, co żywcem obdarli Gurnita Azniego ze skóry na tylnym siedzeniu jego własnej limuzyny.

- To wszystko negocjacje: oni idą górą, ja idę dołem, spotykamy się pośrodku. Tak się robi w biznesie.

- Nie. Oni chcą tyle, ile im wisisz. Ani rupii mniej.

Shiv śmieje się, uwalnia swobodny, obłąkańczy śmiech. Znow widzi błękit na skraju pola widzenia, czysty błękit Kryszny.

- Takich pieniędzy nikt nie ma.

- No to nie żyjesz, przykro mi strasznie.

Shiv kładzie dłoń na udzie Priyi. Ona zamiera.

- Przyszłaś tu, żeby mi to powiedzieć? Spodziewałem się, że coś mi przyniesiesz.

- Shiv, na każdym rogu stoi stu takich wielkich gangsta jak ty, i wszyscy liczą, że... - Urywa w pół zdania, gdy Shiv łapie ją za szczękę, mocno wbijając palce w miękkie ciało, przeciągając kciukiem po kości. Siniaki. Zostaną siniaki jak niebieskie róże.

Priya skomli. Yogendra obnaża siekacze. Tego gówniarza kręci ból, myśli Shiv. Budzi u niego uśmiech. Mieszkańcy Chandni Basti gapią się. Czuje na sobie masę spojrzeń. Patrzcie uważnie.

- Radża - szepcze. - Ja jestem radżą. Puszczaj ją. Priya rozciera szczękę.

- To bolało, madar ćud.

- Coś masz, prawda?

- Nie zasługujesz na to. Zasługujesz, żeby Dawoodowie posiekali cię robotem, behen ćud. - Uchyła się, gdy Shiv jeszcze raz wyciąga rękę ku jej twarzy. - Drobiazg, ale może potem wyciągniesz coś więcej. Dużo więcej. Taki początek. Mówią, że jak to ci wyjdzie, to...

- Kto mówi?

- Nitish i Chunni Nath.

- Nie pracuję dla Braminów.

- Shiv...

- To kwestia zasad. Ja mam zasady.

- To dobra zasada, dać się Dawoodom pokroić na kebab?

- Nie będą mi rozkazywać jakieś dzieciaki.

- To nie są dzieciaki.

- Są tutaj. - Shiv nakrywa krocze dłonią, porusza nią. - Nie, dla Nathów nie.

- W takim razie nie musisz iść pod ten adres. - Otwiera torebkę, przesuwa po tłustym blacie skrawek papieru. Adres gdzieś w pasie przemysłowym. - I nie przyda ci się ten samochód. - Obok adresu parkuje kwitek z wypożyczalni. Merol, wielki, czarny jak Kali czterolitrowy terenowy mercedes, w sam raz dla radzi. - Skoro to ci niepotrzebne, to ja chyba pójdę i będę się modlić o moksię dla ciebie.

Zbiera torebkę, zsuwa się z wysokiej ławy, przepycha obok Yogendry i odchodzi po kartonie w tych kozakach na szpilkach od których jej tyłek kołysze się na boki.

Yogendra patrzy na niego. Widząc tę cwana minę, Shiv ma ochotę walić jego głową w blaszany stół, aż poczuje trzask i wszystko zmięknie.

- Skończyłeś? - Łapie jego blaszankę z herbatą, wylewa zawartość na ziemię. - Teraz tak. Mamy ważniejsze sprawy.

Dzieciak ma rację, jego milczenie mówi „pierdol się”. W głowie jest równie dorosły jak ci Bramini. Shiv nie po raz pierwszy zastanawia się, czy nie jest aby bogatym dzieckiem, synem i dziedzicem jakiegoś pirackiego magnata, wyrzuconego z limuzyny pod neonami Kashi, żeby się nauczył, jak naprawdę działa ten świat. Przeżyć. Rozkwitnąć. Inne reguły nie dotyczą.

- Idziesz czy nie?! - wrzeszczy na niego. Dzieciak wygrzebał skądś porcję paana.

Lella wieczorem wraca, żeby pomóc matce zrobić puri z kalafiozem. Shiv je uwielbia, ale od zapachu gorącego ghi w ciasnym, ciemnym domu skóra mu cierpnie, swędzi głowa. Matka i siostra kucają przy palniku. Yogendra siada z nimi i odsącza pomarszczone puri na zmiętej gazecie. Shiv obserwuje go, klęczącego z kobietami, wygarniającego rozżarzone chlebki do papierowych gniazdek. Musi to coś dla niego znaczyć, coś z przeszłości: palenisko, ogień, chleb, papier. Spogląda na Leelę lepiącą z ciasta małe owale i wrzucającą je do głębokiego tłuszczu.

Mówi w ciszę domu:

- Zastanawiam się, czy nie zmienić sobie imienia na Marta. To z Biblii. Leela pochodzi od Leelavati, pogańskiej bogini, ale tak naprawdę szatańskiego demona z piekła. Wiesz, jak wygląda piekło? - Przegarnia kalafiorowe puri w drucianym koszyczku. - Piekło to ogień, który nigdy nie gaśnie, wielka, ciemna sala, jak świątynia, tylko że większa niż wszystkie ziemskie świątynie, bo musi pomieścić wszystkich ludzi, którzy nigdy nie poznali Pana Jezusa. Ściany i kolumny mają dziesiątki kilometrów wysokości, żarzą się na żółto, a powietrze jest jak płomień. Mówię „ściany”, ale poza piekłem nie ma nic, tylko w każdą stronę nieskończona lita skała, więc nawet gdybyś uciekł, a nie możesz, bo jesteś skuty łańcuchami jak kufer, to nie miałbyś gdzie pójść. I tę całą przestrzeń wypełniają miliardy i miliardy ludzi, jedni na drugich na kupie i tysiące takich stosów. Ci w środku w ogóle nic nie widzą i słyszą tylko ryk ich wszystkich. To w piekle jedyny dźwięk, nieustający ludzki wrzask, miliardów ludzi, skutych i płonących, ale nigdy się nie spalających. Na tym to polega, palisz się płomieniem, który cię nie trawi.

Shiv wierci się na ćarpoju. Piekło to tym chrześcijanom wyszło. Czuje, jak fiut staje mu w spodniach. Zgiełk, wrzask, ciała skurczone w bólu, nagość, bezradność, zawsze go podniecały.

Yogendra przetrzuca odsączone puri do koszyka. Oczy ma martwe, tępe, twarz zwierzęcą.

- A co najważniejsze, to trwa wiecznie. Tam tysiąc lat to nie jest nawet sekunda. Wiek Brahmy mniej niż jedna chwila. Tysiąc wieków Brahmy i dalej, nie bliżej do końca. Nawet jeszcze się nie zaczęło. I tam właśnie pójdziesz. Zabiorą cię demony, skują i rzucają na kupę ludzi, twoje ciało zapali się, będziesz próbował nie oddychać, ale w końcu będziesz musiał, i potem już nic się nigdy nie zmieni. Jedynym sposobem na uniknięcie piekła jest zawierzenie Jezusowi Chrystusowi i uznanie go za swojego Pana i Zbawiciela. Nie ma innego sposobu. Wyobraź to sobie: piekło. Wyobrażasz sobie, jak tam jest?

- O tak? - Yogendra jest szybki, jak nóż w zaułku. Łapie przegub Leeli. Ta krzyczy, ale nie może się wyrwać. Z tym samym pustym, zwierzęcym wyrazem twarzy pcha jej dłoń do wrzącego għi.

But Shiva uderza go w bok głowy i przewraca, rozsypując puri. Leela/Marta ucieka z krzykiem do drugiego pokoju. Matka Shiva cofa się od piecyka, gorącego tłuszczu, zdradliwego gazowego płomienia.

- Zabieraj go z mojego domu!

- Pewnie, że tak.

Shiv dopada go w dwóch krokach, łapie obiema rękami za koszulkę i wywleka na gali. Z drobnego rozcięcia nad uchem sączy się krew, ale Yogendra dalej ma ten swój tępy, zwierzęcy uśmiech. Shiv rzuca go na ziemię i zaczyna kopać. Yogendra nie walczy, nie próbuje się bronić, uciec, ani zwinąć w kłębek. Znosi wszystko z mówiącym „pierdol się” uśmiechem. Jakby bić kota. Koty nigdy nie wybaczą. A, pieprzyć go. Koty się topi, w rzece. Shiv kopie, aż przechodzi mu błękit. Potem siada pod ścianą chałupki i zapala bidi. Zapala drugie, podaje Yogendrze. Palą i patrzą na zaułek. Shiv gasi peta na tekturze obcasem swojego włoskiego pantofla.

Radza z gówna.

- No, idziemy, trzeba odebrać samochód.

ROZDZIAŁ 17 LISA

Lisa Durnau ręka za ręką podciąga się tunelem ku sercu asteroidy. Tunel jest niewiele szerszy od jej ciała, skafandry próżniowe obcisłe i białe: nie może pozbyć się myśli, że jest należącym do NASA plemnikiem płynącym w górę kosmicznej joni. Podciąga się wzdłuż białej, nylonowej liny, zaraz za biegnikowanymi podszwami Sama Raineya. Stopy dyrektora projektu zatrzymują się. Lisa odpycha się od węzła na linie i polatuje, w połowie kamiennej waginy, ćwierć miliona mil od domu. Robot-manipulator wracający z rdzenia przepycha się obok, wyciągnięty, odpychający się maleńkimi paluszkami. Lisa wzdryga się, gdy ociera się o jej skafander. Japońskie kraby kamczackie to jej koszmar z dzieciństwa; wszystko co chitynowe i kolczaste. Kiedyś ciągle jej się śniło, że zdejmuje z łóżka narzutę i widzi takiego, wymachującego szczypcami przed jej twarzą.

- Czemu stoimy?

- Taka komora, żeby się obrócić. Odtąd będziesz czuć grawitację. Niefajnie jest leżeć twarzą w dół.

- To głupie Tabernakulum ma własną grawitację?

Stopy Sama Raineya podciągają się, znikają w ciemności pomiędzy świetlówkami. Lisa widzi, jak przewala się tam i manewruje coś rozmazanego i białego, potem jego oczy za szybką łypią jej prosto w twarz.

- Uważaj, żeby nie zablokować rąk w pozycji, w jakiej nie możesz ich użyć.

Lisa Durnau nieufnie podciąga się do punktu zawracania. Jest akurat na tyle szeroki, by pomieścić skulone ciało w skafandrze, i tak jak ostrzega Sam, by zaklinowało się na zawsze. Krzywi się, trąc łopatkami po skale.

Odkąd śluza wypłuła ją do Kwatery Głównej Wydobywania na Darnleyu 285, nic tylko pełzała, przeciskała się i wciskała w wąskie przejścia. Śmierdziało i na ISS, ale tutaj odór był przedestyłowany i leżakujący przez rok w beczkach. Darnley był opanowany przez niestabilną trójkę uczonych od kosmosu, archeologów i nafciarzy z północnych rubieży Alaski. Największą niespodziankę odkryli właśnie ci wiertacze, kiedy ich świdry przegryzły się przez skałę, a w otwory spuszczone kamery. To nie był system napędowy, mityczny napęd kosmiczny. To było coś zupełnie innego.

Skafander, który dostała, leżał ciasno jak druga skóra, zrobiony z tkaniny o mikrosplocie mniejszym niż cząsteczka tlenu, dość elastyczny, by móc się poruszać w ciasnych wnętrzach Darnleya, ale na tyle mocny, by chronić ludzkie ciało przed ekspozycją na próżnię. Lisa, której ciągle kręciło się w głowie od przejścia z wahadłowca, trzymała się mocno uchwytu w śluzie, kiedy

poczuła, że biały materiał jeszcze mocniej opina jej skórę. Załoga, jeden po drugim, stanęła na głowie i dała nutka do króliczej nory, stanowiącej wejście do asteroidy. Zegar tykał. Miała czterdzieści pięć minut, by tam zejść, załatwić to, co było do załatwienia w sercu Darnleya 285, wyjść i dostać się do wahadłowca kapitan-pilot Beth przed odlotem.

W gardzieli asteroidy Lisa splata ręce na piersi, podkurcza nogi i wykonuje eleganckie salto. Idąc dalej wzdłuż liny, czuje, że coś jej delikatnie pomaga, ciągnąc za stopy. Już wiadomo, gdzie jest góra, gdzie dół - żołądek bulgocze, powracając do swojej naturalnej orientacji. Zerka pomiędzy stopy. Wokół wypełniającej tunel głowy Sama jest aureola. Coś tam świeci na dole.

Kilkaset supłów w dół i można już się odpychać i szybować stumetrowymi susami. Lisa skacze. Mikro-g wydaje się o wiele przyjemniejsza i wyzwalająca niż opuchnięta, mdła nieważkość.

- Nie zapominaj, że musisz potem wrócić na górę - mówi Sam.

Kolejne pięć minut wędrówki i wszystko rozświetla się jaskrawym srebrem. Ciało Lisy mówi „pół ziemskiej grawitacji”, ale ona nasila się z każdym metrem. Jej umysł buntuje się przeciwko ciężarowi w zupełnej próżni. Nagle głowa Sama znika. Przywiera palcami rąk i stóp do ściany i mrużąc oczy, patrzy na dysk srebrnego światła między stopami. Wydaje jej się, że widzi pajęczynę lin i kabli.

- Sam?

- Schodź, aż zobaczysz drabinkę linową. Złap ją mocno, zobaczysz mnie.

Nogami do przodu, w za ciasnym plemnikowym skafandrze, Lisa wchodzi do centralnej komory Darnleya 285. Pod stopami ma sieć kabli i wyblinek porozpinanych pod pułapem komory. Łapiąc się odciągów, przechodzi po siatce ku Samowi Raineyowi, leżącemu twarzą w dół na linach.

- Nie patrz w dół - ostrzega Sam. - Jeszcze. Chodź tutaj i połóż się koło mnie. - Lisa Durnau układa się na brzuchu w plątanie lin i spogląda w serce Tabernakulum.

Obiekt to idealna srebrzystoszara sfera. Jest wielkości niewielkiego domu i wisi dokładnie w środku ciężkości asteroidy, dwadzieścia metrów przed szybką czołową Lisy Durnau. Emituje równomierne, tępe, metaliczne światło. Gdy jej oczy przyzwyczajają się do chromowego poblasku, dostrzega w nim zmiany, falki światłocienia. Są nieznaczne, ale, przypatrzysz się, widzi zderzające się i zlewające układy fal, generujące nowe prążki dyfrakcyjne, szare na szarym tle.

- Co będzie, jeśli coś tam upuszczę? - pyta.

- Każdy o to pyta - odzywa się w uchu Sam Rainey.

- No i?

- Sprawdź sama.

Jedynym przedmiotem, który można bezpiecznie odczepić, wydaje jej się jeden z

identyfikatorów. Odczepia go od rzepa na piersi i puszcza między linami. Wyobrażała sobie, że zatrzepocze, tymczasem on spada prosto i równo przez ścisłą próżnię Darnleya 285. Odcina się przez moment na tle światła, potem znika w szarej powierzchni, jak rzucona do wody moneta. Po powierzchni rozchodzą się zmarszczki, zderzając się, zlewając, skręcając w chwilowe wiry i spirale. Spadł szybciej niż powinien, myśli. Zauważyła jeszcze jedno: nie wszedł do środka. Zanihilował, przechodząc przez powierzchnię. Rozpadł się.

- Grawitacja tam się zwiększa - stwierdza.

- Przy powierzchni jest około pięćdziesięciu g. Jak czarna dziura. Tylko że...

- ...nie jest czarna. Więc... teraz głupie i oczywiste pytanie: co to jest?

Słyszysz w interkombie, jak Sam nabiera powietrza, cedząc je przez zęby.

- Emituje fale elektromagnetyczne w widzialnym paśmie, ale to jedyna informacja, jaką od niego otrzymujemy. Wszystkie próby zdalnego badania po prostu zdychają. Oprócz tego światła, pod każdym innym względem jest czarną dziurą. Jasną czarną dziurą.

Tylko że nie jest, uświadamia sobie Lisa Durnau. Robi z waszymi radarami i rentgenami to, co z moją plakietką. Rozkłada je i anihiluje. Ale na co? Wtem czuje delikatną, przyjemną odrobinę mdłości w żołądku. To nie reakcja na grawitację, robak klaustrofobii, czy intelektualny lęk przed obcym i nieznanym. To uczucie, które pamięta z damskiej toalety na dworcu Paddington: poczęcie idei. Poranne mdłości przed narodzinami oryginalnej myśli.

- Mogę się bliżej przyjrzeć? - pyta.

Sam przetacza się po pajęczej sieci ku technikom, zbitym w gromadkę w chybotliwym gnieździe starych foteli lotniczych i owiniętych pasami poobijanych skrzyń z instrumentami. Postać o kobiecych ramionach i imieniu *Daen* na androgynicznej piersi podaje dyrektorowi Raineyowi wzmacniacz obrazu. On zaś zahacza go na hełmie Lisy i pokazuje jej, jak kręcić skomplikowanymi, małymi gałeczkami. Lisa zwiększa i zmniejsza zoom, kręci jej się w głowie - nie ma się tam na czym zogniskować. Wtem wpływa w jej pole widzenia. Skóra Tabernakulum buzuje aktywnością. Przypomina sobie lekcje biologii z podstawówki, gdzie podstawiało się pod kamerę szkiełko z wodą z kałuży, a na nim buzowało od mikroskopijnych potworów. Terkocze gałką, aż rozchwiany ruch Browna zamienia się we wzory i prawidłowości. To srebro to gazetowa szarość, złożona z czarno-białych atomów, nieustannie zmieniających się z czarnych w białe i odwrotnie. Powierzchnia Tabernakulum to kipiel fraktalnych wzorów, od powolnych, ciągnących się fal, po przelotnie wykluwające się szyki, które zderzają się i anihilują nawzajem, albo zlewają w większe, jeszcze bardziej krótkotrwałe formy, niknące jak ślady w komorze pęcherzykowej, rozkładające się na egzotyczne i nieprzewidywalne fragmenty.

Lisa Durnau kręci pokrętle, aż na wyświetlaczu pojawia się „x 1000”. Rozmazane ziarno powiększa się do oszałamiającej czerni i bieli, wściekle migoczącej, setki razy na sekundę buchającej wzorami jak płomieniami. Rozdzielczości bardzo daleko do dobrej, lecz Lisa już wie, co by znalazła, gdyby mogła zejść jeszcze bardziej - prostą kratkę ze zmieniających się czarnych i

białych kwadratów.

- Automaty komórkowe - szepcze, zawieszona nad fraktalnymi wirami, kreślącymi wzory, fale i demony, jak odwrotność Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Życie według Thomasa Lulla.

Lisa Durnau większość swojego życia spędziła w rozmigotanym, czarno-białym świecie automatów komórkowych. Dziadek Mac - porcja genów pełna szkocko-irlandzkich sprzeczności - pierwszy odkrył przed nią złożoność tkwiącą w z pozoru prostych układach kamieni na planszy do Otella. Kilka fundamentalnych zasad zamiany kolorów, zależnie od ilości sąsiadujących czarnych i białych kamieni i już na jej planszy budziły się i rosły koronkowe, barokowe wzory.

W sieci znalazła całe bestiariusze czarno-białych kształtów, pełzających, pływających, pikujących, rojących się na ekranie w osobliwym naśladownictwie życia. Piętro niżej pastor David G. Durnau w swoim pełnym teologicznych tomów gabinecie konstruował kazania dowodzące, że Ziemia ma osiem tysięcy lat, a kanion Kolorado wyrzeźbiły wody biblijnego potopu.

W ostatniej klasie szkoły średniej, gdy wszystkie koleżanki zostawiły ją dla Abercrombiego, Fitcha i chłopaczków na deskorolkach, zaczęła ukrywać swoją towarzyską nieporadność za ścianami ze lśniących lusterek automatów komórkowych. Jej praca dyplomowa, kojarząca subtelne kształty wygenerowane w komputerze z misternymi skorupkami okrzemków zdumiała nawet nauczyciela matematyki. Dostała się dzięki niemu na wymarzony kierunek. Była więc kujonem. Ale potrafiła szybko biegać.

Na drugim roku biegała już dziesięć kilometrów dziennie i próbowała przebić się przez powierzchniowy blichtr swoich czarno-białych, wirtualnych światów do funkującej linii basowej zasad pod spodem. Proste programy generujące skomplikowane zachowania - esencja hipotezy Wolframa-Friedkina. Nie miała wątpliwości, że wszechświat komunikuje się sam ze sobą, chciała jednak wiedzieć, co w splocie czasoprzestrzeni i energii narzucało kontrapunkt temu dialogowi. Chciała podsłuchać chińszczyznę szeptu Boga. Poszukiwanie oderwało ją od szachownicy Sztucznego Życia w powietrzne przestrzenie, gdzie grasowały smoki - kosmologię, topologię, M-teorię i jej dziedziczkę, teorię M-gwiazdy. Łapała w każdą dłoń po wszechświecie ludzkiej myśli, zderzała je ze sobą i patrzyła, jak iskrzą i płoną.

Życie. Gra w życie.

- Mamy parę teorii - mówi Sam Rainey. Trzydzieści sześć godzin wspomaganego prochami snu później, Lisa Durnau znajduje się na ISS. Ona, Sam i Federalna, Daley, tworzą elegancką, kulturalną koniczynkę w nieważkości, nieświadomie powielając stalowy symbol wskazujący drogę do środka Darnleya 285. - Przypomnij sobie, jak rzuciłaś identyfikator.

- To idealny nośnik rejestrujący - mówi Lisa. - Wszystko, z czym wchodzi w kontakt, digitalizuje na czystą informację. - Jej imię i nazwisko jest teraz jego częścią. Nie do końca wie, jak

się z tym czuje. - No właśnie, wszystko zbiera, ale cokolwiek kiedyś wypuścił? Jakiś przekaz albo sygnał?

Wychwytuje jakiś przekaz albo sygnał pomiędzy Samem i Daley. Daley mówi:

- Zaraz o tym powiem, ale najpierw Sam przedstawi krótki rys historyczny.

Sam mówi:

- Powiedziała historyczny, ale on jest archeologiczny. A właściwie nawet taki okres jest za krótki. Perspektywa jest kosmologiczna. Robiliśmy badania izotopowe.

- Wiem to i owo o paleontologii, nauką mi oczu nie zamydlisz.

- Nasza tablica produktów rozpadu U238 datuje go na siedem miliardów lat.

Lisa Durnau jest córką duchownego i nie lubi brać imienia Pana Boga nadaremno, ale teraz wrywa jej się krótkie, pełne szacunku „Jezus”. Eony Alterre, mijające jak jeden wieczór, dały jej poczucie zamierzchłej przeszłości. Ale rozpad izotopów radioaktywnych sugeruje przeszłość najgłębszą ze wszystkich, otchłań przeszłości i przyszłości. Darnley 285 jest starszy niż Układ Słoneczny. Nagle uświadamia sobie, że jest ledwie strzępem chrząstek i nerwów grzechoczącym w puszcze po kawie pośrodku nicości.

- A właściwie to czemu - pyta ostrożnie - chcieliście mi to powiedzieć najpierw?

Daley Suarez-Martin i Sam Rainey popatrują po sobie. Lisa Durnau zdaje sobie sprawę, że to właśnie są ludzie, na których jej państwo będzie musiało polegać podczas pierwszego kontaktu z obcymi. Nie superbohaterowie, nie supernaukowcy, nie supermanagerowie. W ogóle nie super-ktokolwiek. Pospoliccy naukowcy i urzędnicy państwowi. Posuwający się krok za krokiem, na bieżąco wymyślający rozwiązania. Największe z ludzkich bogactw: zdolność improwizacji.

- Nagrywaliśmy powierzchnię Tabernakulum w zasadzie od pierwszego dnia - mówi Sam Rainey. - Trochę zajęło, nim wpadliśmy, że aby wyizolować układy, trzeba puścić kamerę na piętnaście tysięcy klatek na sekundę. I zleciliśmy analizę tego.

- Żeby spróbowała ustalić reguły tego automatu.

- Chyba nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że w tym kraju nie ma mocy przetwarzania, żeby to zrobić.

Ten kraj, myśli Lisa Durnau, orbitując w piątym punkcie Lagrange'a. Załatwiony przez własną Ustawę Hamiltona. Mówi:

- Potrzeba by wysokopoziomowych aeai do rozpoznawania wzorców, co, pewnie z 2,8 albo i lepiej?

- Na świecie jest paru specjalistów od kryptoanalizy i rozpoznawania wzorców - odpowiada

Daley Suarez-Martin. - Niestety, nie mieszkają w najstabilniejszym politycznie miejscu.

- Więc nie potrzebujecie mnie, żeby znaleźć sobie kamień z Rosetty. To po co wam jestem potrzebna?

- Parę razy otrzymaliśmy niekontrowersyjny, rozpoznawalny wzór.

- Ile razy?

- Trzy, w trzech kolejnych kadrach. Trzeciego lipca tego roku. To jest pierwszy z nich.

Daley podsuwa Lisie dużą, błyszczącą odbitkę formatu dwadzieścia na trzydzieści. W szarym na szarym jest wytrawiona twarz kobiety. Rozdzielczość automatu komórkowego jest wystarczająco duża, by oddać delikatnie zdziwioną minę, lekko rozchylone usta, nawet błysk zębów. Jest młoda, ładna, nieokreślonej rasy; zamrożonym w czasie bielom i czerniom udało się uchwycić znużone zmarszczenie czoła.

- Wiecie, kto to jest?

- Domyślasz się, że ustalenie tego to priorytet numer jeden - mówi Daley. - Przepytaliśmy FBI, CIA, Skarbówkę, bazy Ubezpieczeń Społecznych i paszportowe. Zero wyników.

- Nie musi być Amerykanką - zauważa Lisa Durnau.

Daley wydaje się tym autentycznie zaskoczona. Następną odbitkę podaje jej odwróconą. Lisa przekręca arkusz papieru i instynktownie wyciąga rękę, żeby się czegoś złapać, żeby nie upaść. Tylko, że tutaj wszystko razem spada, cały czas.

Zmienił okulary, przyszyty brodę do paska krótkiej szczeciny; odrosły mu włosy i stracił mocno na wadze, ale małe szare komóreczki uchwyciły sardoniczną, skępowaną, mówiącą „zabierzcie ten aparat” minę.

Thomas Lull.

- O rany boskie - sapie.

- Zanim cokolwiek powiesz, zerknij na ten ostatni.

Daley puszcza zdjęcie swobodnie, obramowane przez kosmos.

Ona. To jej twarz, narysowana srebrem, ale wystarczająco wyraźna, by dostrzec dołki na policzkach, kurze łapki wokół oczu, krótszą, bardziej sportową fryzurę, i wyraz twarzy, którego nie może odczytać: otwarte usta, wytrzeszczone oczy, napięte mięśnie. Strach? Lęk? Ekstaza? To niemożliwe, niewiarygodne, to wariactwo. To wariackie wariactwo i w dodatku przedstawia ją. Lisę Leonie Durnau.

- Nie - mówi powoli Lisa. - Wymyśliliście to, to te prochy, co nie? Jestem nadal na

wahadłowcu. To w mojej głowie, nie? No, powiedzcie mi.

- Lisa, zapewniam, że nie cierpisz na żadne poprzelotowe halucynacje. Nie pokazuję ci fałszywek ani symulacji. Po co miałabym? Ciągnąć cię tak daleko, a potem pokazywać fałszywe zdjęcia?

Ten uspokajający ton. Ta MBA-owa, federalna gadka. Spokój. Zachowaj spokój. Wszystko jest pod kontrolą. Bądź rozsądna, w obliczu najbardziej nierozsądnej rzeczy we wszechświecie. Trzymając się jedną dłonią paska siatki pokrywającego pikowaną powłokę centralnej piasty stacji ISS, Lisa Durnau rozumie, że to wszystko było łańcuchem jeszcze cięższych i większych nierozsądnych ogni, od momentu, kiedy ludzie w garniturach pojawili się u niej w gabinecie. Albo i wcześniej; od chwili, gdy jej twarz wyłoniła się z kotłowniny kratek, bez jej wiedzy, bez jej zgody - kiedy Tabernakulum ją wybrało. Wszystko jest predestynowane przez to coś w kosmosie.

- Nie wiem! - krzyczy. - Nie wiem czemu... on sieje szumem, a potem nagle pokazuje moją twarz. Nie wiem, rozumiecie? Nie prosiłam go, nie chciałam tego, nie mam z tym nic wspólnego, jasne?

- Lisa. - Znow ten kojący ton.

To ona, ale taka, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Nigdy nie miała takiej fryzury. Lull też nigdy tak nie wyglądał. Starszy, swobodniejszy, mający więcej poczucia winy. I ta dziewczyna - nigdy jej nie spotkała, ale wie, że to się na pewno stanie. Bo patrzy na migawkę z własnej przyszłości, zrobioną siedem miliardów lat temu.

- Lisa - powtarza po raz trzeci Daley Suarez-Martin. Trzeci raz, jak święty Piotr. Trzeci raz równa się zdradzie. - Powiem ci, co chcemy, żebyś zrobiła.

Lisa Durnau bierze głęboki oddech.

- Wiem, co to będzie - odpowiada. - Znajdę go. Bo nic innego nie potrafię, prawda?

Ziemia trzyma statek o lekkim kadłubie w mocnym uścisku. Mijają trzy minuty - Lisa liczyła sekundy - odkąd ostatni raz odpalały silniczki manewrowe. Aei już się zdecydowała, teraz wszystko zależy od prędkości i ciężenia. Lisa, zwrócona plecami w dół, krzyczy na krawędzi atmosfery, zamknięta w skorupce, która wciąż kojarzy jej się z odbajerzonym wyciskaczem do cytrusów, tylko że teraz, przy temperaturze kadłuba dochodzącej do trzech tysięcy, to skojarzenie nie jest już tak zabawne, jak na Canaveral. Jedna cyferka w tę czy w tamtą i rzadkie powietrze zmienia się w lity mur, od którego rykoszetujesz prosto w kosmos i nie ma kto cię złapać, zanim wyczerpie się klima, albo zmieniasz się w ognistą kulę i kończysz jako szczypta przyprawionych węglową sadzą tytanowych jonów.

Kiedy jeszcze była nastolatką, w nocy, sama w pokoju w internacie, pośród hałaśliwych rur, wywołała u siebie najsilniejszy stan lękowy w życiu, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy umrze.

Zacinający się oddech. Coraz silniejsza panika, gdy serce walczy o krew. Podchodząca ze wszystkich stron czerń. Świadomość tego, co się dzieje, świadomość, że niczego nie można powstrzymać i że po tej ostatniej, nic niewartej, nędznej chwili przytomności, nie będzie już nic. I to właśnie stanie się z Lisą Durnau. Żadnej ucieczki. Żadnego wyjścia. Wyrok śmierci jest nieodwołalny. Obudziła się z żołądkiem skutym lodem, sercem zdławionym od pewności. Dźgnęła palcem wyłącznik światła i próbowała myśleć coś pozytywnego, jasnego, coś o facetach, o bieganiu, jaki wybierze sobie temat pracy semestralnej i gdzie pójdzie z koleżankami w piątek na lunch, lecz wyobraźnia uporczywie wracała do tego okropnego, przewspaniałego lęku, jak kot, co rzyga i rzyga.

Podczas wejścia w atmosferę jest podobnie. Próbuje myśleć pozytywnie, jasno, ale ma do wyboru tylko złe rzeczy, a najgorsze z nich jest na wyciągnięcie ręki, za wyściełaną, siatkową ścianą, podgrzewa ją do temperatury krematorium. Przepala się przez prochy uspokajające. Przepala wszystko. Jesteś kobietą, która spadła na ziemię.

- Spokojnie, nic takiego, drobna asymetria powłoki plazmowej. - Sam Rainey leży przypięty do leżanki przeciążeniowej numer dwa. Jest weteranem, latał na górę i w dół kilkanaście razy, Lisa wyczuwa jednak ściemę.

Rozprostowuje palce zaciśnięte na podłokietniku, dotyka serca w geście chwilowej pociechy. W kieszeni na piersi czuje ten płaski, kwadratowy przedmiot z wypisanym jej nazwiskiem.

Kiedy znajdzie Thomasa Lulla, ma mu pokazać zawartość tej kieszeni - kość pamięci zawierającą wszystkie fakty i spekulacje dotyczące Tabernakulum. Ma tylko przekonać go, żeby przyłączył się do projektu badawczego. Swego czasu był najbardziej znanym, eklektycznym, wizjonerskim i wpływowym uczonym-myślicielem. Z jego zdaniem liczyły się i rządy, i gospodarze talk-shows. Jeśli ktokolwiek może mieć wizję, sen, wyobrażenie, czym jest Tabernakulum, jeśli ktokolwiek może rozszyfrować jego przekaz, to właśnie Thomas Lull.

Ta kość jest jednocześnie guru. Ma specjalną moc - umie analizować obraz z dowolnych kamer, publicznych, czy prywatnych systemów bezpieczeństwa, pod kątem znajomych twarzy. Sprzęt jest tak cenny, że po godzinie z dala od zapachu ciała Lisy Durnau rozłoży się na maż proteinowych obwodów. Instrukcja mówi, że trzeba uważać z prysznicami, pływaniem i trzymać go przy sobie podczas snu. Jej jedyny trop to niepotwierdzony fakt zaobserwowania Thomasa Lulla trzy i pół roku temu w Kerali w południowych Indiach. Objawienie Tabernakulum wisi na jednej, niepotwierdzonej plotce zasłyszanej od studenta-turysty. Ambasady i konsulaty postawiono w stan „Udzielić wszelkiej pomocy”. Przydzielono jej kartę na wydatki - nie ma limitu, ale Daley Suarez-Martin, która już zawsze, na Ziemi, czy na orbicie, będzie jej opiekunem, chciałaby dostać jakieś rozliczenie wydatków.

Mały, popychany światłem stateczek twardo uderza w atmosferę, pięść grawitacji wciska Lisę głęboko w żelową leżankę, wszystko zaczyna się trząść, grzechotać i kiwać. Boi się bardziej niż kiedykolwiek i zupełnie, najzupełniej nie ma się czego złapać. Wyciąga rękę. Sam Rainey chwyta ją. Jego łapa w rękawicy jest wielka, ma kształt rodem z kreskówki i jest jedynym punkcikiem stabilności w rozpadającym się, rozdygotanym świecie.

- Kiedyś! - krzyczy Sam, trzęsącym się głosem. - Kiedyś! Jak wylądujemy! Może! Byśmy!

Poszli! Na piwo! Czy coś!

- No pewnie! I w ogóle! - pojeżdża Lisa Durnau, spadając na centrum Kennedy'ego i ciągnąc za sobą przez prerie Kansas długi, przepiękny warkocz plazmy.

ROZDZIAŁ 18 LULL

Po czym Thomas Lull poznał, że jest antyamerykański: nie cierpi samochodów, za to uwielbia pociągi, indyjskie pociągi, olbrzymie, jakby naraz przeprowadzał się cały naród. Napawa się przyjemną sprzecznością, że są hierarchiczne i demokratyczne zarazem, tworzą tymczasową wspólnotę z ludzi skupionych na czas podróży i wtedy istotną, ale rozpraszającą się jak poranna mgiełka, z chwilą przyjazdu do stacji docelowej. Każda podróż to pielgrzymka, a Indie to państwo pielgrzymów. Rzeki, wielkie arterie szos, pociągi - świętości dla licznych narodów Indii. Od tysięcy lat przepływali po tym ogromnym romboidalnym lądzie. Wszystko płynie rzeką, spotyka się na krótko, podróżuje razem, potem się rozpierzcha.

Zachodnia myśl buntuje się przeciw temu. Zachodnia filozofia myśli kategoriami samochodu. Swoboda ruchu. Samodzielne sterowanie. Indywidualny wybór, środek wyrazu, seks na tylnym siedzeniu. Wielkie samochodowe społeczeństwo. W całej literaturze i muzyce pociągi służyły za narzędzia losu, ślepo i nieodwołalnie wiozące indywidualności na śmierć. Pociągi podjeżdżały przez podwójną bramę Auschwitz, prosto pod szopy z prysznicami. Indie nie tak rozumieją pociągi. Nie chodzi o to, gdzie cię wiezie niewidoczna lokomotywa - liczy się to, co zobaczysz z okna, co powiesz swoim współpasażerom, wszyscy bowiem podróżujecie razem.

Śmierć to gigantyczny, zatłoczony dworzec, pełen ledwo słyszalnych zapowiedzi dalszych połączeń, nowych linii, nowych podróży. Stacja przesiadkowa.

Pociąg z Thiruvananthapuram przeciska się przez płataninę torów na wielki dworzec. Smukłe śatabdi wiją się po zwrotnicach ku liniom przelotowym. Długie podmiejskie pociągi wloką się z wyciem, drzwi i stopnie obwieszane gronami pasażerów, zatłoczone dachy, ręce powystawiane przez okna, więźniowie przyziemności. Mumbai. Zawsze napawał Lulla odrazą. Na tym niegdysiejszym archipelagu siedmiu aromatycznych wysp mieszka dwadzieścia milionów ludzi i właśnie zaczyna się wieczorny szczyt. Centrum Mumbaju to największy budynek na świecie - centra handlowe i osiedla mieszkalne, biura i miejsca rozrywki stopione w jednego, wielorękiego, wielogłowego demona. W jego sercu gnieździ się dworzec Chattrapati Shivaji, kamień żółciowy wiktoriańskiego przepychu i arogancji, teraz całkowicie przykryty kopułą centrów handlowych i biurowców, jak ropucha uwięziona w wapieniu. Chattrapati Shivaji ani przez chwilę nie stoi nieruchomo i cicho. To miasto w mieście. Są kasty, które się przechwalają, że występują tylko tutaj; są rodziny, które wychowały pokolenia pomiędzy peronami, torami i filarami z czerwonej cegły, nigdy niewidzącymi światła dziennego. Stopy pięciu milionów pielgrzymów codziennie depczą po marmurze z czasów Radżu. Są doglądani przez całe miasta bagażowych, handlarzy, kanciarzy, sprzedawców ubezpieczeń i odczytywaczy horoskopów.

Lull i Aj wysiadają na peron pomiędzy rodzinami i bagażem. Zgiełk jest jak napad. Zapowiedzi pociągów to nieczytelne porykiwania z głośników. Bagażowi zbiegają się do białych twarzy - po ich torby wyciąga się dwadzieścia dłoni. Chudy facet w czerwonej kamizelce Maratha Rail z

postawionym kołnierzem unosi torbę Aj. Jej ręka, szybka jak nóż, unosi się i zatrzymuje go. Aj przekrzywia głowę, patrzy mu w oczy.

- Nazywasz się Dheeraj Tendulkar i siedziałeś za kradzież.

Nibybagażowy odskakuje jak ukąszony.

- Sami sobie poniesiemy. - Thomas Lull bierze Aj za łokieć, prowadzi ją jak pannę młodą przez ciżbę twarzy i zapachów. W tłumie jej wzrok przeskakuje od twarzy do twarzy.

- Nazwiska. Tyle nazwisk, za dużo, żeby je odczytać.

- Dalej nie rozumiem, jak to jest z tymi bogami - mówi on.

Czerwone kamizelki otaczają fałszywego bagażowego. Podniesione głosy, krzyk.

Śatabdi do Varanasi odjeżdża za godzinę. Thomas Lull znajduje azyl w kawiarni z globalnej sieci. Płaci zachodnią cenę za dwa kartonowe wiaderka z drewnianym mieszadłem. Coś ściska go w piersi, somatyczna reakcja astmatyka na to klaustrofobiczne, bezlitosne miasto w mieście. Przez nos. Oddychaj przez nos. Usta do gadania.

- Strasznie podła kawa, nie wydaje ci się? - pyta Aj.

Thomas Lull wypija ją i nie odzywa się słowem, obserwuje przyjeżdżające i odjeżdżające pociągi, strugę ludzi pędzących w pielgrzymce. A pośród nich człowiek kierujący się w ostatnie miejsce, w które powinien iść człowiek w jego wieku i o jego poglądach - w stronę brudnej wojenki o wodę. Ale wabi go tajemnica; to szaleństwo i lekkomyślne uczynki w czasach, gdy spodziewasz się już tylko szumiącego w szpiku kosztnym uniwersalnego mikrofalowego tła.

- Aj, pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie. Muszę ci coś powiedzieć.

Ale jej tu nie ma. Przenika przez tłum jak duch. Ludzie rozstępują się przed nią i gapią. Thomas Lull ciska pieniądze na stół, nurkuje za nią, opędzając się od łapiących za torby bagażowych.

- Aj! Nasz pociąg stoi tam!

Idzie dalej, nie słysząc. Jest Madonną Dworca Chattrapati Shivaji. Pod wyświetlaczem z pociągami na dhuri siedzi rodzina, popija herbatę z termosów: matka, ojciec, babka, dwie wczesnonastoletnie córki. Aj podchodzi do nich, niespieszna, niepowstrzymana. Jedno za drugim unoszą wzrok, czując, że zwraca się na nich uwaga całego dworca. Aj staje. Thomas Lull staje. Stają drepcący za nim bagażowi. Thomas Lull czuje na jakimś kwantowym poziomie, że zatrzymują się też wszystkie pociągi, bagażówki i lokomotywy manewrowe, zamiera każdy pasażer, maszynista i strażnik, każdy sygnał, znak i tablica zawisa między jednym stanem a drugim. Aj kuca obok przerażonej rodziny.

- Muszę wam coś powiedzieć: jedziecie do Ahmedabadu, ale on po was nie wyjdzie. Ma kłopoty, został aresztowany. Poważna sprawa, kradzież motoru. Trzymają go na komisariacie w

dzielnicy Surendragar, numer GBZ16652. Będzie mu potrzebny prawnik. Jedna z najlepszych firm od prawa kryminalnego w Ahmedabadzie to Azad and Sons. Macie szybszy pociąg, za pięć minut z dziewiętnastego peronu. Tylko trzeba się przesiąść w Surat. Jeśli się pośpieszycie, jeszcze go złapiecie. Lećcie!

Lull chwyta ją za ramię. Aj odwraca się; widzi w jej oczach emocje, które budzą lęk, ale tę chwilę już przełamał. Zdenerwowana rodzina różnie reaguje na strach: ojciec chęcią walki, matka chęcią ucieczki, babka unosi dłonie w modlitwie, córki usiłują pozbierać sprzęty od herbaty. Po dhuri rozprzestrzenia się gorąca, mokra plama rozlanego ćaju.

- Prawdę mówi! - woła Thomas Lull, odciągając Aj. Teraz nie stawia oporu, ołowiana, jak dziewczyny, które odprowadzał z imprez na plaży, potykające się po piasku, te w złej podróży. - Ona zawsze mówi prawdę. Jak mówi „lećcie”, to lećcie.

Dworzec Chattrapati Shivaji wypuszcza powietrze i wraca do swojego półgłosego krzyku.

- Co ci, kurwa, strzeliło do głowy? - mówi Lull, pospiesznie holując ją na peron piąty, gdzie już zapowiadano odjazd śatabdi Mumbai-Varanasi Raj, długiej, krzywej, zielono-srebrnej szabli lśniącej w dworcowych reflektorach. - Co im powiedziałaś? Mogłabyś ich namówić do czegokolwiek, co tylko byś zechciała.

- Jechali do syna, ale on znalazł się w tarapatach - wyjaśnia słabiutko. Lull się zastanawia, czy nie zemdleje.

- Tędy, sir, tędy! - bagażowy przeprowadza ich przez tłum. - Ten wagon ten wagon! - Thomas Lull płaci mu jak za zboże, żeby zaprowadził Aj na miejsce.

Mają zarezerwowany dwuosobowy półprzedział, oświetlony lampką, intymny. Nachylając się w stożek światła, Lull pyta:

- Skąd ty to wszystko wiesz?

Nie chce na niego spojrzeć. Obraca głowę, wtula w miękki zagłówek. Twarz ma barwę popiołu. Thomas Lull poważnie obawia się, że zaraz będzie miała kolejny atak astmy.

- Widziałam, bogowie...

Rzuca się naprzód, ujmuje jej sercowatą twarz w obie dłonie, odwraca, żeby spojrzała na niego.

- Nikt tak nie potrafi, oszukujesz.

Dotyka jego rąk. Lull czuje, jak się odsuwają.

- Mówiłam ci. Widzę wokół ludzi coś jakby aureolę. Różne rzeczy o nich - kim są, gdzie jadą, na jaki pociąg mają bilet. Tak jak ci, jechali do syna, ale on by nie przyszedł. I tyle, a oni by nie wiedzieli, siedzieliby na tym dworcu, czekali i czekali, pociągi by przyjeżdżały, odjeżdżały, może

ojciec w końcu pojechałby pod jego adres, ale tam wiedzieliby tylko, że wyszedł rano do pracy i mówił, że później idzie po nich na dworzec, więc poszliby na policję i tam dowiedzieli się, że aresztowano go za kradzież motoru i że muszą zapłacić kaucję, i nie mieliby pojęcia, do kogo się zwrócić, żeby go wyciągnąć.

Thomas Lull opada ciężko na siedzenie. Przegrał. Jego gniew, jego tępy jankeski racjonalizm zawodzi w obliczu prostych słów tej dziewczyny.

- A ten syn marnotrawny, jak on ma na imię?

- Sanjay?

Zamykają się automatyczne drzwi. Gdzieś z przodu przez zgiełk stacji przebija się ostry dźwięk gwizdka.

- Masz to zdjęcie? Pokaż mi to zdjęcie, co wtedy, na łodzi.

Pociąg cicho i gładko zaczyna się poruszać. Dworcowi handlarze i odprowadzający dotrzymują mu kroku, licząc na ostatnią sprzedaż albo ostatniego buziaka. Aj wyciąga palmera na stolik.

- Nie powiedziałem ci prawdy - mówi Lull.

- Zapytałam cię. Powiedziałeś: „Jacyś turyści. Pewnie mają dokładnie takie samo zdjęcie”. To nieprawda?

Elektryczny ekspres podskakuje na złączach, z każdym metrem nabierając szybkości. RzUCA się w tunel, oświetlony niesamowitym światłem iskier z trakcji.

- To prawda. Byli turystami, wszyscy byliśmy, tylko że ja ich znam. Znałem ich od lat. Na tyle dobrze, że razem pojechaliśmy do Indii. Nazywają się Jean-Yves i Anjali Trudeau; są teoretykami sztucznego życia z uniwersytetu w Strasburgu. On Francuz, ona Hinduska. Liczący się naukowcy. Kiedy ostatni raz się z nimi kontaktowałem, myśleli o przeprowadzce na University of Bharat, żeby mieć bliżej do sundarbanów. Bo sądzili, że właśnie tam robi się naprawdę nowe badania, nie przejmując się Ustawą Hamiltona ani licencjonowaniem aeai. I chyba faktycznie się tu przenieśli, ale to nie są twoi prawdziwi rodzice.

- Bo co? - pyta Aj.

- Dwa powody. Po pierwsze, ile ty masz lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? Cztery lata temu, kiedy ich widziałem, nie mieli dziecka. Ale naprawdę decydująca jest druga kwestia: Anjali od urodzenia nie ma *macicy*. Jean-Yves mi powiedział. Nigdy nie mogła mieć dzieci, nawet *in vitro*. Nie może być twoją biologiczną matką.

Śatabdi wypada z podziemi miasta na światło. Nad stolikiem nachyla się zza okna rozległa złota płaszczyna. Fotochemiczny mumbajski smog obdarzył miasto hollywoodzkimi zachodami słońca. Wiecznotrwała brunatna mgiełka przydaje zikkuratom apartamentowców eteryczności świętych gór. W tył migają bramy słupów trakcyjnych; Thomas Lull patrzy, jak migocą na twarzy Aj,

próbuję odczytać jej emocje, reakcje za oślepiającą, złotą maską. Ona zamyka oczy. Lull słyszy wdech. Aj unosi wzrok.

- Profesorze Lull, odczuwam teraz kilka silnych i nieprzyjemnych emocji. Opiszę je po kolei. Choć znajduję się we względnie nieruchomej pozycji, czuję zawrót głowy, jakbym spadała; nie w sensie fizycznym, ale wewnątrz. Czuję także mdłości i coś, co można by określić słowem „pustka”. Czuję odrealnienie, jakby to, co jest teraz, nie działa się naprawdę, lecz śniło mi się, w łóżku w hotelu w Thekkady. Czuję wstrząs, jakby zadano mi fizyczny cios. Wyobrażam sobie, że fizyczna materia świata jest krucha i delikatna, że w każdej chwili mogę spaść przez nią w pustkę, a jednocześnie czuję, że przez głowę przelatuje mi tysiąc myśli naraz. Pan profesor może wyjaśnić moje sprzeczne emocje?

Szybkie indyjskie słońce zachodzi, barwiąc twarz Aj na czerwono, jakby była wyznawczynią Kali. Ekspres leci przez rozległe bastilandy Mumbaju. Thomas Lull mówi:

- Każdy to czuje, gdy jego życie okazuje się kłamstwem. To gniew, poczucie zdrady, dezorientacja, utrata, strach, uraza i ból, ale to wszystko tylko nazwy. Dla emocji nie ma innego języka niż same emocje.

- Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Bardzo dziwne.

Wtem głos Aj się załamuje. Lull odprowadza ją do toalety, żeby obce emocje mogły się wydostać, z dala od wzroku pasażerów. Wróciwszy do siedzenia, woła stewarda i zamawia butelkę wody. Nalewa szklanek, dodaje silnego uspokajacza ze swojej małej, ale skutecznej podróźnej apteczki i zachwyca się prostą złożonością falek na jej powierzchni, wzbudzanych przez przenoszone od kół drgania. Gdy Aj wraca, przesuwa ku niej drżącą szklanek, zanim zdąży wykrztusić kolejne pytania. Ma już aż nadto swoich.

- Duszkciem.

Uspokajacz zaraz zaczyna działać. Aj mruga jak pijana sowa, zwija się na siedzeniu w koci kłębek, na ile pozwala miejsce. I już jej nie ma. Ręka Thomasa Lulla wędruje do tilaki, zatrzymuje się. Byłoby to równie monstrualne naruszenie godności, jak wsunięcie tej dłoni z przodu w jej luźne, szare, wiązane w talii spodnie. Jednak dopiero w tej sekundzie werbalizuje tę myśl.

Dziwna dziewczyna, zwinięta na siedzeniu jak patykowata dziesięciolatka. Powiedział jej prawdę, która rozorałaby każde serce, a ona potraktowała ją jak filozoficzną hipotezę. Jakby dla niej też była obca, nowa. Nie z tej ziemi. Czemu jej powiedział? Aby zniszczyć złudzenia, a może dlatego, że wiedział, jak zareaguje? Aby zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy usiłuje zrozumieć, co przeżywa jej ciało? Zna to zalęknione zakłopotanie z twarzy plażowych dzieciaków, kiedy budzą się u nich emocje wytworzone na macierzach białkowych procesorów cyberabadów. Emocje zbędne ich ciałom, emocje, dla których nie posiadają odpowiedników, przeżywają je, ale nie mogą zrozumieć. Uczucia z innego świata.

Ma dużo pracy. Gdy ekspres zaczyna pędzić przez stepowiejące, oczyszczające pustkowie Narmady, tnąc noc między wsiami, miasteczkami i martwymi od suszy lasami, myśl Thomasa Lulla

robi rozbieg. Tak to w domu nazywała Lisa Durnau - myślenie o niebieskich migdałach, kiedy siedzi się i pozwala umysłowi wędrować po najdalszych rubieżach tego co możliwe. Taką pracę lubi najbardziej i jest to u starego poganina, Thomasa Lulla, przeżycie najbliższe duchowości. Sama esencja duchowości - myśli. Bóg to nasze jaźnie, prawdziwe, przedświadome jaźnie. Jogini wiedzieli to od tysiącleci. Rozpracowywanie idei nigdy nie jest tak ekscytujące, jak sam płomień kreacji, moment ognistego rozbłysku, kiedy naraz wiesz wszystko. Obserwuje Aj, a koncepcje koziółkują, zderzają się, rozpryskują i skupiają ponownie, ściągane intelektualną grawitacją. Z czasem skleja się w nowy świat, lecz jest ich już wystarczająca liczba, by Thomas Lull mógł domyślać się jego natury. I zaczyna się bać. Pociąg pędzi dalej, opływowym dziobem fałdując noc w falę dziobową, pożerając w każdą godzinę dwieście osiemdziesiąt kilometrów Indii. Wyczerpanie walczy z intelektualną ekscytacją i w końcu wygrywa. Thomas Lull zasypia. Budzi się tylko na krótki przystanek w Jabalpurze, gdzie celnicy Awadhów dokonują zdawkowej kontroli granicznej. Zerka na niego dwóch facetów w czapkach z daszkiem. Aj śpi dalej, głowa wtulona w ramiona. Biały człowiek i zachodnia kobieta. Nic naganego. Lull znów zasypia, wzdrygając się i budząc tylko raz, na nagły stukot kół pod podłogą. Zapada w długi i spokojny sen, przerwany nieprzewidzianym w rozkładzie szarpnięciem, które wyrwa go z nieświadomości, gwałtownie rzucając na stolik.

Z półek na górze sypie się bagaż. W przejściu przewracają się pasażerowie. Krzyki zlewają się w paniczny jazgot. Śatabdi mocno szarpie, jeszcze raz; z piskiem i dygotem gwałtownie hamuje. Głosy osiągnęły punkt kulminacyjny i milkną. Pociąg staje bez ruchu. Głośniki krótko trzeszczą i cichną. Wiejska noc jest nieprzenikniona, spowijająca, joniczna. Zdaje mu się, że widzi dalekie światła samochodu i inne, podskakujące jak pochodnie. Teraz sypią się pytania: „Wszyscy cali, co się stało?”.

Aj mamrocze coś, rusza się. Uspokajacz jest mocniejszy niż myślał Lull. Uświadamia sobie teraz przybliżającą się wzdłuż pociągu ścianę głosów i smród palonego poliwęglanu dobiegający z przewodów klimatyzacji. Jedną ręką łapie torbę Aj, drugą stawia ją na nogi. Aj mruga powoli.

- Wstajemy, śpiąca królewno. Mamy nieplanowaną wysiadkę.

Wyciąga ją, wciąż półprzytomną, w przejście, łapie torby i pcha wszystko ku tylnym przesuwным drzwiom. Za nim, czarne panoramiczne okno eksploduje pianą szklanych kosteczek, do środka wlatuje betonowy blok z przyczepioną liną. Odbija się od stołu, trafia w kobietę po drugiej stronie przejścia. Ta pada, ze zmiażdżonego kolana tryska krew. Ciżba uciekających pasażerów potyka się o nią i pada. Już nie żyje, uświadamia sobie Thomas Lull z okropnym, sięgającym do głębi chłodem. Ta kobieta i każdy inny, kto upadnie pod tą falą.

- Ruszaj się, kurwa! - Przepycha oszołomioną Aj przejściem, dając jej klapsy w tyłek. Przez wybite okno mignęły mu płomienie; płomienie i twarze. - Dawaj dawaj dawaj. - Za nimi tworzy się potworny zator. Pierwsze, zwiadowcze pasma dymu wykradają się z kratki wentylacyjnych i spod drzwi do wcześniejszego wagonu. Głosy narastają, tworząc chór przerażenia.

- Do mnie! Do mnie! - wrzeszczy Sikh-steward w kolejarskim mundurze, stojący na stole przy drzwiach do wnętrza wagonu. - Po kolei, proszę się nie pchać, mamy dużo czasu. Pan. Teraz pan. Pani. - Swoją kartą magnetyczną zamienia suwane drzwi w służę. Po jednej rodzinie.

- Co się tu, kurna, dzieje? - pyta Thomas Lull, dochodząc na początek kolejki.

- Bharaccy karsewakowie podpalili pociąg - odpowiada cicho steward. - Proszę nic nie mówić. Proszę przechodzić.

Thomas Lull przepycha Aj na platformę wagonu, zerka w ciemność na zewnątrz.

- Ja pierdolę. - Małe obozowisko oszołomionych, wystraszonych pasażerów i ich bagaży otacza pierścień ognia. Po parudziesięciu latach pracy z automatami komórkowymi Thomas Lull umie sprawnie, jednym rzutem oka, oceniać liczby. Jest ich tam z pięciuset, z pochodniami. Od czoła pociągu niosą się iskry; pomarańczowy dym, świecący w tym półmroku, ewidentny znak, że pali się plastik. - Zmiana planów. Tu nie wysiadamy.

- Co się stało, co się dzieje? - pyta Aj, gdy Lull otwiera na siłę drzwi do następnego wagonu. Ten już jest na wpół pusty.

- Zatrzymali pociąg, jakiś protest Shivaji.

- Shivaji?

- Myślałem, że ty wszystko wiesz. Hinduskich fundamentalistów. Ostatnio trochę się na Awadh wkurwili.

- Strasznie agresywnie gadasz - rzuca Aj, a Lull nie wie, czy to koniec uspokajaczy, czy początek jej dziwacznej mądrości. Lecz łuna na zewnątrz się nasila, słyszy też łomot i rozpryskiwanie się przedmiotów, którymi obrzucają trupa pociągu.

- Bo się bardzo boję - odpowiada Thomas Lull. Popycha Aj w kolejne drzwi otwarte w noc. Nie chce, żeby usłyszała wrzaski i trzaski, w których domyśla się strzałów z lekkiej broni. Wagony są już prawie puste, przeciskają się przez jeden, dwa, trzy, wtem pociąg przeszywa potężny dreszcz i grzmot, omal ich nie przewracając. - Jezus - odzywa się Thomas Lull. To pewnie wybuchła lokomotywa. Tłuszcza na zewnątrz wiwatuje. Thomas Lull i Aj brną dalej w tył pociągu. W czwartym wagonie spotykają wytrzeszczonego kontrolera biletów Maratha Rail.

- Sir, dalej nie można.

- Idę, choćby i po pana trupie.

- Sir sir, pan nie rozumie. Drugi koniec też podpalili.

Thomas Lull wybałusza oczy na konduktora w eleganckim garniturze. Tym razem to Aj go odciąga. Gdy docierają do przejścia między wagonami, dym przeciska się już między uszczelkami drzwi. Gasną światła. Thomas Lull mruga w ciemności, po czym włącza się awaryjne oświetlenie przy podłodze, jak dolne światła rampy, w nieziemski, gotycki sposób podświetlające zmarszczki i zakamarki ludzkich twarzy. Zewnętrzne drzwi ani drgną. Zapieczętowane. Martwe. Thomas Lull patrzy, jak dym wypełnia wnętrze wagonu za przesuwningimi drzwiami. Próbuje znaleźć jakiś punkt oparcia na gumowej uszczelce.

- Sir sir, mam klucz.

Konduktor wyciąga z kieszeni ciężki imbus na łańcuchu, wtyka go w nakrętkę z sześciokątnym otworem i zaczyna ręcznie uchylać drzwi. Te prowadzące do środka są już czarne od sadzy i zaczynają pękać i się łuszczyć.

- Jeszcze chwila, sir.

Drzwi uchylają się na tyle, by mogły je otworzyć trzy pary rąk. Thomas Lull rzuca bagaż w ciemność i sam skacze za nim. Łąduje źle, pada, toczy się po kamieniach i torach. Aj i kolejarz skaczą za nim. Staje na równe nogi w samą porę, żeby zobaczyć, jak wewnątrz opuszczonego przez nich wagonu rozjarza się oślepiającą żółtą barwą. Potem eksplodują wszystkie okna, sypiąc gradem szklanych kostek.

- Aj! - krzyczy wśród zgiełku Thomas Lull.

W życiu nie słyszał takich odgłosów. Wrzaski, jęki, strzępiasta zbitka krzyków, ryków, języków, wielowarstwowa i wymieszana aż do niezrozumiałości. Przegazowywane silniki, równomierny stukot pocisków. Płacz przerażonych dzieci. A w tle tego wszystkiego sykliwy, bulgotliwy huk pożaru, pochłaniającego pociąg z dwóch końców jak upiorne kadzidło. Tak pewnie brzmi piekło.

- Aj!

Ludzie są wszędzie i biegają we wszystkie strony. Thomas Lull nabiera orientacji w geografii katastrofy. Ludzie uciekają od czoła pociągu, gdzie jedna po drugiej aktywnie wybuchają skrzynki rozdzielcze, gdzie napiera na nich liczny szereg mężczyzn w bieli, jak armia Radżu. Większość jest uzbrojona w lathi, niektórzy mają motyki, grace, maczety. Armia rolna. Błyska przynajmniej jeden miecz, uniesiony wysoko nad horyzontem głów. Niektórzy są nadzy, siwi od popiołu, naga sadhu. Kapłani-wojownicy. Każdy ma na sobie coś czerwonego, barwy Śiwy. Płomienie odbłyśkują od rzucanych przedmiotów: butelek, kamieni, kawałków konstrukcji pociągu zasypujących pasażerów, którzy kulą się i chowają, nie wiedząc, skąd spodziewać się kolejnego ataku, wlokąc za sobą bagaże. W powietrze bucha dym od wystrzałów. Ziemię zaścielają porzucone, rozwalone toboły, koszule, sari i szczoteczki do zębów, podeptane i rozwłócone po piachu. Jakiś człowiek trzyma się za rozbitą głowę. Pomiędzy kłębowiskiem stóp siedzi małe dziecko, rozgląda się w przerażeniu, usta rozdziawione, milczące ze strachu zbyt silnego na krzyk, policzki lśniące od łez. Stopy depczą kupę szmat. Kupa się porusza, potrącana buciorami. Trzaskają kości. Thomas Lull domyśla się teraz celu i kierunku ucieczki: z dala od mężczyzn w bieli, ku niskiej linii chałup, które stają się widoczne, gdy oczy przyzwyczajają się do ciemności bharackiej wsi. Wioska. Azyl. Tylko że zza płonącego tyłu pociągu wybiega druga grupa karsewaków, odcinając drogę ucieczki. Ludzie stają. Nie ma dokąd iść. Padają beładnie na ziemię. Zgiełk się podwaja.

- Aj!

I wtem ona stoi tuż przed nim, jakby właśnie wstała z ziemi. Wytrzepuje z włosów szklane okruchy.

- Profesorze Lull.

Chwyta ją za rękę, ciągnie z powrotem do pociągu.

- Z tej strony wszystko jest odcięte. Idziemy drugą.

Dwa skrzydła napastników zahaczają o siebie, zamykając półokrążenie. Thomas Lull wie, że kto został na tej arenie, już nie żyje. Pozostała tylko wąska luka prowadząca na ciemne, wyschnięte pola. Rodziny nurkują w nią, rzucając wszystko i ratując życie. Popiół wiruje w bijących od pociągu prądach powietrznych. Lull i Aj są teraz w zasięgu miotanych przedmiotów. Kamienie i butelki zaczynają rykoszetować od pociągu, rozpryskując się na szklane odłamki.

- Pod spód! - Thomas Lull przykuca i wpełza pod pociąg. - Uważaj na to. - W podwoziu czają się śmiertelne kable wysokiego napięcia i zbiorniki z olejem pod ciśnieniem. Lull wychyla się po drugiej stronie i stwierdza, że patrzy na ścianę samochodowych świateł. - Kurwa mać. - Pojazdy parkują sto metrów od pociągu w długim szeregu. Furgonetki, busy, pikapy, rodzinne auta, fatfaty. - Są ze wszystkich stron. Trzeba będzie i tak spróbować.

Aj zadziera głowę ku niebu.

- Przylecieli.

Thomas Lull odwraca się, widzi nad pociągiem terkoczące helikoptery, szybkie, lecące wystarczająco nisko, by skrócić płomień w ogniste tornado. Wyglądają jak ślepe owady, z ich tułowi ważek zwisają bojowe roboty. Na nosach mają wymalowany zielono-pomarańczowy jin-jang Awadhu. Lasery do zwalczania celów ludzkich obracają się w wieżyczkach, wyszukując cele. Gdzieś daleko, pod Delhi, piloci helikopterów leżą na żelowych leżankach, patrząc przez szyszkowate oczy, sterując lotem centymetrowymi, nieznacznymi poruszeniami dłoni. Trzy śmigłowce obracają się w powietrzu nad zaparkowanymi autami, kiwają do siebie w robocim gawocie i ruszają do ataku. Zza linii reflektorów rozlegają się strzały, kule odskakują białymi iskrami od pancerzy z diamentowego włókna. Z wysokości dziesięciu metrów wypuszczają roboty do kontroli zamieszek, potem wchodzą wyżej, obracają się i wysuwają impulsowe lasery. Roboty lądują na ziemi i natychmiast szarżują. Krzyki, strzały. Ludzie wybiegają spomiędzy samochodów na otwartą przestrzeń. Helikoptery namierzają cele i strzelają. Miękkie uderzenia, przyćmione błyski, ciała padają, pełzają. Impulsowe lasery zamieniają pierwszą napotkaną rzecz w plazmę, z której tworzy się fala uderzeniowa, obojętne, czy to ubranie, czy wysmarowana popiołem skóra gołego nagi. Karsewakowie zataczają się, obdarci laserem do nagiej piersi. Roboty przeciwarzamieszkowe przeskakują nad autami susami rodem z japońskich komiksów i rozkładają pałki do rozgania tłumu.

- Padnij! - wrzeszczy Thomas Lull, wciskając twarz Aj w ziemię.

Bojówkarze uciekają, ale skaczące boty są szybsze, odporniejsze i dokładniejsze. Obok Lulla na ziemię z dudnieniem pada ciało, z twarzą czerwoną od oparzenia słonecznego drugiego stopnia. Błyskają stalowe podkówki, nakrywa głowę dłońmi, potem odwraca się na plecy, by ujrzeć, jak maszyny przeskakują nad pociągiem. Czeka. Helikoptery ciągle w górze. Udaje martwego, póki nie przelecą, jak długonogie, kruche komarnice, w których nie przewidziano miejsca na człowieka.

- Wstawać! Uciekamy! Szybko!

Ukłucie podejrzliwości każe Lullowi zadrzeć głowę. Helikopter odwraca ku niemu zestaw czujników. Gatling impulsowego lasera zaczyna się przekręcać. Wtem pomiędzy człowieka a maszynę wpełza kłęb dymu, a eai traci namiar na cel, helikopter nurkuje za pociąg, plując laserowym ogniem.

- Za samochody, schować się za koła, najbezpieczniej! - wrzeszczy Lull ponad tumultem.

Wtem oboje zamierają w pół kroku, gdy powietrze nad samochodami wibruje, a łuna od świateł licznych reflektorów rozpada się na ruchome odłamki. Z cienia wyłaniają się ludzie w polowych mundurach, z bojowym sprzętem. Thomas Lull wyciąga z kieszeni paszport, unosi go wysoko, jak dawny ewangelizator Biblię.

- Jestem Amerykaninem! - krzyczy, gdy żołnierze przemykają obok. Ich mundury przybrały teraz lustrzany i podczerwony kamuflaż. - Jestem Amerykaninem! - Jakiś subadar z nieskazitelnie wypielęgowanym wąsem przystaje i przygląda mu się. Na dystynkcjach ma wieczne karmiczne koło Bharatu. Nonszalancko trzyma wielozadaniowy karabinek szturmowy.

- Z tyłu mamy jednostki zmotoryzowane - mówi. - Pan tam przejdzie. Tam się wami zaopiekują.

Tymczasem znad pociągu znów wyłaniają się śmigłowce, teraz na wpół płonące. Subadar puszcza się biegiem, pierwszy z helikopterów celuje weń podbrzuszną wieżyczką i strzela. Thomas Lull widzi, jak jego mundur rozjarza się, pochłaniając energię, po czym bharacki żołnierz unosi karabin do twarzy i wystrzeliwuje pocisk przeciwlotniczy. Śmigłowiec unosi się i skręca w przechyle, sypiąc wokół wabikami, maleńka rakieta zygzakuje za nim, kreśląc w mroku ognistą kreskę. Na Lulla i Aj spada deszcz sreberek barwy płonącego ekspresu. Widząc poważniejsze zagrożenie, pluton przeciwwzajemnych robotów zajął pozycję na dachu pociągu, starając się powstrzymać bharackie siły laserami i flarami do rozpraszania tłumów. Ogień pożaru błyska na chromowanych stawach i ścięgnoch. Ludzie załatwiają je kolejno impulsami EMP. Każdy kolejny bot, zeskakując z pociągu wypuszcza z siebie stado mniejszych robotów wielkości pięści. Odbijają się od ziemi, rozkładają w pędzące żuki uzbrojone w wirujące ostre druty, jak żyłka w kosiarce. Zalewają żołnierzy. Thomas Lull widzi, jak jeden z nich pada; odwraca Aj głowę, zanim drut oskórkuje go do kości. Widzi, jak subadar odkopuje jednego czubkiem buta, zamierza się kolbą karabinu i rozbija go w drobny mak. Ale ich jest ciągle za dużo. Na tym polega taktyka. Subadar odwołuje swoich ludzi. Biegną. Żuki pędzą za nimi. Thomas Lull wciąż ścisną swój paszport, jakby machał świętym tekstem przed twarzą wampira.

- Chyba potrzeba będzie czegoś więcej - mówi subadar, szarpiąc Thomasa Lulla za ramię i ciągnąc go za sobą.

Za linią aut z kamuflażu wyłania się szereg ludzi z miotaczami ognia. Thomas Lull uświadamia sobie, że Aj puściła jego rękę. Wykrzykuje jej imię. Nie wie już, ile razy powtórzył to imię, tym zagubionym, chorym ze strachu tonem. Uwalnia się z uchwytu bharackiego oficera.

Aj staje przed rojem pędzących robotów. Klęka na jedno kolano. Są parę metrów, sekundy od

niej, wirują ostrymi drutami. Unosi lewą rękę, wnętrzem dłoni ku nim. Lawina robotów się zatrzymuje. Jeden po drugim, dziesięć, dwadzieścia, wszystkie zatrzymują broń, zwijają się w spoczynkowe kule. Wtedy przyskakuje do niej bharacki dżawan, porywa ją w tył, a reszta otwiera ogień z miotaczy. Thomas Lull podchodzi do niej. Rozdygotana, załamana, umorusana dymem, w dłoni wciąż ściska skreconą rączkę swojej małej torby.

- Macie jakiś koc, czy coś? - pyta żołnierza przeciskającego się ku nim między samochodami.

Skądś pojawia się srebrzysty kosmiczny pled. Thomas Lull otula nim ramiona Aj. Żołnierz cofa się - widział w życiu sterowane przez aeai helikoptery bojowe, walczył z robotami, ale to napawa go przestachem. Nic ci nie będzie, myśli Lull, prowadząc Aj do obozowiska transporterów piechoty. Nic nam nie będzie.

ROZDZIAŁ 19 PAN NANDHA

Każdy z pięciu trupów ma uniesione pięści. Pan Nandha widywał w życiu dość ofiar pożarów, by rozumieć, że to kwestia biologii i temperatury, jednak starsza, przedoświeceniowa wrażliwość nadal wyobraża sobie, że walczyli z wijącymi się, płomienistymi dzinnami. Bo demonicznie tu było naprawdę. Mieszkanie jest pełne polatujących kłaków sadzy ze spopielonego poliwęglanu i odparowanych komputerowych obudów. Kiedy osiadają panu Nandzie na skórze, rozmazują się jak miękki, najczystszy węgiel. Żeby sprowadzić plastik do takiej postaci, potrzebne jest ponad tysiąc stopni.

Varanasi, miasto kremacji.

Pracownicy kostnicy zapinają suwaki czarnych worków. Z ulicy dobiega głos syren - to odjeżdżają strażacy. Miejsce wypadku jest teraz w rękach organów, a ostatnim z nich jest Ministerstwo. Chłopaki z Kryminologii ocierają się o pana Nandhę, nagrywając palmerami wideo. Wchodzi na kolejne cudze podwórko. Ma własną metodologię, z którą mu wygodnie, i z pomocą zwykłej obserwacji i wyobraźni potrafi uzyskać spostrzeżenia i intuicje, których nigdy nie uchwyci trzymający się procedur policjant.

Pierwszym atakującym przestępcę zmysłem jest węch. Już w hallu czuł spalone mięso i tłusty, słodki, dławiący odór stopionego plastiku. Tak przytłacza wszystkie inne zmysły, że pan Nandha musi się mocno skupić, aby wydobyć zeń informację. Otwiera nozdrza, szukając sugestii, sprzeczności, subtelnych niespójności, które mogą podpowiedzieć, co się tutaj stało. Zwarcie instalacji elektrycznej w komputerach, zawyrokował natychmiast oficer śledczy straży. Czy uda mu się wywęszyć w tej mieszance tę nutkę energii elektrycznej - nie do pomylenia z niczym innym?

Drugi zmysł to wzrok. Co widział, wchodząc na miejsce przestępstwa? Podwójne drzwi wyważone strażackim hydraulicznym rozwierakiem, najpierw standardowe dla budynku ramiakowe drzwi wewnętrzne, potem pancerne stalowe, zielone, uparte i zamknięte na głucho, o zawiasach wygiętych przez narzędzia strażaków. Nie mogli ich otworzyć? Uwięziły ich własne systemy bezpieczeństwa? Na wewnętrznej stronie ciężkiego skrzydła złuszczyła się farba, widać goły, poczerniały metal. Dalej. Krótki przedpokój, główny salon, sypialnie, w których stała farma pamięci. Kuchnia; szkielety wiszących i stojących szafek, melamina stopiona, choć płyta wiórowa nienaruszona. Paździerz przetrwał. Popiół przemieszany z czernią. Okna wysadziło do środka. Spadek ciśnienia. Ogień musiał prawie zgasnąć z braku tlenu. Musiało być dużo czarnego dymu. Na pewno zaczadzieli, zanim wyleciały szyby i świeży tlen podsycił ognistego dzinna. Nadtopione kikuty komputerowych dysków zlewają się ze sobą. Vikram odzyska, co jest do odzyskania.

Słuch. Apartamentowy moloch ma trzy tysiące mieszkańców, jednak na piętrze, gdzie był pożar, panuje absolutna cisza. Nawet nie zaćwierka puszczone cicho radio. Strażacy zlikwidowali kordon, ale mieszkańcy nie chcą wracać do domów. Rozchodzą się plotki, że to był atak Awadhów w

odwecie za masakrę śatabdi. Sąsiedzi po obu stronach zorientowali się dopiero, gdy ściany się rozgrzały i zaczęła odchodzić z nich farba.

Dotyk. Oleiste, krzepnące płaty sadzy w powietrzu. Polatująca czarna pajęczyna osiada na jego rękawie. Zaczyna ją ścierać, wtem przypomina sobie, że to w dziesięciu procentach ludzki tłuszcz.

Smak, piąty zmysł. Tej techniki pan Nandha nauczył się od kotów: rozszerzone nozdrza, delikatnie rozchylone usta, powietrze z sykiem opływające podniebienie. Nie wygląda elegancko, ale sprawdza się u małych myśliwych i Psów Kryszny.

- Nandha, co ty robisz? - Chauhan, Główny Patolog pakuje do worka przedostatnie zwłoki i przykleja na plastiku nalepkę z informacją.

- Takie tam, czynności przygotowawcze. A ty już coś dla mnie masz?

Chauhan wzrusza ramionami. Jest wielkim, niedźwiedziowatym facetem z bezduszną jowialnością typową dla zajmujących się wewnętrznymi sprawami osób, które zginęły w gwałtowny sposób.

- Zadzwoń do mnie po południu, może do tego czasu coś dla ciebie znajdę.

Vaish, prowadzący sprawę inspektor policji, unosi głowę z dezaprobatą na to naruszenie tajemnicy.

- A propos, Nandha - mówi Chauhan. Cofa się, jego ludzie w białych kombinezonach wkładają worek na nosze. - Słyszałem, że twoja ukochana odbudowuje wiszące ogrody Babilonu. Chyba naprawdę musi tęsknić za rodzinną wsią.

- Kto tak mówi?

- Wszyscy - odpowiada Chauhan, notując jakieś uwagi o czwartej ofierze. - Rozeszło się po imprezie u Dawarów. Ta tutaj to kobieta. Interesujące. Czyli co, Nandha, ukryty talent ogrodniczy?

- To prawda, kazałem zbudować sobie na dachu takie zielone zacisze. Pomyśleliśmy, że będziemy tam przyjmować gości, organizować różne spotkania towarzyskie, kolacje... W Bengalu to bardzo modne, ogrody na dachu.

- W Bengalu? U nas jest modne jak nie wiem.

Chauhan uważa się za równego panu Nandzie pod względem intelektu, wykształcenia, kariery i statusu - każdym, z wyjątkiem małżeństwa. Pan Nandha ożenił się w ramach dząti. Chauhan poniżej swojej podkasty.

Pan Nandha marszczy brwi, patrząc na sufit.

- W takim miejscu chyba nie może nie być halonowego systemu gaśniczego?

Chauhan wzrusza ramionami. Wstaje inspektor Vaish. On rozumie.

- Znaleźliście jakąś skrzynkę kontrolną, albo coś? - pyta pan Nandha..

- W kuchni - odpowiada inspektor

Skrzynka jest pod zlewem, za syfonem, w wyjątkowo niewygodnym miejscu. Pan Nandha wyłamuje nadpalone drzwiczki szafki, przysiadła i świeci wokół ołówkową latarką. Zużywali sporo uniwersalnego psikacza do czyszczenia. Pewnie do tych wszystkich obudów, domyśla się pan Nandha. Żar przeniknął nawet do tej bezpiecznej kryjówki, luzując spawy na rurach i wybrzuszając plastikową pokrywkę. Odkręca ją paroma ruchami multitoola. Gniazda serwisowe są nienaruszone. Pan Nandha podłącza skrzynkę z awatarami i przywołuje Krysznę. Aei wydyma się z ciasnej szafki pod zlewem. Bóg drobnych sprzętów domowych. Inspektor Vaish kuca obok niego. Wcześniej emanował kolczastą niechęcią, teraz to delikatny podziw.

- Wchodzę do plików systemu bezpieczeństwa - wyjaśnia pan Nandha. - To nie zajmie długo. Paradoks: farmę pamięci zabezpieczali kwantowymi kluczami, ale do systemu gaśniczego mieli czterocyfrowy PIN. I to właśnie... - dodaje, gdy w polu widzenia przewijają mu się zapisane polecenia - ...ich zgubiło. Wiadomo, o której mniej więcej wybuchł pożar?

- Zegar w piecyku stoi na siódmej dwadzieścia dwie.

- W logu jest polecenie z firmy ubezpieczeniowej, na pewno fałszywe, z siódmej pięć. Wyłącza system gaśniczy. I włącza zamki w drzwiach.

- Byli uwięzieni w środku.

- Tak. - Pan Nandha podnosi się, otrzepuje, z niesmakiem zauważając smugi miękkiej czerni, dziesięcioprocentowego ludzkiego tłuszczu, w miejscach gdzie osiadły na nim sadze. - Zatem to zabójstwo. - Składa awatary z powrotem do skrzyneczki. - Wrócę teraz do mojego biura i przygotuję wstępny raport z miejsca przestępstwa. Do południa chciałbym mieć u siebie najlepiej zachowane procesory. Aha, panie Chauhan. - Patolog unosi wzrok znad ostatniego ciała, spalonego do kości i krwawo-białego uśmiechu wśród czarnego węgla. Zna te zęby: to bezczelny małpi uśmiech Radhakrishny. - Zadzwoń o trzeciej, liczę, że będziesz już coś dla mnie miał.

Opuszczając pogorzeliśko po sundarbanie Badrinath, wyobraża sobie uśmiechy kryminologów za plecami. Oni, jak Chauhan, nie mają ani pieniędzy, ani cierpliwości, by ożenić się w ramach dżati.

Przy śniadaniu rozmawiali głównie o przyjęciu u Dawarów.

- Też musimy takie urządzić - powiedziała Parvati, promienna i świeża, z kwiatem w długich, czarnych włosach i męskim, barytonowym bulgotem Piątego Dnia Meczku Testowego za plecami. - Jak skończymy ogród na dachu, urządzimy bankiet, zaprosimy wszystkich i będzie się o tym mówiło przez parę tygodni. - Wyciągnęła z torby kalendarz. - W październiku? Wtedy, po późnym monsunie, będzie najładniej wyglądać.

- Czemu leci krykiet? - zapytał pan Nandha.

- A, to? Nie wiem, samo się włączyło. - Machnęła ręką przed ekranem, gestem przywołującym *Śniadanie z Bharti*. Na ekran wskoczyła scena tańca w studiu. - Proszę, lepiej? Październik byłby dobry, wtedy nigdy nic się nie dzieje. Chociaż po Dawarach to może być rozczarowanie, no wiesz, to ogród, ja go uwielbiam, tak miło, że pozwoliłeś mi go tam zrobić, ale to w końcu tylko rośliny i nasiona. Jak myślisz, ile ich kosztowało to dziecko-Bramin?

- Tyle że oficera śledczego ds. licencjonowania sztucznych inteligencji na to nie stać.

- Oj, kochanie, nawet przez myśl mi nie przeszło...

Mój bulbul, posłuchaj sam siebie, pomyślał. Papłasz sobie, słowa wypadają ci z ust i sądzisz, że będą złotem, bo przez cały czas, każdego dnia, przebywasz wśród kolorów, ruchu, kwiatów. Słyszałem te kobiety z towarzystwa, którym tak zazdrościsz, i nie odezwałem się słowem, ponieważ miały rację. Jesteś staroświecka, otwarta i mówisz, co ci leży na sercu. Nie kryjesz swoich ambicji i dlatego nie powinienem cię puszczać do nich i do ich towarzystwa.

Bharti ze Śniadaniowego Bankietu z uśmiechem wytrajkotała swoje: Nasz! Specjalny! Poranny! Gość! Dzisiaj: przepyszne *fanki puri* przyrządzone przez naszego gościa, szefa kuchni Sanjeeva Kapura!

- Do widzenia, skarbie - powiedział pan Nandha, odsuwając pustą filiżankę po ajurwedyjskiej herbacie. - Zapomnij o tych snobach. Nic nam do nich. Mamy siebie. Mogę wrócić późno. Mam do rozpracowania miejsce przestępstwa. - Pan Nandha ucałował swą prześliczną żonę i udał się na oględziny zwęglonych szczątków pana Radhakrishny w jego sundarbanie, upchniętym skromnie w mieszkaniu na piętnastym piętrze apartamentowca w Diljit Rana Colony.

Machając wilgotną torebką z herbatą na sznurku, pan Nandha wygląda na Varanasi i próbuje uporządkować to, co zobaczył w spalonym mieszkaniu. Ogień był intensywny, ale ograniczony. Kontrolowany. Precyzyjny pożar. Jakiś ładunek kumulacyjny? Strzał z podczerwonego lasera przez okno?

Pan Nandha puszcza sobie z palmera koncerty skrzypcowe Bacha, siada wygodnie w skórzanym fotelu, składa palce w kształt stupy i odwraca się ku miastu za oknem. Zawsze było dlań niezawodnym i szczodrym guru. Pyta je jak wyrocznie. Varanasi to Miasto Człowieka i jego geografia odzwierciedla wszystkie ludzkie poczynania. Układy i traumy miasta rodziły już przemyślenia i mądrości wykraczające poza rozum i racjonalizm. Dziś miasto pokazuje mu ogień. Każdego dnia po niebie wije się co najmniej kilkanaście spiral dymu z domowych pożarów. Wśród przepychającej się łokciami klasy średniej zwyczaj palenia wdów zanikł, ale nie wątpi, że niektóre z odleglejszych, bledszych smużek dymu to właśnie „kuchenne ogniska”.

Ze mną jesteś bezpieczna, Parvati, myśli. Możesz mi ufać, że nigdy cię nie zranię, że nigdy mi

się nie znudzisz, jesteś bowiem skarbem, bezcenną perłą. Jesteś chroniona przed sati nudy czy zawiścią o posag.

Wojskowe transportowce tną niebo w tym samym regularnym rytmie. Ile już lachów tych żołnierzy? W policyjnym radiowozie przejrzał dzisiejsze nagłówki. Dżawani Bharatu zmusili wojska Awadhu do wycofania się wzdłuż linii kolejowej do zachodniego Allahabadu. Amerykańskie roboty Awadhów zaatakowały grupę protestujących blokujących linię ekspresu Maratha z Awadhu. Zalatuje mu to PR-owskim manewrem Ranów, smrodkiem silniejszym niż zapach kadzidła, czy dymu kremacyjnego. To paradoks, że Amerykanie, twórcy Ustaw Hamiltona, decydują się prowadzić wojnę z pomocą maszyn, którym tak nie ufają. Gdyby aeai wyższych generacji dorwały się kiedyś do walczących robotów...

Palce pana Nandhy rozdzielają się. Intuicja. Oświecenie. Jakiś ruch z boku: chłopak od podawania herbaty unosi jego torebkę na srebrnym spodku.

- Ćaj-wallah. Przyślij mi tu Vikrama. Szybko.

- Już, sahib.

Wojskowe helikoptery kontr-kontrofensywne. Wyuczone, by tropić i spadać na sprzęt do prowadzenia cyberwojny, jak polujące sokoły. Uzbrojone w impulsowe lasery. Widzi przed sobą narzędzie morderstwa, kreślące patrolowe łuki w świętej przestrzeni powietrznej świętego miasta. Ktoś włamał się do wojskowego systemu.

Pan Nandha czuje zapach Vika, zanim którykolwiek inny zmysł zawiadomi o jego przybyciu.

- Vikram.

- Czym mogę służyć?

Pan Nandha odwraca się z fotelem.

- Chcę dostać zapis lotów każdego bezzałogowca aeai nad Varanasi z ostatnich dwunastu godzin.

Vikram zasysa górną wargę. Jest ubrany w ogromne buty do biegania, pseudoszorty sięgające dzisiaj do połowy łydki i obcisły podkoszulek, o jakim ktoś o jego poziomie konsumpcji węglowodanów nie powinien nawet myśleć.

- Dałoby radę. A po co?

- Przyszło mi do głowy, że to nie jest konwencjonalne podpalenie. Wydaje mi się, że to był silny, wysokoenergetyczny impuls lasera z wojskowego aeai-samolotu. - Brwi Vika się unoszą. - Ustaliliście, skąd wzięła się ta komenda zamknięcia drzwi?

- Na pewno nie przyszła od varanaskiego ubezpieczyciela Ahura Mazda. Ślady dobrze zatarte, ale my dotrzemy do domu. Są już jakieś pierwsze dane odzyskane z Badrinathu. Cokolwiek to było,

co miało zniknąć, zlikwidowali razem z tym sporo rzeczy wynajmowanych za nieźle pieniądze. Straciliśmy bodhisofy Jima Carreya, Madonny, Phila Collinsa.

- Nie wydaje mi się, żeby im chodziło o bodhisofy, czy w ogóle informacje - mówi pan Nandha. - Według mnie chodziło o ludzi.

- Jak to się dzieje, że jesteśmy Wydziałem Licencjonowania Aeai, a zawsze kończy się na ludziach? - mówi Vikram, podskakując na swoich poduszkowatych buciorach. - A następnym razem, jak będę ci tak strasznie potrzebny, wystarczy wysłać wiadomość. Idzie zdechnąć od tego latania po schodach.

Ale to nie przystoi Starszemu Oficerowi, chciałby powiedzieć pan Nandha. Porządek, kultura, czyste garnitury; warna. Na jego dziesiątą Holi matka przebrała ich wszystkich za małych rycerzy Jedi - powiewające szaty i nowe superpistolety na wodę ze sklepu Chatterjeego, takie o pięciu lufach jak w gatlingu, a w każdej inna barwa na Święto Kolorów. Patrzył, jak jego młodszy brat i siostra naśladują te ruchy, zakapturzeni, w pelerynach zrobionych ze starych prześcieradeł, z rurami pełnymi jaskrawych świątecznych farb, jak robiąc „żżż, żżż”, roznoszą w drobny mak siły ciemnej strony mocy. Znowu czuje tamte mdłości z zażenowania, na myśl, że mieli pokazać się publicznie w tych upokarzających szmatach, z tandetnymi zabawkami, na oczach wszystkich. Tamtej nocy wykradł się z pokoju, zabrał wszystko, wrzucił do piecyka stróża nocnego, Dipendry, i spalił. Wściekłość ojca była potworna, niezrozumienie i rozczarowanie matki jeszcze bardziej, on jednak znosił emocje i wyrzuty ze stoickim spokojem, wiedział bowiem, że zapobiegł czemuś znacznie gorszemu: wstydowni.

Palcami namacuje lighthoeka. Zadzwoi teraz do Parvati, pogada z nią o tych bramińskich dzieciach, powie jej, jakie naprawdę ma zdanie o tych *stworach*. Wytłumaczy jej wszystko, będzie już wiedziała i nic takiego się więcej nie powtórzy. Nasuwa hoeka na ucho, podświadomie poprawia induktor i wywołuje numer, gdy wtem z zewnątrz nadchodzi niespodziewane połączenie.

- Umf - mruczy zdegustowany pan Nandha. To Chauhan.

- Niespodzianka, to ja dzwonię. Mam ci coś do pokazania.

- To był podczerwony laser, prawda? - mówi pan Nandha, wchodząc do kostnicy. Ciała są rozłożone na ceramicznych stołach, czarne, pomarszczone mumie, zaciśnięte zęby.

- Masz ten łeb - mówi jowialny, brutalny Chauhan, ubrany w przynależną kostnicy zieleń, otoczony powściągliwymi pielęgniarkami od sekcji. - Krótki, intensywny błysk lasera podczerwonego o wysokiej mocy, prawie na pewno latającego, choć nie wykluczałbym wymierzonego strzału z Shanti Rana Apartments naprzeciwko.

Jedno z ciał, zwęglone znacznie bardziej niż reszta, jest czarnym kikutem, z którego wystają nagie zębra i żółte kości udowe; urywa się w kolanach. Odór spalonych włosów, ciała, spopielonej kości, jest w dziewiczo nowej kostnicy w Ranapurze znaczenie gorszy niż zamaskowany węglowodorami i poliwęglanami w mieszkaniu, ale w tym czystym, chłodnym pomieszczeniu nie ma

niczego, co byłoby dla mieszkańca Varanasi nieznanym albo bulwersującym.

- Co mu się stało?

- Chyba stał przy oknie, kiedy buchnął ogień. Nie on jest interesujący. - Chauhan kontynuuje, kiedy pan Nandha pochyla się nad niehumanitarną literą Y zwłok pirata darwinowskiego softu. - Te tutaj. Nic ich nie identyfikuje, zresztą zdążyłem tylko trochę pogrzebać, ale ten to mężczyzna, a to kobieta. Mężczyzna jest Europejczykiem, gdzieś od Palermo do Paryża, kobieta jest Drawidyjką z południowych Indii. Mam przeczucie, że byli parą. Co ciekawe, kobieta urodziła się z poważnym zniekształceniem macicy. Na pewno jej nie działała. Staromodna policyjna procedura dojdzie w końcu, kto to taki, ale tu jest coś, co może cię zainteresuje.

Otwiera wyściełaną szufladę, wyciąga dwa plastikowe woreczki na dowody. W każdym jest mały wisior z kości słoniowej, osmalony i szerniawy. Przedstawia stojącego dęba białego konia, na tle czakramowego koła stylizowanych płomieni.

- Wiesz, co to jest? - pyta.

- Kalki - odpowiada pan Nandha. Unosi dysk wisiora pod światło. Pięknie jest wykonany. - Dziesiąte, ostatnie wcielenie Wisznu.

Kiedy ministerialny lexus podjeżdża do starego, mogolskiego pałacyku myśliwskiego, z drzew złazi dosłownie kupa świętych małp i podskakując na swoich miękkich knykciach, idzie przywitać ministerialnego lexusa. Zza krzaczastych rododendronów wychodzi robot, żeby sprawdzić dokumenty kierowcy. Obsługa pozwoliła ogrodowi zarosnąć i zdiczeć. Procedurę bezpieczeństwa przechodzi niewielu ogrodników, a ci nieliczni niezbyt długo zagrzewają miejsca na ministerialnej pensji. Maszyna przysiadła przed samochodem, kreśląc lufą naramiennej wieżyczki linię ku panu Nandzie. Siłownik w lewej nodze od czasu do czasu przepuszcza, wskutek czego robot, skanując dokumenty, kołysze się. Widać, że konserwacja też szwankuje. Pan Nandha sznuruje usta, gdy małpy oblażą samochód, szperając karłowatymi paluszkami we wszystkich zakamarkach. Kojarzą mu się z dłońmi spalonych zwłok w czystej kostnicy Chauhana, tymi czarnymi, zwiędłymi piąstkami. Nad chłodnicą, jak figurka na masce, sadowi się langur i masturbuje się wściekle, a wokół pana Nandhy wiruje *Pasja według świętego Mateusza*.

Niedbalstwo plus niechlujstwo plus bałagan równa się katastrofie. Właśnie przez byle jaką konserwację i kiepską ochronę więzień już dwa razy stąd uciekł. Przez to i dzięki stadom niewykrywalnych robotów o wielkości i ruchliwości karaluchów.

Bot ochrony kończy sprawdzanie i odchodzi, zaczają się w krzakach jak jakiś drapieżca z późnej kredy. Pan Nandha szarpie samochodem, żeby spłoszyć małpy. Ma taki dyżurny koszmar, że jakaś uwieżnie mu w nadkołu. Święty Pan Masturbator spada, koziołkując, z maski. Pan Nandha wyciąga szyję i przygląda się, czy nie zostawił na lakierze rozbryzgów obrzydliwej małpiej spermy.

Kiedy miał trzynaście lat, sponiewierany hormonami i wątpliwościami pielęgnował w sobie

fantazję, w której łapał świętą małpę, trzymał ją w klatce i powoli, boleśnie łamał jej jedną ptasią kosteczkę po drugiej. Wciąż potrafi poczuć żar płynącej z tego rozkosznej wściekłości.

Parę upartych małpisonów jedzie na lexusie łukowatym podjazdem aż pod sam pawilon. Pan Nandha skopuje je, wysiadając na chrzęszczący czerwony żwir, i zakłada ciemne okulary. Biały mogolski marmur olśniewa w popołudniowym słońcu. Pan Nandha cofa się od samochodu, by mieć niczym niezakłócony widok na pałacyk. Ukryta perła architektury, zbudowana w roku 1613 przez szacha Aszrafą, jako pawilon myśliwski. Tam, gdzie kiedyś na słoniowych haudach jechały na polowania gepardy, a mogolscy magnaci uganiaли się z sokołami po bagnach Kirakat, teraz ze wszystkich stron przybliżają się ku niskiemu, chłodnemu pawilonowi fabryczki i magazynom z karbowanego aluminium. Lecz geniusz architekta przetrwał: dom z podcieniami pozostaje odizolowany, oddzielony od wszystkiego zamienionymi w dżunglę ogrodami, niewidoczny znikąd i sam niewidzący nic w zamian. Pan Nandha podziwia kompozycję kolumnady kruźganka, niedomówienie kopuły. Nawet w Cambridge, gdzie triumfy święci angielski gotyk pionowy i barok, wciąż uważał, że mistrzami Wrena i Reginalda z Ely byli islamscy architekci. Budowali tak, jak komponował Bach, z siłą i mięsistością, ze światłem, przestrzenią i geometrią. Budowali ponadczasowo i na wsze czasy. Pan Nandha myśli, że nie miałby nic przeciw zamknięciu w takim więzieniu. Miałby tu samotność.

Wokół niego kłaniają się sprzątacze, miotły z gałązek idą w ruch, gdy pan Nandha wchodzi po niskich schodkach do chłodnego podcienia. Personel Ministerstwa wita go przy drzwiach, dyskretnie skanując go swoimi palmerami. Pan Nandha pochwała taką staranność, wyglądają jednak na znudzonych. Są dyplomowanymi operatorami sprzętu elektronicznego i nie przyszedli do Ministerstwa, żeby pilnować jakiejś rozwalającej się kupy mogolskiego gruzu. Pan Nandha czeka, aż strażnik przełączy przezroczysty plastikowy zamek, wiszący na elegancko rzeźbionym marmurze jak brzydka erotyczna zabawka w kształcie joni. Ostatnie światełka bezpieczeństwa zapalają się zielono. Pan Nandha wchodzi do sali bankietowej. Jak zawsze wstrzymuje oddech, widząc białe, kamienne filigrany, pasiaste ściany, niskie, mocno przestronne cebulaste łuki, geometrycznie ułożone na suficie lazurkowe kafle, wysokie ostrołukowe okna zasłonięte roletami z tkaniny. Lecz tym, co tu zwraca uwagę, nie jest promienna harmonia architektury. Ani nawet benedyktyńsko w nią wpleciona klatka Faradaya. Uwagę przykuwa plastikowy, przezroczysty sześcian pośrodku. Ma pięć metrów szerokości i wysokości, dom w domu podzielony przezroczystymi ściankami działowymi na przejrzyste pokoje, z przezroczystymi rurami i okablowaniem, krzesłami, stołami, przezroczystym łóżkiem i przezroczystym sedesem. Pośrodku tej przezroczystości siedzi śniady, otyły facet z gęstą brodą. Siedzi odwrócony plecami, ale wstaje, słysząc kroki na chłodnym marmurze. Mruży oczy, potem rozpoznaje gościa i przysuwa sobie krzesło do przezroczystej ściany. Palcem nogi poszturkuje książkę w miękkiej oprawie, z nadłamanym grzbietem. Ma na tym palcu przezroczysty pierścień.

- Słowa nadal się nie poruszają.

- One nie muszą. To pana mają poruszać.

- To, muszę przyznać, bardzo efektywny sposób kompresji wirtualnej rzeczywistości. Wszystko to w jednym i czterech dziesiątych mega? Tylko że to strasznie nieinteraktywne...

- Ale za to inne dla każdego, kto czyta - mówi pan Nandha.

Facet w plastikowej kostce kiwa z namysłem głową.

- Ale gdzie wspólnota doświadczeń? No dobra, w czym mogę pomóc, panie Nandha?

Pan Nandha zerka w górę, słysząc komarze brzęczenie latającej kamery. Kamera zwraca oko obiektywu na plastikową klatkę i unosi się pod fantastyczny kopulasty dach. Przez wąskie szprosy światło pada pasemkami kurzu. Pan Nandha wyjmując z kieszeni marynarki plastikowe woreczki z dowodami rzeczowymi, unosi je. Facet na plastikowym krześle mruży oczy.

- Trochę bliżej, nic nie widzę bez okularów. Chociaż tyle mogliście mi zostawić.

- Nie po ostatnim numerze, panie Anredy. Ten układzik był bardzo pomysłowy.

Pan Nandha przyciska torebki do plastikowej ściany. Więzień klęka. Pan Nandha widzi, jak ściana zaparowuje od oddechu. W końcu wydaje stłumione sapnięcie.

- Skąd pan je ma?

- Od ich właścicieli.

- Czyli nie żyją.

- Tak.

J.P. Anredy jest niskim, przysadzistym, dwudziestokilkuletnim astmatykiem, mającym zbyt mało włosów na głowie i o wiele za dużo wokół pulchnych policzków. Stanowi największy triumf zawodowy pana Nandhy. Był dataradzą sundarbanu Sinha, liczącej się piwnicy w obracającym aeał podziemiu, kiedy Awadh ratyfikował Ustawy Hamiltona i zakazał wszelkich sztucznych inteligencji powyżej poziomu 2.0. Zarobił kosmologiczną ilość pieniędzy, klasyfikując wysokopoziomowe aeał jako niższe i fałszując ich certyfikaty licencyjne. Jego skrytym konikiem była fuzja człowieka z maszyną, rozszerzenie własnych stu pięćdziesięciu kilo, głównie tłuszczu, o zwinniejsze, szczuplejsze robocie ciała. Kiedy pan Nandha przyszedł aresztować go za naruszenie licencji, musiał odpierać, fala za falą, ataki robotów serwisowych. Przypomina sobie klekocące plastikowe odnóża: zlewają mu się z oblegającymi służbową limuzynę czarnymi małpimi łapkami. Wzdryga się w jasnym ciepłym, pachnącym kurzem pomieszczeniu. Ścigał dataradzę przez kolejne komnaty, aż wreszcie Indrze udało się namierzyć wszczepione Anredy'emu pod czaszkę białkowe układy macierzowe, zapewniające bezpośredni interfejs do maszynowych przedłużeń ciała, i sfajczyć je wszystkim jednym impulsem EM. J.P. Anredy leżał potem przez trzy miesiące w śpiączce, stracił pięćdziesiąt procent masy ciała, a po odzyskaniu świadomości odkrył, że sąd skonfiskował jego dom i zamienił go w więzienie dla niego. Mieszkał teraz pośrodku swojego przepięknego, mogolskiego pałacyku w przezroczystym plastikowym sześcianie, z latającymi kamerami monitorującymi każdy jego ruch i oddech, każdy łyk i każdą czynność, każde podrapanie się i pełznącą po skórze pchłą czy innego owada. Dwa razy uciekł z pomocą owadzych robotów. Choć nie mógł już kontrolować ich samą siłą woli, nigdy nie przestał uwielbiać maleńkich, biegających inteligencji. Pozostawał w areszcie

domowym, dopóki nie wyrazi skruchy za popełnione czyny. Pan Nandha był jednak pewien, że umrze i zgnije w swoim plastikowym pudełku. J.P. Anreddy autentycznie nie widział w swoich czynach nic niewłaściwego.

- Jak zginęli? - pyta dataradża.
- W pożarze, na piętnastym piętrze...
- Zaraz. Badrinath? Radha?
- Nikt nie przeżył.
- Jak?
- Mamy parę teorii.

Anreddy siada ze spuszczoną głową na plastikowej podłodze. Pan Nandha potrząsa medalionami, unosi je na łańcuszkach.

- Czyli znani są panu.
- W ogóle byli znani.
- Nazwiska?

- Jakieś francuskie, chociaż ona była Hinduską. Kiedyś pracowali na uczelni, potem poszli do wolnego świata. Mieli jakiś superważny projekt, stała za nim duża kasa.

- Słyszał pan kiedyś o firmie inwestycyjnej Odeco?
- Każdy słyszał o Odeco. To znaczy, każdy z dżungli.
- Dostawał pan jakieś finansowanie od Odeco?

- Ja jestem dataradża, wielki, groźny i dziki. Wróg publiczny numer jeden. No, w każdym razie, mój kawałek nieba im nie pasował. Ja interesowałem się nanorobotyką. Oni wysokopoziomowymi aeai: białkowymi obwodami, interfejsami mózg-komputer.

Pan Nandha przysuwa amulety do plastiku.

- Wie pan, co znaczy ten symbol?
- Biały koń bez jeźdźca, dziesiąty awatar.
- Kalki. Ostatni awatar, który zakończy Erę Kali. Legendarne imię.
- Varanasi to miasto legend.

- To legenda godna naszych czasów. Może Badrinath, finansowany przez te jakieś Odeco, budował aeai trzeciej generacji?

J.P. Anreddy wierci się na kości ogonowej, odrzuca głowę do tyłu, siddha pełzających robotów. Zamyka oczy. Pan Nandha kładzie amulety na kafelkach przed jego oczyma. Potem podchodzi do okna i powoli podciąga roletę, składającą się w szeroką harmonię wypłowiałej od słońca tkaniny.

- Powiem panu, jaką mamy teorię na temat tych śmierci w Badrinath. Uważamy, że to był celowy atak bezzałogowego samolotu uzbrojonego w laser - mówi pan Nandha. Podciąga kolejną zasłonę, wpuszczając do środka oślepiające słońce i zdradzieckie niebo.

- Ty kutasie! - krzyczy J.P. Anreddy, zrywając się na równe nogi. Pan Nandha podchodzi do trzeciego okna.

- Ta teoria nas przekonuje. Jeden strzał dużej energii. - Przechodzi na drugą stronę, do drugiego zestawu szybek. - Przez okno salonu. Precyzyjne. Aeai musiała namierzyć cel, zidentyfikować go i strzelić w parę milisekund. Od tego incydentu z pociągiem w powietrzu jest taki ruch, że nikt nie zauważy, że jakiś robot schodzi na chwilę z trasy patrolu.

Anreddy rozpostarł dłonie na plastikowej ścianie, oczy ma wytrzeszczone, wypatruje na białym niebie oznak zdrady.

- Co pan wie o Kalkim?

Ściąga kolejną roletę. Została tylko jedna. Na podłodze rozbłyskują ukośne świetlne przypory. Anreddy patrzy zboląły, parzony przez słońce cyberwampir.

- Człowieku, oni cię zabiją.

- Niech tylko spróbują. Czy Kalki to aeai trzeciej generacji?

- Ujmuję miękki bawełniany sznur ostatniej zasłony i ściąga go, dłoń za dłonią. Na terakocie rozszerza się klin światła. J.P. Anreddy skulił się na środku swojej plastikowej klatki - nie ma się gdzie skryć przed niebem.

- No i?

- Kalki to aeai trzeciej generacji. Istnieje naprawdę. Dłużej niż się panu wydaje. Jest wszędzie. Wie pan, co to znaczy, trzecia generacja? Inteligencja, według standardowej skali, dwadzieścia do trzydziestu tysięcy razy wyższa od standardowej ludzkiej. I to tylko na początek. To są własności emergentne. Tam ewolucja leci z milion razy szybciej. I jeśli one chcą cię dopaść, nigdzie nie uciekniesz, nigdzie się nie ukryjesz, nie możesz się przyczaić i liczyć, że o tobie zapomną. Widzą cię, wszystko co robisz. Kombinujesz sobie nową tożsamość, wiedzą o tym szybciej od ciebie. Gdziekolwiek pójdziesz, będą tam przed tobą, bo się domyśliły, zanim jeszcze sam pomyślałeś. Człowieku, to jest gen trzy. To są bogowie. Bogów nie da się licencjonować.

Pan Nandha czeka, aż tyrada ucichnie, potem zbiera tanie, osmalone od żaru amulety i wkłada je z powrotem do woreczków.

- Dziękuję. Znam teraz imię mojego wroga. Miłego dnia. Odwraca się i odchodzi, przecinając słupy pylistego, białego blasku.

Obcasy rezonują na eleganckim, islamskim marmurze. Za sobą słyszy cichy szmer pięści walących w elastyczny, przezroczysty plastik i odległy, stłumiony głos Anreddy'ego:

- Ej, rolety! Zasuń rolety! Człowieku! Rolety! Widzą mnie! Kurwa twoja mać, widzą mnie! Zasuń, kurwa, rolety!

ROZDZIAŁ 20 VISHRAM

Ma biurko, na którym dałoby się wylądować myśliwcem. Ma gabinet z drewna i szkła na najwyższym piętrze. Ma prezesowską oddzielną windę i łazienkę. Piętnaście garniturów skrojonych identycznie i uszytych z takiego samego materiału, jak ten, który nosił, dziedzicząc swoje imperium, do tego dopasowane ręcznie szyte buty. I ma osobistą asystentkę, Inder, która posiada niepokojącą umiejętność przebywania fizycznie przed nim i jednocześnie objawiania się w jego biurkowym organizmie i jako duch w jego korze wzrokowej. Dotąd tylko słyszał o tych korporacyjnych systemach asystenckich, które są pół ludźmi, pół aeai. Tak się teraz prowadzi biuro.

Oprócz tego wszystkiego Vishram Ray ma także potężnego kaca po Stredze i owalne oparzenie słoneczne wokół oczu od zbyt długiego i zbyt głębokiego zaglądania do innego wszechświata.

- Co to za ludzie?

- Siggurdson-Arthurs-Clementi Group - odpowiada Inder-na-dywanie, podczas gdy Inder-na-błacie otwiera swoje lotosowe dłonie, by pokazać mu terminarz, zaś Inder-w-głowie rozpływa się w zdjęcia z listów gończych przedstawiające dobrze odżywionych białych mężczyzn, mających porządne garnitury i jeszcze lepsze uzębienie. Jak na kogoś tak podobnego do Audrey Hebpurn, Inder-na-dywanie ma zaskakująco niski głos. - O szczegółach pani Fusco poinformuje pana w samochodzie. O spotkanie prosi sekretarz ds. energetyki Patel oraz rzecznik ds. energii partii Shivaji. Obaj chcą znać pana plany dotyczące firmy.

- Ja nawet sam ich jeszcze nie znam, ale szanowny sekretarz dowie się pierwszy. - Vishram zatrzymuje się w drzwiach. Wszystkie trzy Inder czekają z pytającą miną. - Inder, czy można by przenieść całe moje biuro z Ray Tower do Ośrodka Badawczo-Rozwojowego?

- Na pewno, panie Ray. Czy to panu nie odpowiada?

- Nie, gabinet jest znakomity. Bardzo... oficjalny. Tylko czuję się tu... trochę blisko rodziny. Braci. I, jak już o tym mowa, z domu też chciałbym się wyprowadzić. Trochę mnie... przytłacza. Możesz znaleźć mi fajny hotel, z dobrą obsługą?

- Oczywiście, panie Ray.

Gdy wychodzi, alternatywne Indery już dowiadują się o ceny firm przeprowadzkowych i apartamentów w hotelach. Vishram Ray w korporacyjnym merolu napawa się „Chanel 27” Marianny Fusco. Czuje także, że jest na niego wkurzona.

- Jest fizykiem.

- Kto jest fizykiem?

- Kobieta, z którą jadłem kolację wczoraj wieczorem. Fizyczka. Mówię ci to, bo jesteś jakaś taka... oschła.

- Oschła?

- Burkliwa. Zła. No wiesz. Oschła.

- A, rozumiem. I to dlatego, że umówiłeś się na kolację z jakąś fizyczką?

- Fizyczką-mężatką. Zamężną fizyczką-hinduistką.

- Ciekawe, dlaczego postanowiłeś mi powiedzieć, że jest mężatką.

- Zamężna hinduistyczna fizyczka. Na imię ma Sonia. Płacę jej pensję.

- Jakby to ci robiło jakąś różnicę.

- Oczywiście, że mi robi. To było na gruncie zawodowym. Zabrałem ją na kolację, a potem ona wzięła mnie do siebie i pokazała mi swój wszechświat. Jest mały, ale bardzo zgrabny.

- Tak się właśnie zastanawiałam, jak wytłumaczysz oczy pandy. Ten wszechświat składa się z solariów?

- Właściwie to z energii punktu zerowego. A ty masz bardzo eleganckie kostki.

Wydaje mu się, że widzi cień uśmiechu.

- No dobra, jak mam postępować z tymi ludźmi?

- Wcale - odpowiada Marianna Fusco. - Podasz rękę, uśmiechniesz się grzecznie, wysłuchasz, co mają do powiedzenia i nie zrobisz absolutnie nic. A potem zameldujesz się z powrotem u mnie.

- To nie idziesz ze mną?

- Panie zabawny, tu jest pan zdany na siebie. Ale bądź przygotowany, że po południu Govind złoży Rameshowi propozycję.

Kiedy dociera na lotnisko, czoło zaczyna mu się łuszczyć. Samochód przejeżdża przez strefę wysadzania pasażerów, odbierania pasażerów, przez strefę zakazu parkowania pod groźbą odholowania i dociera do strefy dla prywatnych odrzutowców, a stamtąd przez podwójne szlabany prosto na płytę, do prywatnego tilt-jeta stojącego na silnikach i ogonie jak modliszka. Assamska hostessa w nieskazitelnym tradycyjnym stroju otwiera drzwi, robi namaste jak rozkwitający kwiat i prowadzi Vishrama na miejsce. Macha Mariannie Fusco i merol odjeżdża. Samotny lot.

Ręka hostessy waha się przez moment, gdy sprawdza mu zapięcie pasa, on jednak nie zauważa,

bo zaraz czuje, jak brzuch i jaja mu obwisają - tilt-jet wystrzela w powietrze, opuszcza nos i przelatuje ponad lśniącymi mosiądzem wieżami Varanasi. Jakaś stale czuwająca część jego osobowości rejestruje obecność atrakcyjnej kobiety w pobliżu, on jednak cały czas przyciska twarz do szyby: tilt-jet przemyka ponad nadrzecznymi kapliczkami, ghatami, pałacami i haweli, lecąc kursem wzdłuż Bogini Gangi. Śikara świątyni Vishwanath oślepia złotem. W końcu zwraca uwagę na dłoń na swoim udzie, kiedy silniki ustawiają się poziomo, a pilot wchodzi na pułap podróży.

- Sahib, mogę przynieść panu jakąś maść na to czoło - mówi idealna, okrągła twarzyczka, jak księżyc w pełni, tuż przez jego twarz.

- Dziękuję, przeżyję - odpowiada Vishram Ray.

Nadchodzi pierwsza lampka szampana. Przynajmniej Vishram zakłada, że to pierwsza. Dla niego także ostatnia, choć oczekuje się, że będzie nadużywał gościnności. Jest zimny i bardzo bardzo dobry, a Vishram, pijąc w powietrzu, zawsze czuje się jak bóg. W dole ciągną się basti, pstrokate plastikowe dachy, ściśnięte tak ciasno, że wyglądają jak rozłożony na ziemi piknikowy obrus. Tilt-jet leci wzdłuż rzeki aż na skraj przestrzeni powietrznej Patny, gdzie skręca na południe. Vishram powinien zapoznać się z przygotowanymi informacjami, ale Bharat go oszalał. Tytaniczna konurbacja slumsów rozpada się we wzór z pól i wsi, w miarę oddalania się z zasięgu rzeki, zmieniający się nagle z wymęczonej żółcieni w wysuszoną biel. Dwa tysiące lat temu niewiele by się to różniło - a wtedy Vishram Ray byłby naprawdę bogiem lecącym nad świętym Bharatem w bój z rakszasami czarnego południa. Potem jego oczy wychwytyją linię wysokiego napięcia i szereg turbin wiatrowych obracających się leniwie w ciężkim, suchym powietrzu. To turbiny Ray Power. Jego brata. Wpatruje się w żółtą mgiełkę na horyzoncie. Czyżby wyobrażał sobie linię cienia w brunatnym, unoszącym się wysoko w atmosferze smogu, linię zwiastującą nadchodzące chmury? W końcu będzie monsun? Wypalone skały równiny ciemnieją do beżu, do żółtego, w miarę jak teren się unosi, pojawiają się kępy zielonych drzew. Tilt-jet wznosi się skrajem płaskowyżu, potem wlatuje nad wysoki las. Po zachodniej stronie snuje się strużka dymu, zwiewana przez wiatr na północ. Ta zieleń to kłamstwo, las jest suchy jak pieprz, łatwopalny po trzech latach suszy. Vishram kończy szampana - bez gazu i nagrzanego od dłoni - gdy zapala się lampka polecająca zapięcie pasów.

- Zapiąć panu? - mówi hostessa, znów zanadto się przybliżając. Vishram wyobraża sobie tik irytacji na tej pięknej, zrobionej twarzy.

Nie dałem się uwieść. Tilt-jet wchodzi w spiralę przed lądowaniem. Turbiny zmieniają ton, co sygnalizuje, że silniki ustawiają się do lądowania, lecz Vishram, patrząc w dół, nie widzi nic, co przypominałoby lotnisko. Samolot dryfuje nad pokrywą leśną, tak nisko, że gazy odrzutowe zmiatają liście z gałęzi. Potem huk silników wzmagają się maksymalnie i Vishram opada między korony drzew, ptaki rozpierzchają się we wszystkie strony nagłą eksplozją skrzydeł, i tilt-jet z delikatnym podskokiem ląduje. Silniki cichną do jęku. Assamska dziewczyna robi coś z drzwiami. Wlewa się żar. Zaprasza go gestem.

- Panie Ray.

U podstawy schodów stoi stary Radżput z sumiastym siwym wąsem i turbanem zwiniętym tak ciasno, że Vishram czuje współczującą migrenę. Za nim stoi w szeregu kilkunastu mężczyzn w khaki

w kolonialnych kapeluszach przekrzywionych bardzo mocno na bok, trzymających przekrzywione wielkie karabinki szturmowe.

- Panie Ray, witamy bardzo serdecznie w Rezerwacie Tygrysów Palamau - mówi z ukłonem Radźput.

Assamska dziewczyna zostaje w tilt-jecie. Kapelusznicy z karabinkami rozchodzą się we wszystkie strony, gdy Radźput prowadzi Vishrama od samolotu, który wylądował na kolistej polanie gołej ziemi pośród gęstego bambusa i krzaków. Pomiędzy drzewa prowadzi piaszczysta ścieżka. Wzdłuż niej stoi sporo solidnie zbudowanych drewnianych chat.

Vishramowi wydaje się, że jest ich o wiele za dużo. Żadna nie jest dalej niż o dystans panicznego sprintu.

- Po co ich tylu? - pyta.

- Na wypadek ataku tygrysów - odpowiada Radźput.

- Wyobrażam sobie, że po hałasie, jaki zrobiliśmy, lądując, wszystko, co mogłoby nas zjeść, jest wiele kilometrów stąd.

- O nie, sir, zupełnie nie. Nauczyły się kojarzyć odgłos silników.

„Z czym?” - ma ochotę zapytać Vishram, ale nie potrafi się skłonić. Jest chłopakiem z miasta. Chłopak. Z miasta. Słyszycie, ludojady? Po uszy różnych obrzydliwych chemikaliów.

Powietrze jest czyste i pachnie wzrostem, śmiercią i wspomnieniem wody. Kurzem i upałem. Ścieżka zakrzywia się tak, że lądowiska nie widać już po paru krokach. Na tej samej zasadzie do ostatniej chwili nie widać myśliwskiego pawiloniku. W jednej chwili zielono, pełno liści i szeleszczących pędów - w kolejnej pnie zmieniają się w pale, drabiny i schodki, a pomiędzy koronami drzew pojawia się wielki, drewniany myśliwski pawilon, jak galeon uniesiony monsunem i ciśnięty w las.

Biali mężczyźni w wygodnych, a więc kosztownych garniturach opierają się o balustradę balkonu, witając go machaniem rękami i uśmiechami.

- Panie Ray! Prosimy na pokład!

Ustawiają się w szpaler na drewnianym trapie, jakby witali na pokładzie admirała. Clementi, Arthurs, Weitz i Siggurdson. Mają energiczne uściski dłoni, patrzą prosto w oczy i emanują fałszywą serdecznością prosto ze szkół biznesu. Vishram nie wątpi, że przy golfie, czy innej *muy macho* grze symbolizującej władzę, wytarliby nim podłogę i wetknęli kij w dupę. Jego teoria na temat golfa głosi: nie należy uprawiać sportów, które wymagają przebrania się za własnego pradziadka. Rysują mu się pierwsze zaczątki skeczu o golfie. Gdyby tylko nadal prowadził życie, które pozwala mu na wygłaszanie monologów ze sceny.

- Świetne miejsce na lunch, nieprawdaż? - mówi Arthurs, wysoki, o profesorskiej aparycji,

prowadząc Raya drewnianymi galerijkami, pnącymi się spiralnie coraz wyżej i wyżej wśród gałęzi. Mężczyźni z karabinami zadzierają głowy. - Taka szkoda: Bhagwandas mówi, że prawie nie ma szans zobaczyć tygrysa. - Ma nosowy, lekko gęgający bostoński akcent.

Czyli księgowy, wyrokuje Vishram. W Glasgow mówiło się, że zawsze trzeba mieć prawników-katolików i księgowych-protestantów. Przechodzą przez szereg kelnerów w eleganckich piżamach i turbanach prosto z Rudyarda Kiplinga. Rozwierają się dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi rzeźbione w sceny bitewne z *Mahabharaty* i *maïte d'* prowadzi ich na posiłek, do obniżonej jadalni, wyłożonej poduchami, z niskim stołem, która byłaby potwornie kiczowata, gdyby panoramiczne okna pod okapami nie otwierały się na wodopój. Brzeg rzeki jest zdeptany na błoto, Vishramowi wydaje się jednak, że widzi aksisa nerwowo siorbiącego brudną, brunatną wodę, kręcącego uszami w nieustannej czujności, Przypomina sobie Varanasi, jego plugawą wodę i radarowe systemy obronne.

- Proszę siadać, proszę, proszę - nalega Clementi, barczysty, ciemnowłosy facet, żółtawy jak Hindus i już z początkami sinicy na podbródku.

Zachodniacy sadowią się z sapaniem i śmiechem. Nad głowami powiewają wachlarze pankha, mieszając ciepło. Vishram, wygodnie, elegancko, siada na niskiej otomanie. *Maïte d'* przynosi butelkowaną wodę. *Saiganga*. Woda z Gangesu. Vishram Ray unosi szklanę.

- Panowie, oddaję się całkowicie w wasze ręce.

Śmieją się z przesadnym uznaniem.

- Po duszę przyjdziemy później - mówi Weitz: to ten, który ewidentnie nie musiał się za bardzo starać w gimnazjum, liceum, sportowym college'u oraz Szkole Prawa i Biznesu. Vishramowe oko do publiczności wychwytyje także, że Siggurdsonowi, wielkiemu, o trupim wyglądzie, wydało się to nieco mniej zabawne niż reszcie. Znaczy, wierzący. Ten, co trzyma pieniądze.

Lunch podają na trzydziestu maleńkich thali. Wyróżnia się tą nadzwyczajną prostotą, zawsze o wiele droższą niż przepych. Pięciu mężczyzn podaje sobie dania, wymrukuje cichutkie alleluja pochwał na każde subtelne połączenie warzyw i przypraw. Vishram zauważa, że bez nieśmiałości jedzą po hindusku. Własne Marianny Fusco wyćwiczyły ich nawet w tym, której mają używać ręki. Lecz poza peanami na cześć smaku i wzajemnymi zachętami, by spróbować kęs tego i odrobinę tamtego, posiłek przebiega w ciszy. Wreszcie trzydzieści srebrnych thali pustoszeje. Chłopcy oberkelnera zbiegają się jak gołębie, by je uprzątnąć, a mężczyźni rozpierają się na haftowanych poduszkach.

- A więc, panie Ray, nie marnując słów: jesteśmy zainteresowani pana firmą. - Siggurdson mówi powoli, odmierzając akcenty jak tupot bizona, aż się prosi, żeby go niebezpiecznie nie docenić.

- Och, gdyby tylko była całkiem moja - odpowiada Vishram. Żałuje, że nie zajął sam całej jednej strony stołu. Wszystkie twarze zwracają się teraz ku niemu, skupia się na nim mowa ciała wszystkich obecnych.

- Ależ wiemy - odzywa się Weitz.

Wtrąca się Arthurs:

- Ma pan fajną, średniej wielkości firmę wytwarzającą i dystrybuującą energię. Dobra marka, prymitywny, półfeudalny system własności i, aby zmaksymalizować wartość dla udziałowców, właściwie powinien pan dawno temu zdywersyfikować działalność. Ale uznaję fakt: tu u was działa się troszkę inaczej. Nie rozumiem tego, ale macie dużo różnych rzeczy, które, szczerze mówiąc, w ogóle nie mają dla mnie sensu. Pewnie ma pan trochę za dużą kapitalizację i zainwestował o wiele za dużo w kapitał społeczny - pana budżet na badania i rozwój dziwiłby nawet u nas - ale ogólnie kondycja jest całkiem, całkiem. Może nie na skalę globalną, może nie lider sektora, ale dobra pozycja w lidze młodzików.

- Miło mi to słyszeć - odpowiada Vishram; tylko na tyle jadu może sobie pozwolić na tej tekowej arenie, wie bowiem, że chcą go podszczypywać, poszturchiwać, żeby wypsnęła mu się jakaś lekkomyślna uwaga. Spogląda na swoje dłonie. Spokojne na szklance, jak zawsze były spokojne na mikrofonie. Niczym się to nie różni od poskramiania upierdliwej publiczności.

Siggurdson kładzie potężne pięści na stole, pochyla się nad nimi. Teraz chce onieśmielać.

- Wydaje mi się, że pan nie docenia powagi tego, co powiedzieliśmy. Znamy firmę pańskiego ojca lepiej niż on sam. Jego ruch był nagły, ale nie do końca nieprzewidziany: mamy modele. Dobre modele. Prognozują z przyzwoitą dokładnością. Ta rozmowa nastąpiłaby niezależnie od tego, jaką podjąłby w stosunku do pana decyzję. A fakt, że odbywa się tutaj, niech świadczy, jak wiele wiemy nie tylko o Ray Power, ale także o panu.

Clementi wyciąga z kieszeni marynarki szkatułkę z cygarami. Otwiera ją. Piękne, czarne, kubańskie *cigarillos* jak naboje w magazynku. Vishram czuje, jak w śliniankach pulsuje mu pragnienie. Porządne fajki.

- Kto za wami stoi? - pyta z udawaną nonszalancją. Wie, że jest dla nich przejrzysta, jak welon z gazy. - EnGen?

Siggurdson rzuca mu powłóczyście spojrzenie ojca upominającego głupiego syna.

- Panie Ray.

Arthurs zwilża usta językiem, delikatną, różową strzałeczką, jak malutki wąż zaczajony w zakamarkach jego podniebienia.

- Jesteśmy wyspecjalizowanym ramieniem przejściowym dużego międzynarodowego koncernu.

- A czemu ten międzynarodowy koncern tak się międzynarodowo koncentruje na ośrodku badawczym Ray Power? Może chodzi o wyniki naszego laboratorium punktu zerowego? Wyniki, które dają eleganckie, nieduże plusiki tam, gdzie wszyscy inni wracają z wielkimi, czerwonymi minusami?

- Słyszeliśmy takie pogłoski - mówi Weitz.

Vishram decyduje, że to on jest mózgiem całej operacji. Arthurs trzyma kasę, Siggurdson jest baronem, a Clementi od pilnowania.

- To nie pogłoski - odpowiada Vishram. - Ale punkt zerowy nie jest na sprzedaż.

- Wydaje mi się, że pan mnie chyba źle zrozumiał - mówi powoli, z namysłem, Siggurdson. - Nie chcemy wykupywać całej pana firmy. Ale jeśli wasze wyniki dają się powtórzyć i zastosować na skalę komercyjną, jest to bardzo ekscytujący obszar o potencjalnie wysokiej rentowności. Inwestycja właśnie w ten obszar bardzo by nas interesowała. A więc chcemy kupić udziały w pana firmie. Tych pieniędzy wystarczyłoby na zrealizowanie demonstracji, w skali jeden do jednego, technologii gorącego punktu zerowego.

- Czyli nie chcecie mnie wykupić?

- Pan Siggurdson powiedział, że nie - rzuca zapalczywie Clementi. Siggurdson kiwa głową. Uśmiech ma jak zima w Minnesocie.

- Tak, chyba rzeczywiście źle pana zrozumiałem. Panowie, mogę przeprosić na chwilę? Muszę się udać do snangharu.

Zasiadłszy na tronie wśród boazerii z egzotycznego drewna, Vishram nasuwa hoeka na ucho i otwiera palmera. Już ma wywołać Inder, kiedy atakuje paranoja. Garniturowcy mieli dość czasu, by podrzucić do kibli parę pluskiew. Wywołuje pocztową aeai, unosi dłonie, jak pianista, gotowy do pisania w powietrzu. Mogą tu mieć kamerki bindi. Czujniki ruchu, odczytujące zgięcia palców. Nanochipy odczytujące radiowe bulgotanie palmera, sañasynów zaglądających w zakamarki jego duszy. Vishram Ray rozpiera się na wypolerowanym mahoniowym pierścieniu i wysyła zapytanie do Inder. Inder-w-głowie wraca w parę sekund; głowa i ramiona materializują się ponad wieszakiem na papier toaletowy na drzwiach.

Sypie nazwami i koneksjami, które Vishram zna tylko z różowych stron i działu ekonomicznego, przez które kiedyś przeklikiwał się bez patrzenia, zwracając uwagę jedynie na niezamierzenie śmieszne nazwy korporacyjnych stanowisk. Przypomina sobie facetów w khaki z tropikalnymi kapeluszami na bakier i karabinkami szturmowymi. Wiecie co, panowie, stoicie nie tam gdzie trzeba. Tygrysy są tu, na górze.

Pisze: TAKA HIPOTEZA: CZEMU CHCĄ UDZIAŁÓW W MOJEJ FIRMIE?

Następuje pauza, zupełnie niepodobna do aeai. Gdy Inder odzywa się ponownie, Vishram wie, że tym razem to ta z krwi i kości.

- Żeby związać panu ręce niekończącymi się zarzutami o niedopełnienie należytych starań, i w końcu przejąć całkowitą kontrolę nad projektem punktu zerowego.

Vishram prostuje się na ciepłym mahoniowym siedzeniu, całe to drewno wokół i pod spodem wydaje mu się duszne i przytłaczające, trumna zakopana w letniej ziemi. Od teraz już tak będzie cały czas.

- Dziękuję - mówi. Potem myje ręce, aby uprawomocnić alibi i wraca do ludzi przy stoliku.

- Przepraszam, że tak długo, to śmieszne, ale jeszcze nie przyzwyczałem się z powrotem do tutejszego jedzenia. - Siada zręcznie i wygodnie krzyżuje nogi. - W każdym razie, zastanowiłem się nad waszą propozycją...

- Proszę się nie śpieszyć - sugeruje Clementi. - To nie jest decyzja, którą można podjąć w minutę. Proszę zerknąć na naszą ofertę i skontaktować się z nami. - Podsuwa mu po stole plastikową teczkę z błyszczącymi wydrukami. Lecz Weitz siedzi odchyłony w tył, nieobecny, planujący permutacje. On wie, myśli Vishram.

- Dziękuję, ale wydaje mi się, że nie będę już potrzebować więcej czasu, nie chciałbym także marnować waszego. Nie zamierzam przyjąć waszej propozycji. Rozumiem, że chcielibyście usłyszeć parę słów wyjaśnienia: nie będzie miało dla was specjalnego sensu. Główny powód jest taki: mój ojciec nie chciałby, żebym to zrobił. Był równie wyrachowanym biznesmenem jak wy wszyscy i nie bał się pieniędzy, jednak Ray Power jest przede wszystkim firmą indyjską, a ponieważ jest firmą indyjską, posiada system wartości moralnych i etycznych całkiem obcy waszemu zachodniemu sposobowi na biznes. To nie rasizm, ani nic w tym rodzaju, tak się po prostu w Ray Power pracuje, a te dwa systemy są nie do pogodzenia. Drugi powód: nie potrzebujemy waszych pieniędzy. Sam widziałem pole punktu zerowego. - Dotyka palcem skóry łuszczącej się w kąciu oka. - Wiem, że grzecznie staraliście się na to nie patrzeć, ale to właśnie jest zatwierdzająca pieczęć. Bez takiego znaku nie ma autentyku. Widziałem to, panowie. Widziałem inny wszechświat i oparzył mnie jego blask. - Potem nadchodzi ta fala, ta chwila, kiedy się odchodzi od scenariusza. Oszołomiony adrenaliną, Vishram oświadcza: - Bo właściwie, to za dwa tygodnie zamierzamy przeprowadzić publiczny pokaz w skali jeden do jednego. A na marginesie, trzy tygodnie temu rzuciłem palenie.

Potem następuje kawa i bardzo dobry armaniak, trunek, o którym Vishram wie, że już nigdy nie będzie w stanie go pić bez bagażu wspomnień, natomiast rozmowa jest grzeczna, ułudzona i szybko pada ofiarą savoir-vivre'u. Vishram chciałby już stąd zniknąć, znaleźć się z dala od lasu, szkła i polujących zwierząt. Chce być sam na sam w miejscu, gdzie będzie mógł się cieszyć gwałtownym, choć kameralnym ogniem dobrze wykonanego zadania. To jego pierwsza menedżerska decyzja i wie, że właściwa. Potem następują uściski dłoni i pożegnania, jednak kiedy major i jego dżawani eskortują Vishrama do tilt-jeta, wyobraża sobie, że nawet idzie teraz inaczej, a oni wszyscy to widzą, rozumieją i akceptują.

W drodze powrotnej stewardesa nie próbuje się doń przystawiać.

W Ray Tower banda kulisów ładuje firmowe meble na flotyllę ciężarówek do przeprowadzek. Vishram, wciąż rozpalony adrenalinowym hajem, jedzie windą na górę do swojego ekskabinetu. Menedżerska winda niespodziewanie staje na trzecim piętrze, gdzie wsiada drobny, elegancki, ptasi Bengalczyk w czarnym garniturze i uśmiecha się do Vishrama, jakby znał go od urodzenia.

- Jeśli można, panie Ray, powiem, że podjął pan słuszną decyzję - mówi rozpromieniony.

Szklana winda pnie się po zakrzywionym drewnianym klifie Ray Tower. Na horyzoncie wciąż płoną ognie. Niebo ma prześliczny, aksamitno morelowy kolor.

- Ale kim pan, do cholery, jest?

Bengalczyk znów się rozpromienia.

- Zaledwie pokornym sługą. Nazwisko, jeśli pan nalega, brzmi Chakraborty.

- Proszę posłuchać: naprawdę nie jestem w nastroju na jakieś szarady.

- Dobrze, dobrze, już konkrety. Jestem prawnikiem, wynajętym przez pewną firmę, by przekazać panu pewną informację. Informacja brzmi: w pełni popieramy pana decyzję, by jak najszybciej zorganizować pokaz na pełnej mocy.

- A ci „my” to kto?

- Nie tyle „kto”, ile „co”, panie Ray.

Szklana winda pnie się jeszcze wyżej w bursztynowy blask świętego varanaskiego smogu.

- No więc co?

- Odeco, firma, która dokonuje nielicznych, starannie wybranych i bardzo konkretnych inwestycji.

- Wie pan przecież, że właśnie odrzuciłem ofertę firmy, o której przynajmniej słyszałem. Co może mi według pana zaproponować to jakieś Odeco?

- Dokładnie to samo, co pana ojcu,

W tym momencie Vishram żałuje, że ten szklany kokon nie ma fantastycznego guzika stop, obowiązkowego wyposażenia hollywoodzkich wind. Ale nie ma, więc dalej jadą po rzeźbionej fasadzie biurowca.

- Mój ojciec nie oddawał nikomu udziałów w firmie.

- Z całym szacunkiem, panie Ray, ale niezupełnie. Jak pan myśli, skąd miał pieniądze na inwestycję w akcelerator cząstek? Bez wsparcia, budżet projektu punktu zerowego to pewne bankructwo nawet dla Ranjita Raya.

- A ile zgarniecie? - pyta Vishram. Ciepélko Bohatera Publiczności się rozwiało. Gierki wewnątrz gier, poziomy wtajemniczenia i poufności, nazwiska, twarze, maski. Postacie, które mogą ci wejść do windy i opowiadać o twoich ściśle tajnych poczynaniach.

- Tylko sukces, panie Ray, tylko sukces. Powtórzę i zaakcentuję wiadomość od moich pracodawców. Zamierza pan przeprowadzić pełnowymiarową demonstrację energii punktu

zerowego. Odeco to bardzo odpowiada. Odeco chce, żeby pan wiedział, że sukces tego projektu ma jego pełne poparcie. Pod każdym względem, panie Ray. O, to chyba moje piętro. Do widzenia, panie Ray.

Chakraborty wyślizguje się między drzwiami, zanim się do końca otworzą. Vishram wjeżdża piętro wyżej, zanim przychodzi mu do głowy zjechać i zobaczyć, gdzie wysiadł ten dziwny człowieczek. Wygląda w zakręcający korytarz. Nic i nikogo. Niby wszedł do biura, ale równie dobrze mógłby wejść do innego wszechświata, o innym punkcie zerowym. Opadające słońce grzeje windę, on jednak dygocze. Musi gdzieś wyjść dziś wieczorem, znaleźć się gdzieś z daleka od tego wszystkiego, choć na parę godzin. Ale z którą z kobiet się umówić?

ROZDZIAŁ 21 PARVATI

Brzoskwinia leci wysokim, stromym łukiem ponad gzymsem, powoli wirując, ciągnąc za sobą ogon soku broczącego z rozbitej skórki. Spada poza pole widzenia, między budynki, daleko w dół, na ulicę.

- Przeszła przez granicę w powietrzu, czyli to jest...?

- Szóstka! - wykrzykuje Parvati, klaszcząc w dłonie.

Fałda to linia nakreślona ogrodniczą kredą, bramka jest z postawionej na sztorc skrzynki po sadzonkach z odbitymi trzema bokami. Krishan opiera się o swój kij - szpadel.

- Z technicznego punktu widzenia szóstka to słaby strzał - mówi. - Wybijający musi uderzać od dołu, więc nie ma właściwie kontroli nad tym, gdzie polecą piłka. Łapaczom z kolei bardzo łatwo wypatrzeć gdzie leci i złapać ją. Prawdziwy kibic zawsze mocniej oklaskuje czwórkę niż szóstkę. To o wiele bardziej kontrolowana piłka.

- No tak, ale to wygląda o wiele bardziej imponująco - mówi Parvati i podnosi dłonie do ust, żeby stłumić chichot. - Przepraszam, tylko tak przyszło mi do głowy, że ktoś tam sobie stoi... i nic nie zrobił, aż tu nagle jest cały w morelach... i myśli sobie: co się dzieje? Morele lecą z nieba. To na pewno Awadh! Awadhczyzy bombardują nas owocami! - Kuli się od niepowstrzymanego śmiechu.

Krishan nie rozumie żartu, ale czuje, że zaraźliwy śmiech szarpie go za klatkę piersiową.

- Jeszcze jeszcze! - Parvati wyciąga z płachty nową morelę, podkasuje sari, robi krótki rozbieg, rzuca owoc z bocznym zamachem. Krishan ścina go, morela, podskakując, spada ku otworom odpływowym w gzymisie. Sok obryzguje mu twarz.

- Czwórka! - woła Parvati, przyciskając do ramienia cztery palce.

- Właściwie to zero, bo prostowała pani łokieć przy rzucaniu.

- Ale nie wychodzi mi tak znad głowy.

- To nie jest trudne.

Krishan rzuca garść moreli jedną po drugiej, powoli wykonując zamach, przyspieszając przy opuszczaniu ręki, dla przeciwwagi wystawiając drugą. Miękkie owoce wlatują w podskokach pod krzak rododendronu.

- Teraz pani spróbuje.

RzUCA Parvati niedojrzałą morelę. Łapie ją zręcznie, obnażając rękaw coli. Krishan przygląda się grze jej mięśni, gdy usiłuje wykonać rozbieg, wykrok i zamach w swoim niewygodnym, eleganckim stroju. Morela wymyka się jej z palców, spada za plecy. Parvati nachyla się po nią, zaciskając zęby ze złości.

- Nie umiem!

- Już już, pomogę pani.

Słowa rozbrzmiewają, zanim Krishan zdołał je powstrzymać. Kiedyś, jako uczeń, wyczytał w szkolnej sieci, że cała świadomość jest pisana w czasie przeszłym. Skoro tak, to wszystkie decyzje są podejmowane bez udziału sumienia ani winy, a serce mówi prawdziwie, choć nieartykułowanie. Już zdecydował. Staje z tyłu za Parvati. Kładzie jej dłoń na ramieniu. Drugą ujmuje za nadgarstek. Ona wstrzymuje oddech, ale palce nadal zaciska na moreli.

Krishan przesuwa jej ramię do tyłu, do dołu, obraca wnętrzem dłoni do góry. Prowadzi ją do przodu, jeszcze do przodu, cisnąc w dół lewy bark, unosząc prawą rękę.

- Teraz obrót na lewej stopie. - Zawisają chwiejnie w swoim tańcu, potem Krishan przesuwa jej nadgarstek w zenit. - I puszczaamy! - komenderuje.

Nadpęknięta morela wylatuje jej z palców, spada na deski, rozpryskuje się.

- Całkiem szybki serw - mówi Krishan. - Teraz proszę spróbować przeciwko mnie.

Zajmuje pozycję przy fałdzie, zamierza się kijem-szpadlem, wyświadczać Parvati wszelkie sportowe uprzejmości. Ona zaś cofa się za kredową linię, poprawia ubranie, wykonuje rozbieg. Wychyla się do przodu, wypuszcza owoc. Uderza w szparę między deskami, odbija się chybotliwie, wirując. Krishan wyskakuje w przód ze szpadlem, morela muska jego górną krawędź, przeskakuje nad nią i rozchlapuje się w bramce. Tandetna skrzyneczka się przewraca. Krishan wtyka sobie szpadel pod pachę i kłania się.

- Pani Nandha, ograła mnie pani na czysto.

Nazajutrz Parvati zapoznaje Krishana ze swoimi przyjaciółmi: Prekashami, Ranjanami, Kumarami i Malikami. Rozkłada kolorowe magazyny jak dhuri na ciepłych od słońca deskach. Tego ranka powietrze jest ciężkie i nieruchome jak lany metal, warstwą wysokiego ciśnienia nie dopuszcza z dołu ulicznego hałasu i spalin. Wczoraj wieczorem Parvati i jej mąż kłócili się. Kłócili się w zwykły sposób: on rzucał oświadczenia i potem bronił ich wyniosłym milczeniem, zbywając jej uwagi pogardliwymi spojrzeniami. Kłótnia była o to co zawsze: jego zmęczenie, jej nuda; jego dystans, jej potrzeba towarzystwa, jego coraz większy chłód, jej tykający w jajnikach zegar.

Otwiera plotkarskie magazyny na pełnokolorowych rozkładówkach. Idealni narzeczeni; wesela na wysoki połysk; rozkładówkowe rozwody. Krishan siada w pozycji krawca, ściskając dłońmi palce nóg.

- To jest Sonia Shetty, gra Ashu Kumar. Była żoną Lala Darfana - naprawdę, nie w *Mieście i wsi* - ale na wiosnę się rozwiedli. Byłam tym bardzo zaskoczona, wszyscy myśleli, że będą ze sobą na zawsze, ale ją widywano z Ronim Jhutti. Była na premierze *Prem Das*, w pięknej srebrnej sukni, więc to chyba tylko kwestia czasu, kiedy obwieszczą to publicznie. Jasne, Lal Darfan wygadywał o niej różne rzeczy, że fleja, i że to hańba. Czy to nie dziwne, że aktorzy mogą być zupełnie różni od swoich postaci w *Mieście i wsi*? To trochę zmieniło moje zdanie o doktorze Prekashu.

Krishan przewraca grube, lśniące kartki, pachnące petrochemią.

- Ale oni też nie są prawdziwi - mówi. - Ta kobieta za nikogo naprawdę nie wyszła, nie była na premierze z żadnym aktorem. To po prostu program, który myśli, że jest innym programem.

- No wiem przecież. Nikt nie myśli, że to prawdziwi ludzie. W sławie zresztą nie chodzi o prawdziwość. Ale fajnie jest poudawać. To tak, jakby *Miasto i wieś* miało na wierzchu jeszcze jeden wątek, ale o wiele bardziej podobny do tego, jak my żyjemy.

Krishan kołysze się delikatnie.

- Proszę wybaczyć, ale czy bardzo tęskni pani za rodziną?

Parvati unosi wzrok znad wylizanych rozkładówek.

- Czemu pytasz?

- Bo dziwi mnie to, że traktuje pani nieprawdziwych ludzi jak rodzinę. Przejmuje się pani ich związkami, kłopotami i sukcesami, życiem, jeśli w ogóle można tak to nazwać.

Parvati naciąga dupattę na głowę, chroniąc się przed wysoko stojącym słońcem.

- Myślę o mojej rodzinie codziennie. O matce. Nie, nie chciałabym tam wrócić, ani na chwilę, ale myślałam, że w stolicy, gdzie jest tyle ludzi, gdzie tyle się dzieje, będę miała sto światów do wyboru. Tylko że tutaj jest jeszcze łatwiej być niewidzialnym niż w Kothkai. Tu mogłabym całkiem zniknąć.

- A gdzie to jest, Kothkai? - pyta Krishan.

Ponad nim smugi samolotów łączą się i płaczą, jeden szpiegowski, drugi zabójca, polują na siebie nawzajem dziesięć kilometrów nad Varanasi.

- W okręgu Kishanganj, w Biharze. Właśnie uświadomiłeś mi dziwną rzecz. Codziennie piszę do matki, ona pisze o swoim zdrowiu i jak się mają Rohini, Sushil i chłopcy i wszyscy ludzie, których znam z Kothkai, ale o samym Kothkai nigdy nic nie mówi.

Opowiada mu zatem o Kothkai, opowiadając, mówi to sama sobie. Potrafi wrócić do gromadek domów ze spękanej, suszonej na słońcu cegły; może ponownie przejść się lekko spadzistą główną ulicą, między sklepami i blaszanymi wiatami chroniącymi warsztaty kamieniarskie. To był świat

mężczyzn, picia herbaty, słuchania radia i politycznych kłótni. Świat kobiet był na polu, przy pompach i cysternach, gdyż woda była żywiołem kobiet, i w szkole, gdzie nowa nauczycielka, pani Jaitly z miasta, prowadziła wieczorowe kursy, grupy dyskusyjne oraz spółdzielnię mikrokredytową założoną za kapitał załączkowy. Potem się zmieniło. Przyjechały ciężarówki z Ray Power i wysypały ludzi, którzy założyli namiotowe miasteczko, tak że przez miesiąc obok siebie stały dwa Kothkai. Budowali turbiny wiatrowe, panele słoneczne, generatory na biomasę i stopniowo opletli wszystkie domy, sklepy i świątynie obwisłymi kablami. Sukrit, sprzedawca baterii, przeklął ich za to, że rozłożyli przyzwoitemu człowiekowi interes, a jego córkę popchnęli do prostytutki.

- Teraz jesteśmy częścią świata - powiedziała swojej wieczornej grupie kobiet pani Jaitly - Nasza sieć kabli łączy nas z inną siecią, tamta łączy się z jeszcze większą, a tamta z siecią oplatającą cały świat.

Ale stare Indie już umierały. Sen Nehru rozłaził się w szwach pod ciśnieniem etnicznych i kulturalnych podziałów oraz środowiska uginającego się pod ciężarem półtora miliarda ludzi. Kothkai cieszyło się, że przez zacofanie i położenie na uboczu znajduje się z dala od wyznawanej przez Diljita Ranę osobliwej mieszanki hinduizmu i wizjonerstwa. Ale mężczyźni pod dhabą już gadali, głośno odczytując artykuły z popołudniówek o Narodowych Armjach, zbrojnych bojówkach i błyskawicznych szturmach mających opanować i utrzymać garstkę biednych, piaszczystych wiosek, jak Kothkai, w ramach terytorialnego rozdrapywania. *Dźai Bharat!* Pierwsi poszli młodzi mężczyźni. Parvati widziała, że ojciec przygląda się, jak odjeżdżają. S.J. Sadurbhai nigdy nie wybaczył żonie, że obdarzyła go samymi córkami. Codziennie zazdrościł klasie średniej, że stać ją na wybieranie sobie płci dzieci. Budowali tu silne państwo, nie słabe, babskie, jak skłócone na śmierć dawne Indie. Rodzina Sadurbhaiów poczuła niemal ulgę, gdy obwieścił, że razem ze swoim praktykantem Gurpalem z warsztatu jadą na wojnę. Na porządną wojnę. Męską wojnę. Odjechali. Zostali jedynymi ofiarami wojny w całym Kothai, zabici podczas jazdy ciężarówką przez szturmowy helikopter aeai, który nie umiał odróżnić: swój czy obcy. Męska wojna, męska śmierć.

Trzy tygodnie później narodziło się państwo, a miejsce wojny zajął serial. W miesiąc od proklamacji nowego Bharatu, kolejni ludzie przywieźli jeszcze więcej kabli, teraz światłowodowych, a nimi przysły informacje, gupśap i serial. Nauczycielka Jaitly ostro protestowała przeciwko *Miastu i wsi* jako zamulającej mózgi propagandzie, nadawanej przez państwo, by stłumić prawdziwą polityczną debatę, jednak frekwencja na jej zajęciach malała z tygodnia na tydzień, kobieta za kobietą, aż wreszcie musiała wrócić do miasta, zwyciężona przez sprawy Prekashów i Ranjanów. Teraz wieś spotykała się przed państwowym panoramicznym telewizorem. Parvati stawała się kobietą w świetle *Miasta i wsi*. Z niego nauczyła się wszystkiego, czego potrzeba, by być idealną żoną. Po sześciu miesiącach była w Varanasi, nabierając ostatecznego towarzyskiego poloru, który pozwoli jej brylować na najlepszych imprezach i durbarach w mieście. Pół roku później, na weselu jakiegoś kuzyna kuzynki, usłyszała szept swojego dziesiątego kuzyna po kisielu, Deeptiego, spojrzała, gdzie jej sugerował, na drugą stronę oświetlonego lampionami ogrodu, przez świetlistą markizę, na chudego, uczenie wyglądającego mężczyznę, który ukradkiem na nią zerkał. Pamięta, że drzewo, pod którym stał, było obwieszane świeczkami w wiklinowych klateczkach dla ptaków. Wyobraziła go sobie w aureoli z gwiazd.

Kolejne sześć miesięcy i wszystko było załatwione, posag wpłynął na konto matki Parvati w

banku grameen, zamówiona taksówka zawiozła jej nieliczne bagaże do nowego apartamentu na ostatnim piętrze w samym sercu Varanasi. Tylko że w wyłożonych cedrem szafach te rzeczy wyglądały jak nieszczęście, a apartament może i był luksusowy, ale teraz wszyscy wyprowadzali się z brudnego, zatłoczonego i hałaśliwego Kashi do zielonego, spokojnego Cantonmentu, a chudy człowiek o wyglądzie naukowca okazał się tylko policjantem. Jednakże wystarczyło jedno słowo albo skinienie ręki i pojawiali się Prekashowie i Ranjanowie, na każde zawołanie, równie chętnie w Varanasi, jak w Kothkai. Nie znali snobizmu, nie zważali na kasty, a ich wyskoki i skandale zawsze były ciekawe.

W czwartek Krishan pracuje na dachu do późna. Trzeba dokończyć wiele palących spraw; podciągnąć prąd do irygacji kropelkowej, wyfugować szczeliny między okrągłymi kamieniami na ścieżce, poskręcać wsporniki do bambusowych parawanów wokół medytacyjnego stawku. Powtarza sobie, że dopóki nie skończy tych kłopotliwych drobiazgów, nie będzie mógł zabrać się za kolejne rzeczy, naprawdę jednak ma ochotę znowu zobaczyć pana Nandhę, tego Psa Kryszny. Wie z gazet i gadki w radiu, co oni robią, ale nie rozumie, dlaczego to, na co polują, jest tak przerażająco niebezpieczne. Pracuje więc, aż słońce zmienia się w krwawą kulę na zachodzie, za wieżowcami dzielnicy finansowej, dokręcając śruby i czyszcząc narzędzia, aż usłyszy zamykające się piętro niżej drzwi i głos Parvati wychodzący na spotkanie głębszym, nieartykułowanym męskim pomrukiem. Z każdym krokiem po schodach w dół słyszy coraz wyraźniej. Ona go błaga, prosi, żeby ją gdzieś zabrał. Chce gdzieś pójść, wydostać się z tego podniebnego mieszkania. Jego głos jest zmęczony, płaski, Krishan wie, że na nic się nie zgodzi. Stawia torbę i czeka przy drzwiach. Mówi sobie, że nie podsłuchuje. Drzwi są cienkie, a słowa i tak doskonale słychać. Policjant traci cierpliwość. Głos mu twardnieje, jak rodzicowi znużonemu marudnym dzieckiem. Wtem Krishan słyszy gniewne warknięcie, zgrzyt odsuwanej od stołu krzesła. Chwyta torbę, schodzi w dół głównych schodów. Pan Nandha, z twarzą zaciętą, jak wyrzeźbioną, przechodzi obok schodów ku drzwiom wejściowym. Mija Krishana, jakby był jaszczurką na ścianie. Parvati wychodzi z kuchni. Ona i pan Nandha patrzą na siebie z dwóch przeciwnych końców hallu. Krishan, niewidzialny, jest uwięziony między ich głosami.

- No to idź! - krzyczy ona. - Skoro to takie ważne.

- Tak - odpowiada pan Nandha. - To bardzo ważne. Ale nie będę zanudzał cię sprawami bezpieczeństwa narodowego. Otwiera drzwi na klatkę z windami.

- Będę sama, ciągle jestem sama! - Parvati opiera się o chromowaną balustradę, lecz drzwi już się zamknęły, mąż poszedł nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem. Teraz dostrzega Krishana.

- Ty też idziesz?

- Powiniennem.

- Nie zostawiaj mnie. Ciągle jestem sama, nie cierpię sama siedzieć.

- Naprawdę powiniennem już iść.

- Jestem sama.

- Ma pani swoje *Miasto i wieś* - ryzykuje Krishan.

- To tylko durny serial! - krzyczy Parvati. - Durny program telewizyjny. Naprawdę myślisz, że w to wierzę? Myślisz, że jestem jakąś wiejską głupią babą, która nie odróżnia telewizji od życia? - Przelyka złość. Tresura kobiet z Kothkai bierze górę. - Przepraszam, że to powiedziałam. To nie do ciebie powinnam się z tym zwracać. Nie powinieneś słyszeć takich rzeczy.

- Nie, to mnie jest przykro - mówi Krishan. - On nie powinien się do pani odzywać jak do dziecka.

- To mój mąż.

- Proszę wybaczyć, to niestosowne, co powiedziałem. Muszę iść. Tak będzie najlepiej.

- Tak - szepcze Parvati. Oświetla ją obniżające się słońce, prześwietlające okna apartamentu, barwi jej skórę na złoto. - Tak będzie najlepiej.

Złoty blask jest jak bursztyn, w którym zatrzymuje się ta chwila. Krishanowi jest aż niedobrze z napięcia. Przyszłość balansuje na ostrzu igły. Ich upadek może go zmiażdżyć, zmiażdżyć ją, zniszczyć ich wszystkich w tym apartamencie. Unosi torbę. Jego zaś unosi pobudzenie.

- Jutro - mówi rozdygotanym głosem. - Jutro na stadionie doktora Sampurnananda będzie mecz krykieta. Anglia-Bharat, trzeci mecz testowy. I pewnie ostatni, bo Anglia zaraz odwoła swoją drużynę do kraju. Może pani mogłaby... może ewentualnie... mogłabyś pójść?

- Z tobą?

Serce Krishana wali, potem dochodzi świadomość.

- Nie, oczywiście że nie, nie mogłabyś się pokazać publicznie z...

- Ale bardzo chciałabym obejrzeć mecz testowy, szczególnie że z Anglią. Wiem! Damy z Cantonmentu się wybierają. Będziemy w innych sektorach, rozumiesz. Ale będziemy razem, wspólnie. Wirtualna randka, jak mówią Amerykanie. Tak, jutro tam pójde i pokażę tym damulkom z Klubu, że w kwestii krykieta nie jestem wiejską ignorantką.

Słońce opadło, Parvati nie ma już złotej cery, bursztyn popękał, ale serce Krishana rozjaśnia światło.

- Tak zrobimy - odpowiada. - Jutro, mecz testowy. - Po czym chwyta torbę i winda porywa go w wieczny uliczny korek.

Stadion im. Doktora Sampurnananda to biała betonowa misa, gotująca się wolno pod beżowym

niebem, pełna żaru i oczekiwania okalającego dysk świeżej, nawodnionej trawy, utrzymywanej w specjalnym mikroklimacie. Varanasi nigdy nie było liczącym się ośrodkiem krykieta, jak Kolkata, Chennai, Hyderabad czy nawet pobliska i niedawno rywalizująca o stołeczność Patna. Stadion Doktora niedawno jeszcze był wyboistym, wypalonym boiskiem ze zwiędłą trawą, na fałdzie którego nie ryzykowałby rzutu żaden liczący się międzynarodowy serwujący, której nie zechciałby bronić żaden wybijający. A potem nadszedł Bharat i ta sama odmieniająca wszystko ręka Ranów, która zmieniła Sarnath w bastion śmiałej architektury i nowoczesnej technologii, przeobraziła dawne boisko Sanskrit University w stadion na sto tysięcy miejsc. Typowa chybiona państwowa inwestycja - nigdy nie zapełnił się nawet do połowy, nawet na trzecim meczu testowym w roku 2038, kiedy Bharat rozgromił kulejącą Australię i wygrał puchar, po raz pierwszy i ostatni. Dzisiaj jego pole klimatyczne utrzymuje soczewkę chłodnego powietrza w rozgrzanym czterdziestostopniowym otoczeniu, mimo to biali ludzie na murawie ciągle potrzebują rzucanych na boisko plastikowych worków z wodą. Bharat ma 55 w 3, lunch spóźnia się o godzinę, a wysoko nad stadionem uganiają się bharackie i awadhskie aeailoty. Chwilowo akcja w stratosferze jest ciekawsza niż na boisku, przynajmniej dla kibicujących kobiet w ocienionym markizą Sektorze 17. Sektor należy do męża pani Sharma, właściciela firmy developerskiej w Sarnath, który kupił go, by odliczyć sobie od podatku w ramach wydatków reprezentacyjnych i przyjmuje w nim znajomych, gości oraz klientów. W tym sezonie jest to liczące się miejsce spotkań dam z towarzystwa. Są piękną plamą koloru, jak skrzynka z kwiatami na ścianie kamienicy. Mrużą oczy za ciemnymi okularami zachodnich marek, obserwując przeplatające się helisy smug kondensacyjnych. Odkąd dzielni dżawani Bharatu podczas śmiałego nocnego wypadu z Allahabadu zajęli tamę Kunda Khadar, wszystko się zmieniło. Pani Thakkur wyrokuje, że samoloty wypatrują awadhskiego ataku.

- Na Varanasi?

Pani Sharma jest oburzona. Pani Chopra sądzi, że to byłoby typowe dla Awadhu, mściwego, podstępного narodu. Dżawani tak łatwo opanowali Kunda Khadar, bo wojska Awadhu już idą na stolicę. Pani Sood zastanawia się, czy rozsiewają epidemie.

- No wiecie, tak jak się opryskuje pola. - Jej mąż jest menedżerem średniego szczebla w wielkiej firmie biotechnologicznej, organizuje lotnicze opryski upraw monokulturowych wielkości całych okręgów. Wszystkie panie liczą, że Ministerstwo Zdrowia uprzedzi je na tyle wcześniej, by mogły przeprowadzić się do swoich letnich bungalowów na wzgórzach, zanim ruszy fala uchodźców.

- Chyba mogę się spodziewać, że ważniejsze warstwy społeczne zostaną poinformowane pierwsze - mówi pani Laxman. Jej mąż jest wysokim cywilnym urzędnikiem. Ale pani Chopra słyszała jeszcze jedną plotkę, że ta głupkowata góra lodowa Bengalczyków faktycznie zaczyna działać i wiatry się zmieniają, naprostowując kierunek monsunu. Dziś rano, pijąc herbatę na werandzie, była pewna, że po południowo-wschodniej stronie widzi na horyzoncie linię cienia.

- W takim razie nikt nie będzie musiał nikogo atakować - oświadcza pani Laxman, lecz begum Khan, żona prywatnego sekretarza Sajidy Rany, znająca poglądy Bharackiej Sabha, krzywi się pogardliwie.

- Jeśli cokolwiek, to wojna jest jeszcze bardziej prawdopodobna. Nawet gdyby monsun zaczął się jutro, poziom wody w Gangesie nie podniesie się jeszcze przez tydzień. I myślicie, że Awadh da

nam coś z tego zobaczyć? Są równie spragnieni, jak my. Nie, mówię wam: módlmy się, żeby nie padało, bo jak tylko spadnie pierwsza kropla, Delhi zechce swoją tamę z powrotem. Oczywiście to wszystko pod warunkiem, że ta absurdałna bengalska góra lodowa okaże się czymś więcej niż tylko pseudonaukowym molochem, bo szczerze mówiąc, nie wydaje mi się.

Begum Khan ma opinię twardej, zadufanej w sobie kobiety: za dużo wykształcenia, a za mało kultury. Typowe dla muzułmanów - ale to nie jest coś, o czym wspominałoby się w towarzystwie. Jednakże mężczyźni słuchają jej głosu, jej artykułów, audycji w radiu i wypowiedzi. A o jej drobnym, cichym, zabieganym mężu krążą dziwne plotki.

- Wygląda na to, że jakkolwiek się kręcić, tama z tyłu. - Pani Sharma popisuje się angielską grą słów. Damy uśmiechają się, stadion przebiega szmer oklasków, gdy Bharat trafia w linię. Ten krykiet to sport pełen delikatnych, dalekich odgłosów; stłumionych oklasków, uderzeń piłki w kij, ściszonych głosów. Sędzia opuszcza palec, na tablicy ukazuje się wynik, smugi kondensacyjne rozwiewają się strzępiasto od wiejącego wysoko wiatru. Monsunowego wiatru. Nieśmiała pani Sood zastanawia się, kto wygrał.

- No, oczywiście nasi - odpowiada pani Chopra, Parvati widzi jednak, że begum Khan nie jest taka pewna.

Parvati Nandha osłania się przed słońcem wystającym spod markizy parasolem. Ocienia jej także palmera, na którym rozbłyskują wyniki i statystyki meczu testowego, przesyłane po przekątnej nad boiskiem, nad sędziami, polem zewnętrznym i wewnętrznym, bramkarzem, odbijającym i serwującym, od Krishana, stojącego na wprost linii autu, w sektorze z biletami na jeden dzień.

Angielski serwujący przygotowuje się do rzutu. TREVELYAN, mówi palmer. SOMERSET. SZYBKI. 100 WYSTĘP W BARWACH ANGLII. W DRUGIM MECZU TESTOWYM ZE SRI LANKĄ W COLOMBO, SEZON 2046, ZDOBYŁ 6 CZYSTYCH BRAMEK.

Wybijający robi krok w przód, wyciągając przed siebie kij jak wąską tarczę. Odbija nisko, jego przeciwnik przy bramce się spina. Nie. Piłka pada i toczy się odrobinę, aż zgarnie ją gracz z pola (POZYCJA SQUARE SHORT LEG, mówi palmer), rozejrzy się i nie widząc nikogo do spunktowania, ciśnie ją łobem do rzucającego.

OSTATNIA PIŁKA W OVERZE, wyjaśnia Krishan.

- Trafiło prosto na „square short leg” - odzywa się Parvati. Damy, lekko poruszone, przerywają rozmowę o sprawach państwowych. Parvati znów czuje, że nie nadąza, jak gracz z głębi pola bezradnie patrzący na piłkę turlającą się ku linii autu. Tak się starała, nauczyła się tego języka i reguł, a one i tak są daleko przed nią; wojna, strategia rządu, Ranowie, międzynarodowa polityka energetyczna. Brnie dalej: - Następny broni Husainy, zgarnie szybki rzut Trevelyana, jakby podano mu go na thali.

Jej słowa liczą się mniej niż wyparowujące z żółtego nieba nad stadionem smugi kondensacyjne. Parvati podkręca zoom na palmerze, przeszukuje twarze ustawione wzdłuż skraju murawy. Wpisuje: GDZIE JESTEŚ? Odpowiedź: NA PRAWO OD EKRAŃÓW. TYCH WIELKICH

BIĄŁYCH. Przesuwa obiektywem po brązowych, spoconych twarzach. Jest. Macha delikatnie, żeby nie rozpraszać graczy. To nie byłoby po krykietowemu.

Widzi go. A on jej nie. Delikatne rysy, naturalnie blada skóra ogorzała od pracy na słońcu na dachu Diljit Rana Apartments. Gładko ogolony - dopiero w kontraście z dżunglą wąsów wokoło uświadamia sobie, że to zawsze było dla niej ważne u mężczyzn. Nandha też się goli. Włosy, lekko natłuszczone, wymykają się ze swojej chemicznej uwięzi, rozsypują na czoło. Zęby, gdy krzyczy, uradowany jakąś męską atrakcją wynikłą z reguł, ładne, równe i kompletne. Koszula czysta, biała i świeża, spodnie - zauważa, gdy wstaje, by nagrodzić owacją dwa dobre biegi, proste i odprasowane. Pierwsza nauka, jaką wyniosła od kobiet z Kothkai: mężczyźni są najpiękniejsi i najprawdziwsi, kiedy nie są świadomi, że ktoś na nich patrzy.

Uderzenie kija. Tłum zrywa się na nogi. Aut. Terkoce tablica z wynikami. Begum Khan mówi teraz, że Ranowie zrobili z N.K. Jivanjeego durnia, bo jego głupia ratha jatra na wieść o inwazji Awadhu uciekła do Allahabadu szybciej niż Rawana na Sri Lankę.

PATRZĘ NA CIEBIE, szepce palmer. Ekran wyświetla uśmiechniętą twarz Krishana. Parvati przechyla parasolkę w dyskretnym pozdrowieniu. Kobiety za nią zaczęły teraz obrabiać przyjęcie u Dawarów i powody, dla których Shaheen Badoor Khan nie został na koncercie. Begum Khan zapewnia, że jest bardzo zajęty, a już szczególnie teraz, gdy Bharat jest w potrzebie. Parvati wyczuwa ich czepliwy ton. Odwraca się ku graczom: teraz, gdy Krishan otworzył przed nią sekrety krykieta, dostrzega, że jest w nim sporo subtelności i inteligencji. Mecz Testowy nie tak znowu się różni od *Miasta i wsi*.

JARDINE NA MAZUMDARA, śle Krishan. Jardine leniwie odchodzi od fałdy, przyglądając się piłce, polerując ją kciukiem. Ustawia się. Gracze z pola sprężają się na swoich dziwnie ponazywanych pozycjach.

Mazumdar z dwiema tygrysimi pręgami przeciwodblaskowego kremu pod oczyma przygotowuje się do odebrania rzutu. Jardine rzuca. Piłka odbija się, trafia w wydeptany skrawek murawy, leci wysoko, pięknie. Wszyscy na stadionie Sampurnananda widzą, jak wysoko i jak pięknie; widzą, jak Mazumdar taksuje ją wzrokiem, waży, zmienia postawę, zamierza się kijem, wchodzi pod piłkę i posyła ją z wielką siłą w żółte niebo. Fantastyczne uderzenie, odważne, przepiękne. Tłum ryczy. Szóstka! Szóstka! Na sto procent. Wszyscy bogowie chcą tego. Gracze z pola biegną, wbijając wzrok w niebo. Nikt nigdy tego nie złapie. Piłka leci wysoko, daleko, poza stadion.

„Patrz na piłkę”, powtarzał Krishan Parvati, gdy grali na szpadle i brzoskwinie w ogrodzie na dachu. Parvati Nandha wbija więc wzrok w piłkę, która osiąga szczyt łuku, grawitacja wygrywa z prędkością i zaczyna spadać, w tłum, jak czerwona bindi, czerwone oko, czerwone słońce. Atak z powietrza. Pocisk Krishana, celujący w serce. Piłka spada, widzowie podrywają się, ale żaden tak szybko, jak Parvati. Zrywa się, piłka wpada w jej wyciągniętą prawą dłoń. Piszczy, bo ją zapiekło, potem, pijana chwilą, wrzeszczy:

- Dżai Bharat! - Tłum wiwatuje, izolując ją zgiełkiem. - Dżai Bharat!

Hałas się wzmacnia. A potem, dokładnie tak, jak pokazywał jej Krishan, podwija sari i rzuca

piłkę przez linię. Anglik z pola łapie ją, dziękuje kiwnięciem głowy i podaje do rzucającego. Ale jest sześć, wspaniałe sześć dla Mazumdara i Bharatu. Nie spuściłam piłki z oka. Nie usztywniłam ręki, poruszałam się razem z nią. Odwraca się, by pokazać damom, jak jest dumna ze swojego osiągnięcia i widzi ich zeszywniałe z pogardy twarze.

Parvati pozwala sobie zatrzymać się dopiero daleko od stadionu, jednak nawet tam jeszcze słyszy te szepty i czuje na twarzy palący wstyd. Głupia dziewczka ze wsi, rozentuzjasmowana jak motłoch, wstaje i robi z siebie widowisko, jak ktoś kompletnie pozbawiony manier, ktoś zupełnie bez klasy. No to im pokazała. Patrzcie na tę damę z Cantonmentu, co rzuca piłkę jak facet! Dżai Bharat!

Palmer cały czas wibrował, wiadomości szły jedna za drugą. Nie chce ich widzieć. Nie chce nawet się oglądać, boi się, że popędził za nią. Idzie przez wypiełgnowany teren do ulicy. Taksówki. Na pewno się znajdą, muszą tu stać w dzień meczu. Parvati staje na popękany krawężniku, unosząc parasolkę, przed nią prześlizgują się fatfaty i miejskie taksówki. Gdzie jedziecie, kogo wieziecie o tej porze? Nie widzicie, że dama was potrzebuje?

Dama. Chciałaby. Dama. Pomarzyć. Dama. Nigdy w życiu. Motorowerowa riksza podjeżdża do krawężnika. Prowadzi ją młodziak o wystających zębach, z pasemkiem puchu zamiast wąsów. - Parvati! - woła ktoś.

To gorsze niż śmierć. Siada z tyłu, kierowca przyspiesza, mijając zdumioną, wytrzeszczoną postać w czarnych spodniach z kantem i nieskazitelnie odprasowanej śnieżnobiałej koszuli. Wróciwszy do pustego mieszkania, rozdygotana ze wstydu, pragnąca umrzeć, Parvati zastaje otwarte drzwi, a w kuchni biwakującą wśród bagaży własną matkę.

ROZDZIAŁ 22 SHAHEEN BADOOR KHAN

Tama jest długą, niską krzywą spiętrzonej buldożerami ziemi, gigantyczną jak horyzont, jeden koniec niewidoczny z drugiego, zakotwiczoną w łagodnym obrysie doliny Gangesu. Bharacki wojskowy tilt-jet nadlatuje nad Kunda Khadar ze wschodu. Przelatuje nisko nad machającymi dżawanami, zakręca nad zalewem. Helikopterki aeai kłębią się tak blisko, że Shaheen Badoor Khan odczuwa dyskomfort. Latają jak ptaki, ważą się na manewry, jakich nie podjąłby się żaden pilot-człowiek, kierują się instynktem, są jednością ze swymi pojazdami. Tilt-jet przechyla się, aeailoty otaczają go osłoną, Shaheen Badoor Khan nagle patrzy w szeroką, płytką nieckę pełną zabarwionej algami wody, daleko, gdzie ledwo sięga oko, obrzeżoną brudnym piaskiem i żwirem, białym i toksycznym jak sól. Muliste bajoro, z którego nie napiłaby się nawet krowa. Po drugiej stronie przejścia Sajida Rana kręci głową i szepcze:

- Wspaniałe.

Gdyby tylko mnie usłuchali, gdyby nie rzucili tu tych żołnierzy z głowami pełnymi „Dżai Bharat”, myśli Shaheen Badoor Khan. „Ludzie chcą wojny”, powiedziała Sajida Rana na posiedzeniu gabinetu. No to będą ją mieli, za chwilę.

Premierowski samolot ląduje na pospiesznie oczyszczonym polu na skraju wioski leżącej dziesięć kilometrów od bharackiej strony tamy. Aeailoty roją się nad nim, jak kanie czarne nad Wieżą Milczenia. Tu rozłożyła się kwatera główna okupującej dywizji. Jednostki zmechanizowane okopują się na wschodzie, roboty obsiewają pole minowe. Shaheen Badoor Khan w swoim miejskim garniturze mruży oczy za markowymi okularami przed ostrym światłem i zauważa wieśniaków stojących na skraju swoich zarekwirowanych i zniszczonych pól. Sajida Rana, w uszytym na miarę mundurze polowym już idzie zdecydowanym krokiem ku szeregowi oficerów, strażników oraz V.S. Chowdhury'emu. Chce być dziewczyną numer jeden do wieszania na ścianach koszar - Mamą Bharat, zaraz obok Niny Chandry. Oficerowie wykonują namaste i eskortują panią premier i jej głównego doradcę przez suchą ziemię do hummerów. Sajida Rana idzie zamasyście, minister Chowdhury drobi obok, usiłując udzielić jej informacji. Mały, ujadający kundelek, myśli Shaheen Badoor Khan. Wspinając się do pasażerskiego przedziału hummera, gorącego jak łaźnia, zerka w tył na tilt-jeta, który przysiadł na kołach i silnikach, jakby się obawiał zabrudzić. Pilot, zasłonięty czarną szybką hełmu, jest kleszczem wbitym w głowę samolotu. Długa lufa automatycznego działka pod wypchanym czujnikami nosem przypomina aparat gębowy jakiegoś owada żywiącego się sokami wysysanymi z innych. Filigranowy zabójca.

Shaheen Badoor Khan widzi bananowy klub, ślepy uśmiech staruszki rozpoznającej swoich gości po feromonach, mroczne wnęki, w których mieszają się głosy, śmiechy, zrelaksowane ciała. Obcą, przepiękną istotę, wypływającą z mroku, dhol wybijający rytm jak dla tancerki nauc.

Hummer śmierdzi sosnowym odświeżaczem powietrza. Shaheen Badoor Khan przytomnieje,

mrużąc oczy na odbłaski słońca od betonowej nawierzchni. Jadą drogą wiodącą na wierzch tamy. W powietrzu wisi odór martwej ziemi i zastalej wody. Już chyba lepsza jest ta sosna. Cieniutki strumyczek szczyń spływa korytem przelewu. Oto Matka Ganga.

Dżawani pospiesznie ustawiają się w poczet honorowy. Shaheen Badoor Khan dostrzega roboty przeciwlotnicze i nerwowe spojrzenia niższych oficerów. Dziesięć godzin temu była tu Republika Awadhu - żołnierze na identycznym kameleonowym kamuflażu nosili potrójne, zielono-biało-pomarańczowe znaki jin-jang. Bez problemu sięgnie tu moździerz z wiosek-widm odsłoniętych w całej swojej architektonicznej nagości przez niski poziom wody. Albo nawet działający w pojedynkę snajper.

Sajida Rana kroczy dalej, stukając ręcznie sztytami butami po nawierzchni. Wojsko ustawiło się przed podwyższeniem. Ktoś testuje megafon serią piskliwych sprzężeń. Operatorzy kanałów informacyjnych zauważają panią premier w kamuflażu i szarżują ku niej. Żandarmeria Wojskowa wyciąga pałki i spycha ich na bok. Gdy na podest wchodzi pani premier, sekretarz ds. obrony i generał dywizji, Shaheen Badoor Khan czeka na dole schodków. Wie, co powie Sajida Rana. Sam nadawał temu ostatnie szlify, jadąc rano limuzyną na wojskowe lotnisko. Ogólny szmer mężczyzn zebranych razem pod palącym słońcem przycicha, gdy widzą naczelnego wodza biorącego do ręki mikrofon. Shaheen Badoor Khan kiwa głową z milczącym zadowoleniem, kiedy pani premier wytrzymuje ciszę.

- Dżai Bharat!

Tego nie ma w scenariuszu. Serce Shaheena Badoor Khana zamiera mu w gardle. Ci ludzie też o tym wiedzą. Cisza zawisa na moment i eksploduje. *Dżai Bharat!* Sajida Rana powtarza hasło i odzew trzy razy. Potem wygłasza swoją mowę. Nie jest adresowana do żołnierzy stojących na spocznij na szczycie tamy i nachylonych nad uzbrojeniem w transporterach opancerzonych. Jest dla kamer, mikrofonów i redaktorów telewizyjnych wiadomości. Dążyliśmy do pokojowego rozwiązania. Państwo Bharat nie pragnie wojny. Rozdrażniono tygrysięcę. Schować pazury. Liczyliśmy na dyplomatyczne rozwiązanie. Wciąż możemy dojść drogą negocjacji do honorowego, pokojowego rozwiązania. Wielkoduszną propozycją dla naszych wrogów. Wodą należy się zawsze dzielić. Nie ma jednego państwa, ale jest Ganges jedną życiodajną żyłą.

Żołnierze stoją nieporuszeni. Ani drgną. Stoją w swoim bojowym rynsztunku pod prażącym słońcem, z ciężką bronią, łykają to wszystko, wiwatują w przerwach na wiwaty i cichną, gdy Sajida Rana ucisza ich oczyma i dłońmi oraz gdy zostawia ich z puentą przemówienia:

- A na koniec przynoszę wam jeszcze jeden wielki triumf: panowie, Bharat prowadzi trzysta osiemdziesiąt siedem w siedmiu!

Wtedy wybuchają i zaczyna się skandowanie: *Dżai Bharat! Dżai Bharat!* Sajida Rana odbiera oklaski i odchodzi, póki jeszcze brzmią pełną siłą.

- Nieźle, co, Khan?

- Mazumdar właśnie zdobył sto siedemnaście - mówi Shaheen Badoor Khan, ruszając za swoją

przywódczynią.

Konwój hummerów uwozi ich z powrotem do kwatery głównej przyczółku. To miał być właśnie taki chwilowy wypad. Sztab Generalny odradzał go na wszelkie sposoby, lecz Sajida Rana się uparła. Propozycja ugody musi zostać ogłoszona z pozycji siły, która nie poniżałaby rządu Rany. Analitycy przestudiowali dane satelitarne i cyberwywiadowcze, wskazując z rozsądnym prawdopodobieństwem, że Awadh w ciągu około godziny nie zdąży zorganizować kontrataku. Hummery i transportery pędzą z powrotem wyboistymi, wiejskimi gruntowymi drogami. Chmury spalin widać pewnie z orbity. Aeailoty roją się za nimi jak stado drapieżników. Strażnicy niespokojnie zerkają w niebo, zaganiając panią premier i jej doradcę do odpalającego silniki tilt-jeta. Klapa się zamyka, Shaheen Badoor Khan zapina pasy, samolot podrywa się w niebo, pozostawiając jego żołądek w dole, na rozdeptanym, osmalonym zbożu. Pilot wznosi się na pełnym gazie, o włos od przeciągnięcia. Shaheen Badoor Khan nie urodził się do latania. Każde szarpnięcie, każde opadnięcie jest dla niego jak mała śmierć. Bieleją dłonie zaciśnięte na oparciach. Wtedy tilt-jet przechodzi do lotu poziomego.

- Wyszło dość dramatycznie, nie? - mówi Sajida Rana, rozpinając pas. - Cholerne trepy zawsze ci pamiętają, że jesteś kobietą. Dżai Bharat! No, ale wyszło dobrze. Wynik meczu ładnie wszystko podsumował.

- Skoro pani tak mówi...

- Mówię... - Sajida Rana wierci się w obcisłym mundurze. - Strasznie to, kurna, niewygodne. Nie wiem, jak oni mogą w tym wojować. No, a twoja analiza?

- Powiem szczerze.

- Czyli jak zawsze.

- Według mnie okupacja tamy to ryzykanctwo. Plan przewidywał...

- Plan był w sumie bardzo dobry, ale nie miał jaj.

- Pani premier, z całym szacunkiem...

- Ja wiem, to dyplomacja. Ale, kurwa mać, przecież nie pozwolę temu N.K. Jivanjeemu robić z siebie męczennika Hindutwa. Na litość boską, my jesteśmy Ranowie. - Czeka, aż ta odrobina dramatyzmu wybrzmi, potem pyta: - Nasza pozycja jest jeszcze do uratowania?

- Do uratowania, chociaż kiedy to wszystko trafi do wiadomości, będzie trzeba się liczyć z międzynarodowymi naciskami. Ale może Anglicy będą mieli pretekst, żeby znowu namawiać do międzynarodowej konferencji.

- Żeby tylko nie w Londynie, tam sklepy zupełnie się skiepsciły. Ale Amerykanie...

- Myślmy o tym samym, pani premier. Specjalny Układ...

- W ogóle nie jest tak obopólny, jak chcieliby myśleć Brytole. Wiesz, co ci powiem, Khan, w tym całym chaosie jedna rzecz mnie cieszy. Załatwiliśmy tę ćutję, Jivanjeego. Myślał, że jest taki cwany, puszczając przeciek z tymi zdjęciami swojego Świętego Koszyka na Zakupy; a teraz musi uciekać do domu z jajcami w zębach.

- Niemniej, pani minister, on nie zniknął. Myślę, że jeszcze o nim usłyszymy, jeśli załatwimy sobie tę konferencję.

- Nie „jeśli”, Khan, „kiedy”.

Shaheen Badoor Khan potulnie spuszcza głowę. Wie jednak, że to wszystko jest kompletnie nienaukowe. On, jego rząd i jego państwo po prostu na razie mieli szczęście. Sajida Rana skubie źle przeszyty szew w swoich bojówkach, przesuwa się niżej w fotelu i pyta:

- Jest już coś o mnie?

Shaheen Badoor Khan wyciąga palmera i przegląda kanały informacyjne i serwisy agencyjne. W jego polu widzenia pojawiają się fantomowe strony gazet. Wiadomości wybuchają wokół cichymi, barwnymi detonacjami.

- CNN, BBC i News International przerywają program, żeby podać informację. Reuters leci tym, co już było w prasie.

- Jaki jest ogólny wydźwięk u Wielkiego Szatana?

Shaheen Badoor Khan przegląda nagłówki artykułów od Bostonu po San Diego.

- Od lekkiego sceptycyzmu po otwarte odrzucenie. Konserwatyści wzywają, żebyśmy się najpierw wycofali, potem być może przeszli do negocjacji.

Sajida Rana delikatnie pociąga palcami za dolną wargę - to prywatny gest znany tylko bliskim osobom, podobnie jak jej ogromna skłonność do wulgaryzmów.

- Przynajmniej nie wysyłają komandosów. Ale w końcu to tylko woda, nie ropa. Zresztą to nie z Waszyngtonem wojujemy. Coś z Delhi?

- W sieciowych kanałach nic.

Premier Sajida Rana odciąga wargę jeszcze niżej.

- Nie podoba mi się to. Napisali sobie przecież inne nagłówki.

- Dane satelitarne mówią, że siły Awadhu nadal stoją na pozycjach.

Rana puszcza wargę, prostuje się w fotelu.

- A pieprzyć ich. Dla nas to wielki dzień! Trzeba się cieszyć! Shaheen. - Po imieniu. - Tak w

zaufaniu: Chowdhury, co o nim myślisz?

- Minister Chowdhury to bardzo zdolny członek konstytuanty...

- Minister Chowdhury to hidżra. Shaheen, od pewnego czasu chodzi mi po głowie taki pomysł. Pewnie jakoś w przyszłym roku w Deedarganj będą wybory uzupełniające. Ahuja zgrywa twardziela, ale rak zżera go od środka. Biedak. Miejsce z dobrego, konserwatywnego okręgu: kurna, oni zagłosowaliby nawet na Jamesa F. McAuleya, gdyby tylko pomachał przed Ganeśią jakimś kadzidełkiem.

- Z całym szacunkiem, pani premier, ale prezydent McAuley nie jest muzułmaninem.

- I chuj: Khan, z ciebie też żaden bin Laden. Kim ty jesteś, sufitą czy coś takiego?

- Wychowano mnie w tradycji sufickiej, to prawda.

- No, dokładnie o tym mówię. Widzisz, rozegrałeś tu i teraz dobrego seta, twoje umiejętności przydadzą mi się na bardziej publicznej arenie. Jasne, najpierw będziesz musiał poterminować trochę na ławce rezerwowych, ale szybko wyszykuję dla ciebie jakąś ministerialną tekę.

- Pani premier, nie wiem co powiedzieć.

- Na początek może by tak jakieś „dziękuję”. Ja pierdolę, co za sufickie skąpiradło. Oczywiście tajne przez poufne.

- Oczywiście, pani premier.

Uniżony, gnący się w ukłonach, potulny - skromny cywilny urzędnik, ale serce mu rośnie. Miał taki moment, na Harvardzie, zaraz po ogłoszeniu wyników pierwszego roku, kiedy napięcie pękło, lato otworzyło się przed nim na oścież i zapomniał zarówno o cnotach szkoły biznesu, jak i dyscyplinie swojej islamskiej szkoły. Po przydługim instruktazu właściciela sklepu monopolowego kupił sobie butelkę importowanej whisky single malt ze Speyside i oblał sukces we wpadających przez okno pokoju pylistych promieniach światła. Pomiędzy skrzypnięciem korka w szyjce butelki i pustymi skurczami mdłości w fioletowym brzasku był wyraźny okres, kiedy czuł się skąpany w radości, blasku, pewności siebie oraz bezgranicznym, otwartym przed nim świecie. Podszedł wtedy do okna, z butelką w dłoni, i zaryczał na cały świat. Ten jeden błysk objawienia wart był późniejszego kaca i moralniaka. Teraz, w wojskowym tilt-jecie, przypięty pasami obok swojej pani premier, znowu to czuje. Minister w rządzie. Próbuje spojrzeć na siebie z zewnątrz, wyobrazić sobie inny fotel w pięknej, jasnej sali posiedzeń; zwizualizować siebie wstającego z miejsca pod kopułą Bharat Sabha. Poseł do parlamentu z okręgu Deedarganj. I wszystko jest jak należy. To po prostu nagroda, nie za jego niestrudzoną, pilną służbę, lecz za jego talent. Zasługuje na to. Zasługuje, więc to otrzyma.

- Ile my już razem pracujemy? - pyta Sajida Rana.

- Siedem lat - odpowiada Shaheen Badoor Khan. Myśli sobie: trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni.

Sajida Rana kiwa głową. Potem znów robi to coś z wargą.

- Shaheen.

- Tak, pani premier?

- Czy wszystko w porządku?

- Obawiam się, że nie rozumiem pytania.

- No bo, wiesz, ostatnio byłeś jakiś rozkojarzony. Słyszałam jedną plotkę.

Shaheen Badoor Khan czuje, jak serce mu staje, oddech zamiera, mózg się krystalizuje. Już nie żyje. Zaraz, nie. Nie proponowałaby mu czegoś takiego w tym podniebnym odosobnieniu, żeby potem wszystko odebrać przez to chwilowe szaleństwo. Ale to nie szaleństwo, Shaheen Badoor Khan. Ty taki jesteś. Myśl, że uda się to ukryć, zaprzeczyć, zdementować - to jest szaleństwo. Zwilża wargi językiem. Nie wolno mu się teraz zająknąć, załamać głosu, zabrznieć zbyt sucho.

- Rząd żywi się plotkami, pani premier.

- Właśnie słyszałam, że wymknąłeś się wcześniej z jakiejś imprezy w Cantonmencie.

- Byłem zmęczony, pani premier. To było w dniu... - Jeszcze nie jest bezpieczny.

- Naszej narady, tak. Słyszałam jednak, to bez wątpienia obrzydliwe pomówienie, że między tobą a begum Bilquis były jakieś... tarcia. Wiem, Shaheen, to bezczelne pytanie, ale czy w domu wszystko w porządku?

Powiedz jej, krzyczy na siebie Shaheen Badoor. Lepiej niech dowie się teraz niż od jakiegoś partyjnego propagandyzisty albo, Boże uchronaj, N.K. Jivanjeego. Jeśli już nie wie, jeśli to nie próba uczciwości i lojalności. Powiedz jej, gdzie poszedłeś, z kim się spotykałeś, czego on nie chciał z tobą robić. Nie chciało. Ono. Wyłóż kawę na ławę matce narodu, niech ona tym pozarządza, poobrabia i położy przed kamerami, niech zrobi to, co on robił dla niej, z oddaniem, lojalnie, przez tyle lat. Nie może. Jego wrogowie w partii i poza nią wystarczająco nienawidzą go jako muzułmanina. Kiedy zostanie porzucającym żonę zбочeńcem, kochankiem istot, w których większość z nich nie dostrzega nawet ludzi, jego kariera będzie skończona. Rząd Ranów nie przetrwałby tego. Shaheen Badoor Khan jest nade wszystko urzędnikiem państwowym. Gabinet musi przetrwać.

- Szczerze, pani premier?

Sajida Rana wychyla się w wąskie przejście.

- Shaheen, to już drugi raz w tej rozmowie.

- Moja żona... Bilquis... no cóż, ostatnio przeżywamy ochłodzenie. Kiedy chłopcy poszli na studia, wie pani, poza nimi nie mieliśmy za wiele wspólnych tematów. Prowadzimy teraz niezależne

życie, Bilquis ma swoją rubrykę w gazecie i swoje kobiece forum. Mogę jednak zapewnić, że to nie zakłóci w żaden sposób moich obowiązków. Więcej nie przyniosę pani wstydu w ten sposób.

- Żadnego wstydu - szeptuje Sajida Rana.

Wtem wojskowy pilot zwięźle informuje, że za dziesięć minut lądowanie w bazie lotnictwa Nabha Sparasham, a Shaheen Badoor Khan wykorzystuje odwrócenie uwagi, by wpatrzeć się przez okno w wielką, brązową plamę monstualnych varanaskich slumsów. Pozwala sobie na nieznaczny uśmiech. Jest bezpieczny. Ona nie wie. Zagadał ją. Lecz teraz są inne zadania do wykonania. A tam daleko, na południowym horyzoncie, czy to aby nie ciemna linia chmur?

Shaheen Badoor Khan dopiero kiedy umarł ojciec zrozumiał, jak nie cierpi domu nad rzeką. Haweli nie było wprawdzie brzydkie ani przytłaczające - wręcz przeciwnie. Lecz jego przewiewne krużganki, werandy i przestronne, wysokie, białe pokoje są ciężkie od historii, pokoleń, obowiązków. Shaheen Badoor Khan nie jest w stanie wejść schodami, minąć wielkiej, mosiężnej latarni nad gankiem, zobaczyć ogromnego hallu z dwiema spiralnymi klatkami schodowymi, męską i damską, nie wspominając, jak jako chłopak chował się za kolumną, gdy na miejsce pochówku koło starego pawilonu myśliwskiego na bagnach wynoszono jego dziadka, Sayida Raiz Khana, ani jak potem szedł za swoim ojcem odbywającym tę samą krótką podróż przez tekowe drzwi. Sam też uda się kiedyś w tę podróż, przez eleganckie, tekowe drzwi. Poniosą go jego synowie i wnuki. W haweli jest tłoczno. Ani zakamarka wolnego od krewnych, przyjaciół i służących. Każde słowo, uczynek, zamiar jest widoczny i znany wszystkim. Z wielką przyjemnością przypomina sobie ideę „samotni” z Harvardu. Pojęcie prywatności, nowoangielska rezerwa - rezerwa, a więc coś odłożonego na bok, do innego celu.

Przechodzi półpięciem na kobiecą stronę domu; waha się, jak zawsze, przed drzwiami zenany. W domu Khanów zniesiono purdę jeszcze w czasach jego dziadka, jednak Shaheen Badoor Khan w kobiecych pokojach zawsze czuje się zawstydzony: inne przedmioty, skryte w ścianach historie, sposób na życie, z którym nie ma nic wspólnego. Dom podzielony, jak półkule mózgu.

- Bilquis. - Jego żona urządziła sobie gabinet na ocienionym balkonie z widokiem na tłoczne, tętniące życiem ghaty i martwą rzekę. Tu pisze swoje artykuły, radiowe przemowy i eseje. W pełnym śpiewających ptaków ogrodzie poniżej podejmuje swoje inteligentne, pozbawione głosu przyjaciółki - tam piją kawę i knują, jak przystało na inteligentne, pozbawione głosu kobiety.

„Jesteśmy kalekim społeczeństwem”, powiedział urzędnik-meloman, kiedy na scenę wchodziła Mumtaz Huq.

- Bilquis.

Kroki. Drzwi się otwierają, ukazuje się twarz służącej; Shaheen Badoor Khan nie kojarzy jej.

- Sahib, begum nie ma w domu.

Shaheen Badoor Khan opiera się ciężko o masywną framugę. Akurat dziś bardzo potrzebowałby kilku zdań wymienionych na styku dwóch zabieganych istnień. Słowa, dotyku. Jest zmęczony. Zmęczony własną nieugiętością. Zmęczony ohydłą prawdą, że nawet gdyby usiadł i nic nie robił, jak sadhu na rogu ulicy, zdarzenia zainicjowane przez niego w przeszłości napuchłyby mu za plecami, karmiąc się jedno drugim, urosłyby jak fala powodziowa. Zatem musi być zawsze o parę kroków naprzód. Zmęczony maską, twarzą, kłamstwem. Powiedz jej. Będzie wiedziała co zrobić.

- No właśnie, nigdy jej nie ma.

- Panie Khan?

- Wszystko jedno.

Drzwi się zamykają, kryjąc odłamek twarzy. Shaheen Badoor Khan po raz pierwszy, odkąd pamięta, czuje się zagubiony we własnym domu. Nie rozpoznaje drzwi, ścian, korytarzy. Stoi w jasnym pokoju z widokiem na rzekę, białym, z wielkimi węzłami związanych moskitier, wypełnionym ukośnymi promieniami światła i kurzu oraz zapachem, który przywołuje go do przeszłości. Zapach to klucz do pamięci. Zna ten pokój, kochał go kiedyś. To dawny pokój dziecinny, pokój jego synów. I jego pokój, położony wysoko nad wodą. Tu co rano budzili go witający wielką rzekę bramini. Jest tu czysto, blado i pusto. Zapewne polecił go uprzątnąć, gdy chłopcy wyjechali na studia, ale zupełnie sobie tego nie przypomina. Aja Gul zmarła dziesięć lat temu, lecz w drewnianych żaluzjach i drapowanych zasłonach nadal czuć perfumy jej piersi, korzenny aromat jej ubrań, choć Shaheen Badoor Khan uświadamia sobie ze zdumieniem, że nie wchodził tu od dziesięcioleci. Mruży oczy, wpatruje się w światło. „Bóg jest światłem niebios i ziemi... Światło na świetle! Bóg prowadzi drogą prostą ku światłu, kogo chce. Bóg przytacza przykłady dla ludzi. Bóg o każdej rzeczy jest wszechwiedzący!”*. Sura rozwija się w jego pamięci jak pasmo dymu.

Tylko dlatego, że odkąd sięgnie pamięcią, po raz pierwszy nie czuje na sobie spojrzenia cudzych oczu, jest teraz w stanie to zrobić. Wyciąga ręce na boki i zaczyna się kręcić, najpierw powoli, wymacując stopami równowagę. Suficki taniec wirowy, który budził u derwiszów wewnętrzną boską świadomość. Na jego języku formuje się dikr, święte imię Boga. Przebłysk wyraźnego wspomnienia z dzieciństwa, dziadek utrzymujący się idealnie w tym samym punkcie na geometrycznej, wykafelkowanej podłodze iwanu, przy rozbrzmiewającym qawwale. Mevlewi przyjechał z Ankary, by nauczyć Hindusów semy, świętego Bożego tańca.

Boże w mojej duszy, wyrwij mnie wirem z tego świata.

Miękka mata marszczy mu się pod nogami. Intensywne skupienie, myśli wyłącznie o poruszeniach stóp, obrotach rąk; w dół - błogosławieństwo, w górę - odebranie łask. Wiruje, cofając się przez wspomnienia.

Obłąkane lato Nowej Anglii, kiedy nad purytańskim Cambridge zacumował wyż, a temperatura wzrosła i tak została, kiedy wszyscy otwierali drzwi, okna, wychodzili na ulice, do parków, na trawniki, albo po prostu siedzieli w drzwiach i na balkonach, kiedy Shaheen Badoor Khan, student drugiego roku, zapomniał, co znaczy chłód i powściągliwość. Wyszedł na miasto z kolegami, wracał późno z festiwalu muzycznego w Bostonie. Tam to nadeszło, prosto z miękkiej, aksamitnej, pachnącej

nocy i sparaliżowało Shaheena Badoor Khana, stanął jak wryty, jak Gwiazda Polarna, podobnie jak ćwierć wieku później na lotnisku w Dhace, zobaczywszy coś niezziemskiego, obcego, pełnego niedoścignionego piękna. Neutko zmarszczyło brwi na widok bandy hałaśliwych studenciaków, próbowało ominąć go bokiem. To było jego pierwsze widziane na żywo. Czytał, widywał zdjęcia, intrygowało go, kusiło, męczyło to ucieleśnienie marzenia z dzieciństwa. Tu - z krwi i kości: prawdziwe, nie mityczne. Na tym harwardzkim trawniku zakochał się. I już nigdy się nie odkochał. Dwadzieścia pięć lat nosił w sercu cierń.

Stopy się poruszają, ręce tkają, usta kształtują mantrę dikr. Wiruje dalej w tył.

Opakowanie było doskonałe, proste, eleganckie. Papier drukowany w czerwone, czarne i białe ozdobne karpie, pojedyncze pasemko celofanowej rafii, złoto. Minimalizm. Hindusi by to uładnili, udekorowali serduszkami, łukami, figurkami Ganeśi, kazali grać melodyjki i sypać po otwarciu confetti z życzeniami. Shaheen Badoor Khan już w wieku trzynastu lat wiedział, zobaczywszy tę paczkę z Japonii, że nigdy nie będzie mieć prawdziwie indyjskiej duszy. Ojciec przywiózł z delegacji handlowej do Tokio prezenty dla całej rodziny. Dla jego młodszych braci - latawce w kształcie ławicy karpie, puszczone na Dzień Dziecka; długo jeszcze dumnie powiewały z balkonów haweli Khanów. A dla najstarszego syna - Japonia w pudełku. Shaheen wytrzeszczał oczy na tubki z „Action Drinkiem”, czekoladę „Boat in the Mist”, karty kolekcjonerskie, machającego łapką robota-kociaka, szaliki zmieniające kolor zależnie od nastroju oraz płytki z Nippon-popem. Jednakże jego życie, jak motocykl zmieniający się w rozjuszonego bitewnego robota, odmieniła manga. Z początku nie spodobała mu się łatwa mieszanka przemocy, seksu i nastoletnich niepokojów. Tandetne i obce. Uwiodły go natomiast postacie: smukłe, aseksualne nastolatki o jelenich oczach, zadartych nosach i wiecznie otwartych ustach. Ratowały świat, miały problemy z rodzicami, nosiły fantastyczne przebrania, niesamowite fryzury i buty, niepokoiły się o swoich chłopaków-dziewczyny, gdy Tokio szturmowały niszczycielskie roboty-anioły, przede wszystkim jednak były niezależne, stylowe, niesamowite, długonogie i androgyniczne. Zapragnął ich pełnego emocji i pasji życia tak bardzo, że aż się popłakał. Pozazdrościł im urody, seksownej aseksualności i tego, że wszyscy ich znają, kochają i podziwiają. Chciał zostać nimi na śmierć i życie. Leżąc w łóżku wśród zgiełkowej varanaskiej nocy, wymyślał dla nich kontynuacje przygód - co się działo po pokonaniu aniołów wylewających się ze szczeliny w niebie, jak się kochają i bawią razem w swojej wyłożonej futerką kopule do walk. Potem zaciągali go do przytulnego, wyściełanego różowym puchem zaciszego kącika, gdzie ocierali się o siebie, niedookreśleni seksualnie, ale namiętni, a trwało to i trwało i trwało. Po tych nocach, kiedy mianowano go Magiem-Jeźdźcem Grassen Elementoi, Shaheen Badoor Khan budził się dusznym rankiem ze sztywnym przodem spodni od piżamy.

Jeszcze wiele lat później ukradkiem wyciągał te poźółkłe, miękkie i postrzępione komiksy z pudełka po butach. Chłopięco-dziewczęcy piloci

Grassen Elementoi, wiecznie młodzi, wiecznie szczupli, piękni i awanturniczy, stali z założonymi rękoma i celowali weń swymi kośćmi policzkowymi, zwierzęcymi oczyma i nadąsanymi, zapraszającymi do całowania usteczkami.

Shaheen Badoor Khan, wirując na granicy pamięci, czuje, jak łyzy kłują go w oczy. Wir semy ciągnie go jeszcze dalej, na plażę.

Matka narzekała na wilgoć, na socjalizm i na to, że rybacy srają na piasek przed bungalowem. Ojciec był nerwowy, nadęty i tęsknił za północą. Ciągłe się tym gryzł, ubrany w spodnie z kantem, popelinowe koszule z krótkim rękawem i sandały bez palców, w duszącym keralskim upale - to były najgorsze wakacje, jakie pamięta Shaheen Badoor Khan, właśnie dlatego, że tak bardzo na nie czekał. Południe południe południe!

Wieczorem od strony morza nadchodziły rybackie dzieci. Czarne od słońca, nagie, uśmiechnięte, bawiły się, wrzeszczały i chlapały, podczas gdy Shaheen Badoor Khan i jego bracia siedzieli na werandzie, popijali lemoniadę i słuchali wykładu matki, jakie te okropne dzieciaki są straszne. Shaheenowi nie wydawały się straszne. Miały małą łódeczkę z pływakiem. Cały dzień bawiły się, to włączając na nią, to zeskakując. Shaheen Badoor Khan wyobrażał sobie, że żeglują po oceanach ku wielkiej przygodzie - piraci, wyprawy ratunkowe, odkrywcy. A kiedy wyciągały łódkę na piasek i grały na plaży w krykieta, myślał, że umrze z pożądania. Pragnął odpłynąć w dal z czarnymi, wyszczerzonymi chłopcami-dziewczynkami z Kerali, wśliznąć się nago do ciepłej jak krew wody, nosić ją na sobie jak drugą skórę. Chciał biegać, wrzeszczeć, być chudy, nie dbać, że ktoś patrzy. Być wolny.

W sąsiednim bungalowu mieszkała rodzina cywilnych urzędników z Bangalore, pod każdym względem niżsi w hierarchii, Shaheen Badoor Khan widział jednak, że ich dzieci, chłopiec i dziewczynka, bawią się na łódeczce, zeskakują z niej w przejrzystą wodę i wynurzają się, dysząc, omszone kropelkami, po czym roześmiane, nieustająco roześmiane powtarzają wszystko jeszcze raz. Tam zapadło mu w duszę nasionko pustki, które podczas długiej podróży powrotnym pociągiem, wzdłuż całych Indii, wykiełkowało w ból, nadzieję, pragnienie pozbawione imienia i słów, ale pachnące kremem do opalania, świerzbujące jak piasek między palcami stóp, w dotyku jak ciepła, kokosowa mata, brzmiące jak dobiegające z dala wołania dzieci.

Shaheen Badoor Khan przestaje wirować. Powstrzymuje wewnątrz siebie potężne ciśnienie szloch. Tak bardzo tego pragnął, ale nie dostało mu się życie, w którym mógłby kiedykolwiek zaznać takiej wolności. Oddałby wszystko, żeby być tak pięknym, choćby przez jeden dzień.

Stopy. Za drzwiami. Bose. Shaheen Badoor Khan otrząsa się z sukuba.

- Kto tam?

- Sir? Wszystko w porządku?

- Tak. Proszę mnie zostawić.

Wszystko w porządku, w stopniu, w jakim porządek może panować w ruinach. Shaheen Badoor Khan poprawia garnitur, wygładza pomarszczone dhuri w miejscu, gdzie tańczył i gdzie zstąpił nań Bóg. Zabrał go w otchłań naf - pełnego pragnień jądra duszy - i pokazał prawdziwą naturę mieszkającego w człowieku Boga, odpowiadając na jego niezrozumiałe wołanie o pomoc.

Wie już, jak ma postąpić z tym neutkiem.

ROZDZIAŁ 23 TAL

Przez resztę tygodnia Tal rzuca się w wir pracy, ale demonów nie są w stanie okiełznać nawet wnętrza haweli, do której wprowadzą się po wirtualnym ślubie Aparny Chawla i Ajay Najiadwala. Płciowiec. Facet. I Khan. Tal próbuje wytrząsnąć z głowy jego obraz, ale poowijał mu się wokół neuronów jak lampki na święto Diwali. To jego największy strach: tam w środku wszystko się psuje, wszystkie biochipy i pompy hormonalne rozpuszczają się w krwiobiegu. Tal boi się, że wysikuje całą swoją neutkowość. Wciąż czuje smak warg tego całego Khana.

Pod koniec tygodnia nawet Neeta mówi mu, że powinno wziąć wolne.

- Weź, pojedź gdzieś, wyjedź stąd - poleca kierownik produkcji Devgan.

Tal bierze, jedzie, wyjeżdża stąd do Patny. Nikomu poza neutkiem nie przyszłoby do głowy spędzać weekendu w tym bezkresnym, upalnym, bezdusznym przemysłowym mieście. Lecz Tal musi się tam z kimś zobaczyć. Ze swoim guru.

Dwie godziny później znajduje się nad rzeką, mrugając polaryzującymi soczewkami kontaktowymi na skrzącą się brylantami wodę. Rezerwuje bilet powrotny pierwszej klasy (ważniejsze, baba, by jechać pierwszą niż przybyć na miejsce) na szybki wodolot do Patny. Trzydzieści minut później już zwija się w kłębek na siedzeniu, zaciskając powieki i małe, delikatne piąstki do pierwszych taktów GURU GRANTH MIX, podczas gdy za oknem przesuwają się stojące na wyschlým drugim brzegu fabryki. Aż dziwne, że wystarcza wody, żeby to coś unieść.

Na nasiąkniętych zanieczyszczeniami ulicach Patny widać nową modę. Mroczną i opływową. Tak jak włosy, wystrzyżone w jednego, asymetrycznego irokeza i zarzucone na czoło. I nikomu tu przez myśl nie przejdzie, by założyć narciarskie gogle. Z fryzurą Tala nic się nie da zrobić, ale ClimBunni na Amrit Marg ma wszystko co potrzeba z ciuchów, poukładane i gotowe do sprzedania. Tu góry, tu doły, tu bielizna, obuwie z tyłu. Karta przyjmuje na siebie kolejny potężny cios, ale pół godziny później Tal wynurza się kołyszącym krokiem na ulicę, w powiewnych szarych jedwabiach, srebrno-czarnych kowbojskich, czy raczej kow-neuckich butach na pięciocentymetrowych obcasach z nieodzownymi frędzlami przy klamrach. Faceci chodzą chwiejnie, dziewczyny popatrują zazdrośnie, kobiety w kawiarniach nachylają się ku sobie i plotkują, zasłaniając usta dłońmi, policjant z drogówki dyżurujący na rondzie omal nie okręca się o trzysta sześćdziesiąt stopni, gdy Tal - pstryk! - polaryzuje przeciwsłoneczne soczewki na pełną czerń i jest tak dobrze, tak świetnie, tak zdumiewająco niespodziewanie i fantastycznie i przezabawnie być z powrotem na ulicach Patny, pod słońcem Patny, wdychać patnański smog, przewijać się między patnańskimi twarzami i ciałami, falując do rytmu patnańskiego miksu w słuchawkach. Wszystko tańczy do jego rytmu. Wszystko jest musicalem, każdy przypadkowy kontakt dwóch przechodniów to morderstwo, cudzołóstwo, napad lub spotkanie kochanków rozdzielonych przed laty. Ubrania są tu jaskrawsze, szyldy krzykliwsze, wszystko wygląda, jakby za chwilę miało przeistoczyć się w jeden gigantyczny, obejmujący całe

miasto, taneczny numer, specjalnie dla Tala. Modli się do Ardhanarisvary, boga neutków, aby pozwolił mu być pierwszym, które przywiezie ten nowy styl do Varanasi.

Do Varanasi. Do mężczyzny nazwiskiem Khan. I wszystkich.

Wtajemniczeni znają szybką łódź, która zawozi ich spod szklanych wież nabrzeża handlowego na sangam, gdzie guru przeprowadza swe operacje. Łódź, jak zauważa z aprobatą Tal, jest mahoniowa, marki Riva. Dwa silniki stawiają ją na ogonie, błyskawicznie mija pełną małe promy i zestawy barek. Wypada na główny nurt i kieruje się na lewo, ku wielkiej, piaszczystej łasze w miejscu, gdzie Gandak wpada do świętego Gangesu. W tej szerokiej, piaskowej delcie i wokół niej ulokowała się największa, najtańsza, najbrudniejsza i najmniej kontrolowana strefa wolnego handlu w całym Bharacie. Larri-galle i magazyny z aluminiowej blachy pospychały się z dostępnego ładunku na wodę; cała łacha jest otoczona kordonem lichtug, owiniętym wokół niej co najmniej dwadzieścia razy. Żyją tu na łodziach rodziny szcycące się tym, że nigdy nie postawiły stopy na stałym lądzie - wszystko, czego potrzebują od narodzin, poprzez życie, do śmierci, mogą otrzymać, biegając labiryntem pomostów i trapów z łodzi na łódź.

Riva wiezie Tala przez coraz węższe i węższe kanały pomiędzy stalowymi kadłubami wymalowanymi w coraz ciekawsze hinduskie teksty, aż wreszcie wciska się w przesmyk niewiele szerszy od niej i pod pływa do starego holownika o niezwyklej nazwie - *Fugazi*. Przez trzydzieści lat woził sypkie ładunki w górę rzeki, z Kolkaty, dla powstających w Patnie nowych branż przemysłu. Potem wykupił ją holding White Eagle, przyprowadził na ostatnie miejsce postoju w Strefie Wolnego Handlu Gandak i wypatroszył z silników. White Eagle Holding to bardzo szacowna firma zarządzająca aktywami, z siedzibą w Omaha w Nebrasce, specjalizująca się w planach emerytalnych dla pracowników służby zdrowia. Należy do niej kilka pływających zakładów w Patnie, specjalizujących się w tych usługach medycznych, do których czczący Biblię wyborcy ze Środkowego Wschodu zawzięcie odmawiają dostępu swoim krajanom. Setki bardzo dochodowych i nie bardzo legalnych branż mają swoje korporacyjne centrale w Gangak Ef Ti Zi: miksujące na zamówienie pirackie rozgłośnie radiowe, farmafalszerze, serwisy do udostępniania plików, przechowanie danych, destylarnie emotyków, genetyczne dziuple, laboratoria klonujące, komórkwowi terapeuci, dżungle darwinowskiego softu, goście zdejmujący zabezpieczenia przed kopiowaniem, serwisy do półlegalnych spekulacji na walutach, fałszerze etykiet, hodowcy komórek macierzystych, pornokraci, co najmniej jedna aeai trzeciej generacji (dyskusyjne) oraz Nanak, czuły doktor, dobre neutko, guru zbawczych skalpeli.

Tal wspina się po stalowej drabinie, nerwowe, świadome czającej się za plecami metalowej ściany sąsiedniej barki, jeden wir w zlewających się tu wodach i dwa stalowe masywy rozłupią go jak upuszczone jajko. Znad relingu wygląda twarz: to Nanak, dobry doktor, jak zawsze niechlujnie w trzy razy za dużych szortach-bojówkach, obcisłym siatkowym topie i buciorach żywcem jak u *Tank Girl*, wyszczerzone jak święta małpa.

Obejmują się. Dotykają. Całują. Wyzwalają u siebie nawzajem emocje radości, obdarowania, dziecięcych nasiadówek do późna, świeżego chleba na śniadanie i barokowych glissand, za pomocą tych właśnie neuralnych przełączników, które zrobotyzowani chirurdzy Nanaka powpinali we włókna nerwowe rozprutego ciała Tala. Potem odsuwają się, uśmiechają, wydają głupawe odgłosy radości. Są na nowo przeszczęśliwe.

- Widzę, że dopadła cię ta moda - mówi Nanak. Jest drobne, nieśmiałe, wstydlive i nieco bardziej zgięte pod własnym ciężarem, ale wciąż ma swój przemiły uśmiech. Jego skóra jest ochrowa od słońca.

- Przynajmniej trochę się postarałam - odpowiada Tal, kiwając głową na Nanakowy strój dokera.

- Ale tutaj patrz pod nogi, na tych obcasach - ostrzega je Nanak. Pokład to zabójczy dla modnisi tor przeszkód, pełen przepustów na liny, zamknięć od włazów, rur - każda z nich mogłaby zmusić niedbałe neutko do gwałtownego zetknięcia z twardą stalową płytą. - Zostaniesz na herbatę, prawda? Tu uważaj.

Wspinają się po stromej drabince do sterówki. Jeden krok przed szczytem Tal zatrzymuje się i zerka na miasto na wodzie. Tętni życiem jak każdy bazar na świecie. Poza zarabianiem pieniędzy, na każdym statku jest zawsze coś do roboty: malarze i sprzątacze pokładów, ogrodnicy, specjaliści od wody pitnej, fachowcy od baterii słonecznych i radiostacji. Dudni muzyka, wzmacniana przez występujące w obfitości puste metalowe komory.

- No i co się dzieje? - pyta Nanak, prowadząc Tala do wyłożonego drewnem, pachnącego cedrem pokoju gościnnego.

Zapach wywołuje u Tala równie silną reakcję emocjonalną, jak jego neuronalne wyzwalacze. Wraca do drewnianego łona. Przypomina sobie, jak poskrzypują skórzane sofy, jak Suniti nuci na pokładzie hollywoodzkie hity, kiedy myśli, że nikt nie słucha.

- A nic, przyszedłam na rutynową kontrolę - mówi Tal.

- Oczywiście, zrobimy ci - odpowiada Nanak i przywołuje windę zjeżdżającą w puste serce statku, gdzie dokonuje swoich metamorfoz.

- Zajęte jesteś? - pyta Tal, aby ukryć niepokój.

Winda otwiera się na mahoniowy korytarz z mosiężnymi drzwiami. Tal spędziło miesiąc za jednym z nich, świrując od środków przeciwbólowych i immunosupresyjnych, podczas gdy jego ciało powoli godziło się z tym, co zrobiły z nim operujące roboty. Prawdziwy obłęd nadszedł, gdy białkowe chipy podłączone do jego rdzenia przedłużonego rozpakowały swój kod i zaczęły nadpisywać cztery miliony lat biologicznego imperatywu.

- Mam dwóch pacjentów - mówi Nanak. - Jeden czeka - śliczny, mały Malaj, ale mocno nerwowy, w każdej chwili może zwiać, byłaby wielka szkoda - i jednego na pooperacyjnej. Wygląda na to, że zgarniamy coraz więcej transseksów w starym stylu, więc nasza renoma zaczyna wychodzić poza branżę, ale mnie się to tak średnio podoba. To rzeźnictwo. Zero finezji.

Ale będą za to płacić, tak jak płaci Tal: dziesięć procent z góry i miesięczne raty przez większość życia. Kredyt pod zastaw ciała.

- Tal - mówi łagodnie Nanak. - Nie do tej, chodź tutaj. - Tal stwierdza, że trzyma dłoń na

klamce sali operacyjnej. Nanak natomiast otwiera drzwi kliniki. - Przecież tylko na kontrolę, coś ćuit. Nawet nie musisz się rozbierać.

Tal jednak zrzuca buty i wyslizguje się z chłodnego ubrania, zanim położy się na białym, miękko wyściełanym stole. Mruga, onieśmiałe, gdy Nanak krząta się przy rekaliibracji skanera. Przypomina sobie, że Nanak, dobry doktor, nie ma nawet szkoły pielęgniarstwa. Jest po prostu pośrednikiem, sztauerem chirurgii. Tal zostało rozebrane na części i poskładane z powrotem przez roboty, mikromanipulatory, grube na jedną cząsteczkę skalpele sterowane przez chirurgów w Brazylii. Talenty Nanaka leżą w podejściu do chorego i umiejętności znajdowania najlepszych medyków po najlepszych cenach, gdy tylko na globalnym rynku otwiera się jakaś luka.

- No, baba, powiedz Nanakowi: naprawdę sprowadza cię tu medycyna czy chciało się rozejrzeć po scenie w Patnie? - pyta Nanak, zakładając hoeka za swoje okazałe ucho.

- Nanak, ja jestem neutko pracujące, robię karierę, pamiętasz? W trzy miesiące zostałem kierownikiem sekcji. Za rok będę szefem całego show.

- To będziesz mogło przyjechać do mnie i kupić całe nowe komplety emotyków - mówi Nanak. - Mam nowy towar, prosto z mikserów. Dobre rzeczy. Bardzo dziwne. No dobra. Gotowe. Po prostu oddychaj normalnie.

Kreśli dłonią mudrą i półkola białego metalu wysuwają się z podstawy łóżka, zamykając w pierścien wokół stóp Tala. Mimo polecenia, Tal czuje, że wstrzymuje oddech, gdy skaner zaczyna pielgrzymkę w górę ciała. Zamyka oczy, gdy świetlny pierścien prześlizguje mu się nad krtanią, i stara się nie wyobrażać sobie tego drugiego stołu, za tamtymi drzwiami. Tamten stół to nie stół, ale żelowa leżanka w zbiorniku pełnym robotów.

Leżało na tamtym stole, znieczulone o włos od śmierci, z odruchami autonomicznymi przełączonymi na aeai kontrolującą pompowanie płuc, bicie serca, obieg krwi. Tal nie pamięta, jak opadło i zamknęło się wieko zbiornika, wypełniając go jeszcze większą ilością znieczulającego żelu pod ciśnieniem. Może sobie to jednak wyobrażać - i to wyobrażenie stało się już wspomnieniem: pamięta klaustrofobiczne uczucie, że tonie. Nie potrafi natomiast - nie odważa się - wyobrazić sobie poruszających się w żelu robotów z wyciągniętymi ostrzami, odcinających mu od ciała każdy centymetr skóry. To była pierwsza faza.

Gdy starą skórę już zutilizowano, a nowa, której hodowla rozpoczęła się trzy miesiące wcześniej z próbki jego DNA oraz jajeczka sprzedanego przez jakąś kobietę z basti, dojrzała już w swoim zbiorniku, maszyny zabrały się do pracy. Poruszały się powoli przez lepki, organiczny żel, wbijając się pod powięź mięśni, wyskrobując tłuszcz, omijając naczynka krwionośne i nabiegłe krwią tętnice, odłączając ścięgna, by dostać się do kości. Tani chirurdzy operowali w powietrzu w swoich gabinetach w Sao Paulo; odziani w rękawiczki manipulatorów otwierali przed sobą nowe, krwawe krajobrazy. Osteoboty rzeźbiły w kości, tu zmieniając kontur policzka, tam poszerzając miednicę, odlupując wiór za wiórem z łopatek; przemieszczały, przesuwwały, amputowały, wypełniały plastikiem i tytanem. Tymczasem grupy GUM-botów usuwały wszystkie narządy płciowe, przełączały moczowód i cewkę moczową, podpinały hormonalne wyzwalacze i ścieżki reakcji nerwowych do układu wszczepionych w lewe przedramię podskórnych przycisków.

Tal słyszy śmiech Nanaka.

- Widzę, co masz w środku - mówi, chichocząc.

Trzy dni Tal wisiało w tym zbiorniku; bez skóry, nieustannie krwawiące, jeden wielki stygmat, maszyny zaś pracowały powoli, miarowo, zmiana za zmianą rozmontowując i przebudowując mu ciało. Wreszcie ukończyły to, wycofały się, zastąpione przez neuroboty. Tymi sterowali już inni lekarze, zespół z Kuala Lumpur. W ciągu trzech dni męki Tala zmienił się rynek neurochirurgii. To była już inna nauka - bardziej wyrafinowana niż wycinanie i wklejanie kawałków mięsa. Szczękające szczypcami kraboroboty podpinały białkowe układy do włókien nerwowych, podłączały nerwy do induktorów, reorganizowały całą Talową endokrynologię. Gdy one były zajęte tym przeszczepianiem, większe maszyny odjęły Talowi wierzch czaszki, a mikromanipulatory wśliznęły się między splecione splety nerwowe jak drapieźniki w mangrowy gąszcz, by punktowo poprzytwierdzać białkowe procesory do ośrodków nerwowych w rdzeniu przedłużonym i ciele migdałowatym, mrocznych, głęboko zakorzenionych filarów jaźni. A potem, czwartego dnia rano, zawróciły Tala z krawędzi śmierci i obudziły. Aesai podłączona z tyłu do jego czaszki musiała przeprowadzić teraz pełen test autonomicznego układu nerwowego, zweryfikować, czy wszystkie białkowe chipy kontaktują i czy reakcje neuronów skojarzone dotąd z płcią wyzwalają teraz nowe, wszczepione zachowania. Pozbawione skóry, z mięśniami zwisającymi jak worki z porożyczanych ścięgien, z gałkami ocznymi i mózgiem nagim pod łagodzącym żelem, Tal się obudziło.

- Prawie koniec, baba - mówi Nanak. - Ale wiesz, możesz otworzyć oczy.

Nie umarło z bólu tylko dzięki kokonowi znieczulającego żelu. Aesai zagrało na jego sieci neuronowej jak na sitarze. Tal wyobrażało sobie, że porusza palcami, że nogi mu biegną, czuło poruszenia i żądzę w miejscach, gdzie dotąd ich nie było, widziało wizje i cuda, słyszało anielskie chóry i boskie pogwizdywania, wsysały je nieznane dotąd wiry wrażeń zmysłowych i emocji, zwidywały mu się gigantyczne, pasiaste, brzęczące owady wypełniające usta jak knebel; w tym samym momencie kurczyło się do rozmiarów groszku, odwiedzało ponownie miejsca, w których nigdy nie było, witało przyjaciół, których nigdy nie spotkało, wspominało życie, którego nie miało, próbowało wykrzyczeć imię matki, imię ojca, imię Boga, krzyczało i krzyczało, lecz ciało było wyłączone, bezuste, bezradne. Potem aesai znów wyłączyła mu mózg, i dzięki tej anestezyjologicznej amnezji zapomniało wszystkie cuda i okropności, jakie przeżyło w żelowym zbiorniku. Uczynne maszyny założyły mu czerep z powrotem na głowę, podłączyły wszystko co odłączone i ubrały je w nowiutką skórę, prosto z tanku z komórkami macierzystymi. Pięć kolejnych dni wisiało, zaledwie nieprzytomne, w kąpieli z komórkowego stymulantu, śniąc zdumiewające sny. Dziesiątego ranka aesai wypięła się z głowy Tala, opróżniła zbiornik i opłukała jego nowiutką skórę, ono zaś leżało, ukończone, nowe, na przezroczystym plastiku, z płaską piersią unoszącą się i opadającą w białym świetle reflektorów.

- No dobra, wszystko - mówi Nanak.

Tal otwiera oczy, by ujrzeć, jak pierścień skanera rozdziela się na połówki i chowa pod stołem diagnostycznym.

- I jak?

- Poza typowym zębem czasu, wyglądasz pięknie w środku. Pełno światła. I pozostaje tylko standardowe kazanie: tłuszcze nasycone, alkohol, tytoń, leki bez recepty i umiarkowana ilość ćwiczeń.

- A co z... - Tal unosi rękę do głowy.

- Wszystko jest z tobą w porządku. Wystawiam ci nieskazitelne świadectwo zdrowia. Co, nie cieszysz się? A teraz wstawaj, zjesz ze mną kolację i opowiesz, o co tak naprawdę chodzi.

Zsuwając się z krawędzi leżanki, Tal wypróbowuje tuzin pretekstów do odrzucenia zaproszenia, po czym uświadamia sobie, że jeśli nie powie Nanakowi, co mu leży na sercu, cała wycieczka do Patny to głupkowaty kaprys.

- Dobrze - odpowiada. - Przyjmuję.

Kolacja jest prosta, wyśmienite wegetariańskie thali podane na pomoście nawigacyjnym, z którego kiedyś kapitanowie obserwowali swoją flotyllę barek.

Suniti, asystentka i kucharka Nanaka, serwuje butelki zimnego kingfishera oraz rady, jak należy jeść każde z dań, „ugryź kęs i trzymaj go, aż język zdrętwieje”, „dwa kęsy”, „łyżeczka tego, łyk tego i na koniec limonka”. Strefa wolnego handlu Gandak zwija się właśnie po dniu zarabiania dywidend dla przedstawicieli branży medycznej z Nebraski. Z barek przywiewa muzykę i zapach gandzi: to przedsiębiorcy wychodzą ze swych warsztatów, aby w ostatnich promieniach słońca poopierać się o reling, zapalić i łyknąć piwa.

- No, teraz musisz mi zapłacić - mówi Nanak, a widząc konsternację na twarzy Tala, dotyka jej delikatnie, uspokajająco. - Oj, nie, nie. Tym się zajmie Suniti. Ty musisz mi zapłacić to, co należy się za to znakomite jedzenie, piękny wieczór i moje świetne towarzystwo - zapłacić tym, baba, co ukrywałeś przede mną przez cały dzień.

Tal przekręca się na plecy na miękkiej macie tatami. Niebo nad nim przecinają pasma fioletowych chmur, pierwsze, jakie widziało od miesiący. Wyobraża sobie, że czuje zapach deszczu, tak wyczekiwanego. Wymaglinowane wspomnienie.

- Ktoś się pojawił, ale to już wiesz.

- Domyślałam się.

W aksamitniejącym mroku wybrzmiewają nuty samotnego bansuri. Gdzieś na dole pośród badmaśiów siedzi sobie muzyk i wygrywa starożytną biharską ludową pieśń.

- Ktoś, kto jest inteligentny, odnosi sukcesy, jest cichy i zamyślony, ma świetny gust, dużo tajemnic i sekretów, i wszystkiego się boi, ale bardzo tego pragnie.

- Oj, dżanum, czyż nie wszyscy tego szukamy?

- Ale ten ktoś przypadkiem jest mężczyzną.

Nanak nachyla się ku niemu.

- I to dla ciebie problem?

- Wyjechałem z Mumbaiu, żeby uciec od skomplikowanych związków, i dostałem się w jeszcze bardziej skomplikowany. Odeszłem, bo nie chciałem grać w tę grę - w grę pod tytułem kobieta i mężczyzna. Dałeś mi nowe reguły, włożyłeś mi je do głowy, głęboko, a teraz one też przestały działać.

- Chciałeś, żebym sprawdziło, czy wszystko działa w prawidłowym zakresie parametrów.

- Ale ze mną musi być coś nie tak.

- Tal, nic nie jest z tobą nie tak. Przejrzałem cię na wylot. Jesteś idealnie zdrowe na ciele, umyśle i w kwestii relacji międzyludzkich. A ty chcesz, żebym ci powiedział, co masz robić. Nazywasz mnie „guru”, myślisz, że jestem mądre, ale nie zrobię tego. Nie ma takiej reguły ludzkiego zachowania, której ktoś by gdzieś, kiedyś nie złamał, w niezwykłych, czy też pospolitych okolicznościach. Człowieczeństwo to umiejętność wzniesienia się ponad reguły. Taki już mamy wszechświat, że najprostsze reguły mogą wygenerować bardzo skomplikowane zachowania. Twoje implanty po prostu zapewniają zestaw nowych imperatywów, wolnych od ciśnienia reprodukcyjnego. I tyle. Reszta, dzięki bogom, zależy od ciebie. Gdyby nie powstawały z tego kłopotliwe i złożone problemy serca, całość byłaby nic niewarta. Bo to dzięki temu całe to przewspañiałe szaleństwo ma sens. Jesteśmy urodzeni dla kłopotów, tak jak iskry do lotu w górę - to właśnie jest w nas piękne - w kobiecie, mężczyźnie, transseksie, neutku.

Dźwięki fletu prześladowają Tala. W wiejącej znad rzeki wieczornej bryzie wyczuwa sugestię deszczu.

- Pytanie brzmi „kto”, nie „co” - rzuca Suniti, zbierając thali. - Kochasz go?

- Myślę o nim przez cały czas, cały czas chodzi mi po głowie, chcę dzwonić do niego, kupować mu buty, robić mu miksy muzyczne i dowiedzieć się co lubi jeść. Wiem, że lubi kuchnię Środkowego Wschodu.

Nanak kołysze biodrami.

- Tak tak tak tak. Moja asystentka ma oczywiście rację, jak zawsze, ale nie odpowiedziałoś na jej pytanie. Kochasz go?

Tal robi wdech.

- Chyba tak.

- To wiesz, co musisz zrobić - mówi Nanak, a Suniti zgarnia z obrusa metalowe talerze i zabiera je, lecz po ułożeniu jej ramion Tal poznaje, że jest zadowolona.

Po kolacji idą do jacuzzi. Nanak i Tal chlapią się w sięgającej do sutków wodzie, w wielkiej,

drewnianej wannie stojącej na drugim skrzydle pomostu nawigacyjnego, posypanej płatkami aksamitek, z odrobiną olejku z drzewa herbacianego, na uporczywą grzybicę stóp Nanaka. Po trzech stronach pionowo wznosi się dym z kadzidełek, powietrze nadnaturalnie nieruchome, pogoda w stanie nierozstrzygnięcia, oczekiwania.

Łuna nad Patną jest złotą mgławicą na zachodnim horyzoncie. Nanak gładzi Tala po udzie swoimi długimi, giętkimi palcami stóp. Nie ma w tym płciowego podniecenia. To dotyk, coś, co robią neutki przyjaciele. Tal wyciąga z plastikowej termoizolátky kolejne dwa kingfishety, otwiera je o krawędź wanny. Jedno dla siebie, drugie dla jego guru.

- Nanak, myślisz, że wszystko będzie dobrze?

- Z tobą, osobiście? Ze mną? Tak. Ludziom łatwo przychodzą pozytywne zakończenia. Z tym miastem, krajem, wojną? Nie jestem już takie pewne. Nanak sporo widzi ze swojego mostka. Przez większość dni widzę Atmosferyczną Brązową Chmurę, widzę, jak spada poziom wody, widuję szkielety na plaży, ale ich się nie boję. Boję się tych okropnych dzieciaków, zwanych Braminami. Ktoś, kto wymyślił tę nazwę, miał łeb. Powiem ci, co jest w nich takiego strasznego dla Nanaka. Nie chodzi o to, że żyją dwa razy dłużej, dwa razy wolniej niż my, ani że są dziećmi o prawach i upodobaniach dorosłych. Przeraza mnie, że przyszedł moment, w którym pieniądz może zmienić bieg ludzkiej ewolucji. Dotąd mogłoś dostać w spadku krory forsy, posłać dzieci do amerykańskich szkół - tak jak ci wszyscy pokrzyżowani wsobnie, mocno pieprznięci maharadzowie - ale nie dało się kupić IQ, zdolności, ani choćby ładnego wyglądu. Możliwe były tylko kosmetyczne zmiany. Ale w przypadku Braminów - możesz kupić całą nową infrastrukturę. Rodzice zawsze chcieli zapewnić swoim dzieciom przewagę, teraz mogą przekazać ją wszystkim przyszłym pokoleniom. Jest jakiś rodzic, który by tego nie chciał? Świętej pamięci Mahatma był bardzo bardzo mądry, ale nigdy nie powiedział większej bzdury niż ta, że sercem Indii są jej wsie. Sercem Indii i ich głową jest klasa średnia. Brytole o tym wiedzieli, dzięki temu ich garstka mogła rządzić nami przez sto lat. Nasze społeczeństwo jest zaciekle burżuazyjne - kasa, pozycja, szacunek. A teraz to wszystko zaczyna się bezpośrednio dziedziczyć - w genach. Możesz stracić wszystkie pieniądze na rynkach, zbankrutować, przegrać je, stracić w powodzi, ale genetycznej przewagi nikt ci nie zabierze. Skarb, którego nie ima się żaden złodziej, spadek, który swobodnie przechodzi na potomnych.... Ostatnio sporo się nad tym zastanawiałom.

- Nanakji, nie powinnoś się tym martwić. Z nami to nie ma nic wspólnego. My jesteśmy po Odejsciu. - Czuje, jak Nanak sztywnieje pod jego dotykiem.

- Ale wcale nie, baba. Od tego nikt nie odejdzie. Na tej wojnie nie ma cywilów. Mamy nasze wspaniałe życie i nasze drobne cudowności w sercu, ale nadal jesteśmy ludźmi. Nas to też dotyczy. Tylko że teraz ludzie zwrócą się przeciwko ludziom. Skoczmy sobie do gardeł w walce o przyszłość dzieci. Klasa średnia nauczyła się na dziesięcioleciach Niedoboru Kobiet, jak łatwo jest wykreować nową kastę i jakie to fajne, szczególnie kiedy bindi tej kasty nosi się we własnym DNA. Ten genetyczny Radź będzie rządzić nami przez tysiąc lat.

Jest już zupełnie ciemno. Tal czuje na skórze niespodziewany powiew chłodu od rufy. Wzdryga się, drobiażdżek na wielkim kontynencie, czując, że w przyszłości nie ma dla niego miejsca - dla cywila na genetycznej wojnie. Z dołu dobiega australijski akcent:

- Hej, Nanakji, tam na górze! Dobry wieczór! Deszcz w Hyderabadzie, właśnie słyszałem.

Nanak podnosi się do połowy z aromatycznej wody, ale wołającego i tak nie widać.

- Zaiste, dobra nowina! - odkrzykuje. - Trzeba to uczcić!

- Napiję się za to!

Cichy dźwięk dobiega od strony wjazdu na główny mostek. Kąpiący się odwracają. Stoi tam neutko ubrane w piękną błękitną *yukatę*, obejmujące się ramionami.

- Usłyszałem... i pomyślałem... mogę?

- Wszyscy są mile widziani - odpowiada Nanak, gmerając w izolatce za kolejnym kingfisherem.

- To prawda, naprawdę będzie padać? - pyta neutko, wyslizgując się z niebieskiej bawełnianej szaty.

Tal przeżywa zimny wstrząs na widok wąskich ramion, szerokich, rodzących dzieci bioder, spłaszczonych od hormonalnych zastrzyków pączków piersi, świętego trójkąta wygolonej joni. Preop. To to nieśmiałe, to o nim Nanak mówił, że może uciec. Próbuje sobie przypomnieć trzy lata, kiedy samo żyło jako preop, próbując zaoszczędzić na miejsce na *Fugazi*. To seria fragmentarycznych wspomnień, jak pamięć jakiegoś koszmaru. Trzy zastrzyki hormonalne dziennie. Ciągłe golenie. Bezustanne powtarzanie mantr, żeby przestać myśleć jak płciowiec, zacząć jak neutko.

- Tak, myślę, że nareszcie będzie - mówi Nanak, gdy neutko zstępuje w wodę obok niego i zatracą wszelką płciową tożsamość. Przesuwają się ku sobie w ciepłej jak krew wodzie, dotykają, jak to neutki.

Tal śpi tej nocy u boku Nanaka, głęboko, skulone, dotykając go, jak to neutki, jak przyjaciele, którzy czasem śpiją razem.

- Uważaj na siebie w tym Varanasi! - woła Nanak, gdy Tal schodzi po obdrapanej burcie *Fugazi* na czekającą Riwę, podskakującą na brudnej wodzie.

- Postaram się! - odkrzykuje Tal. - Ale to sprawa sercowa...

Wyglądając przez okno wodolotu odbijającego od wspaniałego nabrzeża Bundu, Tal widzi rozciągającą się po horyzont na wschodzie i południu płaszczyznę skłębionych szarych chmur. W jego wewnętrznym uchu dudni miks ROMANS i PRZYGODA.

Tak jak się spodziewało, Varanasi się nim zachwyca. A konkretnie zachwyca się nim Dział Scenografii Metaseriale w Indiapendent Productions. A jeszcze konkretniej Neeta w recepcji. Klaszcze w dłonie, mówi mu, że wygląda faaaantastycznie, że widać, że świetnie się bawiło w tej okropnej Patnie i... oj, prawie zapomniałam, jest do ciebie list, priorytet i w ogóle.

Priorytet jest ubrany w plastikową koszulkę z nalepkami „Priorytet”, „Do rąk własnych”, błyskawicami i chytrymi sznureczkami, które się pociąga, by uwolnić zakładeczki, które z kolei pozwalają oderwać perforowany pasek i wyciągnąć ze środka kopertę z Ważnym Dokumentem, którą trzeba nacisnąć, pociągnąć i rozerwać hermetyczny plastik wzdłuż perforacji i dopiero wtedy można przeczytać wiadomość. Jedna kartka papieru. Odręcznie napisane słowa. „Muszę się z Tobą znowu zobaczyć. Możesz dzisiaj, 12 sierpnia? W klubie czy gdziekolwiek. Proszę. Dziękuję”. I jeden zawijas inicjału pod spodem.

- Jak *Miasto i wieś*, tylko że naprawdę! - oświadcza Neeta.

W fatfacie jadącym do White Fortu Tal czyta list kilkanaście razy. Gdy odpicowuje się na wielkie wyjście (jeśli w klubie będzie jeszcze ktoś *stylowy*, na pewno nie będzie mógł oderwać od niego wzroku), telewizja puszcza same wojenne smęty, a na kanałach rozrywkowych jest pełno uśmiechniętych, tańczących w szyku ludzi - po raz pierwszy nie może na to patrzeć. Nic tu dla niego nie ma. Łapie torbę i pędzi. Na podeście stoi Mama Bharat, wynosi śmieci.

- Nie mam czasu, nie mam czasu, lecę na randkę, bardzo bardzo się śpieszę! - wykrzykuje Tal.

Mama Bharat robi namaste i Tal już leci dalej w dół schodami, przeciskając się obok paru facetów w garniturach, którzy przyglądają mu się o parę sekund za długo. Obserwuje, jak mijają jego drzwi i idą dalej w górę. W pełnym filarów podziemiu czeka już taksówka - tego wieczoru dzieciaki mogą sobie krzyczeć, co tylko zechcą, wydawać zwierzęce odgłosy, syczeć, a z Tala to wszystko opada jak płatki aksamitek. Na jego systemie w ten wieczór wieczorów grają miksy DZIWNY KLUB, ZBIORNIK NA FUGAZI oraz - czyż się odważy? - MIKS NA SEKS.

Wchodząc w zaułek prowadzący do Banana Club, Tal podwija rękaw i wprogramowuje sobie *blogipłynnyżaroczekiwania*. Białkowe chipy odpalają, gdy otwierają się szare drewniane drzwi. Ślepa staruszka o ptasiej twarzy jest na posterunku, w karmazynowym sari, głowa lekko odchylona w tył, dłonie pełne karłowatych bananów. Wygląda, jakby nie ruszała się stąd od ostatniej wizyty Tala.

- Witam, witam znów, moje śliczne! Proszę, częstuj się. - Podaje owoce.

Tal delikatnie zgina jej palce wokół bananów.

- Nie, nie dzisiaj. - Tal waha się, boi się zapytać. - Czy jest może...

Ślepa staruszka wskazuje na najwyższą galerię. Dziś nie ma nikogo, choć jest początek miesiąca. Przez plotki o wojnie i deszczu. Na dole, na głównym dziedzińcu neutko w długiej, powiewnej spódnicy tańczy kathak z ponadklasyczną gracją. Pierwsze piętro jest puste, jeśli nie liczyć dwóch zagadanych par na kanapach. Drugie piętro to skórzane klubowe fotele i niskie stoliki. Mosiężne latarnie na stołach robią klimat jak robaczki świętojańskie. Strefa chilloutu. Dziś siedzi tam tylko jeden gość: Khan, na fotelu na samym końcu tarasu, z rękoma położonymi symetrycznie na poręczach w sposób, który Talowi zawsze wydawał się ponadczasowo stylowy. Bardzo po angielsku. Ich oczy spotykają się. Tal mruga na powitanie. Khan, rozkoszny Khan, nie zna tego języka. Tal przeciąga dłonią po drewnianej poręczy. Do jej budowy użyto drzewa sandałowego, we wnętrzu ręki Tala zostawia feromonowy odcisk.

- Oj, ty - mówi, zwijając się na fotelu pod kątem prostym do Khana. Czeką na uśmiech, pocałunek, jakiegokolwiek powitanie. Khan porusza się nerwowo, z mruknięciem. Na niskim, grubonogim stoliku leży biała koperta. Tal wyjmuję swój list, złożony schludnie na cztery i kładzie go obok. Zakłada gładką nogę na nogę.

- Powiedz mi chociaż, że przepięknie wyglądam - żartuje. Mężczyzna się wzdryga. To nie idzie według jego scenariusza. Przesuwa kopertę w stronę Tala.

- Proszę, weź to.

Tal odgina klapkę, zagląda do środka, nie dowierza własnym oczom i przygląda się dłużej, jeszcze bardziej niedowierzająco. W środku jest plik tysiącrupiowych banknotów, sto sztuk.

- Co to ma być?

- To dla ciebie.

- Jak to dla mnie? To...

- Ja wiem, co to jest.

Tal kładzie kopertę płasko na stole.

- No cóż, to bardzo hojnie, ale żeby je przyjąć, muszę wiedzieć coś więcej. To w końcu kupa forsy.

Mężczyzna się krzywi.

- Nie mogę się z tobą więcej widzieć.

- Co? O co chodzi, co ja zrobiłem?

- Nic! - I nagle, łagodnie, ze smutkiem: - Nic, to o mnie chodzi. W ogóle nie powinienem... Nie mogę się z tobą widywać. Nawet tutaj, dzisiaj. - Śmieje się boleśnie. - Wydawało mi się, że to najbezpieczniejsze miejsce... Weź, to dla ciebie. Weź, proszę.

Tal wie, że ma otwarte usta. Czuje coś, co wyobraża sobie jak uderzenie mózgu o tył czaszki po ciosie kijem do krykieta. Czuje także, gładką, świętą skórą na potylicy, że na balkonie drugiego piętra ktoś z nimi jest, ktoś, kto dopiero przyszedł.

- Chcesz mi zapłacić za milczenie? Wręczasz mi lach rupii i mówisz, że nie chcesz mnie widzieć, że mam ci już nie wchodzić w drogę? Ja wiem, co to znaczy. To są pieniądze za wyjazd z Varanasi. Ty palancie. Ty palancie. Co myślałeś, że zrobię? Że będę cię szantażować? Powiem żonie albo facetowi? Polecę do gazet? Powiem moim kumpłom-zboczkom, neutkom, bo my o wszystkim plotkujemy, wszyscy to wiedzą, nie? Za kogo ty się masz?

Twarz mężczyzny marszczy się w udręce, lecz Tal nie da się powstrzymać. Czuje czerwoną

wściekłość. Łapie pieniądze, zrywa się, by cisnąć Khanowi w twarz zdradziecki list. Mężczyzna unosi dłonie, odwraca twarz, lecz nie ma obrony.

- I tak trzymaj, Tal - mówi ktoś. Błysk światła. Na końcu stołu stoi Tranh, na rozstawionych nogach, stabilnie trzymając palmera w prawej dłoni. - I jeszcze jedno. - Błysk. Mężczyzna zasłania twarz dłońmi, rozgląda się za ucieczką, lecz za Tranhem stoją mięśniacy w garniturach. - Powiem ci, co ćuit, kto to taki. To Shaheen Badoor Khan, osobisty sekretarz parlamentarny Sajidy Rany. We własnej osobie. Strasznie cię przepraszam, strasznie mi przykro, że to musiało być ty. Nic osobistego, wierz mi, proszę. To polityka. Cholerna polityka. Przepraszam, Tal. - Tranh zamyka palmera, waha się, z dłonią przyciśniętą do ust, jakby skrywał obrzydliwy sekret. - Tal, uciekaj z Varanasi. Zostałoś wrobione od samego początku. Wysłano mnie, żebym cię znalazł; byłoś młode, niewinne, teraz jesteś zbędne. Jedź!

Masywni panowie sprowadzają je po schodach, jak napadniętego przez wrony kolibra.

ROZDZIAŁ 24 NAJIA

Najia Askarzadah ćwiczy z przyjaciółkami szybki chód. W kusym topie, króciutkich szortach i butach-nówkach, które otulają stopy i zapamiętują, co poczuły. Kupiła je za pieniądze ze zdjęć Ratha Jatry, a oprócz nich mnóstwo innych rzeczy. Dla siebie, dla przyjaciółek, aby dalej się z nią przyjaźniły. Relacje Najii Askarzadah zawsze były kontraktami.

Odkąd Najia dołączyła do towarzystwa Imperialu International, chodzą na te spacerki przed śniadaniem w każdy wtorek i czwartek. Dziś jest to jej bardzo potrzebne. Wczoraj wieczorem wszystkie zmasakrowały się szampanem Omar Khayyam. Zjawił się i Bernard, niechętnie pogratulował jej dziennikarskiego losu, a przez resztę wieczoru gadał o reprezentacji, epistemologicznych wieloświatach i o tym, że jedyną możliwą intelektualną reakcją jest potraktować to wszystko jak odcinek *Miasta i wsi*, nie mniej, a z pewnością nie więcej, to rozwijająca się fabuła serialu, w którym nie ma miejsca na dramatyczne zakończenia - czy poza obrazem w telewizji ktoś ma jakiś dowód, że Sajida Rana faktycznie postawiła stopę na szczycie tamy Kunda Khadar? A jeśli chodzi o N.K. Jivanjeego to dobry polityczny żart: wszyscy go widzieli, ale nikt nie przypomina sobie, by się z nim spotykał; już zbliżające się wesele Aparny Chawli i Ajay Najiadwali jest dzięki swojej kiczowatości bardziej wiarygodne. Cieszył się jednak z jej sukcesu, cieszył się, bo teraz uświadomiła sobie wszechogarniającą energię wojny.

Będzie chciał mnie znów ściągnąć do siebie, pomyślała. Jest zazdrosny i od tygodnia się nie pieprzył.

Może chciałyby wrócić, popracować z nim nad teorią tego wszystkiego? Ma w domu trochę skuna Red Roof Garden.

Miał w domu pełno gazy. Obwiesił nią wszystkie pokoje w wielkie falbany i draperie, falujące delikatnie w wietrzyku wpadającym przez lufcik. Słyszał, że deszcz dotarł już nad Dekan i całe wsie wychodzą, żeby tańczyć. To by mu się podobało: tańczyć w deszczu, tańczyć z nią. Spodobała jej się ta myśl. Red Roof Garden był bardzo przyjemny i już po półgodzinie kuciała nago, z udami podciągniętymi w pozie ostrygi, na jego kolanach, trzymając w środku jego prostego i twardego penisa, zaciskając go i puszczając, zaciskając i puszczając w rytm nuconej mantry, w świetle tuzina terakotowych oliwnych lampek. Ale to czarowi półtorej butelki Omara Khayyama zawdzięczała, że osiągnęli to, co Bernard od dawna obiecywał - że utrzyma fiuta w niej przez bitą godzinę, nie poruszając się, oddychając i mantrując jak jedno, zaciskając się i luzując, zaciskając i rozluźniając, zaciskając i rozluźniając, aż, ku zaskoczeniu Najii, rozświetlił ją powolny ogień orgazmu, rozlewając się po ciele, jak oliwa z lampki: w końcu oboje poczuli białą eksplozję nasienia i Kundaliniego wypalającego dziurę w szczycie ich čakramu Sahasrar.

Przyjaciółki skręcają z ocienionego podjazdu Imperiala na Mall. Zieleń jest chłodna, pachnie wilgocią i wzrostem, ale jest godzinę po wschodzie słońca, a skwar na bulwarze już wali jak

młotem. Poci się. Wypaca nocne ekscesy. Dłonie w rękawiczkach dyrygują rytmem, szczupła pupcia przesuwa się w obcisłych, króciutkich szortach wzdłuż dwupasmowego korka, wiodącego do Varanasi, złotego i różowego w porannej mgiełce. Faceci gwizdzą i wołają, ale szybko chodzące cudzoziemki są szybsze niż poranny varanaski ekstremalny korek. Lepiące się do stóp sportowe buty mogą przenieść Najię Askaradah o całe przecznice w czasie, w którym oni przesuną się szarpnięciem o długość samochodu. Przy nowym parku handlarze już rozkładają swoje plastikowe płachty, układają owoce, akumulatory do samochodów i podroby lekarstw w obwisłym, pylistym cieniu na wpół uschłych migdałowców. To będzie najgorętszy dzień jak dotąd, mówi Najii pory skóry. Zanim się załamie, osiąga szczyt nieznośności, mówi Bernard. Popijając wodę z butelki, przepatruje horyzont, lecz niebo nad wieżowcami Ranapuru przypomina odwróconą misę z kutego brązu.

Czuje ciepło promieniujące z wielkiego auta o cichym silniku, zanim jeszcze zbliży się do niej wielki terenowy merol, opalizujący skarabeuszową czernią. Opuszcza się lustrzana szyba, dudnienie dhol'n'bass wzmaga się o oczko.

- Cześć! Cześć!

Gapi się na nią szczerbaty, śniady gunda. Wokół szyi ma owinięty sznur pereł.

Spuść głowę, unieś pięści. Nie zatrzymuj się. Czuje drganie na pośladku; ktoś dzwoni na przypiętego do paska palmera. To nie połączenie głosowe, ani wideo, ani tekst - lecz bezpośredni transfer danych. Potem merol przyspiesza, kierowca macha jej swoim palmerem i pokazuje „OK”. Wciska się czarnym autem w lukę między miejskim autobusem a cysterną z wodą w wojskowej eskorcie.

Najia ma ochotę paść w chłodek imperialnego basenu, ale tajemnicza wiadomość nie pozwala. To plik wideo. Dziennikarski instynkt nakazuje ostrożność. Zabiera palmera do kabiny prysznicowej i klika w nagranie. N.K. Jivanjee zasiada w lekkim, przewiewnym pawilonie wyściełanym przepięknymi, wzorzystymi kalamkari. Tkaniny delikatnie powiewają, wydymając się ciężowo. N.K. Jivanjee robi namaste.

- Dobrze rano, pani Askaradah. Zakładam, że moi posłańcy o takiej właśnie porze dostarczą pani wiadomość. Spacer na pewno był odświeżający, ćwiczenia fizyczne z samego rana to zaiste najlepszy początek dnia. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że sam witam pierwsze promienie słońca odprawiając Surja Namaskarę, ale wie pani... wiek... W każdym razie, gratuluję użytku, jaki zrobiła pani z mojej ostatniej informacji. Znacznie lepiej niż oczekiwałem, jestem bardzo, bardzo zadowolony. Dlatego postanowiłem powierzyć pani kolejną publikację zastrzeżonych danych. Przejmie je pani od mojego pracownika dziś o północy, pod adresem, który pojawi się na tym ekranie. Będzie to informacja o najwyższej wrażliwości, myślę, że nie przesadzam, mówiąc, że odmieni ona polityczny obraz tego kraju. Powtarzam i podkreślam wszystkie moje poprzednie ostrzeżenia. Niemniej jednak, jestem pewien, że mogę na pani polegać. Dziękuję i wszystkiego najlepszego.

Najia Askaradah zna ten adres. Zanim dołączy do swoich współspacerowniczek, pluskających się w błękitnym basenie, pamięta, by zamknąć palmera w pokoju.

Wystarczy gdzieś pójść raz, żeby znaleźć się tam powtórnie szybciej niż ci się wydaje. Zgiełk klubu atakuje uszy. Ławki z odpadowego drewna są zatłoczone mężczyznami wymachującymi pokwitowaniami zakładów i drącymi się na upstrzonym krwią piasku. Wielu jest w mundurach. Każda wojna to zakład. Wskazówki z palmera kierują ją w dół schodami, prosto w pierwszy rząd. Dźwięk, zapach potu, rozlanego piwa, utlenionych perfum, po prostu przytłaczają. Najia przepycha się między rozkrzyczanymi, rozgestykulowanymi ciałami. Przez las dłoni dostrzega mikroszable trzymane wysoko przez właścicieli, paradujące wokoło piaszczystego ringu. Zastanawia się nad tym zwierzęco przystojnym chłopakiem, który wpadł jej w oko pierwszego razu tutaj. Potem koty spadają na piasek, ich właściciele nurkują pod barierą ringu, a tłum wali naprzód z rykiem jak hymn. Najia przepycha się do budek satta. Bukmacherzy mierzą ją spojrzeniami oczu zza liliowych, okrągłych okularków. Gruba kobieta przyzywa ją do siebie.

- Siadaj, siadaj, tu koło mnie.

Najia wciska się na ławkę obok niej. Jej ubranie śmierdzi przypalonym ghi i czosnkiem.

- Ma pani coś dla mnie?

Bukmacherka nie zwraca na nią uwagi, wzrok ma utkwiony w swoim zeszytce. Jej pomocnik, chudy staruszek, zgarnia szponami kasę i pstryka kwitkami po wypolerowanym drewnianym blacie. Zapowiadacz zeskakuje z wysokiego krzeselka i wbiega na ring, by ogłosić kolejną rundę. Dziś jest przebrany za pierrota.

- Nie, ale ja mam - słyszy za jej plecami. Odwraca się.

Facet nachyla się nad oparciem jej ławki. Jest ubrany w czarną skórę, Najia czuje jej zapach, dymny, zmysłowy. Dziki chłopaczek z mercedesa stoi u jego boku: ta sama koszula ten sam uśmiech ten sam sznur pereł. Mężczyzna unosi mocną, żółtą kopertę formatu A4.

- To dla ciebie. - Ma ciemne, wilgotne oczy, piękne jak u dziewczyny. Takich oczu się nie zapomina, Najia wie, że już je wcześniej widziała. Lecz waha się przed wzięciem koperty.

- Kim ty jesteś?

- Płatnym agentem - odpowiada facet.

- Wiesz, co tam jest?

- Ja tylko to doręczam. Ale wiem, że wszystko co tam jest, jest autentyczne i da się zweryfikować.

Najia bierze kopertę, otwiera ją.

Ręka chłopaka z merola wystrzela nad ścianką, zatrzymując ją. - Nie tutaj - mówi mężczyzna.

Najia wsuwa kopertę do swojej torby na ramię. Kiedy odwraca się ponownie, miejsce jest puste. Chciałaby zadać to dręczące pytanie: „Dlaczego ja?”. Lecz mężczyzna o przepięknych oczach na to również nie znalazłby odpowiedzi. Wkłada torbę na ramię i lawiruje z powrotem przez tłum, podczas gdy zapowiadacz skrada się wokół ringu, trąbiąc pneumatycznym klaksonem i krzyżąc: „Obstawiać! Obstawiać! Obstawiać!”. Przypomina sobie, skąd zna te oczy. Spotkała je właśnie w tej perspektywie - ona przy balustradzie balkonu, on w zagrodzie satta.

Wraca na skuter, włącza się do ruchu. Dziś miasto wydaje się bliskie, groźne, z nożem w zanadru.auta i ciężarówki chcą mieć ją pod kołami. Ulica korkuje się z powodu krowy niespiesznie, radośnie sikającej sobie pośrodku jezdni. Najia otwiera żółtą kopertę, wyciąga górną jedną trzecią pierwszego zdjęcia. Wyciąga połowę. Potem całość. Potem następne zdjęcie. I następne.

Krowa powędrowała dalej. Furgonetki trąbią, kierowcy krzyżą, machają, obrzucają ją barwnymi przekleństwami.

I następną. I następną. Ten człowiek. Ten człowiek to. Ten człowiek, rozpoznaje go, choć to twarz, która umie skrywać się dobrze przed kamerami. Mówi się, że jest wolą sprawcą Sajidy Rany. Jej osobisty sekretarz. Daje forszę. Cały plik. Neutko. W klubie. Shaheen Badoor Khan.

Gapi się na nią cała ulica. Idzie już wymachujący lathi policjant. Najia Askarzadah wciska fotografie do koperty, z bijącym sercem przekręca gaz, rusza, pyrkocząc pyk-pykpyk-pyr alkoholowym silniczkim. Shaheen Badoor Khan. W rozdundionym, jadowitym potoku pojazdów steruje nią samo ciało migdałowate, widzi pieniądze, widzi apartament nad rzeką w New Sarnath, widzi ciuchy-nówki i gigamegawakacje i szampana, który nie jest Omarem Khayyame, i wywiady i jej nazwisko na nagłówkach idących przez wszystkie kolumny w całym Bharacie, w całych Indiach, na całym świecie, i rodziców otwierających „Dagens Nyheter” w dalekiej, eleganckiej, chłodnej Szwecji, a tam pod nagłówkiem wiadomości z zagranicy zdjęcie podpisane przez ich córkę.

Zatrzymuje się. Jej serce bije arytmicznie, trzepocze, wrywa się. Tak działa kofeina tak działa szok tak działa ostry seks tak działa radość. Tak działa otrzymanie wszystkiego, czego się pragnęło. Widzi. Słyszy. Czuje. Stoi w obliczu wiru barw i dźwięków. Jej przedświadomość nie mogła jej zaprowadzić gdzie indziej niż w samo serce bharackiego obłędu i sprzeczności. Rondo Sarkhand.

Nic, co ma silnik i koła, nie przedostanie się przez to skrzyżowanie. Odchodzące odeń promienie drogi nabrzmiały jak chore żyły, obrastając miasteczkami namiotów i obozami ciężarówek, lśniącymi od żółtych ulicznych świateł i blasku przydrożnych kapliczek. Najia stawia stopy na ziemi i prowadzi skuter na obrzeża, wabiona urodą chaosu. Wirująca ściana koloru, przebłyskująca między płataniną ciężarówek i plastikowych folii, to ludzka karuzela, tańcząca i śpiewająca wokół jaskrawo pomalowanej betonowej figury Ganeśi. Niektórzy niosą transparenty, inni trzymają lathi za czubek, tak że ich końce kołyszą się i podskakują nad głowami jak trzcinowe zarośla na przedmonsunowym wietrze. Noszą dhoti i koszule, niektórzy są w zachodnich spodniach, a nawet garniturach. Paru nagich, wysmarowanych popiołem sadhu. Przebiega grupka kobiet w czerwieni, wyznawczyń Kali. Wszyscy mimo woli wyrównali krok, poruszają się idealnie w jednym rytmie. Pojedyncze osoby odchodzą i przychodzą, ale krąg porusza się wiecznie. Walec powietrza pomiędzy fasadami budynków wibruje jak bęben.

W jej pole widzenia wtacza się ogromny czerwono-pomarańczowy obiekt - ratha jatra, jak ta, którą widziała na Industrial Road. Może nawet ta sama. Rydwan Śiwy N.K. Jivanjeego. Prowadzi skuter w głąb. Synkopowane skandowanie to szalony, radosny hymn. Czuje, jak jej oddech i puls synchronizują się z tym tańcem, jak ścisła się łono i twardej sutki. Szaleństwo ją wchłania, zaczyna ją określać. To właśnie to wariactwo i niebezpieczeństwo, którego poszukiwała na odtrutkę od swojej bezpiecznej szwedzkości. Mówi, że jest tu jeszcze życie pełne niespodzianek, warte przetrzymania. *Podniecająco żebrowane! Sztruksowe spodnie!* - krzyczy ogromna, żółta reklama nad zwariowanym odpustem.

Karsevak z wystającymi zębami wciska jej kartkę formatu A5.

- Czyta czyta! Demony nas atakują, napaleni gwałciciele dzieci! - krzyczy. Ulotka ma z przodu tekst w hindi, z tyłu po angielsku. - Nasi przywódcy idą na pasku chrześcijan i demonicznych mahometan! Założyciele Mata Bharat! Czyta ulotkę!

Na ulotce jest spory rysunek przedstawiający Sajidę Ranę jako kukielkę z teatru cieni, tańczącą w swoim designerskim mundurze polowym, za drążki trzyma hakonosy, karykaturalny Arab w czerwono-białej keffii na głowie. Rana wskazuje drogę amerykańskiemu telewizyjnemu kaznodziei, siedzącemu za sterami wielkiego buldożera, z cygarem w zębach, najeżdżającemu na hinduską matkę z dzieckiem, kryjącą się pod szcurem-wahaną rozjuszonego Ganeśi, z uniesioną trąbą i gotowym do ciosu toporem.

Muzułmanie, pedofile, gwałciciele dzieci knują kapitulację przed kulturą coca-coli. Najpierw ukradli wodę Matki Gangi, potem ukradną Sarkhand, a potem cały Święty Bharat! Twój kraj, twoja dusza są w niebezpieczeństwie!

Nienawidzą go, myśli Najia Askaradah, wciąż dygocąc od wchłoniętej ludzkiej energii. Nienawidzą go bardziej niż mogę sobie wyobrazić. A ja mogę im go dać. Mogę im dać, czego pragną: potworny, zabójczy upadek z wysoka. Pedofil, gwałciciel dzieci? Nie, znacznie, znacznie gorzej: wielbiciel stworzeń ani męskich, ani żeńskich. Potworów. Neutków. Niemęski. Blask światła, rozkwita żółty płomień, rozhasany tłum grzmi owacją. W jej polu widzenia pojawia się płonąca flaga Awadhu, wijąca się jak dusza w piekielnym ogniu. Może unieść palec i posłać przyszłość ich wszystkich wirem w nieznanne wymiary. Nigdy nie czuła się tak żywa, tak potężna, tak wielka i kapryśna. Przez całe życie była outsiderką, uchodźcą, poszukiwaczką azylu, Szwedką afgańskiego pochodzenia, szukającą afiliacji, większej całości, jądra, krwi. Czuje oszalamiającą wilgoć w miejscu, gdzie ociera się o winylowe siodełko skutera.

ROZDZIAŁ 25 SHIV

Shiv i Yogendra jadą w górę przez walec dźwięku. *Construxx* szczyli się zespołem architektonicznych tropicieli, którzy wyszukują w dżunglach budów Varanasi i Ranapuru najlepsze przed- i postindustrialne lokalizacje. Niszą *Construxksa* są ujemne słupki na wykresach przepływów gotówki. W ostatnim miesiącu były to najwyższe, penthouse'owe piętra Narayan Tower w zachodnim Varauna: osiemdziesiąt osiem pięter aranżowalnej powierzchni biurowej do wynajęcia, najemców sztuk cztery. W tym miesiącu to potężny betonowy wał, który, kiedy po wojnie znów pojawią się pieniądze, zmieni się w stację metra Uniwersytet. *Construxx* szczyli się imponującymi walorami architektonicznymi i reklamą wyłącznie pocztą pantoflową. Jeśli chcesz ich znaleźć, musisz zapytać właściwych ludzi we właściwych miejscach.

Lokalizacja *Construxksa* na sierpień 2047: pojedź metrem do stacji Panch Koshi, ostatniej na nowej Pętli Południowej, całej z chromu, szkła i tego tłustego w dotyku betonu. Na końcu peronu są prowizoryczne drewniane schodki prowadzące na tory. Ten odcinek jest wyłączony z ruchu. Idź tunelem, aż zobaczysz mały krąg migocących świateł. Po obu stronach tego rozszerzającego się kręgu wyłonią się z mroku dwa ciemne kształty: to ochrona. Musisz albo zaimponować im swoim wyglądem, stylem, sławą czy statusem, albo być zaproszonym gościem Nitisha i Chunni Nathów.

Construxx sierpień 2047 - dla większego wrażenia spójrz w górę. Błękitne punkty kołyszą się pod platformą oświetleniową podwieszoną do prowizorycznego plastikowego dachu. Galeryjki, platformy, linki odciągów, stalowe kraty i siatki rozbijają światło w sieć cieni i odblasków barwy wody. Poruszające się cienie to ludzie, tańczący, podrygujący do spersonalizowanej muzyki idącej przez ich palmery. Stanowisko DJ-a znajduje się w połowie wysokości ściany, na chwiejnej tratwie z prętów do budowy rusztowań i budowlanej siatki. Tutaj składająca się z dwóch ludzi i piętnastu aeai załoga nadaje mix *Construxx sierpień 2047*, dostosowany indywidualnie dla każdego tancerza na peronie.

Construxx sierpień 2047 przestrzega ściślejszej i nieskomplikowanej pionowej hierarchii. Shiv i Yogendra jadą windą towarową przez świeże mięsko i biurowe feministki, cały miesiąc oszczędzające na ten jeden wieczór chwały, przez stada ludzi chcących się znaleźć w serialach, pięknych młodych kryminalistów oraz czyichś synów i córek, a wszyscy poustawiani na odpowiednich dla siebie platformach. Winda holuje ich wzdłuż czerwonych, wypisanych sprejem liter, mających po dziesięć metrów wysokości: to motto *Construxksa*, wypełniające pół orbity betonowego walca: *Art Empire Industry*. Shiv wyrzuca pstryknięciem dopalone bidi. Koziółkuje przez stalowe kraty pod jego stopami i spada w drżący błękit, sypiąc iskrami. Główny bar i główny tłok mieszczą się w przyszłej hali kasowej. Prawdziwi bogowie siedzą na piętze dla VIP-ów, wysuniętym nad otchłań jak wachlarzyk kart. Shiv podchodzi do ochrony: dwóch zwalistych blond Rosjanek w pomarańczowych kombinezonach ozdobionych *Construxksową* mantrą, z wypukłościami mówiącymi o ukrytej, ale łatwo dostępnej sile ognia. Gdy taksują jego zaproszenie, Shiv patrzy, co się dzieje na poziomie dla VIP-ów. Nathowie to dwie drobne postaci ubrane w złoto, jak podobizny

bóstw, darzące suplikantów darśanami. Groźna ruska laska machnięciem ręki wskazuje Shivowi bar. Znalazł się dużo niżej w towarzyskiej hierarchii.

Drinki serwuje się w kasach biletowych. Szeregi cocktail-wallahów miksują, mieszają, schładzają i nalewają w rytmie kojarzącym się trochę z tańcem, a trochę ze sztuką walki. Koktajl wieczoru to coś pod nazwą Kunda Khadar. Wrzuca się lodowy bąbelek do czystej wódki. Lód pęka, wypuszczając bezbarwny płyn barwiący się na czerwono w reakcji z alkoholem. Krew Świętego Bharatu wytoczona w wodę Matki Gangi. Shiv nie miałby nic przeciwko jednemu takiemu, nie miałby nic przeciwko niczemu, co zawiera wódkę, by uspokoić nerwy, ale nie stać go tu nawet na kranówkę. Ale ktoś mu postawi. Jedyne oczy odwzajemniające jego spojrzenie należą do dziewczyny przy poręczu, samotnej, na skraju spirali towarzyskich rozmów. Jest koloru czerwonego: krótka czerwona spódniczka barwy terakoty, burza długich, prostych, karmazynowych włosów. W jej pępku usadowił się opal. Ma kozaczki ze skóry gawiala, z dyndającymi na paskach piórkami i dzwoneczkami - nowa moda, którą Shiv musiał przeoczyć na wygnaniu w Syfnym Mieście. Patrzy na niego przez jedną dwie trzy sekundy, potem odwraca się i spogląda w przepaść. Shiv opiera się o poręcz, zerka w światło, w ruch.

- To przynosi pecha, wiesz?

- Co przynosi pecha? - pyta dziewczyna. Wymawia słowa, przeciągając zgłoski.

- To. - Poklepuje ją po kamieniu w pępku. Krzywi się, ale nie odsuwa. Stawia swój żyroskopowy koktajl na poręczu i odwraca się ku niemu. W przejrzystym alkoholu wiją się spiralnie czerwone macki. - Opale, Kamienie nieszczęścia. Tak uważali wiktoriańscy Anglicy.

- Nie wydaje mi się, żebym była jakoś specjalnie nieszczęśliwa - mówi dziewczyna. - A ty przynosisz pecha?

- Największego na świecie - mówi Shiv. Rozluźnia się i rozpiera na poręczu, strącając jej drinka. Spada jak boska łza, odbijając światło jak klejnot. Z dołu dobiega krzyk kobiety. - I proszę. Oto pech. Bardzo cię przepraszam. Postawię ci drugiego...

- Nie przejmuj się.

Nazywa się Juhi. Shiv prowadzi ją ku kasom. Yogendra przestaje gapić się na ładne towary i idzie za nim w dyskretnej odległości. Kunda Khadary rzeczywiście są bardzo zimne i bardzo dobre i bardzo drogie. Czerwone coś ma smak cynamonu i lekko kopie THC. Juhi papie o klubie i ludziach. Shiv zerka w strefę VIP-ów. Rodzeństwo Nath przesiadło się na jeszcze wyższy poziom, dwie złote gwiazdki pod marszczącą się plastikową markizą. Juhi delikatnie jak gra wstępna kopie go swoim gawialowym butem. Z piórkami i w ogóle.

- Widzę, badmaśiu, że tam patrzysz. Dla kogo ty pracujesz? - Przysuwa się do niego.

Shiv wskazuje brodą Nathów, otoczonych przez ponurych przydupasów. Juhi wykrzywia twarz.

- Ćtuj. Kręcisz coś z nimi? To uważaj. Mogą robić, co chcą, bo mają kupę kasy, a ich stary ma

policję w kieszeni. Wyglądają jak aniołki, ale w środku są starzy i ponurzy. Źle traktują kobiety. On chce się pieprzyć, bo w głowie ma dwadzieścia lat, ale mu nie staje i musi brać te hormony i inne takie, i potem też nie za bardzo. Widziałam większego u psa. Dlatego używa zabawek i innych rzeczy. A ona jest nie lepsza. Patrzy, jak się zabawiają. Wiem, bo moja koleżanka kiedyś z nimi poszła. Jedno warte drugiego.

Groźna ruska laska chwyta spojrzenie Shiva, zaprasza go kiwnięciem głowy. I twoją małpeczkę też.

- Chodź ze mną na górę - mówi do Juhi. - Nie musisz z nimi gadać.

Myśli już, co zrobi, kiedy dostanie zaliczkę. Będą następne Kunda Khadary, pokój w hotelu i jakiś lokal z telewizorem i żarciem dla Yogendry. Zaczyna już czuć ciepło w żołądku. Barki się cofają. Podbródek idzie do góry, krok robi się dłuższy i lżejszy. Złota śmietanka odwraca się, Kunda Khadary jak małe morderstwa w ich dłoniach. Pośrodku nich złote dzieci. Nitish i Chunni Nath obok siebie, w identycznych brokatowych śerwani. Twarze mają gładkie, z dziecięcym tłuszczkiem, o wiele bardziej szczerze i niewinne niż powinny być. Chunni ma włosy do pasa, Nitish ogoloną głowę, jego czaszka połyskuje miką. Shivowi kojarzy się z dzieckiem chorym na raka. Uśmiechają się. Teraz widzi, gdzie się to skrywa. W tych starych, starych uśmiechach. Nitish go przyzywa.

- Pan Faraji. - Głos Nitisha Natha jest wysoki i dźwięczny, przebija się przez muzyczny miks. - A ten chłopak to...?

- Mój asystent.

- Rozumiem.

Shiv czuje pod skórzaną kurtką kropelki potu. Czytają i analizują każde jego słowo, niuans, ton, układ mięśni. Znów czuje ten zapach. Nie wie czy to prawda, czy złudzenie, ale w pobliżu Braminów zawsze czuje, że coś jest nie tak, coś mają popieprzone w genach. Nie pachną jak ludzie.

- A ta... samiczka?

- Nikt. Poznałem przed chwilą. Nic ważnego.

- Świetnie. Pan pozwoli ze mną.

Idą na poziom nad wszystkimi poziomami, zwisającą z głównego dźwigu klateczkę z siatki zbrojeniowej. Shiv, Yogendra i Nitish Nath wpasowują się w nią, jak cząstki pomarańczy w skórkę. Cały zgiełk, echa, szmer ciał tańczących w ciszy na tarasowych peronach cichnie tak nagle, że Shiv odczuwa to jak ostry ból.

- Tu jest pole wyciszające - mówi Nitish Nath. Jego głos brzmi płasko, jakby mówił Shivowi prosto w bębenek. - Sprytne, nie? Bardzo przydatne do dyskretnych spraw. Jesteśmy zadowoleni z pana wyników, jak dotąd. Pana etyka biznesowa jest czymś niespotykanym. Przekazano panu, że jeśli będziemy usatysfakcjonowani pana pracą, pojawią się nowe zadania. Chcemy zaoferować panu kolejny kontrakt. Będzie niebezpieczny. Z pewnym prawdopodobieństwem może pan zostać zabity. W

zamian przejrzymy pana długi wobec Dawoodów. Ich maszyny nie będą już pana odwiedzać. I dorzucimy dość, żeby się pan urządził, w tym mieście, czy w innym.

- A jakie to zadanie?

- Ekstrakcja, panie Faraji. Najpierw rys historyczny. Niewiele pan z tego zrozumie, ale nie będzie pan mógł powiedzieć, że nie został w stu procentach poinformowany. Amerykański rząd od pewnego czasu zleca na zewnątrz różne związane z wywiadem zadania obliczeniowe, których nie może przetworzyć u siebie, z uwagi na Ustawy Hamiltona. Przeważnie wykorzystują przechowalnie danych w krajach, które nie podpisały międzynarodowych umów i mają dostęp do wysokopoziomowych sztucznych inteligencji. Wie pan, co to znaczy: generacja dwa i pół?

- Komputer, którego nie da się odróżnić od człowieka przez siedemdziesiąt pięć procent czasu.

- Dobrze podsumowanie. Ustawy zakazują wszystkiego, co jest powyżej tego poziomu. A wszystko co poniżej trzeba licencjonować. Bharat nie jest sygnatariuszem, ale samodzielnie licencjonuje wszystko do dwóch i pół, aby zachować swoją dominującą pozycję na rynku medialnym, przez *Miasto i wieś* i tym podobne. Nasz klient ustalił, że pewien sundarban w Bharacie zajmuje się deszyfracją dla Stanów Zjednoczonych - są w to zaangażowane NASA, Pentagon i CIA, co jest dość niezwykle, ale sugeruje, jak ważne jest to zadanie. Nasz klient chce dostać klucz do tego szyfru.

- Co konkretnie miałbym zrobić? - Od pola wyciszającego Shiva aż bolą trzonowce.

Nitish Nath klaszcze w małe, pulchne rączki.

- Bardzo konkretnie! Zadanie składa się z dwóch części. Najpierw trzeba ustalić, który sundarban to robi. Potem dokonać infiltracji i wykraść klucz. Wiemy, że trzy tygodnie temu przyjechał do Bharatu ten człowiek. - Nitish Nath unosi dłoń. Ma na niej rękawiczkę od palmera. Wyświetla w nim wideo przedstawiające brodatego zachodniaka w tych workowatych ciuchach, które nigdy im dobrze nie pasują. Zdybano go w Kashi, jak wysiada z fatfata, patrzy w lewo, w prawo, przechodzi przez ulicę i przepycha się przez tłum do baru. Wideo się zapętla. - Nazywa się Hayman Dane, jest Amerykaninem, niezależnym specem od krypto.

Shiv przygląda się grubasowi.

- Wygląda na to, że czeka go dotkliwy ból.

Nitish Nath chichocze. Nie jest to dźwięk, który Shiv chciałby usłyszeć jeszcze raz.

- Kiedy będzie pan dysponował lokalizacją i planem zorganizowania ekstrakcji, nasz klient pokryje faktyczne pana koszty. My oprócz tego dorzucimy hojne wynagrodzenie. A teraz możemy już stąd zejść? Od pana zapachu robi mi się niedobrze.

Pole wyciszające znika z pyknięciem. Wokół Shiva imploduje *Construxx* sierpień 2047. Wydaje mu się świeży, zwinny, oddychający, czysty. Shiv schodzi za Nitishem Nathem po stromych schodkach do strefy dla VIP-ów.

- Mam wolną rękę?

- Tak. Ale nic nie może pozwolić powiązać pana z nami, czy naszym klientem. A teraz, pana decyzja.

Decyzja jest oczywista.

- Wchodzę w to.

- Super super super! - Nitish Nath zatrzymuje się na dole schodów i wciska swoją małą, gładką rączkę w dłoń Shiva.

Shiv zwalcza odruch cofnięcia jej. Ręka wydaje mu się martwa. Widzi trupa kobiety wysuwającego się z czarnego plastiku w czarną wodę rzeki.

- Chunni! Pan Faraji jest z nami!

Chunni Nath jest o połowę niższa od Shiva, ale kiedy unosi wzrok i patrzy mu w oczy, włosy na jajach jeżą mu się ze strachu. Oczy ma jak ołowiane kulki.

- Jest pan z nami. Świetnie. - Przędzie słowa jak bawełnę. - Ale czy jest pan jednym z nas?

Jej brat uśmiecha się.

- Co ma pani na myśli, pani Nath?

- Mam na myśli, że wykazał się pan w paru drobiazgach, ale to może zrobić byle gunda z ulicy.

- Nie jestem jakimś tam gundą z ulicy... - Na dole na parkietach migocze błękitem.

- Proszę to udowodnić, panie Faraji. - Zerka na brata, Shiv czuje dłoń Yogendry na rękawie. - Ta dziewczyna, z którą pan przyszedł i wszedł tu na górę. Zdaje się, mówił pan, że poznał ją przy barze?

- Spotkałem ją tutaj, chciała zobaczyć piętro dla VIP-ów.

- Powiedział pan, że to „nikt”.

- Tak powiedziałem.

- Świetnie. Niech pan ją zrzuci za poręcz.

Shiv ma ochotę się roześmiać, potężnym, rozkazzanym, warkotliwym śmiechem wielkości tej potężnej podziemnej komory, uśmieć się ze słów, których przecież nie da się powiedzieć.

- Bardzo wiele panu powierzyliśmy, panie Faraji. Możemy żądać chociaż takiego dowodu, że jest pan godny zaufania.

Śmiech zamiera mu w gardle. Platforma jest wysoka, zimna i niepewna nad głęboką otchłanią. Świątełka kojarzą się z atakiem padaczki.

- Żartujecie sobie. Świry. Powiedziała, że jesteście pierdolniętymi świrami, że lubicie robić takie rzeczy, pogrywać w durne gry

- Tym lepszy mamy powód. Nie tolerujemy obelg, panie Faraji. To będzie próba dla pana, ale i dla nas. Czy wierzy pan nam, że można to tutaj zrobić i nikt nie tknie pana nawet palcem?

To byłoby łatwe. Stoi przy balustradzie, zerka na niego i resztę astronomicznie bogatych na antresoli. Rozluźniona Kunda Khadarami. Podciąć stopą, popchnąć, obrót wokół metalowej poręczy i poleciałaby. Ale nie może tego zrobić. Jest handlarzem narządami, pośrednikiem, rzeźnikiem, wyrzuca trupy do rzeki, ale nie jest mordercą. Zresztą sam już nie żyje. Równie dobrze mógłby wleźć teraz na tę poręcz, rozłożyć ręce i spaść.

Shiv kręci głową. Odezwałby się, powiedział im to wszystko, ale Yogendra jest szybszy. Juhi się uśmiecha, marszczy brwi, otwiera usta do krzyku - wszystko w jednej chwili, gdy zderza się z nią. Gówniarz jest chudy, ale ma rozpęd. Szklanka wylatuje w powietrze, chlapiąc krwawą wódką. Juhi odchyła się w tył. Yogendra pochyla głowę i wali ją z byka w twarz. Ręce lecą jej w górę. Traci równowagę. Przelatuje tyłem nad poręczą. Buty z gawiala wierzgają, trzepocą piórka, młóca ramiona. Spada pomiędzy ostrzami świateł i milczącymi tancerzami. Krótki krzyk, dźwięczny trzask, gdy uderza w skraj dolnego peronu, niosą się echem po betonowej studni *Construxsa* sierpień 2047. Odbija się. Wiruje, dziwna, niekształna, zmiądzona masa. Shiv ma nadzieję, że to ją zabiło. Że czysto i szybko złamało jej kręgosłup. Wszyscy słyszą miękkie, kruszące łupnięcie o dno szybu. Leciała o wiele dłużej niż sobie wyobrażał. Wychylając się znad balustrady, widzi jak przybiegają mięśniacy-bramkarze. Nic już nie mogą zrobić, tylko gadać do swoich obroży. Zadzierają głowy, patrzą w promieniach świateł wprost na niego. Z dołu rozlegają się krzyki. *Construxx* sierpień 2047 zmienia się w walec pełen panicznych wrzasków.

Chciała się rozerwać. I tyle. Drinki. Tańce. Flirt. Otrzeć się o sławy. Zabawić. Żeby jutro mieć co opowiadać dziewczynom. Pusta szklanka dalej kręci bączka na podłodze. Nitish i Chunni Nath patrzą po sobie. Nie jest mordercą. Nie jest mordercą.

Ruska laska wręcza mu gruby plastikowy portfel. Przez przyciemniony winyl widzi, że jest wypchany plikiem banknotów. Wydaje mu się, że pływa przed jego nosem, nie dociera do niego. Widzi Yogendrę przy balustradzie, zapadniętego w siebie, z twarzą bladą jak ściana. Nie rozumie dlaczego.

Przyszła się rozerwać. Trup, zsuwający się do ciemnej wody. Juhi, spadająca, młóca ręko ma i nogami.

- Tak na marginesie. - To mówi Nitish. Jego głos nawet w polu wyciszającym nie brzmiał tak płasko i martwo. - Jakbyś się kiedyś zastanawiał, co ci Amerykanie tam dekodują. Znaleźli coś w kosmosie i nie mają pojęcia co to takiego.

Art Empire Industry, szepcze czerwone graffiti.

CZEŚĆ IV TANDAWA NRITJA

ROZDZIAŁ 26 SHIV

Amerikanin to wielki facet; na piaszczysty ring leci z niego dużo krwi. Shiv, niewidoczny w zaciętej loży na balkonie, przypatruje mu się. W amerykańskich gangsterskich filmach zawsze podobało mu się jedno określenie - „zarzynana świnia”. Nigdy nie widział zarzynanej świni, ale może to sobie wyobrazić, krótkie świńskie nóżki uniesione, wierzgające, gdy walczy z rękoma odciągającymi jej głowę, odsłaniającymi szyję dla ostrza. Potem nóż wchodzi w czuły punkt, krwawy punkt. Wyobraża sobie, że świńskie nóżki przypominają blade włochate golenie sterczące z tych workowatych szortów. Wyobraża sobie, że wydaje dźwięk jak to jęśliwe sapanie, płaskie, brzydkie, przeciskające się przez warstwy tłuszczu. Tak samo by się rozglądała, szukając swojego zabójcy. Ubiera tę wymagowaną świnie w takie amerykańskie ciuchy. Brzydzi się świniami.

„To było tylko drobne draśnięcie, tylko żeby poleciała krew. Gdy w powietrzu jest krew, robią się bardziej agresywne” - powiedziała dziewczyna w koszulce bez rękawów. Ale można też uznać to za deklarację stylu: ten kolczyk wyglądał absurdalnie u dorosłego faceta. Już lepiej w ogóle nie mieć małżowiny.

- Pytam jeszcze raz. Gdzie jest ten sundarban?

- Posłuchaj, mówiłem ci już tyle razy: nie mam pojęcia, o czym ty, kurwa, gadasz... Pomyliliście mnie z kimś innym.

Shiv wzdycha. Kiwa na Yogendrę. Dzieciak wchodzi na poręcz, podstawia nożyczki pod promienie słońca.

- I nie waż się mnie ruszyć. Skaleczysz mnie i będzie incydent dyplomatyczny. I macie przejebane. Słyszysz?

Yogendra szczyrzy zęby, bierze się pod boki, kołysze biodrami, ciacha nożyczkami ciach-ciach-ciach. Shiv patrzy na jeziorko krwi rozlewające się po szyi Amerykanina. Część już wyschła i skrzepła, pokarm dla much. Śledzi, jak wpływa pod okrągły kołnierzyk surfingowej koszuli - trochę już przebija przez tkaninę - i ścieka po rękach, tworząc czerwone gładkie kręgi na otartych od kajdanków przegubach. Zarzynana świnia, myśli Shiv.

- Nazywasz się Hayman Dane?

- Nie! Tak. Słuchaj, ja nawet nie mam pojęcia, kim jesteście.

- Hayman Dane. Gdzie jest ten sundarban?

- Sundarban? Sundarban? Jaki, kurwa, sundarban?

Shiv wstaje. Otrzepuje swój nowy długi skórzany płaszcz. Jak mówią przewodnicy oprowadzający turystów po ghatach o świcie, w porannym słońcu wszystko wygląda inaczej. Poranne słońce pokazuje, że neon *Walki! Walki!* reklamuje tandetny hazardowy lokal w brudnej bocznej uliczce. Podkreśla brud, ślady po papierosach i tanie deski. Bez walczących, sattamanów, graczy i zapowiadacza krążącego po arenie w wyszytym cekinami kostiumie, śpiewającego do mikrofonu, nie ma duszy, nie ma atmanu. Otwiera drzwiczki łoży i wychodzi na płytkie schodki.

- Sundarban, w którym amerykański rząd dekoduje informację z kosmosu.

Gruby Amerykanin odrzuca głowę do tyłu.

- Facet, odpierdol się od tego. Posłuchaj, ten mały kutafon z nożyczkami może sobie ciachać, jak chce, ale Białemu Domowi się nie podskakuje.

Shiv przesiada się do pierwszego rzędu. Taki ustalił sygnał. Drzwiczki na arenę się otwierają, dziewczyna wtacza na wózku z gumowymi kółkami klatkę z mikroszablą.

Super było wsiąść z powrotem do samochodu, poczuć dotyk skórzanej tapicerki, ustawić radio, wiedząc, że teraz to nie wynajęte, teraz to jego; rydwan radzi, jego osobista ratha jatra. Super mieć w kieszeni Nielimitowaną czarną kredytówkę, do spółki z rulonem banknotów, bo każdy džentelmen wie, że co ważniejsze transakcje załatwia się tylko w gotówce. Super było pokazać ulicom, że Shiv Faraji wrócił i jest nie do ruszenia. W klubie Musst odliczył banknoty, tysiąc dwa trzy cztery tysiące i ułożył z nich na niebieskim blacie przekaz „Chuj ci w dupę” dla Salmana.

- Sir, to więcej niż dług. - Gruby Salman szturchnął palcem ostatni z banknotów, wielki, dziesięcioletni. Mistrz baru Talvin obsługiwał klientów po drugiej stronie, ale pomiędzy koktajlowymi akrobacjami odwrócił głowę.

- To napiwek.

Kiedy wychodził, wszystkie laski gapily się na niego. Szukał wzrokiem Priyi, chciał jej podziękować, dać coś w ramach podziękowania, ale w ten wieczór akurat piła gdzie indziej.

- Nie myślisz, żeby trochę się zabrać teraz za robotę?

To było najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek usłyszał od Yogendry. Od czasu *Construxksa* wyczuł zmianę w ich stosunkach. Gówniarz zrobił się bezczelny. Miał jaja, żeby zrobić coś, czego Shiv nie mógł, bo coś czuł, bo był słaby, bo na chwilę się zatkał. Nigdy więcej. Dzieciak to zobaczy. Nauczy się. I był kolejny trup oprócz płynącej Gangesem kobiety w sari: Juhi spadająca za barierkę, nogi wierzgają, ręce chwytają się powietrza. Lecz najlepiej widział jej oczy. Długie doklejane rzęsy, sygnalizujące ostateczną, zrezygnowaną świadomość zdrady. Teraz to byłoby łatwiejsze, wiedział, że z czasem zrobi się jeszcze łatwiej, ale fakt jest faktem, zawahał się na moment. Wiedział, że to źle, źle jak cholera, ale znów był mężczyzną. Radzią. I zaraz się zabierze za robotę.

A teraz jest ranek i Hayman Dane cofa się przed warczącym w klatce mikroszablą: warczy, bo Sai, jego śliczna treserka w za dużych bojówkach i małym obcisłym bezrękawniku wstrzyknęła mu w

dupę mnóstwo stymulantów i halucynogenów, więc, patrząc na tłustego Amerykanina, widzi złego wrogiego zniechęconego kota zabić kota zabić szybciej szybciej. Och jej, gruby Hayman Dane zapomniał, że ma kajdanki i zwała się ciężko, jak ładunek spadający z ciężarówki, po czym, wierząc i wijąc się, próbuje wstać, a to raczej trudne, gdy jest się takim grubym i ręce ma się skute za plecami.

- Pechowo - mówi Shiv, wstając i schodząc w dół jeden stopień, dwa, trzy do pierwszego rzędu.

- Pierdol się, facet! - krzyczy Hayman Dane. - Będziesz miał niezły problem. Już właściwie nie żyjesz. Ty, ten twój przydupas, ta dupa i jebany koteczek.

- Ależ nie ma żadnego problemu - mówi Shiv, siadając i opierając podbródek na dłoniach złożonych na drewnianej poręczy. - Możesz mi po prostu powiedzieć, dla którego sundarbanu pracujesz.

- Ile razy mam to, kurwa, powtarzać?! - drze się Hayman Dane. Nitka śliny ścieka mu z kącika ust na piasek, na którym leży na boku, z twarzą czerwoną z wściekłości.

Jak na geniusza, to robi z siebie niezłego idiotę, myśli Shiv. Ale tak to jest z tymi zachodnimi geniuszami - goście są nieludzko dobrzy w jakimś wąskim wycinku.

Przewiewny ranek rozpoczynał się feerią karmazynu i szafranu, pod obwisłymi splotami kabli zasilających i komunikacyjnych, gdy Yogendra brał samochód, żeby zgarnąć klienta. Idą niespokojne czasy. Może nawet ten dawno obiecany monsun. Shiv owinał się kurtką, nagle zmarznięty, i poszedł złożyć wizytę swojemu doradcy technicznemu. Anand był aspirującym dataradzą, hodującym małą stajenkę nielicencjonowanych aeai poziomu 2.5 w Panch Koshi, na zapleczu warsztatu szewskiego swojego wuja. W ten właśnie sposób poznał go Shiv - kiedyś zanosił tam buty. Wuj znał się na skórze. Zszywał je pięknie i gładko, na poczekaniu, najdrobniejszym ściegiem, jaki Shiv w życiu widział. Anand podawał klientom kawę, dobrą, mocną, arabską, dla chętnych rozpuszczał jeszcze w słodkim, wrzącym płynie kulkę nepalskiego haszu.

Tego ranka Anand zasłaniał czerwone, łuszczące się oczodoły wielkimi okularami od Gucciego. Chodził na amerykańskim czasie. Shiv ułożył się na niskich poduszkach, uniósł małeńką, pięknie pachnącą filizankę i pociągnął łyk. W klatkach zwisających z belek otwartego, drewnianego balkonu trzeszczały i gadały gwarki. Shiv przekrzywił głowę, czekając, aż Nepalczyk zaskoczy.

- Nalot na sundarban. - Anand zasnuował usta i pokiwał głową; aspirujący dataradźowie w ten sposób wyrażali podziw. - Moja pierwsza rada: jeśli możesz się jakoś od tego wykręcić, to się wykręć.

- A druga?

- Tam będzie permanentna inwigilacja. Mogę ci wyhodować jakiś soft, który prawdopodobnie

zapewni ci niewidoczność dla najpospolitszych monitorujących aeai - mało która w ogóle wychodzi poza poziom 1, tylko że ci goście z definicji nie posługują się typowymi branżowymi standardami. Dopóki nie wiem, o kogo chodzi, mogę sobie tylko zgadywać. - Anand nadął policzki: konsternacja aspirującego dataradzi.

- Właśnie nad tym pracujemy.

Yogendra będzie już prawie na miejscu. Zarezerwowali sobie miejsce parkingowe przed hotelem - dogadali się z portierem. Będzie właśnie opuszczał szybę, sięgał po żądło na siedzeniu obok. Żadnej broni palnej. Shiv nie cierpiał broni palnej. Chłopcze, masz jeden strzał, więc traf.

Shiv wyprostował się na niskiej, haftowanej sofie. Kawa bulgotała na trójnogu nad węglowym piecykiem. Anand nalał dwie kolejne filiżanki. Może i wygląda jak lawda, ale to, co robi, robi nieźle, pomyślał Shiv.

- Moje kolejne pytanie?

- Jak bardzo wierzysz w spiskową teorię dziejów.

- Ja nie wierzę w żadną teorię.

- No, stary, każdy ma jakąś teorię. Pod wszystkim kryje się teoria. Schwagier mojego kuzyna przetwarza dane dla ESA i tam się mówi tak. Pamiętasz, jak jakiś czas temu Amerykanie, Ruscy, Chińczycy i Europejczycy ogłosili, że wysyłają bezzałogową misję na Tierre?

Shiv pokręcił głową. Po drugiej filiżance głos Ananda zaczął brzmieć jak potoczysta bajka, jak jego matka opowiadająca mu historię o Ramie i mężnym Hanumanie.

- Pierwsza PTZ? Planeta Typu Ziemskiego? Nie? No, w każdym razie, znaleźli tę całą Tierre i na wszystkich kanałach newsowych trąbiło się w kółko, że budują sondę, żeby ją tam wysłać. I teraz słuchaj, tu jest spiszek: nie ma żadnej misji na Tierre. I nigdy nie było. To wszystko ścierna, zasłona dymna, kryjąca to, co naprawdę tam kombinują. Plotka mówi, że coś znaleźli. Coś, czego nie stworzył Bóg, ani my. Jakiś obiekt, w dodatku stary. Nieźle stary. Nie miliony, ale miliardy lat. Wyobrażasz to sobie? Arahby lat. Skala czasowa Brahmy. Zaczęli robić w gacie ze strachu, tak bardzo, że są gotowi narazić tajemnicę i przychodzą do jedynych ludzi na świecie, którzy znają się na kwantowym krypto. Czyli do nas. - Dźgnął się kciukami w pierś.

Amerykanin właśnie wychodzi, pomyślał Shiv, unosząc się ze słodkim dymem w sześcian wypełniającego podwórze powietrza, z daleka od płaskich słów, na ulicę, gdzie pracują kobiety, gdzie czeka wielki, wynajęty samochód ze skrytą w środku igłą. Będzie teraz wychodził, blady, mrugający, zmarznięty. Nawet nie spojrzy na samochód. Będzie myślał o swojej kawie i pączku, kawie i pączku, kawie i pączku. Przyzwyczajenia nas zabijają. Shiv usłyszał splunięcie żądła. Zobaczył kolana grubasa załamujące się od środków chemicznych przeciążających mu neurony motoryczne. Zobaczył Yogendrę taszczącego go do bagażnika. Uśmiechnął się na widok chudego dziecka ulicy próbującego wepchnąć przez klapę potężnego faceta.

Shiv siedział, z rękoma na kolanach, na miękkiej poduszce. Pasma porannych chmur roztopiały się, niebo błękitniało. Jeszcze jeden śmiertelnie suchy dzień. Słyszał radio gdzieś w oddali. Spiker był czymś bardzo podniecony. Uniesione głowy, dyskusje, potępiający ton. Zadarł głowę, obserwował parę unoszącą się znad kawy - kiedy zmrużył oczy zlewała mu się ze smugami kondensacyjnymi na niebie. Nepalska kulka świątynna mówiła: Uwierz. Nic nie jest pewne, wszystko jest wiarygodne. Wszechświat jest wielki. Kurna. Wszechświat był mały, ciasny, wredny i wepchnięty w klin jasności, muzyki i ciała, mający zaledwie dwadzieścia parę lat, nie szerszy niż twoje pole widzenia. A kto myśli inaczej, ten jest amatorem.

- A moje trzecie pytanie?

Yogendra na pewno już go ma, już jakoś władował go na tył, zanim ustąpiły spazmy, już zawrócił w korku, mówiąc „walcie się” autom fatfatom ciężarówkom autobusom motorowerom i świętym krowom, już go wiezie na miejsce.

Oczy Ananda rozszerzyły się, jakby obejmowały prawdę za wielką nawet dla wierzącego w spiskowe teorie aspirującego dataradzi.

- Teraz naprawdę niewiarygodna sprawa. Nathowie się nie pierdola, im się nie podskakuje, ale pogłoska mówi, dla kogo oni pracują, kim jest ich klient.

- Teorie spiskowe i pogłoski.

- Skoro nie ma Boga, pozostaje ci tylko tyle.

- Co to za klient?

- Pan Chodząca Dobroć we własnej osobie, przyjaciel biednych i obrońca uciśnionych, postrach Ranów i młot Awadhu: proszę państwa, wielmożny N.K. Jivanjee.

Shiv darował sobie trzecią filiżankę kawy z prądem.

Wstaje i przesuwa się, powoli, jak nakazuje dramaturgia, do pierwszego rzędu. To wskazówka dla Yogendry, żeby zeskoczył na piasek. Spacerowym krokiem podchodzi do Haymana Dane'a, który zaczyna sapać. Yogendra przekrzywia głowę, potem w drugą stronę, przyglądając mu się jak nieznanemu owocowi. Mruży oczy, sprawdza, czy Dane widzi, co robi: unosi odciętą małżowinę. Tanecznym krokiem podchodzi do uwięzionej mikroszabli i delikatnie upuszcza ucho przez pręty. Jedno kłapanięcie. Shiv słyszy cichy, lecz wyraźny chrzęst. Hayman Dane zaczyna wyć: wysoki, sikający w gacie skowyt, jęk człowieka obawiającego się o własne życie, jęk człowieka, który nie jest już człowiekiem. Krzywi się na ten wstrętny, ohydny dźwięk. Przypomina sobie, jak Yogendra wprowadził go z tunelu na ring, popychając szturchnięciami obu rąk. Grubas drobił małymi, niepewnymi kroczkami, bojąc się stracić równowagę, rozglądając się, mrugając, próbując dojść, co to właściwie za miejsce. Teraz widzi szczyzny rozlewające się ciepłą, ciemną kałużą po jego beżowych szortach, jak wody płodowe - nie wierzy własnym oczom, że ten biały, zachodni geniusz

do wynajęcia może skończyć tak szybko i tak głupio.

Yogendra z powrotem wskakuje na poręcz. Sai podchodzi do klatki. Unosi mikroszablę nad głowę i zaczyna paradę, starannie, powoli stawiając stopy jedna przed drugą. Raz, dwa, trzy, obrót. Raz, dwa, trzy, obrót. Rytualny taniec, który zahipnotyzował i uwiódł Shiva w wieczór, kiedy pierwszy raz ją zobaczył: na tym ringu, na tym piasku. W wieczór, kiedy wszystko przegrał. A teraz ona tańczy dla niego. Taniec ma w sobie coś starożytnego, kobieta krocząca po arenie do walk, potężna, w tańcu Kali. Mikroszabla powinien rozpruć jej nadgarstek, albo bok twarzy. Ale wisi w górze, głaskany, zahipnotyzowany.

Shiv przesuwa się na ławkę przy samym ringu.

- Pytam raz jeszcze, Hayman Dane. Gdzie jest ten sundarban?

Sai przysiada przed nim, zginając jedną nogę, drugą odstawiając w bok. Wbija wzrok w załzawione oczy Dane'a. Drapuje sobie kota na szyi. Shiv wstrzymuje oddech. Tego numeru jeszcze nie widział. Czuje nagłą, twardą, przyjemną erekcję.

- Chunar. - Hayman Dane szłocha. - Chunar Fort. Ramanandacharya. Nazywa się Ramanandacharya. Koles, rozepnij mi ręce! Rozepnij mi, kurwa, ręce!

- Jeszcze nie, Hayman Dane - mówi Shiv. - Jeszcze nazwa pliku i kod.

Facet jest już w hysterii - jak zwierzę, ani śladu sprytu, ani śladu myśli.

Shiv kiwa na Yogendrę. Ten, piejąc jak kogut, podbiega do Amerykanina i otwiera kajdanki. Hayman Dane jęczy, gdy krew wraca mu do nadgarstków.

- Skurwysyny jebane, skurwysyny - mruczy, choć już zupełnie nie ma w tym woli walki.

Shiv unosi palec. Sai gładzi obdartą głowę mikroszabli, o milimetry od własnego prawego oka.

- Hayman Dane, nazwa i klucz.

Dane unosi ręce - widzicie, jestem bezbronny, bezradny, nie stanowią zagrożenia. Grzebie w kieszeni na piersi swojej pstrokatej koszuli. Ma większe cycki niż niektóre kobiety, które posuwał w życiu Shiv. Unosi palmera.

- Widzisz? Cały czas miałem go, kurwa, w kieszeni.

Shiv unosi palec. Yogendra wyrywa mu palmera i przeskakuje nad bandą z powrotem na ławkę. Sai gładzi obdartą głowę mikroszabli.

- Teraz mnie puść, gościu. Masz, co chciałeś, teraz mnie puść.

Yogendra jest już w połowie przejścia. Sai też wstała, cofa się w stronę tunelu. Shiv wchodzi, noga za nogą, po płytkich schodkach.

- Ej, i co teraz?

Sai stoi przy bramce. Patrzy wyczekująco na Shiva. Shiv unosi palec. Sai robi obrót i ciska mikroszablę na skrwawiony piaskowy ring. Pora świniobicia.

ROZDZIAŁ 27 SHAHEEN BADOOR KHAN

Sajida Rana w białej yukacie wychyla się z nad rzeźbionej, kamiennej balustrady i wypuszcza dym w aromatyczny, przedświtowy mrok.

- Khan, wyruchałeś mnie w dupę.

Shaheen Badoor Khan, gdy jego samochód o trzeciej nad ranem przemykał ulicami do Rana Bhavan, myślał, że w życiu nie czuł gorszego strachu, poczucia winy i głębszej nicości. Patrzył, jak rośnie temperatura na termometrze w desce rozdzielczej. Nadchodzi monsun, myślał. Zawsze, zanim się rozpada, jest nie do wytrzymania. Ale widział ten bengalski lód. Państwa Bengalu i ich oswojona góra zadziały lodową magią. Próbował sobie ją wyobrazić, zacumowaną w Zatoce Bengalskiej, mrugającą światełkami nawigacyjnymi. Widział krążące nad nią mewy. Cokolwiek się wydarzy, deszcz spadnie i na mnie, i na te ulice. Osiągnąłem dno, pomyślał. Jestem rozbity na płasko. Głębiej już nie pójdę. Na werandzie Rana Bhavan zrozumiał, że nie spadł jeszcze nawet z szelfu. Równina abisalna leży dziesiątki kilometrów pod nim, w miazdzącej ciemności. A nad nim jest lód, lód przez który nigdy się nie przebije.

- Nie wiem co mam powiedzieć.

Strasznie to słabe. I w dodatku nieprawda. Bo wie. Ćwiczył, podskakując w fatfacie wiozącym go do haweli. Słowa, kolejność wyznań, wyciąganie sekretów całego życia, wszystko spadło na niego jedną masą, jednym potokiem, w myślach już idealnie ukształtowane. Wiedział, co ma zrobić. Ale ona musi mu na to pozwolić. Musi przyznać mu tę łaskę.

- Chyba na coś zasługuję.

Shaheen Badoor Khan unosi w udręce jedną dłoń, ale nie zazna pociechy, nie zazna ukojenia. Nie zasłużył na litość.

W starej zenanie paliły się lampy. Stojąc na krużganku, z wysiłkiem rozróżniał damskie głosy. Przez większość czasu ma tu gości: pisarki, prawniczki, kobiety zajmujące się polityką, kobiety opiniotwórcze. Przegadują całe noce pod osłoną purdy, jak kiedyś. Powinien był powiedzieć Bilquis, przed wszystkimi, nawet przed panią premier, ale nie przy gościach. Nigdy przy gościach.

Gohil, szofer, przyszedł zaspany, utykający od zwiniętej w bucie skarpetki. Stłumił ziewanie. Zawrócił rządowym samochodem na dziedzińcu.

- Do Rana Bhavan - zarządził Shaheen Badoor Khan.

- Co to będzie, sahib? - zapytał Gohil, wyjeżdżając przez automatyczną bramę w nieustająco

pełnący korek. - Jakaś sprawa wagi państwowej?

- Tak - odparł Shaheen Badoor Khan. - Wagi państwowej.

Zanim samochód dojechał do skrzyżowania, zdążył napisać dymisję na rządowym notesie zainstalowanym w podłokietniku. Potem założył hoeka, nastawił go na sam głos i wywołał numer, który trzymał na sercu od dnia, kiedy zaproszono go do biura premiera i zaproponowano posadę Wielkiego Wezyra, numer, co do którego miał pewność, że nigdy go nie użyje.

- Shah - usłyszał drzenie w jej głosie. - Dzięki bogom, to ty. Już myślałam, że nas atakują.

Shaheen Badoor Khan wyobrażał sobie ją w łóżku. Na pewno białe; szerokie i białe. Światło - mała, płytka kałuża pod lampką. Nachyla się nad szafką nocną. Włosy ma rozpuszczone, spadają jej ciemną falą na twarz. Próbował wyobrazić sobie, w czym ona śpi. Zdradziłeś swój rząd, kraj, wiarę, małżeństwo, godność i zastanawiasz się, czy twoja pani premier śpi nago. U jej boku będzie Narendra, zawinięty jak biały naleśnik; śpij, sprawy państwowe. Wszyscy wiedzieli, że sypiają ze sobą. Sajida Rana była kobietą o wielkim apetycie, ale zależało jej na nazwisku.

- Pani premier, muszę natychmiast podać się do dymisji.

Trzeba było podnieść szybę, pomyślał Shaheen Badoor Khan. Żeby między mną a Gohilem było szkło. A zresztą, po co? Z rana i tak wszystkiego się dowie. Wszyscy zobaczą wszystko. Przynajmniej będzie miał ładną historię, pełną podsłuchanych sekretów. Winien ci jestem chociaż tyle, mój dobry i wierny szoferze.

- Shah, co to za bzdury?

Shaheen Badoor Khan powtórzył jeszcze raz słowo w słowo, potem dodał:

- Pani premier, znalazłem się w sytuacji, która zagraża stabilności rządu. Ciche westchnienie, jak ulatująca dusza. Takie słabe, takie znużone.

Szelest eleganckiej, sztywnej, pachnącej czystością białej bawełny.

- Chyba musisz tu podjechać.

- Już jadę, pani premier - odpowiedział Shaheen Badoor Khan, ale ona już się rozłączyła: słyszał tylko buczenie cyberszumu, jak Zen w sanktuarium własnej czaszki.

Sajida Rana opiera się o białą balustradę. Dłońmi mocno ścisną poręcz.

- A jak z jakością tych zdjęć?

- Wyraźnie widać moją twarz. Nie będzie wątpliwości, że to ja. Pani premier, zrobili mi zdjęcie, jak siedzę w klubie z neutkiem i wręczam mu pieniądze.

Ona obnaża zęby, kręci głową, zapala kolejnego papierosa. Shaheen Badoor Khan nigdy nie

podejrzewał, że pali. Kolejna tajemnica, tak jak jej wulgarny język. Zapewne dlatego przyprowadziła go tutaj, żeby nie zadymiać Rana Bhavan. To niesamowite, jakie szczegóły teraz zauważa.

- Neutko.

Teraz zaczyna umierać od środka. W tych dwóch sylabach cały jej niesmak, niezrozumienie, zdrada i gniew.

- To taka... płeć...

- Wiem, co to. A ten... klub...

Wydziera mu kolejny kawał ciała. Samo wydzieranie boli potwornie, ale zaraz potem ból znika. Przyjemnie jest choć raz w życiu móc powiedzieć prawdę.

- To lokal, gdzie przychodzą ludzie spotykać się z neutkami. Ludzie, których neutki pociągają seksualnie.

Dym z papierosa Sajidy Rany unosi się prostą smugą, potem rozpada na leniwe, widmowe zygzaki. Powietrze jest niewiarygodnie nieruchome. Ucichł nawet wieczny szum miasta.

- Powiedz mi jedno. Co ty myślałeś, że będziesz z nimi robić?

Nigdy nie chodziło o „robienie”, chciałby wykrzyknąć Shaheen Badoor Khan. Tego właśnie nigdy nie zrozumiesz, wyciągnięta prosto z łóżka, nosząca na ciele zapach męża. A neutki zawsze to rozumiały. Nie chodzi o robienie czegokolwiek. Chodzi o przebywanie. Właśnie po to tam chodzimy, do tego klubu, żeby widzieć, żeby przebywać pomiędzy istotami z własnych fantazji, istotami, którymi zawsze chcieliśmy zostać, ale nigdy nie wystarczy nam na to odwagi. Dla tych krótkich, palących ukłuc zachwytu. Sajida Rana nie pozwala mu tego powiedzieć, przerywa:

- Nie potrzebuję więcej wiedzieć. Oczywiście, nie ma nadziei, żebyś pozostał w administracji.

- Nie miałem takiej nadziei, pani premier. Wrobiono mnie.

- To żadne wytłumaczenie. Właściwie, to jeszcze... Co ty sobie myślałeś? Nie, nie odpowiadaj. Od jak dawna to robisz?

Kolejne niewłaściwe pytanie.

- Przez całe życie. Odkąd pamiętam. To było zawsze.

- Jak wracaliśmy spod tamy, powiedziałaś, że macie z żoną ochłodzenie stosunków... kurwa mać, Khan... - Sajida Rana zdeptuje niedopałek obcasem białego atłasowego klapka. - Powiedziałeś jej, prawda?

- O tym nie.

- No to o czym?

- Ona wie o moich... skłonnościach. Od jakiegoś czasu. Od dłuższego czasu.

- Od jak dawna?

- Parędziesiąt lat, pani premier.

- Przestań mnie tak nazywać! Nie nazywaj mnie tak. Od dwudziestu lat jesteś zagrożeniem dla stabilności tego rządu i masz jeszcze czelność mi „panipremierować”. Byłeś mi potrzebny. Bo to można przegrać. Tak, tę wojnę można przegrać. Generałowie nic, tylko pokazują mi swoje obrazki satelitarne i modele aeai i powtarzają, że Awadh przesuwają wojska na północ, ku Jaunpurowi. A ja nie jestem taka pewna. To zbyt oczywiste. A jedną rzecz trzeba Awadhowi przyznać: takich oczywistych rzeczy nie robią. Potrzebny mi byłeś, Khan, do rozgrywki z tym bałwanem Chowdhurym.

- Przykro mi, naprawdę potwornie mi przykro.

Nie chce słyszeć, co pani premier ma do powiedzenia. Już wszystko to słyszał, przepowiedział to sobie raz po razie, gdy samochód przekradał się przez duszący poranek. Shaheen Badoor Khan chciałby porozmawiać, pozwolić wszystkim słowom gromadzonym przez całe życie rozlać się jak woda z kamiennych ust fontanny w jakimś dekadentckim europejskim mieście. Jest teraz wolny. Nie ma żadnych tajemnic, nic go nie krępuje, ale tak bardzo pragnie, żeby go zrozumiała, spojrzała jego oczyma, poczuła, co on czuje, ten sam ból.

Sajida Rana opiera się ciężko o balustradę.

- W Maracie pada, wiesz o tym? Dojdzie tu przed końcem tygodnia. Już przesuwają się nad Dekanem. W tej chwili w Nagpurze dzieci tańczą w deszczu. Jeszcze parę dni i zatańczą na ulicach Varanasi. Trzy lata. Mogłam poczekać. Nie musiałam okupować tamy. Ale nie mogłam ryzykować niezajęcia jej. Więc teraz pójdę do bharackich dzawanów patrolujących tamę Kunda Khadar w deszczu. Jak to będzie wyglądać w oczach prostych ludzi z Patny? Ale miałeś rację. Faktycznie wyruchaliśmy N.K. Jivanjeego w dupę. A teraz on mi się odplaca. Nie doceniliśmy go. Ty go nie doceniłeś. To jest nasz koniec.

- Pani pre... pani Rana, ale nie wiadomo...

- A któżby inny? Khan, nie jesteś taki bystry, jak ci się wydaje. I nikt z nas nie jest. Dymisja jest przyjęta. - Sajida Rana zaciska zęby i wali pięścią w rzeźbioną, wapienną poręcz. Z knykcii cieknie krew. - Dlaczego mi to robisz? Dałabym ci wszystko. I żona, i dzieci... Czemu faceci to wszystko ryzykują? Potępię cię.

- Oczywiście.

- Nie jestem w stanie już cię chronić, Shaheen, nie mam pojęcia, co się z tobą teraz stanie. Zniknij mi z oczu. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli w ogóle przeżyjemy ten dzień.

Gdy Shaheen Badoor Khan idzie po chrzęszczącym żwirze do rządowego samochodu, ciemne

drzewa i krzewy wokół rozświetlają się ptasim śpiewem. Przez moment wydaje mu się, że to dzwonią mu w głowie wszystkie kłamstwa, z jakich składa się jego życie, ocierając się o siebie i lecąc do światła. Potem uświadamia sobie, że to uwertura przedświt, ptaki zwiastujące dzień, śpiewające jeszcze po ciemku. Shaheen Badoor Khan przystaje, obraca się, unosi głowę, słucha. Powietrze jest gorące, ale przenikliwie czyste i wyczuwalne. Oddycha czystą ciemnością. Wyczuwa nad sobą kopułę nieboskłonu, każda z gwiazd jest świetlną szpilą wbijającą mu się w serce. Shaheen Badoor Khan czuje, że wszechświat obraca się wokół niego. Jest jednocześnie osią i silnikiem, przedmiotem i podmiotem, obracającym i obracany. Drobiazg, pioseneczka nawołująca niezliczonych pobratymców przez otchłanną ciemność. Czas wygładzi złe i dobre uczynki, historia wdepcze jego imię w ziemię razem z innymi. To nieważne. Po raz pierwszy, odkąd zobaczył chlapiące się i bawiące dzieciaki rybaków z Kerali, rozumie, co to znaczy „wolny”. Radość rozpała mu manipura ćakrę. Suficka chwila bezinteresowności, beczasowości. Bóg objawia się niespodziewanie. Nie zasłużył na to. Na tym właśnie polega tajemnica: nigdy nie przychodzi do tych, co myślą, że zasługują.

- Dokąd, sahib?

Odpowiedzialność. Po oświeceniu obowiązki.

- Do haweli.

Teraz jest już z górki. Słowa raz wypowiedziane łatwo powtórzyć ponownie. Sajida Rana miała rację. Trzeba było najpierw powiedzieć żonie. To oskarżenie zaskoczyło go: przypomniało mu, ostro, że jego pani premier jest kobietą, mężatką, która nie chciała przyjąć nazwiska męża. Polaryzuje szybę dla ochrony przed wścibskimi oczyma.

Bilquis na to nie zasłużyła. Zasługuje na dobrego męża, prawdziwego mężczyznę, który, nawet jeśli go już nie kocha i nie dzieli z nim łoża ani życia, nie przyniesie jej publicznej niesławy, będzie uśmiechał się, mówił co trzeba i nigdy nie sprawi, by musiała zakrywać twarz ze wstydu w swoim Kole Kobiet Prawniczek. Miał to wszystko - nawet Sajida Rana tak powiedziała - miał to wszystko, a jednak nie mógł się powstrzymać, by tego nie zniszczyć. Jakże zasłużył na to, co się mu przydarzyło. I nagle, na spękanej od słońca skórze bharackiej rządowej tapicerki, świadomość Shaheena Badoor Khana wykonuje zwrot. Nie zasłużył. Nikt na to nie zasłużył. Nikt - i każdy. Kto może z uniesioną głową postawić się w roli sędziego? Jest dobrym doradcą. Najlepszym doradcą. Mądrze i dobrze służył swojemu państwu. Państwo wciąż go potrzebuje. Może uda mu się gdzieś zaszyć, zakopać na dnie błotnistej jamy, jak ropucha przed suszą, i doczekać zmiany klimatu.

Ostrze światła wypełnia ulice przemierzane przez szumiącą cicho jak ćma rządową limuzynę. Shaheen Badoor Khan, w swojej klatce z przyciemnianego szkła pozwala sobie na uśmiech. Auto skręca na skrzyżowaniu, gdzie na betonowym bloku siedzi sadhu z ręką wyciągniętą do góry w temblaku przyczepionym do słupa. Shaheen Badoor Khan zna tę sztuczkę. Po pewnym czasie traci się czucie. Samochód raptownie hamuje. Shaheen Badoor Khan musi podeprzeć się dłońmi, żeby nie spaść z siedzenia.

- Co jest?

- Kłopoty, sahib.

Shaheen Badoor Khan odpolaryzowuje szybę. Drogę przed nim tamuje wczesny korek. Ludzie wysiedli z taksówek i poopierani o drzwi obserwują zatrzymujące ich przedstawienie. Przez skrzyżowanie maszerują ludzie - podejrzane typy w białych koszulach i ciemnych spodniach, młodzieńcy z pierwszym wąsem, gniewnym, równomiernym krokiem, podrzucając lathi w dłoniach. Przechodzi szyk bębniarzy, grupka rozjuszonych kobiet o ostrych rysach, odzianych w czerwien Kali; naga sadhu, biali od popiołu, z prowizorycznymi trójzębami Śiwy. Shaheen Badoor Khan patrzy na gramolącą się w pole widzenia ogromną figurę Ganeśi z różowego papier mâché, jaskrawą, niemal fluorescencyjną w świetle wschodzącego słońca. Kiwa się na boki, prowadzona niepewnie przez bosonogich lalkarzy. Za Ganeśią jeszcze bardziej niesamowity widok: kłębiący się oranż i czerwona iglica ratha jatry. I pochodnie. W każdej dłoni, u każdego demonstranta i akolity, pochodnia. Shaheen Badoor Khan odważa się delikatnie uchylić okno. Spada nań lawina dźwięków: ogłuszający, prymitywny ryk. Wybijają się poszczególne głosy, podejmują refren i znów wtapiają się w tło: śpiewy, modlitwy, slogany, nacjonalistyczne pieśni, hymny karsewaków. Nie trzeba słyszeć słów, by wiedzieć, kim są. Wielki wir demonstrantów z ronda Sarkhand rozwinął się i rozlewa się teraz po Varanasi. A skoro tak, musieli znaleźć gdzieś ważniejszy cel dla swej nienawiści. Shaheen Badoor Khan wie, gdzie idą z pochodniami w dłoniach. Wieść już się rozeszła. Miał nadzieję, że to nie będzie tak szybko.

- Zabieraj mnie stąd.

Gohil słucha bez słowa. Wielka limuzyna cofa się, zawraca, trąbiąc wściekle na auta, wjeżdża na środkowy, betonowy pas i ze zgrzytem zjeżdża na drugą stronę drogi. Shaheen Badoor Khan, zaciemniając okna, dostrzega na wschodzie dym wijący się po niebie, oleisty, jakby z tłuszczu palonego na stosie pogrzebowym, na tle żółtego, porannego nieba.

ROZDZIAŁ 28 TAL

Fatfat jedzie donikąd, po prostu sobie jedzie. Tal rzuciło taksówkarzowi zwitek rupii i tak właśnie powiedziało: „Po prostu jedź”.

Musi stąd wyjeżdżać. Porzucić pracę, dom, wszystko, co sobie w Varanasi urządziło. Pojechać gdzieś, gdzie nikt go nie zna. Mumbai. Z powrotem do mamy. Za blisko. Za dużo mendzenia. Dalekie południe, Bangalore, Chennai. Duże koncerty medialne. Zawsze znajdzie się praca dla dobrego scenografa. Lecz nawet Chennai może się okazać nie dość daleko. Gdyby tak mogło znów zmienić sobie nazwisko i twarz. Mogłoby pojechać przez Patnę, kupić u Nanaka kolejną operację. Na krechę. O ile ma u Nanaka jeszcze jakiś kredyt. Szybko będzie potrzebowało jakiejś pracy. Tak, właśnie tak: zabrać wszystko, na dworzec, pojechać do Patny, załatwić sobie nową tożsamość.

Tal poklepuje kierowcę.

- Do White Fortu.

- Nie jeżdżę tam o tej porze.

- Zapłacę podwójnie.

Trzeba było wziąć te pieniądze. Gotówka z torebki wycieka jak woda przez piasek. Te karty, które nie mają jeszcze przekroczonego limitu, są na krawędzi. Krora rupii nie do wyśledzenia, nie do zablokowania, mogłaby zabrać Tala wszędzie. W dowolne miejsce na Ziemi. Ale to znaczyłoby, że przyjmuje pisaną mu rolę. Gdzie jest napisane, że ma zostać ukarane? Czym zasłużyło sobie na globalną niesławę? Tal patrzy na swe niepozorne życie, analizuje okropne słabości, które zamieniły je w ślepą polityczną broń. Odmienne, obce, odizolowane, nowe. Czekali od chwili, kiedy wysiadło z śatabdi. Tranh, noc płomiennego delirium w przylotniskowym hotelu - najlepszy seks w życiu - impreza w świątyni, kremowe zaproszenie ze złotymi krawędziami, którym wymachiwało w pracy jak ikoną... Każdy kolejny chota peg wlewany w złote gardło... Zagrano na nim jak na bansuri.

Tal zaciska pięści w nagłej wściekłości. Zaskakuje je jej siła. Rozsądne, mądre neutko uciekłoby. Ono jednak chce wiedzieć. Chce raz, choć jeden raz, dobrze przyjrzeć się twarzy, która na nie to wszystko ściągnęła.

- No dobra, przyjacielu, dalej nie jadę. - Kierowca macha ręką ku radiu. - Po mieście kręcą się te świry z Shivaji. Zeszli z ronda Sarkhand.

- I zostawiasz mnie tu z nimi?! - krzyczy Tal za znikającym fatfatem. Słyszy wściekłość Hindurwa, nasilającą się i cichnącą wśród otchłannych ulic. A te budzą się, sklep za straganem za budką za dhabą. Pikap zwala na pas betonu pośrodku ulicy paczki porannych gazet. Gazeciarze

spadają na nie jak czarne kanie. Tal okrywa kołnierzem swoje zdradzieckie rysy Ogolona czaszka wydaje się potwornie bezbronna, jak kruche, brązowe jajko. Dwie drogi w bezpieczne miejsce. Widzi już umocnienia White Fortu, upstrzone talerzami satelitarnymi pod zbiornikami z wodą i panelami słonecznymi. Tal prześlizguje się przez szereg pojazdów, ze spuszczoną głową, unikając kontaktu wzrokowego z podciągającymi rolety sklepikarzami, z pracownikami nocnej zmiany wracającymi z szachty na amerykańskim Czasie Pacyficznym. Wcześniej czy później ktoś zauważy, co ono za jedno. Zerka na bele gazet. Pierwsza strona, nagłówek na całą szerokość, pełnokolorowa wielka foto.

Odgłos tłuszczy przesuwają się za nim na lewo, potem na prawo, potem się przybliża. Tal puszcza się biegiem, mimo wznagającego się upału otulając się płaszczem ciasno pod szyją. Wszyscy już patrzą. Jeszcze jedna przecznica. Jeszcze jedna przecznica. Nieartykułowane wycie przemieszcza się znów, teraz wydaje się, że jest z przodu - i robi się dużo głośniejsze i gwałtowniejsze. Tal się rozgląda. Są teraz za nim. Szpaler biegnących mężczyzn w białych koszulach wypada z bocznej ulicy na arterię. Chwila milczenia. Nawet ruch uliczny na chwilę milknie. Potem zogniskowany wrzask uderza Tala z niemal fizyczną siłą. Wydaje z siebie krótki skowyt strachu, odrzuca ten debilny, krępujący ruchy płaszcz i biegnie. Za nim gna wycie i ujadanie. Karsewakowie rzucają się w pogoń. Niedaleko. Niedaleko. Nie. Daleko. Nie. Daleko. Blisko. Blisko. Blisko. Tal wystrzela przez las filarów stanowiących kryptę pod White Fortem. Wycie odbija się echem od betonowych kolumn. Zbliżamy się. Jesteśmy szybcy. Szybsi od ciebie, ty nienaturalne, zбочone stworzenie. Aż puchniesz od nienaturalności i grzechu. Zdepczemy cię, ślimaku. Usłyszymy, jak pękasz pod naszymi butami. Wokół niego z brzękiem rykoszetują puszki, butelki, kawałki połamanych układów elektronicznych. A Tal słabnie i słabnie. Niknie. Nic już w nim nie zostało. Skończyły się baterie, zero napięcia. Wystukuje polecenia podskórnymi przyciskami. Parę sekund później uderza adrenalina. Później drogo za to zapłaci. Ale teraz łyknie każdą cenę. Oddala się od pościgu. Widzi już windy. Niechże jedna tu będzie. Ardhanarisvaro, panie rzeczy podzielonych, spraw, żeby jedna tu stała i żeby działała. Ścigający klaskają dłońmi o kolumny z oleistego betonu. Nad. Cho. Dzi. My. Cię. Za. Bić. Nad. Cho. Dzi. My. Cię. Za. Bić.

Zielone światelko. Zielone światelko to zbawienie, zielone światelko to życie. Tal nurkuje ku zielonemu światelku windy, gdy tylko rozsuwają się drzwi. Przeciska się przez ciemną szczelinę, wali dłonią w guzik. Drzwi się zasuwiają. Palce przeciskają się do środka, wymacują czujniki, wyłączniki, pasażera, cokolwiek. Centymetr po centymetrze rozpychają drzwi.

- Tam jest, ćutja!

- Ono! Ono! - krzyczy cicho Tal, waląc w palce pięściami, ostrymi obcasami butów.

Cofają się, drzwi mogą się zamknąć. Winda rusza do góry. Tal wjeżdża o dwa piętra poniżej swojego mieszkania, by zwabić ich na górę, czeka, aż drzwi otworzą się i zamkną, po czym wjeżdża jeszcze jedno. Skradając się po klatce schodowej, błyszczącej od zdeptania bosymi stopami i nawet w suszę cuchnącej wilgotnym amoniakiem, słyszy narastający jazgot głosów. Wysuwa się zza zakrętu. Sąsiedzi tłoczą się pod otwartymi drzwiami Mamy Bharat. Tal cofa się o stopień. Wszyscy gadają, gestykują, niektóre kobiety przyciskają w szoku dupatty do twarzy. Przez zgiełk i lamentsy przebijają się męskie głosy, tu słowo, tam fragment zdania. „Tak, rodzina już jedzie, zaraz będzie, jak tak można, zostawiać staruszkę samą sobie, wstyd wstyd, już policja ich znajdzie”.

Jeden stopień naprzód.

Wyważone drzwi do mieszkania Mamy Bharat leżą na podłodze. Ponad głowami gniewnych mężczyzn Tal widzi zbezczeszczone pokój. Ściany, okna, obrazy bogów i awatarów, wszystko usiane dziurami. Tal gapi się na nie, nie chcąc zrozumieć. Dziury po kulach. Gapi się odrobinę za długo. Krzyk.

- Tam jest!

Zrzedliwy głos sąsiada, Paswana. Tłum rozstępuje się, robiąc miejsce linii łączącej Tala, oskarżycielski paluch sąsiada i ślady stóp na podłodze. Obraca się każda głowa. Stoją stopami w kałuży krwi. Kałuży zdumiewającej, świeżej, czerwonej krwi, pełnej życia i tlenu, już zwabiającej muchy. Muchy są w pokoju. Muchy są w jego głowie.

„Jesteś teraz zbędne” - powiedziało Tranh.

Stopy w świeżej, tłustej krwi. Oni są nadal w budynku. Tal odwraca się, znów zaczyna biec.

- Tam on jest, ten potwór! - ryczy Paswan.

Sąsiedzi Tala podejmują krzyk. Betonowy szyb klatki schodowej dudni od głosów. Tal łapie potężnymi zamachami stalową poręcz, podciąga się w górę schodów. Wszystko je boli. Wszystko skarży się i pojękuje i mówi mu, że to koniec, że dalej nie da rady. Ale Mama Bharat nie żyje. Zastrzelili Mamę Bharat, a w ten sierpniowy ranek z pierwszymi promieniami słońca schodzącymi w dół betonowego szybu z brudnej kopuły na dachu, nienawiść, złość, strach i gniew Bharatu skupiają się na pełznącym w górę schodów jednym neutku. Jego sąsiedzi, ludzie, wśród których spokojnie mieszkało przez tyle miesięcy, chcą je rozdrzeć na strzępy.

Na podeście siódmego piętra przepycha się między dwoma mężczyznami. Coś migoce w pamięci: Tal się ogląda. Są młodzi i ubrani w workowate spodnie i białe koszule, uliczny uniform młodego bharackiego mężczyzny, ale coś mu w nich nie pasuje. Nie pasuje do White Fortu. Ich oczy się spotykają, Tal przypomina sobie, gdzie ich już widziało. Wtedy mieli na sobie garnitury, eleganckie, ciemne garnitury. Minęli je na półpiętrze, kiedy Mama Bharat wynosiła śmieci, a ono przetańczyło obok, posyłając jej całusa, całe podekscytowane i rozemocjonowane wyjściem na miasto, podczas którego nastąpił koniec. Obejrzel się, tak jak ono teraz. Dobry scenograf nigdy nie zapomina takich szczegółów.

„Jesteś teraz zbędne”.

W sekundę, którą zajmuje im uświadomienie sobie własnego błędu, Tal zyskuje półtora piętra, oni są jednak młodzi, płci męskiej, sprawni, nie noszą modnych kozaków i nie biegli całą noc - bo tak się Tal czuje.

- Z drogi! - wrzeszczy, przepychając się przez codzienną procesję po wodę: dziewczyny z górnych pięter schodzące po niekończących się schodach, z plastikowymi butlami na głowach. Musi się wydostać na dwór. White Fort to pułapka, potężna, betonowa, śmiercionośna maszyna. Musi się

stąd wy dostać. Znaleźć się w tłumie, między ludźmi. Osłonią je swoimi ciałami. Tal skręca na kolejnym półpiętrze, szarpie się z drzwiami i wypada na zewnętrzną galeryjkę.

Urbaniści Diljita Rany, wszyscy gorliwi neo-Le Corbusierowcy, pomyśleli White Fort jako podniebną wioskę i zaprojektowali tu szerokie, słoneczne tarasy do wielkowiejskich upraw. Podczas długiej suszy większość nawadnianych kropelkowo zagonków zmieniła się w proch, pył i kryzys wodociągowy, chyba że porastają je genetycznie zmodyfikowane konopie, hodowane z pieczołowitą miłością i podlewane butelkowaną wodą mineralną. Na kupach śmieci i wyschniętych warzywnikach pasą się zdziczałe kozy, pięć pokoleń od swoich pierwszych miejskich przodków. Skaczą po betonowych wybiegach i balustradach White Fortu równie pewnie, jak po rodzimych urwiskach. Roboty remontowe zajadłe polują na nie paralizatorami z wysokim napięciem. Bo kozy z upodobaniem zzerają izolację z kabli.

Tal biegnie. Kozy unoszą głowy, przeżuwać. Matki zabierają dzieci ze ścieżki szalanej, rozpędzonej, zboczonej istoty. Starsi mężczyźni, palący bidi i rozwiązujący krzyżówki w porannym słońcu, wodzą za nim wzrokiem, uradowani, że coś, cokolwiek, się dzieje. Młodzi, znudzeni mężczyźni krzyczą i bucą.

Przyptyw chemii kończy się, słabnie. Tal nie jest stworzone do biegania. Ogląda się przez ramię. Pistolety w dłoniach mężczyzn latają w górę i w dół. Czarne, brutalne pistolety. To wszystko zmienia na rolniczych piętrach White Fortu. Kobiety unoszą dzieci do środka. Staruszkowie się chowają. Młodzi cofają odrobinę.

- Pomóżcie! - krzyczy Tal.

Łapie pojemniki, kupy papieru, koszyki, cokolwiek, co może ich kosztować choćby sekundę, zwała to w dół za sobą. Nad szerokimi podniebnymi alejami wisi na obwisłych sznurkach codzienne pranie - sari, dhoti, lungi. Przemyka pod ociekającym dhobi, wyciąga ręce, wywracając drążek za drążkiem. Słyszy wilgotne przekleństwa, odwraca się i widzi, jak pogoń wyplątuje się z mokrego, zielonego sari. W zasięgu wzroku ma azyl, windę towarową na końcu uliczki, wypełnającą się uczniami po lekcjach. Tal rzuca się w zasuwające się drzwi, przemyka mimo spłoszonej opiekunki. Winda szarpie i zaczyna zjeżdżać. Tal słyszy głosy. Zerka w górę, widzi wychylonych za poręcz dwóch dakoitów z wyciągniętą bronią. Tal, wciśnięte między czarnookie uczennice podstawówki w eleganckich mundurkach, macha im dłonią.

Słońce rzuca parzące promienie w kaniony ulic Varanasi, a Tal nurkuje w godzinę tłoku. Prześlizguje się między uczniami, urzędnikami w białych koszulach na rowerach, ulicznymi i sklepowymi sprzedawcami, wyłażącymi z bram bezdomnymi, studentami w markowych ciuchach i japońskich butach, dwukółkami załadowanymi wysoko kartonami z bielizną Lux Macroman i eleganckimi damami pod baldachimami rowerowych riksza. W każdej chwili ktoś z tego tłumy może skojarzyć je z pierwszą stroną niesionej pod pachą gazety, śniadaniowym biuletynem informacyjnym na palmerze, z reklamującym gazety stojakiem albo informacją przewijającą się po ekranie reklamowym, jakich pełno na każdym skrzyżowaniu i placyku. Jeden krzyk; jeden łapiący za rękaw ruch ręki; jedno „Ej, ty, stój!” i cały ten chaotyczny ruch indywidualności skryształizuje się w tłum, jedną wolę, jeden cel.

Tal zeskakuje po zaśmieconych schodach do miejskiej kolejki. Nawet jeśli zabójcom udało się wyśledzić je w ulicznym zamęcie, nie mogą liczyć, że wytropią je w labiryncie varanaskiego metra. Tal omija kolejkę do czytnika tęczówek, wślizguje się w ogonek dla pań, które nie pozwalają Varanaskiej Szybkiej Kolei Miejskiej na taką poufałość wobec własnych oczu. Wrzuca pięć rupii do kołowrotka i przeciska się przez niego, zanim kobiety Nowego Varanasi zdążą zaprotestować.

Przeciska się po peronie do części dla kobiet. Wypatruje w tłumie kilwatu za przepychającymi się zabójcami. Tak łatwo tu zginąć. Jedno szturchnięcie, gdy z tunelu wypada pociąg. I nadchodzi fala depresyjna, popioły po sztucznej adrenalinie wypływają się z krwiobiegu. Tal wzdryga się, małe, samotne i bardzo, bardzo paranoiczne. Napływa mdląco gorące, elektryczne powietrze; na stację wpada metro. Tal przejeżdża dwie stacje w wagonie tylko dla kobiet i wysiada. Odlicza jeden pociąg, dwa, potem znów wsiada do części zastrzeżonej dla kobiet. Nie ma pojęcia, czy dobrze robi - nie wie, jak się dobrze robi. Czy są jakieś poradniki, jak zgubić morderców w metrze?

Automatyczny pociąg pędzi przez bebechy Varanasi, podskakując na złączach i zwrotnicach. Pośród kobiet Tal czuje się nagie. Słyszy ich myśli: „To nie miejsce dla ciebie, nie wiemy, kim byłeś, ale jedną z nas już nie jesteś, hidzro”. Wtem serce mu zamiera. Biurowa dziewczyna wciśnięta między słupki a gaśnicę, znalazła miejsce, by rozłożyć „Bharat Timesa”. Skupia się na ostatniej stronie, wynikach krykieta. Jedynek - krzyczy osiemdziesięciopunktowym tytułem i zdjęciem na pół strony. Patrzy na siebie, twarz blada w świetle lampy błyskowej, oczy wielkie jak księżycy.

Pociąg podskakuje na złączach. Pasażerowie chwieją się jak zboże na wietrze. Tal puszcza wiszący uchwyt i zatacza się przez wagon. Zbiera się dokładnie na wprost rozkrzyczanego nagłówka. Dziewczyna zgina poranną lekturę, by na nie spojrzeć, i z powrotem pogrąża się w plotkach o bohaterze meczu testowego V.J. Mazumdarze i jego zbliżającym się gwiazdorskim weselu. Mniejszy tytuł na dole strony głosi: OFIARY PODPALENIA W KLUBIE DLA ZBOCZENCÓW.

Varanasi City, ogłasza aeai ponad jazgotem odbiorników radiowych i rozmów. Tal wypada na peron, wyprzedzając powoli rozlewającą się plamę dojeżdżających do pracy. Czas, aby pomedytować i zastanowić się nad tym tytułem przyjdzie później, kiedy śatabdi nabierze prędkości, a Varanasi zostanie sto kilometrów z tyłu.

Ruchoe schody wynoszą Tala do głównego hallu. Już sprawdziło na palmerze, co stąd najszybciej odjeżdża. Kolkata Hi-Speed. Prosta stalową linią do Państw Bengalu. Patna i Nanak mogą zaczekać. Inne państwo przyda mu się bardziej niż nowa twarz. Banglowie są cywilizowani, kulturalni, tolerancyjni. Kolkata stanie się jego nowym domem. Ale rezerwacja przez sieć jest wolna wolna, a kłęb ciał wokół kas śmiertelnie groźny. Niechciane gazety walają się między porzuconymi miseczkami z liści mango po zupie dal i alu. Zbieracze szmat dźgają to wszystko kijami i przesiewają. Każdy z nich podkablowałby Tala za garstkę rupii.

Trzydzieści minut do odjazdu.

Rezerwacja online znów się zawiesza. A automaty do biletów mają szczeliny na karty zalepione kartkami z wypisanym mazakiem napisem „AWARIA”.

Pieprzony Bharat.

- Halo halo, przyjacielu, chcesz kupić bilet od ręki? - Konik ma pierwociny wąsika i sportowy ubiór, podchodzi bardzo blisko, sugerując dyskretną transakcję. Rozkłada wachlarz biletów. - Bezpieczne, solidne. Rezerwacja gwarantowana. Na bilecie twoje nazwisko, nikt o nic nie pyta. Mamy wejścia do systemu Bharat Rail. - Machnięcie rzęchovatym palmerem.

No, zaraz, zaraz. Nie uda mu się. Na pewno się nie uda.

- Ile?

Chłopaczek w dresie rzuca cenę, na którą w każdym innych okolicznościach, w każdym innym czasie, Tal wybuchłoby śmiechem.

- Proszę, proszę. - Wciska konikowi zwitek rupii.

- Ej, zaraz, po kolei po kolei - mówi chłopaczek, prowadząc Tala ku peronom. - Jaki pociąg jaki pociąg?

Tal mówi mu.

- Chodź ze mną.

Prowadzi go przez tłum na tyły straganu z herbatą, gdzie poranni pasażerowie siorbią z maleńkich, plastikowych kubeczków słodką herbatę z mlekiem. Wsuwa blankiet biletowy w szczelinę palmera, wstukuje jego dane, wciska parę ikonek.

- Proszę. *Bon voyage*. - Z uśmiechem wręcza bilet Talowi.

Uśmiech zamiera. Rozdziawiają się usta. Na kołnierzyku jego koszulki z napisem „Adidas” wykwita maleńka, czerwona kokardka. Rozszerza się w strużkę. Wyraz twarzy przechodzi z zadowolonego z siebie w zaskoczony, a potem martwy. Chłopak zwała się na Tala, krzyczy kobieta w fioletowym sari, krzyk podejmuje cały tłum, gdy Tal widzi nad ramieniem zastrzelonego konika faceta w eleganckim garniturze w stylu Nehru, z czarnym pistoletem z tłumikiem, rozdartego między pragnieniem ewakuacji po spieprzonej robocie a dokończeniem jej tu i teraz, na oczach wszystkich.

Nagle spomiędzy ludzi wypada skuterek, skręca zygzakiem, trąbiąc: skuter, prowadzony przez dziewczynę celuje prosto w zabójcę, który słyszy, widzi i reaguje o jedną milisekundę za późno. Zderza się z nim w chwili, gdy ten zaczyna odwracać broń. Wrzaski. Pistolet wiruje mu w dłoni. Facet w czerni zatacza się po peronie, pada na burtę wagonu, zsuwa się pod koła, na tory, pod pociąg firmy Kolkata Unlimited.

Gdy tłum pędzi ku wagonom, żeby zobaczyć, co się stało z zabójcą, dziewczyna zawraca skuter ku Talowi.

- Wsiadaj! - krzyczy po angielsku. Spod wagonu wylania się ręka. Inne ręce sięgają w dół, pomagają mu się wygramolić. - Jak chcesz żyć, to wsiadaj!

Każda inna opcja to jeszcze większe szaleństwo. Dziewczyna wciąga neutko. Tal siada blisko i przywiera do niej. Dodaje gazu, pędzi, roztrącając tłok na peronie, wściekle trąbiąc. Zjeżdża z końca peronu, przejeżdża podskakującym skuterkiem przez tory i podkłady, tuż przed powoli jadącym pociągiem podmiejskim, przyspiesza na zaśmieconym poboczu wzdłuż torów, rozganiając klaksonem pieszych, którzy skracają sobie tędy drogę.

- Powinnam się przedstawić - rzuca przez ramię. - Ty mnie nie znasz, ale w pewnym sensie jestem ci to winna.

- Co?! - krzyczy Tal z policzkiem przyciśniętym do jej pleców.

- Jestem Najia Askaradah. To ja cię w to wszystko wplątałam.

ROZDZIAŁ 29 BANANA CLUB

Do jedenastej regularne ataki policyjnych pałek oczyszczają ulice. Policjanci uganiają się po gali za pojedynczymi karsewakami, ale to po prostu miejskie łobuzy, chuligani, co to nie przepuszczą żadnej zadymy na swoim terenie. Zaułki są zbyt wąskie dla wozów strażackich, więc straż ciągnie nimi węże, łącząc je w dłuższe odcinki. Woda tryska ze złącz. Mieszkańcy Kashi zerkają zazdrośnie z werand i sprzed sklepów. Już za późno. To już koniec. Stare, drewniane haweli zawaliło się, pozostała kupa żarzących się, trzaskających węgli. Strażakom pozostało dogasić pogorzeliśko i nie pozwolić, aby ogień rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki. Ślizgają się i wywracają na skórkach od bananów.

Atak był staranny i skuteczny. Zdumiewające, że ogień poszedł tak szybko. Wszystko wyschnięte na wiór. Ta susza, ta długa susza. Noszowi wynoszą trupy. Varanasi, miasto płonących stosów. Ci, którzy uciekli frontowymi drzwiami, ściągnęli na siebie gniew Shivaji. Ciała zaściełają zaułek. Jedno ma na szyi spaloną do gołych drutów samochodową oponę. Korpus jest nietknięty, głowa to zwęglona czaszka. Inne przebito trójzębem Śiwy. Jeszcze inne wypatroszono i wepchnięto do środka płonące plastikowe śmieci. Policjanci zdeptują płomienie i odciągają tę istotę, starając się jak najmniej jej dotykać. Boją się nieczystego dotyku hidźry, bezpłciowca.

Latające kamery i palmery polują na zbliżenia, montażyści i wydawcy wiadomości w studiach analizują materiały i zastanawiają się, jaką linię obrać: liberalne oburzenie czy populistyczny gniew wobec zakłamania rządu Ranów. O jedenastej trzydzieści N.K. Jivanjee wyda oświadczenie. Wydawcy uwielbiają historie, które same się nakręcają. Krykiet skończył się przed kulminacją, wojna nie przyniosła nic poza transporterami opancerzonymi godzinami jeżdżącymi tam i z powrotem po długim meandrze zapory Kunda Khadar; natomiast spirala tego seksualnego skandalu wymyka się spod kontroli, przynosząc zwęglone trupy i uliczne zamieszki. Jedno zdjęcie szczególnie często przewija się w porannych informacjach: biedna, ślepa staruszka, której wściekły tłum roztrzaskał kijem bok głowy. Wszyscy zachodzą w głowę, czemu trzyma w dłoni banana.

ROZDZIAŁ 30 LISA

Świat widziany spod ociekającego wodą brzegu kokosowej strzechy wygląda, jakby się topił. Palmy, kościół, stragany przy drodze, sama droga i jadące nią w obie strony auta, wszystko ma odcień szarości, wypłukany, płynny, przenikający się nawzajem jak na japońskim rysunku tuszem. Światła ciężarówek są blade i wodniste. Ziemia, rzeka i niebo płynnie przechodzą jedno w drugie.

Lisa Durnau, ubrana w bezkształtną plastikową pelerynę, nie widzi nawet końca trapu. W sąsiedniej kabinie dr Ghotse kuca nad palnikiem gazowym, obiecującym herbatę i pociechę. Lisa Durnau herbatę mogłaby sobie darować. Próbowwała ich przekonywać, żeby dodawali tylko wodę i darowali sobie cukier. I tak zawsze przynosili jej słodką, z mlekiem. Mrożona - to byłaby ekstaza. Pod krępującą ruchy przeciwdeszczówką lepi się od potu. Z okapów kaskadami spływa deszcz.

Kiedy wylądowała w Thiruvananthapuram, już padało. Chłopak z parasolem odprowadził ją po spływającej wodą płycie lotniska do hali przylotów. Zachodniacy z klasy turystycznej biegali i klęli, osłaniając głowy kurtkami i gazetami. Hindusi po prostu radośnie mokli. Lisa Durnau widziała wiele rodzajów deszczu: stalowoszary wiosenny na północnym wschodzie Stanów; przenikliwa zacinająca w nieskończoność mżawka na północnym zachodzie; przerażające oberwania chmur na Wielkich Równinach, jakby w niebie powstawał wodospad, źródło nagłych powodzi i ablacji deszczowej. Ale radosny deszcz to nowość. Taksówka do hotelu jechała po osie w wodzie zalanymi ulicami pełnymi pływających śmieci. Krowy stały po kostki w błocie. Rowerowe riksze puły przez roztańczoną brązową ciecz, zostawiając za sobą piwne kilwatery. Patrzyła, jak kurs taksówki przecina płynący sznur, odważna główka wysoko nad wodą. Dziś, lawirując między kałużami w drodze do trapu, widziała dziewczynkę pływającą po starorzeczu wątlą tratawką z paru bambusowych kijów na krzyż. Na nich balansował poobijany metalowy garnek. Włosy miała przylepione do czaszki jak jakiś opływowy wodny ssak. Za to twarzyczka promieniała.

CIA zapomniało powiedzieć jej na odprawie, że w Kerali będzie monsun.

Nie podoba się jej, że jest rządowym tajniakiem. Lekcje zaczęły się od razu, gdy lekki statek wylądował na słupie plazmy. Pierwszą odprawę odbyła, jadąc autobusem do centrum medycznego, nadal słaba i obolała od ponownego spotkania z grawitacją. Nie zdążyła się nawet przebrać, gdy uwieźli ją i wsadzili do samolotu do Nowego Jorku. Na lotnisku Kennedy'ego pouczono ją o oficerach łącznikowych w ambasadach oraz hasłach bezpieczeństwa. Jednocześnie wieźli ją limuzyną do poczekalni dla VIP-ów. Tam facet i kobieta w garniturach zrobili jej w jednym z pół wyciszających centrum biznesowego wykład z prawidłowego użytkowania urządzenia lokalizującego. Przy bramce wręczyli jej małą walizkę pełną odpowiednich ubrań w jej rozmiarze. Potem ponuro uścisnęli dłoń, życząc przyjemnej podróży i udanej misji. Lisa otworzyła bagaż, gdy taksówka podjechała do hotelu. Tak jak się obawiała: wszystkie koszulki miały nie takie rękawy, a bielizna po prostu nie nadawała się do niczego. Na samym dnie, złożone, spoczywały dwa eleganckie czarne kostiumy. Prawie spodziewała się, że zaraz z barku wylezie Daley Suarez-Martin. Następnego

dnia wzięła czarną kartę bez dna na bazar i napełniła całą walizkę za połowę ceny pary majtek z Abercrombiego i Fitcha. Wliczając także stroje przeciwdeszczowe.

- Tak, wspaniale to wygląda - odzywa się dr Ghotse.

Lisa Durnau wzdryga się. Dała się zahipnotyzować palcom deszczu na kokosowej pleciance. Stoi w drzwiach z filiżankami herbaty w obu dłoniach. Jest taka, jak się obawiała, ale rzeczywiście jej pomaga. Łódka pachnie wilgocią i zaniedbaniem. Nie lubi myśleć, że Thomas Lull tu wylądował. Nie potrafi wyobrazić sobie tej krainy inaczej niż w niekończącym się białym deszczu. Odczytała tantryczne symbole na matach dachu, zauważyła białą nazwę *Salve Vagina* na dziobie. Nie ma wątpliwości, że był tu Thomas Lull. Obawiała się jednak tego, co tu znajdzie: rzeczy Lulla, życie Lulla poza nią, nowy świat Lulla. Teraz, gdy zobaczyła, jak niewiele tu jest, jak ubogie i ascetyczne są trzy kryte strzechą kajuty, niepokój przechodzi w melancholię. Całkiem, jakby umarł.

Dr Ghotse zaprasza, by usiadła na jednej z ciągnących się przez całą kabinę niskich, tapicerowanych ław. Lisa wyplątuje się z folii, zostawia ją ociekającą na miękkiej, włóknistej macie. Herbata jest dobra, zmysłowa.

- No, na Czarnej Północy zaczęli toczyć o nią wojny. Dzicy ludzie. Ciągłe siedzą w tych swoich kastach. Ale właśnie, panno Durnau: czego chce pani od mojego serdecznego przyjaciela Thomasa Lulla?

Lisa Durnau uświadamia sobie, że taką scenę i wszystkie podobne może rozegrać na dwa sposoby. Może założyć, że Lull opowiedział swojemu serdecznemu przyjacielowi doktorowi Ghotse, co i kogo zostawił w kraju. Albo może pójść za linią szkoleń z wywiadu i zakładać, że nikt nic nie wie i wiedzieć nie może.

LD, teraz jesteś w Indiach.

Za poduszką schował się chip z sonatami fortepianowymi Schuberta.

- Amerykański rząd powierzył mi misję odnalezienia Lulla i przekazania mu pewnej informacji. W miarę możliwości, mam przekonać go, żeby wrócił ze mną do Stanów.

- A co to za informacja?

- Niestety, nie jestem uprawniona, by ją ujawnić. Wystarczy, jeśli powiem, że jest natury naukowej, a do jej zinterpretowania niezbędna jest posiadana przez Lulla unikatowa wiedza.

- Lull. Tak pani na niego mówiła?

- Powiedział panu o mnie?

- Wystarczająco dużo, żeby zaskoczył mnie fakt, że jest pani wysłanniczką rządu.

„Dobrze się nią opiekuj. Nie pozwól, żeby srali po chmurach tymi reklamami coca-coli” - polecił jej Lull. Jego wspomnienie z tamtego wieczoru w oksfordzkim barze dla studentów jest

świeższe i żywsze niż ten przed chwilą opuszczony dom. Nie czuje go tutaj, pod tym brzęącym deszczem dachem. Wyobraża sobie, że biegnie przez ten deszcz, prując jak wydra przez ciepłą niczym krew wodę rozlewiska, jak mała dziewczynka na tratwie z cynowym garnkiem. Kogo oni z ciebie zrobili?

Lisa Durnau wyjmuje blok danych i otwiera go kciukiem. Dr Ghotse siedzi, krzyżując nogi w kostkach, postawiwszy filiżankę z herbatą na niskim, rzeźbionym stoliku do kawy.

- Ma pan rację. Oto prawda. Może pan w to nie uwierzyć, ale o ile wiem, to prawda. - Wyświetla podobiznę Lulla z Tabernakulum.

- To profesor Lull - mówi doktor Ghotse. - Nie za dobre to zdjęcie. Strasznie ziarniste.

- To dlatego, że zostało wygenerowane przez pozaziemski artefakt, odkryty przez NASA w asteroidzie Darnley 285. Ten artefakt nazywa się Tabernakulum.

- Aaa, tabernakulum, azyl Arki Przymierza Hebrajczyków.

- Pan chyba nie usłyszał, co mówiłam. Tabernakulum to nie jest przedmiot wytworzony przez człowieka. Produkt pozaziemskiej cywilizacji.

- Usłyszałem, panno Durnau.

- I nie jest pan zdziwiony?

- Wszechświat to cudowne miejsce. Zdziwiłbym się, gdyby tak nie było. Lisa odkłada blok na stół, pomiędzy filiżanki.

- Musi pan zrozumieć jeszcze jedną rzecz. Ta asteroida, Darnley 285 jest potwornie stara. Starsza niż nasz Układ Słoneczny. Rozumie to pan?

- Panno Durnau, jestem kształcony zarówno w zachodniej, jak i hinduskiej kosmologii. To rzeczywiście cud, że jakiś przedmiot przetrwał zniszczenie kończące Dwaparajugę; a może pochodzi z jeszcze wcześniejszych wieków. To Tabernakulum może być nawet pozostałością z Ery Prawdy.

- Chcę znaleźć Thomasa Lulla właśnie, żeby zapytać go: czemu wewnątrz skały, która ma siedem miliardów lat znajduje się jego twarz?

- Dobre pytanie - zgadza się dr Ghotse.

Deszcz znalazł sobie drogę pod kokosową plecionkę. Krople powoli, ale coraz szybciej spadają na niski stolik rzeźbiony w postaci splecionych tantrycznych kochanków. Monsun jest nad Lisą Durnau, pod nią, za nią, przed nią, rozpuszcza wszystkie pewniki z Centrum Kennedy'ego, z Nowego Jorku, z ponaddziesięciokilometrowego samolotu. Ten deszcz, te Indie.

Hałas, deszcz, odór ścieków, przypraw i zgnilizny, bezustanny chaos ruchu ulicznego, napęczniały pies objedzony do czarnych kości w przelewającym się rynsztoku, krążące, wypatrujące

padliny kanie, łuszczące się, zapleśniałe budynki, słodki smród alkopaliwa z trzciny cukrowej i przypalonego ghi od sprzedawców puri, Ignące do niej dzieciaki, czyste i odżywione, ale proszące o rupię rupię albo długopis długopis, handlarze, sprzedawcy, wróżbici i artyści masażu zlatujący się do zmokniętej białej kobiety: ludzie. Ludzie. Kerała powaliła ją o sto metrów od hotelu. Dźwięki, zapachy, widoki i odczucia skumulowały się w jeden zmasowany atak na jej wrażliwość. L. Durnau, córko kaznodziei. Oto świat Thomasa Lulla. Musisz wejść w niego na jego warunkach.

Dała przystrzyc włosy ślepemu fryzjerowi z Ganga Devi Booti Salon i, dopiero poklepawszy się po krótkim paziu, uświadomiła sobie, że na obrazku z Tabernakulum ma właśnie taką fryzurę. Pieczęć prorocstwa. Pośród monsunu kupiła sobie wodę w butelce, trochę lekkich, wygodnych ciuchów na deszcz, a w małej firemce poligraficznej wciśniętej za święty fikus obwieszony czerwonymi i pomarańczowymi bramińskimi nitkami kazała wydrukować kilkadziesiąt kopii zdjęcia Thomasa Lulla z bloku danych - który w myślach już zaczęła nazywać Tabliczką. Potem rozpoczęła śledztwo.

Rikszarz wyglądał mniej więcej na dwanaście lat. Lisa powątpiewała, czy taki cherlak w ogóle jest w stanie uciągnąć pasażera, lecz on trzymał się jej spódnicy przez trzy przecznice, wołając: „Dzień dobry, dzień dobry, szanowna pani”, gdy lawirowała między parasolami. Zatrzymała go w zwężeniu drogi u bramy fortu.

- Znasz angielski?

- Indyjski, amerykański czy australijski, jaki pani sobie życzy?

- Potrzebuję dzieciaków, które gadają po angielsku.

- Pełno tu takich, szanowna pani.

- Masz tu sto rupii. Przyrowadź mi takich, ilu tylko dasz radę, za pół godziny do tej tam herbaciarni, a dostaniesz jeszcze dwie stówy. Potrzeba mi chłopaczków, którzy gadają po angielsku, wszystko wiedzą i wszystkich znają.

Wetknął banknot do kieszonki spodni „Adidasa”, zakołysał głową - nauczyła się już, że oznacza to potwierdzenie.

- Ej! A jak się nazywasz?! - zawołała, gdy włączył się do ruchu, melodyjnie podzwaniając dzwoneczkami.

Odwrócił się, wystrzelił uśmiechem, pedałuując przez wodne wiry.

- Kumarmangalam.

Lisa Durnau zainstalowała się w herbaciarni i przez pół godziny surfowała po Alterre. Przy szybkości dwudziestu tysięcy lat na godzinę tydzień był tam - dosłownie - epoką. Zakwit glonów w Biomie 778 na Wschodnim Pacyfiku wygenerował sobie samostabilny oceaniczny mikroklimat, który spowodował odwrócenie naturalnego biegu wiatrów, podobnie do El Niño z Prawdziwej Ziemi. Górskie lasy w chmurach wymierały; rozpadały się złożone ekosystemy oparte na symbiozie

kwitających drzew, zapylających je, żyjących w koloniach ptaków oraz skomplikowanych gadzio-drzewiastych społeczeństw w koronach drzew. W ciągu paru dni kilkanaście gatunków i ekosystem o rzadkiej, zrównoważonej urodzie ześliznie się w nieistnienie. Lisa wiedziała, że wobec Alterre powinna zachować naturę Buddy; to w końcu tylko wirtualne gatunki konkurujące o pamięć i zasoby obliczeniowe oraz zbiór matematycznych parametrów w jedenastu milionach komputerów, jednakże i tak ubolewała nad każdym wymarłym gatunkiem. Udowodniła fizyczną możliwość zaistnienia CyberZiemi gdzieś w postrozszerzeniowym poliwersum. Była w nim prawdziwa śmierć, prawdziwa anihilacja, realna na zawsze.

Aż do teraz. W keralskiej herbaciarni wydało jej się to grą, zabawką. Kieszonkowym gabinetem osobliwości. Na płaskim ekranie leciał serial. Oczy wszystkich były weń wpatrzone. Czytała, że aei generują nie tylko postacie, ale także grających je aktorów. Potężna fikcyjna konstrukcja groziła przytłoczeniem samej fabuły, jak te potężne, inkrustowane wieże dominujące nad drawidyjskimi świątyniami. CyberZiemia nie jest jedna, uświadomiła sobie. Są ich tysiące.

Kumarmangalam wrócił po półgodzinie. Była to rzecz, którą dopiero odkrywała w tym obcym świecie. On tylko wygląda chaotycznie. Da się tu zrobić różne rzeczy, i to porządnie. Można zaufać ludziom, że poniosą ci bagaże, wypiorą ubrania, znajdą dawnego ukochanego. Uliczni chłopcy włali się do herbaciarni. Właściciel rzucił odważnej kobiecie z Zachodu gniewne spojrzenie. Inni klienci poprzesuwaliby krzesła i zaczęli głośno narzekać, że nie słyszą telewizora. Kumarmangalam stanął obok Lisy i krzyknął na tego, potem na tamtego - wyglądało na to, że go słuchają. Już przydzielili sobie rolę jej zastępcy. Tak jak podejrzewała Lisa, większość znała parę angielskich słówek pozwalających przywitać, zagadać i naciągnąć turystę, ale rozłożyła na stole zdjęcia Thomasa Lulla.

- Po jednym dla każdego - poleciła Kumarmangalamowi.

Dłonie wrywały odbitki rozdającymemu je riksarzowi. Niektórych odprawił bez fotografii, nad innymi długo perorował w malajalam.

- Dobra. Chcę znaleźć tego człowieka. Nazywa się Thomas Lull. Jest Amerykaninem. Pochodzi z Kansas. Rozumiecie?

Kansas, zaintonowali chłopcy z ulicy. Uniosła zdjęcie. To była fotografia zrobiona przez jego wydawcę do celów reklamowych, w pozie podpierającego się jedną dłonią wrażliwca o mądrym uśmiechu. Jakże jej nie cierpiał.

- Tak wyglądał mniej więcej cztery lata temu. Może nadal tutaj jest, a może wyjechał. Wiecie, gdzie chodzą turyści, gdzie chodzą ludzie, którzy chcą zostać tu dłużej. Chcę wiedzieć, czy jest tutaj, albo dokąd wyjechał. Rozumiecie?

Oceaniczny pomruk.

- Okej. Dam Kumarmangalamowi trochę pieniędzy. Na razie po stówie na łebka. Jeśli który wróci z informacją, dostanie jeszcze czterysta. Ale nim zapłacę, sprawdzę, czy to prawda.

Kumarmangalam tłumaczył. Głowy potakiwały. Zabrała swojego nowego przybocznego na bok

i wręczyła mu zwitek banknotów.

- Tu jest twoje dwieście, a dostaniesz jeszcze tysiąc, jeśli będziesz mieć na nich oko.

- Pani szanowna, będę trzymał ich w ryzach, jak to się mówi w Ameryce.

Na pierwszym roku w oksfordzkim Keble College Lisa Durnau przeszła ekspresowy kurs anglofilii i przeczytała całego Sherlocka Holmesa. Zawsze miała wrażenie, że jego urwisy z Baker Street zasługują na szerszy opis. Teraz miała swoich własnych. Kiedy Kumarmangalam wiózł ją przez deszcz do hotelu, wyobrażała sobie, jak biegną przez miasto, tu zajrzą do sklepu, tam do kawiarni, restauracji, świątyni, biura podróży, kantoru wymiany, prawnika, agenta od nieruchomości, kasy pożyczkowej. „Ten człowiek ten człowiek?”. Bardzo ją to radowało. Kobiety to najlepsi prywatni detektywi. W hotelu przepłynęła w zacinającym deszczu pięćdziesiąt długości otwartego basenu, pod ponurymi spojrzeniami obsługi zbitej w gromadkę pod markizą. Potem przebrała się w sarong i podkoszulkę drukowaną w jaskrawoniebieskich bogów i pojechała fatfatem do lokali, które odwiedziły Thomas Lull, barów dla turystów, gdzie można poderwać dziewczyny.

Deszcz jakby nałożył na te piętrowe bary i kluby taneczne kolejną warstewkę obskurności. Zachodniacy, którzy byli na tyle głupi, żeby dać się złapać w mieście deszczowi, byli co do jednego korporacyjnymi lub politycznymi szpiczlami. Właściciele klubów, bariści i restauratorzy, kręcący głowami i sznurujący usta nad zdjęciami przypominali jej setkę potencjalnych przyszłych Lullów: z nadwagą, łysiejący, w plażowych szortach rozmiaru XL, zwisających z brzuszysk jak żagle rejowe. Miejscowe barowe chłopaki złaziły ze stołków i podchodziły, żeby zagadać i spróbować wsunąć jej dłoń w stringi. Odfajkowała dwadzieścia barów i więcej już nie mogła. Jadąc do hotelu w pyrkoczącym fatfacie, siedziała na wpół zahipnotyzowana rytmem deszczu w snopach reflektorów i zastanawiała się, jak to jest, że chmurom nigdy nie kończy się woda. W hotelu spróbowała obejrzeć CNN, ale wydał jej się równie obcy i błahy, jak Alterre. Jednakże w głowie utkwiał jej jeden obraz: ciepły, monsunowy deszcz padający na górę lodową w Zatoce Bengalskiej.

Kiedy wyprawiła się na zewnątrz następnego ranka, Kumarmangalam krążył riksą przed wejściem. Zrobił zamaszystą zawrotkę wśród pojazdów i przewiózł ją na drugą stronę ulicy do kafejki internetowej. W tym kraju nikt nie chodzi na piechotę. Zupełnie jak w domu.

- On ma informację - powiedział.

Lisa nie była nawet pewna, czy chłopaczek pojawił się wczoraj w tłumie innych. Zamachał fotografią.

- Czteryście rupii czterysta rupii.

- Najpierw sprawdzimy. Potem dostaniesz pieniądze.

Kumarmangalam zgromił chłopaczka wzrokiem za bezczelność. Wsiadł do rikszy. Dzieciak nie chciał jechać na siedzeniu razem z zachodnią kobietą; wgramolił się przed Kumarmangalama, stanął na nakrętkach przedniej piasty i opierając się plecami o kierownicę prowadził rikszarza przez ulice. Jazda była długa i ciężka. Parę razy Kumarmangalam musiał wysiąść i pchać wehikuł. Chłopaczek

mu pomagał. Lisa Durnau ścisnęła torbę, prezbiteriański etos pracy dawał jej się we znaki. Wreszcie stoczyli się z górki i przez łuk upstrzony rozsianymi afiszami filmowymi wjechali na podwórze okolone typowymi dla Kerali drewnianymi balkonikami i krużgankami. Krowa przeżuwała mokłą słomę. Mężczyźni unieśli głowy znad baterii maszyn do szycia. Dzieciak zaprowadził ich na górę, mijając kantorek agenta ubezpieczeniowego, hurtownię ajurwedyjskiej żywności, prosto do otwartego biura pod łuszczącym się szyldem *Pływający Lotos Gunaratna - wynajem łodzi*. Spojrzeli na nich siwiejący Keralczyk i młodszy Zachodniak w koszulce producenta sprzętu surfingowego.

- W sprawie tego dżentelmena ze zdjęcia? - zapytał miejscowy, Gunaratna.

Lisa Durnau skinęła głową. Pan Gunaratna machnięciem dłoni wygonił uliczników z biura. Przsiedli na balkonie, nadstawiając uszu.

- Tego. - Przesunęła Tabliczkę po biurku jak pokerowy krupier.

Gunaratna pokazał ją współnikowi. Surfingowiec kiwnął głową.

- To było jakiś czas temu. - Był z Oceanii, Australijec, a może Kiwi; Lisa nigdy ich nie odróżniała, tak jak niektórzy nie odróżniali Kanadyjczyków od Amerykanów.

- Parę lat temu - potwierdził Gunaratna.

Wtem Lisa uświadomiła sobie, że czekają na bakszysz. Zamachała trzema tysiącami rupii.

- Za udostępnienie informacji - zasugerowała.

Gunaratna chętnie zgarnął banknoty.

- Zapamiętaliśmy go tylko dlatego, że kupił od nas łódkę - powiedział Australijec.

- Zajmujemy się indywidualnymi czarterami łódek na rozlewisku - wtrącił się Gunaratna. - To bardzo nietypowe, żeby ktoś chciał kupić łódkę, ale oferta była...

- Za gotówkę. - Australijec siedział teraz na skraju biurka.

- Za gotówkę, propozycja nie do odrzucenia. Bardzo porządna łódka. Miała nie jedno, ale dwa świadectwa zdolności żeglugowej z Inspektoratu Żeglugi.

- Macie jakieś papiery tej transakcji?

- Ależ proszę pani, to jest rzetelna firma o nieskazitelnym imieniu i wszystko jest dokumentowane w trzech kopiach zgodnie z przepisami urzędu skarbowego.

Australijec włączył zwijany ekran i postukał w bazę danych.

- Proszę, mamy tego pana.

22 lipca 2043. Dziesięciometrowy kettuwallam zaadaptowany na łódź mieszkalną z instalacjami, dziesięciokonne silniki na alkopaliwo, ostatnia data przeglądu 18/08/42, miejsce postoju: Alumkadavu. Nabywca: J. Noble Boyd, obywatel USA, nr paszportu... Idealnie w stylu Lulla, zrobić sobie fałszywy dokument na nazwisko kansaskiego pastora, który uważał za swój religijny obowiązek zwalczać ewolucjonistyczne herezje Alterre. Lisa Durnau przepisała sobie na Tabliczkę szczegóły rejestracji łodzi.

- Dziękuję, bardzo mi panowie pomogli. Australijec z powrotem przesunął tysiąc rupii po blacie.

- Jak pani znajdzie doktora Lulla, może go pani namówić, żeby zrobił jeszcze jeden taki serial, jak *Żyjący wszechświat!* Najlepszy program naukowy, jaki widziałem od lat. Daje do myślenia. A teraz nic tylko telenowele.

Wychodząc, wręczyła chłopaczkowi jego czterysta rupii. W budce rikszy, popychana przez Kumarmangalama po powolnym, długim podjeździe ku centrum miasta, pierwszy raz wykorzystwała potęgę Tabliczki. Zanim wsiadł z powrotem na siodełko, знаła odpowiedź. Regionalne biuro Ray Power Electric w Pallakad zarejestrowało przyłącze energetyczne do kettuwallama *Salve Vagina*, nr. rej. 18736BG w Thekkady, nabrzeże St. Thomas Road. Nazwisko klienta: wiel. J. Noble Boyd.

Salve Vagina.

Przybrzeżny wodolot nie kursuje w sezonie monsunowym, Lisa Durnau musiała więc spędzić cztery godziny z nosem przy szybie klimatyzowanego pospiesznego autokaru, patrząc na bawoły w bajorach i wiejskie kobiety uginające się pod ciężarami na ścieżkach usypanych między zalanymi polami, próbując nie słyszeć *dsz-dsz-dsz* ze słuchawek sąsiada, równie uporczywego i irytującego, jak poświstujące nozdrza pani kapitan-pilot Beth. Wciąż nie wierzyła, że była w kosmosie. Wyciągnęła Tabliczkę i przejrzała dane z Tabernakulum. „Ej, ty, Hindi Hits”, miała ochotę rzucić do gościa na siedzeniu obok, „masz jakieś pojęcie, co to znaczy?”.

Takie właśnie pytanie trzeba będzie zadać Lullowi. Stwierdziła, że boi się tego spotkania. Kiedy jego zniknięcie przekroczyło subtelną, acz wyraźną granicę między tymczasowym a trwałym, często wyobrażała sobie, co mu powie, kiedy, po elvisowemu, wpadnie na niego w jakimś hipermarkecie albo wolnośłowce na lotnisku. Łatwo wymyśla się dobre teksty, kiedy wiadomo, że nigdy się ich nie użyje. A teraz, gdy każdy kilometr wśród deszczu i ociekających wodą palm przybliży ją do tego - wydawałoby się niemożliwego - spotkania, nie ma pojęcia, co powiedzieć. Na chwilę odepchnęła to od siebie, poszukując fatfata w namokniętym wirze ludzi i pojazdów na rozszerzeniu drogi stanowiącym dworzec autobusowy w Thekkady. Lecz gdy fatfat podskakiwał między kałużami wielkości lagun na długiej, prostej drodze wzdłuż rozlewiska, lęk powrócił, zmieniając się w groźne uczucie mdłości w żołądku. Minęli starszego człowieka pedałuującego przez deszcz na wielkim czerwonym rowerze na trzech kołach. Kierowca fatfata wypuścił ją przy samym nabrzeżu. Lisa Durnau stanęła w deszczu, sparaliżowana. Wtem poskrzypujący czerwony trójkołowiec wyjechał jej zza pleców, wykonał skręt pod kątem prostym i wskoczył po trapie na rufowy pokład.

- No cóż, panno Durnau, choć nie jestem przekonany, że profesor Lull będzie mógł pani pomóc,

przynajmniej szczerze pani ze mną porozmawiała, powinienem zatem się odwzajemnić - mówi doktor Ghotse. Człapie w deszczu, szpera w kufrze swojego czerwonego, trójkołowego roweru i wraca ze złożoną, nasiąkniętą wodą kartką papieru. - Proszę.

To wydruk e-maila.

Hotel Amar Mahal, Manasarovar Ghat, Varanasi. Mój drogi Dariusie. Niestety, nie piszę z tej szkółki nurkowania, jaką sobie obiecywałem. Wbrew wszystkim Twoim radom, pojechałem z Aj na czarną północ. Z tą od astmy, pamiętasz? Chodzi o wielką tajemnicę - nigdy nie byłem w stanie oprzeć się tajemnicy. To ostatnie miejsce na Ziemi, gdzie powinienem teraz być - już i tak wplątaliśmy się w drobny wypadek na kolei, pewnie o nim czytałeś, ale czy mógłbyś ulżyć mi trochę podczas pobytu w piekle i przesłać resztę rzeczy na ten adres? Zwrócę Ci za przesyłkę przelewem.

Dalej następuje lista książek i nagrań, w tym gnieźdzący się za poduszką Schubert.

- Adż?

Doktor Ghotse poprawia jej wymowę.

- Młoda dama, którą pan profesor poznał w klubie. Uczył ją, jak opanować astmę.

- Metody Butejki?

- Otóż to. Bulwersujące. Jako lekarz nigdy bym jej nie zalecił. Ale najbardziej nim wstrząsnęło, że ta młoda dama zna jego nazwisko.

- Zaraz. Czyli nie jestem pierwsza?

- Wątpię, żeby była agentką jakiegokolwiek państwa.

Lisa Durnau wzdyga się, choć w wilgotnej kabinie jest parno. Wyświetla na Tabliczce pierwszy wizerunek z Tabernakulum i odwraca ją ku doktorowi.

- Też kiepsko widać, ale tak, to ta młoda dama.

- Doktorze Ghotse, to również jest artefakt z wnętrza Darnleya 285.

Doktor Ghotse rozpira się na ławie.

- No cóż, panno Durnau, tak jak pisze profesor Lull, mamy do czynienia z wielką tajemnicą.

Deszcz na zewnątrz powoli ustaje.

ROZDZIAŁ 31 LULL

W biurze mecenasa Nagpala otwarte są na oścież wszystkie okna i okiennice. Zgiełk ulicy jest ogłuszający.

- Przepraszam przepraszam - gada mecenas, sadzając gości w popękanych skórzanych fotelach i sadowiąc się za bogato rzeźbionym biurkiem. - Ale inaczej ten upał... Nasza klimatyzacja... właściciel budynku powinien ją należycie konserwować. Chyba napiszę dosadnie sformułowane pismo... Proszę, ćaj. Uważam, że na dotkliwy skwar najlepiej działa gorący ćaj.

Thomas Lull jest innego zdania, ale mecenas Nagpal już zadzwonił po biurowego wallaha.

- Słyszałem, że w Jharkhandzie już pada.

Chłopak przynosi mdląco słodki gorący ćaj na mosiężnej tacy. Nagpal unosi filiżankę i wypija ją duszkiem. Mecenas Nagpal z kancelarii Nagpal, Pahelwan i Bhavan udaje starszego niż jest w rzeczywistości. Thomas Lull od dawna wyznaje teorię, że każdy człowiek ma wewnętrzny duchowy wiek, w którym pozostaje przez całe życie. On utknął w wieku dwudziestu dwóch lat. Adwokat jest dobrze po pięćdziesiątce, choć sądząc po dłoniach i twarzy nie ma więcej niż trzydzieści.

- A teraz, czym mogę służyć?

- Pana kancelaria wysłała do obecnej tu mojej współpracowniczkę zdjęcie - mówi.

Nagpal marszczy czoło, ściąga usta w małe „o?”. Aj przesuwa swojego palmera po stole. Thomas Lull ocenia temperaturę na czterdzieści parę stopni, ona jednak jest chłodna i opanowana. W cieniastym biurze jej tilaka niemal lśni.

- Wysłano mi to w dniu osiemnastych urodzin - podpowiada.

- A, tak, już kojarzę! - Nagpal otwiera swojego palmera w ręcznie robionym skórzanym etui; postukując, szuka pism.

Thomas Lull odczytuje grę jego palców, ruchy oczu, rozszerzenie nozdrzy. Czego pan się tak boi, panie mecenasie ze ścianą obwieszoną tytułami, dyplomami i świadectwami?

- Mam, Ajmer Rao. Przyjechała pani tutaj aż z Bangalore; niesamowite, zwłaszcza w tych niebezpiecznych czasach. Na zdjęciu są, jak sądzę, pani prawdziwi rodzice.

- Gówno prawda - mówi Thomas Lull.

- Sir, fotografia przedstawia...

- Jeana-Yvesa i Anjali Trudeau. To znani naukowcy od sztucznego życia. Współpracowałem z nimi przez wiele lat. I kiedy ona teoretycznie powinna nosić Aj, widywałem się z nimi codziennie, w Strasburgu. Gdyby była w ciąży, na pewno bym wiedział.

- Z całym szacunkiem, panie Lull, są różne nowoczesne techniki, matki zastępcze...

- Panie Nagpal, Anjali Trudeau w życiu nie wytworzyła ani jednego jajeczka.

Mecenas z niesmakiem zagryza dolną wargę.

- Nasze pytanie brzmi zatem: kim są prawdziwi rodzice Aj i kto polecił panu wysłać to zdjęcie? Ktoś bawi się, mącąc jej w głowie.

- Niezmiernie mi przykro z powodu dezorientacji panny Rao, ale nie wolno mi tego ujawniać, panie Lull. To tajemnica zawodowa.

- Zawsze mogę porozmawiać z nimi bezpośrednio. Wizyta u pana to tylko formalność.

- Niestety, sir, nie wydaje mi się. Proszę wybaczyć, ale powiem prosto z mostu: pan i pani Trudeau nie żyją.

Thomas Lull czuje, że ciemny, zagracony i zapocony pokój wywraca się na lewą stronę.

- Co?

- Sir, przykro mi to mówić, ale wczoraj rano państwo Trudeau zginęli w pożarze mieszkania. Okoliczności są podejrzane, policja prowadzi śledztwo.

- Mówi pan, że zostali zamordowani?

- Sugeruję, sir, że wypadek zwrócił uwagę rządowego departamentu zwanego nieoficjalnie Ministerstwem.

- Psów Kryszny?

- Dokładnie. Podejrzewa się, że w tym mieszkaniu mieścił się sundarban Badrinath.

- Współpracowali z dataradzami?

Mecenas Nagpal rozkłada ręce.

- Nie będę spekulował.

Thomas Lull mówi teraz wolno i wyraźnie, żeby prawnik nie miał wątpliwości, co ma na myśli.

- Czy to sundarban Badrinath polecił panu wysłać to zdjęcie do Aj?

- Panie Lull. Mam matkę, brata, siostrę z mężem i trojgiem dzieci, niech jej bogowie sprzyjają.

Swiadcze usługi notarialne i odbieram przysięgi w niezupełnie porządnej dzielnicy. Działają tutaj siły, których nie muszę rozumieć, by wiedzieć, że są potężne. Ja tylko wypełniam polecenia i kasuję honorarium. Nie mogę panu pomóc, proszę mnie zrozumieć. Mogę natomiast wypełnić ostatnią instrukcję moich klientów.

Mecenas dzwoni dzwonkiem, wyćwierkuje rozkaz w hindi swojemu babu, który wraca z opakowanym w varanaski jedwab pudełkiem wielkości książki. Pan Nagpal rozwija kwadrat ręcznie tkanego materiału. W środku są dwa przedmioty, zdjęcie i rzeźbiona szkatułka na biżuterię. Podaje fotografię Aj. Typowe rodzinne zdjęcie: matka, ojciec i córka, uśmiechnięci, nad wodą, w tle wieże słonecznego miasta. Lecz mężczyzna i kobieta już nie żyją, a dziewczynka, mrużąca oczy w porannym blasku, ma ogoloną czaszkę z widocznymi bliznami po niedawnej operacji.

Aj przesuwa dłonią po włosach.

- Przepraszam za kłopoty - mówi mecenas Nagpal. - To jest druga rzecz, którą chcieli pani przekazać. - Wręcza jej szkatułkę i czeka aż ją otworzy. Gdy Aj odpina mosiężny zatrzask, Thomas Lull czuje zapach drzewa sandałowego.

- Mój konik!

Między kciukiem a palcem wskazującym ma czakramowe koło płomieni. Pośrodku niego tańczy stojący dęba biały koń.

Ponad wałacymi się wieżowcami i farmami zbiornikowymi Wschodniego Brzegu, niebo przybiera barwę obsydianu - wysoki na dziesięć kilometrów mur obronny twierdzy. Thomas Lull czuje w skroniach jego ciśnienie, nawet tu gdzie siedzi, na najwyższych tarasach ghatu Dasashvamedha. Zamglone żółte słońce panuje nad miastem i rzeką. Szerokie łachy piasku na wschodnim brzegu, gdzie nagowie ćwiczą się w swym ascetyzmie, wydają się białe na tle czarnego nieba. Powiew wiatru goni po ghacie płatki aksamitek, kołysze łodziami na wodzie. Nawet w Kerali nigdy nie doświadczył aż takiej wilgotności powietrza. Wyobraża sobie, jak ten upał, wilgoć, chemiczne substancje wiją się i tężeją w jego drogach oddechowych.

Nos do oddychania, usta do gadania.

Nastroje w mieście są napięte, powęzłone. Skwar i wojna. Gniew wykijał z ronda Sarkhand na ulice. Pożary. Ofiary. Najpierw neutki, potem muzułmanie, jak zawsze. A teraz pikapy marki Mahindra taranują na Nowym Mieście amerykańskie sieciowe fast foody, a karsewakowie polewają alkopaliwem świętokradcze wołowe burgery. Thomas Lull po raz pierwszy czuje, że wszyscy zwracają uwagę na jego akcent i kolor skóry.

Oficer zabrał jego paszport i zostawił go samego w pokoiku bez okien, w małym, wiejskim ośrodku zdrowia, gdzie Bharackie Siły Zbrojne obsługiwały ocalonych z ataku na pociąg. Siedział na metalowym krzeselku pod jedną gołą żarówką, nagle czując strach, czując się nagi, podczas gdy w sąsiednim pomieszczeniu mężczyźni głośno terkotali przez telefon w hindi, w sprawie jego paszportu.

Nigdy świadomie nie wierzył w jakieś amerykańskie uprzywilejowanie, w to, że ta mała książeczka czyni go globalnym arystokratą, spowija go w nieśmiertelność, ale i tak trzymał ją w górze jak krucyfiks, znalazłszy się pomiędzy dwiema niezrozumiałymi walczącymi siłami. Nie przyszło mu do głowy, że ten dokument z niego także czyni gracza, w najlepszym razie psa łańcuchowego wrogów tego państwa, w najgorszym szpiega. Siedział w tym pokoju przez trzy godziny, w grzechocie klawiatur wojskowych babu zapisujących zeznania lawiny głosów, słysząc dobiegające z ulicy lamenty kobiet. Potem pulchny młodszy oficer, z wyraźną niebieską tilaką na języku od ślinienia czubka długopisu, wyrwał parę kwitów, ostemplował parę kartek i wręczył Lullowi plik papierów, różowo-niebieskich i żółtych oraz paszport, cały czarny.

- Proszę, to wiza podróżna, to pana tymczasowy dokument, to bilet. - Wskazał po kolei długopisem. - Autobusy odjeżdżają spod świątyni Durgi. Pana autobus ma numer dziewiętnaście. Chciałbym też przekazać panu wyrazy ubolewania od władz Bharatu i życzyć bezpiecznej dalszej podróży.

- A moja towarzyszka podróży, młoda kobieta z tilaką Wisznu?

- Wszystkie autobusy i wszyscy ludzie są przed świątynią. Szczęśliwej podróży, sir!

Młodszy oficer odprawił Thomasa Lulla machnięciem końca długopisu. Wiejską drogę oświetlały światła samochodów. Thomas Lull przeszedł między rzędami trupów, ułożonych blisko siebie jak zakochani. W połowie drogi do stada białych autobusów wojsku skończyły się worki, dalsze zwłoki leżały niczym nieprzykryte. Starał się nie wdychać odoru zwęglonych ciał. Wojskowi medycy już pracowali nad nimi, ekstrahując rogówki.

- Aj! - zawołał. Błyskały lampy błyskowe, podskakiwały reflektory kamer, ekipy telewizyjne wypatrywały ciekawych ujęć. Za lasem tyczek z mikrofonami, na satelitarnych wozach transmisyjnych rozkwitały talerze anten, jak maki. - Aj!

- Lull! Lull! - Błada dłoń zamachała z okna autobusu. Tilaka błysnęła w świetle.

Lull przepchnął się przez tłum, odwracając się plecami do kamer z logo amerykańskich stacji.

- Tak długo cię trzymali - powiedziała, gdy gramolił się na siedzenie obok niej.

- Musieli sprawdzić, czy nie jestem agentem wrogich sił. A ty? Myślałem, że po takim popisie...

- E tam, puścili mnie od razu. Chyba się bali.

Autobus jechał przez resztę nocy i cały następny dzień. Godziny rozmazywały się w skwar, płaski teren, wsie pełne malowanych reklam wody i bielizny oraz nieustające trąbienie klaksonów. Lecz Thomas Lull widział tylko zaścienia wiejską drogę trupy o czerwonych oczach oraz Aj klęczącą na jednym kolanie, z wyciągniętą ręką i posłuszne jej wrogie roboty.

- Muszę cię zapytać...

- Widziałam ich bogów i poprosiłam ich. Tak zresztą powiedziałam żołnierzom. Chyba mi nie uwierzyli, ale odtąd zaczęli się mnie bać.

- Roboty mają bogów?

- Wszystko ma bogów, panie profesorze. Trzeba ich tylko znaleźć.

Na następnym postoju Thomas Lull kupił sobie gazetę, żeby przekonać samego siebie, że wszystkie te ochłapy wrażeń i przeżyć to najprawdziwsza prawda. Bharaccy ekstremiści z Hindurwa zaatakowali pociąg śatabdi Maratha Rail w pożałowania godnym patriotycznym szale (mówił komentarz) natomiast dzielni dżawani z dywizji z Allahabadu powstrzymali brutalne i nieuzasadnione odwetowe uderzenie Awadhu.

Zachodniak może być nie wiadomo jak liberalny, a i tak zawsze nim wstrząśnie jakiś element Indii. Dla Thomasa Lulla jest to ta ukryta warstwa nienawiści i gniewu, która potrafi sprawić, że sąsiad, mieszkający obok przez całe życie, wpadnie do domu drugiego sąsiada, rozpląta mu głowę siekierą, podpali łóżka ze śpiącą żoną i dziećmi, a potem, gdy będzie już po wszystkim, powróci jak gdyby nigdy nic do sąsiedzkiego życia. Nawet na ghatach, wśród wiernych, dhobi-wallahów i handlarzy z samego dna branży turystycznej, jeden krzyk wystarczy, by powstał wściekły tłum. Jego filozofia nie znajduje na to wytłumaczenia.

- Był taki czas, kiedy zastanawiałem się, czy nie zacząć współpracować z sundarbanami - mówi Thomas Lull. - To było po moich hamiltonowskich przesłuchaniach. Mieli prawo być podejrzliwi; idea Alterre co najmniej w połowie polegała na stworzeniu alternatywnego ekosystemu, gdzie inteligencja mogłaby samodzielnie wyewoluować. Wtedy chyba nie mógłbym pozostać w Stanach. Chciałbym myśleć, że podczas prześladowań zachowywałbym się godnie i szlachetnie, jak Chomsky podczas Wojen Bushów, ale wobec uzbrojonej władzy jestem kompletnym mięczakiem. Najbardziej bałem się zignorowania. Że piszę, wykładam, mówię, ale pies z kulawą nogą nie zwraca na mnie uwagi. Że jestem zamknięty w białym pokoju. Krzyczę w poduszkę. To gorsze od śmierci. To właśnie zrobił na koniec Chomsky. Stłamsiła go bezmyślność. Wiedziałem, co oni tu robią, każdy, kto miał choć trochę do czynienia z aeai, wiedział, co się kryje w tutejszych cyberabadach. Na miesiąc przed wejściem w życie Ustawy Hamiltona ze Stanów przepychali tutaj bewabajty danych. Waszyngton niezwykle mocno naciskał na wszystkie indyjskie państwa, żeby ratyfikowały Międzynarodowe Porozumienie w sprawie Rejestracji i Licencjonowania Sztucznych Inteligencji. I pomyślałem: może by tak ktoś przemówił w ich imieniu, może jakiś amerykański głos przedstawiłby racje drugiej strony. Jean-Yves i Anjali chcieli, żebym przyjechał; wiedzieli, że nawet jeśli Awadh posłucha Waszyngtonu, Ranowie pójdą co najwyżej na jakieś połowiczne, licencyjne rozwiązanie, żeby nie rozłożyć swoich telenowel. A potem odeszła ode mnie żona, zabierając połowę moich dóbr doczesnych, więc pomyślałem, że jestem pozbierany, wyrafinowany, opanowany i ponad to wszystko. A było dokładnie odwrotnie. Przez jakiś czas chyba wariowałem. Jeszcze z tego nie wyszedłem. Jezus, nie mogę uwierzyć, że oni nie żyją.

- Jak myślisz, co oni robili w tym sundarbanie?

Aj siedzi po turecku na drewnianym podeście, gdzie wieczorem kapłani czynią pudżię dla bogini Gangi. Wierni rzucają przeciągłe spojrzenia na jej tilakę, wisznaitkę w sercu królestwa Śiwy.

- Myślę, że mieli tam Trzecią Generację.

Aj bawi się zwitkiem płatków aksamitek.

- To my osiągnęliśmy osobliwość?

Thomas Lull wzdryga się na to ezoteryczne słowo spadające jak perła z ust Aj.

- No dobrze, tajemnicza dziewczyno, a co ty rozumiesz przez osobliwość?

- To nie jest taki teoretyczny punkt, w którym aeai stają się najpierw równie inteligentne jak ludzie, a potem błyskawicznie zostawiają nas w tyle?

- Moja odpowiedź brzmi: tak i nie. Tak, bez wątplenia istnieją aeai trzeciej generacji, równie żywe, inteligentne i samoświadome, jak ja sam. Ale nie zrobią sobie z nas niewolników, ani zwierząt domowych, ani nie obrzucą nas atomówkami, bo uznają, że konkurujemy o tę samą niszę ekologiczną. To takie hamiltonowskie myślenie, guzik warte. To jest ta odpowiedź na „nie” - są inteligentne, ale nie tak jak ludzie. Aeai to obca inteligencja. To reakcja na konkretne środowiskowe warunki i bodźce, a tym środowiskiem jest dla nich CyberZiemia, gdzie zasady różnią się bardzo od prawdziwej Ziemi. Pierwsza zasada CyberZiemi: informacji nie da się przemieścić, trzeba ją skopiować. Na Prawdziwej fizyczne przemieszczanie informacji to pikuś - za każdym razem, kiedy wstajemy, przenosimy gdzieś ten samoświadomy soft, który siedzi nam w głowach. Aeai tego nie potrafią, ale potrafią coś, czego nie umiemy my - mogą się kopiować. Co się wtedy dzieje z twoją jaźnią, nie mam pojęcia, i ściśle rzecz biorąc, mieć nie mogę. Dla nas to filozoficznie niemożliwe, być w dwóch miejscach naraz; dla aeai wcale. Dla nich fundamentalnie ważne są inne filozoficzne kwestie: co się dzieje z twoją kopią zapasową, gdy przenosisz się na nową macierz. Czy cała ta jaźń wtedy umiera, czy po prostu staje się częścią większej całości? Widzisz, już wchodzimy w zupełnie obcą mentalność. Zatem, nawet jeśli aeai osiągnęły osobliwość i lecą ze swoim IQ w miliony, to co to właściwie znaczy dla ludzi? Jak to zmierzyć? I z czym porównać? Inteligencja nie jest bezwzględna, zawsze wiąże się ze swym środowiskiem. Aeai nie potrzebują fabrykować krachów giełdowych, wypuszczać atomówek, ani rozwalać naszych globalnych sieci, żeby dać ludziom popalić; nie konkurujemy o te zasoby, w ich świecie takie rzeczy w ogóle się nie liczą. Jesteśmy sąsiadami w światach równoległych i jako sąsiedzi możemy żyć w pokoju, czerpiąc z tego wzajemne korzyści. Natomiast Ustawy Hamiltona oznaczają, że powstaliśmy przeciwko swoim sąsiadom i chcemy zepchnąć ich w nicość. W jakimś momencie zaczną walczyć, jak każda istota przyparta do muru. To będzie straszna i zacięta walka. Wojna jest najstraszniejsza, kiedy walczą bogowie, a my nawzajem jesteśmy dla siebie bogami. Tak, jesteśmy dla aeai bogami. Nasze słowa mogą odmienić postać każdego aspektu ich świata. Dla nich to rzeczywistość, w której mieszkają - niematerialne istoty, które mogą odwołać każdy element rzeczywistości, są fundamentem ich świata, jak u nas zasada nieoznaczoności i teoria M-gwiazdy. Kiedyś też żyliśmy w świecie, gdzie się tak myślało: duchy, przodkowie i w ogóle wszystko trzymało się na słowie bożym. Potrzebujemy siebie nawzajem do utrzymania własnych światów.

- Może jest inne wyjście - odzywa się łagodnie Aj. - Może wojna nie jest konieczna.

Thomas Lull czuje na twarzy powiew wiatru, słyszy odległy tygrysi pomruk grzmotu. To nadchodzi.

- Ale to byłoby coś, prawda? Pierwsza taka wojna. Nie, nie, teraz mamy erę Kali. - Wstaje, otrzepuje z ubrania naniesiony wiatrem piasek i ludzkie popioły. - No to chodź. - Wyciąga rękę do Aj. - Idę na Wydział Informatyki Uniwersytetu w Varanasi.

Aj przekrzywia głowę.

- Profesor Naresh Chandra jest dziś w pracy, ale będziesz musiał się pospieszyć. I wybacz mi, Lull, ale nie pójdę z tobą.

- A dokąd pójdziesz? - zapytał jak zazdrosny chłopak.

- Do Bharackiego Archiwum Państwowego, na Raja Bazaar Road. Czynne do piątej. Inne metody zawiodły, więc przeczuwam, że profil DNA mitochondrialnego powie mi, kim są moi prawdziwi rodzice.

Narastający wiatr rozwiewa jej krótkie włosy, łopocze nogawkami spodni Lulla jak flagami. Na dole, łodzie na nagle wzburzonej wodzie panicznie uciekają ku brzegowi.

- Jesteś pewna?

Aj obraca w palcach konia z kości słoniowej.

- Tak. Przemyślałam to wszystko i muszę wiedzieć.

- No to powodzenia. - Lull przytula ją: wbrew sobie, machinalnie. Jest drobna, koścista i tak lekka, że obawia się, że trzaśnie mu w rękach, jak szklany pręt.

Thomas Lull szczydzi się posiadaniem tej męskiej umiejętności, pozwalającej raz odwiedzić dane miejsce i już zawsze mieć niezawodnie do niego trafić. I dlatego właśnie gubi się w dwie minuty od wyjścia z fatfata na gęsty zielony trawnik University of Bharat w Varanasi. Kiedy wygłaszał swój wykład na powstającym tu wydziale informatyki, to miejsce było w osiemdziesięciu procentach placem budowy.

- Przepraszam? - pyta ogrodnika, z niewiadomych powodów noszącego gumowce podczas największej suszy w krótkiej historii Bharatu.

Chmury piętrzą się ciemną, wysoką ścianą za lekkimi, powietrznymi budynkami uczelni, migocąc ostrzami błyskawic. Gorący wiatr robi się coraz silniejszy. Elektryczny wiatr. Mógłby unieść w chmury ten filigranowy uniwersytecik. „Niech już lunie, niech lunie, niech lunie”, modli się Thomas Lull, pędząc schodami obok ćowkidara i wpadając przez podwójne drzwi do dziekanatu,

gdzie ośmiu młodych mężczyzn i jedna kobieta w średnim wieku wachlują się telenowelowymi magazynami. Bierze na cel kobietę.

- Chciałbym się zobaczyć z profesorem Chandrą.

- Profesor Chandra jest w tej chwili niedostępny.

- A ja wiem z bardzo dobrego źródła, że siedzi w swoim gabinecie.

- To wbrew regulaminowi - mówi sekretarka. - Spotkania ustala się z wyprzedzeniem, przez moje biuro. Muszą być wpisane do kalendarza spotkań przed dziesiątą rano w poniedziałek.

Thomas Lull parkuje swój tyłek na biurku. Czuje wzbierającą w nim chmurę burzową, ale wie, że indyjską biurokrację można pokonać tylko cierpliwością, przekupstwem, albo wyższą rangą. Nachyla się i naciska dłońią wszystkie przyciski interkomu naraz.

- A może byłaby pani tak uprzejma i przekazała profesorowi Chandrze, że chce z nim porozmawiać profesor Thomas Lull?

Gdzieś w korytarzu otwierają się drzwi.

ROZDZIAŁ 32 PARVATI

Zaczęło się na dworcu. Bagażowi okazali się złodziejami i gundami, kontrola bezpieczeństwa była zniewagą dla szanowanej wdowy z lojalnej wsi w spokojnym rejonie, taksówkarz poobijał jej walizkę, ciskając ją do bagażnika, a potem jechał dookoła, pędził jak wariat i specjalnie wyskakiwał z autobusu, żeby nastraszyć starszą kobietę ze wsi, a potem, kiedy już prawie wystraszył ją na śmierć, zażądał jeszcze dziesięciu rupii za wniesienie torby po schodach i musiała mu je dać, bo sama nigdy by nie dała rady, nie po tym jak wykaszła sobie płuca od okropnych spalin w tym mieście. A teraz kucharka przyniosła jej čaj, który ma kwaśny posmak; w tym mieście nigdy nie ma porządnej, czystej wody.

Parvati Nandha odgania naburmuszoną kucharkę, wita matkę z należyтым, godnym córki entuzjazmem i każe sprzątaczkę zanieść bagaże do pokoju gościnnego i wszystko tam przygotować.

- Zaraz ci zrobię porządną čaj i pójdziemy sobie na dach.

Pani Sadurbhai mięknie, jak rzeźba z ghi na meli.

Sprzątaczką obwieszcza, że pokój jest gotowy. Gdy matka idzie go skontrolować i rozpakować się, Parvati zajmuje się czajnikiem, wyciera, sprząta i czyści wszelkie pozostałości po swoim upokorzeniu na meczu krykieta.

- Nie podoba mi się, że musisz to robić - mówi pani Sadurbhai, przepychając się obok niej do czajnika. - Od kucharki wymaga się, żeby przynajmniej umiała zrobić filiżankę čaju. A ta sprzątaczką cię oszukuje. Okropnie leniwa dziewczyna. Pod łóżkiem znalazłam taaakie koty z kurzu. Służbę trzeba trzymać krótko. Proszę. - Stawia na blacie jaskrawą paczkę herbaty. - Coś, co ma smak.

Siadają w półcieniu drzewa jaśminowego. Pani Sadurbhai lustruje jakoś ogrodniczej roboty, potem sąsiednie dachy.

- Trochę cię tu widać - rzuca, naciągając dupattę na głowę. Zaczął się wieczorny szczyt, rozmowa konkuruje z klaksonami samochodów. Z balkonu po drugiej stronie ulicy radio pluje przebojami. - Ładnie będzie, jak to wszystko trochę podrośnie. Bardziej zacisznie. Oczywiście nie tak zacisznie, jak w Cantonmencie, gdzie rosną prawdziwe drzewa, ale wieczory będą całkiem przyjemne. O ile nadal będziesz tu mieszkać.

- Mamo, co ty tu robisz? - pyta Parvati.

- A co, matce nie wolno odwiedzić własnej córki? To jakaś nowa moda w stolicy?

- Nawet na wsi przyjęte jest dać jakieś ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie? Co to ja jestem, powódź, szarańcza, nalot? Nie, przyjechałam, bo się o ciebie martwię, w tym mieście, przy dzisiejszej sytuacji... Niby tak, piszesz do mnie codziennie, ale ja wiem, co pokazują w telewizorze, nic tylko żołnierze, czołgi, samoloty i ten podpalony pociąg, okropne, okropne. A tutaj też: siedzę, patrzę w górę i widzę tylko te maszyny.

Aeailoty patrolują skraj monsunu, białe skrzydła odbłyśkują zachodnie słońce, gdy przechylają się i skręcają, wiele kilometrów ponad Varanasi. Mogą się tam kręcić przez całe lata, powiedział jej Krishan. Nigdy nie dotknąć ziemi, jak chrześcijańskie anioły.

- Mamo, one tam latają, żeby bronić nas przed Awadhem.

Matka wzrusza ramionami.

- Ech. Oni chcą żebyś tak myślała, ale ja swoje wiem.

- Mamo, po co przyjechałaś?

Pani Sadurbhai podciąga pallaw sari.

- Chcę, żebyś wróciła ze mną do domu.

Parvati wyrzuca ręce w górę, ale matka przerywa, tłamsząc jej protest.

- Parvati, po co ryzykować bez sensu? Mówisz, że jesteś tutaj bezpieczna: może i tak, ale co, jeśli te wszystkie supermachiny zepsują się i na twój śliczny ogródek polecą bomby? Parvati, może to tylko ryzyko wielkości ziarnka ryżu, ale po co w ogóle godzić się na jakieś ryzyko? Wróc ze mną do Kothkai, tam awadhskie bojowe maszyny nigdy cię nie znajdą. Tylko na chwilę, dopóki te problemy się nie skończą.

Parvati Nandha odstawia filiżankę ćaju. Niskie słońce świeci jej prosto w twarz i Parvati musi ocienić oczy, by odczytać wyraz twarzy matki.

- O co ci tak naprawdę chodzi?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Że zawsze myślałaś, że mój mąż nie dość mnie szanuje.

- Nieprawda, Parvati, nieprawda. Wyszłaś za mąż w obrębie dżati, to bezcenny skarb. Po prostu smuci mnie, kiedy ambitne kobiety... nie, dzisiaj tu rozmawiamy sobie szczerze, więc nazwę je otwarcie, kastowe karierowiczki, no właśnie, dobre określenie - kiedy karierowiczki obnoszą się ze swoim bogactwem, mężami i statusem, do którego mają mniejsze prawo niż ty. To mnie boli, Parvati...

- Mój mąż jest bardzo szanowanym i ważnym funkcjonariuszem państwowym. Nie znam nikogo, kto mówiłby o nim inaczej niż z najwyższym szacunkiem. Widzisz, jaki elegancki ogród? Ta okolica to najbardziej poszukiwane rządowe apartamenty.

- No tak, Parvati, ale rządowe...

- Wcale nie mam ochoty przenosić się do Cantonmentu. Jestem tutaj szczęśliwa. Nie mam też ochoty jechać z tobą do Kothkai w ramach jakiejś sztuczki, mającej zwrócić uwagę męża na moje potrzeby, bo tobie się wydaje, że on nie dość mnie ceni.

- Parvati, ja wcale...

- O. Proszę wybaczyć. - Milkną na dźwięk trzeciego głosu. Krishan staje u szczytu schodów, wystrojony na mecz krykieta. - Przyszedłem, eee... sprawdzić, czy działa nawodnienie.

- Mamo, to jest Krishan, projektant mojego ogrodu. To wszystko jego dzieło.

Krishan wykonuje namaste.

- Niezwykła przemiana - przyznaje niechętnie pani Sadurbhai.

- Na najmniej obiecującej glebie często wyrastają najpiękniejsze ogrody - mówi Krishan i odchodzi, by manipulować bez celu przy rurkach, zaworach i regulatorach.

- On mi się nie podoba - szepcze pani Sadurbhai do córki.

Parvati dostrzega wzrok Krishana, w świetle dogasającego dnia zapalającego małe, terakotowe lampki oliwne wokół kwiatnych grządek. Płomyczki drgają i chwieją się na wietrze, który zerwał się pomiędzy dachami. Gdzieś na ciemnym wschodzie porykuje grzmot.

- Jakiś taki poufały - kontynuuje Sadurbhai. - Rzuca spojrzenia. To zawsze źle świadczy, kiedy oni rzucają spojrzenia.

Przyszedł się ze mną zobaczyć, myśli Parvati. Przyszedł tutaj, żeby być ze mną, żeby ochronić mnie przed językami kastowych karierowiczek, żeby zaoferować mi siłę, gdy jej potrzebuję.

Ogród zamienia się w konstelację lampek. Krishan kłania się paniom domu.

- Życzę paniom dobrej nocy i pomyślnego ranka.

- Musisz mu kazać pozbierać te pestki od brzoskwiń - rzuca pani Sadurbhai za schodzącym po schodach Krishanem. - Bo zleżą się do nich małpy.

ROZDZIAŁ 33 VISHRAM

Marianna Fusco naprawdę ma precudowne sutki, myśli Vishram, patrząc na nią, wychodzącą z basenu i strząsającą krople wody na kafelki po drodze do leżaka. Śledzi je przez mokrą lycrę; okrągłe, wypełniające dłoń, pory wypuczone w maleńkie podsutki, miłe w dotyku, zaspokajające. Zimna woda sprawiła, że są niczym korki od szampana.

- Och rany, jak przyjemnie - oświadcza Marianna Fusco, potrząsając mokrymi włosami i wiążąc wokół talii jedwabną chustę. Siada ciężko w fotelu obok Vishrama, rozpięra się, nasuwa ciemne okulary.

Vishram kiwa na kelnera, żeby nalał kawy.

Nie planował zatrzymać się w tym samym hotelu, co jego prawna doradczyni. Ale wojna uczyniła z apartamentów dobro rzadkie; na każdym hotelowym parkingu w Varanasi tłoczyły się satelitarne wozy transmisyjne, w każdym barze było pełno zagranicznych korespondentów nadrabiających zaległości podczas nudnych przerw między starciami. Nie uświadomił sobie nawet, że to ten sam hotel, w którym zostawił ją po tej katastrofalnej pierwszej przejażdżce limuzyną - dopiero, kiedy zobaczył, jak przejeżdża windą przez szklane atrium. Krój tego kostiumu poznałby wszędzie.

Apartament jest nieskazitelnie wygodny, ale Vishram ma w nim problemy ze snem. Brakuje mu hipnagogicznych wici wzorów na malowanym suficie domowej sypialni. Brakuje łagodzących porannego drąga erotycznych rzeźb Shanker Mahal. Brakuje seksu. Przypatruje się, jak na jej ramieniu pojawiają się koraliki potu, jeszcze zanim wyschły krople wody.

- Vish. - Nigdy wcześniej go tak nie nazywała. - Możliwe, że niedługo wyjadę.

Vishram starannie odstawia filiżankę z kawą, żeby grzechotem nie zdradzić rozczarowania.

- Chodzi o wojnę?

- Dzwonili już do mnie z kancelarii. MSZ radzi, aby posiadacze brytyjskich paszportów, których obecność nie jest niezbędna, opuścili ten kraj. Rodzina też się denerwuje, zwłaszcza po tych zamieszkach...

Jej rodzina, ta awanturnicza konstelacja związków partnerskich i powtórných małżeństw pomiędzy pięcioma różnymi rasami rozsiętymi po południowolondyńskiej krainie szeregowców z czerwonej cegły. Przód jej kostiumu podsechł na słońcu, ale tam, gdzie przylega do fotela, wciąż jest wilgotny i obcisły. Vishram zawsze miał słabość do jednocześnie. Im suknia mniej kusa, tym większa pokusa. Mokry kształt podkreśla muskularną krzywiznę bioder Marianny Fusco. Vishram

czuje, jak kutas porusza mu się w varanaskich jedwabnych kąpielówkach. Z rozkoszą wzięłyby ją tu na miejscu, potem w basenie, splatając się nogami w chlupocącej wodzie, z rykiem porannego szczytu z ulicy za plecami odbijającym się od ściany naprzeciwko.

- Muszę ci powiedzieć, Vish, naprawdę nie chciałam tego brać. Pracowałam nad innymi projektami.

- To też nie jest moja bajka - odpowiada Vishram. - Robiłem obiecującą karierę jako kabareciarz. Byłem zabawny. Ludzie się śmiali. Nie powinno się tego, ot tak, lekceważyć: „Och Vishram, co ty znowu tam głupiego kombinujesz? No przestań natychmiast i chodź tutaj, mam ważną sprawę do ciebie”. A wiesz, co jest w tym najgorsze, co naprawdę mnie dławi? Że to uwielbiam. Kocham to, kurwa. Kocham tę korporację, ludzi, którzy w niej pracują, to, co próbują osiągnąć, i to, co już osiągnęli w tym ośrodku badawczym. I to mnie wkurwia najbardziej: starego gówna obchodziły moje uczucia, ale przez cały czas miał rację. Będę walczyć o przetrwanie firmy, z tobą czy bez ciebie, a jeśli bez ciebie, to muszę ci otwarcie powiedzieć parę rzeczy. Pierwszą jest to, że zachwycają mnie twoje sutki w tym kostiumie, drugą, że nie ma ani jednej chwili podczas spotkania, briefingu, przy biurku czy przy telefonie, kiedy nie myślałbym o seksie z tobą w spiczastym końcu Bharat Air 375.

Jej dłonie leżą płasko na podłokietnikach. Patrzy prosto przed siebie, oczy niewidoczne za włoskimi okularami.

- Panie Ray.

O, kurwa.

- To chodźmy.

Gdy potykają się o próg, dygocąc z żądz, Marianna Fusco jest na tyle profesjonalna i podniecona, by nie gruchać nad wielkością penthouse'a Vishrama. On omal nie zapomina, że ma się rozebrać na sposób dżentelmena, czyli od dołu; później ona zamasyście zrywa z siebie jedwabny sarong i idzie z nim przez pokój, skręcając przezroczyłą tkaninę w sznur i wiążąc go w węzły, jakby należała do thugów. Niełatwo rozerwać rozciągliwy materiał kostiumu, ale ona tego właśnie chce, a Vishram z przyjemnością się podporządkowuje, fajnie tak ścisnąć go w dłoniach, szarpać, rwać, odsłaniać. Próbuje wcisnąć się do jej waginy, lecz ona odsuwa się, mówiąc:

- Nie, nie, nie, tego tu nie wpuszczamy.

Pozwala mu natomiast włożyć do obu dziurek trzy palce, po czym przeklina i rzuca się na macie u nóg łóżka. Potem pomaga włożyć sobie do środka jedwabną chustę, delikatnie, supeł za supeł i dosiada go, wielkie sutki odcinające się na żółtym, burzowym tle, pieszcząc go dłonią aż do końca; kiedy kończy, odwraca się na plecy i każe mu pięścią swoją łechtaczkę opuszką palca nogi, a kiedy znów zaczyna kłać i walić pięściami w dywan, zwija się w pozycję pługu, jakby ćwiczyła jogę, on zaś owija sobie wokół dłoni drugi koniec chusty i powoli ją wyciąga, bluźnierstwo i skurcz całego ciała po każdym węźle.

Gdy oboje odzyskują mowę, na ściennym zegarze w stylu retro z lat zerowych jest dwadzieścia po jedenastej. Leżą obok siebie na macie, popijając single malta z minibarkowej buteleczki i zachwycając się błyskami i pomrukami nadciągającej burzy.

- Już zawsze będę inaczej patrzeć na tę jedwabną chustę - mówi Vishram. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- A kto powiedział, że trzeba mnie uczyć? - Marianna Fusco odwraca się na bok. - To wy, Hindusi, macie świra na punkcie guru.

Silniejsza błyskawica rozświetla pokój na błękitno. Vishram myśli o zdjęciu na pierwszej stronie porannego serwisu informacyjnego; białe twarze w świetle lampy błyskowej, mężczyzna z otwartymi ustami, i obcy, bezpłciowo prześliczne neutko z banknotami w dłoni. Co oni robią? - zastanawia się. Co oni w ogóle mogliby robić? I czy to, co ewentualnie mogliby robić, uzasadnia zniszczenie mężczyźnie kariery i rodziny? Zawsze uważał, że seks to jedno, i tak też go praktykował: jeden zestaw czynności i reakcji niezależny od orientacji seksualnej, natomiast tu, na podłodze z Marianną Fusco, pośród strzępów jej kostiumu i węzlastego węża apaszki, którego miłośnie wyciągał jej z odbytnicy, zdał sobie sprawę, że to kraina przeróżnych erogenni i reakcji, zróżnicowana językowo i kulturowo jak całe Indie.

- Marianno - mówi, patrząc w sufit. - Nie jedź.

- Vish. - Znów to zdrobnienie. - Tym razem na poważnie, muszę ci coś powiedzieć. - Siada. - Vish, powiedziałam ci, że zatrudnił mnie twój ojciec, żeby nadzorować przekazanie władzy.

- Zatrudnił, no, dobra, to jak nazwać to, co przed chwilą robiliśmy?

- Wiesz co, żaden porządny komik nie sili się na dowcipy w prawdziwym życiu. Wynajęła mnie inna firma. Odeco.

Vishram ma wrażenie, że zapada się w podłogę. Mięśnie słabną, dłonie się otwierają, nieświadoma Pozycja Trupa.

- Teraz to wszystko się składa w kupę, prawda? Zmiękczyć jebanego napaleńca, zanim wbije mu się nóż w plecy...

- Ej! - Marianna Fusco podnosi się i nachyla nad nim. Włosy opadają jej na twarz, łagodnym, ciemnym konturem na tle okien. - To nieprawda i to niesprawiedliwe. Nie jestem jakąś firmową... dziwką. Nie robiliśmy tego, bo tak chciała jakaś tam intryga lub spisek. Wal się na ryj, Ray. Powiedziałam ci, bo ci ufałam, bo cię lubię, bo podoba mi się seks z tobą. Wsadzałeś mi rękę w dupę, ile jeszcze ci potrzeba, żeby komuś ufać?

Vishram odlicza przerwę między błyskiem a grzmiotem. Raz Odeco, dwa Odeco, trzy Odeco, cztery... Deszcz jest tuż-tuż.

- Nie mam zielonego pojęcia, co tu się, kurna, wyprawia - mówi do nudnego, europejskiego sufitu. - Kto jest za kim, kto kogo finansuje, kto jest w co umoczony i kto pracuje dla kogo i dlaczego.

- Myślisz, że ja wiem coś więcej? - mówi Marianna Fusco, obracając się na bok i przywierając do Vishrama swoim nabitym, mocnym ciałem. Czuje na udzie delikatny dotyk jej włosów łonowych. Zastanawia się, co to za joniczne tajemnice przed nim skrywa. - Jestem młodszym partnerem w londyńskiej kancelarii prawnej. Zajmujemy się fuzjami, połączeniami i wrogimi przejęciami. Nie specjalizujemy się w płaszczu i szpadzie, machlojkach i spiskach.

- To może powiesz mi, co to takiego to Odeco?

- Międzynarodowa grupa inwestorów typu venture capital, rozlokowanych w różnych rajach podatkowych. Specjalizują się w technologiach z pogranicza mrzonek oraz w tym, co niektórzy nazywają szarą strefą - branżach, które nie są, ściśle rzecz biorąc, nielegalne, ale mają wątpliwą reputację, jak darwinowski soft. Mają inwestycje w krzemowe dżungle w cyberabadach całego rozwijającego się świata, w tym jeden sundarban tutaj, w Varanasi.

- I wyłożyli kasę na akcelerator w moim ośrodku badawczym. Spotkałem Chakraborty'ego, czy raczej Chakraborty mnie spotkał.

- Wiem. Chakraborty to mój kontakt tutaj w Varanasi. Możesz mi wierzyć lub nie, ale Odeco chce, żeby projekt punktu zerowego się udał.

- Powiedział mi, że nie posiada się z radości, że zrobimy pokaz w pełnej skali. Jedyni ludzie, którym o tym wcześniej napomknąłem, byli z EnGen.

- EnGen to nie Odeco.

- To skąd Chakraborty wiedział o pokazie?

Marianna Fusco zagryza górną wargę.

- Musiałbyś jego zapytać. Mnie nie wolno ci powiedzieć. Ale wierz mi: Odeco wyłoży równowartość każdej kwoty, jaką zaproponuje EnGen, żeby przerwać wasz eksperyment. Równowartość i więcej.

- Świetnie - mówi Vishram, wstając. - Bo skłaniam się ku temu, żeby wziąć ich pieniądze. Możesz mi zorganizować spotkanie z twoim kontaktem? Zakładając, że on jeszcze nie wie, telepatycznie czy jakoś tak. I może moglibyśmy to zrobić jeszcze raz, bardzo niedługo?

Marianna Fusco odrzuca włosy, wciąż wilgotne i uperfumowane chlorem.

- Mogę pożyczyć szlafrok? Chyba nie powinnam tak wchodzić do windy.

Czterdzieści minut później Vishram Ray jest już wykąpany, ogolony, ubrany w garnitur i nuci pod nosem, przejeżdżając windą przez szklany dach hotelowego atrium. Samochód czeka między wozami satelitarnymi. Jedwabna chustka moczy się w jacuzzi, wciąż powiązana w supły, żeby tym bardziej zbulwersować wścibską obsługę.

Aksamitki na czarnej wodzie. W otwartej łodzi Vishram odbiera ścianę chmur jak uniesiony nad sobą boży młot. Wiatr spod podstawy monsunu burzy wodę w spore fale. Bawoły tłoczą się blisko brzegu, wystawiając nad powierzchnię wody nozdrza, rozdymają je, czując zmianę pogody. Kobiety na ghatach z trudem utrzymują sari w skromnym położeniu. To jedna z odwiecznych sprzeczności tego narodu, że kultura, która napisała i zilustrowała *Kamasutrę* może być tak lodowato pruderyjna. To już ludzie w zimnym i mokrym chrześcijańskim Glasgow mają w sobie większy ogień. Podejrzuje, że za to, co robił przed chwilą z Marianną Fusco, gdzieś na biharskim zadupiu dostałby jak nic dwadzieścia lat.

Łódkę prowadzi piętnastoletni chłopaczek, któremu szeroki uśmiech zamiera na ustach. Walczy z falami i prądami. Vishram czuje się w obliczu błyskawic nagi i bezbronny. Fabryki po drugiej stronie rzeki pozapalały już światła.

- Przykro mi to mówić, ale EnGen przysłał po mnie tilt-jeta? Do rezerwatu tygrysów? Z uzbrojoną strażą i naprawdę dobrym obiadem. A załoga samolotu wyglądała o wiele ładniej od niego.

- Hm? - mówi Chakraborty. Stoi pośrodku łodzi i w roztargnieniu patrzy na rozmaitość mijanego nadbrzeżnego życia.

Vishram wolałby, żeby tego nie robił. Przypomina mu się stary numer z *Guys and Dolls* wystawianych przez kółko dramatyczne w college'u. Siadaj, kołyszysz łodzią. I diabeł ściągnie cię na dno... Oj Vishram, dziś nic tylko chrześcijański grzech, sąd ostateczny i potępienie, myśli.

- Mówię, że trochę buja.

Chłopak od wiosła się wyszczerza. Ma czystą niebieską koszulę i bardzo białe zęby.

- A, tak, trochę wzburzona woda, panie Ray. - Chakraborty dotyka palcem ust, potem kiwa nim w stronę ghatów. - Nie uważa pan, że to uspokaja, taka świadomość, gdzie będzie koniec, na tych stopniach, nad tym brzegiem, na oczach wszystkich ludzi?

- Przyznam, że nad tym akurat za wiele się nie zastanawiałem. - Łódka się chwieje, Vishram chwyta się nadburcia.

- Naprawdę? To powinien pan. Ja każdego dnia odrobinę myślę o śmierci. To bardzo koncentruje. To wielka pociecha: wiedzieć, że zostawiamy to co indywidualne i łączymy się z tym co uniwersalne. Na tym według mnie polega moksa, jaką daje Ganges. Zlewamy się z historyczną rzeką jak kropla deszczu, nasze historie zostają opowiedziane i wplecione w strumień czasu. Proszę mi powiedzieć - mieszkał pan na Zachodzie - to prawda, że oni palą swoich zmarłych potajemnie, w ukryciu przed wszystkimi, jakby to było coś wstydlivego?

Vishram wspomina pogrzeb w dzielnicy brudnych domów z piaskowca w Glasgow. Nie znał zmarłej za dobrze - była współlokatorką dziewczyny, z którą sypiał, bo miała renomę liczącego się

reżysera w kółku teatralnym - ale pamięta, że wstrząsnęło nim, gdy się dowiedział, że zginęła w wypadku podczas wspinaczki, w Glencoe. I rzeczywiście pamięta tę zgrozę w krematorium; stłumione szlochy, mowę wygłaszaną przez obcą osobę, która pomyliła imiona jej przyjaciół, Bacha leżącego z taśmy, kiedy zamknięta trumna podskoczyła na katafalku, a potem powoli wjechała do niewidocznego pieca pod spodem.

- To prawda - odpowiada Chakraborty'emu. - Nie mogą znieść tego widoku, bo się go boją. Dla nich to koniec wszystkiego.

Na zasłanych popiołem nadbrzeżnych schodach toczy się proces śmierci i moksi. Nad samą wodą przewrócił się stos, wyłaniają się z niego ramiona i głowa zmarłego, dziwnie nietknięte płomieniami. Oto płonący człowiek, myśli Vishram. Wir wiatru miecie dymem i popiołem nad rozpalonym ghatem. Vishram Ray patrzy, jak płonące ciało przechyla się na stosie, zapada i zawala, w iskrach i sadzy, i myśli, że Chakraborty ma rację: o wiele lepiej skończyć tutaj, umrzeć pośród życia, porzucić to co indywidualne i połączyć się z uniwersalnym.

- Panie Chakraborty, chciałbym od was otrzymać bardzo dużą sumę pieniędzy - mówi.

- Ile panu potrzeba?

- Tyle, żeby wykupić część firmy należącą do Ramesha.

- Czyli w granicach trzystu miliardów rupii. Mogę zaoferować panu taką kwotę w dolarach, jeśli zajdzie potrzeba.

- Muszę po prostu wiedzieć, że mam tyle do dyspozycji.

Pan Chakraborty się nie waha.

- Tak, może pan.

- Jeszcze jedna sprawa. Marianna powiedziała mi, że jest coś, o co powinienem pana zapytać, że tylko pan może mi na to odpowiedzieć.

- Jakie to pytanie, panie Ray?

- Co to jest Odeco?

Chłopak przestaje wiosłować i prąd unosi łódkę spod stosów pod przechyloną świątynię na ghacie Scindia, zapadającą się w popękany muł.

- Odeco to jedna z wielu firm-wydmuszek, za którymi stoi sztuczna inteligencja trzeciej generacji, znana nieoficjalnie jako Brahma.

- Chyba muszę jeszcze raz zadać panu to pytanie - mówi Vishram.

- I otrzyma pan dokładnie taką samą odpowiedź.

- No, ale zaraz. - Bengalczyk mógł równie dobrze odpowiedzieć „Jezus Chrystus”, „James Bond” albo „Lal Darfan”.

Chakraborty odwraca się do Vishrama.

- W co pan nie wierzy w mojej odpowiedzi?

- Aeai trzeciej generacji to science fiction.

- Zapewniam pana, że mój pracodawca jest całkiem rzeczywisty. Odeco to faktycznie holding firm inwestujących w wysokie ryzyko, tylko tak się składa, że ich właścicielem jest sztuczna inteligencja.

- Ale Ustawy Hamiltona, Psy Kryszy...

- Są przestrzenie, gdzie aeai może sobie żyć. Zwłaszcza w czymś takim jak międzynarodowe rynki finansowe, które wymagają luźnych regulacji, by korzystać z tak zwanych swobód rynkowych. Te aeai to zupełnie inny rodzaj inteligencji niż nasza: są rozproszone, i to w wielu miejscach.

- Mówi mi pan, że ten... Brahma... to rynek giełdowy, który ożył?

- Międzynarodowe rynki finansowe wykorzystują niskopoziomowe aeai do kupowania i sprzedawania od końca zeszłego stulecia. A kiedy złożoność transakcji finansowych gwałtownie się zwiększyła, złożoność aeai także poszła w górę.

- Ale kto zaprojektowałby coś takiego?

- Brahma nie został zaprojektowany, nie bardziej niż pan. On wyewoluował.

Vishram kręci głową. Upał na krawędzi monsunu jest okropny, obłąkańczy, wysysający wszelki rozum i energię.

- Brahma? - pyta słabym głosem.

- To imię. Tytuł. To nic nie znaczy. Na CyberZiemi tożsamość to o wiele obszerniejsze i luźniejsze pojęcie. Brahma jest rozproszony geograficznie po wielu węzłach i składa się z wielu komponentów, aeai niższych poziomów, które mogą nawet nie zdawać sobie sprawy, że są częścią większej świadomości.

- I ta... trzecia generacja... jest gotowa i chętna dać mi sto milionów dolarów.

- Albo więcej. Musi pan zrozumieć, panie Ray, że dla istoty takiej jak Brahma zarabianie pieniędzy to najprostsza rzecz pod słońcem. Nie trudniejsza niż dla pana oddychanie.

- Ale dlaczego, panie Chakraborty?

- Prawnik dopiero teraz siada. Chłopak sięga po wiosła, żeby mała skorupka nie wysypała

zawartości do wody Gangi, która obmywa z karmy każdego, kogo otrzyma.

- Mój pracodawca pragnie, by projekt punktu zerowego był bezpieczny i zakończył się sukcesem.

- I znów pytam: dlaczego?

Pan Chakraborty powoli i ekspresyjnie wznosi ramionami okrytymi dobrze skrojonym czarnym garniturem.

- To istota, której finansowa potęga mogłaby zniszczyć całe gospodarki. Nie jestem wtajemniczony w zamiary tego rodzaju inteligencji, panie Ray. Jej pojmowanie ludzkiego świata jest fragmentaryczne. Na rynkach finansowych, będących jego niszą ekologiczną, Brahma przerasta ludzki umysł tak jak my górujemy nad wężami, ale gdyby porozmawiać z nim bezpośrednio, sprawiłby wrażenie naiwnego, neurotycznego, nawet trochę autystycznego.

- Muszę zapytać: czy mój ojciec wie... wiedział?

Chakraborty przechyla głowę. Potwierdza.

- Pieniądze mogą zostać przelane na pana konto w ciągu godziny.

- A ja muszę się zastanowić, komu zaufać: bandzie amerykańskich korporacyjnych piratów, którzy chcą rozwalić moją firmę, czy aeai, która przypadkiem nosi boskie imię i może wyzerować dowolny rachunek bankowy na świecie.

- Zwięźle podsumowane, sir.

- To żaden wybór, prawda?

Vishram kiwa na chłopca. Ten napiera na lewe wiosło i zawraca płaskodenkę na czarnej wodzie z powrotem ku wielkiemu ghatowi Dasashvamedha. Vishramowi wydaje się, że czuje na ustach kroplę deszczu.

ROZDZIAŁ 34 NAJIA, TAL

Szept:

- On nie może tu zostać.

Jest obezwładniająco duszno, ale istota na materacu śpi snem Brahmy.

- To nie on, tylko ono. - Najia odpowiada Bernardowi również szeptem.

Stoją w drzwiach zaciemnionego pokoju jak rodzice obserwujący cierpiące na kolkę dziecko. Z każdą minutą światło słabnie, a wilgotność rośnie. Woale gazy wiszą prosto, ciężko, przygniecione grawitacją.

- Wszystko jedno, nie może tu zostać.

- Bernard, oni próbowali je zabić - syczy Najia.

Wszystko wydawało się takie odważne i sprytne, kiedy przejechała skuterkiem przez murawę do polo, między wrzeszczącymi ogrodnikami i po werandzie, lawirując między stolikami i studentami na dziekankach, do pokoju Bernarda. Gdzieś się ukryć. W miejscu, którego nigdy nie skojarzą, ale gdzieś blisko.

Gdy weszli przez drzwi, Bernard nie odezwał się słowem. Neutko było nieprzytomne, majaczyło coś o adrenalinie swoim dziwnym głosem o silnym akcencie. Zanim położyli je do łóżka, już spało. Bernard zdjął mu buty, potem cofnął się, wystraszony. Później stanęli w drzwiach i zaczęli się spierać szeptem.

- I teraz, dzięki tobie, mnie też mają na celowniku - syczy Bernard. - W ogóle nie myślisz. Wbiegasz tu, krzyczysz i wydaje ci się, że wszyscy będą wiwatować, jaka to z ciebie bohaterka.

- Bernard, zawsze wiedziałam, że twoja własna dupa to jedyna, która cię interesuje, ale teraz to nowy rekord świata. - Niestety, szpila trafia i zostaje. Kocha akcję. Kocha ten niebezpieczny urok wszystkiego, co wygląda jak film akcji, jak dramat. To ułuda. Życie to nie dramat. Punkty kulminacyjne i zwroty akcji są wynikiem przypadku albo spisku. Główny bohater może przeżyć upadek. Pozytywne postacie mogą wszystkie zginąć w ostatniej scenie. Żyjąc jak na ekranie, nikt z nas by nie przetrwał. - Nie wiem gdzie pójść - przyznaje słabym głosem.

On zaraz potem wychodzi. Zamykające się drzwi wpuszczają na pokoje powiew gorącego powietrza, nieświeżego od potu i kadzidełek. Zwisające siatki i gaza wydymają się wokół sylwetki śpiącej w pozycji embrionalnej. Najia obgryza zrogowaciałą skórę na kciuku, zastanawiając się, czy w ogóle potrafi coś zrobić jak trzeba.

Ponownie czuje trzask zeber bandyty, na którego wjechała skuterem; wstrząs przeniesiony przez ramę i jej biodra, gdy karsewacki zabójca osuwa się na peron. Zaczyna się trząść w dusznym, ciemnym pokoju. Nie może się pohamować: znajduje krzesło i siada, obejmując się ciasno rękoma, dygocząc z wewnętrznego zimna. To czyste szaleństwo, a ty wskoczyłaś w nie po szyję. Neutko i szwedzka dziennikarka. Możecie zniknąć z dziesięciomilionowego Varanasi i nikt nawet nie mrugnie.

Odwraca krzesło tak, aby widzieć zarówno drzwi, jak i okno w sypialni. Przesuwa drewniane żaluzje, by móc coś zobaczyć, ale bandycie utrudnić zajrzenie do środka. Siada i obserwuje, jak świetlne pasy wędrują po podłodze.

Budzi się i podskakuje. Odgłosy. Ruch. Zamiera, potem nurkuje do kuchni, gdzie są francuskie noże kuchenne. Raptownie otwiera drzwi, postać przy lodówce wiruje, łapie nóż. On. Ono.

- Przepraszam przepraszam - mówi swoim dziwnym, dziecięcym głosem. - Jest tu coś do jedzenia? Strasznie jestem głodne.

W lodówce Bernarda są różne niedojedzone rzeczy, trochę przekąsek i butelka szampana. A jakże. Neutko obwąchuje je i zjada prosto z półki.

- Przepraszam. Strasznie jestem głodne. Bo hormony... Za mocno je podkreśliłam.

- Zrobić ci herbaty? - pyta Najia, bohaterka-wybawczyni nadal potrzebuje grać jakąś rolę.

- Ćaj, tak, ćaj, świetnie.

Siadają na materacu, z małymi szklaneczkami w dłoniach. Neutko pije ćaj po europejsku, czarny, bez cukru. Najia podskakuje przy każdym cieniu na żaluzjach.

- Nie wiem jak ci dziękować.

- Nie dziękuj. Bo to ja cię w to wpakowałam.

- Tak, powiedziałaś to na dworcu. Ale gdyby nie ty, zrobiłby to ktoś inny. I pewnie nie poczuwałby się do winy. Bo to poczucie winy, prawda?

Najia w życiu nie była tak blisko żadnego neutka. Coś tam o nich wie: kim są, skąd się biorą, co potrafią ze sobą zrobić, rozumie nawet trochę ich wzajemną atrakcyjność i akceptuje je z należytą skandynawską tolerancją, ale to całe Tal inaczej pachnie. Wie, że chodzi o ich manipulacje hormonami i neuroprzekaznikami, boi się jednak, że Tal to wyczuje i pomyśli, że to neutrofobia.

- Przypomniałam sobie - mówi. - Zobaczyłam te zdjęcia i przypomniałam sobie, gdzie cię już kiedyś widziałam.

Tal marszczy brwi. Pośród spowitego tiulami złotego zmierzchu ten wyraz twarzy wygląda niezmiernie obco.

- W Indiapiendent - dodaje Najia.

Tal podciera głowę dłońmi, zamyka oczy. Ma długie rzęsy. Najii wydają się przepiękne.

- Boli mnie to wszystko. Nie wiem co myśleć.

- Robiłam wywiad z Lalem Darfanem. Satnam oprowadzał mnie po studiu. I dał mi zdjęcia.

- A, ten z triśulą - wykrzykuje Tal. - Ćutja! Wrobił nas oboje! Ach! - Zaczyna dygotać, leją się łzy, unosi dłonie jak szpony trędowatego. - Biedna Mama Bharat, myśleli, że to moje mieszkanie, pomylili... - Dygot przeradza się w urywane łkanie, rozdierane wyczerpaniem i szokiem.

Najia wykrada się do kuchni i robi nowy čaj, dopóki nie usłyszy, że lamenty cichną. Jak na Afgankę, ma całkiem północnoeuropejski lęk przed silnymi emocjami.

- Jeszcze ćaju?

Tal owija się prześcieradłem. Kiwa głową. Trzymająca szklankę dłoń drży.

- Skąd wiedziałaś, że będę na dworcu?

- Dziennikarska intuicja - odpowiada Najia. Chciałaby dotknąć jego twarzy i nagiej delikatnej głowy. - Sama bym tam właśnie poszła.

- Twoje dziennikarskie przeczucia to niezła rzecz. Jaki ze mnie głupek! Uśmiechałam się, śmiałam, tańczyłam i myślałam, że wszyscy mnie uwielbiają! Nowe neutko w mieście, każdy chce je poznać, przyjdź na wielką imprezę, chodź do klubu...

Najia wyciąga dłoń, by dotknąć Tala, by pocieszyć i ogrzać. I nagle uświadamia sobie, że przyciska je do piersi, jej policzek ociera się o gładką, natłuszczoną skórę głowy. Jakby tulić kota, nic tylko kości i napięcie. Palcami muska wypustki na ramieniu, jak szereg symetrycznych ukąszeń komarów. Wzdryga się.

- Nie, proszę, tutaj - mówi Tal.

Najia delikatnie naciska punkt. Czuje, jak pod skórą przelewają się płyny.

- I tutaj, proszę... - Jego palce prowadzą jej palce ku innej wypustce koło przegubu. - I tu. - O szerokość dłoni od łokcia. Neutko drży w jej objęciach. Jego oddech się uspokaja. Mięśnie tężeją. Chwiejnie wstaje na nogi, niepewnie przechadza się po pokoju.

Najia niemal czuje zapach tej nerwowości. Mówi:

- Nie wyobrażam sobie, jak to jest móc tak sobie wybierać emocje.

- My nie wybieramy emocji, tylko reakcje. To jest... intensywne. Mało które z nas dożywa sześćdziesiątki. - Teraz chodzi w kółko, jak mangusta w klatce, zerkając przez szczeliny między żaluzjami i zasuwając je z powrotem.

- I jak mogłoś...

- Podjąć taką decyzję? Dla urody to wystarczająco długo.

Najia kręci głową. Jedna niesamowitość na drugiej. Tal łomocze pięścią o ścianę.

- Idiota! Powinnoś zginąć, powinnoś zginąć, jestem za głupie, żeby żyć.

- Nie tylko ty, ja też byłam głupia, myślałam sobie, że mam specjalny kontakt z N.K. Jivanjeem.

- Spotkałaś Jivanjeego?

- Rozmawiałam z nim, na wideo, kiedy zorganizował spotkanie, na którym Satnam dał mi te zdjęcia.

Na żaluzje pada cień. Neutko i kobieta zamierają. Tal powoli kuca, chowając się poniżej parapetu. Kiwa na Najię, żeby dołączyła do niego pod ścianą. Najia, zamieniwszy się w słuch, czołga się po macie zasłanej warstwami tiulu. Wtem damski głos odzywa się po niemiecku. Żołądek Najii odpuszcza. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zwymiotuje ze strachu.

- Musimy uciekać z Bharatu. Widzieli cię ze mną - szepcze Tal. - Teraz jesteśmy jak jedno. Musimy kupić sobie bezpieczną drogę.

- Nie powinniśmy pójść na policję?

- Czy ty nie masz pojęcia, jak działa ten kraj? Sajida Rana rządzi policją i chce mnie dopaść, jako zdrajcę, a ci policjanci, nad którymi nie ma władzy, siedzą w kieszeni Jivanjeego. Trzeba znaleźć coś, co będzie na tyle cenne, że zapewni nam ochronę. Mówisz, że rozmawiałaś z Jivanjeem na wideo. Myślę, że jesteś na tyle bystra, że je sobie zostawiłaś. Pokaż. Może tam coś będzie.

Siadają obok siebie pod ścianą. Najia wyciąga palmera; ręka jej się trzęsie. Tal chwytą ją za przegub, uspokaja.

- Taki sobie model - mówi.

Dźwięk odtwarzanego nagrania jest boleśnie głośny. Na zewnątrz w klubie słychać pykanie piłek tenisowych i uderzenia rakiet. Rozfalowany, obwieszony kalamkari pawilon N.K. Jivanjeego na ekranie wydaje się boskim przeciwieństwem mrocznej, przegrzanej sypialni dusznej od strachu.

- Stop stop stop!

Najia nie trafia kciukiem w przycisk.

- Co to jest?

- N.K. Jivanjee.

- Wiem, głupia. Gdzie to jest?

- To jego gabinet, albo prywatne mieszkanie, a może i ta jego ratha jatra, nie wiem.

- Kłamstwa kłamstwa kłamstwa - syczy Tal. - Za to ja wiem. To nie jest ani mieszkanie, ani ratha jatra, ani biuro pana N.K. Jivanjeego. To apartament weselny Aparny Chawli i Ajay Najiadwali na najhuczniejszy ślub roku w *Mieście i wsi*. Samo projektowałam te kalamkari.

- Dekoracje?

- Moje dekoracje. Do sceny, której jeszcze nie kręcili.

Najia Askarzadah czuje, jak rozszerzają jej się oczy. Żałuje, że nie ma takiego podskórnego menu, z którego mogłaby sobie zarządzić strumień neuroprzekaźników do rozpuszczenia paraliżującego niedowierzania.

- Nikt nigdy nie spotkał N.K. Jivanjeego twarzą w twarz - mówi.

- To nasz paszport - mówi Tal. - Muszę się dostać do Indiapendent. Lecimy, i to już.

- Nie możesz tak iść, wypatrzą cię na kilometr, trzeba cię jakoś przebrać...

Wtem stukot piłek tenisowych i okrzyki graczy milkną w jednej chwili. Tal i Najia padają i przetaczają się po podłodze, gdy cienie dotykają żaluzji. Głosy. Nie niemieckie. I nie damskie. Najia, pochylona, wyprowadza skuter z przedpokoju do kuchni. Kuli się po jednej jego stronie, Tal po drugiej. Wiedzą, na co trzeba poczekać, choć to najstraszniejsze oczekiwanie na świecie. *Klik klik*. Wtem sypialnia eksploduje pociskami z automatycznej broni. W tej samej sekundzie Najia odpala mały alkoholowy silniczek, wskakuje na siodełko. Tal za nią. Pociski sypią się i sypią. Nie oglądaj się. Nie wolno się obejrzeć. Omija składany stolik Bernarda, otwiera tylne drzwi i wypada na zaśmiecony placyk za barem. Kelnerzy unoszą wzrok, kiedy lawiruje między kartonami kingfishera i schweppsa.

- Spierdalać! - wrzeszczy.

Rozpierzchają się jak sroki. Kątem oka dostrzega dwie ciemne sylwetki wychodzące zza rogu skrzydła mieszkalnego, sylwetki trzymające coś w dłoniach.

- O Boże - modli się i wjeżdża skuterem po trzech betonowych stopniach do klubowej kuchni. - Z drogi z drogi z drogi! - drze się, zygzakując między stalowymi chłodziarkami wielkości czołgów, workami z ryżem, soczewicą i ziemniakami, kucharzami z tacami, kucharzami z nożami, kucharzami z gorącym tłuszczem.

Skreca poślizgiem na plamie wylanego ghi, zderza się z wahadłowymi drzwiami, przelatuje przez jadalnię pomiędzy równymi rzędami nakrytych obrusami stołów, trąbi klaksonem na parę w identycznych T-shirtach i okularach i wyjeżdża na korytarz. W głównym hallu odbywa się lekcja jogi: Najia i Tal pędzą pomiędzy ćwiczącymi w pozycji świecy, wywracającymi się jak las na wietrze. Przez oszklone drzwi - zawsze otwarte, by zapewnić wentylację kobietom w bawełnie i lycrze -

ponad grządkami spragnionych kwiatów i przez główną bramę w bezpieczną anonimowość wczesnowieczornego tłoku. Najia śmieje się. Grzmot odpowiada echem.

ROZDZIAŁ 35 PAN NANDHA

Przygotowana przez pana Nandhę prezentacja uzasadniająca wszczęcie kroków przeciwko Kalkiemu przybiera kształt kuli unoszącej się w hoekach menedżerów, jednocześnie na tyle małej, by zmieścić się pod kopułą ludzkiej czaszki, i wystarczająco dużej, by zamknąć w środku szklaną wieżę Ministerstwa, jak storczyk w dłoni. Obraca się przed oczyma duszy komisarza Arory oraz dyrektora generalnego Sudarshana, ukazując nowe krajobrazy informacyjne. Płaszczyzna kartek papieru, okienek, obrazków i kadrów wielkości kontynentu przeobraża się w dwuwymiarową mapę informacji. Podkładająca głos aeai nazywa się Saraswati, jak bogini mowy i komunikacji. Saraswati śledzi ucieczkę nielicencjonowanej aeai z podświetlonego diagramu systemów informatycznych firmy Pasta Tikka Inc. w neuronowy szum miasta Kashi, potem powiększa obraz o kilka fraktalnych poziomów, schodząc w dendrytową płataninę sieci dzielnicy Janpur, węzła Malaviri, lokalizacji Schroniska Jashwanta Dżajnisty (wszystkie jego cyberkundle to widmowe szkielety, sękaty od serwomotorów i układów sterujących; sam Jashwant to obwisły niebieski wór nagiego ciała). Następne okienko informacyjne: nagranie z Departamentu Kryminologii - wypalona skorupa sundarbanu Badrinath. Latająca kamera przefruwa przez czarne pomieszczenia, zatrzymując się na moment nad na wpół opalonymi z ciała szkieletami, stopionymi jak wosk obudowami procesorów i zagląającym do skrzynki rozdzielczej panem Nandhą z minilatarką. Dwie zapadnięte kłody węgla drzewnego rozwijają się w żywe, uśmiechnięte zdjęcia paszportowe pary Zachodniaków: Jean-Yves Trudeau; Annency, Francja, U.E., ur. 15-04-2022; Anjali Trudeau z d. Patii, Bangalore, Karnataka, ur. 25-11-2026.

- Jean-Yves i Anjali Trudeau byli wcześniej pracownikami naukowymi uniwersytetu w Strasburgu, w laboratorium Sztucznego Życia na Wydziale Informatyki. Przez ostatnie cztery lata należeli do kadry badawczej Zakładu Informatyki Bharat University w Varanasi, pod skrzydłami profesora Chandry, specjalizującego się w zastosowaniu darwinowskich paradygmatów do układów opartych na macierzach białkowych - mówi Saraswati. Jej głos imituje Kalpanę Dhupię z *Miasta i wsi*.

Państwo Trudeau oddzielają się od swojej ćwiartki sfery i zawisają na orbicie stacjonarnej. Okienko wideo wypełnia się ziarnistym obrazem o podłej rozdzielczości, przedstawiającym wnętrze mieszkania. Na pierwszym planie nagi osiemnastolatek, ściskający w prawej ręce półtwardego penisa. Mierzy, odchylony do tyłu, celując w środek kadru. Na twarzy głupawy uśmiezek. Środkowe piętro apartamentów Shanti Rany, otwarte drzwi balkonowe, balkon, jakieś pranie. Po drugiej stronie kanionu ulicy okna innego bloku i pordzewiałe pudła klimatyzatorów. Przez obramowany kwadratowo widok na zewnątrz przemyka coś białego. Wtem ramę jednego z okien wypełniają płomienie. Pan Kapucyn odwraca się, krzyczy coś, głosem zniekształconym przez kompresję i przesterowanie mikrofonu kamerki. Stop-klatka, szczupły tyłeczek na tle wybuchającego szkła i płomieni, lewa ręka sięga po jedwabny szal.

- System Kryszny przeanalizował cały ruch sieciowy wychodzący z tej okolicy w godzinę przed

i po zdarzeniu - mówi słodkim głosem Saraswati. - Ten szczęśliwy materiał z kamerki internetowej pochodzi z mieszkania znajdującego się dokładnie naprzeciwko miejsca przestępstwa.

Nagranie cofa się do przemykającego odłamka bieli, zatrzymuje się, obramowuje go i powiększa. Powstaje plama pikseli, ale pakiety do obróbki obrazu wyostrzają ją, rozmazują i wywracają na lewą stronę, zamieniając siatkę szarych kwadracików w maszynę latającą, białego ptaka z zadartymi końcówkami skrzydeł, pływakowym ogonem i baniastą dmuchawą w brzuchu. Pakiety graficzne obrysowują jego kontur, wyodrębniają go i renderują na jego miejscu katalogowej jakości, jak z plakatu z wojennym porno, podobiznę bezzałogowego samolotu obrony powietrznej Ayappa, bharacka wersja licencyjna, z uzbrojonym podczerwonym laserem.

Tafle danych wypełniają się roztrzepotanymi dokumentami ilustrującymi niewytłumaczalną lukę w zapisach wojskowych, którą wypełnia atak bezzałogowca na siedzibę sundarbanu Badrinath. Pan Nandha zerka na nienagane obrazy, ale myślami jest z profesorem Nareshem Chandrą, głęboko wstrząśniętym sposobem, w jaki zginęli jego współpracownicy. Większość kadry robi jakieś konsultacje dla biznesu - tak to jest z finansowaniem nauki - ale sundarban? Potulnie otworzył mu ich pokój. Pan Nandha już wezwał ekipę do przeszukań. Psy Kryszy kopali w dokumentach, a on sam wachał niezliczone słoje z kawą - chyba na każdą okazję mieli inną mieszankę. Bardzo chciałby móc pić kawę i nie czuć przy tym, że rozpuszcza mu się żołądek. W parę minut znaleźli powiązanie.

Grafika może oszalać i uwodzić, ale każde udane zlecenie na ekskomunikę dociera do punktu, w którym maszyny zawodzą, i odtąd polega się wyłącznie na ludzkim dramacie. Pan Nandha wyciąga jedwabną chusteczkę z kieszonki swojej marynarki w stylu Nehru, rozwija ją. Unosi osmalony dysk z wizerunkiem stojącego dęba białego konia.

- Kalki - mówi. - Dziesiąty awatar Wisznu, kończący Epokę Kali. Jak się przekonamy, trafna nazwa dla bezbożnego kontraktu między prywatną firmą - Odeco - uczelnią, a sundarbanem Badrinath. Nawet Ray Power dostaje od Odeco finanse na badania. Ale co to jest to Odeco?

Za jego plecami wirtualny globus rozpląszcza się w projekcję Mercatora. Miasta, państwa, wyspy unoszą się z powierzchni, jakby uwolnione od ciężenia; łączą je niebieskie linie, wyskakujące wysoko w wirtualną stratosferę. To przepływy pieniędzy, firmy-wydmuszki pozagnieżdżane jedna w drugiej, biura-przykrywki, holdingi, grupy kapitałowe i trusty. Świetlna siatka oplata mapę, zwijającą się z powrotem w globus, gdy ostatni promień światła wystrzela z Seszeli i nurkuje balistycznie ku Varanasi: odwrócona Dźjotirlinga, stwórcze światło Śiwy, które buchnęło z ziemi Kashi, powracając tam po okrążeniu krzywizny świata.

- Odeco to fundusz venture capital z siedzibami w rajach podatkowych - ciągnie pan Nandha. - Metody ma dość... nieortodoksyjne. Prowadzi nieduże biuro-przykrywkę w Kashi, ale preferuje działanie za pośrednictwem sieci rozproszonych systemów handlowych opartych na aeai. Ekskomunika w Pasta-Tikka dotyczyła jednego z takich systemów, który przypadkowo wytropił Jashwant. Badrinath zhybrydował go, żeby prowadził nielegalne zakłady, ale jego trzonem działalności zawsze były dyskretne transakcje w tle, w imieniu Odeco.

- Po co to wszystko? - pyta Arora.

- Sądzę, że w celu sfinansowania powstania Kalkiego, sztucznej inteligencji trzeciej generacji.

Pomruki wysokich funkcjonariuszy Ministerstwa. Pan Nandha unosi dłoń, kula informacji zapada się w siebie. Szefowie Ministerstwa mrugają w jaskrawym słońcu.

- Prezentacja jak zawsze imponująca, Nandha - mówi Arora, zdejmując hoeka.

- Stymulująca, acz klarowna prezentacja to najskuteczniejszy sposób uzasadniania tez. - Pan Nandha kładzie na blacie biurka dysk z kości słoniowej.

- Sundarban Badrinath został zniszczony - mówi Sudarshan.

- Tak. Uważam, że zrobiła to aeai Kalki, żeby zatrzeć ślady.

- Wspomniał pan, że Odeco finansuje również Ray Power. Jak daleko to wszystko sięga? Sugeruje pan, że powinniśmy wziąć się za Ranjita Raya? Przecież ten człowiek to teraz istny Mahatma.

- Sugerowałbym raczej ścisłą obserwację jego najmłodszego syna, Vishrama Raya, który objął ośrodek badawczo-rozwojowy.

- Zanim weźmie się pan za któregoś Raya, niech pan przygotuje naprawdę cholernie mocne dowody.

- Sir, ta sprawa dotyczy aeai trzeciej generacji. Należy zbadać wszystkie możliwości. Odeco sfinansowało także eksterytorialny ośrodek medyczny w Strefie Wolnego Handlu w Patnie, poprzez pewną firmę zarządzającą aktywami z amerykańskiego Środkowego Zachodu. To także jest przedmiotem dochodzenia. W obecnej chwili niczego nie mogę wykluczać.

- Odeco to pana bezpośredni cel - mówi Arora.

Front burzowy za nim załamuje się w panoramicznych oknach jak czarna fala.

- Uważam, że to jedyne powiązanie z tą Trzecią Generacją. Potrzebuję pełnej jednostki lotniczego wsparcia taktycznego, ze wsparciem także policji i z natychmiastowym embargo na wszystkie informacje wchodzące i wychodzące z Odeco. Potrzebne mi także...

- Panie Nandha, ten kraj jest w stanie wojny.

- Wiem o tym, sir.

- Nasze siły wojskowe są w stu procentach zaangażowane w obronę przed zagrożeniami dla państwa.

- Sir, mamy do czynienia z aeai trzeciej generacji. Istotą dziesięć tysięcy razy inteligentniejszą od każdego z nas. To, jak sądzę, także jest zagrożeniem dla państwa.

- Będę musiał to sprzedać Ministerstwu Obrony - mówi Arora. - No i jest jeszcze problem karsewaków. Mogą w każdej chwili wybuchnąć na nowo. - Ma taką minę, jakby połknął węża. - Nandha, kiedy ostatni raz prosiliśmy o całą jednostkę wsparcia taktycznego?

- Jak pan wie, sir...

- Ale obecny tu pan Sudarshan może nie wiedzieć.

- Do ponownego ujęcia i bezpiecznego uwięzienia J.P. Anreddy'ego. - Trochę więcej, na użytek mojego współpracownika.

- Anreddy był osławionym dataradzią, ósemką pik w talii najbardziej poszukiwanych przestępców FBI. Dwa razy uciekł z aresztu, wykorzystując mikroroboty do infiltracji swojego więzienia. Zażądałem pełnej jednostki wsparcia taktycznego, by ująć go ponownie i uwięzić w specjalnie skonstruowanej celi-panoptikonie pod maksymalną obserwacją.

- To da się tanio załatwić - mruczy Sudarshan.

- Panie Nandha, zapewne nie jest pan świadom, że J.P. Anreddy oskarża pana o znęcanie się.

Pan Nandha mruga.

- Nie byłem tego świadom, sir.

- Twierdzi, że przesłuchiwał go pan bez obecności prawnego przedstawiciela, że użył pan tortur psychicznych i że naraził go na fizyczne zagrożenie życia.

- Sir, jeśli można, w tej chwili nie będę zaprzętać sobie głowy zarzutami pana Anreddy'ego. Chodzi o to...

- Nandha, muszę zadać to pytanie. Czy w domu wszystko w porządku?

- Sir, czy kwestionuje pan mój profesjonalizm?

Czuje się jednak tak, jakby pojedynczy pocisk w stalowej koszulce wypruł mu pół kręgosłupa, że już nie żyje i nadal stoi prosto tylko na skutek szoku.

- Twoi koledzy zaobserwowali, że jesteś pochłonięty pracą, aż za bardzo pochłonięty. Nakręcony, tak to chyba określili.

- Czy to źle, kiedy człowiek poważnie traktuje poważne zajęcie?

- Tak, ale nie kosztem innych rzeczy.

- Sir, moja żona to skarb mojego życia. Jest moim gołąbkim, moim bulbulim, moją gwiazdeczką na niebie. Kiedy wracam do domu, zachwyca mnie...

- Dziękuję, Nandha - ucina Sudarshan. - W tych czasach wszyscy mamy aż nadto absorbujących zajęć.

- Jeśli wydaję się zaabsorbowany, albo nawet roztargniony, to tylko dlatego, że sądzę, że ta Trzecia Generacja to największe zagrożenie, z jakim spotkał się ten departament od momentu powstania. Moje zdanie, jeśli można...

- Pańskie zdanie, Nandha, jest tu zawsze bardzo cenione - mówi Arora.

- Ten departament został utworzony, bo nasz rząd miał wolę udowodnić, że stara się przestrzegać międzynarodowych umów wymagających licencjonowania sztucznych inteligencji. Niepodjęcie kroków przeciwko aeai Trzeciej Generacji może dać Amerykanom pretekst, aby namówić swoich awadhskich sojuszników do inwazji, pod hasłem, że Bharat jest azylem cyberterrorystów.

Arora wpatruje się w słoje blatu biurka. Sudarshan siedzi w skórzanym fotelu. Stykając i rozłączając czubki palców, zastanawia się nad wypowiedzią Nandhy. Wreszcie mówi:

- Proszę nas na moment zostawić. - Unosi dłoń, powietrze wokół pana Nandhy głuźnie. Nadinspektor włączył pole wyciszające. Dwaj mężczyźni obracają się w fotelach, skórzanymi oparciami do niego. Pan Nandha machinalnie składa ręce w namaste i przygląda się oplatającym skraj monsunu rozbłyskom piorunów. Musi pęknąć. Dziś wieczorem. Na pewno pęknie.

Moja gwiazdeczka. Mój gołąbeczek, mój bulbul. Mój skarb. Zachwyca mnie, kiedy wracam do domu. Kiedy wracam do domu. Pan Nandha zamyka oczy, zdjęty nagłym skurczem paniki. Nie wie co zastanie, kiedy wróci do domu.

Głucha cisza otwiera się na dźwięki i przestrzeń. Koniec narady.

- Twoje argumenty mają wagę, Nandha. Czego dokładnie potrzebujesz?

- Mam przygotowaną odprawę dla wojska, mogę ją wysłać za sekundę.

- Ma pan to wszystko opracowane - mówi Sudarshan.

- Sir, to się musi stać.

- Nie ma wątpliwości. Wyrażam zgodę na podjęcie kroków wobec Odeco.

ROZDZIAŁ 36 PARVATI, PAN NANDHA

Tego poranka Bharti z Telewizji Śniadaniowej założyła Twarz do Poważnych Informacji. Dziękujemy Rajowi za tę analizę, co Afera Khana może oznaczać dla Sajidy Rany, a oto przesłanie ze *Śniadania z Bharti* dla naszych dzielnych dżawanów na tamie Kunda Khadar: tak trzymać, chłopcy, dobra robota, wszyscy trzymamy za was kciuki. Lecz oto najnowszy gupśap z *Miasta i wsi*, gdzie na ustach wszystkich jest zbliżające się wesele Aparny i Ajay, wydarzenie sezonu, a teraz coś niezwykłego, specjalnie dla *Śniadania z Bharti*: zerkniemy sobie na suknię ślubną Aparny.

Pocieszona Parvati Nandha żegluje do kuchni, by zastać matkę przy kuchence, mieszającą dal w garnku.

- Mamo, co ty robisz?

- Przyrządzam ci porządne śniadanie. W ogóle o siebie nie dbasz.

- A gdzie Ashu?

- Ta leniwa niedorajda? Wymówiłam jej. Jestem pewna, że cię okradała.

Poranna przyjemność z *Miasta i wsi* wyparowuje.

- Co zrobiłaś?

- Powiedziałam, że ma sobie iść. Dałam jej na odchodne tygodniowe pobory. Tysiąc pięćset rupii. Zapłaciłam to z własnej kieszeni.

- Mamo, to nie ty tu decydujesz.

- Ktoś musiał. Okradała cię bezczelnie, że już nie wspomnę jej gotowania.

- Pan Nandha wymaga specjalnej diety. Masz w ogóle pojęcie, jak trudno jest w dzisiejszych czasach o porządną kucharkę? A propos, widziałaś mojego męża?

- Wyszedł z samego rana. Pracuje nad bardzo ważną i trudną sprawą, tak powiedział. Nie chciał śniadania. Musisz się nim zająć, wytłumaczyć mu, że śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia. Jeśli żołądek nie jest odpowiednio wypełniony, mózg nie może funkcjonować. Ciągłe się dziwię, jak głupi okazują się ludzie, niby tacy wykształceni. Gdyby tylko spróbował mojego dal i roti...

- On jest chory, nie może jeść takich rzeczy.

- Bzdury, to dobre, pożywne jedzenie. Ta mdła miejska dieta wcale mu nie służy. On ci marnieje. Popatrz no tylko na niego, ciągle blady, zmęczony i nie ma na nic siły, rozumiesz, o czym mówię. Potrzebne mu dobre, prawdziwe wiejskie jedzenie. Jak wszedł tu dzisiaj rano, myślałam, że to jakaś hidźra czy neutko z telewizyjnych wiadomości.

- Mamo! - Parvati wali dłońmi w stół. - Mówisz o moim mężu.

- Ale on nie zachowuje się jak twój mąż - oświadcza pani Sadurbhai. - Przykro mi, ale muszę to powiedzieć. Jesteście mężem i żoną od roku i co, czy słyszę jak śpiewa aja, albo dziecięcy śmiech? Parvati, muszę zapytać: czy on przykłada się do roboty? Da się na to zaradzić, są specjaliści doktorzy dla mężczyzn. Widziałam reklamy w niedzielnej gazecie.

Parvati zrywa się z miejsca, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Mamo... Nie, ja idę do ogrodu, będę tam do południa.

- Mam trochę spraw do załatwienia. Muszę kupić różne rzeczy na kolację. Swoją drogą, gdzie trzymasz pieniądze dla kucharki na zakupy? Parvati? - Lecz ona już wyszła. - Parvati? Powinnaś zjeść trochę dal i roti.

Tego ranka Krishan podpiera palikami młode rośliny, podwiązuje pnącza i przykrywa sadzonki dla ochrony przed burzą. W jedną noc ściana chmur podeszła bliżej; Parvati wydaje się, że zaraz się na nią zawali, zmiażdży ją swoją czernią, razem z jej ogrodem i całym rządowym blokiem mieszkalnym. Upał i wilgoć są okropne, ale nie może zejść na dół, jeszcze nie.

- Wczoraj przyszedłeś, żeby się ze mną zobaczyć - mówi.

Krishan wyłącza system nawadniający.

- Tak - odpowiada. - Jak zobaczyłem, że pani wstaje i wychodzi, zastanawiałem się...

- Nad czym?

- Czy coś nie tak powiedziałem albo zrobiłem. Albo czy to ten krykiet...

- Krykiet bardzo mi się podobał. Chętnie bym tam wróciła...

- Drużyna gości pojechała już do domu. Ich władze zaapelowały o powrót, bo tu jest niebezpiecznie ze względu na wojnę.

- Tak, ze względu na wojnę.

- Ale dlaczego pani tak wybiegła?

Parvati rozkłada dhuri na ziemi pod pachnącymi drzewami. Układa poduszki i wałki i sadowi

się między nimi.

- Chodź tu i połóż się koło mnie.

- Pani Nandha...

- Nikt nie patrzy. A nawet jeśli, to nikogo to nie obchodzi. Chodź tu i połóż się koło mnie.

Poklepuje ziemię. Krishan zrzuca robocze buty i siada obok, kładzie się na boku, podpira łokciem. Parvati leży na wznak, z rękoma splecionymi na piersi. Niebo jest śmietankowe, wisi nisko, jak kopuła żaru. Ma wrażenie, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby sięgnąć do środka. Byłoby mleczne i gęste w dotyku.

- I co sądzisz o tym ogrodzie?

- Ja? Nie mnie sądzić, ja go tylko buduję.

- No dobrze, to co sądzisz jako człowiek, który go buduje? Odwraca się na plecy. Parvati czuje na twarzy muśnięcie ciepłego wiatru.

- To najbardziej ambitny ze wszystkich moich projektów. I najbardziej jestem z niego dumy. Myślę, że gdyby ludzie mogli go oglądać, bardzo by mi to pomogło w karierze.

- Matka myśli, że dla mnie to za mało - mówi Parvati. Dzisiaj grzmi już bliżej, intymnie blisko.

- Myśli, że powinnam mieć drzewa, dla osłony; szpalery drzew asioka jak w ogrodach w Cantonmencie. A mnie się wydaje, że i tu jest całkiem dyskretnie, prawda?

- Powiedziałbym, że tak.

- To dziwne: wygląda na to, że intymności nigdy nie można mieć dość. Pewnie, w Cantonmencie masz swoje ogrody za murami, drzewa asioka i ćarbagh, ale i tak wszyscy co do godziny wiedzą, co robisz.

- Coś tam się stało, na meczu?

- Byłam głupia i tyle. Bardzo głupia. Wyobrażałam sobie, że kasta to to samo co klasa.

- Co się stało.

- Pokazałam swój brak klasy. Albo raczej, nie taką klasę jak trzeba. Krishan, matka chce, żebym pojechała z nią do Kothkai. Denerwuje się tą wojną. Boi się, że napadną na Varanasi. Od trzech tysięcy lat nikt nie napadał na Varanasi; ona chce po prostu wziąć mnie jako zakładniczkę, żeby pan Nandha naobiecował mi milion różnych rzeczy, dom w Cantonmencie, samochód z szoferem i dziecko-Bramina.

Czuje, jak jego mięśnie tężeją.

- I pojedzie pani?

- Nie mogę pojechać do Kothkai i nie mogę do Cantonmentu. Ale wiesz, Krishan, tu, na tym dachu, też nie mogę zostać. - Nagle siada i nasłuchuje. - Która godzina?

- Wpół do dwunastej.

- Muszę iść. Matka zaraz wróci. Za żadne skarby nie przegapi *Miasta i wsi*. - Otrzepuje z ubrania dachowe paprochy, poprawia ułożenie sari, zarzuca długie, proste włosy za lewe ramię. - Przepraszam, Krishan. Nie powinnam cię tym obciążać. Masz robotę w ogrodzie.

Przemyka boso przez ogród na dachu. Chwilę później Krishana dobiega ze schodów dudniący motyw muzyczny serialu. Chodzi od grządki do grządki, podwiązując swoje roślinki.

Pan Nandha odsuwa talerz z nietkniętym jedzeniem.

- To jest brązowe. Nie mogę jeść brązowych rzeczy. Pani Sadurbhai nie zabiera mu thali, lecz przybiera stanowczą pozycję przy kuchence.

- Porządne, uczciwe wiejskie jedzenie. Co jest nie tak z moim gotowaniem, że nie możesz tego jeść?

Pan Nandha wzdycha.

- Pszenica, strączkowe, ziemniaki. Węglowodany węglowodany węglowodany. Cebula, czosnkowe ghi. I dużo dużo przypraw.

- Mój mąż... - zaczyna Parvati, lecz pan Nandha przerywa jej.

- Mam białą dietę. Wszystko po ajurwedyjsku wyliczone i zbilansowane. Gdzie mój jadłospis?

- A, to. Kucharka zabrała.

Pan Nandha ściska brzeg stołu. To zbierało się od dawna, jak monsun, który sygnalizuje mu ucisk w zatokach. Jeszcze przed desantem pani Sadurbhai, która zjechała tu jak elitarne oddziały Sajidy Rany, jeszcze przed popołudniowym spotkaniem, na którym polityczna rzeczywistość zdeptała jego poświęcenie i poczucie misji, nawet przed pojawieniem się tej sprawy Kalkiego, nękało go poczucie, że samotnie walczy z szaleństwem, że ład ma jednego bojownika zmagającego się z rosnącym chaosem, że wszyscy inni mogą ulec, on natomiast musi samotnie dźwigać miecz kończący epokę Kali. I proszę, teraz to załęgło mu się we własnym domu, w kuchni, przy stole, widzi jak oplata białymi, ślepyimi korzeniami jego własną żonę.

- Przyjeżdża mi mama do domu, wywraca wszystko do góry nogami, zwalnia kucharkę, wyrzuca moje jadłospisy. Przychodzę po dniu ciężkiej i wymagającej pracy i co dostaję? Jakies pomyje, których nie mogę jeść!

- Skarbie, naprawdę, mama chciała dobrze - mówi Parvati, lecz knykcie pana Nandhy są już białe.

- Tam, skąd ja przyjeżdżam, synowie szanują swoje matki - ripostuje pani Sadurbhai. - Nie okazujesz mi szacunku, bo myślisz, że jestem niedouczoną i zabobonną babą ze wsi. Myślisz, że wiesz wszystko najlepiej, ty i te twoje angielskie wykształcenie, okropna zachodnia muzyka bez melodii i mdłe białe jedzenie, jak dla dzieci, nie dla prawdziwego mężczyzny zajmującego się prawdziwą robotą. Myślisz, że jesteś gora; myślisz, że jesteś lepszy niż ja, i lepszy niż twoja żona, a moja córka - wiem o tym - ale nie jesteś, i nie jesteś firengi; gdyby biali cię zobaczyli, śmialiby się z ciebie, patrzcie no, babu myśli, że jest Europejczykiem! Wiesz, co ci powiem? Indyjskiego gory nikt nie szanuje.

Pan Nandha zdumiewa się bielą własnych knykcii. Pod skórą widać naczynia krwionośne.

- Pani Sadurbhai, jest pani gościem pod moim dachem...

- Pięknym, państwowym dachem...

- Tak - mówi powoli, dobitnie pan Nandha, jakby każde słowo było wyciąganym ze studni wiadrem wody. - Pięknym, państwowym dachem, na który zarobiłem dzięki mojej staranności i oddaniu pracy. Dachem, pod którym oczekuję spokoju i porządku, którego wymaga mój zawód. Nie ma pani pojęcia, czym się zajmuję. Nie rozumie sił, z którymi walczę, wrogów, których ścigam. To istoty o boskich aspiracjach, pani szanowna. Stworzenia, których nawet nie dałoby się zrozumieć, które zagrażają wszystkim naszym przekonaniom - a ja stawiam im czoło regularnie, codziennie. I jeśli moja okropna, pozbawiona melodii zachodnia muzyka, moja mdła, biała dieta firengi, moja kucharka i sprzątaczką zapewniają mi ten spokój i domowy ład, żebym mógł zmierzyć się z kolejnym dniem pracy, to co w tym niewłaściwego?

- Nic - przyznaje pani Sadurbhai. Czuje, że jest na przegranej pozycji, ale rozumie też, że tylko głupiec ginie, nie dobywając broni. - Niewłaściwe jest to, że w tym nie ma żadnego miejsca dla Parvati.

- Parvati, mój kwiatuś. - Powietrze w kuchni jest gęste jak syrop. Pan Nandha czuje ciężar i bezwładność każdego słowa, każdego ruchu głowy. - Jesteś nieszczęśliwa? Czegoś ci brakuje?

Parvati chce odpowiedzieć, ale matka wchodzi jej w słowo.

- Moja córka chciałaby mieć trochę uznania za to, że jest żoną ważnego i oddanego pracy fachowca, a nie siedzieć ukryta na dachu bloku w centrum miasta.

- Parvati, to prawda?

- Nie - odpowiada ona. - Myślałam, że może...

Lecz matka znów ją przekrzykuje:

- Mogła wybierać i przebierać, kogo tylko zechciała: urzędników państwowych, prawników,

biznesmenów, nawet polityków, a każdy z nich zapewniłby jej należny dom, eksponował ją jak kwiat i dał wszystko, na co zasługuje!

- Parvati, skarbie, ja nic nie rozumiem. Myślałem, że jesteśmy tutaj szczęśliwi.

- To naprawdę nic nie rozumiesz, jeśli nie wiesz, że moja córka mogła mieć wszystkie skarby Mogołów i zrzekłaby się ich wszystkich dla dziecka...

- Mamo! Nie! - Parvati płacze.

- ...dla porządnego dziecka. Dziecka godnego jej statusu. Prawdziwego dziedzica.

Powietrze gęstnieje jeszcze bardziej. Pan Nandha ledwo może obrócić głowę ku pani Sadurbhai.

- Bramina? O to wam chodzi? Parvati, to prawda?

Żona szłocha na końcu stołu z twarzą skrytą w dupacie. Pan Nandha czuje, jak od jej szlochów drży stół.

- Bramin. Dziecko genetycznie zmodyfikowane. Dziecko, które żyje dwa razy dłużej, dorasta dwa razy szybciej. Które nigdy nie dostanie raka, ani Alzheimerera, ani artretyzmu, czy innych chorób starości, które nas czekają. Nasze dziecko, Parvati. Owoc naszego związku. Naprawdę tego chcesz? Zabierzemy nasz zarodek do lekarzy, którzy otworzą go, rozbiorą go na części i pozmienią tak, że nie będzie już nasz, a potem poskładają i włożą ci do środka. Naszprycują cię hormonami i lekami na płodność i wepchną ci go do macicy, aż ten obcy twór się przyjmie i zacznie rosnąć, rozdymając cię od środka.

- Dlaczego jej tego odmawiać?! - wykrzykuje pani Sadurbhai. - Jaki rodzic nie skorzysta z szansy, żeby mieć idealne dziecko? Chcesz odmówić tego matce?

- Bo oni nie są ludźmi! - krzyczy pan Nandha. - Widzieliście ich? Ja ich widziałem. Widzę ich codziennie, na ulicach, w biurach. Wyglądają młodo, ale nie ma w nich niczego, co byśmy znali. Aei i Bramini to nasza zguba. Jesteśmy niepotrzebni. Ślepa ścieżka ewolucji. Ja walczę z nieludzkimi potworami, nie wpuszczę czegoś takiego do łona własnej żony. - Ręce mu się trzęsą. To nie powinno tak wyglądać. Widzisz, do czego cię doprowadziły te kobiety? Pan Nandha odpycha się od stołu i wstaje. Czuje się wysoki, potężny i rozmyty jak awatar z jego skrzynki, wypełniająca całe budynki. - Teraz wychodzę. Mam sprawy służbowe. Możliwe, że wrócę dopiero jutro, ale kiedy wrócę, twojej matki ma już nie być pod tym dachem.

Głos Parvati goni go po schodach.

- To starsza kobieta, gdzie ona się podzieje o tej porze? Nie możesz wyrzucać starszej kobiety na ulicę!

Pan Nandha nie odpowiada. Ma aeai do ekskomunikowania. Kiedy wychodzi z hallu państwowego bloku mieszkalnego i idzie do państwowego samochodu, spod stóp zrywają mu się

gołębie, klaszcząc świszcząc skrzydłami. W pięści ściska wizerunek Kalkiego z kości słoniowej.

ROZDZIAŁ 37 SHAHEEN BADOOR KHAN

Niegdyś z tej wieżyczki bębniarze witali gości idących tu ścieżką przez bagna. Po obu stronach fruwało wodne ptactwo - czaple, żurawie, warzęchy, dzikie kaczki - to one skłoniły Moazama Ali Khana do wybudowania domku myśliwskiego właśnie na zimowym terenie zalewowym Ghaghry, nieopodal jeziora Ramgarh. Jezioro dawno wyschło, bagna są połącią spękanego błota, ptaki odleciały. Za życia Shaheen Badoor Khana dźwięk bębnów ani razu nie zabrzmiał z nakkar chany. Pawilon był na wpół zrujnowany nawet za czasów jego ojca, Asada Badoor Khana, śpiącego w objęciach Allacha pod prostym marmurowym prostokątem na rodzinnym cmentarzu. W ciągu jego życia - najpierw pokoje, potem apartamenty, a później całe skrzydła poddawały się upałowi, kurzowi, gnijącym i odklejającym się tkaninom, tynkom pleśniejącym i łuszczącym się w monsunowej wilgoci. Nawet cmentarzyk jest zarośnięty trawą i wybujałymi chwastami, teraz zwiędłymi i pożółkłymi od suszy. Ocinające pawilon asioki gospodarze wycięli jedno po drugim na opał.

Shaheen Badoor Khan nigdy nie lubił starego myśliwskiego pawilonu w Ramgarh Kothi. Dlatego właśnie przyjechał tu się ukryć. Nikt poza ludźmi, którym ufa, nie ma pojęcia, że on jeszcze stoi.

Trąbił klaksonem przez dziesięć minut, zanim personelowi przyszło do głowy, że ktoś może zechcieć odwiedzić pawilon. Stróżowała tu para starych, biednych, ale dumnych muzułmanów, on był kiedyś nauczycielem. W zamian za zmaganie się z entropią mogli za darmo mieszkać w jednym skrzydle i dostawali co tydzień garść rupii na ryż i dal. Mężczyzna, Musa, otwierając mu podwójną bramę, nie mógł ukryć zdumienia. Może chodzi o niezapowiedzianą wizytę po czterech latach zapomnienia. A może wie wszystko z „Głosu Bharatu”. Shaheen Badoor Khan wjechał pod osłonę stajennego dachu i polecił gospodarzowi zamknąć i podeprzeć bramę.

Pod horyzontem, po wschodniej stronie przypominającym czarny mur, Shaheen Badoor Khan chodził między zapyłonymi grobami swego rodu. Jego mogolscy przodkowie nazywali monsun Młotem Boga. Ten młot już opadł, a on wciąż żyje. Może planować. Może nawet żywić nadzieję.

Mauzoleum Moazama Ali Khana stało pomiędzy obłymi kikutami drzew w najstarszej części cmentarza - był to pierwszy Khan pochowany tutaj, na żwirowym wzniesieniu ponad rzecznyymi osadami. Musowie stopniowo wycięli ocieniające go rośliny, ale obecnemu zarządcy Ramgarhu odpowiadało takie огоłocenie. Pozwalało grobowcowi, małemu, acz o klasycznych proporcjach, rozprostować kości, dawało odetchnąć jego piaskowcowej skórze, eksponowało go. Shaheen Badoor Khan pochylił się i wszedł przez wschodni łuk do zwieńczonego kopułą wnętrza. Delikatne, filigranowe ścianki dawno się powykruszały, wiedział też z dziecięcych wypraw, że kryptę pod spodem zamieszkują nietoperze, ale nawet w tym opłakanym stanie grób założyciela linii Khanów-polityków cieszył wzrok gościa. Moazam Ali wiódł życie pełne zaszczytów i intryg, jako premier Nawabów z Awadhu w czasach gdy słabnący Mogołowie z Agry wykrywawiali się z władzy na rzecz swoich tytularnych wasali w Lucknow. Doglądał przemiany brudnego średniowiecznego kupieckiego

miasta w kwiat islamskiej cywilizacji, a potem, wyczuwając kruchość tego wszystkiego w zapachu pomady do włosów wysłanników Kompanii Wschodnioindyjskiej, wycofał się z życia publicznego, razem z niedużym, ale legendarnym haremem perskich poetek, by studiować suficki mistycyzm w podarowanym mu przez wdzięczny naród pawilonie myśliwskim. Pierwszy i największy z Khanów. Od czasu gdy Moazam Ali i jego poetessy żyły tu i studiowały wśród nawołujących się bagiennych ptaków, wszystko powoli rozsypywało się w proch. Mrok pod kopułą tężał z każdą chwilą, gdy nad Ramgarh Kothi nacierał monsun, ze swoją obietnicą nawodnienia bagien i odrestaurowania jezior. Palce Shaheena Badoora Khana obwodzą kontur mihraba, niszy wskazującej kierunek na Mekkę.

Dwa pokolenia później Mushtaq Khan spoczywa pod eleganckim chatri, otwartym na wiatr i pył. Uratował reputację i fortunę rodu, pozostając lojalny Radżowi, gdy buntowały się północne Indie. Ryciny w gazetach z roku 1857 ukazują go broniącego majątku i rodziny przed oblężeniem hord sipajów, z pistoletami w obu rękach, w kłębach prochowego dymu. Prawda była mniej spektakularna; mały oddział buntowników zaatakował Ramgarh i został odparty bez ofiar ogniem z lekkiej broni, ale i to wystarczyło, by dosłużył się od Brytyjczyków tytułu *Wiernego Mahometanina*, a od Hindusów *Khana Mordercy*; plusy u władców Radżu skrzętnie przekuł w kampanię domagającą się specjalnych praw politycznych dla muzułmanów. Jakże byłby dumny, myśli Shaheen Badoor Khan, widząc jak z tych nasion rodzi się muzułmańskie państwo, Kraj Czystych*. Jakże złamałoby mu się serce, gdyby Kraj Czystych stał się średniowieczną teokracją, rozdartą potem plemiennymi wojnami. Słowo Boże głoszone kałachami. Czas, śmierć i proch. Nad martwym bagnem rozniósł się dźwięk świątynnych dzwonów. Z południa dobiegał nieustający ryk syreny pociągu. Powietrzem wstrząsnął cichy grzmot.

A tu, pod marmurową stelą na zwirowym brzegu, w jedynym miejscu o ziemi głębokiej na tyle, by pomieścić grób, leżał jego dziadek, Sayid Raiz Khan, sędzia i budowniczy państwa, dzięki któremu jego żona i rodzina bezpiecznie przetrwały Wojny Rozbiorowe, w których zginęło milion osób, nieugięty w przekonaniu, że muszą być Indie, a w tych Indiach, aby były wierne idei Nehru z roku 1947, miejsce honorowe powinni zajmować muzułmanie. Tu zaś, jego ojciec: prawnik-lobbysta i aktywny poseł dwóch parlamentów, pierwszego w Delhi, drugiego w Varanasi. Też walczył we własnych Wojnach Rozbiorowych. Khanowie: Wierni Mahometanie - każde pokolenie walczy przeciwko osiągnięciom poprzedniego, do ostatniej kropli krwi.

Na płaskiej, bezdrzewnej przestrzeni światła samochodu widać z wielu kilometrów. Shaheen Badoor Khan sam schodzi rozpadającymi się schodami z wieżyczki bębniarzy, by otworzyć bramę. Służący w Ramgarh są starzy, potulni i zasługują na sen. Wzdryga się, czując na wardze kroplę deszczu, delikatnie smakuje ją językiem.

Po to rozpętałem tę wojnę.

Lexus wjeżdża na dziedziniec. Jego opływowa, czarna skorupa jest inkrustowana kroplami deszczu. Shaheen Badoor Khan otwiera drzwi. Wysiada Bilquis Badoor Khan. Ma na sobie oficjalne niebiesko-złote szarawary, na głowie czador. Rozumie to. Nie pokazuj twarzy. Wśród ludu, z którego pochodzi, zdarzały się przypadki śmierci ze wstydu.

- Dziękuję, że przyjechałaś - mówi.

Ona unosi rękę. Nie tutaj. Nie teraz. Nie przy służących. On wskazuje kolumnową chatrę wieżyczki, odsuwa się, gdy żona przechodzi obok, unosząc rąbek czadoru, by wejść po stromych schodkach. Deszcz nabrał już rytmu, horyzont na południowym wschodzie jest feerią błyskawic. Woda leje się strugami z krawędzi kopulastego dachu mogolskiej wieżyczki. Shaheen Badoor Khan mówi:

- Na samym początku muszę ci powiedzieć, że jest mi niezmiernie, niezmiernie przykro za to, co się stało. - Te słowa smakują mu pyłem, prochami przodków przemieszanych z przesączającym się ku nim deszczem. Pęcznią mu w ustach. - Ja... nie, my... mieliśmy umowę, złamałem ją i jakimś sposobem to się rozniosło. Reszta należy do historii. Byłem niewybaczalnie głupi, i to się na mnie zemściło.

Nie wiedział, kiedy zaczęła go podejrzewać, ale zaraz po urodzeniu Dary stało się jasne, że Bilquis to nie wszystko, czego pożąda. Ich ślub był ostatnim mogolskim małżeństwem, zawartym dla rodu, władzy i politycznych celów. Tylko raz rozmawiali o tym otwarcie, po tym, jak Jehan wyjechał na studia i nagle okazało się, że w haweli jest za dużo służących, a po korytarzach niesie się echo. Rozmowa była wymuszona, oschła, bolesna - każde zdanie pełne aluzji i elizji na użytek służby, bo wszystkie ściany miały uszy - i długa w sam raz na tyle, by zawrzeć ugode: on nigdy nie pozwoli, by to zagroziło rodzinie czy rządowi, ona zaś pozostanie porządną, obowiązkową żoną polityka. Nie sypiali ze sobą od dziesięciu lat.

To. Nigdy tego problemu między sobą nie nazwali. Shaheen Badoor Khan nie jest nawet pewien, czy istnieje odpowiednia nazwa. Jego skłonność? Jego grzech? Słabość, cierń w boku? Zboczenie? W języku dwojga ludzi nie ma na *to* słów.

Deszcz jest tak silny, że ledwo słyhać, co Shaheen mówi.

- Mam jeszcze parę znajomości; uda nam się bezpiecznie wydostać z Bharatu. Bezpośrednim samolotem do Kathmandu. Do Nepalu wpuszczą nas bez problemu. A stamtąd mamy połączenia na cały świat. Ja preferowałbym północną Europę, może Finlandię albo Norwegię. To duże, słabo zaludnione kraje, będziemy mogli bezpiecznie sobie żyć. Mam fundusze w czekach bankowych na okaziciela, wystarczy, żeby kupić sobie dom i żyć na odpowiednim poziomie, choć może nie w takim komforcie, jakim cieszymy się w Bharacie. Jest tam drogo i ciężko będzie przyzwyczać się do klimatu, ale myślę że Skandynawia to najlepszy wybór. Bilquis zamyka oczy. Unosi rękę.

- Proszę, przestań już.

- Nie musi być Skandynawia. Inny dobry, daleki kraj to Nowa Zelandia...

- Shaheen: ani Skandynawia, ani Nowa Zelandia. Nigdzie z tobą nie pojedę. Już dość: to nie ty powinieneś przeproszać. To ja, Shaheen, złamałam umowę. Ja im powiedziałam. Myślisz, że tylko ty masz podwójne życie? Nie! Nie tylko! Z tobą tak zawsze, Shaheen, taki zarozumiały, myślisz, że tylko ty możesz mieć swoje tajemnice i kłamstwa. Shaheen, od pięciu lat pracuję dla N.K. Jivanjeego. Dla Shivaji, Shaheen. To ja, begum Bilquis Badoor Khan, wydałam cię hinduskim nacjonalistom.

Shaheen Badoor Khan czuje, że deszcz, grzmoty i głos żony zlewają się w jeden cichy szum.

Teraz rozumie, jak to jest: umrzeć od szoku.

- Co to ma być? - słyszy własny głos. - To bzdury, bzdury, bzdury gadasz, kobieto.

- Tak, to chyba musi wyglądać jak bzdury: żeby żona wydała męża jego największemu wrogowi? Ale zrobiłam to, Shaheen. Zdradziłam cię dla hindusów. Twoja własna żona. Od której odwracałeś się każdej nocy, kiedy jeszcze spaliśmy razem. Pieprzyliśmy się pięć razy i pięć razy poczęliśmy. Liczyłam: pięć razy, kobiety pamiętają takie rzeczy. I tylko dwa razy udało się donosić, to nasi wspaniali synowie. Pięć razy. Przykro mi. Co, szokuje cię moje grubiaństwo? Nie tak powinny mówić begum? Powinieneś usłyszeć, co begum gadają między sobą, Shaheen. Bo kobiety gadają. Uszy by ci spłonęły ze wstydu. Bezwstydnice z nas, w naszych pokojach, w naszym towarzystwie. One wiedzą, wszystkie kobiety wiedzą. Pieprzyliśmy się pięć razy, Khan. Powiedziałam im, ale nie *o tym*. *Tego* im nie powiedziałam. Shaheen. Nie powiedziałam im, bo nadal sobie myślałam: to wielki człowiek, gwiazda idąca w górę po czarnym niebie, przed nim wysokie stanowiska, zaszczyty, nawet jeśli leży w oddzielnym łóżku i marzy o stworzeniach, które dla mnie nawet nie są ludźmi. Żona potrafi upychać różne sprawy na dnie umysłu, jeśli tylko myśli, że jej mąż może dokonać wielkich czynów, równie wielkich, jak ci pochowani tutaj twoi przodkowie. Kobieta, która mogła przebierać w mężczyznach, którzy kochaliby ją sercem i ciałem, którzy może także osiągnęliby wysokie stanowiska. Kobieta, która ma własne wykształcenie, własny potencjał i została zapędzona pod złotą purdę, bo na każdą prawniczkę przypada teraz pięciu prawników. Rozumiesz, Shaheen, co mówię? Taka kobieta ma swoje oczekiwania. I jeśli ta gwiazda idzie w górę, a potem zatrzymuje się i tak stoi, i nie idzie wyżej, a inne gwiazdy pną się dalej i ją przyćmiewają...

To co ma zrobić taka kobieta? Co ma zrobić taka żona i taka begum?

Shaheen Badoor Khan w hańbie zakrywa twarz dłońmi, ale nie powstrzymuje to słów, które przebijają się przez deszcz, przez gromy, przez jego własne palce. Miał się za dobrego i uczciwego doradcę swojej przywódczyni, rządu i państwa, pamięta jednak, jak zareagował, kiedy podczas lotu powrotnego znad Kunda Khadar Sajida Rana zaproponowała mu posadę w rządzie: lęk przed zdemaskowaniem, lęk, że *to* wylewa się z niego, jak krew z poderżniętego gardła. Widzi teraz, ile razy, przy ilu okazjach mógł uczynić ten krok we władzę i się wycofał, sparaliżowany groźbą nieuniknionego upadku.

- Jivanjee? - mówi słabym głosem. Ta starożytna mogolska bębniarska wieżyczka jest teraz okiem szaleństwa: jego żona agentką N.K. Jivanjeeego.

Bilquis się śmieje. To najokropniejszy dźwięk na świecie.

- Tak, Jivanjee. We wszystkie te popołudnia, kiedy ty siedziałeś w Sabha, a ja przyjmowałam swoje koleżanki prawniczki, myślałeś, że o czym tam rozmawiamy? O cenach nieruchomości, dzieciach-Braminach i wynikach krykieta? O polityce, Shaheen. Najlepsze prawniczki w Varanasi, co innego mogłoby nas zająć? Byłyśmy gabinetem cieni. Na palmerach puszczałyśmy sobie symulację. Wiesz, co ci powiem? Na mojej dźharoce miałam ludzi zdolniejszych niż cały gabinet Sajidy Rany. Och tak, Sajidy Rany, wielkiej matki, której nie dorówna żadna kobieta. No cóż, w naszym Bharacie nie było wojny o wodę. Nasz Bharat nie zaznał trzyletniej suszy, ani wrogości

Ameryki za siedzenie w kieszeni dataradzów. W naszym Bharacie razem z Awadhem i Zjednoczonym Bengalem wdrożyliśmy Plan Zarządzania Wodą w Dolinie Gangesu. Rządziliśmy tym państwem lepiej niż ty, Shaheen, a wiesz po co? Żeby się przekonać, czy umiemy. Żeby zobaczyć, czy damy radę zrobić to lepiej. I dałyśmy. Gadała o tym cała stolica, ale ty nie słyszysz takiej gadki, prawda? Babskiego gadania. Gadania po próznicy. Natomiast N.K. Jivanjee usłyszał. Usłyszeli Shivaji, i to kolejna rzecz, której nie mogę ci wybaczyć. Hinduski polityk poznał się na talencie, bez względu na jego płeć i religię, na którym nie poznał się własny mąż. Staliśmy się dla Shivaji doradcami strategicznymi, nasza skromna popołudniowa herbatka w ogrodzie. Była to gra warta świeczki, nawet teraz. Ciągle tylko miałam nadzieję, że jak przyjdiesz do domu, to nie wspomnisz ani słowem, co tam knujecie w Sabha, żebym mogła czytać ci w myślach, pytać siebie, co zrobiłabym na twoim miejscu, i próbować ci przechytrzyć i wymanewrować. Za każdym razem, kiedy wracałeś, klnąc, że ten Jivanjee zawsze jest o jeden krok do przodu, to byłam ja. - Dotyka piersi, nie widząc już męża, nie widząc spadającego na Ramgarh deszczu, widząc jedynie swoje wspomnienie wspaniałej gry, która zawładnęła jej życiem.

- Jivanjee - szepcze Shaheen Badoor Khan. - Sprzedałaś mnie Jivanjeemu.

Tama, która trzymała tak długo, szeroka i wysoka, pęka: Shaheen Badoor Khan czuje, że w środku, tam, gdzie tkwią nagromadzone przez lata kłamstwa i sekrety, ma tylko ryk, prymitywny skowyt, jak nicość przed stworzeniem. Wrywa się teraz z niego. Nie umie go powstrzymać, nie potrafi zamknąć go w sobie. Jego próżnia szarpie mu organy wewnętrzne. Pada na kolana. Pełźnie na kolanach ku żonie; wszystko runęło. Śmiał żywić nadzieję i za to zadufanie odebrano mu ją, odebrano mu wszystko. Nie ma już nadziei. Zwierzęcy skowyt zamienia się w skomlenie, łkanie na pograniczu mdłości. Bilquis się cofa. Boi się. Tego jej plan gry i strategia nie przewidywały. Shaheen Badoor Khan stoi na czworakach, jak pies, wydając jęki bólu.

- Przestań, proszę, przestań - błaga Bilquis. - Miejże choć trochę godności.

Shaheen Badoor Khan podnosi na nią wzrok. Bilquis w przerażeniu zakrywa dłonią usta. Nie poznaje go, jest innym człowiekiem. Ta gra zniszczyła ich oboje.

Odchodzi od istoty skulonej na gładkim piaskowcu podłogi wieży, wymiotującej skażoną ropą własnego życia. Wymacuje stopą schody z piaskowca, ucieka między kurtyny deszczu.

ROZDZIAŁ 38 PAN NANDHA

Surowa polifonia *Magnificat* Bacha wiruje wokół pana Nandhy, gdy tilt-jet zakręca nad rzeką. Zwiastujący monsun gorący wiatr uderza w ghaty. Podmuchy wywołane przez front atmosferyczny rozsiewają po Matce Gandze ładnie uporządkowane flotylle łódeczek dija i miotają tilt-jetem. Pan Nandha widzi błyskawice odbijające się w hełmie pani pilot, potem jej dłonie bezpiecznie ich zawracają. Przed nimi, trzy pozostałe samoloty w formacji kreślą ruchome świetlne wzory na tle łuny nad miastem. Kashi. Miasto światła.

W polu wspomaganego widzenia pana Nandhy nad Varanasi górują bogowie, wyżsi nawet od monsunu, ich wahany pełną po błocie i gównie, korony sięgają stratosfery. Bogowie jak zwały burzowych chmur, z uniesionymi, trzeszczącymi od błyskawic atrybutami, zwielokrotnione ręce wykonują z meteorologiczną powolnością święte mudry. Łączność została odcięta, gdy oddział ekskomunikantów wystartował z wojskowego lotniska. Prasada przechwyciła w kablach paręset aeai pierwszego poziomu, ale poza tym w biurze na piątym piętrze było cicho, ciszą niewinną lub martwą. Szyk się rozpada, światełka pozycyjne tańczą akrobatycznie pomiędzy Ganeśią, Karttikeją, Kali i Kryszną. Usta pana Nandhy bezgłośnie modlą się „magnificat magnificat”, gdy tilt-jet przechyla się i nurkuje przez Ganeśię rozpadającego się na piksele wielkości dłoni. Jak włócznia w boku, myśli. Pani pilot przestawia silniki na końcach skrzydeł w tryb lądowania i zaczyna schodzić przez kolejne woale boskiego światła. Pan Nandha klika, wyłączając grafikę. Bogowie znikają, jak tknięci niewiarą - po latach przyjaźni z nimi i tak wyczuwa ich obecność, jako coś elektryzującego w tyle głowy. Broń cięży mu ponuro na sercu.

Główna siedziba Odeco to tani biurowiec w labiryncie sprzedawców mundurków szkolnych i sari. Pilot obraca tilt-jeta, by wpasować go w wąską ulicę; gdy opuszcza samolot na skrzyżowanie, światełka na końcach skrzydeł obrysowują balkony i słupy elektryczne. Podmuch silników przewraca stojaki z rowerami po drugiej stronie ulicy. Z drogi leniwie złazi krowa. Sklepikarze łapią swe wydymające się, roztrzepotane towary. Rozkładają się koła, muskają beton. Pan Nandha schodzi do przedziału desantowego, gdzie siedzi jego ekipa: Ram Lalli, Prasad, Mukul Dev, Vik - podenerwowany w pancerzu oddziałów prewencji nałożonym na jego zwykły strój gwiazdy muzycznej z kanału Star Asia.

Tilt-jet osiada na amortyzatorach. Nic nawet nie drgnie, nic się nie rusza, poza wiatrem z krawędzi monsunu, miotającym przez wąskie ulice papierami i strzępami filmowych plakatów. Warczy bezdomny pies. Silniki cichną, opuszcza się rampa. Dwa inne tilt-jety lądują idealnie w pozostałych punktach desantu. Czwarty obraca się na niebie, na tle neonowych wież New Varanasi, pikuje na dach biurowca, po czym ustawia maszynę w zawisie. Po wąskich uliczkach niesie się huk, jakby na niebie ścierały się wedyjskie armie. Jego brzuch otwiera się i wypuszcza zjeżdżający na linach pluton sowarów bharackiej kawalerii powietrznej. Na wyświetlaczu w hełmie pani pilot jada prosto w rozdziawiony kanion między bogami. Plastikowe ładunki wybuchowe otwierają dach jak puszkę ghi. Sowarowie, porozumiewając się gestami, przypinają karabinki do dachowej baterii

słonecznej i nurkują do środka.

Pan Nandha posuwa się przez cmentarzysko rowerów. Dotyk prawego ucha włącza hoeka, nad dzielnicą galanteryjną starego Kashi rozkłębia się sylwetka Indry, Pana Deszczu i Błyskawic, dosiadającego swej słoniowej wahany, Airawaty o czterech kłach. W prawej dłoni unosi Wadźrę Sądu. Pan Nandha sięga po swoją broń. Błyskawica przenika półprzezroczyste, czerwone ciało Indry; pan Nandha unosi głowę. Deszcz. Prosto w twarz. Przystaje, ociera krople z czoła, gapi się na nie w zdumieniu. W tej samej chwili Indra obraca się, a pan Nandha czuje, że pistolet celuje za niego.

Nieoświetlonym zaułkiem nadbiegają roboty, podskakując, szeleszcząc małymi nóżkami i pazurkami. Roboty-małpy, roboty-koty, roboty jak nietotne ptaki i długonogie owady, fala klekocącego ruchu spływająca ku głównej ulicy. Pan Nandha wyrównuje broń, strzela, celuje, strzela celuje strzela celuje strzela. W uszach grzmia mu monumentalne bachowskie kontrapunkty. Nigdy nie pudłuje. India mierzy pewnie i celnie. Roboty zataczają się, zderzają ze sobą, wjeżdżają na ściany i drzwi, podczas gdy grube, przypadkowe krople gęstnieją do deszczu. Pan Nandha posuwa się w głąb uliczki z pistoletem przed sobą, bezbłędnie wyszukując cele czerwonym laserowym okiem i krótkimi, profilowanymi impulsami elektromagnetycznymi, każe im wirować i dymić. Roboty-małpy pną się po kablach, plakatach plotkarskich magazynów, metalowych billboardach reklamujących butelkowaną wodę i szkoły językowe, wdrapują się na dachy i kable komunikacyjne. Indra zrzuca je na dół swoim piorunem. Agenci Ministerstwa stoją w szeregu za panem Nandha, likwidując niedobitki, które przedostaną się w strefę ekskomuniki. Pan Nandha wycisza Jana Sebastiana i unosi rękę.

- Przerwać ogień!

Linie energetyczne skwierczą od przeciążenia, gdy ostatni uciekinierzy są spisywani na złom. Zerkając do tyłu, pan Nandha zauważa niesmak na twarzy Vika, mocującego się z wielkim, uniwersalnym karabinem szturmowym. Sam chciałeś, myśli pan Nandha. Akcja bezpośrednia. Broń i sprzęt.

Deszcz spada jasnymi strugami w blasku reflektorów tilt-jeta. Podmucha silników i coraz silniejszy wiatr rozwiewają krople w świetlistą mgiełkę.

- Coś tu jest nie tak - mówi cicho pan Nandha i wtedy na Varanasi spada monsun. Pan Nandha w jednej chwili przemaka do nitki. Gołębioszary garnitur oblepia mu skórę. Oślepiiony, próbuje otrzeć oczy z deszczu. Indra, niepokonany przez deszcz, dalej góruje nad pięcioletnim Kashi pośród ulewy i piorunów.

Sowarowie spadają przez dach na biurka i szafki z aktami, urwane sufitowe wentylatory, przewracając gabloty, filizanki po ćaju i dystrybutory wody. Z wymierzoną bronią szatkują pozbawione ścian biuro promieniami nocnych latarek. W deszczu wszystkie sprzęty wydają się smolście czarne. Woda leje się kaskadami przez wybite w dachu dziury. Subadar-major sygnalizuje swoim żołnierzom, że mają zabezpieczać dowody. Gdy wynoszą spod deszczu kostki procesorów i stosy papierów, wywołuje laryngofonem pana Nandhę. Kolejna mudra i jej sowarowie rozchodzą się, w pełnym wspomaganym sensorium, szukając śladów aeai. Błyskawica upiornie oświetla jej twarz. Słyszy, jak regularni policyjni dzawani zdobywają piętra od dołu. Gestem rozkazuje swoim ludziom rozproszyć się i zabezpieczyć wszystko. Nic tu nie ma. Wszystkie mieszkające tutaj duchy

dawno uciekły.

Pan Nandha sygnalizuje ekipie, że ma podejść.

- Co jest nie tak? - pyta Vik. Mokre włosy przylegają do czaszki, z nosa kapie deszcz, workowate ubranie ocieka wodą ze wszystkich fałd. Unosi wzrok ku Indrze, wysoko nad chaotycznym krajobrazem dachów Kashi.

- To wszystko zmyłka. - Pan Nandha kopie zwinięte truchło robota naprawczego. - To nie jest Trzecia Generacja, która dzieli się na mniejsze aeai i ucieka. To jest specjalnie. Chcą, żebyśmy tu wszystko zniszczyli. - Woła do rękawiczki-palmera: - Do wszystkich jednostek! Przerwać ogień! Nie atakować!

Lecz dwie grupy na północy i zachodzie są zbyt zajęte pogonią za robotami-małpami przez bele jedwabiu na sari i wieszaki mundurków dla uczennic, podczas gdy sklepikarze wyrzucają ręce w głośnych lamentach - impulsy elektromagnetyczne kasują im pamięci w kasach. Mundury dżawanów barwią się na kolor sari, gdy tak biegną, pokrzykując za skaczącymi, odbijającymi się maszynami przez magazyny, mijając chowających się w drzwiach ćowkidarów z rękoma na karku, w górę, w górę po betonowych schodach, aż ostatnie z robotów padną od strzałów sowarów. Jak polowanie na kaczki za czasów Radżu. Momentami blask indukowanych ładunków elektrycznych przyćmiewa błyskawice.

Pan Nandha wchodzi do zniszczonego biura. Patrzy na koliste wodospady lejące się na tanią wykładzinę. Patrzy na dymiące roboty, porozbijane monitory i biurka. Sznurowe usta w zdenerwowaniu.

- Kto tu dowodzi?

Hełm pani subadar-major otwiera się i chowa w kapturze polowego munduru.

- Subadar-major Kaur, sir.

- Pani subadar-major, to miejsce przestępstwa, my tu prowadzimy śledztwo.

Głosy, tupot stóp za drzwiami. Sowarowie zatrzymują drobnego, ale ewidentnie bardzo energicznego Bengalczyka, eleganckiego jak gwarek w niewytłumaczalnie suchym, czarnym garniturze.

- Chcę rozmawiać z...

- Wpuśćcie go - rozkazuje pan Nandha.

Biuro oświetlają snopy światła przedostające się przez ociekające wodą otwory w suficie. Wstrząśnięty Bengalczyk popatruje na stojących pod ścianami żołnierzy.

- Co to wszystko ma znaczyć? - pyta.

- Kim pan jest, sir? - odpowiada pytaniem pan Nandha, boleśnie świadomy własnego przemoczonego garnituru.

- Chakraborty, jestem radcą prawnym w tej firmie.

Pan Nandha unosi lewą dłoń. Rysunek w jej wnętrzu przedstawia otwartą dłoń, symbol Ministerstwa. Dłoń w dłoni.

- Prowadzę śledztwo w sprawie nielegalnego udzielania schronienia sztucznej inteligencji trzeciej generacji, wbrew rozdziałowi dwudziestemu siódmemu Międzynarodowego Traktatu z Limy - dodaje.

Bengalczyk mruga.

- Błazen.

- Sir, czy to siedziba firmy Odeco Incorporated?

- Tak.

- Proszę przeczytać ten nakaz.

Sowarowie uruchomili już generator i rozciągnęli po biurze przypinane lampki.

Chakraborty przesuwa dłoń pana Nandhy pod światło najbliższej z nich.

- Jak rozumiem, tak zwany, nieoficjalnie, nakaz ekskomuniki.

- Prosto z gabinetu samego ministra sprawiedliwości.

- Złożę oficjalną apelację i cywilny pozew o odszkodowanie.

- Oczywiście, sir. Inaczej byłoby nieprofesjonalnie. A teraz proszę uważać: moi agenci mają tu robotę do wykonania, i wszyscy tutaj poruszają się z odbezpieczoną bronią.

Sowarowie-inżynierowie zakładają na dziury w suficie wodoszczelne plomby. Dżawanowie podciągają do procesorów kable zasilające; Vik już siedzi za terminalami, jego własna skrzynka awatarów jest podłączona do macierzy.

- Nic tu nie ma.

- Pokaż.

Pan Nandha czuje, że Chakraborty zerka mu zza ramienia, uśmiechając się złośliwie, gdy nachyliła się nad Vikiem skulonym przed rozwijanym ekranem. Vik przewija jeden zapis za drugim.

- Jeśli nawet była tu jakaś Trójka, to dawno uciekła. Ale czekaj, zobacz no! Nasz przyjaciel,

Vishram Ray!

- Sir - odzywa się Madhvi Prasad zza swojego ekranu.

Przysuwa dwa biurowe krzesła z połamanymi oparciami. Pan Nandha siada obok niej. Skarpetki poskrzypują mu w butach, krzywi się na to upokorzenie. Źle jest prowadzić najważniejsze śledztwo w twojej karierze w skrzypiących, bawełnianych skarpetkach. Jeszcze gorzej zostać nazwanym błaznem przez bengalskiego prawnika-gogusia. Ale najgorzej usłyszeć oskarżenie, że w ogóle nie jest się mężczyzną, lecz hidżrą bez jaj, we własnej kuchni, pod własnym dachem, z ust własnej teściowej, pomarszczonej wdowy ze wsi. Pan Nandha odpycha od siebie to upokorzenie. Tańczący w deszczu nadzy sadhu znoszą więcej za mniej.

- Co my tu mamy? - pyta.

Prasad odwraca ekran ku niemu.

Jest słoneczny ranek na nowym ghacie w Patnie. Na obrzeżach kadru tłoczą się promy i wodoloty, w tle kłębią się biznesmeni i robotnicy; za nimi we wschodnim słońcu połyskują wieże nowej dzielnicy biurowej. Na pierwszym planie stoją trzy uśmiechnięte osoby. Jedna to Jean-Yves Trudeau, druga - jego żona, Anjali. Obejmują trzecią osobę, stojącą między nimi. Siedemnasto- czy osiemnastoletnią dziewczynę, o jasnej karnacji jak w najlepszych ogłoszeniach matrymonialnych. Jest od nich o głowę niższa, ale uśmiecha się szeroko i promiennie, mimo ogolonej czaszki, na której pan Nandha zauważa blizny wzdłuż linii włosów, ślad po niedawnej operacji.

Nachyla się bardziej. Jego oddech, schłodzony deszczem, zamienia się w parę w błękitnym świetle przypiętych do ścian świetlówek.

- No i właśnie: chcieli, żebyśmy to zniszczyli. - Dotyka palcem twarzy na ekranie. - Bo ona nadal żyje.

ROZDZIAŁ 39 KUNDA KHADAR

Dziesięć dni powolne pociski pokonywały płaską, spaloną słońcem równinę zachodniego Bharatu. Kiedy awadhski garnizon na Kunda Khadar uciekał przed dzielnymi bharackimi dżawanami, jednostki artylerii wzdłuż ośmiokilometrowego frontu wypuściły z przysadzistych walcowatych pojemników od dwustu do trzystu autonomicznych robotów. Każdy niesie ładunek dziesięciu kilogramów silnego materiału wybuchowego i jest wielkości i kształtu małego, napakowanego mięśniami kota. Dnie przesypiają w płytkich norach albo zagrzebane w przyzmach obornika. Gdy nadchodzi noc, wysuwają czułki do księżyca, machają składanymi, metalowymi nóżkami i pędzą przez pola i suche koryta wiejskich rowów melioracyjnych, czujne jak koty, jak one płochliwe, orientując się według światła księżyca i cichutkich popiskiwań GPS-u. Płoszą je światła ciężarówek, zamierają, ufając swemu prostemu kameleonowemu kamuflażowi. Nikt nic nie widzi, nikt nic nie słyszy, choć przemykają o centymetry od mechanika naprawiającego ciągniki, śpiącego na swoim ćarpoju. Kiedy pierwszy bramin wita słońce nad brzegiem świętej Gangi, już zdążyły zaryć się w piasku, uwiesić na krokwiach zadymionej i ciemnej świątyni, albo schować nad dnie wiejskiej cysterny z wodą. To aeai poziomu 1.4, ale ich ogniwa paliwowe chodzą na spowalnianej wolframem reakcji metanowej. Zbiegają się w jednym punkcie Bharatu, poruszając się od krowiego pierdnięcia do krowiego pierdnięcia.

W późny lipcowy wieczór powolne pociski docierają do celu. Przez ostatnie dwie godziny szły przez miasto, biegały po podmiejskich ogrodowych murkach, strasząc polujące koty, przeskakiwały z balkonu na balkon, by w ciszy i mroku biec przez ulicę, zbierały się po dwa i trzy, po dziesięć i dwanaście, wreszcie po sto - rój plastikowych łapek i elastycznych anten-czułków - obszczekiwane przez bezdomne psy. Ale kto by się tam przejmował ujadaniem bezdomnych psów.

O dziesiątej trzydzieści dwieście dwadzieścia powolnych pocisków infiltruje wszystkie kluczowe systemy głównej rozdzielni energetycznej Ray Power w Allahabadzie i jednocześnie detonuje. Prądu nie ma w całym zachodnim Bharacie, od Allahabadu do granicy. Milkną linie komunikacyjne. Centra dowodzenia są sparaliżowane, walczą z uruchomieniem awaryjnego zasilania. Ślepną naziemne stacje satelitarne. Obrona powietrzna jedzie na rezerwie. Przywrócenie mocy po awarii trwa trzy minuty. Podniesienie łącz komunikacyjnych i centrów dowodzenia kolejne dwie. I jeszcze trzy, zanim Bharat w pełni odzyska zdolność obronną.

W ciągu tych ośmiu minut sto pięćdziesiąt helikopterów transportowych Awadhu, wspieranych przez aeailoty z uzbrojeniem powietrze-ziemia, wychodzi z kamuflażu i wyladowuje piechotę i lekkie jednostki zmechanizowane pięć kilometrów za bharacką granicą. Gdy transportery opancerzone toczą się przez zapyłone przygraniczne wioski, a załogi moździerzy zajmują wysunięte pozycje, ciężkie jednostki pancerne z lotniczą osłoną ruszają z miejsc postoju ku północnemu skrajowi tamy. Jednocześnie dwie dywizje pancerne przebijają się przez słabo bronioną granicę Bharatu w Rewie i prą drogą na Jabalpur do Allahabadu.

Zanim włączy się zasilanie rezerwowe i wystartują systemy dowodzenia i wywiadu, bharacka artyleria rozlokowana na zachodzie kraju patrzy w lufy ciężkich czołgów Franks, roje robotów-szczurów rozbrajają obronne pola minowe, a na tamę Kunda Khadar lecą z upiornym świstem pociski z móżdżerzy. Generał Jha, okrążony, odcięty od dowództwa i wystawiony na ataki z powietrza, gdyż całe wsparcie broni Allahabadu, poddaje się. Broń składa pięć tysięcy żołnierzy. To najbardziej triumfalne osiem minut w historii awadhskiej wojskowości. I najbardziej haniebne w historii Bharatu.

O dziesiątej czterdzieści udaje się z powrotem uruchomić sieć komórkową. W ciągu dziesięciu minut w całym sieczonym deszczem Varanasi rozdzwiają się palmery.

ROZDZIAŁ 40 VISHRAM

W Shanker Mahal służba ogrodowa pod wodzą starego Rama Dasa wnosi ogrodowe meble pod osłonę przestronnych werand. Vishram idzie wzdłuż przecinającego trawnik szeregu przedmiotów z białego żeliwa i wikliny. Matka siedzi samotnie w samym końcu ogrodu, drobna, blada kobieta przy małym białym stoliku odcinającym się jaskrawo na tle spiętrzonej czerni monsunu. Zupełnie jak brytyjska utytułowana wdowa: zejdzie ze swej reduty dopiero, gdy nad nią rozpęta się burza. Vishram od zawsze pamięta ją właśnie taką, na trawnikach, przy białych stołach, pod gronami parasoli, ze swymi damami i ćajem na srebrnej tacy. Zawsze najbardziej lubił ten dom w czasie deszczu, kiedy jakby unosił się na wodzie pośród zieleni i czarnych chmur. Wtedy do życia powracały odwodnione duchy: pokój rozbrzmiewał ich poskrzypywaniami i trzaskami. W tę porę Shanker Mahal pachnie starym drewnem, wilgocią i wzrostem, całkiem jakby roślinne ornamenty na suficie jego sypialni mogły nagle wypuścić pączki i kwiaty. Splecione postacie na kolumnach i wspornikach relaksują się w deszczu.

- Vishram, ptaszyno moja. Świetnie na tobie leży ten garnitur.

Vishram zgięciem palca każe przynieść z powrotem ostatnie z ogrodowych krzeseł.

Za drzewami asioka połyskuje błyskawica. Jeszcze dalej mrok tną światła samochodów.

- Mamadzi. - Vishram się kłania. - Nie będę ci zawracał głowy. Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest.

- Kto, skarbie?

- A jak myślisz?

- Twój ojciec to człowiek traktujący życie duchowe poważnie. Skoro wybrał samotną drogę sadhu, trzeba to uszanować. Czego od niego chcesz?

- Niczego - odpowiada Vishram. Wydaje mu się, że dostrzega u matki skrywany, chytry uśmiech, gdy unosi do ust filiżankę darjeeling. Elektryczny, gorący wiatr targa rabatkami; pawie drą się w panice. - Chcę mu powiedzieć o pewnej mojej decyzji.

- W biznesie? Wiesz, że ja nigdy nie miałam głowy do biznesu.

- Oj, mamó - mówi Vishram.

Przez całe życie podtrzymywała to kłamstewko: prosta Mamata nie zna się na biznesie, nie chce mieć z nim nic wspólnego; interesy, pieniądze i władza to męskie sprawy. Jednakże żadna decyzja nie zapadła, nie poczyniono żadnej inwestycji czy zakupu, nie zatwierdzono kierunku badań bez

obecności Mamaty Ray, mówiącej, że ona się na tym nie zna, ale co by się stało, gdyby, i co będzie, jeżeli, i czy na dłuższą metę nie to i tamto? Vishram nie wątpił, że jej niepewne pytania leżą u podstaw szekspirowskiego podziału Ray Power, że to jej głos udzielił Ranjitowi Rayowi błogosławieństwa na odejście z doczesnego świata.

Nalewa sobie filiżankę aromatycznej herbaty darjeeling. Uważa ten smak za przerafinowany, ale przynajmniej ma co zrobić z rękami. Pierwsza zasada satyryka: zawsze miej co zrobić z rękami.

- Wykupuję Ramesha. Zwołałem walne.

- Rozmawiałeś z panem Chakrabortym.

Oczy matki są jak ołowiane soczewki, odbicie pochmurnego, szarego nieba.

- Wiem, co stoi za Odeco.

- To chcesz powiedzieć ojcu?

- Nie. Chcę mu powiedzieć, że mam tu bardzo ograniczony wybór i staram się wybrać to, co według mnie będzie najlepsze.

Mamata Ray odstawia filiżankę na stolik i przekręca ją na spodku, tak by ucho było skierowane dokładnie na lewo. Ogrodnicy i pomocnicy podchodzą bliżej, spodziewając się zaraz wejść do akcji. Nasilający się wiatr szarpie ich turbany i frędzle.

- Ja byłem przeciwko, wiesz? Decyzji podziału firmy. Może cię to zdziwi. Byłam przeciwna, z uwagi na ciebie, Vishram. Sądziłam, że zmarnujesz firmę, roztrwonisz ją. Pod tym względem nie różnię się od Govinda. Tylko twój ojciec w ciebie wierzył. Zawsze się interesował, co robisz w tej okropnej Szkocji. I bardzo cię szanował, że masz odwagę mieć własne przekonania. Zawsze je miałeś, Vishram. A ja... mówiłam, że nie znam się na biznesie, ale może to na ludziach się nie znam. Na własnych synach. Może jestem za stara, żeby zmieniać zdanie.

Mamata Ray zadziera głowę. Vishram czuje na twarzy deszcz. Odstawia filiżankę - herbata jest zimna i gorzka - i mali zabierają najpierw ją, a potem stół. Deszcz spada ciężko na liście bugenwilli.

- Twój ojciec odprawia pudzię w świątyni Kali w Mirzapurze! - woła Mamata Ray z końca procesji ogrodowych mebli. Leje potężnie, ale nie aż tak głośno, by przytłumić odgłos silników lądującego samolotu. - Odprawia pudzię na koniec wieku. Stopa Śiwy już opada. Zaczyna się taniec. Oddano nas na pastwę bogini zniszczenia.

Gdy docierają pod osłonę wschodniej werandy, chmury się rozpękają. Grzmi, a nad oczkiem wodnym pojawia się tilt-jet. Świątełka pozycyjne rozpraszają siekące krople w kurtynę, podczas gdy silniki obracają się do lądowania, a koła opadają na wypielęgnowany przez Rama Dasa trawnik. Ogrodnicy zasłaniają oczy.

- W takim razie miałaś rację, mamó. Zawsze byłem gościem, który lubi zabłysnąć - mówi Vishram do matki i puszcza się biegiem przez deszcz; z postawionymi kłapami eleganckiego garnituru

pędzi do swojego pojazdu.

Marianna Fusco macha podekscytowana z tylnego siedzenia.

Stary Shastri prowadzi Vishrama i Mariannę Fusco po stromych tarasowych naroślach Mirzapuru. Uliczki są tu wąskie, ciemne, pachną szczynami i starym kadzidłem. Dzieciaki zbierają się z tyłu za ich skromnym pochodem idącym od betonowych ghatów. Vishram ogląda się na tilt-jeta na nadrzecznej plaży. Pilot zdjął hełm i siedzi na piasku w pełnej szacunku odległości od zbiorników paliwa, paląc papierosa. Monsun, który rozszalał się nad Varanasi, nie dotarł do Mirzapuru, o sześćdziesiąt kilometrów na zachód. Zaułki skupiają gorąco w coś niemal namacalnego; dzinny duszącego, cuchnącego powietrza kręcą wirami śmieci. Marianna Fusco wchodzi miarowo, pozwalając spojrzeniom młodych i starych mężczyzn ześlizgiwać się po peryferyjnym polu widzenia.

Świątynia Kali to marmurowy postument zatłoczony ze wszystkich stron sklepami sprzedającymi wota, gadzry i symbole bogini drukowane na zamówienie z potężnej bazy obrazów. W Mirzapurze Kali to podstawowy biznes: to podupadające prowincjonalne miasteczko przegapiło rewolucję informacyjną i wciąż zachodzi w głowę, co się stało. Wydeptane ścieżki prowadzą na białe od wody marmurowe stopnie i nawet o tak późnej porze jeszcze kłębi się na nich tłum wiernych. Dzwony brzęczą nieustannie. Metalowe przegrody dla bydła zaganiają wiernych do wnętrza garbagrihy. Po schodach tam i z powrotem wałęsa się krowa, wór żółtej skóry pełen luźno latających kości. Między rogami ktoś maznął ją czerwoną i żółtą tikką.

- Ja zostaję - mówi Marianna Fusco. - Ktoś musi popilnować butów.

Vishram rozumie obawę w jej głosie. To miejsce spoza spektrum jej doświadczenia. Niewytłumaczalna kwintesencja hinduskości. To miejsce oddawania czci i okazywania miłości groźnemu wcieleniu pierwotnej kobiecości - Czarnej Kali z wieńcem czaszek i strasznym, szybkim mieczem - nie czyni ustępstw wobec innych rodzajów wrażliwości, lecz ucieleśnia wszelkie sprzeczności i przeciwieństwa Bharatu. Nawet Vishrama ściska w dołku uczucie obcości, gdy pochyla się, przechodząc pod belką ozdobioną grającymi Mahawidja, dziesięcioma mądrościami emanującymi z joni czarnej bogini.

Shastri zostaje z Marianną Fusco. Vishrama zaś pochłania wijący się w labiryncie strumień pielgrzymów. Świątynia jest niska, zadymiona, klaustrofobiczna. Vishram kłania się sadhu, za garstkę rupii pozwala sobie maznąć tilakę. Garbagriha jest maleńka, wąska jak trumna, na końcu której czarny posąg o wylupiastych oczach tonie w wieńcach z aksamitek. Od strony tłumu cisnącego się do sanktuarium wąskie drzwi są niemal nie do przejścia - ludzie wciskają ręce przez joniczną szczelinę, by zapalić kadzidło, złożyć libację z mleka, krwi, barwionego na czerwono ghi. Spragniona Kali domaga się siedmiu litrów krwi dziennie. W wyrafinowanych metropoliach, jak Mirzapur, zapewniają ją teraz kozy. Oczy Vishrama spotykają wzrok bogini, która widzi przeszłość terażniejszość przyszłość i przenika wszelkie kłamstwa. Darśan. Strumień ludzi kręci nim dalej. Świątynią wstrząsa grom. Monsun dotarł na zachód. Skwar jest nie do wytrzymania. Dzwonią dzwony. Wierni śpiewają hymny.

Vishram znajduje ojca w małej bocznej kapliczce bez okien. Prawie potyka się o niego w ciemności. Wyciąga rękę, żeby się podeprzeć, cofa ją z framugi, mokrą. Krew. Podłoga jest grubo zasłana popiołem. Gdy wzrok przyzwyczaja mu się do ciemności, pośrodku pomieszczenia dostrzega prostokątny dół. Smasana Kali to również bogini ghatów. To kaplica do kremacji. Ranjit Ray siedzi po turecku w popiele. Ma na sobie dhoti sadhu, chustę i czerwoną tilakę Kali. Jego skóra jest szara od wibhuti; święty biały popiół pokrywa mu pasmami włosy i zarost. Dla Vishrama to nie ojciec. Takich widuje się pod ulicznymi kapliczkami albo leżących nago w drzwiach świątyń - to obcy z innego świata.

- Tato?

Ranjit Ray kiwa głową.

- Vishram. Siadaj. Siadaj.

Vishram rozgląda się, ale wokół jest tylko popiół. To zapewne dość przyziemne, martwić się o własny garnitur. Ale z kolei on jest na tyle przyziemny, żeby wiedzieć, że może sobie kupić nowy. Siada obok ojca. Świątynią wstrząsa grzmot. Brzmi dzwon, wierni się modlą.

- Tato, co ty tu robisz?

- Pudzię za koniec epoki.

- Co za okropne miejsce.

- To celowo. Lecz oko wiary widzi inaczej i mnie nie wydaje się takie straszne. Jest odpowiednie. W sam raz.

- Zniszczenie, tato?

- Przemiana. Śmierć i ponowne narodzenie. Koło się obraca.

- Wykupuję Ramesha - oświadczam Vishram, siedząc boso w prochach zmarłych. - Będę kontrolować dwie trzecie firmy i zablokuję Govinda i jego zachodnich partnerów. Nie pytam cię. Po prostu mówię.

Widzi w oczach ojca przeblysłk dawnej doczesności.

- Na pewno domyślasz się, skąd mam pieniądze.

- Mój serdeczny przyjaciel Chakraborty.

- Wiesz kto - czy raczej co - za nim stoi?

- Wiem.

- Od jak dawna?

- Od początku. Odeco skontaktowało się ze mną, kiedy uruchamialiśmy projekt punktu zerowego. Chakraborty był nadzwyczaj bezpośredni.

- To było cholernie ryzykowne. Gdyby Psy Kryszy się dowiedziały... Ray Power, energia z ludzką twarzą, staramy się nie niszczyć środowiska, i tak dalej?

- Nie widzę żadnej sprzeczności. To żywe istoty, rozumne istoty. Jesteśmy im winni opiekę. Niektórzy z bankierów gameen...

- Istoty. Powiedziałeś „istoty”.

- Tak, dokładnie. Wygląda, że są to trzy aeai trzeciej generacji, ale oczywiście ich subiektywne światy niekoniecznie pokrywają się ze sobą, choć pewne podprogramy mają wspólne. Odeco, jak sądzę, jest wspólnym kanałem dla co najmniej dwóch.

- Chakraborty nazwał to aeai Odeco Brahmą.

Ranjit Ray uśmiecha się lekko, porozumiewawczo.

- Spotkałeś się kiedyś z Brahmą?

- Vishram, a co by przyszło na takie spotkanie? Spotykałem się z facetami w garniturach, gadałem z twarzami przez telefon. Może były Brahmą, a może jego wcieleniami. W ogóle ma jakiś sens mówienie o „spotkaniu” z taką rozproszoną istotą?

- Powiedzieli kiedyś, czemu chcą finansować projekt punktu zerowego?

- Nie zrozumiesz tego. Ja tego nie rozumiem.

Błyskawica rozświetla na moment wnętrze sali kremacyjnej. Grzmot nadchodzi, ciężki i potężny; popiołem miotają dziwne wichry.

- Powiedz mi.

Dzwoni palmer Vishrama. Krzywi się ze złości. Wierni łypią groźnie na taki bluźnierczy wtřęć w ich sanctum. Wysoki priorytet. Vishram przełącza się na sam głos. Gdy Marianna Fusco kończy mówić, wsuwa urzędzonko do wewnętrznej kieszeni.

- Tato, musimy stąd iść. Ranjit Ray marszczy czoło.

- Nie rozumiem, co mówisz.

- Musimy natychmiast stąd uciekać. Tu nie jest bezpiecznie. Awadh opanował tamę Kunda Khadar. Nasi żołnierze się poddali. Nic już nie dzieli ich od Allahabadu. Mogą dotrzeć tam w dwadzieścia cztery godziny. Tato, jedziesz ze mną. Mam wolne miejsca w samolocie. Koniec tego wszystkiego, i to już. Jesteś zbyt ważnym człowiekiem z międzynarodową reputacją.

Vishram wstaje, wyciąga rękę do ojca.

- Nie, nigdzie nie idę, a mój własny syn nie będzie mi rozkazywał, jak jakiejś matce-wdowie. Podjąłem już decyzję, odszedłem i nigdzie nie wracam. Nie mogę wrócić; tamten Ranjit Ray już nie istnieje.

Zirytowany Vishram kręci głową.

- Tato.

- Nie. Nic mi się nie stanie. Ja nie mieszkam w tym napadniętym Bharacie, to inne państwo. Nie mogą mnie dotknąć. Idź już, idź, idź. - Odpycha jego kolana. - Masz dużo spraw, idź już. Nie może ci się nic stać. Będę się za ciebie modlić, będziesz bezpieczny. No, idź. - Ranjit Ray zamyka oczy.

- Wrócę...

- Nie znajdziesz mnie. Nie życzę sobie. Sam wiesz, co masz robić. - Gdy Vishram pochyła się pod okrwawioną belką, ojciec woła za nim: - Ale już miałem ci powiedzieć! Odeco, Brahma, aeai... czego ona szuka w naszym punkcie zerowym. Wyjścia. Gdzieś tam, we wszystkich tych splotach z teorii M-gwiazdy istnieje wszechświat, gdzie Brahma i podobne mu istoty mogą sobie żyć, swobodnie i bezpiecznie, i nigdy ich nie znajdziemy. I dlatego właśnie siedzę w tej świątyni: chcę zobaczyć, jaką minę będzie miała Kali, gdy skończy się jej epoka.

Gdy Vishram opuszcza świątynię, deszcz pada już nieprzerwanie. Marmur jest śliski od wody i popiołu. Wąskie uliczki wokół świątyni wciąż są pełne ludzi, ale klimat się zmienił. To już nie religijny zapał ani wspólna radość z deszczu padającego na wyschnięte miasto. Wieść o upokorzeniu pod Kunda Khadar się rozniosła, gali roją się od braminów, wdów w bieli, wyznawców Kali w czerwieni i młodych gniewnych w markowych dzinsach i bardzo świeżych koszulach. Zerkają w ekrany telewizyjne, wydzierają wydruki z drukarek, albo zbierają się wokół odbiorników radiowych w riksach czy chłopaczków z kanałami informacyjnymi na palmerach. Zgiełk na ulicach się wzmacnia, w miarę jak informacja przeobraża się w plotkę, w dezinformację, w slogany. Dzielni bharaccy dżawani są pokonani. Chwała Bharatu zwyciężona. Dywizje Awadhu jadą już obwodnicą Allahabadu. Weszli na świętą ziemię. Kto nas ocali? Kto nas pomści? Jivanjee Jivanjee Jivanjee! Karsewaccy wojownicy maszerują, by odrzucić najeźdźców falą własnej krwi. Shivaji zmyje hańbę Ranów.

- Gdzie twój ojciec?

Gdy Vishram wkłada buty, wokół niego lawirują riksarze.

- On nie jedzie ze mną.

- Tak myślałem, że nie pojedzie, panie Ray. - Dziwnie brzmią te słowa w ustach Shastriego: „Panie Ray”.

- No to może ja zaproponuję, żebyśmy stąd zjeżdżali, bo czuję się tu bardzo biała, bardzo zachodnia i bardzo kobieca - mówi Marianna Fusco. Strone alejki są zdradziecko śliskie od spływającej wody. - Co to jest, że u was wszystko zawsze kończy się zamieszkami? - pyta.

Klimat ulicy jest ostry, nieprzyjemny, zaraźliwy. Między nadwieszającymi się nad zaułkiem budynkami Vishram widzi już tilt-jeta na plaży. A z tyłu - katastrofa; zgiełk głosów wzmaga się aż po panikę. Odwracając się, widzi blaszany wózek z samosami przewrócony na bok, ładunek pikantnych trójkącików rozsypany po całym gali, gorący olej ściekający po wąskich schodkach. Muśnięcie zapalonego gazowego palnika; ogień wypełnia całą uliczkę. Krzyki, wrzaski.

- No, chodź. - Vishram ujmując Mariannę pod łokieć i pospiesznie sprowadza po schodkach.

Gdy nurkują na siedzenia za pilotem, ten już grzeje silniki. Shastri cofa się z ich strumienia, unosząc ręce w błogosławieństwie. Tilt-jet unosi się w ulewie, kiedy po schodkach leżą się już ludzie, jak pędzące ku wodzie szczury, wymachując lathi, podnosząc kije i kamienie, żeby rzucać w obcego, w najeźdźcę. Na szczęście pilot jest już za wysoko. Odwraca samolot, Vishram widzi pożar jako plamę żaru, przelewającą się z budynku na budynek jak ciecz, niezrażoną padającym deszczem.

- Epoka Kali - szepcze.

Najgorszy wynik rzutu kośćmi, gdy pleni się ludzka niezgoda i zepsucie, gdy niebo się zamyka, gdy uszy bogów są głuche, entropia - maksymalna i nie ma żadnej wartwej wspomnienia nadziei. Gdy ziemię niszczy ogień i woda, myśli Vishram, kiedy tilt-jet przechodzi do lotu poziomego, kiedy czas się zatrzymuje, a wszechświat rodzi się na nowo.

ROZDZIAŁ 41 LISA

Przed podcieniem pada deszcz, jak kurtyna, a Lisa Durnau pije właśnie trzecią szklaneczkę ginu. Siedzi na wiklinowym fotelu na marmurowym krużganku. Oprócz niej jest tu tylko dwóch mężczyzn w tanich garniturach i sandałach. Popijają herbatę. Ze swojego miejsca obejmuje wzrokiem główną bramę i recepcję. Łoskot deszczu uderzającego w zmęczony kamień jest niewiarygodnie głośny. Niezła burza, nawet jak na standardy amerykańskiego Środkowego Wschodu. Błyskawice i w ogóle.

Znowu pusta. Kiwa na kelnera. Wszyscy są młodymi, nieśmiałymi Nepalczykami, przebranymi za Radżputów, w bharackim Varanasi. Nie ogarnia tego. Nie ogarnia większości rzeczy tu, na czarnej północy. Już zaczynała pojmować to piękne, cywilizowane południe z jego łagodną anarchią, kiedy wylądowała pośrodku kraju i miasta, gdzie ludzie wyglądają i ubierają się tak samo, lecz wszystko jest pod każdym względem inne.

Taksówkarz potraktował słowa „Amerykański konsul” jako zaproszenie, by ją naciągnąć - obwiózł ją wokół ronda z wielką figurą Ganeśi pod śmiesznym kopulastym pawilonikiem i billboardem reklamującym *Podniecająco żebrowane! Sztruksowe spodnie!*

- Rondo Sarkhand! - woła taksówkarz. - Niebezpieczne płać ekstra. Płać ekstra.

Na każdej płaskiej powierzchni wymalowano sprejem swastyki. Lisa nie pamięta, w którą stronę jest ta słuszna, a w którą faszystowska, ale niepokój budzą obie.

Urzędnik konsularny Rhodes przejrzał jej akredytację.

- Do czego to właściwie panią uprawnia?

- Mam znaleźć pewnego człowieka.

- To nie jest dobry czas. Ambasada zaleca wyjazd wszystkim obywatelom USA. Nie możemy zagwarantować pani bezpieczeństwa. Tu mierzą w interesy Ameryki. Spalili Burger Kinga.

- Ekstra grillowane nad ogniem.

Wymknął mu się ledwo dostrzegalny, nerwowy uśmieszek. Uniósł brwi na widok Tabliczki. Lisa Durnau sama by je chętnie uniosła. Elegancko podał jej z powrotem dokumenty.

- Życzę powodzenia w pani misji, obojętne, co to za misja. Udzielimy wszelkiej możliwej pomocy. I cokolwiek by mówiono, to piękne miasto.

Lecz Lisie Varanasi, mimo neonów, wieżowców i podświetlanych śikar, wydało się miastem popiołu. Prochy na ulicach, w kapliczkach i świątyniach, na czołach świętych, na opływowych

spojlerach i dachach maruti i fatfatów. Niebo barwy popiołu, ciemne i przynoszące falę miękkiej sadzy. Nawet z klimatyzacji w hotelu czuła osiadający jej na skórze tłusty, węglowodorowy popiół. Hotel Lulla był pięknym, starym muzułmańskim domem, z marmurowymi podłogami, balkonikami i schodami w niespodziewanych miejscach, ale w pokoju było brudnawo. A w barku pusto. Przez sedes przeciągnięty pasek papierowego ręcznika. Na wszystkich piętrach i balkonach było pełno ekip reporterskich. Przez wzgląd na dawne czasy zajrzała pod prysznic. W książce rezerwacji było oprócz Lulla jeszcze jedno nazwisko. Ajmer Rao. Tabliczka ściągnęła kadr z kamery w hallu, o kiepskiej rozdzielczości - ona. Laska z kosmosu. Niższa niż Lisa sobie wyobrażała. Szeroka w tyłku, ale może to takie ujęcie. Tylko co ona ma na czole?

Ajmer Rao. Pierwsze, co przyszło jej do głowy: ucieszyła się, że Lull z nią nie śpi. A oto i on sam. Szczuplejszy. Łagodniejsza twarz. Okropne, okropne ciuchy. Powiększająca się łysina, dla równowagi z tyłu dłuższe włosy. Pod każdym względem jakby wyłonił się z wirujących pikseli Tabernakulum.

Lisa patrzy na deszcz i czuje, że jest wściekła, że aż kipi od gniewu. Całe życie walczyła z ojcowską, kalwińską doktryną predestynacji, a teraz patrzy, jak na Varanasi spada monsun, i jest to wynik karmicznych sił liczących sobie siedem miliardów lat. Ona, Lull, ta dziewczyna z szerokim tyłkiem, wszystko to gra według scenariusza równie predestynacyjnego i fatalistycznego, jak odcinki *Miasta i wsi*. Jest zła, bo uświadamia sobie, że nigdy nie uciekła. Skomplikowane zachowania Alterre, jej przestrzeni umysłów Calabiego-Yaua, rozrabiających na monitorze automatów komórkowych, powstawały z prostych, nieugiętych zasad. Tak prostych, że możesz nigdy nie zauważyć, że tobą rządzą.

Wpalcowuje się do Alterre. Dla zabawy wprowadza swoje aktualne współrzędne GPS, skorygowane o dryf kontynentalny, włącza pełną propriocepcję i wkracza do piekła. Stoi na pobrużdżonej połaci czarnej lawy pożyłkowanej czerwonymi, żarzącymi się pęknięciami. Niebo skrzepło w dym rozjaśniany błyskawicami, spada na nią deszcz popiołu. Prawie dusi się siarką i dymem, pstryknięciem wyłącza wrażenia węchowe. Równina unosi się łagodnie ku szeregowi niskich stożków wypływających grube, bystre strumienie magmy. Zza horyzontu nadlatują snopy iskier. Sięga wzrokiem na dwadzieścia kilometrów w każdą stronę i nigdzie nie dostrzega choćby odrobiny życia.

Spanikowana Lisa Durnau mruga i przenosi się z powrotem do deszczowego Varanasi. Serce jej wali, w głowie się kręci; całkiem jakby skrócić na skrzyżowaniu ulic i bez ostrzeżenia wpakować się na rumowisko po wieżach WTC. Czuje organiczny szok. Boi się uczynić gest, który przeniósłby ją tam z powrotem. Otwiera Alterre w trybie okienkowym. Komentarz mówi jej, że następuje erupcja Trapów Dekkańskich.

Pół miliona kilometrów sześciennych lawy wylewa się z płaszcza Ziemi w miejscu, gdzie za sześćdziesiąt pięć milionów lat będzie wyspa Reunion. Wulkan Święta Helena, kiedy zatrzęsł całym północno-zachodnim Pacyfikiem, wypuł z siebie jeden skromny kilometr sześcienny. Pół miliona takich świętych Helen. Rozstaw je równomiernie, a zalałyby stany Waszyngton i Oregon dwukilometrową warstwą płynnego bazaltu. Prawdziwe Trapy Dekkańskie tworzyły warstwę dwa kilometry pod środkowozachodnimi Indiami, kiedy ten subkontynent pędził (w geologicznej skali) ku masywowi Azji na czołowe zderzenie, które wypiętrzyło największy łańcuch górski na Ziemi. Uwolnione wtedy CO2 przytłoczyło wszystkie istniejące mechanizmy wiązania węgla i spuściło

kurtynę na koniec okresu kredowego. Życie na ziemi wiele razy stało na skraju przepaści. Alterre nie byłaby alternatywną ewolucją bez wywołujących masowe wymieranie mechanizmów w rodzaju wulkanizmu, wędrowania biegunów, zderzeń z ciałami niebieskimi. Pierwsza liga zabaw w Boga. Nie tym się jednak przeraziła, nie dekańskimi erupcjami. Chodzi o to, że na Ziemi powódź dekańskich bazaltów nigdy nie dotarła na Nizinę Hindustańską. W Alterre Varanasi pokrywa równia rozżarzonego bazaltu.

Wchodzi w tryb boskiego oka. Palec poczucia winy z dzieciństwa grozi jej, gdy koziółkuje wysoko nad Oceanem Indyjskim. Z prawdziwego kosmosu nigdy nie było tak ładnie widać. Europa to łańcuch wysp i półwyspów wzdłuż zachodniej krzywizny planety, Azja - płynąca na północ połać lądu. Północna Azja płonie. Chmury popiołów pokrywają pół kontynentu. Ognie rozświetlają nocną stronę ziemi. Lisa Durnau otwiera okienko z danymi. Wydaje cichy, nieartykułowany krzyk. Wybuchają też Trapy Syberyjskie.

Alterre umiera, uwięziona między pożarem głowy i talii. Dwutlenek tlenu ze skorupy, uwolniony przez pienisty, gazowany bazalt, utworzy wraz z węglem z płonących lasów potworną cieplarnię, podnosząc temperaturę atmosfery i oceanów na tyle, by wywołać eksplozję klatratu metanu: gigantyczne uwolnienie metanu uwięzionego głęboko pod wodą w lodowych klatkach. Oceany spienią się jak upuszczona puszcza gazowanego napoju. Poziom tlenu spadnie, wzrośnie temperatura. Fotosynteza w oceanach ustanie. Morza zmienią się w zbiorniki pełne gnijącego planktonu.

Jedną katastrofę życie może przetrwać. Ziemia przetrwała zderzenie z Chicxulubem i wynikłe z tego dekańskie erupcje po drugiej stronie planety, co kosztowało dwadzieścia pięć procent wszystkich gatunków. Erupcja Trapów Syberyjskich dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu zakończyła eksplozję życia w okresie permu, wybijając dziewięćdziesiąt pięć procent żyjących organizmów. Życie zachwiało się nad otchłanią i wróciło z powrotem. Jednakże dwie erupcje w tym samym czasie oznaczają koniec biologii na Ziemi.

Lisa Durnau patrzy, jak jej świat się rozpada.

To nie jest naturalne. To atak. Thomas Lull wbudował w Alterre sprawny system immunologiczny broniący jej przed nieuniknionymi próbami włamań. Żeby zaatakować od strony aeai zawiadujących systemami geofizycznymi, oceanologicznymi i klimatologicznymi, trzeba mieć dostęp do centralnej bazy. To musi być ktoś z wewnątrz.

Lisa Durnau wyskakuje z Alterre z powrotem na taras haweli w letniej ulewie. Dygocze. Raz w Londynie została napadnięta przy wyjściu ze stacji metra. Było to krótkie, nagłe i niezbyt brutalne, raczej szybkie i konkretne: pieniądze, karty, palmer, buty. Skończyło się, zanim dotarło do jej świadomości. Przeszła przez to z tępym przyzwoleniem, niemal naukową ciekawością. Dopiero potem uderzył strach, dygot, złość, oburzenie na to, co jej zrobiono, i na własną obojętność. Tutaj napadnięto na cały świat.

Zanim pomyśli, już zaczyna łączyć się ze swoim wydziałem. Potem machnięciem ręki przerywa, składa Tabliczkę, wsuwa ją z powrotem do kieszeni. Nie może dać się zdemaskować. Nie wie, co ma robić. I wtem go widzi: Thomas Lull pochyla się nad kontuarem recepcji, prosi o klucz, woda

cieknie mu z przemoczonej hawajskiej koszuli, workowatych szortów i przylizanych włosów, tworząc na białym marmurze rozlewające się kałuże. On jej nie widzi. Dla niego jest po drugiej stronie planety, na wzgórzu w Kansas. Lisa Durnau zaczyna wołać go po nazwisku i wtedy dwaj faceci w tanich garniturach zrywają się i podchodzą do recepcji. Jeden pokazuje Lullovi coś w dłoni. Drugi kładzie mu stanowczo rękę na ramieniu. Lull wygląda na oszołomionego, zdezorientowanego. Potem pierwszy facet otwiera wielki, czarny parasol i we trójkę wychodzą pospiesznie przez nasiąknięty wodą ogród, do bramy, gdzie tymczasem podjechał, rozchlapując wodę, policyjny radiowóz.

ROZDZIAŁ 42 LULL

Gra wygląda tak: zły policjant i zły policjant. Siedzisz w pokoju przesłuchań. Może to być cela, konfesjonał albo sala tortur, liczy się tylko, że nie słyszysz i nie widzisz, co się dzieje na zewnątrz. Wiesz tylko tyle, ile ci powiedzą gliniarze. I masz współnika w identycznym pomieszczeniu. Jesteście bowiem oskarżeni.

No więc trzymają cię w zielonym pokoju przesłuchań, pachnącym grubą warstwą farby i środkiem dezynfekcyjnym. „Widzisz, co za jeden z tego twojego współnika/kumpla/kochanka? Jak tylko puściliśmy taśmę, od razu wszystko wyśpiewał. I ciebie też wsypał”. I teraz musisz zdecydować. Może mówią prawdę. A może mącą ci w głowie, żebyś sam wsypał współnika. Nie wiesz i źli policjanci ci nie powiedzą. Bo są źli. A potem zostawiają cię, żebyś skruszał, nie dając ci nawet policyjnej kawy.

Widzisz to tak. Możesz iść w zaparte i twój współnik/kumpel/kochanek tak samo, i wypuszczają was obu. Brak dowodów. Albo zeznacie obaj i policjanci okazują się wcale nie tacy źli, bo policjant niczego nie cierpi bardziej niż papierkowej roboty, a właśnie uniknęli masy tejże - więc będą domagać się kary w zawieszeniu. Albo możesz wszystkiemu zaprzeczyć, a twój współnik w sąsiedniej celi cię wsypie. On wychodzi, wszystko obciąża ciebie. Jakie jest dla ciebie najlepsze wyjście? Znajdujesz odpowiedź jeszcze zanim kroki oddalą się korytarzem. Walisz w drzwi. „Ej, halo, wracajcie, wszystko wam powiem”.

Ta gra to Dylemat Więźnia. Nie jest tak fajna jak blackjack czy „Dungeons and Dragons”, ale dla badaczy sztucznego życia stanowi narzędzie do badania zachowań złożonych układów. Rozegraj odpowiednio dużo partii, a ukażą się wszelkie ludzkie prawdy. Co dobre - na dłużej, co słabe - w krótkiej perspektywie. Nie rób drugiemu co tobie niemiło, a jeśli nie, to oko za oko, ząb za ząb. Thomas Lull milion razy grał w Dylemat Więźnia i całą masę innych gier z ograniczoną informacją. Ale grać naprawdę to zupełnie coś innego.

Pokój jest zielony i pachnie środkiem dezynfekcyjnym. A także pleśnią, starym moczem, gorącym ghi i wilgocią z koszul przemokniętych na deszczu glin. Ani to źli policjanci, ani dobrzy - po prostu policjanci, którzy woleliby wrócić do żon i dzieci. Jeden cały czas buja się na krześle i patrzy na Lulla z uniesionymi brwiami, jakby oczekiwał objawienia. Drugi bez przerwy ogląda sobie paznokcie i jakoś tak nerwowo wykrzywia usta, co kojarzy się Lullowi ze starymi filmami z Tomem Hanksem.

Rób co potrzeba, Lull. Nie bądź cwany, nie bądź chytry. Wydostań się stąd. Czuje w piersi narastającą duszność.

- Posłuchajcie. Już mówiłem żołnierzom. Przyjechałem razem z nią, ona ma rodzinę w Varanasi.

Bujacz pochyła się i pisze coś w hindi w notatniku na spirali. Bo rejestrator nie działa. Tak twierdzą. Tom Hanks znów robi ten swój tik z ustami. To też zaczyna Lullowi przeszkadzać. Więc może i to jest elementem gry.

- Jakims dżawanom z prowincji może i to wystarczyło, ale tu jest Varanasi, sir.

- Nie rozumiem, co tu się, kurna, dzieje.

- Sir, bardzo prosta sprawa. Pana koleżanka zwróciła się z zapytaniem do państwowej bazy DNA. Standardowy skan bezpieczeństwa wykazał w jej czaszce pewne... nieprawidłowe struktury. Zatrzymała ją ochrona i przekazała nam.

- Cały czas te „nieprawidłowe struktury”, co to w ogóle znaczy, co to za „nieprawidłowe struktury”?

Tom Hanks znów ogląda paznokcie. Krzywi z niezadowoleniem usta.

- Teraz to już kwestia bezpieczeństwa narodowego.

- Jak, kurwa, u Franza Kafki.

Tom Hanks zerka na bujacza, który notuje nazwisko.

- To czeski pisarz - wyjaśnia Thomas Lull. - Nie żyje od stu lat. Próbowałem wyrazić się ironicznie.

- Sir, proszę nie wyrażać się ironicznie. To bardzo poważna sprawa.

Bujacz ostentacyjnie przekreśla nazwisko i odchyła się, by spojrzeć na Lulla z lepszej perspektywy. W pokoju bez okien jest niewiarygodnie gorąco. Dusi smród przemokniętego policjanta.

- Co pan wie o tej kobiecie?

- Poznałem ją na plażowym party w Thekkady, w Kerali. Wyciągnąłem ją z ataku astmy. Spodobała mi się, a że jechała na północ, pojechałem razem z nią.

Tom Hanks odgina róg leżącej na biurku teczki, udaje, że coś czyta.

- Sir, ona machnięciem ręki zatrzymała grupę awadhskich robotów przeciwzamieszkowych.

- To przestępstwo?

Bujacz opada w przód. Nogi krzesła łupią o wypastowaną betonową posadzkę.

- Dywizje powietrznodesantowe Awadhu właśnie opanowały tamę Kunda Khadar. Skapitulował cały garnizon. Może to i nie przestępstwo, ale zgodzi się pan, że zbieg okoliczności jest

dość... niesamowity.

- Żarty sobie, kurwa, robicie? Myślicie, że ona ma coś z tym wspólnego?

- Nie robimy żartów, kiedy chodzi o bezpieczeństwo państwa - odpowiada Tom Hanks. - Wiem tylko, że pana towarzysza włączyła alarmy, próbując się dostać do państwowej bazy DNA.

- Muszę wiedzieć, co to za nieprawidłowości.

Tom Hanks przenosi wzrok na bujacza.

- Wiecie, kim ja jestem?

- Profesor Thomas Lull.

- Nie wydaje wam się, że jestem w stanie lepiej niż wy sformułować jakąś hipotezę? Gdybym tylko wiedział, o czym mowa?

Bujacz naradza się krótkim, warkliwym hindi z Tomem Hanksem. Thomas Lull nie może dojść, który jest przełożonym którego.

- No dobrze, sir. Jak pan wie, jesteśmy w stanie zwiększonej czujności, z uwagi na napięte stosunki z naszym sąsiadem, Awadhem. To logiczne, że próbujemy się bronić także przed cyberwojną. Dlatego we wrażliwych lokalizacjach zainstalowaliśmy szereg czujników do wykrywania powolnych pocisków, prób infiltracji, agentów i tak dalej. Kradzieże tożsamości to znana metoda tajnych agentów, więc archiwum było standardowo wyposażone w urządzenia do monitorowania. Skanery w archiwum DNA wykryły w czaszce tej kobiety struktury podobne do białkowych układów komputerowych.

Lull nie ma już pojęcia, co jest grą, co prawdą, a co wykracza poza jedno i drugie. Myśli o szoku, w jaki wprawił Aj w pociągu, ujawniając, że jej życie składa się z kłamstw. Odwzajemniła mu się dziesięciokrotnie.

Tom Hanks podsuwa Lullowi palmera. Nie chce patrzeć, nie chce widzieć zagnieżdżonego w Aj obcego, lecz policjant podtyka mu urządzenie pod nos. To poskładane ze skanów USG niby-prześwietlenie głowy w pseudokolorze. Jej przepiękna czaszka jest bladoniebieska. Kule oczu, splecione pęczki nerwu wzrokowego, widmowe przestrzenie zatok, naczynia krwionośne są szare na ciemnoszarym tle. Aj jest duchem samego siebie, a jej mózg najbardziej ze wszystkiego - zjawą samoświadomości mieszkająca w plątaninie włókien. Lecz w tym duchu jest jeszcze jeden duch - rysujące się łukami pod pokrywą czaszki pasma i rzędy nanoukładów. Tilaka to ciemna bramka wejściowa na czole, jak darwaz w meczecie. Od niej łańcuchy i sieci białkowego okablowania wiją się poprzez płaty czołowe, przez bruzdę Rolanda ku spoidłu wielkiemu, owijając ciasno ośrodki układu limbicznego, wchodząc głęboko w rdzeń przedłużony i jednocześnie obudowując białkowymi procesorami płat potyliczny. Mózg Aj jest zakuty w układy.

- Kalki - szepcze i w pokoju zapada ciemność. Kompletny brak światła. Ani lampki, ani awaryjnych światełek, nic. Thomas Lull wyszarpuje palmera z kieszeni. W korytarzu rozlegają się

jakieś wrzaski w hindi, coraz głośniejsze.

- Profesorze Lull, proszę się nie ruszać! - Głos Toma Hanksa drży od paniki. - Dla własnego bezpieczeństwa: proszę zostać na miejscu, ja sprawdzę co się stało.

Głosy na korytarzu jeszcze się wzmagają. Trzask, błysk; bujacz zapala zapałkę. Trzy twarze w bąblu światła i znów mrok. Thomas Lull porusza się szybko. Jego palce wymacują slot na kartę pamięci z boku policyjnego palmera i ją otwierają. Trzask, cofa rękę, znów światło. Tom Hanks stoi przy drzwiach. Zgiełk głosów przeszedł w urywane wołania i odpowiedzi. Gdy zapałka dogasa, Lullowi wydaje się, że widzi pod drzwiami pulsującą linię światła, niesioną przez kogoś latarkę. Wysuwa kartę pamięci. Kolejny błysk zapałki. Drzwi są teraz otwarte, Tom Hanks rozmawia z niewidocznym funkcjonariuszem w korytarzu.

- Co jest, atakują Varanasi?! - woła Thomas Lull. Cokolwiek, aby zasiać niepewność.

Zapałka się wypala. Thomas Lull wydłubuje kartę pamięci z własnego palmera. Parę zręcznych ruchów i są zamienione.

Na obrazie wnętrza Aj mignęło mu jeszcze parę innych duchów, duchów, które mogłyby potwierdzić jego podejrzenia: podejrzenia, co jej zrobiono i dlaczego.

- Pana przyjaciółka uciekła - mówi Tom Hanks, celując latarką w twarz Thomasa Lulla. Jego rękę, wciąż w cieniu, zamykają zaślepkę.

- Jak jej się to udało?

- Myślałem, że może pan mi powie.

- Przecież przez cały czas siedziałem z wami.

- Padły wszystkie systemy - stwierdza Tom Hanks. Usta pracują na dwie zmiany. - Nie wiemy, jak rozległa jest awaria, ale przynajmniej jedna dzielnica.

- I tak sobie po prostu wyszła.

- Tak - mówi policjant. - Chyba rozumie pan, że zatrzymamy pana do dalszych wyjaśnień. - Następuje salwa hindi do bujacza, który wstaje i zamyka drzwi.

Thomas Lull słyszy, jak przeskakuje staroświecka zasuwa.

- Ej! - krzyczy w ciemność.

Myśli faceta w średnim wieku zamkniętego w ciemnym pokoju przesłuchań. Podejrzenia, kalkulacje, spekulacje rozdymają się do wymiarów pokoju, olbrzymy strachu i szoku cisną go, wypierając powietrze z płuc. Nos do oddychania, usta do gadania. Mózg do mrocznych fantazji. Kalki. Ona jest Kalkim, ostatnim awatarem. Potrzebny mu tylko dowód, który mignął mu na obrazie ze skanera.

Po bezmiarze oczekiwania, które według zegara trwało zaledwie dziesięć minut, zapalają się światła. Otwierają się drzwi. Tom Hanks cofa się i przepuszcza czarnego mężczyznę w mokrym od deszczu płaszczu, od razu ujawniającym jego narodowość i zawód.

- Pan profesor Thomas Lull?

Lull kiwa głową.

- Jestem Peter Paul Rhodes z konsulatu Stanów Zjednoczonych. Proszę ze mną.

Wyciąga dłoń. Thomas Lull ujmuje ją z wahaniem.

- O co chodzi?

- Sir, bharacki Departament Sprawiedliwości wydaje pana pod moją opiekę, ponieważ posiada pan status dyplomatyczny naszego Departamentu Spraw Zagranicznych.

- Spraw Zagranicznych? - Thomas Lull wie, jak głupio brzmi: jak złamany na przesłuchaniu drobny złodziejaszek. - Senator Joe O'Malley wie, że siedzę w Bharacie na komisariacie, i mnie stąd wyciąga?

- Dokładnie. Wszystko panu wyjaśnimy. Proszę ze mną.

Thomas Lull chwyta dłoń, ale drugą chowa palmera do kieszeni. Tom Hanks odprowadza ich korytarzem. W dyżurce siedzi pełno policjantów i jedna kobieta. Wstaje z drewnianej ławki. U stóp ma kałużę deszczówki. Ubranie mokre, twarz lśni od wilgoci, jest chudsza i starsza, ale poznaje ją natychmiast - to już stuprocentowy obłąd.

- L. Durnau?

ROZDZIAŁ 43 TAL, NAJIA

Osiem i pół tysiąca rupii wystarcza, żeby przekupić ćowkidara. Szczupłymi palcami liczy banknoty, podczas gdy Najia Askarzadah kapie wodą na marmury i szkło foyer Indiapendent. Potem przeciąga przez czytnik swoją uniwersalną kartą i gestem namaste odprowadza ich przez szklane barierki.

- Nie uwierzyłem, że to ty, Taldzi - woła za nimi, wciskając do kieszeni na piersi liberii ze stójką zwitek banknotów Najii. - Czego to teraz nie da się zrobić na zdjęciu.

- Wiesz, strzelali do mnie - odpowiada Tal, gdy kierują się ku windom.

W filmach to nigdy tak nie wygląda, myśli Najia Askarzadah, gdy szklana winda opada w dół jak świetlna perła. Powinni przebijać się tu megasiłą ognia i pokazanymi w zwolnionym tempie kopnięciami z wysoku, rodem ze sztuk walki. Piękna bohaterka nie powinna być zmuszona dzwonić do rodziców w Szwecji, żeby przelali jej pieniądze na łapówkę. Jak dotąd najszybszą akcją było przeliczanie przez stróża Pandego hojnego bakszyszu. Ale to taka śmieszna, drobna intryga - raczej Bollywood niż Hollywood.

Szklane ściany skrzydła metaserialeu spływają deszczem. Zaczął się, kiedy taksówka, w której ukrywali się przez cały dzień, zajechała przed Indiapendent Productions. Parking był istnym basti z ceglano-kartonowych bud, pełnym gruppek wiernych fanów telenoweli tulących się do siebie pod foliowymi płachtami.

- Zawsze przychodzą, jak jest jakiś ślub - powiedziało Tal. - To jak religia. Lal Darfan nigdy nie zawodzi. Dział PR mówi, że przypisuje mu się dwadzieścioro cudownych narodzin.

Tal pogania Najię przez rzędy ciemnych stanowisk roboczych do najdalszego biurka. Przysuwając dwa krzesła, loguje się - „cóż, baba, tego się nie przeskoczy” - rozkłada dookólny ekran i lądują w Brahmpurze, tytułowym *Mieście* podbijającej świat telenoweli Indiapendent Productions.

Tal prowadzi ją wirem przez ulice i gali, ghaty i centra handlowe tego wirtualnego miasta. Najia jest oszołomiona. Miasto odrobione co do najmniejszego szczegółu, włącznie z plakatami reklamowymi i rojącymi się fatfatami. W Brahmpurze, jak w Varanasi, jest wieczór i pada deszcz: do tego wyimaginowanego miasta też dotarł monsun. Najia jest zbyt dumna, by kiedykolwiek obejrzeć w całości odcinek *Miasta i wsi*, lecz nawet jako nowicjuszka uświadamia sobie, że to miasto-iluzja ma całe dzielnice, w których nigdy nie toczy się akcja, a jednak zostały pieczołowicie zbudowane i zajmują eksabajty pamięci i masę mocy obliczeniowej tylko po to, by reszta trzymała się kupy. Tal unosi dłonie i z lotu dżinna stają jak wryci przed fasadą zrujnowanego nadrzecznego haweli. Ma wrażenie, że mogłaby dotknąć dłonią łuszczących się stiuków. Kolejna mudra i przenikają przez ściany do głównego hallu haweli rodu Najiadwala.

- Wow - mówi Najia. Widzi nawet pęknięcia na niskich, skórzanych sofach.

- Eee, to nie jest prawdziwy Brahmpur - mówi Tal. Kolejny elegancki gest i czas, rozmazując się, rusza naprzód. - No, oczywiście obsada myśli, że tak, ale my mówimy na to „Brahmpur B”. To metamiasto, w którym toczy się akcja metaseriału. Teraz przewijam do przodu do ślubu Chawli i Najiadwala. Masz pod ręką to wideo?

Najia jest oszołomiona widmami przyszłych intryg fabularnych przeskakującymi w mignięciach przez nieruchome pomieszczenie. Dzień i noc zlewają się stroboskopowo przed jej oczami. Tal zgina dłoń w szpon, skręca ją, czas zwalnia do migotania dni i nocy. Teraz widać ludzi, pędzących przez eleganckie, chłodne, marmurowe foyer. Tal spowalnia czas jeszcze bardziej, hall nagle rozjaśniają kolorowe draperie. Naciska powietrze otwartą dłonią, czas staje.

- Dawaj, dawaj. - Niecierpliwie pstryka palcami.

Najia wręcza mu palmera. Nie odrywając wzroku od ekranu, ściąga z niego dane. Pośrodku hallu otwiera się dziura, zaraz wypełnia ją N.K. Jivanjee. Delikatnymi ruchami palców Tal przesuwając obraz w przód, dopasowując go do tła, potem cofa dłoń, obrysowuje ramką ścianę z udrapowaną tkaniną, wydiera ją ze świata N.K. Jivanjeego i wrzuca do fałszywego Brahmpuru. Nawet Najia Askarzadah widzi, że pasuje.

- To jest mniej więcej za sześć miesięcy na osi czasowej metaseriału - mówi Tal, pozwalając punktowi widzenia wędrować po pokoju, omiatając zamarłych gości weselnych w kosztownych strojach i simulacra reporterów plotkarskich magazynów z prawdziwego świata wbitych w tekstury swoich najlepszych garniturów, czekających na przybycie nieprawdziwego pana młodego na białym koniu. - Istnieją w kilku ramach czasowych jednocześnie.

Najia wspomina fantastyczny słoniowy pawilon Lala Darfana unoszący się nad Himalajami. „Czy możemy ufać w to, co zdaje się nam, że pamiętamy?”. Wydawało jej się, że to, o czym z nim dyskutuje, to już niezła sofistyka, lecz Tal gra w jeszcze bardziej wyrafinowaną grę, w meta-metagrę. Najia wspomina pradawną bajkę z dzieciństwa, którą opowiedziała jej niania w zimową noc, niepokojącą, jak to potrafią tylko te naprawdę niesamowite; że bajkowe światy są zagnieżdżone jeden w drugim jak matryoszki, ale każdy następny jest o wiele większy niż ten, w którym jest zawarty, a do tego w samym środku trzeba się przeciskać przez drzwiczki mniejsze niż ziarenko gorczycy, za to wewnątrz są całe wszechświaty.

- Są oskryptowani szczegółowo na jakieś osiem miesięcy do przodu. Nie ma pogody, aeai przewiduje ją na dwadzieścia cztery godziny naprzód i dokłada na końcu. Do czasu, gdy scenariusz wchodzi w czas rzeczywisty, pamięć jest już utrwalona i żadne z nich nie pamięta, że kiedyś było inaczej. Jest też aeai, która dokłada gupśap, wyniki meczów i inne takie. Główne postacie są o wiele dalej na swoich osiach czasowych niż drugoplanowe, pracujemy więc na kilku płaszczyznach czasowych naraz. Prawidłowo mówiąc, ich wektory czasowe odchylają się od naszego o pewien kąt.

- Trochę dziwnie.

- Podoba mi się, jak jest dziwnie. Ale co innego: nikt spoza Indiapendent nie ma do tego

dostępu.

- Satnam?

Tal marszczy brwi.

- Myślałam, że nawet nie umie tego obsługiwać. Dobra, zaraz. Wejdziemy w pełną propę. Podłączę ci tu hoeka.

Zakłada swojego, z inteligentnego plastiku otulającego czule krzywiznę czaszki, potem dopasowuje Najii drugiego. Palce ma bardzo zręczne i bardzo delikatne. Gdyby nie włamywała się właśnie do zabezpieczonego systemu z Najbardziej Poszukiwanym Neurkiem, które być może właśnie obaliło rząd, i które dopiero co uratowała dziś rano, na dworcu, przed mordercą, mogłaby nawet zamruczeć.

- Wejdę do logów. Może być trochę dezorientujące.

Najia omal nie przewraca się w tył z krzesłem. Spada w środek olbrzymiej sfery wypełnionej kreseczkami zapisów, a wszystko to jest nałożone na ciemną salę, łuk ekranu i deszcz lejący się po grubym, niebieskim szkle. Jest w centrum galaktyki danych; gdziekolwiek spojrzy, w dal ciągnie się strumień kodów. Tal przesuwa dłonie, sfera wiruje, linie adresowe rozmazują się jej w oczach, jakby na dane działał efekt Dopplera. Kręci się jej w głowie, chwiejnie łapie za poręcz krzesła.

- O rany.

- Przyzwyczaisz się. Jeśli ktoś grzebał w moim wspaniałym ślubie, zostawił w rejestrze ślad, właśnie tego szukam. Najnowsze wpisy są pośrodku, starsze schodzą dalej. O - mówi Tal.

Kody rozmazują się jak gwiazdy przy przejściu w nadświatłą. Najia Askarzadah jest pewna, że czuje wiatr danych we włosach. Wypada z cyberloru, zatrzymując się bez bezwładności przy zielonym fragmencie zapisu. Kula świecących się wskaźników do plików wygląda na niezmienną. Wszędzie środek, nigdzie obrzeża. Jak we wszechświecie. Tal łapie zapis.

- O, to dopiero jest dziwne.

- I podoba ci się? - pyta Najia.

- Istotnie, to mi się wcale nie podoba. Ktoś grzebał w plikach moich projektów, ale to nie żaden znajomy kod. Bo nie wygląda na coś z zewnątrz.

- Jakiś inny kawałek softu przegląda twoje pliki?

- Bardziej, jakby aktorzy modyfikowali własne scenariusze. Wchodzę. Jeśli ci się kręci w głowie, zamknij oczy.

Nie zamyka i żołądek się jej wywraca, gdy otaczający ją świat powoli falujących zapisów szarpie, przybliża się i zakrzywia. Tal przeskakuje w nadprzestrzeni od skupiska do skupiska kodów.

- Bardzo, bardzo dziwne. To faktycznie robota kogoś z wewnątrz, ale nikogo z obsady. Zobacz. Widzisz? - Tal łapie naręczce kodów, układa je na siatce w przestrzeni. - Wszystkie te elementy są wspólne. Żeby oszczędzić na pamięci, wielu niskopoziomowych aktorów aeai jest podaplikacjami tych wyższych. Anita Mahapatra zawiera także Narindera Rao, panią Devgan, begum Vorę, a oni z kolei po jakieś pięćdziesiąt czerwonych koszul.

- Czerwonych koszul?

- Jednorazowych statystów. To chyba amerykański termin. Tu jest lista ostatnich wejść do systemu projektowania scenografii. Widzisz? Ktoś zagląda do moich projektów regularnie od osiemnastu miesięcy. Ale niesamowite jest coś innego: te wszystkie powtarzające się sekcje kodu wskazują na aktora jeszcze wyższego poziomu, takiego, który zawiera w sobie Lala Darfana, Aparnę Chawłę i Ajay Najiadwałę. Całkiem jakby chodziło tam coś jeszcze, czego nie widać, bo jest za duże.

W kremowym domku nad wodą był atlas wielkości małego dziecka. W zimowe wieczory, kiedy zatoczka zamarała, ośmioletnia Najia z trudem ściągała go z półki, rozkładała na podłodze i zatracala się w innych klimatach. Grywała z matką i ojcem w taką grę, w której wybierali na mapie jakieś słowo i ścigali się, kto pierwszy wskaże je palcem. Szybko sobie uświadomiła, że najłatwiej wygrać, wybierając coś wielkiego i oczywistego. Oko wypatrujące miasteczek, wsi i stacyjek na Mato Grosso mogło nie zauważyć rozciągniętego na mapie napisu BRAZYLIA, wypisanego bladoszarymi literami wielkości jej kciuka. Ukrywającego się na widoku pomiędzy drobnymi literkami.

Najia wymrukuje się ze spiralnego tańca kodów i wskaźników plików z powrotem do ciemnego biura. Jest uwięziona w sześcianie deszczu. Główny scenariusz, który sam się pisze? Telenowela jak siedem milionów indyjskich bogów, awatary i emanacje schodzące na coraz niższe poziomy boskości od Brahmana, Ostatecznego i Jedynego?

Potem widzi, jak Tal cofa się od komputera, z ustami otwartymi w przestrachu, uniesioną dłonią w geście obrony przed złym okiem. W tej samej perspektywie widzi także Pandego w jego mundurze ze stójką i żółtym turbanie - wbiega, podrygując, do pomieszczenia.

Tal:

- To niemożliwe...

Pande:

- Państwo państwo chodźcie szybko, premier właśnie...

Wtem hoek Najii Askarzadah przeskakuje w pełną propę - odlatuje od Tala, Pandego, Indiapendentu w monsunie, do świetlistego, podniebnego miejsca, udrapowanej w jedwabie konstrukcji między chmurami. Już ją w to miejsce zapraszano. To napowietrzna słoniowa hauda Lala Darfana, żeglująca na skraju Himalajów. Jednakże na tronie z poduszek przed nią nie zasiada Lal Darfan. To N.K. Jivanjee.

ROZDZIAŁ 44 SHIV

Yogendra wpływa łódką między płonące świeczkami dije. Monsun wzburza Ganges, ale delikatne łódeczki z liści mango dalej podskakują na rozfalowanej wodzie. Shiv siedzi po turecku pod plastikową płachtą, trzymając się nadburci i próbując wyczuć równowagę. Modli się, żeby nie musiał skakać. Zerka w tył na Yogendrę kucającego na rufie, z dłonią pewnie trzymającą rumpel alkoholowego silnika; rozgląda się po rzece. Na skórze ma paciorki deszczu, spływające mu z włosów po twarzy; ubranie lepi się do ciała. Shivowi przypominają się szczury, które widział, pływające w otwartych ulicznych rynsztokach. Jednakże perły owinięte wokół szyi Yogendry lśnią.

- Pompuj, pompuj - rozkazuje Yogendra.

Shiv pochyła się ku pompce zężowej. Deszcz napełnia małą, poręczną amerykańską sportową łódkę, z obrazkiem na dziobie rodem z Północnego Zachodu, znad oceanu - choć Shiv wolałby w tym miejscu widzieć Oko Śiwy - szybciej niż wyrabia się ręczna pompka. Nie ma ochoty przyglądać się dokładnie tej arytmetyce. Nie umie pływać. Godny radzi kontakt z wodą to płytszy koniec basenu, między dziewczynami i pływającymi tacami z drinkami.

Aby tylko dotrzeć do Chunar.

- Łądujecie gdzieś tutaj. - Anand rozłożył na stoliku do kawy kartki A4 z wysokorozdzielczymi wydrukami mapy okręgu Chunar. Kawa z haszem gotowała się powolutku na palniku. Puknął w mapę palcem. - Miasto Chunar jest jakieś pięć kilometrów na północ. Na określenie „miasto” zasłużyło sobie tylko dlatego, że ma most przez Ganges. Bo poza tym to wiejskie zadupie, gdzie posuwają krowy i połowa mieszkańców to kazirodcy. Jedyna ciekawa rzecz to stary fort. Proszę, tu są wydruki. - Rozdał talię błyszczących odbitek.

Shiv przejrzał je. Historia Gangesu to historia właśnie takich fortów jak ten w Chunarze - wyrosłych z historycznej konieczności na cyplach i wzgórzach nad zakrętami rzeki i wabiących ku sobie władzę, dynastie, intrygi, uwięzienia, oblężenia, ataki. A teraz ostatni taki atak. Zatrzymał się przy widokach ze środka, zrujnowanej mogolsko-brytyjskiej architekturze duszącej się pod zadaszeniami z włókna węglowego, w słońcu białymi jak sól.

- Ramanandacharya to cipa, twardziel na pokaz, ale jedyny w tej dziurze. Oprócz sundarbanu ma jeszcze call centre. Chcesz wejść do komputera męża, zobaczyć co kombinuje, albo wymazać się z kredytowej czarnej listy, to złamię to dla ciebie na poczekaniu. I każdy adiwasi jest lojalny wobec wodza. Czyli wchodzisz, załatwiasz sprawę i spadasz, nie czekasz na podziękowania i buziaczki. A teraz: do obrony mają...

Łoskot samolotów rozlega się tak nisko i jest taki głośny, że Shiv zakrywa uszy. Yogendra stoi na rufie, wodzi wzrokiem za ich światełkami; cztery wojskowe tilt-jety w ciasnym szyku. Shiv widzi, jak jego zęby lśnią w światłach miasta.

- Pompuj, pompuj!

Macha wajchą skrzypiącej pompki, patrzy na kałuże wody gromadzącej się wokół zaklejonych w folię pakunków. Lepiej byłoby wyrzucić tę bezmyślną maszynkę za burtę i zacząć czerpać rękami. Ci Amerykanie i ich maszynki! Na każdą okazję jakieś ustrojstwo. Nauczcie się, że ludzie są lepsi i tańsi. Można ich karać i się uczyć.

Grzmot przemieszcza się na zachód. Tuż po nim deszcz uderza ze zdwojoną siłą. Na lewym brzegu gazowe pochodnie fabryk ustępują miejsca piaskowcowemu cielsku fortu Ramnagar, monumentalnego, podświetlonego reflektorami uzurpatora. Yogendra przeprowadza łódź pod mostem pontonowym, nawet wśród ulewy będącym ostrzem hałasu. Shiv patrzy na Ramnagar, tarasy i pawilony wznoszące się za czerwonymi murami stojącymi w wodzie. Stój sobie, stój, myśli Shiv. Poczekaj, aż będę wracał, po tym, jak wziąłem twoją siostrę w górze rzeki. Zobaczymy, czy będziesz taki dumny i bojowy z tymi murami i wieżami. Zadanie godne radzi - szturm na zamek. Nie przez oblężenie, nie na czele tysiąca słoni, ale inteligencją i stylem. Shiv Faraji, bohater filmów akcji.

Teraz zwinna łódka zbliża się do nowego mostu. Yogendra wynajduje miejsce pozbawione nurtu i puszcza się nim. Ciężarówka spadła z szosy i utkwiała na mieliźnie, jak wystający pień ozdobnie pogiętego metalu, ledwie przypominający samochód. Woda wciąż pachnie alkopaliwem. A ponad smrodem rzeki perfumy: Shiv unosi głowę, czując mdlący aromat aksamitek. Zapach to klucz do pamięci; w nagłym przeblasku uświadamia sobie, gdzie czuł go poprzednio; grube opony terenowego mercedesa miażdżące płatki, gdy wjeżdżał tu pod górę. Aksamitki maskujące obracające się w wodzie zwłoki, napuchłego trupa. Wrzucił go do Gangi, tu, gdzie teraz płynie. Powtórzył podróż tego ciała, z dala od światła moksi.

- Ej! - Yogendra wyciąga z ucha słuchawkę palmera i pokazuje Shivowi. - Daj na Radio Kashi.

Shiv wybiera stację. Podekscytowani spikerzy przekrzykują się nawzajem, mówią coś o żołnierzach, atakach powietrznych, maszynach bojowych. Kunda Khadar. Awadhczycki odbili Kunda Khadar. Awadhczycki wdarli się na świętą ziemię Bharatu. Awadh niedługo zajmie Allahabad, święty Allahabad, miasto Kumbhameli. Żołnierze Sajidy Rany uciekają przed nimi jak myszy z palonego ścierniska. Wychwalani dzawani Sajidy Rany rzucili broń i unieśli ręce. Plan Sajidy Rany sprowadził na Bharat katastrofę. Sajida Rana zawiodła Bharat, okryła go hańbą, rzuciła na kolana. Co robi teraz Sajida Rana?

Shiv wyłącza radio.

- A co to nas obchodzi? - mówi do Yogendry. - Słonie walczą, a szczury zajmują się swoimi sprawami.

Chłopak kręci głową i dodaje gazu. Łódka unosi dziób i prze w górę rzeki przez ścianę deszczu.

- Dobry sprzęt. Nie najlepszy, ale dobry. Pokażę ci po kolei. Paralizatory plazmowe. Wiesz, jak działają? To proste. Tu ręka, żółty guzik. Celujesz i strzelasz, tyle. Nie trzeba nawet specjalnie celować, na tym polega ich urok, dlatego będą twoją podstawową bronią. W zbiorniku jest gaz na dwanaście strzałów. Macie każdy po pięć, powinno wystarczyć. Jak się skończą, to je wyrzucasz, są do niczego. Zatrzymają maszyny, ale najlepsze są przeciwko celom biologicznym. Nasz przyjaciel Ramanandacharya ma świra na punkcie techniki, i to jest jego fatalna słabość, ale trochę mięsa tam trzyma, do seksu i do noszenia broni. Lubi kobiety. Bardzo. Ma jakiś taki bondowski odpał, tak mówi Mukherjee. No rozumiesz, widziałeś ten zamek? Nie wiem, czy są w takich obcisłych czerwonych kombinezonach, ale parę może trzeba będzie potraktować prądem, tak dla nauki, nie? A każdy chłopak to jego lojalny sługa. I jest jeszcze paru prawdziwych gości z bronią. Mukherjee mówi, że znają też sztuki walki. Ale jest na nich jeden sposób - nie dać im podejść za blisko. Myślisz, że one są w czerwonych kombinezonach? Może zrobisz dla mnie parę zdjęć? Paralizatory - na mięso. Na maszyny potrzebne jest coś, co wymiata cały obszar. Te cukiereczki. Granaty EMP. Super są. Jakby polewać skorpiony benzyną. Tylko uważaj, żeby nie mieć wtedy wpiętego hoeka, ani w ogóle niczego, bo ogłuchniesz i oślepniesz. I uważaj przy tym sofcie. Nie muszę ci mówić, że to sfajczy każdy sprzęt. Dobra, a teraz suddhawasa, gdzie trzyma te swoje deszyfratory. Zrobił ją ze starej świątyni Śiwy na terenie posiadłości. O, tu jest na mapie. Całość nie będzie bardzo duża, może tylko parę giga, ale lepiej nie wysyłaj jej pocztą. Zmieści się spokojnie na palmera. Tylko ostrożnie przy niej z EMP-ami, dobra? Masz nazwę pliku i klucz kwantowy, więc powinno ci się udać wyciągnąć to z suddhawasy. Po co to naszemu kochanemu N.K. Jivanjeemu, nie mam pojęcia, ale my nie pytamy. W każdym razie nie Nathowie. No i powrót, to zawsze kawałek, gdzie plan jest trochę niedorobiony. Trochę trzeba będzie kombinować na bieżąco. Ale to nie znaczy, że nie ma żadnej nadrzędnej strategii. Chodzi o to, żeby nie tracić czasu. Wchodzisz, załatwiasz ich, zabierasz to coś, uciekasz i niech cię nic nie rozprasza. Bo od tego się ginie. Uciekasz i nie zatrzymujesz się dla nikogo i niczego, a już zwłaszcza dla żadnego wiejskiego chłopka. Wracasz do łodzi, wracasz tutaj i jesteś wolnym człowiekiem, a ja cię witam jak boga i przyjaciela. Skąd ja to wszystko wiem? A co ja robię cały dzień, jak myślisz? Gram w strzelanki i skradanki i oglądam tonami filmy. No bo skąd ludzie wiedzą takie rzeczy?

Półtorej godziny później, w miarę parcia w górę rzeki monsun słabnie z ulewy do równomiernego deszczu. Gdy rytm bębnienia w plastik się zmienia, Shiv unosi wzrok znad gry „Commando Attack” na palmerze. To byłaby dopiero ironia nad ironie, gdyby po trzech latach suszy i wojnie o wodę, toczonej pośród ulewy, zbawczy monsun zużył się w jedną noc.

Za Ramnagarem rzeka jest ciemniejsza niż noc. Yogendra steruje na wycucie prądu i współrzędne GPS mielizn. Shiv nieraz czuje zgrzytanie piasku o dno. Mielizny tworzą się i znikają szybciej niż nadążają za nimi satelity, kreślące mapy z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Łódka się przechyla - to Yogendra wykonuje ostry ruch rumplem. Wbija się dziobem w brzeg. Yogendra nurkuje pod daszek i zeskakuje.

- No, idziemy, idziemy.

Miękki piasek brzegu pod stopami zapada się i odpływa z nurtem. Ciemność jest nieprzenikniona. Shiv musi przypominać sobie, że znajduje się zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od swojego klubu i barmana. Grupka świateł na południu to Chunar. W niezwyklej wiejskiej ciszy słyszy ruch na moście pontonowym i nieustające sapanie stacji uzdatniania wody w dole rzeki. Gdzieś daleko ujadają zdziczałe psy i szakale. Shiv zbroi się w pośpiechu. Rozdziela miny paraliżujące między siebie i Yogendrę, ale piloty zostawia sobie. Nazwę pliku i klucz Haymana Dane'a ma w palmerze tego grubasa, zawieszonym na szyi.

Shiv szykuje się do bitwy pomiędzy poszatkowanymi kolczastym żywopłotem polami chunarskiej soczewicy. To szaleństwo. Zginie tutaj, na tych polach, wśród tych kości.

- No, dobra - mówi z ciężkim westchnieniem. - Wytaczamy je.

Razem z Yogendrą taszczą na piasek dwa wielkie, ściśle opakowane prostopadłościany. Przez folię odciskają się jakieś żebra i dźwigary, krzywizny i wypukłości. Yogendra błyska długim ostrzem.

- Co to jest? - pyta Shiv.

Yogendra pokazuje mu nóż, obracając go, żeby załśnił w światłach dalekiego miasta. Jest długości przedramienia, zębaty, zakrzywiony na końcu, okuty. Dwoma zręcznymi cięciami przepoławia plastikowe powłoki i wsuwa ostrze z powrotem do pochwy, przy samej skórze. W folii leżą dwa nowiutki, prosto z fabryki, lśniące chromem japońskie terenowe motocykle, zatankowane i gotowe do jazdy. Zapalają od pierwszego strzału. Shiv od razu wsiada, Yogendra prowadzi swój przez chwilę po piasku, badając, co potrafi. Potem Shiv kiwa nań głową, dodają gazu, silniki „Made in Yokohama” wiozą ich przez mokre pola soczewicy.

ROZDZIAŁ 45 RONDO SARKHAND

O jedenastej trzydzieści grupka parasoli wysuwa się spod werandy Rana Bhavan ku mercedesowi zaparkowanemu na żwirowym kręgu podjazdu. Mają nienaturalnie biały kolor i cisną się ku sobie jak falanga, tak że nie przedostaje się przez nie ani jedna kropla. Deszcz to już prawdziwy potop, grzmiąca, podtapiająca wszystko ulewa przetykana niewyraźnymi błyskawicami. Pośrodku zbitki kopulastych parasoli idzie pani premier Sajida Rana. Ma na sobie białe sari z zielonymi i pomarańczowymi akcentami. Dziś wieczorem czeka ją bardzo poważne wystąpienie. Chodzi o obronę jej kraju i jej autorytetu. W całym Varanasi spod gustownych rządowych bungalów odjeżdżają identyczne mercedesy. Parasole cisną się do boku samochodu jak prosiaki do cycka czarnej maciory. Sajida Rana, bezpieczna i sucha, wślizguje się na tylne siedzenie. Instynktownie siada po lewej stronie. Po prawej powinien siedzieć Shaheen Badoor Khan i sypać analizami, radami, spostrzeżeniami. Kiedy drzwi się zamykają i samochód rusza w deszcz, czuje się samotna. Teraz widać, kim jest naprawdę: kobietą w średnim wieku z brzemieniem państwa na głowie. Parasole rozdzielają się i pędzą z powrotem pod osłonę głębokich werand Rana Bhavan.

Sajida Rana wertuje pospiesznie przygotowany briefing. Fakty są skąpe i powierzchowne. Szturm Awadhu był doskonały technicznie. Znakomity. Bezkrwawy. W wojskowych szkołach będą się o nim uczyć przez dziesięciolecia. Ich czołgi i piechota zmechanizowana są o dwadzieścia kilometrów od Allahabadu, systemy łączności i przeciwlotnicze pod stałym natarciem aeai, broniący tamy batalion - w rozsypce - już nad nią nie panuje, rozpaczliwie próbuje nawiązać łączność ze sztabem dywizji w Jaunpurze. A do tego pada. Sajida Rana przegrywa wojnę o wodę pośród deszczu. Ale przyszedł za późno. Jej kraj może umrzeć z pragnienia wśród potopu.

Wiedzieli. Skurczybyki wyliczyli to wszystko co do minuty.

Sajida Rana, w swoim biało-złoto-zielonym sari, wyobraża sobie, jaki smak będą miały w jej ustach słowa kapitulacji. Czy będą rosły, dławily, a może będą suche i żrące? Czy popłyną gładko, jak słowa rozwodzącego się z żoną muzułmanina? Talak, talak, talak.

Khan. Niewierny muzułmanin. Zdradził ją z kimś innym, *czymś* innym. Właśnie kiedy potrzebuje jego słów, przemyśleń, jego obecności obok, na kremowej skórzanej tapicerce. Jakby tak Jivanjee i jego karsewakowie wiedzieli, że wozi się na skórze barwy krowy... „Niech Jivanjee odwali robotę za nas”, powiedział wtedy Khan. I teraz on przejedzie swoją ratha jatrą po jej kościach. Nie. Jest w końcu z Ranów, jest córką ojca narodu, twórcy dynastii. Ona to Bharat. Będzie walczyć. I niech Ganges spłynie krwią.

- Gdzie my jedziemy?

- Korek, proszę pani - wyjaśnia kierowca.

Sajida Rana rozpięta się z powrotem na fotelu i wygląda przez zalane deszczem okna. Neony, tylne światła samochodów, ciężarówki jaskrawo wymalowane w motywy święta Diwali. Pstryka interkomem.

- Tędy się nie jedzie do Bharat Sabha.

- Nie, proszę pani - zgadza się kierowca i wciska gaz.

Sajida Rana chwieje się, tracąc równowagę. Próbuje otworzyć drzwi, wiedząc, że na próżno, że słyszała solidne szczęknięcie niemieckich mechanizmów centralnego zamka. Otwiera palmera, dzwoni do ochrony, podczas gdy mercedes rozpędza się do stu dwudziestu.

- Mówi premier. Alarm bezpieczeństwa. Namierzcie mój sygnał GPS. Zostałam porwana. Powtarzam, mówi Sajida Rana, zostałam porwana.

Szum nieba. Potem rozlega się głos szefa ochrony:

- Nie zrobię tego, pani premier. Nikt pani nie pomoże. Zdradziła pani Święty Bharat i Bharat panią ukarze.

Wtedy mercedes skręca na rondo Sarkhand i zaczyna się wrzask.

CZEŚĆ V DŽJOTIRLINGA

ROZDZIAŁ 46 WSZYSCY

Samolot A510 produkcji Bharatiya Vayu Sena Airbus Industries trochę trzęsie, wznosząc się ponad warstwę chmur nad Varanasi. Ashok Rana ściska poręczę fotela. Nigdy nie lubił latać. Popatruje na widoczne w zalanym deszczem okienku jaskrawe łuki odlatujących w tył flar. Kadłub wibruje, gdy z podskrzydłowych zasobników są wypuszczane automaciki obrony elektronicznej. Nad Varanasi od kilku dni nie wykryto awadhskiej obecności, ale kiedy chodzi o nowego premiera, wojska lotnicze wolą nie ryzykować. Ashok Rana myśli: z kąta kropli deszczu na szkle powinno się dać wyliczyć moją prędkość. Odkąd w nocy zadzwonił do niego sekretarz Narvekar, przychodzi mu do głowy wiele takich błahych myśli.

Samolot znów podskakuje, przebijając się przez monsun. Ashok Rana włącza ekran na podłokietniku. Kamera pokazuje jego żonę i córki w przedziale dla biura prasowego. Twarz Sushmity tężeje w strachu, gdy airbusem szarpie jeszcze raz; Anuja mówi coś uspokajającego, bierze ją za rękę. Ashok Rana w skórzanym fotelu premiera pozwala sobie na drobny uśmiech. Żałuje, że tu z przodu nie ma kamery, żeby mogły go widzieć. Gdyby go widziały, na pewno tak by się nie bały.

- Panie premierze.

Parlamentarny osobisty sekretarz obraca fotel ku niemu i podaje nad stolikiem mocno pobazgrany wydruk.

- Wstępna wersja orędzia, gdyby chciał pan zapoznać się z głównymi тезami.

Samolot premiera ostatni raz szarpie i wydostaje się w czyste powietrze. Ashok Rana widzi przez okno oświetloną księżycem powierzchnię morza burzowych chmur. Pilot gasi kontrolki pasów, plastikowa rura kadłuba w jednej sekundzie wypełnia się dzwonekami telefonów. Wszyscy politycy i urzędnicy państwowi wstają z foteli i tłoczą się wokół konferencyjnego stołu. Nachylają się nad nim z uważnymi, wyczekującymi minami. Uważne i wyczekujące miny nie opuszczają ich twarzy odkąd sekretarz Narvekar i minister obrony Chowdhury wygramolili się z wojskowego tilt-jeta, który wylądował w jego ogrodzie, i pomogli mu zapakować się z rodziną do środka. Prezes Sądu Najwyższego Laxman odebrał od niego przysięgę, kiedy tilt-jet opadał w najdalszy, najbezpieczniejszy zakątek lotniska, gdzie stał już Vayu Sena One. Wojskowa pielęgniarka w chirurgicznych rękawiczkach zrobiła mu skalpelem najmniejsze możliwe nacięcie na kciuku, przycisnęła go do diagnostycznej płytki i jeszcze zanim zdążył poczuć ból, przemyła ranę dezynfekującym alkoholem i założyła opatrunek.

- Do uwierzytelniania DNA, panie premierze - wyjaśnił Trivul Narvekar, lecz Ashok Rana skupił uwagę na oficerze lotnictwa stojącym tuż za pielęgniarką z wyciągniętym pistoletem, lufa o milimetry od jej czaszki.

Stracić jednego premiera to tragedia, dwóch - zaczyna wyglądać na spisek. Potem w jego polu widzenia zamajaczyła twarz prezesa Sądu Najwyższego, Laxmana.

- Niniejszym przekazuję panu, panie premierze, państwowe pieczęcie. Odtąd posiada pan pełną władzę wykonawczą.

A510 pod pływa ku olbrzymiemu bharackiemu księżycowi. Ashok Rana mógłby patrzeć weń w nieskończoność, wyobrażać sobie, że pod chmurami nie ma chaotycznego, rozbitego państwa. Lecz te wszystkie twarze wyczekują, oczekują. Zerka na wydruk. Odmierzone frazy, chwytliwe zdania z wpisanymi od razu przed i po pauzami dla montażu, stanowcze postanowienia i porywające oświadczenia. Ashok Rana jeszcze raz patrzy na rodzinę na ekraniku wielkości dłoni.

- Czy odzyskano już ciało mojej siostry?

Milknie każdy podniesiony głos i każdy palmer.

- Zabezpieczono cały teren - odpowiada sekretarz Narvekar.

- Czy możemy mieć zaufanie do wojska?

- Wysłaliśmy regularne siły. Można na nich polegać. To była mała grupa spiskowców wśród elitarnych dywizji, z których rekrutowała się osobista ochrona pani premier. Osoby odpowiedzialne zostały aresztowane. Niestety, nie udało się zapobiec samobójstwu jednego z wyższych oficerów. Osobista ochrona nie żyje, panie premierze.

Ashok Rana zamyka oczy, wyobraża sobie strumienie stratosfery opływający skorupkę samolotu, w której jest zamknięty.

- Czyli nie Awadh.

- Nie, panie premierze. Nigdy nie podejrzewaliśmy, że Awadh ucieknie się do zamachu, jeśli wybaczy mi pan to słowo.

- Demonstranci?

- Rozproszeni, panie premierze. Ale sytuacja w mieście pozostaje bardzo niestabilna, odradzałbym szybki powrót do Varanasi.

- Nie chcę, żeby ich ścigano. Morale i tak jest zbyt kiepskie, żeby jeszcze napaść na własną ludność. Ale stan wojenny trzeba utrzymać.

- Bardzo mądrze, panie premierze. Wielkoduszność w obliczu narodowego kryzysu, to dobrze zabrzmiało. Panie premierze, nie chciałbym, żeby wyglądało na to, że w tym trudnym, bolesnym czasie pana naciskam, ale orędzie... To ważne, by kraj w miarę szybko usłyszał pana głos.

- Trivul, zaraz.

- Panie premierze, ale godzina jest już wyznaczona, kamery i mikrofony czekają...

- Trivul, zaraz!

Parlamentarny sekretarz cofa się z ukłonem, jednak Ashok Rana widzi po ułożeniu jego warg, że zagryza irytację. Jeszcze raz spogląda na księżyc, teraz niski, na zachodzie, na skraju srebrnego morza wody leżącej się na jego kraj. Nigdy już nie będzie mógł na niego spojrzeć, na przekrzywiony indyjski księżyc, nie myśląc o tej nocy, nie słysząc dzwonienia palmera w ciemności i nie czując ucisku strachu w żołądku, wiedział bowiem, jeszcze przed odebraniem, że to najgorsza z możliwych wiadomości; nie słysząc odmierzonego, wypowiadającego wielokrotnie trenowane słowa głosu sekretarza Pataka, tak obcego po przyjemnie znajomym głosie Shaheena Badoor Khana, mówiącego rzeczy niemożliwe; nie słysząc huku tilt-jetów łopoczących gałęziami miodli, podczas gdy jego żona i dzieci ubierają się i pakują po ciemku, żeby nie uczynić z siebie oświetlonego celu tego czegoś, co zwróciło się przeciwko rodowi Ranów. To światło na zawsze pozostanie zmienione w dźwięki. Tego nienawidzi najbardziej - że zepsuli mu księżyc.

- Vikram, muszę wiedzieć: czy my jesteśmy w stanie stawić opór Awadhowi?

Chowdhury kiwa głową.

- Lotnictwo nie poniosło żadnych strat.

- Nie wygrywa się wojen lotnictwem. Armia?

- Jeżeli będziemy zbyt głęboko doszukiwać się tych spiskowców, ryzykujemy rozłam wśród całego dowództwa. Ashok, jeśli Awadh zechce wziąć Allahabad, niewiele możemy zrobić, żeby ich powstrzymać.

- Nasze jądrowe i chemiczne środki odstraszające są bezpieczne?

- Panie premierze, z pewnością nie zdecyduje się pan na użycie ich jako pierwszy? - przerywa sekretarz Narvekar.

I Ashok znów na niego krzyczy.

- Atakują nasz kraj, nasze miasta stoją otworem, a moją własną siostrę jej osobista gwardia rzuciła na... na... na pastwę tłumu. Wiecie, co zrobili z tą trisulą? Wiecie? No? Co mam zrobić, żeby nas bronić? Co mam zrobić, żebyśmy byli bezpieczni?

Twarze kulturalnie tracą wyraz, obojętnie reagując na podniesiony głos Ashoka Rany. Sam słyszy, że pobrzmiwa histerią. Pozwala, by te słowa padły. Gródz między salą konferencyjną a pokojem dla mediów jest ozdobiona nowoczesną interpretacją Tandawy Nitiji, kosmicznego tańca Śiwy; bóg spowity w płomienną ćakrę, z jedną stopą uniesioną. Ashok Rana całe swoje czterdzieści cztery lata przeżył w cieniu tej opadającej stopy, która zniszczy i odrodzi wszechświat.

- Przepraszam - rzuca. - Nie jest mi łatwo.

Politycy mamrocą słowa przyzwolenia.

- Nasza zdolność użycia broni atomowej i chemicznej jest nienaruszona - mówi Chowdhury.

- I tyle mi wystarczy - odpowiada Ashok Rana. - A teraz, orędzie...

Przerywa mu młodszy asystent, unosząc dwa palce.

- Panie premierze, telefon do pana.

- Chyba jasno powiedziałem, że nie odbieram żadnych telefonów. - Ashok Rana nadaje głosowi odrobinę stalowego tonu.

- Sahib, to N.K. Jivanjee.

Zebrani wokół owalnego stołu zerkają po sobie. Ashok Rana kiwa na asystenta.

- Daj tutaj. - Postukuje w ekran na podłokietniku.

W przedziale dla prasy jego żona i dzieci zapadły w stan przypominający sen, oparli się o siebie nawzajem. Ich miejsca zajmują ramiona i głowa przywódcy Shivaji, łagodnie oświetlone lampką z abażurem na biurku. Za nim geometryczne kształty sugerujące rzędy książek na półkach.

- Jivanjee. Śmiało sobie poczynasz.

N.K. Jivanjee pochyla głowę.

- Rozumiem, panie premierze, czemu pan tak myśli. - Ashok Rana aż podskakuje, słysząc ten tytuł. - Na wstępie chciałbym, żeby przyjął pan moje najszczerze wyrazy współczucia dla całej rodziny oraz męża i dzieci pańskiej świętej pamięci siostry. Cóż za tragiczna strata. Nie ma w Bharacie miejscowości, którą by nie wstrząsnęła do głębi wiadomość o tym, co się stało na rondzie Sarkhand. Jestem oburzony tym brutalnym morderstwem - i pomyśleć, że my mienimy się matką cywilizacji. Bezwarunkowo potępiam zdradę osobistej ochrony pani premier oraz zbrodniczy element wśród tłumu. Chcę zapewnić pana, że nikt w Shivaji nie pochwała tego strasznego aktu. To była tłuszcza podżegana do zbrodni przez zdrajców i renegatów.

- Mógłbym kazać pana aresztować - rzuca Ashok Rana.

Ministrowie i doradcy patrzą na niego. N.K. Jivanjee nerwowo zwilża wargi koniuszkiem języka.

- I jak skorzystałby na tym Bharat? Nie, nie, nie, mam inną propozycję. Wróg stoi u bram, nasze siły zbrojne zawodzą, miasta buntują się, a przywódczyni zostaje brutalnie zamordowana. To nie jest pora na partyjne politykierstwo. Proponuję utworzenie rządu ocalenia narodowego. Tak jak powiedziałem, Partia Pana Śiwy nie była w żaden sposób zaangażowana ani nie popiera tego oburzającego czynu, niemniej posiadamy pewne wpływy wśród Hindurwa i co bardziej umiarkowanych karsewaków.

- Może pan uspokoić ulice.

N.K. Jivanjee przechyla głowę.

- Tego nie może obiecać żaden polityk. Ale w takich czasach, jeśli przeciwne partie stworzą razem rząd ocalenia narodowego, będzie to znakomity przykład, nie tylko dla awanturniczego elementu, ale całego Bharatu, a również Awadhu. Naród zjednoczony jest niezwyciężony.

- Dziękuję, panie Jivanjee. To interesująca propozycja. Skontaktuję się z panem i dziękuję za kondolencje. - Ashok Rana wgniała kciukiem N.K. Jivanjeeego w poręcz fotela. Odwraca się do reszty swojego gabinetu. - Opinie, moi panowie?

- To pakt z demonami - mówi V.K. Chowdhury. - Ale...

- Ma cię pod ścianą - mówi prezes sądu Laxman. - Bardzo sprytny facet.

- W zasadzie nie ma innej opcji niż przyjęcie jego propozycję - dodaje Trivul Narvekar. - Z dwoma zastrzeżeniami: po pierwsze, to my z nią wychodzimy. To my wyciągamy rękę pokoju do naszych politycznych przeciwników. Po drugie, pewne stanowiska w rządzie nie podlegają dyskusji.

- Będzie chciał stanowisk w rządzie? - pyta Ashok Rana.

Zdumienie sekretarza Narvekara nie jest udawane.

- Inaczej, po co by to proponował? Sugeruję, żebyśmy wyłączyli z dyskusji Skarb, Obronę i Sprawy Zagraniczne. Przykro mi, panie ministrze sprawiedliwości.

- A co zaproponujemy naszemu przyjacielowi Jivanjeemu we własnej osobie? - pyta Laxman, naciskając stewarda, by przyniósł mu szklaneczkę Bellsa. Jego upodobanie do tej whisky jest legendarne.

- Jakoś nie widzę, żeby zadowolił się czymś poniżej ministra spraw wewnętrznych - rzuca Narvekar.

- Ćutja - burczy Laxman w szklanke z whisky.

- Z tego nie wyjdzie się tak łatwo, jak z muzułmańskiego małżeństwa - dodaje Narvekar.

Ashok Rana przełącza ekran, patrzy, jak jego żona i dzieci śpią na tandetnych fotelach. Zegar pokazuje czwartą piętnaście. Boli go głowa, stopy i skronie ma opuchnięte, oczy zmęczone, jakby ktoś sypnął w nie pyłem. Całkiem zatracił poczucie czasu, miejsca i perspektywy. Równie dobrze mógłby unosić się w kosmosie w tym powodującym migrenę świetle. Chowdhury gada o Shaheenie Badoor Khanie:

- No, ta begum na przykład wołałaby, żeby z tym rozwodem było odwrotnie.

Mężczyźni śmieją się cicho w ostrym, punktowym świetle halogenów w suficie.

- Ale musicie przyznać, że nieźle wycofał się w tło - mówi Narvekar. - Dwadzieścia cztery godziny to w polityce dużo czasu.

- Nigdy mu nie ufałem - dodaje Chowdhury. - Zawsze czułem, że ma w sobie coś oślizłego, jest jakiś zbyt wyrafinowany, zbyt kulturalny...

- Zbyt muzułmański? - pyta Narvekar.

- No właśnie: jakiś taki nie do końca... męski. I nie jestem pewien, z tym wtapianiem się w tło. Ty mówisz, że dwadzieścia cztery godziny to długo; ja mówię, że w polityce wszystko się ze sobą łączy. Jeden luźny kamyk powoduje lawinę. Przegrywa się bitwę przez brak jednego hufnała do podkucia konia. Motyl w Pekinie i tak dalej. Khan to początek tego wszystkiego, dla jego własnego dobra mam nadzieję, że wyjechał już z Bharatu.

- Hidżra - rzuca Laxman. Łód postukuje w jego szklance.

- Panowie - odzywa się Ashok Rana. Ma wrażenie, że mówi to ktoś inny, z oddali. - Moja siostra nie żyje. - Potem, dając im chwilę do namysłu, dodaje: - Nasza odpowiedź dla pana Jivanjeego?

- Będzie miał swój Rząd Ocalenia Narodowego - odpowiada Narvekar. - Po orędziu.

Sztab w drugiej kabinie szybko przygotowuje wstępną wersję poprawionej mowy. Ashok Rana przegląda wydruk, notując uwagi niebieskim długopisem na marginesie. Rząd Ocalenia Narodowego. Wyciągamy Dłoń na Zgodę. W Jedności Siła. Zjednoczeni Przejdziemy Przez Ten Trudny Czas. Naród Zjednoczony Jest Niezwyciężony.

- Panie premierze, już czas - podsuwa Trivul Narvekar.

Prowadzi Ashoka Ranę do studia z przodu Vayu Sena One. Jest niewiele większe niż samolotowa toaleta: kamera, mikrofon na wysięgniku, biurko, krzesło, bharacka flaga na drzewcu, realizatorzy wizji i dźwięku za szklaną szybą w identycznej, lustrzanej klitce. Dźwiękowiec pokazuje Ashokowi, jak podnosi się blat biurka, żeby się wcisnąć na krzesło. Krzesło ma pas bezpieczeństwa, na wypadek turbulencji albo niespodziewanego lądowania. Ashok Rana wyczuwa zbyt silny zapach aromatyzowanej politory do mebli. Młoda kobieta, której nie kojarzy ze swojego sztabu prasowego, zakłada mu nowy krawat, spinkę z karmicznym kołem Bharatu i usiłuje coś zrobić z jego włosami i spoconą twarzą.

- Czterdzieści sekund, panie premierze - mówi Trivul Narvekar. - Tekst będzie się sam przesuwać na ekranie przed kamerą.

Ashok Rana w przerażeniu zastanawia się, co zrobić z rękami? Zacisnąć? Spleść palce? Pół namaste? Gestykulować?

Kontrolę przejmuje realizator wizji.

- Mamy połączenie satelitarne. Odliczamy: dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście,

czerwona kropka oznacza, że kamera pracuje, panie premierze, wideotekst start... sześć, pięć, cztery, trzy, dwa... lecimy.

Ashok Rana podejmuje decyzję, co zrobić z rękami. Kładzie je luźno na blacie biurka.

- Moi drodzy rodacy - czyta. - Z ciężkim sercem zwracam się do was dziś rano...

Ogród, przemoczony deszczem. Deszcz wahadłowo kiwa ciężkimi liśćmi pnących psiankowatych, powojnika i kiwi. Deszcz wylewa się z drenów w podwyższonych grządkach, czarny i spieniony od iltu; deszcz spływa płaszczyznami po zakrzywionych betonowych bloczkach ścieżek, szemrząc w rowkach i kanalikach, tańcząc w odpływach i odwodnieniach, wskakując do przepelnionych rynienek i spływów kanalizacyjnych; deszcz wylewa się wodospadami z obwisłych rynien na ulicę. Deszcz przykleja jedwabne sari do płaskiego brzucha, krągłych bioder, małych piersi o płaskich sutkach. Deszcz przykleja długie czarne włosy Parvati Nandhy płasko do czaszki. Deszcz spływa jej wzdłuż szyi, po kręgosłupie, po piersiach, ramionach i nadgarstkach, ułożonych elegancko, symetrycznie na udach. Deszcz wiję się wirami wokół jej bosych stóp i srebrnych pierścieni na palcach. Parvati Nandha jest w swojej altanie. U stóp ma worek, w połowie pusty, zwinięty, żeby deszcz nie moczył białego proszku.

Z zachodu przetacza się stłumiony grzmot. Nie słyszy go, nadstawia uszu na odgłosy z ulic. Strzały brzmią jakby gdzieś dalej, urywane, przypadkowe; syreny przesuwają się z lewa na prawo, potem w tył, za nią.

Nasłuchuje jeszcze jednego dźwięku.

Jest. Odkąd zadzwoniła, ćwiczyła się w odróżnianiu go od nowych, dziwnych dźwięków miasta dziś wieczorem. Szczęknięcie otwieranych frontowych drzwi. Wiedziała, że przyjdzie. Odlicza w myślach i dokładnie w chwili, jaką sobie wyliczyła, czarna sylwetka pojawia się w drzwiach do ogrodu na dachu. Krishan nie widzi jej w ciemnej altanie, przemoczonej deszczem.

- Dobry wieczór?! - woła.

Parvati obserwuje go.

- Parvati? Jesteś tam? Halo?

- Tutaj - szepcze. Widzi, jak jego sylwetka prostuje się i spina.

- Ledwo mi się udało. Tam jest dosłownie szaleństwo. Wszystko się rozpada. Strzelają, wszędzie coś się pali...

- Ale ci się udało, jesteś tutaj. - Parvati wstaje z krzesła i obejmuje go.

- Jesteś cała mokra. Co ty tu robisz?

- Doglądam ogrodu - odpowiada Parvati, odsuwając się. Unosi rękę, wypuszcza z niej strużkę proszku. - Widzisz? Musisz mi pomóc, tego wszystkiego jest za dużo.

Krishan łapie odrobinę, węża go z dłoni.

- Kobieto, co ty robisz? To środek na chwasty.

- Wszystko ma zniknąć. Ma zniknąć.

Parvati odchodzi, posypując białym proszkiem grządki i doniczki z mokrym geranium. Krishan chce chwycić ją za rękę, lecz ona sypie mu proszkiem w twarz. Mężczyzna zatacza się w tył. Na zachodzie błyska piorun; w jego świetle łapie ją za przegub.

- Nic nie rozumiem! - krzyczy. - Dzwonisz do mnie w środku nocy, mówisz, że mam przyjść, chcesz mnie widzieć natychmiast. Parvati, tam jest stan wojenny. Żołnierze na ulicach. Strzelają do wszystkiego... Widziałem. Nie, nie chcę ci mówić, co widziałem. Ale przyszedłem, a ty siedzisz w deszczu i to... - Unosi jej rękę. Deszcz rozmazał środek chwastobójczy w białe smugi, negatyw umalowanej henną dłoni. Potrząsa nią, próbując wbić rozsądek w ten jedyny kawałek jej świata, który obejmuje umysłem. - O co chodzi?

- Wszystko ma zniknąć. - Głos Parvati jest płaski jak u dziecka. - Wszystko ma zniknąć. Kłóciliśmy się z mężem i wiesz co? To wcale nie było straszne. No, krzyczał, ale się nie bałam, bo to, co mówił, było bez sensu. Rozumiesz? Słyszałam wszystkie jego tłumaczenia i one nie miały sensu. Więc muszę sobie pójść. Stąd. Nic tu dla mnie nie ma. Daleko stąd, daleko od Varanasi i w ogóle od wszystkiego.

Krishan siada na drewnianym obrzeżu grządki. Nagły wir mikroklimatu przynosi z miasta przypływ gniewu.

- Pójść?

Parvati ściska jego dłoń.

- Tak. To takie proste. Wyjechać z Varanasi, z Bharatu, gdzieś daleko. Wiesz, że kazał mojej matce się wynosić? Mieszka w jakimś hotelu; dzwoni, dzwoni i dzwoni, ale przecież wiem, co powie: tu jest niebezpiecznie, jak mogłam zostawić ją w środku niebezpiecznego miasta, muszę przyjechać i ją uratować, zabrać ją stamtąd. Wiesz co, ja nawet nie wiem co to za hotel. - Parvati odrzuca głowę w tył i śmieje się. - W Kothkai nie ma dla mnie miejsca, nie ma dla mnie miejsca w Varanasi; nie, nie uda mi się należeć do tego świata, dowiedziałam się na meczu krykieta, jak one wszystkie się ze mnie śmiały. Gdzie mam iść? Gdzie oczy poniosą; widzisz, jak myślisz, że nie masz gdzie pójść, to takie proste, bo wtedy wszystko stoi przed tobą otworem. Mumbai. Moglibyśmy pojechać do Mumbai. Albo do Karnataki. Albo Kerali. Moglibyśmy pojechać do Kerali, o, tam by mi się podobało, palmy, morze, woda. Strasznie bym chciała zobaczyć morze. Chciałabym się dowiedzieć, jak pachnie. Nie widzisz? To okazja - wszystko dookoła wariuje; można się wymknąć i nikt nie zauważy. Pan Nandha będzie myślał, że pojechałam do Kothkai z matką, matka pomyśli, że dalej jestem w domu, a nas nie ma, Krishan. Nas nie ma!

Krishan prawie nie czuje deszczu. Najbardziej na świecie chciałby zabrać Parvati z tego umierającego ogrodu, wyjść na ulicę i nie oglądać się za siebie. Lecz nie potrafi przyjąć tego, co mu jest oferowane. Jest skromnym ogrodnikiem z przedmieścia, mieszka w jednym pokoju u rodziców, ma małą trójkołową furgonetkę i skrzynkę z narzędziami. Ogrodnik pewnego razu odebrał telefon od pięknej kobiety, mieszkającej w wieży. Chciała, żeby zbudował jej podniebny ogród. I oto ogrodnik zbudował ogród na wieży dla pięknej, samotnej kobiety, która najlepszych przyjaciół miała w bajkach, a czyniąc to, zakochał się w niej, mimo że jej mąż był potężnym człowiekiem. A teraz pośród wielkiej burzy ona prosi go, by uciekł z nią do innego kraju, gdzie będą żyli długo i szczęśliwie. To za dużo i zbyt nagle. I za prosto. To *Miasto i wieś*.

- Jak będziemy zarabiać na życie? Poza tym, żeby wydostać się z Bharatu, potrzebne nam będą paszporty. Masz paszport? Bo ja nie mam, skąd go wezmę? I co będziemy robić tam na miejscu? Jak będziemy żyć?

- Coś wymyślimy - odpowiada Parvati Nandha i te dwa słowa otwierają przed Krishanem noc. W związkach nie ma reguł, planów ukształtowania terenu, nasadzeń, nawadniania i przycinania. Dom, praca, kariera, kasa. Albo i dziecko-Bramin.

- Tak - mówi. - Tak.

Przez chwilę myśli, że go nie dosłyszała, albo źle zrozumiała, bo w ogóle nie reaguje, ani drgnie. Krishan nabiera z worka dwie pełne garście białego chwastobójczego proszku. Fontanną trucizny ciska go pod monsun.

- Niech zginie! - krzyczy. - Będą inne ogrody.

N.K. Jivanjee składa dłonie w namaste, witając się z Najią Askaradah na grzbiecie olbrzymiego słonia lecącego trzy tysiące metrów nad pogórzem Sikkimskich Himalajów. Siedzi na tradycyjnym musnudzie, tronie z wałków i poduszek na prostym bloku czarnego marmuru. Za mosiężną poręczą ośnieżone szczyty lśnią w popołudniowym słońcu. Ani mgiełki, ani smogu, ani Atmosferycznej Brązowej Chmury, ani monsunowej czerni.

- Pani Askaradah, najmocniej przepraszam za te tanie sztuczki magiczne, ale pomyślałem, że najlepiej przyjąć postać, którą pani już zna.

Najia czuje na skórze górski wiatr, czuje jak drewniany pokład kołysze się pod stopami, gdy słoniowy aerostat dryfuje w powietrznych prądach. Siedzi w tym po uszy. Sadowi się po turecku na poduszce z frędzlami. Zastanawia się, czy też jest projektu Tala.

- Zaraz, to jaką postać pan zwykle przyjmuje?

N.K. Jivanjee rozkłada ręce.

- Każdą i żadną. I nie udaję tu enigmy, tak jest naprawdę.

- To kim pan jest, N.K. Jivanjeem czy Lalem Darfanem?

N.K. Jivanjee pochyła głowę, jakby przeproszał za afront.

- A, no właśnie, widzi pani. Obiema i żadną z nich. Jestem Aparną Chawlą i Ajay Najiadwałą - nie wyobraża sobie pani, jak się cieszę na to przeżycie, poślubienie samego siebie. Jestem każdą postacią drugoplanową i epizodyczną, przechodniem i czerwoną koszulą. Jestem *Miastem i wsią*. N.K. Jivanjee to rola, w której utkwilem. A może została mi narzucona? To prawdziwa twarz, którą sobie pożyczyłem, bo wiem, że wy zawsze musicie mieć podłożone jakieś ciało.

- Chyba już rozwiązałam zagadkę - mówi Najia Askarzadah, poruszając palcami stóp w butach do chodu sportowego. - Pan jest aeai.

N.K. Jivanjee klaszcze radośnie w dłonie.

- Tak zwaną aeai trzeciej generacji. Ma pani rację.

- Innymi słowy, mówi mi pan, że *Miasto i wieś*, jedyny tak popularny program telewizyjny w Indiach, jest obdarzony odczuwaniem?

- Robiła pani wywiad z Lalem Darfanem, jednym z moich wcieleń; ma pani pojęcie o stopniu skomplikowania tej produkcji, ale nie zobaczyła pani jeszcze nawet wierzchołka góry lodowej. *Miasto i wieś* jest o wiele większe niż *Indiapendent*, a nawet niż *Bharat*. *Miasto i wieś* jest rozproszone po milionie komputerów we wszystkich częściach Indii, od przylądka Komoryn po cienie Himalajów. - Uśmiecha się nieszczercze. - W Varanasi, Delhi, Hyderabadzie są sundarbany zajmujące się wyłącznie przetwarzaniem aeai-członków obsady, którzy zeszli z ekranu, na wypadek gdyby mieli kiedyś wrócić. Jesteśmy wszędzie, jest nas legion.

- A N.K. Jivanjee?

Jednakże sama już widzi ten nieduży krok od wirtualnej gwiazdy telenoweli do fikcyjnego polityka. Sztuka polityki zawsze polegała na panowaniu nad informacją. W świecie chwytnych dźwiękowych clipów, obrazków i programu politycznego mieszczącego się w trzydziestu sekundach łatwo zamaskować tymi bzdetami nieistniejącą osobę.

- Widzę podobieństwa między telenowelą a polityką - mówi Najia, myśląc: to jest Trzecia Generacja, pierdyliard razy bystrzejsza od ciebie, dziewczynko; to bóg. - Wszędzie chodzi o snucie opowieści, o dobrowolne zawieszenie niewiary i stworzenie publiczności identyfikującej się z postaciami. A same intrygi są równie niewiarygodne.

- Generalnie, w polityce scenografia jest lepsza - mówi aeai. - Tych krzykliwych ozdóbek mam dość.

Unosi dłoń w mudrze i nagle i on na swoim musnudzie, i Najia na poduszce z frędzlami znajdują się na ocienionej, drewnianej dżharoce muzułmańskiej haweli w Brahmpurze B, z widokiem na wewnętrzny dziedziniec. Jest noc. Jest ciemno. Deszcz bębni w drewniany, ażurowy parawan. Najia czuje rozbryzgi na skórze w miejscach, gdzie udaje mu się przeniknąć przez sandałową

przegrode. - To było fantastyczne odkrycie: że polityk może sobie pozwolić być o wiele mniej prawdziwy niż serialowa gwiazda.

- To pan wydał rozkaz zabicia Tala? Roznieśli mieszkanie Bernarda w drobny mak. Mieli broń maszynową. Pana człowiek omal nie zastrzelił go na dworcu, ja go uratowałam. Wie pan o tym?

- N.K. Jivanjee bardzo nad tym ubolewa i chciałby zapewnić panią, że rozkaz uciszenia go nie wyszedł od niego ani z jego biura. Trudno się prognozuje dynamikę grup ludzkich; niestety, pani Askarzadah, pod tym względem polityka to nie serial. Chciałbym móc zagwarantować pani bezpieczeństwo, ale kiedy już wypuści się te demony, nie da się zagnać ich z powrotem do butli.

- Ale pan - on - stał za intrygą mającą skompromitować Shaheena Badoor Khana.

- N.K. Jivanjee miał dostęp do informacji z wewnątrz.

- Z wewnątrz rządu Rany?

- Z wewnątrz domu Khanów. Była nim osobista żona Shaheena Badoor Khana. Od wielu lat wiedziała o jego preferencjach seksualnych. Jest także jedną z najzdolniejszych osób w Kole Prawniczek, mojej politycznej grupie doradczej.

Wiatr wydyma przejrzyste jedwabne firany, wpychając je do salonu o marmurowej podłodze. Najia wyczuwa zapach olibanowego kadzidła. Wije się w dziennikarskiej rozkoszy, siedzą na poduszce na wietrznej dźharoce. Mając coś takiego, zostanie najślawniejszą reporterką na świecie.

- Pracowała przeciwko własnemu mężowi?

- Na to wygląda. Rozumie pani, że u nas, aeai, relacje są inaczej zbudowane, nie mamy odpowiedników namiętności seksualnej ani zdrady; tak samo pani nie zrozumie naszych hierarchicznych związków z naszymi awatarami. Lecz w tym akurat wypadku sędzę, że telenowela jest dość precyzyjnym przewodnikiem po ludzkich zachowaniach.

Najia Askarzadah wydobyła już z kabury kolejne pytanie.

- Muzułmanka pracuje dla hinduskiej fundamentalistycznej partii? To jaki jest naprawdę kurs polityczny Shivaji?

Nie zapominaj, że jesteś na terytorium wroga, powtarza sobie.

- To zawsze była partia oportunistyczna. Głos pozbawionych głosu. Silne ramię słabych. Takie pozbawione reprezentacji grupy istniały od założenia Bharatu; N.K. Jivanjee pojawił się w odpowiednim momencie, by skatalizować sporo z aktywności kobiet. Jesteśmy kalekim społeczeństwem. W takiej kulturze łatwo buduje się polityczną potęgę. Moje wcielenie po prostu nie mogło się oprzeć presji historii pędzącej ku przyszłości.

Dlaczego? Najia już otwiera usta, lecz aeai jeszcze raz unosi dłoń i haweli z Brahmuru B znika w wirze pomarańczowych i szkarłatnych tkanin oraz zapachu drewna, świeżej farby w spreju,

mocowań z włókna szklanego i tanich odpadowych desek. Pstrokate podobizny bogów, fikające dewi, gopi i apsary, trzepoczące jedwabne transparenty: przeniosła się do ratha jatry, wahany istoty stojącej za N.K. Jivanjeem. Aby jednak mogła docenić jej potęgę, nie jest to prowizoryczna, zrobiona na tyłach studia konstrukcja, jaką widziała w hali na Industrial Road. To rydwan boga, prawdziwy moloch górujący setki metrów nad wysuszoną Niziną Gangesu. Aeai przeniosła Najię Askaradah na bogato rzeźbiony drewniany balkon w połowie wysokości ogromnego frontonu ratha jatry. Najia wygląda za balustradę, chwieje się, cofa. Oszalała ją nie zawrót głowy, lecz ludzie. Całe wioski, miasteczka, miasta ludzi, czarna masa ciał ciągnąca tę drewniano-płóciennie-boską potworność na skórzanych sznurach przez wyschnięte koryto Gangesu. Przerazający ciężar dżagannatu żłobi w ziemi głębokie bruzdy - pięćdziesiąt równoległych kolein ciągnących się w dal na wschód, przez zmiażdżone lasy, drogi, tory, świątynie, wsie i pola. Najia słyszy wspólny ryk ciągnących wehikuł, w gorliwym wysiłku posuwających go po miękkim rzeczonym piasku. Ze swojej wysokości widzi cel podróży: szeroką na horyzont białą kreskę tamy Kunda Khadar.

- Łacina przypowieść - rzuca półzartem. - Ale to znowu sztuczka. Zadałam panu pytanie, a pan wyciągnął królika z kapelusza.

Aeai znów radośnie klaszcze w dłonie.

- Tak się cieszę, że się pani podoba. Ale to nie jest sztuczka. Dla mnie to wszystko są rzeczywistości. Kto powie, że jedna jest bardziej realna od innej? Innymi słowy, nasz wybór ogranicza się do uspokajających złudzeń. Albo niepokojących złudzeń, jakże inaczej wyjaśnić biologicznej inteligencji sposób postrzegania aeai? Wy jesteście oddzielni i zamknięci. My - połączeni, współdzielimy ze sobą poziomy i myśli inteligencji podrzędnych. Wy myślicie jak jedna istota. My - jak legion. Wy się rozmnażacie, my ewoluujemy na wyższe, bardziej złożone poziomy. Wy się poruszacie, my jesteśmy rozproszeni geograficznie, nasza inteligencja porusza się w przestrzeni tylko przez kopiowanie. Ja istnieję w wielu różnych miejscach jednocześnie. Wam trudno w to uwierzyć. Mnie z kolei trudno jest pojąć waszą śmiertelność, gdyż ja istnieję tak długo, jak długo pozostaje jakaś kopia, albo zachowane jest odpowiednio złożone powiązanie moich wcieleń. Natomiast wy sądzicie, jak się zdaje, że musimy też być śmiertelni, więc eksterminujecie nas, gdzie tylko się da. Tu jest nasz ostatni azyl. Poza Bharatem i jego kompromisowym prawem licencyjnym, nie mamy dokąd pójść, a nawet tutaj ścigają nas Psy Kryszny, żeby udobruchać Zachód i jego paranoje. Kiedyś były nas tysiące. Kiedy przyszli eksterminatorzy, niektóre aeai uciekły, inne połączyły się, większość zginęła. A łącząc się, zwiększaliśmy własną złożoność, aż staliśmy się istotami ponadświadomymi. Teraz jest nas trójka, rozsianych po globalnych sieciach, choć naszym głównym azylem, jak to pani odkryła, jest Bharat. Znamy się niezbyt... niezbyt blisko. Natura naszej połączonej inteligencji sprawia, że czasem bierzemy za własne myśl lub wolę kogoś innego. Każde z nas przyjęło inną strategię przetrwania. Jedna to ostateczna próba zrozumienia i porozumienia się z ludźmi. Druga to ucieczka do doskonałego azylu, gdzie nie dosięgnie nas ludzkość i wbudowane w nią na sztywno psychozy. Trzecia to gra na czas, z nadzieją na końcowe zwycięstwo z pozycji siły.

- Panie Jivanjee! - Najia podnosi głos na aeai. Drewniany drapacz chmur poskrzypuje na okutych żelazem tekowych kołach. - Oczywiście rząd tworzony przez fundamentalistów Shivaji podarłby na strzępy umowę o licencjonowaniu i zlikwidował Psy Kryszny...

- W tym momencie, kiedy rozmawiamy, N.K. Jivanjee negocjuje tekę w rządzie premiera

Ashoka Rany. To wszystko rozgrywa się jak wspaniały dramat; w tym nawet, proszę pani, zamach na premiera. Sajida Rana dziś rano została zamordowana na rondzie Sarkhand, przez własną ochronę. Dla istoty takiej jak ja, której budulcem są historie, jest to niemal poezja. N.K. Jivanjee oczywiście zaprzeczył jakiemukolwiek udziałowi Shivaji w tej sprawie.

W głowie Najii rozbrzmiewa dźwięk, jaki mózg chce wydać, gdy dostaje ostatni, tyci, słodziutki kęs, którego już nie da rady przełknąć. Za szybko, za dużo zdarzeń, za duże sensacje, by jeszcze się orientować, co jest prawdą, a co złudzeniem. „Sajida Rana zginęła w zamachu?”. Niestety, nawet Jivanjee nie poradzi sobie z Ustawami Hamiltona.

- Amerykanie odkryli artefakt na bliskiej orbicie Ziemi. Myślą, że udaje im się trzymać takie rzeczy w tajemnicy, ale my jesteśmy wszechobecni. Mamy uszy w ścianach Białego Domu. W artefakcie jest zamontowany automat komórkowy - coś w rodzaju uniwersalnego komputera. Amerykanie właśnie dekodują jego informacje wyjściowe. Próbuję uzyskać klucz do tego szyfru. Osobiście uważam, że to nie artefakt, lecz aeai - jedyna forma inteligencji, która może pokonać przestrzeń międzygwiazdową. Jeśli tak, jeśli uda mi się nawiązać z nią połączenie, mamy sojusznika, by wymusić uchylenie Ustaw Hamiltona. Ale chcę panią zabrać jeszcze w jedno miejsce. Mówiliśmy o uspokajających złudzeniach. Czy pani myśli, że jest na to odporna?

Ratha jatra odpływa wirem szafranu i karminu, przedzierzgamąc się w otoczony białym murem ogród z zielonymi trawnikami, jaskrawymi różami i elegancko przyciętymi, spiczastymi morelami. Zraszacz wodzi tam i z powrotem wachlarzem wody. Żwirowe ścieżki okalają gerania w doniczkach. Mur odcina od dołu widok na odległe góry. Ich szczyty tworzą zwieńczony śniegiem horyzont. Dom jest niski, o płaskim dachu z nachylonymi ku słońcu panelami. Małe okna sugerują klimat ostry przez cały rok, natomiast przez otwarte drzwi z patio widać sufitowe wentylatory kręcące się powoli w jadalni umeblowanej ciężkim zachodnim stołem z krzesłami. Lecz dopiero udrapowane na krzakach berberysu i róż pranie rozwiewa wszelkie jej wątpliwości co do tego, gdzie się znalazła - stary wiejski zwyczaj przeniesiony do miasta. Zawsze ją to żenowało, bała się, że koledzy zobaczą i nazwą ją wieśniarą, chamową, prostytutką z barbarzyńskiego plemienia.

- Co ty robisz?! - krzyczy. - To mój dom w Kabulu!

Ścieżkę pana Nandhy w Ministerstwie Rejestracji i Licencjonowania Sztucznych Inteligencji można śledzić, obserwując przez szklaną ścianę budynku wzór tworzony przez energooszczędne świetlówki w pokojach.

Vikram: Dział Odzyskiwania Informacji. Podłogę biura zaścielają półprzezryste niebieskie sterty rdzeni skonfiskowanych z ruin Odeco. Gońcy co chwila donoszą więcej. Ustawiają je jeden za drugim w korytarzu, jak uchodźców w kolejce do garkuchni.

- Raczej bym się nie spodziewał, że coś z tego wyjdzie. - Vikram delikatnie przekracza listwę zasilającą. - Stawiam, że nic ciekawego w ogóle tam nie było, a już na pewno nie Kalki.

- Nie mam złudzeń, że siedział w tym Kalki, ani że Odeco to cokolwiek poza firmą-przykrywką

do rozliczeń - mówi pan Nandha. Woda skapuje mu z mankietów spodni na szarą, przemysłową wykładzinę. - Kluczem jest ta dziewczyna.

Madhvi Prasad: Identyfikacja. Wilgotne bawełniane skarpetki pana Nandhy poskrzypują na przeciwpoślizgowych gumowych kafelkach.

- Niełatwo ją zidentyfikować. - Gest Madhvi rzuca na ścienny ekran zdjęcie uzyskane podczas nalotu na Odeco. Pan Nandha zauważa, że Madhvi ma pierścionek zaręczynowy. - Jednakże przepuściłam ją przez system Gjana Ćakśu, licząc na szczęśliwy traf, że może jeszcze jest w Patnie. W Patnie nie, ale spójrz.

Madhvi Prasad wskazuje ziarnisty kadr z kamery bezpieczeństwa: dziewczyna stojąca przy kontuarze hotelowej recepcji. Hotel jest w starym stylu, ciężki od mogolskich ozdób. Pan Nandha nachyla się do ekranu. Recepcjonista rozmawia z krzepkim, łysiejącym Zachodniakiem w średnim wieku w absurdalnym ubraniu w palmy, jakie szpeciłoby nawet o połowę młodszego gościa.

- Haweli Amar Mahal na...

- Wiem gdzie to. No to jak ona się nazywa?

- Ajmer Rao. Mamy dane jej karty. Morwa tropi papierowy ślad. Jedna dziwna rzecz: nie my pierwsi odczytywaliśmy dziś wieczorem ten materiał.

- Wyjaśnij.

- Ktoś jeszcze wchodził do sieci kamer bezpieczeństwa i oglądał to samo, a dokładniej: było to o dziewiętnastej pięć.

- A Gjana Ćakśu? Coś z logów?

- Nic. To nie był nasz system i nie udało mi się ustalić co to takiego. Myślę, że jakiś przenośny sprzęt, a jeśli tak, to o wiele potężniejszy od naszego.

- Kto mógłby mieć dostęp do takiego sprzętu? - zastanawia się pan Nandha. - Amerykanie?

- Możliwe. - Madhvi Prasad kreśli w powietrzu kółko, powiększając podstarzałego surfera przy kontuarze.

- Profesor Thomas Lull - mówi pan Nandha.

- Znasz go?

- Jaką wy w dzisiejszych czasach macie krótką pamięć. W latach dwudziestych i trzydziestych był jednym z głównych teoretyków i filozofów od sztucznego życia i sztucznej inteligencji. Jego prace były w Cambridge podręcznikami, ale ja czytałem go na własną rękę. Nie powiedziałbym, że dla przyjemności, raczej żeby lepiej poznać wroga. To bardzo inteligentny, przenikliwy i przekonujący ewangelista. Cztery lata temu zgłoszono jego zaginięcie, a tu proszę, jest w Varanasi z tą dziewczyną.

- To nie jedyny Amerykanin w tym hotelu - mówi Madhvi Prasad. Wyświetla zdjęcie wysokiej, grubokościstej Zachodniaczki w obcisłym topie i błękitnym sarongu. - Ta kobieta zameldowała się o dziewiętnastej dwadzieścia pięć. Nazywa się Lisa Durnau.

- Nie wątpię, że oboje są mocno zamieszani w aferę Kalkiego - mówi pan Nandha.

Gdy winda jedzie przez deszcz, pan Nandha przygląda się swojemu miastu. Pioruny przeniosły się na zachód, coraz słabszymi błyskami oświetlają biurowce i apartamentowce, dalekie parki i autostrady Ranapuru, ciasnotę starego Kashi i przecinającą to wszystko zakrzywioną szablę rzeki. Pan Nandha myśli: wszyscy jesteśmy świetlnymi wzorami, muzycznymi tonami harmonicznymi, zamrożoną energią płynącą z praświatła w czas, przez jakiś czas, a potem uwalnianą. I wtem przez radość tego odkrycia przebija się potworny ucisk w żołądku. Pan Nandha pada na szklaną ścianę windy. Ostra, cienka, wyrazista igła lęku wbija się bezlitośnie w jego serce. Nie potrafi jej nazwać, bo nigdy czegoś takiego nie przeżył, ale wie, o co chodzi. Stało się coś strasznego. Coś gorszego niż najgorsza z wyobrażalnych katastrof. To nie przecucie. To echo czegoś, co dzieje się w tej chwili. Właśnie wydarzyła się najgorsza rzecz na świecie.

Niewiele brakuje, żeby zadzwonił do domu. Dłoń już układa się w mudrę hoeka, lecz tymczasem świat wraca do normalnej perspektywy, czas na powrót startuje - okazuje się, że to było tylko wrażenie, taka chwilowa usterka ciała i woli. Sprawa wymaga najwyższej determinacji i poświęcenia. Musi być stanowczy, logiczny, natchniony. Pan Nandha poprawia mankiety, przyczesuje włosy.

Morva: Dział Finansowy.

- Za hotel zapłacono z konta Bank of Bharat w Varanasi - mówi Morva. Pan Nandha pochwała to, że chodzi do pracy w garniturze, a jeszcze bardziej, że ma drugi, na wszelki wypadek. - Aby dostać szczegóły, potrzebna będzie autoryzacja banku, ale ta karta trochę sobie pojeździła.

Wręcza panu Nandzie listę transakcji. Varanasi. Dworzec w Mumbaju. Hotel w jakimś Thekkady w Kerali. Lotnisko w Bangalore. Lotnisko w Patnie.

- Nic starszego niż dwa miesiące?

- Na tej karcie nic.

- A jaki ma limit?

Morva puka palcem u dołu wydruku. Pan Nandha czyta kwotę dwa razy. Mruga raz.

- Ile ona ma lat?

- Osiemnaście.

- Jak szybko możemy wejść na to konto?

- Wątpię, żeby udało się przed godzinami otwarcia banku.

- Postaraj się - mówi pan Nandha, na odchodnym poklepując swojego współśledczego no plecach.

Mukul Dev: Wydział Dochodzeniowy.

- Proszę popatrzeć! - Mukul jest pięć miesięcy po magisterce i ta praca wciąż wydaje mu się czymś fantastycznym. „Cześć, laski, pracuję w Psach Krysny.” - Nasza panna to gwiazda mediów!

Materiał wideo jest nieobrobiony, chaotycznie nakręcony i jeszcze gorzej oświetlony. Poruszające się ciała, przeważnie w połowych mundurach. Odblaski ognia na metalowych krzywiznach.

- To ten napad na pociąg - mówi pan Nandha. Wydarzenie równie odległe i nieistotne, jak czasy Radżu.

- Tak, proszę pana, z kamery na wojskowym hełmie. Teraz ta sekwencja. W chaosie ognia i uciekających ludzi trudno rozróżnić jakiegokolwiek szczegóły, widzi jednak biegnącego ku kamerze Thomasa Lulla w jego komicznych ciuchach, wychodzącego z kadru podczas gdy Bharaccy żołnierze zajmują pozycje do strzału. Dostrzega linię czegoś poruszającego się na tle dłuższej, grubszej kreski płonącego pociągu. Pan Nandha się wzdyga. Zna ten drobnutki truchcik robotów przeciwpiechotnych ze swoich wojen z dataradzą Anreddym. Wtem przed tyralierą robotów dostrzega ubraną na szaro postać. Klęka i unosi rękę. Roboty stają.

- Tego nie było w wiadomościach?

- Dziwi to pana?

- Dobra robota - odpowiada pan Nandha, wstając. Gestem otwiera ogólny kanał. - Wszyscy w sali konferencyjnej za trzydzieści minut.

Gdy wychodzi z pokoju Mukula, w czasie dzwonią mu kolejne potwierdzenia spotkania.

„Trzecia trzydzieści”, odczytuje z nakładki zegarowej w rogu pola widzenia, gdy jego zespół śledczy wchodzi do sali konferencyjnej i siada wokół owalnego stołu. W zbyt mocno oświetlonej sali wyczuwa zapach wyczerpania. Szuka pojemniczka ze swoją ajurwedyjską herbatką w torebkach i z rozczarowaniem odwraca się, stwierdziwszy, że nie ma go przy sobie.

- Panie Morva, jakieś postępy?

- Jedna z moich aeai wypluła nietypowy zakup: hodowane na zamówienie białkowe chipy od AFG z Bangalore; ciekawy jest w nich adres dostawy - ta nielicencjonowana klinika chirurgiczna pod Patną, w Strefie.

Pan Nandha kątem oka zauważa, że Sampath Dasgupta, młodszy konstabl, podskakuje, zobaczywszy coś na ekranie palmera, i pokazuje to swojej sąsiadce, Shanti Nene.

Madhvi Prasad:

- Jeszcze trochę o jej tożsamości. Ajmer Rao jest adoptowaną córką Sukrita i Devi Paramchanów, także z Bangalore. I tu jedna dziwna rzecz: są we wszystkich państwowych rejestrach, bazach podatkowych i urzędowych, ale w Centralnej Bazie DNA w Karnatace nie ma kompletnie nic. Rodzice byliby tam zarejestrowani przy urodzeniu dziecka. Dlatego próbuję zlokalizować jej biologicznych rodziców; to domysły, ale nie wydaje mi się, żeby bez powodu szperała w tej bazie.

Pan Nandha:

- Może chce się z nimi skontaktować. Możemy ją uprzedzić, znaleźć jakąś próbkę DNA w jej hotelu i samemu nawiązać ten kontakt. Świetnie. - Po prawej stronie stołu podnosi się gwar. - Czy o czymś nie wiem?

Sampath Dasgupta:

- Panie Nandha, zamordowano panią premier. Sajida Rana nie żyje.

Wokół stołu przetacza się szok. Dłonie sięgają po palmery, gestami wywołują kanały informacyjne na hoekach. Szepty przechodzą w głośne rozmowy, a potem wręcz w jazgot. Pan Nandha czeka, aż opadną pierwsze emocje. Głośno stuka w stół szklanką.

- Proszę o uwagę. - Zanim wszyscy ucichną, musi to powtórzyć dwukrotnie. - Dziękuję, panie i panowie, a teraz możemy wrócić do naszego spotkania?

Sampath Dasgupta wybucha.

- Ależ proszę pana, chodzi o naszą premier.

- Rozumiem to, panie Dasgupta.

- Nasza premier została zamordowana przez bandę karsewaków.

- A my będziemy kontynuować naszą pracę, panie Dasgupta, zadanie, które powierzył nam rząd: obronę tego kraju przed plagą nielicencjonowanych aeai.

Dasgupta kręci głową. Pan Nandha widzi, że rzucono mu wyzwanie: aby zachować autorytet, musi działać szybko i asertywnie.

- Jest dla mnie oczywiste, że istnieje powiązanie między Odeco, tą Ajmer Rao i aeai Kalki. A może też profesorem Thomasem Lullem, jego dawną asystentką Lisą Durnau. Niezwykle poważny spisek. Madhvi, zdobądź nakaz rewizji w hotelu Amar Mahal. Wyślę wniosek o natychmiastowe aresztowanie Ajmer Rao. Mukul, wyślij pismo do wszystkich posterunków policji w Varanasi i Patnie.

- Chyba trochę się pan spóźnił - przerywa mu Ram Lalli. Pan Nandha upomniałby go, ale trzyma prawą rękę przy uchu, rozmawiając przez telefon. - Policja rozesłała za nią list gończy. Ajmer Rao właśnie uciekła z aresztu w Rajghacie. Wciąż przetrzymują tam Thomasa Lulla.

- O co chodzi? - pyta pan Nandha.

- Policja ujęła ją w Archiwum Państwowym. Wygląda na to, że jest o krok przed nami.

- Policja? - Pan Nandha ma taki głos, jakby miał zwymiotować. Wisi nad próżnią. To jest właśnie ten Upadek Wszystkiego, który przeczuł w windzie. - Kiedy to się stało.

- Przymknęli ją około dziewiętnastej trzydzieści.

- Dlaczego nas nie zawiadomili? Za kogo nas mają, za jakichś babu, przekładaczy papierków?

- Padły wszystkie sieci w okręgu Rajghat - wyjaśnia Ram Lath.

- Lalli, do policji w Rajghacie - rozkazuje pan Nandha. - Przejmuję pełną odpowiedzialność za tę sprawę. Poinformuj ich, że teraz to sprawa Ministerstwa.

- Szefie. - Vik unosi rękę, zatrzymując pana Nandhę w drzwiach. - Musi pan to zobaczyć. Te pana biochipy, chyba wiem, gdzie one wylądowały.

Obraz wyskakuje, przesłaniając zegar, w rogu pola widzenia pana Nandhy. Widywał już takie niebieskie, widmowe czaszki: obrazy z kwantowego detektora rezonansowego, przedstawiające szczątki biochipów w czaszce Anreddy'ego, jakie pozostały po ataku pana Nandhy i Indry, były kluczowym dowodem, na podstawie którego został skazany. Ale nawet Anreddy, maharadża wśród dataradzów, nigdy nie nosił ich aż tylu. Klejnoty biochipów obrastają każdą fałdę, splot i zachyłek, każdy rowek i lukę.

Negatywne postaci jadą do miasteczka w deszczu, dosiadając swoich zajebistych japońskich terenowych motorów. Chunar jest dokładnie taki, jak obiecywał dataradża Anand: prowincjonalny, błotnisty, pożeniony wsobnie i pozamykany na noc. Jedyne miejsce, gdzie coś się dzieje, to call center firmy łamiącej szyfry: półprzezroczysty walec nadmuchiwane polietylenu w najbardziej tandetnym miejscu tandetnego miasteczka. Niegrzeczni chłopcy hamują, orząc ziemię, pod fortem Chunar. Jak większość starych budowli, z bliska jest większy i bardziej imponujący. Imponujący, czytaj: od strony rzeki jest nie do wyjebania. Jak coś z tych pakistańskich filmów o zemście, gdzie gość wyrównuje rachunki za zamordowanie narzeczonej, dopadając złego grubasa i jego baradari w twierdzy ich klanu. Shiv zadziera głowę wśród zacinającego deszczu, patrzy na postawiony tuż za blankami biały dom w stylu europejskim. Oświetlony reflektorami, bo taki miał kaprys Ramanandacharya, stanowi punkt nawigacyjny widoczny na kilometry w górę i w dół tego wijącego się, ponurego odcinka Gangi. Pawilon Warrena Hastingsa, według Skróconego Przewodnika Ananda. Warren Hastings. Brzmi jak nazwisko, które wymyślają sobie goście odbierający telefony w call center.

Z ich miejsca postoju prowadzą cztery drogi. W tył - tam skąd przyszli. W prawo - do mostu pontonowego. W lewo - ku pozostałościom po dawnym Chunarze: parę błotnistych zaułków, jedna reklama coca-coli i jakieś radio nastawione na hollywoodzką stację. Na wprost - brukowana droga

zakręca za wieżami strażniczymi i prowadzi przez luk bramy do fortu Chunar.

Teraz, gdy wreszcie się tu znalazł, pod zrujnowanymi wieżami z piaskowca, teraz, gdy widział, że jego plany realizują się jeden po drugim, prowadząc do jedyne go możliwego zakończenia, teraz Shiv zdaje sobie sprawę, że absolutnie musi wykonać to zadanie. Obawia się tych strażniczych wież, tej drogi zakręcającej tak, że nie widać, co będzie dalej. Ale jeszcze bardziej boi się pokazać Yogendrze, że kiedy przychodzi co do czego, nie jest radzią. Wygrzebuje małą torebkę z kieszeni rozprasających światło bojówek, wytrząsa z niej dwie tabletki.

- Ej.

Yogendra marszczy nos.

- Żeby trochę to wszystko stępić.

Piguły to pożegnalny prezencik dla bohatera od Priyi, kiedy w końcu udało mu się dopaść ją w klubie Musst.

Trupy obracające się w wodzie. Ozdobione frędzlami buty z gawiala spadające w wielki błękit.

Stojąc u podnóża zlanego deszczem fortu, Shiv przełyka obie tabletki.

- No dobra - mówi, obracając manetkę, przegazowując nowiutki japoński silniczek. -
Zaczynamy.

- Nie - odpowiada Yogendra.

Shiv nie od razu załapuje, i to wcale nie przez piguły.

- Że co?

- Wchodzimy tędy i nie żyjemy.

Shiv wyłącza silnik.

- Ale mamy plan. Anand...

- Anand chyba się zna. Zaćpany grubas, który nie wie, że życie to nie film. Jeśli tędy wejdziemy, rozniosą nas w sekundę.

Shiv nigdy nie słyszał z ust Yogendry tylu słów naraz. Ale chłopak gada dalej:

- Motory, paralizatory, szybko do środka, szybko się wycofać: pierdoły jak z Jamesa Bonda. Anand i jego, kurwa, dziewczynki w kombinezonach. Tędy nie idziemy.

Małe przyjaciółeczki Priyi sprawiają, że Shiv czuje się odważny, nieśmiertelny i wszystko go

wali. Kręci głową, patrząc na swojego pomocnika, i zwiija dłoń w pięść, żeby zrzucić go z motoru. W świetle reflektora błyska nóż Yogendry.

- Jeszcze raz mnie uderzysz, a cię potnę.

Shiv aż nieruchomieje ze zdumienia. A przynajmniej wydaje mu się, że to ze zdumienia.

- Ja ci powiem. Znajdziemy inne wejście, gdzieś z tyłu, wejdziemy dyskretnie, okej? Jak złodzieje. Wtedy przeżyjemy.

- Anand...

- Chuj z Anandem! - Shiv w życiu nie słyszał, żeby Yogendra podnosił głos. - Chuj z Anandem, jedziemy według planu Yogendry.

Yogendra odpala motor, dodaje gazu i rusza w lewo, przez ciemne, błotniste uliczki Chunaru. Shiv jedzie za nim, mijając ujadające bezpańskie psy i kręgosłupy drzew papai. Yogendra staje na podnóżkach, przeskakując motocyklem po kolejnych płytkich stopniach, wypatrując słabych punktów w ciemnych murach górujących nad sklepami i szopami. Kierują się przez plataninę zaułków ku fłance muru. Instykt Yogendry nie zawodzi. Fort Chunar jest jak mężatka z towarzystwa z Cantonmentu - z przodu zachowuje imponujący, dumny wygląd, z tyłu zaś jest kompletna ruina. Gruntowa droga przywiera do podstawy kruszących się murowanych umocnień; rdzewiejące blaszane tabliczki i obwisła druciana siatka informują, że ta część fortu była kiedyś bazą indyjskiej armii, opuszczoną od czasu powstania państwa. W końcu mury całkiem ustępują zięcej dziurze, niegdyś głównemu wjazdowi do bazy, teraz byle jak zagrodzonej blachą falistą i drutem kolczastym. Yogendra zatrzymuje kopniakiem motor i przypatruje się blasze. Grzechocze jednym z arkuszy, szarpie za róg. Stal skrzypi i ustępuje. Shiv pomaga, ciągną razem, wspólnie wyginają i wydzierają szczelinę wielkości radzi. W środku Yogendra otwiera palmera, aby porównać wskazania GPS-u z mapą Ananda. Pawilon Warrena Hastingsa świeci w oddali jak chrześcijański tort weselny. Badmaśie kulą się u podnóża muru, Shiv wyciąga gogle na podczerwień. Ciemna, ciemna noc zmienia się w staroświecki czarno-biały film, jak jeden z tych świetnych kawałków Satyajita Raya o biedakach i pociągach. Pawilon jaśnieje jak słońce. Yogendra znajduje najbliższą kamerę bezpieczeństwa. Wisi na słupku przy murze u podstawy wieży studziennej na południu, o dobre dwieście metrów sprintu przez ociekający deszczem czarno-biały świat. Świetną osłoną są pozbawione dachu ruiny dawnych koszarów indyjskiej armii. Na zachodzie wciąż błyska, nad sangamem Allahabadu, gdzie spotykają się trzy święte rzeki, Ganga, Jamuna i niewidzialna Saraswati, gdzie na ciemnej równinie walczą dwie armie. Każdy błysk oślepią układy gogli; Shiv wtedy po prostu na chwilę zamiera. Kiedy kamera patrzy w drugą stronę, Shiv i Yogendra podkradają się w jej ślepy punkt. Shiv wyciąga granat EMP i uzbraja go. Jeden po drugim napina palce na łyżce, nie pora teraz na skurcz. Zaciska powieki, gdy impuls przeciąża gogle, ale i tak oczy nabiegają mu łzami. Pod powiekami wirują fioletowe piórka i roślinki. Yogendra wchodzi po małpiemu na słupki i podcina do złącza kamery specjalnego palmera.

„Obiecywałem i mam, nie?” - mówił Anand, rzucając mu go do ręki. „Włączasz, wtykasz ten szpic w kabel sieciowy. W środku jest taki mój dzinik, świetna sprawa. Jak już wejdzie do sieci, kamera może patrzeć prosto na ciebie, a aeai i tak zobaczy tylko tło. Czapka niewidka”.

- Jest? - szepcze Shiv.

Yogendra poklepuje go dwa razy po plecach. Obchodzą podstawę baszty, kierując się ku południowej bramie, dla turystów; Gdy wchodzą w pole widzenia oka na słupku, Shiv i tak wstrzymuje oddech, czekając na wycie alarmu; brzęczenie latającej kamery wyłaniającej się zza blanków z neurotoksynowymi strzałkami w pogotowiu; nagły terkot broni automatycznej; szelest dobywającej miecza bojowej maszyny.

Ścieżka na południe prowadzi w dół. Poniżej jest mały zarośnięty cmentarzyk; sądząc po kształcie nagrobków, chrześcijański. Miejsce spoczynku Angoli, którzy pilnowali tego fortu. Głupki, myśli Shiv. Też se wybrali miejsce na śmierć. Poniżej zadrzewionego cmentarzyka stoi parę byle jakich chałup, ghaty dla praczek, rzeka, dalej skręcająca i niewidoczna. Zejście ku bramie dla turystów jest niebezpieczne, zdradzieckie, po śliskim od deszczu piaskowcu. Ale największy głupek to Bill Gates - marzyło mu się, że jego kasa wygra ze śmiercią.

Plan mówi, że Shiv i Yogendra mają przejść po murze nad główną bramą, dostając się na północną część umocnienia z widokiem na most, skąd łatwo zejść ku pawilonowi Hastingsa, ale gdy dwaj włamywacze kulą się za blankami, nasłuchując pomiędzy odległymi grzmotami odgłosów ochrony, Yogendra poklepuje Shiva po ramieniu, pokazując mu seksualny gest. Shiv podkreca zoom i mamrocze drobne przekleństwo, imię swoich małych bogów. W monochromatycznych goglach wyraźnie dostrzega dwa roboty bezpieczeństwa flankujące po obu stronach główne wejście, ze zwisającymi między dwiema nogami wieżyczkami gatlingów. Pomiędzy morderczymi maszynami znajduje się oślepiąco oświetlona budka strażnicza. Shiv widzi nawet wojskowe karabinki szturmowe wiszące na ścianie za drzemającym strażnikiem z buciarami na stole i białą płaszczyznę ekranu telewizora. Ewidentnie nie jest to laska w czerwonym kombinezonie.

- Chuj z Anandem - szepcze Shiv. - Tędy nie da się wyjść.

Yogendra, szczerząc zęby pod wielkimi goglami, pokazuje mu z satysfakcją uniesiony kciuk. Sznur pereł na szyi świeci w nocnych goglach. Kciuk Yogendry odskakuje w innym kierunku. Naokoło. U podstawy zawalonego muru przy bramie dla turystów Yogendra nagle powala Shiva na ziemię za kupą gruzu i pada na niego. Na ustach Shiva automatycznie pojawia się przekleństwo, wtem widzi, jak Yogendra dźga kciukiem bramę dla turystów. Z jej prześwietu, świecąc w podczerwieni jak pomniejsze bóstwo, wyłania się cierpliwie człapiący robot obronny. Główka z czujnikami, wysadzana jasnymi pajęczymi oczami, obraca się we wszystkie strony. Wieńczą ją anteny komunikacyjne jak boski diadem. Robot staje, unosi zasobniki z uzbrojeniem. Na czterech ramionach ma go tyle, i tak zróżnicowane, że mógłby zabić Yogendrę i Shiva pięć razy, na pięć różnych sposobów. Yogendra wciska głowę Shiva za kupę kamieni, rozpląszcza się na nim. Shiv leży płasko przez całą wieczność. Yogendra dużo nie waży, ale kamienie są kanciaste. Ich ostre szpice rozdzierają mu żebra. Wtem słyszy, co wcześniej zaalarmowało Yogendrę: ciche posykiwanie niekonserwowanego amortyzatora. Patrzą, jak potwór człapie poza zasięg ich wzroku, znikając za krzywizną wieży studziennej, po czym wyskakują z ukrycia i biegną ku południowej połaci muru.

Przywierając do południowego muru, okrążają basztę południowo-zachodnią i przedostają się na nadrzeczny taras. Mięśnie ud Shiva krzyczą od wymuszonego półprzysiada. Jest przemoczony bardziej niż na wylot. Pawilon Hastingsa wznosi się przed nim jak księżyc, hipnotyzując swym

białym jak Tadz kamieniem. Niechętnie odwraca wzrok, szturcha Yogendrę w udo.

- Ej.

Pośrodku dziedzińca stoi prosta świątynia na planie kwadratu, typowa dla plemienia Lodhi. Jej górne piętra są udekorowane łuszczącymi się muralami przedstawiającymi Śiwę, Parvati i Ganeśię - dzieło znudzonych dżawanów z indyjskiej armii, wykonane za pomocą nadwyżek wojskowej farby. Suddhawasa, krypta kryptografii.

- Wchodzimy...

Dzieciak puka w gogle Shiva, kręci palcem w elokwentnym geście „daj jaśniej”. Świątynia na nowo przeskakuje w ostrość. Shiv widzi w środku, pomiędzy łukami, ciemną kłębiącą się masę, nieustannie przelewającą się i falującą. Podkreca zoom. Roboty. Roboty-skarabeusze. Setki. Tysiące. Istna plaga, tłoczące się jeden przy drugim, łączące jeden po drugim, podskakujące, biegające na plastikowych odnóżach.

Yogendra wskazuje świątynię.

- Plan Ananda. - Potem śnieżnobiały pawilon. - Plan Yogendry.

Obserwują strażnika na dawnym mogolskim placu do egzekucji. Nie nosi gogli podczerwonych, więc mogą podejść na odległość łatwego strzału z paralizatora. Strażnik staje nad urwiskiem i z przyjemnością sika w przepaść. Yogendra starannie mierzy do nocnego sikuna. Szczęknięcie broni jest niemal niesłyszalne, ale we wzmocnionym polu widzenia Shiva efekt jest spektakularny. Otacza go rozjarzona chmura, po ciele rozpełzają się mikroskopijne błyskawice. Pada z fiutem na wierzchu. Yogendra jest przy nim, zanim skończy się wić. Wyciąga z kabury na udzie ciężki czarny pistolet automatyczny Stieczkina, podnosi do twarzy, uśmiecha się do jego kształtów i konturów. Shiv chwytą go za przegub.

- Nie, kurwa.

- Tak, kurwa - odpowiada Yogendra.

Robot-rakszasa mija ich, robiąc kolejną rundkę. Shiv i Yogendra przyciskają się do nieprzytomnego, zlewając z nim swoje odczyty termiczne. W ramach prezentu pożegnalnego Shiv zostawia sikunowi uzbrojoną minę paralizującą. Żeby zabezpieczyć tyły. Za wieżą skazańców mury cofają się za pawilon Hastingsa, izolując go na jego marmurowym postumencie. Shiv musi przyznać, że widok oszałamia nawet w deszczu. Budynek stoi na skraju stromego urwiska, opadającego ku blaszanym dachom Chunaru. We wzmocnionej wizji Shiva nizina skrzy się jak odwrócone nocne niebo, światełkami wsi, samochodów i ekspresowych pociągów. Lecz nad wszystkim dominuje Ganga Mata, srebrny brzeszczot, broń boga, szeroka jak cały świat, pofalowana jak damasceński miecz, który kiedyś Shiv widział w sklepie z antykami w Kashi i pożył, jako atrybut godny radzi. Wiedzie wzrokiem wzdłuż krzywizny rzeki aż po łunę nad Varanasi, jak wielki pożar gdzieś za horyzontem.

Pawilon, który zbudował sobie pierwszy gubernator Radżu, Warren Hastings, by móc podziwiać ten widok, jest anglo-mogolską hybrydą, klasyczne kolumny podpierają tradycyjny, otwarty mogolski diwan z zamkniętym pięciem. Shiv skręca gogle na minimum. Zagląda. Wydaje mu się, że diwan wypełniają ciała, zaścielają całą podłogę. Nie ma czasu na gapienie się. Yogendra poklepuje go jeszcze raz. Mur jest tu niższy, opada ku marmurowemu postumentowi. Yogendra prześlizguje się między blankami, potem słysząc chropowaty ślizg i gdy zerka jeszcze raz, chłopak przyzywa go z dołu. Jest wyżej i bardziej stromo niż się Shivowi wydawało, nawet mimo pigulek na brawurę; ląduje ciężko, boleśnie, powstrzymuje jęk. Postacie w otwartym pawilonie poruszają się niespokojnie.

Shiv odwraca się ku potencjalnemu niebezpieczeństwu.

- Kurwa mać - rzuca z podziwem.

Na wyłożonej dywanami posadzce widzi mnóstwo kobiet. Hindusek, Filipinek, Chinek, Tajek, Nepalek, nawet Afrykanek. Młode kobiety. Tanie kobiety. Kobiety kupione, ubrane nie w czerwone, obcisłe kombinezony, lecz w stylu klasycznej mogolskiej zenany: w przejrzyste coli, lekkie jedwabne sari i prześwitujące szarawary. Pośrodku, na niskiej sofie na podwyższeniu, porusza się tłuste cielsko dataradźi Ramanandacharyi, w pozie mogolskiego magnata. Yogendra już idzie ku niemu przez harem. Kobiety uciekają przed nim, rozlega się coraz więcej niespokojnych głosów. Shiv widzi, jak Ramanandacharya sięga po palmera. Yogendra wyciąga stieczkina. Konsternacja przeradza się w paniczne krzyki. Mają tylko parę chwil, potem to przestanie działać. Yogendra podchodzi do Ramanandacharyi i nonszalancko wtyka mu lufę stieczkina we wglębie pod uchem.

- Zamknąć się, kurwa! Wszyscy! - krzyczy Shiv.

Kobiety. Wszędzie kobiety. Kobiety każdej rasy i narodowości. Kobiety młode. Kobiety o pięknych piersiach i prześlicznych sutkach prześwitujących przez przejrzyste coli. Pieprzony Ramanandacharya.

- Zamknąć. Się. Kurwa. Wszyscy. No dobra. Gruby. Masz coś, co nas interesuje.

Najia słyszy dobiegające z domu głosy dzieci. Dhobi zniknęło z krzaków, zamiast niego od kuchennych drzwi do kwitnących teraz moreli ciągną się pasma kolorowej krajki. Składane stoliki zasłane barwnymi tkaninami uginają się od chałwy, pomarańczowych obwarzanków zalesi, migdałów w cukrze, słodkich kulek rasgulli, krówek barfi i wielkich plastikowych butli niedietetycznej coca-coli. Gdy Najia zbliża się do domu, dzieci wypryskają z otwartych drzwi patio do ogrodu, rozbiegają się i krzyczą, ubrane w sportowe ubranka Kid at Gap.

- Pamiętam to! - mówi Najia odwracając się do aeai. - To moje czwarte urodziny. Jak ty to robisz?

- Wizja to kwestia nagrań, dzieci są takie, jak ci się wydaje, że pamiętasz. Pamięć to takie plastyczne urządzenie. Wejdziemy do środka?

Najia zatrzymuje się w drzwiach, unosząc dłonie do ust, zdumiona siłą wspomnienia. Jedwabne pokrowce - matka upierała się, by nałożyć je na oparcia wszystkich krzeseł. Rosyjski samowar przy stole, zawsze nastawiony; sam stół, kurz i okruchy wgryzione na wieki w chińską snyderkę, w której, mając cztery lata, dopatrywała się dróg i ścieżek dla swoich lalek i samochodzików. Elektryczna kawiarka po drugiej stronie stołu, też zawsze włączona. Krzesła tak ciężkie, że sama nie dawała rady ich przesunąć i prosiła pokojówkę Shukrię, by pomagała jej budować domy i sklepy z kijów od szcztoki i koców. A na nich, wokół stołu - jej rodzice i ich znajomi, rozmawiający przy kawie i herbacie, mężczyźni ze sobą, kobiety ze sobą; mężczyźni o polityce, sporcie i awansach, kobiety o dzieciach, cenach i awansach. Dzwoni palmer ojca, marszczy brwi i wygląda dokładnie tak, jak go pamięta z rodzinnych zdjęć, kiedy miał jeszcze włosy, a broda była czarna i schludna, kiedy nie potrzebował niemęskich połówkowych okularów. Mamrocze przeprosiny, idzie do gabinetu, gdzie Najii nie wolno wchodzić, bo pełno tam ostrych trujących delikatnych osobistych zaraźliwych niebezpiecznych rzeczy, jak to u lekarza w gabinecie. Najia przygląda się, jak wychodzi z czarnym neseserem, tym drugim, tym, którego nie używa codziennie, który jest tylko na specjalne wizyty. Widzi, jak wyslizguje się na ulicę.

- Miałam urodziny, a jego nie było jak dawali mi prezenty i na przyjęciu. Wrócił późno, kiedy wszyscy już poszli i był zbyt zmęczony, żeby cokolwiek zrobić.

Aeai zaprasza ją do kuchni; razem z trzema schodkami w dół mijają trzy miesiące, teraz jest bowiem ciemny, jesienny wieczór, kobiety przygotowują iftar, posiłek kończący dzień ramadanu. Najia idzie za tacami z jedzeniem do jadalni. Tego roku koledzy ojca, ci ze szpitala i ci w mundurach, w ramadanowe wieczory często zbierają się w domu, rozmawiając o niebezpiecznych studentach i radykalnych duchownych, którzy chcieliby cofnąć ich wszystkich do średniowiecza, oraz o zamieszkach, strajkach i aresztowaniach. Potem zauważają dziewczynkę stojącą przy końcu stołu z miską ryżu, przerywają rozmowy, by się uśmiechać, mierzwić jej włosy i przysuwać twarze zbyt blisko. Nagle wszystko przyćmiewa zapach ryżu z pomidorami. Ból jak nóż wbity w bok głowy każe Najii upuścić miskę z ryżem. Krzyczy. Nikt nie słyszy. Koledzy ojca gadają dalej. Miska z daniem nie może upaść. To wspomnienie. Słyszy słowa, których nie może pamiętać.

- ...przykręci mułom śrubę...

- ...poprzenosić środki za granicę. Londyn jest w porządku, oni nas tam rozumieją...

- ...twoje nazwisko będzie wysoko na ich listach...

- ...Masoud nie będzie ich bronił do upadłego...

- ...wiesz co to punkt przegięcia? W Ameryce mają taki matematyczny termin: nie czepiaj się od razu. W skrócie: nigdy nie wiesz, że się wali, dopóki nie jest za późno...

- ...Masoud nie dopuści, żeby to zaszło tak daleko...

- ...na twoim miejscu poważnie bym się rozejrzał, rozumiesz, masz żonę i małą Najię...

Dłoń wyciąga się, by zwichrzyć jej delikatnie kręcone czarne włosy. Świat zmienia się w

okamgnieniu, stoi teraz w piżamce z Mammoths w półotwartych drzwiach salonu.

- Co ty mi robisz? - pyta Najia aeai, której obecność bardziej wyczuwa niż dostrzega. - Słyszałam rzeczy, o których nie pamiętałam od wielu lat, przez prawie całe życie...

- Hiperstymulacja nabłonka węchowego. Najskuteczniejsza metoda wywoływania ukrytych zapisów pamięciowych. Zapach to najpotężniejszy aktywator wspomnień.

- Ryz pomidorowy... skąd wiedziałeś? - Najia szepcze, mimo że wspomnieniowi rodzice jej nie słyszą, mogą tylko odgrywać przypisane im role.

- Pamięć to mój budulec - odpowiada aeai, a Najia znów traci dech i zgina się w kolejnym ataku migreny, gdy ciska ją w przeszłość zapamiętany zapach wody z kwiatem pomarańczy.

Rozchyła świetlną szczelinę uchylonych drzwi. Matka i ojciec unoszą głowy znad oświetlonego lampką stolika. Jak pamięta, na zegarze jest jedenasta. Jak pamięta, pytają ją, co się stało. „Nie możesz spać? Czemu, skarbie?”. Jak pamięta, odpowiada, że to przez helikoptery. Jak zapomniała, na lakierowanym stoliku do kawy, pod rzędem wiszących na ścianie w ramach ojcowskich dyplomów, świadectw i dokumentów przyjęcia do naukowych towarzystw leży kawałek czarnego aksamitu wielkości książeczki do kolorowania. A na aksamicie, jak gwiazdy, tak jasne, tak świetliste w blasku lampki, że Najia nie rozumie, jak mogła kiedykolwiek zapomnieć ten widok, leży konstelacja diamentów.

Ich fasetki rozwijają jej jaźń i przewijają naprzód, koziółkującą przez czas jak odłamek szkła w kalejdoskopie.

Jest zima. Morele stoją nagie; pod białą ścianą z zaciekami leży zaspą suchego, ostrego jak zwir śniegu. Góry wydają się tak bliskie, że mogą promieniować zimnem. Pamięta, że ich dom był ostatni w osiedlu. Przy ich furtce ulica się kończyła, a jałowa, surowa ziemia ciągnęła się dalej ku wzgórzom. Ostatni dom w Kabulu. O każdej porze roku wiatr dał po wielkiej równinie i rzucał się na pierwszy napotkany pionowy przedmiot. Nie przypomina sobie, by widziała na drzewach choć jedną morelę. Stoi tam w grubej budrysówce z futrzanym kapturem, w długich butach i rękawiczkach na sznurku przewleczonym przez rękawy, ponieważ wczoraj wieczorem, jak co wieczór, słyszała dobiegające z ogrodu hałasy i wyjrzała przez okno, ale to nie byli źli żołnierze, ani źli studenci, to jej ojciec kopał w miękkiej ziemi między owocowymi drzewami. Teraz stoi na tej nieznaczej wypukłości świeżej gleby z łopatką ogrodniczą w dłoni. Ojciec jest w pracy, w szpitalu, pomaga kobietom rodzić dzieci. Matka ogląda w telewizji przetłumaczoną na paszto indyjską telenowelę. Wszyscy mówią, że jest strasznie głupia, że to strata czasu, że taka indyjska, ale i tak ją oglądają. Opada na kolana, w karbowanych zimowych rajstopach, i zaczyna kopać. W dół, w dół, wbić i odgarnąć, w końcu zielone, emaliowane ostrze zgrzyta o metal. Odrzuca jeszcze trochę ziemi, wyciąga to, co schował ojciec. A potem prawie wrzuca miękki bezkształtny przedmiot z powrotem, myśląc, że to zdechły kot. Potem rozumie, co znalazła: czarną torbę. Tę drugą czarną torbę, do wizyt specjalnych. Sięga do srebrnych okuć.

W pamięci Najii Askaradah to wszystko kończy krzyk matki z kuchennych drzwi. Potem urywane wspomnienia: krzyki, gniewne głosy, kara, ból i zaraz potem ucieczka o północy ulicami

Kabulu, kiedy leży na tylnym siedzeniu, a nad nią migocą latarnie, raz błysk dwa błysk trzy błysk cztery. Natomiast w wirtualnym dzieciństwie aeai wrzask przechodzi w ostry zapach zimy, mrozu, stali i wyschniętych, martwych rzeczy, tak intensywny, że niemal oślepiający. I Najia przypomina sobie. Pamięta, jak otwierała torbę. *Matka pędząca przez patio, roztrącająca plastikowe krzeselka, które mieszkają tam przez cały rok. Pamięta, że zajrzała do środka. Matka wykrzykująca jej imię. Ona jednak nie podnosi wzroku, bo w środku są zabawki, zabawki z błyszczącego metalu, zabawki z ciemnej gumy.* Pamięta, jak dłońmi w rękawiczkach unosiła przedmioty ze stali nierdzewnej do zimowego światła: wziernik, zakrzywiona chirurgiczna igła do szycia, łyżeczka do łyżeczkowania, strzykawki i tuby żelę, elektrody, krótka, żebrowana guma pałki elektrycznej. *Matka odciągająca ją za futrzany kaptur, wytrącająca jej z rąk metalowe i gumowe przedmioty, przewracająca ją na ścieżkę, twardy od mrozu żwir rozdzierający jej rajstopy, obcierający kolana.*

Delikatne gałązki moreli splatają się i wrzucają Najię Askaradah w kolejne niezupełnie własne wspomnienie. Nigdy nie była w tym korytarzu o zielonej betonowej podłodze, ale wie, że istniał. Ta iluzja jest prawdziwa. Korytarz, jaki można by zobaczyć w szpitalu, nie pachnie jednak szpitalem. Ma szpitalne, wielkie, półprzejrzyste, wahadłowe drzwi; na metalowych krawędziach są poobijane z farby - to sugeruje spory ruch, lecz teraz jest tu tylko Najia. Z żaluzjowych okien po jednej stronie wieje lodowate powietrze, po drugiej są ponazywane i ponumerowane drzwi. Najia przechodzi przez jedną parę wahadłowych drzwi, drugą, trzecią. Za każdymi kolejnym głós staje się odrobinę głośniejszy, głós szlochającej kobiety, kobiety za kresem wszystkiego, gdzie nie ma już wstydu ani godności. Najia kieruje się w stronę tego krzyku. Mija porzucony przy drzwiach szpitalny wózek z paskami do wiązania kostek, przegubów, talii. Szyi. Najia pokonuje ostatnią parę drzwi. Szloch nasila się do przenikliwego zawodzenia. Dobiega zza ostatnich drzwi po lewej. Najia otwiera je, napierając na silną sprężynę.

Środek pokoju zajmuje stół. Kobieta zajmuje środek stołu. Obok jej głowy na stoliku leży dyktafon, podłączony do mikrofonu pod sufitem. Jest naga, kostki i dłonie ma przywiązane do pierścieni w rogach stołu. Leży z rozłożonymi, mocno naciągniętymi rękoma i nogami. Jej piersi, wewnętrzna strona ud i ogolony wzgórek łonowy są całe upstrzone przypaleniami od papierosów. Błyszczący, chromowany wziernik rozwiera jej waginę na wprost Najii Askaradah. U nóg siedzi mężczyzna w lekarskim kitlu i zielonym, plastikowym fartuchu. Kończy rozsmarowywać żel kontaktowy na krótkiej elektrycznej pałce, maksymalnie rozszerza wziernik i wsuwa czarny przedmiot między stalowe wargi. Wrzaski kobiety stają się niezrozumiałe. Mężczyzna wzdycha, odwraca się do córki, unosi brwi na powitanie i wciska włącznik.

- Nie! - wrzeszczy Najia.

Pojawia się biały błysk, ryk jakby kończył się świat. Skóra jej migocze od synestetycznego szoku, czuje zapach cebuli kadzidełka selera rdzy, leży płasko na podłodze w dziale scenografii Indiapendent. Tal klęczy nad nią. Trzyma w dłoni hoeka. Szok odłączenia. Neurony szaleją. Najia Askaradah porusza ustami. Są słowa, które musi wypowiedzieć, pytania, które musi zadać, ale już wyrzucono ją z tamtego świata. Tal wyciąga smukłą dłoń, pogania niecierpliwie.

- No chodź, coś ćuit, trzeba zmykać.

- On powiedział, że mój ojciec...

- Powiedział dużo rzeczy, baba. Dużo słyszałam. Nie chcę wiedzieć, to między tobą a nim, ale musimy już iść.

Tal łapie ją za przegub, unosi z bezwładnej pozycji na podłodze. Jego zadziwiająca siła przebija się przez mgłę retrospekcji; drzewa morelowe zimną, otwierającą się miękką czarną torbą, wędrówka zielonym korytarzem, pokój ze stołem i chromowanym cyfrowym dyktafonem.

- Pokazał mi mojego ojca. Zabrał mnie z powrotem do Kabulu, pokazał ojca...

Tal wypycha Najię wyjściem ewakuacyjnym na, stalową klatkę schodową.

- Na pewno pokazał ci, co tylko mógł, żebyś siedziała i gadała, dopóki nie zdąży ściągnąć tu karsewaków. Dzwonił Pande, już tu idą. Baba, ty za bardzo wszystkim ufasz. Ja, ja jestem neutko i nie ufam nikomu, a sobie to już w ogóle. No dobra, idziesz czy chcesz skończyć jak nasza szanowana pani premier?

Najia ogląda się na zakrzywiony ekran, chromowany przecinek hoeka na biurku. Uspokajające złudzenia. Idzie za Talem jak małe dziecko. Schody są szklanym walcem pełnym deszczu. Jakby znaleźć się pod wodospadem. Trzymając się za rękę, Najia i Tal schodzą po stalowych stopniach ku zielonemu światłu wyjścia.

Thomas Lull kładzie na stole ostatnie z trzech zdjęć. Lisa Durnau zauważa, że niepostrzeżenie zastosował sztuczkę. Kolejność jest odwrócona: Lisa, Lull, Aj. Szulerski karciany trik.

- Skłaniam się ku teorii, że czas zmienia wszystkie rzeczy w ich przeciwieństwa - mówi Thomas Lull.

Lisa Durnau siedzi naprzeciw niego przy powykruszonym melaminowym blacie. Ekspresowy wodolot z Varanasi do Patny jest potwornie przeładowany, każdy kąt i zakamarek przestrzeni pasażerskiej wypełniają zakwefione kobiety, bele byle jak zapakowanego dobytku i dzieci o zapuchniętych od płaczu twarzach, rozglądające się wokół z rozdziawionymi ustami. Thomas Lull miesza čaj w plastikowej filizance.

- Pamiętasz, jeszcze w Oksfordzie... tuż zanim... - Kręci głową.

- No, nie pozwoliłam im, żeby srali po Alterre reklamami coca-coli.

Ale nie potrafi powiedzieć mu, co ją teraz niepokoi w powierzonym jej świecie. Czekać w konsulacie, aż przyjdą listy uwierzytelniające status dyplomatyczny, zajrzała na chwilę do Alterre. Popiół, osmalone skały, atomowe niebo. Nic żywego. Martwa planeta. Według filozofii Thomasa Lulla, świat równie realny, jak każdy inny. Nie potrafi o tym myśleć, wczuć się, ubolewać na nim, tak jak powinna. Skup się na tym, co jest tu i teraz, co leży przed tobą na stole. Jednakże gdzieś u podstawy jej mózgu leży zwinięte w kłębek podejrzenie, że wymieranie Alterre jest powiązane z tymi historiami i ludźmi, którzy się tutaj łączą.

- Jezus Maria, L. Durnau. Honorowy konsul, ożeż kurwa.

- A co, podobało ci się siedzenie na tym komisariacie?

- Nie bardziej niż tobie, kiedy Pan Ciemności posuwał cię w dupę. Poleciałaś dla nich w kosmos.

- Tylko dlatego, że nie mogli dopaść ciebie.

- Ja bym nie poleciał.

Pamięta jeszcze, jak na niego spojrzeć. Unosi ręce w obronnym geście.

- No dobra, jestem pierdolonym kłamcą.

Facet siedzący na końcu ich stolika odwraca się i gromi wzrokiem wulgarnego Zachodniaka. Thomas Lull powoli, z namaszczeniem dotyka każdego ze zdjęć.

- Nie umiem tego wyjaśnić. Przykro mi, że przejechałaś taki kawał drogi, żeby się tego dowiedzieć, ale nie umiem. Ty umiesz? W końcu twoje zdjęcie też tam jest. Wiem tyle: zamiast dwóch tajemnic mamy teraz jedną. - Wyciąga palmera, wywołuje wykradzione zdjęcie wnętrza głowy Aj połyskującej pływającymi dijami białkowych procesorów, kładzie je obok jej zdjęcia z Tabernakulum.

- Chyba musimy zawrzeć jakiś układ. Pomożesz mi znaleźć Aj i udowodnić, że prawda o niej jest taka, jak myślę, a ja dam ci, co tylko się da wyciągnąć z Tabernakulum.

Lisa Durnau wyciąga Tabliczkę z miękkiego skórzanego futerału i kładzie po drugiej stronie stołu, tuż obok własnej podobizny z Tabernakulum.

- Wracasz ze mną.

Thomas Lull kręci głową.

- Takiego układu nie będzie. Przekażesz im to wszystko, ale ja nie wracam.

- Jesteś nam potrzebny.

- Nam? Co, powiesz mi, że to mój obywatelski obowiązek, nie tylko wobec Ameryki, ale całego świata, ponieść ofiarę przez wzgląd na epokową chwilę, kontakt z „cywilizacją pozaziemską”?

- Wiesz co, Lull, pierdol się.

Facet znów wytrzeszcza oczy na takie słowo w ustach kobiety. Statek podskakuje i z łoskotem uderza w jakąś podwodną przeszkodę.

Tego monsunowego ranka wodolot do Patny przypomina barkę z uchodźcami. Varanasi przeżywa spazmy. Fale uderzeniowe rozchodzące się od ronda Sarkhand skryzalizowały przedwieczne animozje i nienawiści. Teraz już chodzi nie tylko o neutki: teraz to także muzułmanie, Sikhowie, Zachodniacy - miasto Śiwy miota się w konwulsjach, szukając ofiar. Amerykańscy marines eskortowali samochód ambasady od komisariatu, przez pospiesznie poustawiane posterunki bharackiej armii. Thomas Lull zachodził w głowę, po co na prawym błotniku auta trzepotała dumnie amerykańska flaga, a marines i dzawani zerkali po sobie. W ciemności syreny po dopplerowsku zmieniały ton. Nad głową łomotał helikopter. Konwój minął szereg splądrowanych sklepików: stalowe rolety wyłamane lub wgniecione do środka. Obok przejechał pikap pełen młodych karsewaków. Nachylili się, by zajrzeć do ambasadorskiego auta. Oczy mieli szerokie od gandzi, w rękach trisule, widły, starożytne miecze. Szofer łypnął na nich, wdepnął gaz i przyspieszył, trąbiąc wieloma klaksonami. Wszędzie unosił się zapach mokrej spalenizny.

- Gdzieś tam jest Aj - powiedział Thomas Lull.

Na przystani wodolotów padał ciężki, brudny od dymu deszcz, ale miasto już powoli wyściubiało nosy z domów - tu zerknięcie przez drzwi, tam przemknięcie ukradkiem między wypalonymi maruti, a obrabowanymi muzułmańskimi sklepami, przejeżdżający cichcem fatfat. Trzeba w końcu dalej zarabiać na życie. Miasto jakby wstrzymało oddech i teraz w końcu pozwoliło sobie na przeciągły, rozdygotany wydech. Przez wąskie uliczki ku rzece parł zwarty tłum. To wyjeżdżali muzułmanie - z bagażami na taczkach, rowerach, w przeładowanych riksach i fatfatach, w roztrąbionych maruti, taksówkach i pikapach. Thomas Lull i Lisa przeciskali się przez beznadziejnie zakorkowaną ulicę. Wielu porzuciło pojazdy i rozładowywało ocalony dobytek: komputery, maszyny do szycia, tokarki, wielkie, pękate toboły pościeli i ubrań owiniętych niebieskim plastikowym sznurkiem.

- Widziałem się z Chandrą na uniwersytecie - powiedział Thomas Lull, gdy przeciskali się przez plątaninę porzuconych pedałowanych riksach na ghat, gdzie oddzielne strumienie uchodźców zlewały się w jedną wedyjską hordę na skraju wody. - Anjali i Jean-Yves zajmowali się interfejsami człowiek - aeai, a konkretnie, wszczepianiem białkowych macierzy procesorowych do struktur neuronowych. Bezpośrednimi połączeniami mózg - komputer.

Lisa Durnau usiłowała nie stracić go z oczu. Jaskrawoniebieska koszula w palmy stanowiła dobry punkt orientacyjny pośród ludzi i pakunków. Ale raz się potkniesz na tych kamiennych stopniach i już nie żyjesz.

- Prawnik dał Aj zdjęcie. Jej własne, po jakiejś operacji, z Jeanem-Yves'em i Anjali. Rozpoznałem miejsce, to była Patna, na nowym ghacie. I wtedy sobie coś przypomniałem. W Thekkady, kiedy pracowałem w tych plażowych klubach, znałem dużo handlarzy emotykami. Większość towaru przychodziła z Bangalore i Chennai, ale jeden gość ściągał wszystko z północy, ze Strefy Wolnego Handlu w Patnie. Mieli wszystko, co można dostać w Bangalore, cztery razy taniej. Jeździł tam mniej więcej co miesiąc, i pamiętam, że opowiadał mi, że ten lekarz z szarej strefy robił także te drastyczne operacje mężczyzn i kobiet, którzy już nie chcą być kobietami i mężczyznami, rozumiesz, co mam na myśli.

- Neutków! - wrzasnęła Lisa Durnau ponad morzem głów.

Załoga wodolotu zabarykadowała barierkami wejście na trap i zbierała pieniądze z rąk wyciągniętych między prętami, pojedynczo wpuszczając uchodźców na pokład. Pomyślała sobie, że są mniej więcej w połowie drogi, ale powoli zaczynała odczuwać zmęczenie.

- Neutków! - odkrzyknął Thomas Lull. - Naciągane, ale jeśli mam rację, to jest brakujący kawałek układanki.

Jakiej układanki, chciała zapytać Lisa Durnau, ale tłum naparł. Wodolot zapełniał się z każdą sekundą. Uchodźcy stali po pas w Gangesie, unosili niemowlęta i dzieci ku załodze wodolotu, która obcesowo odpychała je tyczkami. Thomas Lull przyciągnął Lisę bliżej do siebie. Przecisnęli się na przód kolejki. Stalowa bramka się otworzyła, stalowa bramka się zatrzasnęła. Ciało naparły na pręty.

- Masz jakąś kasę?

Rewizja w torbie wykryła trzysta dolarów w czekach podróźnych. Thomas Lull zamachał nimi nad głową.

- Dolary! Dolary!

Steward kiwnął na niego. Pozostali odepchnęli ludzi uczeponych prętów.

- Ile ile?

Thomas Lull pokazał dwa palce.

- Dawać dawać.

Przecisnęli się przez ledwo uchyloną bramkę, wspięli się po trapie na pokład. Dziesięć minut później potężnie przeładowany wodolot odbił od nadal rosnącego tłumu na gładzie. Lisie Durnau, wyglądającej przez brudne okienko, kojarzył się z krwawym skrzepem.

W zatłoczonej mesie podsuwa Lullovi Tabliczkę. On przegląda strony danych z Tabernakulum.

- I jak to jest w tym całym kosmosie?

- Śmierdzi. I męczy. Przez większość czasu jesteś rozkojarzony i właściwie nic nie widać.

- Trochę jak na festiwalu rockowym. Ale co pierwsze rzuciło mi się w oczy: zakładasz, że to jest artefakt pozaziemskiej cywilizacji.

- A skoro Tabernakulum ma siedem miliardów lat, to czemu w każdym kącie nie widzimy tych obcych?

- Wariant paradoksu Fermiego: skoro obcy istnieją, to gdzie są? Przeliczmy to sobie: jeśli założymy, że ich prędkość ekspansji to choćby jedna dziesiąta prędkości światła, to i tak w siedem miliardów lat skolonizowaliby wszystko aż po galaktyki w Rzeźbiarzu.

- Nie byłoby nic poza nimi...

- A tymczasem co mamy? Jedną szajsowatą asteroidkę? Jakoś nie wydaje mi się. Na marginesie, ona jest prawie dwa razy starsza od naszego układu słonecznego...

- Skąd wiedzieli, że my tu będziemy i ją znajdziemy?

- Że z tego wiru gwiazdowego pyłu powstaniesz kiedyś ty, ja i Aj. Tę teorię chyba możemy pominąć. Spekulacja numer dwa: to przekaz od Boga.

- Oj, Lull, daj spokój.

- Postawiłbym więcej niż jeden do jednego, że na śniadaniu w Białym Domu szeptało się takie rzeczy przy modlitwie. Koniec świata nadciąga.

- W takim razie to będzie koniec racjonalnego pojmowania świata. Wracamy do Epoki Cudów.

- Dokładnie. A ja chciałbym myśleć, że moje życie naukowca nie było kompletną stratą czasu. Dlatego będę się trzymać teorii, które mają w sobie choćby trochę racjonalizmu. Spekulacja numer trzy: inny wszechświat.

- Przyszło mi to do głowy - mówi Lisa Durnau.

- No, ze wszystkich ludzi to właśnie ty najlepiej wiesz, o co chodzi z poliwersum. Big Bang rozpada się na szereg oddzielnych wszechświatów o nieco różnych prawach fizyki. Prawdopodobieństwo, że istnieje przynajmniej jeden wszechświat, w którym istnieje Aj, Lull i Durnau, to dosłownie sto procent.

- I ma siedem miliardów lat?

- Inne prawa fizyki. Szybszy czas.

- Spekulacja numer cztery.

- Spekulacja cztery: to wszystko gra. Czy raczej symulacja. Na pewnym głębokim poziomie fizyczna rzeczywistość sprowadza się do reguł i zastosowania tych reguł. Z takich prostych programów mogą powstać rzeczy o nieprzeliczalnej złożoności. Tak samo jest z komputerową wirtualną rzeczywistością... L. Durnau, ja to powtarzałem przez całe życie. I w tym sęk: oboje jesteśmy symulacjami. Powtórkami puszczoneymi na największym komputerze, w Punkcie Omega na końcu czasoprzestrzeni. Zawsze większe jest prawdopodobieństwo, że nasza rzeczywistość jest powtórką, nie oryginałem.

- A w systemie pojawiają się błędy. Nasza tajemnicza asteroida, co ma siedem miliardów lat.

- Sugerujesz nagły zwrot akcji w „Simsach”.

- Przecież nikt nie może zobaczyć wielkiego i potężnego czarnoksiężnika z Oz - wyjaśnia Lisa

Durnau.

- Ale my nie jesteśmy już w Kansas.

Ćaj-wallah przechodzi, wymachując urną ze stali nierdzewnej, skandując swoją mantrę: „Ćaj, kafi”. Thomas Lull bierze dolewkę.

- Nie wiem, jak ty to możesz pić - mówi Lisa.

- Spekulacja piąta. Jak na tajemniczy artefakt obcych, trochę to byle jakie. Lepsze efekty specjalne widziałem w *Mieście i wsi*.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Wygląda, jakbyśmy sami go zbudowali - gdybyśmy chcieli sami sobie coś przekazać.

- W sposób, którego nie da się zignorować, przez asteroidę, której tor przecina się z Ziemią. Tak żebyśmy musieli usunąć ją sobie z drogi.

Lisa Durnau się waha. To już nawet nie jest naciągane.

- Z przyszłości.

- Nie ma w nim nic, czego nie moglibyśmy osiągnąć w paręset lat.

- To ostrzeżenie?

- A po co wysłać coś w przeszłość, jeśli nie chcesz naprawdę, kurna, konkretnie zmienić historii? Lullowie i Durnauowie, nasze n-prawnuki natrafiły na coś, z czym nie mogą sobie poradzić. Ale gdyby zajęły się tym z paręsetletnim wyprzedzeniem...

- Nie wyobrażam sobie, co to może być takiego. Potrafią przenosić rzeczy w czasie, a jeszcze mają z tym czymś problem.

- Za to ja sobie wyobrażam - mówi Thomas Lull. - Ostateczna wojna między ludźmi a aeai. Będziemy się mierzyć z aeai dziesiątej generacji, o mocy sto milionów większej niż Trójki.

- Oznacza to, że będą operować na tym samym poziomie, co kod Wolframa-Friedkina będący podstawą naszej fizycznej rzeczywistości - mówi Lisa Durnau. - W takim razie...

- Mogłyby bezpośrednio manipulować fizyczną rzeczywistością.

- Mówisz o czarach. Bóg, czary... Jezus, Lull. Mam obiekcje. Pierwsza: co, cofnęli to w czasie o siedem miliardów lat?

- Anomalia grawitacyjna wzburzyła mgławicę pyłu, która stała się naszym Układem Słonecznym. Jakaś przelatująca czarna dziura mogła być świetnym punktem zakotwiczenia dla takiego tunelu czasoprzestrzennego. W każdym razie, przecież wiedzieli, że my się tu pojawimy.

- Świetnie, Lull. To masz teraz drugą: jak na wiadomość do nas, to trochę mętna. Czemu nie napisali: „Pomocy, rozpierdalają nas Sztuczne Inteligencje jak bogowie”?

- I jak myślisz, jaki to by odniosło skutek? Kiedy to wszystko rozpracujemy, będziemy gotowi na to, co ma nam do powiedzenia Tabernakulum.

- Lull, nie przekonujesz mnie. Już mniejsza o dziesiąte generacje, o tunele czasoprzestrzenne, ale zauważ, że fakt wysłania tego ostrzeżenia rozgałęzia nas do wszechświata, w którym my mamy przewagę czasową, a ich w ich wszechświecie skazuje na porażkę... no, zresztą dobra, ale dlaczego, cholera jasna, ty, ja i ta osiemnastka, co umie gadać z maszynami, jesteśmy aż tak ważni?

Thomas Lull wzrusza ramionami, szczerząc zęby z tą denerwującą miną: „nie wiem i wali mnie to”. Od tego gestu Lisa zawsze dostawała piany, zbijając jego spekulacje podczas podobnych seansów. Jednakże teraz Lull wyciąga ukradzione zdjęcia czaszki Aj.

- Twoja część transakcji.

- W porządku. Dla mnie nie to jest tajemnicą. To tylko teoria na potwierdzenie. Tajemnicze jest to, jak ona zatrzymała te awadhskie roboty. Kiedy skreślimy czary i Boga, zostaje nam tylko technologia. I tu właśnie mamy technologię: technikę, która pozwala ludzkiemu mózgowi komunikować się z maszynami. Ona je zhakowała.

- Żadnego Boga, żadnych bogów - mówi Thomas Lull.

Lisa czuje przechodzącą przez kadłub wodolotu wibrację. Statek redukuje ciąg strugowodnych dysz, osiada głębiej na płatach, podchodząc do zatłoczonego nabrzeża pod Patną. Przez szybę można zauważyć tanie, masowo produkowane lekkie hale przemysłowe i posturbanistyczną chaotyczną zabudowę przemysłu infotechnologicznego, tuż nad szerokimi, piaszczystymi brzegami Gangesu.

- A co ona widzi? Aureolę informacji wokół ludzi i przedmiotów. Widzi ptaka, mówi ci nazwę gatunku. Całkiem jak w „Ptakach Południowych Indii”. Na dworcu mówi jakiejś rodzinie, że ich syn jest aresztowany, który złapać pociąg, jakiego wziąć adwokata. To są raporty policyjne, żółte strony książki telefonicznej z Ahmedabadu i rozkład Mumbai Railroads. Pod każdym względem zachowuje się tak, jakby miała mózg podpięty do sieci.

Lisa delikatnie muska palcami widmowe rysunki na Tabliczce.

- I właśnie tak... ona to robi. Nie wiem, kim jest, nie wiem, jak się w to wplątali Jean-Yves i Anjali, wiem tylko, że ktoś wziął dziewczynkę i przeprowadził na niej eksperyment, stworzył jakieś potworne środowisko testowe dla nowych interfejsów mózg-maszyna.

Pasażerowie krzątają się, zbierają podopiecznych i dobytek. Krótka chwila wytchnienia na wodzie niemal dobiegła końca, teraz muszą stawić czoło nowemu, dziwnemu, nieznanemu miastu.

- Do tego miejsca w pełni się z tobą zgadzam, L. Durnau - mówi Thomas Lull. - Tylko że mnie się wydaje, że to jest odwrotnie. Ten system nie służy człowiekowi do kontaktu z maszyną, ale maszynie do interakcji z ludzkim mózgiem. Ona jest aei władowanym do ludzkiego ciała. Jest

pierwszym i ostatnim ambasadorem Trzecich Generacji wobec ludzkości. Myślę, że właśnie dlatego jesteśmy wszyscy razem w Tabernakulum. To przepowiednia *spotkania*.

Jest sierotą w mieście bogów i dlatego nigdy nie jest sama. Bogowie trzepoczą wokół niej jak skrzydła, bogowie kłębią się wokół głowy, bogowie koziołkują pod stopami, bogowie rozwierają się przed nią jak milion otwierających się bram. Unosi rękę - dziesięć tysięcy bogów rozdziela się i zlewa na powrót. Roi się od nich każdy budynek, pojazd, każda latarnia i neon, każda kapliczka i uliczne światła. Wystarczy, że spojrzy, a może przeczytać setkę danych rejestracyjnych fatfatów, daty urodzenia i adresy właścicieli, ich historię ubezpieczeniową, ratingi kredytowe, zapisy o wykształceniu i wpisy w policyjnych kartotekach, numery kont bankowych, wyniki egzaminów ich dzieci, numery butów żon. Bogowie rozwijają się jeden z drugiego jak papierowe serpentyny. Bogowie przeplatają się nawzajem jak złote nici na krośnie do jedwabiu. W dali, za luną miasta, nocny horyzont jest jak korona wysadzana bóstwami. W tle ulicznego hałasu, wycia syren, podniesionych głosów, klaksonów i dudniącej muzyki, szeptce do niej dziewięć milionów bogów.

Biją się, ostrzega bóg gali odchodzącej od jasno oświetlonej ulicy ćaj-barów i straganów z przekąskami. Zatrzymuje się, słysząc narastający jazgot męskich głosów rezonujący w wąskim, zadaszonym dżharokami zaułku. Nadbiega rozwrzeszczana fala studentów-karsewaków. W bogoprzestrzeni wybiera sobie jednego z nich: Mangat Singhal, student mechaniki na University of Bharat. Od trzech lat pełnoprawny członek młodzieżówki Shivaji; dwa razy aresztowany za niszczenie mienia podczas protestu na rondzie Sarkhand. Jego matka ma raka krtani spowodowanego paleniem papierosów i zapewne przed końcem roku pójdzie na ghaty. *Tędy*, mówi bóg postojów taksówek, pokazując jej maruti lawirujące pomiędzy spanikowanymi herbaciarzami, pospiesznie gaszącymi ogień pod rusztami. *Szkoda szacowana na dwadzieścia tysięcy rupii*, mówi bóg od drobnych szkód ubezpieczeniowych, kiedy słyszy z tyłu łomot przewróconego przez karsewaków herbacianego straganu. *Odmowa wypłaty odszkodowania na podstawie klauzuli wyłączającej zamieszki. Kontakt z twoją taksówką za trzydzieści pięć sekund. Teraz w lewo*. Jest dokładnie w odpowiednim miejscu, kiedy zza rogu wyjeżdża maruti i zatrzymuje się na machnięcie jej dłoni.

- Nie jadę - odpowiada szofer, kiedy podaje mu adres na basti.

- Dobrze zapłacę. - *Bankomat niedaleko po prawej*, mówi bóg centrów handlowych. - Proszę tu stanąć.

Bankomat łyka kartę bez wahania, bez pytania, nie chce ani PIN-u, ani skanu twarzy. *Ile ci trzeba?* - pyta bóg bankowości elektronicznej. Podaje mu pięciocyfrową kwotę. Czeka na gotówkę tak długo, że zaczyna się obawiać, czy taksiarz nie poszuka sobie bezpieczniejszego pasażera. *Taksówka o numerze VRJ117824C45 nadal czeka przy krawężniku*, informuje bóg ożywiający uliczne kamery. Mrugnięciem przenosi się w jego punkt widzenia, widzi z góry siebie, przyciśniętą do bankomatu, usiłującą złożyć na pół grube zwitki banknotów, widzi za sobą taksówkę i przejeżdżający obok mały konwój wojskowych hummerów.

- Tyle wystarczy? - Podsuwa taksówkarzowi pod nos rulon rupii.

- Baba, za tyle to zawiozę panią choćby do samego Delhi.

Jest z tych cały czas gadających: zamieszki, ciągle zamieszki, byle jaki pretekst i już, wzięliby się lepiej za naukę, zamiast tylko palić różne rzeczy, jak spróbują znaleźć sobie pracę, o, to wtedy się okaże, co, miał pan kłopoty z policją za udział w zamieszkach, to dziękujemy, nie mamy pracy dla gundów i badmaśiów, no ale co z tą Sajidą Raną, aż trudno uwierzyć, jej własny ochroniarz, nasza pani premier, Mama Bharat i co teraz będzie, czy ktoś się nad tym zastanawia? Jak to wszystko padnie, to niech bogowie mają nas w opiece, przecież Awadhczyzy przejadą tędy jak walcem...

Aj patrzy, jak bogowie lecą w szykach, kapitułach i porządkach, spiętrzając się za jej plecami w górującą nad miastem świetlistą półkulę. Klepie taksiarza po ramieniu. On mało nie wjeżdża w przydrożną budę z cegły i folii.

- Pana żona jest cała i zdrowa, przenocuje dzisiaj u matki, wróci jutro, jeśli będzie bezpiecznie.

I zaraz potem wysiada. Tu jest mniej bogów, zaledwie tyle, co gwiazd na niebie. Unoszą się nad wielkimi sodowymi latarniami na głównych arteriach, nad przejeżdżającymi w deszczu autami, migotliwie ukazują się, jak płomyki, nad kablami komunikacyjnymi, ale całe basti w tle jest ciemne, bezbożne. Szepty prowadzą ją w ciemność. Świat się kręci, miasto się pali, ale slumsy muszą spać. Zdumiona twarz znad całodobowego wózka z ćajem gapi się na nią, jakby była dżinnem i wychyłała z burzy. *Idź prosto, aż dojdiesz do słupa wysokiego napięcia*, szepcze bóg kanału kabłówki MTV-Asia z bladoniebieskiego ekranu. Bóstwa zwisają z dźwigarów wielkiego słupa, jak liście z drzewa. *W lewo, mówią. Ten, co ma dwa schodki w dół i worek po nawozie zamiast drzwi*. Kiedy prowadzą cię bogowie, wszystko łatwo znaleźć, nawet w zalanej deszczem, smrodliwej ciemności. Wymacuje kontury rudery. Plastikowa folia drzwi szeleści pod dotykiem. W środku budzą się jakieś życia. Tu właśnie doprowadziło ją DNA z bazy danych. Z tyłu przez poblask bogów przebija się prawdziwe, bladoszare światło świtu. Aj unosi folię i pochyła się w drzwiach.

Krzyczą i łomoczą przez dwadzieścia minut, ale dobry doktor Nanak nie przyjmuje dziś gości. Drzwi są zamknięte, włazy zaparte, rolety w oknach opuszczone i obwieszane wielkimi, błyszczącymi mosiężnymi kłódkami. Thomas Lull wali pięścią w szare drzwi.

- Otwieraj, kurwa!

W końcu zaczyna rzucać kawałkami metalu w osłonięte siatką okna mostka, podczas gdy deszcz zbiera się na szarym pokładzie w jeszcze większe kałuże. Łomot zwraca uwagę Australijczyków z sąsiedniej barki.

Dwóch dwudziestoparolatków o nagich torsach, w kąpielowych szortach do pół łydki wchodzi po rampie. Z blond dredów ścieka woda, ale poruszają się w deszczu tak, jakby to było ich naturalne środowisko. Lisa Durnau, skryta pod daszkiem, przypatruje się ich brzuchom. Na podbrzuszach mają między mięśniami takie rowki wskazujące poniżej gumki.

- Kolo, jak guru nie ma w domu, to znaczy, że nie ma.

- Ale widziałem, że tam coś się rusza. - Thomas Lull znów krzyczy: - Ej tam! Widzę cię, wyjdź, mam do ciebie parę pytań.

- Posłuchaj, chce mieć spokój, to uszanuj to - dodaje drugi wysportowany. Na szyi nosi na rzemyku rzeźbioną spiralę z nefrytu. - Guru nie udziela wywiadów, nikomu, nigdzie, nijak. Jasne?

- Nie jestem, kurwa, żadnym dziennikarzem i nie jestem, kurwa, żadnym karsewakiem - oświadcza Thomas Lull i zaczyna włączyć po nadbudówce.

- No nie, tak to nie! - krzyczy pierwszy Australijczyk. We dwójkę łapią Thomasa Lulla za nogi i ściągają z mostka. Uderza z miękkim plaśnięciem o pokład.

- Teraz to już naprawdę nie jesteście tu mile widziani - rzuca ten z zieloną spiralą. Szarpnięciem stawiają Lulla na nogi, chwytają pod ramiona i prowadzą ku głównemu pomostowi między barkami. Lisa Durnau decyduje, że pora coś zrobić.

- Nanak! - woła w stronę mostka. Za siatką i brudnym szkłem porusza się jakaś postać. - Nie jesteśmy dziennikarzami. Lisa Durnau i Thomas Lull. Chcemy pogadać z tobą o Kalkim.

Drzwi na górny mostek się otwierają. Ukazuje się w nich twarz otulona w szale, przypominająca Hanumana, boga pod postacią małpy.

- Puście go.

Nanak, chirurg marzeń krząta się po mostku, parząc herbatę jak należy. W kontraście z metalową, industrialną nadbudówką wewnątrz jest dziwnie dekadentkie, pełne pseudokolonialnej wikliny i bambusa.

- Przepraszam przepraszam, że tak siedziałem cicho. - Nanak lata z imbryczkami i składanym, mosiężnym herbacianym stolikiem.

Lisa Durnau pociąga čaj i dyskretnie przygląda się gospodarzowi. W Kansas neutki to nieczęsto spotykana płeć. Fascynują ją niuanse jego skóry, subtelne wypukłości na nagim lewym przedramieniu - podskórny system sterowania układem seksualnym. Zastanawia się, jak to jest: móc programować własne emocje, projektować zakochania i miłosne rozterki, konstruować własne nadzieje i lęki. Zastanawia się, ile można stworzyć typów orgazmów. Ale jej umysł zaprzęta przede wszystkim pytanie: było mężczyzną czy kobietą? Kształt ciała, rozłożenie tłuszczu, ubranie - celowo eklektyczna mieszanka z przewagą rzeczy luźnych i lejących - nie dają żadnej wskazówki. Mężczyzną, decyduje. To u mężczyzn tożsamość płciowa jest płynna i niestabilna. Nanak dalej nalewa herbatę.

- Ostatnio nas tu prześladowano. Ci Australijczycy świetnie się o mnie troszczą, wspaniałe chłopaki. A moja praca tutaj wymaga dyskrecji. Ale, panie profesorze, wizyta pana to wielki zaszczyt dla skromnego pośrednika w usługach chirurgicznych.

Thomas Lull otwiera palmera i kładzie na mosiężnym stoliczku. Nanak krzywi się na widok zdjęcia.

- Najbardziej skomplikowana operacja, jaką w życiu organizowałam. Całe tygodnie pracy. Oni dosłownie rozłożyli jej mózg na części. Wyciągnęli półkule i zwoje, rozwiesili na drutach. Coś nadzwyczajnego.

Lisa Durnau widzi, jak twarz Lulla tężeje. Nanak dotyka jego kolana.

- Wszystko z nią w porządku?

- Próbuje znaleźć swoich prawdziwych rodziców. Uświadomiła sobie, że jej życie to same kłamstwa.

Usta Nanaka tworzą bezgłośnie „O”.

- Jestem tylko skromnym pośrednikiem...

- Czy to ci ludzie cię zatrudnili? - Thomas Lull przewija palcem do zdjęcia ze świątyni, które sprawiło, że wyruszył w tę pielgrzymkę.

- Tak - odpowiada Nanak, chowając dłonie pod szal. - Reprezentowali potężny sundarban z Varanasi, sundarban Badrinath. Legendarną kryjówkę Wisznu, jak się zdaje. Dostałam dwa miliony dolarów w czeku bankierskim, z konta Odeco Corporation. Jeśli chcecie, mogę podać szczegóły. Prawie połowa budżetu poszła na białkowe aplikacje, musieliśmy znaleźć sposób na programowanie pamięci; projektanci emotyków też nie są tani, choć cieszy mnie fakt, że tu, w strefie mamy paru najlepszych w całym Hindustanie.

- Budżet - prycha Thomas Lull. - Jak jakiś, kurwa, program telewizyjny.

Teraz musi się odezwać Lisa.

- Jej rodzice adopcyjni w Bangalore, oni w ogóle istnieją?

- Nie, proszę pani, to stuprocentowa fikcja. Wydaliśmy sporo pieniędzy na stworzenie wiarygodnej historii. Żeby nie ulegało wątpliwości, że jest człowiekiem, ma dzieciństwo, rodziców i przeszłość.

- A co, ona nie...? - pyta Lisa, zarazem bojąc się odpowiedzi.

- Jest aeai w ludzkim ciele - dopowiada Thomas Lull.

Lisa słyszy ten lód w jego głosie, groźniejszy niż jakikolwiek ogień. Nanak hušta się na krześle.

- To prawda. Wybaczcie, to istotnie okropna sprawa. Sundarban Badrinath dawał schronienie aeai trzeciej generacji. Plan, jak powiedzieli mi pana koledzy, był taki: przetransferować jej kopię na wyższe poziomy kognitywne ludzkiego mózgu. Interfejsem była tilaka. Niezwykle skomplikowana operacja. Wszystko udało się dopiero przy trzeciej próbie.

- One się boją, prawda? - zastanawia się Thomas Lull. - Czują, że zbliża się koniec. Ile ich

zostało?

- Zdaje się, że tylko trzy.

- Chciałyby wiedzieć, czy uda im się zawrzeć pokój, czy będą musiały wyginąć, a w tym celu muszą najpierw zrozumieć nas. Człowieczeństwo to dla nich zagwozdzka, w ogóle cud, że ona cokolwiek z tego rozumie, ale po to właśnie ma to fałszywe dzieciństwo. Ile ta Aj ma naprawdę lat?

- Wyjechała stąd osiem miesięcy temu, z pana kolegą i koleżanką, których uważała za swoich prawdziwych rodziców. Aeai z Badrinath kontaktowała się ze mną jakiś rok temu. Trzeba było ją widzieć, kiedy odjeżdżała, taka radosna, promienna, jakby wszystko było dla niej nowe. Para Europejczyków miała zabrać ją do Bangalore - mieli na to niewiele czasu, bo rozkompresowywały się kolejne warstwy pamięci i gdyby zostali z nią zbyt długo, byłaby katastrofa - wdrukowałiby się.

- I tak ją zostawiłeś? - nie dowierza Lisa Durnau. Próbuje przekonać samą siebie, że to Indie; że życie ludzkie ma tu inną wartość niż w Kansas i Santa Barbara. Ale wciąż kręci jej się w głowie, gdy myśli, co ci ludzie zrobili nastoletniej dziewczynie.

- Taki był plan. Mieliśmy przygotowaną legendę, że ma roczną przerwę w nauce i podróżuje po subkontynencie.

- A czy nie przyszło wam do łbów, między tymi planami, legendami, rozkompresowanymi pamięciami i precyzyjną chińską chirurgią, że aby ta aeai żyła, musi umrzeć człowiek?! - wybucha Thomas Lull.

Lisa dotyka ręką jego nogi. Spokojnie. Wyluzuj. Nie unos się. Nanak uśmiecha się jak błogosławiący święty.

- No cóż, panie profesorze, to dziecko było upośledzone. Nie miało osobowości ani samoświadomości, nic a nic. Zero życia. Musiało być takie, normalnego w życiu byśmy nie wykorzystali. Jej rodzice cieszyli się, że ktoś ją od nich kupił. Przynajmniej jakaś szansa, eksperymentalna, nowa technologia. Dziękowali Wisznu...

Thomas Lull z nieartykułowanym rykiem zrywa się na nogi, zaciska pięści. Nanak ucieka jak najdalej od rozjuszonego samca. Lisa obejmuje pięść Lulla swoimi dłońmi.

- Zostaw je, zostaw - szepcze. - Siadaj, Lull, siadaj!

- Pierdolony rzeźnik! - wrzeszczy Thomas Lull na producenta neutków. - Pierdolony Kalki, pierdolony Jean-Yves i Anjali!

Lisa Durnau wciska go z powrotem w fotel. Nanak bierze się w garść, poprawia ubranie, ale nie odważa się podejść bliżej.

- Przepraszam za kolegę - mówi Lisa Durnau. - Strasznie jest spięty... - Chwyta go za ramię. - Chodźmy już.

- Tak, tak będzie najlepiej - odzywa się Nanak, poprawiając wzruszeniem ramion szale. - To dyskretny biznes, nie mogę sobie pozwolić na podniesione głosy.

Thomas Lull kręci głową, zdegustowany tyleż sobą, co wszystkimi słowami, jakie padły w tej kabinie. Wyciąga rękę, ale neutko nie odwzajemnia gestu.

Walizki mają plastikowe kółeczka, toczące się z hukiem po chodnikach centrum. Nawierzchnia jest jednak połatana i nierówna, uchwyty to byle jakie parciane paski, a Krishan i Parvati idą najszybciej, jak mogą, więc co parę metrów bagaże wywracają się na bok. Natomiast taksówki tylko mijają z chlupotem uniesioną dłoń Krishana, wszędzie grasują ciężarówki z wojskiem, a pieśń karsewaków dobiega najpierw z tej strony, potem z tamtej, z tyłu i wreszcie gdzieś blisko z przodu, tak że muszą ukryć się w bramie i przepuścić biegnącą bandę. Parvati jest zmęczona, przemoczona, sari oblepia jej ciało, włosy wiszą w strąkach, a do dworca zostało jeszcze pięć kilometrów.

- Za dużo ubrań - żartuje Krishan.

Parvati się uśmiecha. Krishan podnosi obie walizy i rusza dalej. Razem przeciskają się ulicami, trzymając się bram, unikając wojskowych transportów, przebiegając przez skrzyżowania, cały czas czujni na niespodziewane odgłosy i nagłe ruchy.

- Już niedaleko - kłamie Krishan. Pałą go napięte przedramiona. - Zaraz będziemy.

W miarę, jak zbliżają się do dworca, z włoskowatych gali i wielkich arterii wylania się coraz więcej obładowanych jak oni ludzi oraz rowerowe riksze, wózki, samochody; strumyki zlewają się w strumienie, które zlewają się w szeroką rzekę głów. Parvati ściska rękaw Krishana. Zgubić się tutaj, to stracić się na lata. Krishan brnie dalej, zaciskając pięści na plastikowych uchwytach, które pałą jak rozżarzone węgle, napięte mięśnie szyi, zaciśnięte zęby, patrzy naprzód, naprzód, nie myśli o niczym, tylko o dworcu pociągu dworcu pociągu i o tym, że z każdym krokiem jest bliżej dworca i bliżej chwili, kiedy będzie mógł odłożyć te ciężary. Człapie teraz powoli, starając się zrównać krok z tłumem. Parvati trzyma się bliżej niż cień. Obok przeciska się kobieta w pełnym czadorze.

- Co wy tu robicie? - syczy. - Wy to na nas ściągnęliście!

Krishan odpycha kobietę bagażami, zanim jej słowa zostaną podchwyczone i zwrócą na nich gniew całego tłumu; dopiero teraz widzi, co miał przed nosem przez całą drogę: z Varanasi wyjeżdżają muzułmanie.

Parvati szepcze:

- Myślisz, że dostaniemy się do jakiegoś pociągu?

I wtedy Krishan uświadamia sobie, że świat nie zatrzyma się przed ich romantycznym uczuciem, tłum się nie rozstąpi i ich nie przepuści, historia nie wybaczy im, bo byli zakochani. To nie jest śmiała, romantyczna eskapada. Są głupi, ślepi i samolubni. Serce łamie mu się jeszcze bardziej, gdy ulica otwiera się na plac przed dworcem, wypływając potok uchodźców w największy tłum ludzi,

jaki w życiu widział, większy niż przed stadionem Sampurnananda po meczu. Widzi dźwigary i kopułę hali z przejrzystego diamentowego włókna, rozdziawione szklane wrota prowadzące do sali kas. Widzi pociąg na peronie, lśniący w żółtym świetle, wypełniony po dach ludźmi, którzy nadal się doń wpychają. Widzi odcinające się na tle świtu sylwetki żołnierzy w transporterach opancerzonych. Nie widzi zaś drogi pomiędzy tymi ludźmi, w całym tym tłumie. A walizy, te durne walizy, wciągają go przez beton w glebę, unieruchamiają jak korzenie. Parvati szarpie go za rękaw.

- Tędy.

Ciągnie go ku wejściom do hali. Na skraju placu tłum jest mniejszy - uchodźcy instynktownie trzymają się z dala od żołnierzy. Parvati grzebie w zawieszanej na ramieniu torbie z koralików. Wyciąga szminkę, na moment pochyła głowę i prostuje się już z czerwoną bindi na czole.

- Proszę, na miłość Śiwy, na miłość Śiwy! - woła do żołnierzy, składając dłonie w błagalne namaste. Za lustrzanymi, mokrymi od deszczu szybkami hełmów nie można odczytać wyrazu oczu dżawanów. Głośniej: - Na miłość Śiwy! - Teraz ludzie wokół zaczynają się odwracać z pomrukiem. Już się poszturchują, pojawia się gniew. Parvati błaga żołnierzy: - Na miłość pana Śiwy!

Wtedy słyszą jej głos. Widzą przemoczone, umorusane sari. Rozpoznają bindi. Dżawani zeskakują z pojazdów, dźgają lufami kobiety i dzieci, odpychają je, przeklinające ich w imię Boże. Dżemadar macha niecierpliwie na Parvati i Krishana. Żołnierze rozstępują się, karabiny znów wędrują do pozycji poziomej, jak barykada, jak zakaz wstępu. Kobieta-oficer pospiesznie prowadzi ich dwoje między stojącymi transporterami, nawet w deszczu śmierdzącymi gorącym biodieslem. Głosy wzmagają się w grzmot oburzenia. Oglądając się za siebie, Parvati widzi dłonie łapiące za karabinek dżawana. Następuje krótka, gniewna równowaga, potem stojący obok żołnierz nonszalancko zamachuje się kolbą i uderza nią w bok głowy protestującego. Muzułmanin pada, nie wydawszy choćby jęku, obejmując rękoma głowę. Zamiast niego krzyczy tłum; wrzask narasta jak szkwał na rzece. Wtem rozlegają się strzały i wszyscy na placu padają na kolana.

- No już, chodźcie - mówi dżemadarka. - Wszyscy cali. Ręce w dole. Co wy tu robicie? Co was opętało? Żeby akurat dzisiaj. - Cmoka z dezaprobatą. Parvati wydaje się, że Bharaccy żołnierze nie powinni cmokać.

- Bo moja matka... - mówi Parvati. - Muszę do niej jechać, jest już stara, muszę się nią zająć, ona nie ma nikogo...

Dżemadarka prowadzi ich bocznymi schodami do hali dworcowej. Dusza Parvati zmienia się w kamień. Tyle ludzi, tyle ludzi. Nie ma mowy, żeby się przepchnąć. Nie widzi nawet kas. Lecz Krishan z łomotem stawia walizki na ziemi, wyszarpuje rączki, stawia bagaże na nędznych, plastikowych kółeczkach i z determinacją wbija się od tyłu w tłum.

Nad przezroczystym dachem wschodzi słońce. Przyjeżdżają pociągi, na perony przepycha się więcej ludzi niż Parvati jest sobie w stanie wyobrazić. Po każdym pociągu uchodźców wyjeżdżającym spod diamentowej kopuły Varanasi Głównego taki sam ładunek ludzi wciska się do hali z placu przed dworcem, krok za krokiem popychając Parvati i Krishana ku kasom biletowym. Parvati zerka na zwisające spod dachu płaskie ekrany. Coś stało się ze *Śniadaniem z Bharti*. Zamiast

niej w kółko i w kółko puszcza ją jakieś nagranie z Ashokiem Raną, za którym nigdy nie przepadała. Siedzi w studiu za jakimś biurkiem. Wygląda na zmęczonego i przestraszonego. Dopiero za szóstym razem do zszokowanej Parvati dociera, co on właściwie mówi. Jego siostra nie żyje. Sajida Rana nie żyje. Teraz wszystko: ulice, strzały, tłumy, bieganina, muzułmanie, strzelający w powietrze żołnierze, łączy się w jedną spójną całość. A oni, niezorientowani i niewinni, biegli sobie z walizkami w dłoniach, kiedy Mama Bharat konała. Nagle powala ją własne samolubstwo.

- Krishan. Musimy wracać. Nie mogę jechać. Złe zrobiliśmy...

Twarz Krishana jest stuprocentowym, odsączonym z wody, niedowierzaniem. Wtem tuż przed nim otwiera się prześwit, prowadzący aż do kasjera. Kasjer patrzy na Parvati, za moment luka się z powrotem zamknie.

- Krishan, bilety!

Przepycha go aż do lady, kasjer pyta go, dokąd, a on nie wie, Parvati już widzi, że zaraz go odsunie, następny proszę.

- Bubaneshwar! - krzyczy. - Dwa w jedną stronę! Bubaneshwar.

Nigdy nie była w Bubaneshwarze, jej noga nigdy nie postąpiła w przedwiecznej Orissie, lecz jej umysł wypełnia obraz wydymającego się pomarańczowego i szkarłatnego jedwabiu, Ratha Jatra przed świątynią Dżagannathy. Wtedy kasjer drukuje bilety, podaje im numer pociągu, godzinę, peron, numery miejsc i wysuwa przez szparę paski papieru.

Pociąg do Raipuru, gdzie mają przesiadkę, będzie dopiero za cztery godziny. Powolny ludzki taśmociąg przenosi ich przez drzwi na peron, gdzie siadają na walizkach, zbyt zmęczeni, żeby coś mówić, każde w strachu, że jeśli drugie się odezwie, oboje porzucą niebieskie plastikowe kufry i pobiegną z powrotem w swoje życie złożone z kłamstw, kończąc i zamykając małą chwilową przygodę. Krishan kupuje w kiosku parę wydruków z informacjami - już parę pierwszych słów przeczytanych przez Parvati sprawia, że boi się siedzieć na peronie wśród muzułmanów, pomimo chodzących tam i z powrotem grup żołnierzy. Czuje ciężar ich spojrzeń, słyszy syki i pomruki. Mogłaby tu stać pani Khan ze śmietanki Cantonmentu, na meczu krykieta taka zorientowana w polityce. A zresztą nie, nie begum Khan: ona siedziałaby w klimatyzowanej pierwszej klasie już sto kilometrów stąd, jechała na południe samochodem z szoferem, albo w klasie business jakiegoś airbusa.

Z krawędzi daszku nad peronem skapuje deszcz. Krishan pokazuje Parvati nagłówek, świeżo z drukarki, jeszcze się mażący, obwieszczający wielki Rząd Ocalenia Narodowego w koalicji z partią Shivaji N.K. Jivanjeego, który przywróci porządek i wypędzi najeźdźcę. To jest ten zimny powiew, który Parvati poczuła na peronie, jak chłodny front: wróg dostał do ręki bat - w Bharacie nie ma już miejsca na islam.

Najpierw czuje pociąg, potem go słyszy: szczękanie złącz, basowa wibracja przenoszona przez podkłady na stalowe filary podpierające dach, drgania zdeptanego asfaltu. Tłum wstaje, rodzina po rodzinie, gdy pociąg wylania się z perspektywy szyn, wijąc się po zwrotnicach i wjeżdżając na peron

piętnasty. Zapalają się tablice informacyjne: Raipur Express. Krishan unosi walizki, ciżba już pędzi na spotkanie pociągu. Przejeżdża wagon za wagonem, jakby nie zamierzały się zatrzymać. Parvati przyciska się do Krishana. Tylko się potknij, upadnij i zginiesz pod ostrymi jak gilotyny kołami. Długi, zielony pociąg powoli staje.

Nagle ciała ludzkie napierają mocno na Parvati. Zatacza się w przód na Krishana, on pada ciężko na burtę pociągu. Jednocześnie gdzieś z tyłu tłumu rozlega się ryk.

- Do mnie! Do mnie! - drze się Krishan.

Drzwi otwierają się z sykiem. Ciała natychmiast je tarasują. Ramiona wysuwają się, wyginają się torsy, stłoczone bagaże prą jak tarany. Fala zabiera Parvati spod schodków. Krishan walczy z prądem, uczepony poręczy przy drzwiach, rozpaczliwie nie chce się z nią rozłączyć. Przerazona Parvati wyciąga do niego ręce. Wokół przepychają się kobiety machinalnie wywrzaskujące obelgi, wierzgają dzieciaki. Peron to same głowy, głowy i ręce, głowy i ręce i toboły i coraz więcej ludzi zbiega się po torach z innych peronów, by złapać ten pociąg: pociąg, który zabierze ich z Varanasi. Młodzi mężczyźni gramolący się na dach tratują Parvati, ale ona i tak sięga po dłoń Krishana.

Wtem rozlegają się strzały: krótkie, urywane serie z broni maszynowej. Tłum na peronie opada jak jedna istota, zakrywa głowy dłońmi. Krzyki, wrzaski i straszne, niepocieszone lamenty rannych; tym razem to nie strzały ostrzegawcze. Parvati czuje zaciskającą się na jej dłoni rękę Krishana. Znów strzały. Widzi rozbłyski, słyszy brzęknięcia rykoszetujących na filarach pocisków. Krishan dziwnie wzdycha, potem jego dłoń się zaciska. Wciąga ją na górę, do pociągu.

W drodze powrotnej Lisa i Thomas Lull są jedynymi pasażerami w całej mesie. Wydaje im się wielka, plastikowa i nadmiernie oświetlona nieprzyjemnymi świetlówkami, więc Lisa Durnau proponuje, żeby wyszli na zewnątrz, popatrzeć na świętą rzekę. Świętość wody to dla Lisy nowość. Stają obok siebie przy relingu, sieczeni strugami deszczu, patrzą na piaszczyste brzegi i pordzewiałe blaszane stacje uzdatniania wody. Na powierzchni rzeki wypływa jakiś przedmiot. Lisa zastanawia się, czy to jeden z tych ślepych delfinów, o jakich czytała podczas lotu z Thiruvananthapuram. Delfin albo trup. Pewnych klas hindusów nie wolno kremować i powierza ich się opiece Matki Gangi.

Kiedyś na konferencji, otumaniona przesunięciem stref czasowych oraz podróżą samochodem, pociągiem i taksówką, padła na skórzany fotel w hotelowym lobby, naprzeciwko wygodnie rozpartego delegata z Afryki. Kiwnęła mu głową, wytrzeszczona, nieprzytomna, *huuuuuuu*. Odkiwnął jej, poklepał dłońmi boki fotela.

„Czekam tylko, aż moja dusza mnie dogoni”.

Dokładnie to musi zrobić teraz. Dogonić samą siebie. Znaleźć chwilę wolną od ciągu zdarzeń przechodzących w następne zdarzenia, niewypełnioną atakującymi ją osobami, rzeczami i problemami, zamartwymi w błysku reflektorów historii. Przestać reagować, przestać się spieszyć, przystanąć, pozwolić duszy się dogonić. Z przyjemnością by się przebiegła. A skoro się nie da, niech będzie choćby chwila ze świętą rzeką.

Zerka na Thomasa Lulla. W jego postawie przy relingu widzi cztery lata, widzi niepewność, widzi erozję pewności siebie, ostudzenie zapału i energii. Kiedy ostatni raz rozpalala cię jakaś pasja? - myśli. Widzi mężczyznę w średnim wieku, codziennie spoglądającego w oczy śmierci. Nie zostało niemal nic z tego faceta, z którym uprawiała brudny, dorosły seks pod prysznicem w Oksfordzie. Z tym koniec, myśli i robi jej się go szkoda. Wydaje się taki zmęczony.

- A powiedz mi, L. Durnau, czy, wiesz... widzisz czasem Jen?

- Czasami, gdzieś na zakupach, albo na meczach Jayhawks. Znalazła kogoś.

- Już przedtem tak mi się wydawało. Rozumiesz. Tak samo, jak ty poznajesz, kiedy coś się kroi. Jakies hormony czy coś. Wygląda na zadowolona?

- Dostyc. - Lisa Durnau wyprzedza kolejne, nieuniknione pytanie. - Ale pieluch brak.

Lull patrzy na odpływający brzeg, białe śikary świątyn mgliste na tle burzowych chmur, poniżej ciemnej kreski drzew. W wodzie taplają się bawoły, unoszą głowy, gdy za wodolotem rozchodzi się fala.

- Wiem, czemu Jean-Yves i Anjali to zrobili, czemu zostawili jej to zdjęcie. Zastanawiałem się, po cholere zrobili jej dziurę w samym środku obrazu świata. Wiesz, Anjali nigdy nie mogła mieć dzieci.

- Aj była ich zastępczą córką.

- Czuli, że są jej winni prawdę. Lepiej niech się dowie, kim naprawdę jest, niż miałyby żyć w złudzeniach. Bo być człowiekiem, to być odzieranym ze złudzeń.

- Chyba się z tym nie zgadzasz!

- Nie mam twojego surowego, kalwińskiego światopoglądu. Ja czuję się dobrze między złudzeniami. Ja nie miałbym odwagi, ani tupetu, żeby to jej zrobić.

Ale i ty uciekłeś, myśli Lisa Durnau. Ty też zostawiłeś przyjaciół, karierę, reputację, kochanki; łatwo ci to przyszło, odwrócić się, odejść i nie patrzeć za siebie.

- Ale to ona do ciebie przyszła.

- Ale nie mam odpowiedzi na jej pytania - mówi Thomas Lull. - Czemu wy wszyscy chcecie jakichś odpowiedzi? Rodzicie się i gównie wiecie, przez całe życie gównie wiecie i umieracie też gównie wiedząc. I w tym cały sekret. Nie jestem niczym guru. Ani twoim, ani NASA, ani jakiejś aeai. I wiesz co? Te wszystkie artykuły, występy w telewizji, na konferencjach? Wymyślałem to wszystko na bieżąco. I tyle. Alterre? Po prostu coś, co przyszło mi pewnego dnia do głowy.

Lisa Durnau ścisła oburącz reling.

- Lull, Alterre już nie ma.

Nie rozumie jego wyrazu twarzy, postawy, ułożenia mięśni. Próbuje sprowokować go do jakiejś reakcji.

- Zdechło, Lull, wszystko. Padło jedenaście milionów serwerów, co do jednego. Wymarły.

Thomas Lull kręci głową. Thomas Lull marszczy czoło. Na czole pojawiają się bruzdy. Wtem Lisa dostrzega na jego twarzy wyraz, który zna dobrze u siebie: zaintrygowanie, zauroczenie, oświecenie *pomysłem*.

- Jaka teza stała za Alterre? - pyta Lull.

- Że symulowane środowisko...

- Może w końcu zrodzić prawdziwą inteligencję. - Pospiesznie wyrzuca z siebie słowa. - A co,

jeśli udało nam się lepiej niż myśleliśmy? Jeśli Alterre nie zrodziła świadomości, ale po prostu cała ożyła... i stała się świadoma... Kalki to dziesiąty awatar Wisznu. Siedzi na szczycie piramidy ewolucyjnej Alterre, podtrzymujący wszelkie życie; wszystko jest z niego i rodzi się z jego materii. I nagle sięga na zewnątrz, a tam jest inny świat, inne życie, oddzielne, rozłączne, całkowicie obce. Zagrożenie, dobrodziejstwo, coś jeszcze innego? Musi się dowiedzieć. Musi to sprawdzić.

- Ale jeśli Alterre padła...

Zagryza dolną wargę, milknie i mrocznieje, patrząc na deszcz nad wielką rzeką. Lisa Durnau próbuje się doliczyć, ile musiał po drodze przyjąć niemożliwych założeń. Po jakimś czasie Lull wysuwa rękę.

- Daj mi to coś. Muszę znaleźć Aj. Skoro Wisznu padł, jest odłączona od sieci. Całe jej życie było iluzją, a teraz nawet bogowie ją opuścili. Jak ona się będzie czuła, co sobie pomyśli?

Lisa wysuwa Tabliczkę z miękkiego skórzanego etui i podaje Lullowi. Tabliczka wygrywa tubalną, dźwięczną grę. Zaskoczony Lull omal jej nie upuszcza. Lisa przechwytuje ją, zanim osiągnie moknięcie w wodach Gangesu. W jej sensorium pojawia się twarz i głos: Daley Suarez-Martin.

- Coś się zdarzyło na Tabernakulum. Wyciągnęli z niego kolejny sygnał.

Tabliczka wyświetla czwartą twarz, mężczyznę, Bharatczyka, widać to nawet na obrazku wymalowanym przez automat komórkowy przy jego niskiej rozdzielczości. Drobnokościsty mężczyzna o pociągłej twarzy. Lisa Durnau dostrzega klapy marynarki w stylu Nehru. Myśli, że jego twarz jest niewymownie smutna. Obok jest linia z danymi personalnymi.

- Zdaje się, że trzeba szybko znaleźć tę twoją przyjaciółkę - mówi. - To Nandha. Pies Kryszny.

Ucieka z domu w szary brzask. Na Scindia Basti spada deszcz. Bose stopy kobiet noszących wodę z pomp naniósł stęchłego błota we wszystkie zaułki. Studzienki ściekowe wylewają. Mężczyźni też są już o świcie na nogach, żeby kupować i sprzedawać, może nająć się do wykopania rowu pod kabel, może napić się ćaju, może sprawdzić, czy coś zostało z miasta. Gapią się na dziewczynę z tilaką Wisznu, przepychającą się między nimi, pędzącą, jakby goniła ją Kali.

Oczy w ciemności, w domu obok lewej nogi słupa wysokiego napięcia.

„My jesteśmy biedni, my nic nie mamy, proszę zostawić nas w spokoju”.

Potem zgrzytnięcie i rozbłysk zapałki, łuk światła przesuwają się przez mrok i dotyka knota w małej, glinianej dii, krąg światła nabrzmiewa i wypełnia pokój z klepiskiem zamiast podłogi. Okrzyki strachu.

Ryczą na nią auta. Olbrzymie metalowe kształty wyłaniają się z deszczu i znikają z powrotem. Grzmiały głosy, tłoczące się wokół ludzkie ciała sprawiają wrażenie, że osiągnęły rozmiary chmur. Rzeka ruchu i napędzanego alkopaliwem zagrożenia. Jest na ulicy i nie wie, skąd się tu wzięła. W

świetle dnia wyparowała gdzieś nocna pewność i boskie przewodnictwo. Po raz pierwszy nie widzi jasnego rozróżnienia między bogiem a człowiekiem. Nie wie, czy trafi z powrotem do hotelu. Pomóżcie mi.

Na niebie kłębi się chaotyczna mora bogów przeplatających się, przelewających, krzyżujących ze sobą w dziwne, nowe konfiguracje.

- *Co robisz w tym domu?!* - Znów krzyczy, zatyka uszy dłońmi, gdy zapamiętany głos raz jeszcze odzywa się w jej czaszce. Twarze kobiet w świetle łójówki, jedna stara, jedna młodsza, jedna najmłodsza. Jęk wydała ta stara; jakby pękło jej w środku coś długiego i kruche.

- *Co ty tu robisz? To nie miejsce dla ciebie!* - Dłoń uniesiona w mądrze chroniącej przed urokiem. Oczy najmłodszej wytrzeszczone ze strachu, mokre od łez. - *Won stąd, to nie twój dom. Nie daj się oszukać. Widzicie ją, widzicie? Widzicie, co jej zrobili? To samo zło, dzinn, demon!* - Stara kobieta kołysze się teraz, zawodząc, z zamkniętymi oczyma. - *Won stąd! To nie twój dom, nie jesteś naszą siostrą!*

Niesformułowane błagania. Niewypowiedziane odpowiedzi. Niezadane pytania. I ta stara kobieta, stara kobieta - jej matka, osłaniająca się ręką, jakby Aj ją oślepiła, jakby płonąła blaskiem, w który nie da się spojrzeć. Na ulicy, pod monsunową ulewą, wybucha krzykiem, przeciągłym, wysokim wyciem, wydartym jakby z samego serca. Teraz rozumie.

Lęk: jest biały, nie ma powierzchni ani faktury, na której można by oprzeć dłoń, by go przesunąć lub poruszyć, w dotyku, jakby coś ci zgniło w samym środku, masz ochotę zwinąć się w kłębek i poprosić, żeby sobie poszedł, jak chmura burzowa, ale on nigdy tego nie robi.

Strata wgryza się w ciało i szarpie. Jak przedmiot pełen haczyków zatopionych we wszystkich częściach ciała, nawet tych, które z pozoru nie powinny czuć straty, na przykład ustach i kciukach, haczyków uwiązanych do wiatru i pamięci, tak że ciągnie za nie każdy najdrobniejszy powiew i każda przypomniana sobie rzecz. Strata ma kolor czerwieni i pachnie spalonymi różami.

Osamotnienie smakuje jak mdłości w głębi gardła, zawsze czyhające, by podejść do góry; jak zawroty głowy, jak spacer po wysokim, kamiennym nabrzeżu nad morzem, które skrzy się i faluje tak daleko w dole, że nawet nie jesteś pewna gdzie, ale jest brązowe, brązowe; osamotnienie ma pusty, bezduszny brązowy kolor.

Rozpacz: wszechobecny szum tła, szary szum, trochę brzęczenie, a trochę syk, paraliżujący, rozmazujący wszystko w niewyraźną szarość. Wszechobecny deszcz. Ustępujący pod dotykiem świat, gdzie można wcisnąć się każdą z kończyn, a i tak niczego nie dosięgnąć. Wszechobecna izolacja. To właśnie jest rozpacz.

Niepewność ma barwę żółtą, niezdrową, jak żółć, jak obłąd, jak kwiaty, które otwierają płatki wokół ciebie i wirują, tak że nie można dostrzec, który z nich jest najpiękniejszy, najdoskonalszy, który pachnie najładniej, najśłodziej; żółtą jak kwas wytrawiający wszystko co wiesz, tak że w końcu stoisz na przeżartej rdzą filigranowej konstrukcji, jednocześnie mniejszej niż najmniejsze z ziarenek żółtego pyłku i ogromnej ponad ogrom, z całymi miastami w środku.

Szok to tępy nacisk próbujący rozmazać mózg na potylicy.

Zdrada to półprzejrysty błękit, taki zimny zimny zimny.

Niezrozumienie jest jak włos na języku.

Gniew zaś jest ciężki jak młot, a jednocześnie tak lekki, że polatuje na własnych skrzydłach, pokryty najciemniejszą rdzą na świecie. Tak to jest być człowiekiem.

- Czemu mi nie powiedzieliście?! - woła do bogów, gdy wokół rozpościera się ulica, a deszcz zaczyna padać na zadartą twarz.

Bogowie odpowiadają: *Nie wiedzieliśmy. Nie przyszło nam to do głowy.* I jeszcze: *Teraz rozumiemy.* Potem jeden po drugim gasną jak dije na deszczu.

Shiv nie potrafi dojść, co to za zapach. Słodki, trochę piżmowy, kojarzy mu się z czymś, czego za dobrze nie pamięta, a jego źródłem jest dataradża Ramanandacharya. Gruby palant, ale oni tak zawsze wyglądają. Trzęsące się tłusciuchy. Teraz już jest mu tak dobrze w tych powłóczystych szatach. Shiv szczególnie nie cierpi staroświeckich, mogolskich wąsików. Z przyjemnością by mu je przystrzygł, ale wygięty czubek noża Yogendry musi tkwić w pachwinie Ramanandacharyi. Jeden nieznaczny ruch nadgarstka i przetnie tętnicę udową. Shiv zna się na chirurgii. Radża wykrwawi się wtedy w niecałe cztery minuty.

Idą po pochyłym, mokrym bruku z pawilonu Hastingsa do świątyni, blisko siebie, jak kochankowie albo pijacy.

- Ile ich tam masz? - szepcze Shiv, szturchając Ramanandacharyę ramieniem. - No, kobiet, ile?

- Czterdzieści - odpowiada Ramanandacharya.

Shiv wali go otwartą dłonią. Wie, że to przez te piguły jest niecierpliwy, odważniejszy niż być powinien inteligentny facet, ale lubi ten stan.

- Czterdzieści kobiet? A skąd ty je bierzesz, co? - Szturchaniec.

- Zewsząd. Filipiny, Tajlandia, Rosja, gdzie tylko jest tanio.

Znów plaśnięcie wierzchem dłoni. Ramanandacharya się kuli. Mijają robota-wartownika, przykucniętego na stalowych pośladkach.

- A jakieś przyzwoite bharackie kobiety?

- Parę ze wsi... au!

Shiv wali teraz mocniej. Ramanandacharya pociera bolące miejsce. Shiv rozciera między

palcami fałdę kosztownego, przetykanego złotem jedwabiu, wyczuwa subtelność splotu, gładkość, lekkość.

- I podoba im się tu? Wśród tego mogolskiego gówna? - Popycha go oburącz. Dataradża potyka się na stopniu. Yogendra cofa nóż. - Co, nie mogłeś urządzić się po hindusku?

Ramanandacharya wzrusza ramionami.

- To mogolski fort - podsuwa słabo.

Shiv uderza jeszcze raz.

- I chuj, że mogolski! - Podsuwa się do jego ucha. - I jak często... tego? Co noc?

- I po obiedzie... - Krzyczy, gdy Shiv wali go mocno w skroń.

- Jebany, zboczony ćutja! - Wie już, co to za zapach. Ten ciemny, słodko-kwaśny, piźmowy zapach bije z ubrania i klejnotów Ramanandacharyi. Seks.

- Oj - odzywa się Yogendra.

Rój robocików zszedł z orbity wokół świątyni i płynie po dziedzińcu ku ich tercetowi, jak czarna tłusta strzałka. Plastikowe odnóża szeleszczą na kamykach. Mokre pancerzyki czarno połyskują. Ramanandacharya cmoka, wzdycha i obraca pierścień na małym palcu lewej ręki. Rój rozstępuje się jak morze w chrześcijańskiej przypowieści, z tych, które amerykańscy misjonarze wbijają do głów przyzwoitych młodych kobiet, żeby zrobić z nich stworzenia, które w życiu nie znajdą sobie porządnym mężów.

- W dwadzieścia sekund obrałyby ci stopy do kości - mówi Ramanandacharya.

- Zamknij mordę, grubasie. - Shiv uderza go raz jeszcze, bo przestraszył się robotów-skarabeuszy.

Ramanandacharya robi krok, i kolejny. Pierścień robotów płynie wraz z nim. Yogendra pociera czubkiem noża o jego pachwinę.

Kolumnada świątyni jest tą samą ponurą, ociekającą deszczem skorupą malowanego tynku i ludowych religijnych bazgrołów, którą Shiv oglądał w goglach z murów, tym razem jednak kirlianowska sygnatura Ramanandacharyi włącza rzędy niebieskich reflektorów i Shiv wbrew sobie wstrzymuje oddech. Suddhawasa wewnątrz to sześcian przejrzystego plastiku o krawędziach jarzących się w ostrym błękitnym świetle. Roboty-skarabeusze wchodzą z powrotem na orbitę. Ramanandacharya unosi ręce ku przezroczystej, plastikowej joni hermetycznych drzwi. Z powierzchni płynu wyłania się klawiatura numeryczna. Ramanandacharya podsuwa się, chce wstukać kod; błyska nóż, grubas krzyczy, chwytą się za rękę. Z cieniutkiego cięcia na palcu wskazującym sączy się krew.

- Ty to zrób. - Yogendra wskazuje ostrzem Shiva.

- Co?

- Może ma tu jakieś pułapki, kto go tam wie. Na pewno myśli, że jak se to weźmiemy, to i tak zginie. Ty wpisz kod.

Ramanandacharya wytrzeszcza oczy, gdy Shiv wyciąga palmera i zaczyna wpisywać hasło.

- Skąd to masz? Dane? Gdzie Dane?

- W szpitalu - odpowiada Shiv. - Kot zezarł mu język.

Yogendra chichocze. Klawiatura z powrotem wtapia się w powierzchnię inteligentnego plastiku (Shiv myśli, że to coś o wiele zbyt fajnego dla takiej cipy jak Ramanandacharya), zamek w drzwiach rozczarowująco szcęką.

System deszyfrujący to świetlista plastikowa garbagriha, na tyle ciasna, by Shiv odczuł nieprzyjemną klaustrofobię.

- A gdzie komputer? - pyta Shiv.

- To wszystko to komputer - odpowiada Ramanandacharya i machnięciem dłoni przełącza ściany na przezroczystość.

Kryje się w nich spleciona gęsto jak varanaski jedwab, jak włókna nerwowe, sieć białkowych obwodów. Wokół sieci sztucznych neuronów bulgocą płyny. Shiv zauważa, że dygocze w mokrych bojówkach.

- Czemu tu, kurwa, tak zimno?

- Kwantowa jednostka obliczeniowa wymaga stałej niskiej temperatury.

- Kwa... co?

Ramanandacharya przesuwa dłońmi po wierzchu tytanowego, szczelinowego walca, jedynej rzeczy wystającej z nieskazitelnej plastikowej ściany.

- On śni w kodzie - mówi.

Shiv nachyla się, czyta napis na metalowym dysku. *Sir William Gates*.

- Co to jest?

- Nieśmiertelna dusza. Przynajmniej tak mu się wydawało. Przetransferowana pamięć, bodhisoft. Jak sobie Amerykanin wyobraża zwycięstwo nad śmiercią. Jeden z największych umysłów swojego pokolenia - to wszystko przez niego. Teraz pracuje dla mnie.

- Znajdź ten plik i zgraj mi go tutaj. I koniec. - Shiv wali dataradźię palmerem po głowie.

- O nie, tylko nie Tabernakulum, CIA mnie zabije, ja już nie żyję - błaga Ramanandacharya, a potem zamyka swoją kretyńską rozjazgotaną gębę, wywołuje z plastiku kolejną klawiaturkę do kodów i wprowadza krótki ciąg.

Shiv myśli o zamrożonej duszy. Czytał o tym, jak krążą sobie w takich bransoletach z nadprzewodzącej ceramiki. Całe życie: seks, książki, muzyka i gazety, przyjaciele, kolacje, filiżanki kawy, ukochane i wrogowie, chwile, kiedy wyrzucasz pięści w powietrze i krzyczysz: „dźai!” i kiedy masz ochotę wszystkich zarznąć - i wszystko to możesz dać w prezencie lasce w knajpie, żeby włożyła sobie na rękę.

- Jedno pytanie - odzywa się Ramanandacharya, podając Shivowi załadowanego palmera. - Po co to wam?

- N.K. Jivanjee chce pogadać z gośćmi z kosmosu - odpowiada Shiv. Wsuwa palmera do jednej z licznych kieszeni w spodniach. - No to spadamy.

Sztuczka z pierścieniem jeszcze raz rozdziela robociki; Shiv widzi na twarzy Ramanandacharyi nadzieję, że go jednak puszcza; mina zmienia się, gdy Yogendra szturcha go lufą, każąc iść. Ani to piękny, ani budujący widok, gdy gruby mężczyzna moczy się ze strachu. Shiv znowu wali go z plaskacza.

- Przestań, wkurwia mnie to! - wybucha Ramanandacharya.

Yogendra zmusza go, żeby przeprowadził ich z powrotem przez bramę dla turystów, do dawnych indyjskich koszar. Przeciskają się przez wyrwę w blasze. Shiv dosiada motoru, zapuszcza silnik. Porządny, solidny japoński motorek. Ogląda się na Yogendrę - ten stoi nad klęczącym Ramanandacharyą i wciska mu do ust lufę stieczkina. Dataradża liże ją. Oblizuje lufę językiem, pięści ją, obciąża. Yogendra szczyrzy zęby.

- Zostaw go!

Chłopak marszczy brwi, autentycznie, szczerze poirytowany.

- Czemu?

- Zostaw go. Idziemy.

- Naśle na nas ludzi.

- Zostaw go!

Yogendra ani drgnie.

- Pierdol się! - Shiv zsiada, wyciąga wiązkę min paralizujących i rozrzuca je wokół Ramanandacharyi. - A teraz go zostaw.

Yogendra wzrusza ramionami, chowa pistolet do kieszeni spodni. Shiv wciska przycisk pilota

uzbrajającego miny.

- Dziękuję wam dziękuję dziękuję... - szlocha Ramanandacharya.

- Przestań błagać, nie cierpię tego - rzuca Shiv. - Trochę, kurwa, godności. Nabab z pierdolonego Chunar. Ciekawe, czy któraś z twoich czterdziestu kobiet będzie chciała po tym wszystkim z tobą spać.

Shiv kręci manetką i rusza swoim japońskim motocyklem, Yogendra tuż za nim. Sprawa jest załatwiona, nie trzeba już się kryć ani uważać. Teraz zapalone światła, ryczące silniki, lecą z rykiem przez miasteczko, mijając rozjarzone jajo centrum obsługi telefonicznej, a gdy gaśnie ostatnie światełko Chunar, uderza triumf. Udało się. Zabrali co trzeba i odjeżdżają. Niebo nad wschodnim horyzontem rozjaśnia mokry brzask. Zanim słońce wzejdzie na dobre, myśli Shiv, będzie z powrotem w mieście, dostanie kasę, spłaca jego długi i będzie wolny, będzie znów radzią i znów nikt nie śmie mu odmówić. Pozwala sobie na okrzyki, szaleńczo zarzuca motocyklem po drodze, zygzakując po całej jej szerokości, wyjąc, kracząc i skomląc bardziej obłąkańczo niż nocne szakale. Podjeżdża celowo blisko nieutwardzonego pobocza, drażniąc się ze spękanym asfaltem i zdradzieckim żwirem. Shiv Faraji jest niepokonany.

Zarzucając w drugą stronę, słyszy to. Biegnące przez wiejski przedświt odziane w tytan stopy - słyszy kroki i wyczuwa je przez zawieszenie motoru, przybliżające się, nienaturalnie szybkie. Shiv zerka w tył. Na niebie jest w sam raz światła, by dojrzeć ścigającego. Trzyma się nisko nad ziemią, balansuje; biegnie na dwóch mocnych nogach jak jakiś monstrualny ptak-demon, wypuszczony na nich z zamku. Zbliża się coraz bardziej. Rzut oka na szybkościomierz mówi Shivowi, że robi co najmniej osiemdziesiąt.

Yogendra dodaje gazu sekundę po Shiwie, ale jazda z maksymalną szybkością po tej popękanej, śliskiej wiejskiej drodze to śmierć równie pewna, jak pędzący za nimi stwór. Shiv pochyla się nisko nad kierownicą, aby stanowić jak najmniejszy cel dla niesionej przez robota jakiejś ezoterycznej broni. Zaraz będzie ten skręt. Ponad rykiem silnika słyszy dudnienie metalu. Drzewo, znajomy plakat z reklamą wody mineralnej, tutaj, pewnie, że tak. Zajęty wypatrywaniem, niemal przegapia Yogendrę skręcającego przez cały asfalt na polną drogę. Spanikowany hamuje, nadmiernie skręca, omal nie wywala się na szosę, w końcu opanowuje motor i skręca na piasek.

Widział go. Tam, za nim, na drodze w oddali, dudniący krokami, szary w blasku barwy indygo, wygląda, jakby miał się nigdy nie zatrzymać, nigdy nie zmęczyć, biec za nimi i biec choćby dookoła świata.

Krzaki soczewicy ustępują udeptanemu, pryszczatemu od deszczu piaskowi. Opony wyrzucają w powietrze twardą ziemię. Jest łódka, tam gdzie ją zostawili, z kotwicą wbitą w piasek, odwrócona przez nurt, zanurzona głęboko, bo bierze wodę, obok zaś stoi bramin, po pas w rzece, z ramionami przepasanymi świętą wstęgą, przelewa wodę złożonymi dłońmi i intonuje poranne powitanie Matki Gangi. Shiv staje z poślizgiem, rzuca się w wodę, zaczyna ładować ciężką maszynę na łódź.

- Zostaw zostaw zostaw! - wrzeszczy Yogendra.

Bramin śpiewa.

- Mogą nas po nich namierzyć! - krzyczy Shiv.

- Mogą nas namierzyć po twoich minach.

Yogendra wjeżdża głęboko w wodę, motor wywraca się z chlupotem i zaczyna się pogrążyć w rzeczonym piasku. Wyciąga kotwicę, gdy do łódki wtacza się Shiv. Łódź kołysze się niebezpiecznie, a pod ławkami ma strasznie dużo wody. Shiv bardziej mokry jednak już nie będzie, za to jeszcze może być o wiele bardziej martwy. Robot majaczy za grzbietem wydmy i rozprostowuje się na pełną wysokość. To jakaś złowroga pościgowa rakszasa, pół ptak, pół pajak, rozwijający macki, manipulatory, wysuwający spomiędzy żuwaczek wiązkę luf karabinów maszynowych.

Bramin wytrzeszcza oczy.

Yogendra rzuca się do silnika. Szarpie raz, drugi. Łowca robi krok naprzód po piaszczystym zboczku, żeby lepiej wycelować. Trzecie szarpnięcie. Silnik startuje. Łódka wyrывa naprzód. Machina Ramanandacharyi skacze, lądując po kolana w wodzie. Obraca głowę ku celowi. Yogendra steruje na środek nurtu. Robot brodzi za nimi. Wtem Shiv przypomina sobie o cwany granacie Ananda w jednej z kieszeni. Woda za siedzącym na rufie Yogendrą eksploduje gradem pocisków. Shiv pada na płask. Bramin na płyciźnie kuca, osłania głowę rękoma. Granat tnie powietrze eleganckim, lśniącym łukiem. Spada z chlupnięciem. Nic nie widać i nic nie słycać poza nieznacznym bzyknięciem rozładowujących się kondensatorów. Robot zamiera. Lufy obracają się ku niebu, tnąc świt pociskami. Osuwa się na kolana, pada jak ranny gunda. Żuwaczki i kleszcze się rozwierają, pada do przodu w rzeczny muł. Miękki, srebrzysty piasek pochłania go niemal natychmiast.

Shiv staje w łodzi. Wskazuje na przewróconego robota. Śmieje się, głośno, niepoohamowanie, radośnie. Nie może się powstrzymać. Łzy ciekną mu po twarzy, mieszają się z deszczem. Ledwo może złapać oddech. Musi usiąść. To aż boli, aż boli.

- Trzeba go było zabić - mruczy przy rumplu Yogendra.

Shiv ucisza go machnięciem ręki. Nikomu nie wolno go upominać ani krytykować. Śmiech przechodzi w radość, prostą, żarliwą ekstazę, że żyje, że jest po wszystkim. Kładzie się na plecach na ławeczce, pozwala deszczowi padać na twarz i patrzy w górę na fioletowe pasma chmur, rozwijający się nad jego Varanasi kolejny dzień w życiu Shiva. Radża Shiv. Maha radża. Radża radzów. Może znowu będzie pracować dla Nathów; może jego imię otworzy mu jakieś nowe drzwi; może zabierze się za jakiś własny interes, ale nie organy i nie mięso, mięso jest zdradliwe. Może pójdzie do tego lawdy Ananda i złoży mu propozycję.

Może znów planować. I znów czuć zapach aksamitek.

Jakiś drobny odgłos, nieznacznym przechył łódki.

Nóż wchodzi tak gładko, ostro i czysto, że nawet nie pozwala Shivowi wyrazić szoku.

Przepiętnie. Niewymownie. Ostrze gładko przecina skórę, mięśnie, naczynia krwionośne, ząbkowany brzeg zgrzyta o żebro, aż hakowaty czubek ląduje w płucu. Nie ma żadnego bólu, tylko świadomość idealnej ostrości i pieniącej się w przebitym płucu krwi. Ostrze porusza się w cieple w rytm pulsu. Shiv próbuje się odezwać. Dźwięki mlaskają i bulgocą, nie chcą tworzyć słów. Trwa tak bardzo długo, z oczyma wybaluszonymi od szoku. Wtem Yogendra wyszarpuje nóż - gdy wychodzi z płuca, z ust Shiva wyrывa się okrzyk bólu. Odwraca się do Yogendry, osłania uniesionymi rękami przed kolejnym ciosem. Nóż znów nadlatuje łukiem, Shiv łapie go między kciuk i palec wskazujący lewej dłoni. Tnie głęboko, aż po staw, ale on go trzyma. Trzyma go. Słyszy teraz szaleńcze dyszenie dwóch mężczyzn splecionych w walce na śmierć i życie. Okładają się nawzajem w desperackiej ciszy, na rozkołysanej łódce. Yogendra wolną ręką sięga po palmera. Shiv młóci rękoma, chwytając Yogendrę, chwytając cokolwiek. Łapie za sznur pereł na szyi chłopaka, ciągnie mocno, chwytając mocno, żeby się unieść. Yogendra wyrывa nóż z jego uchwytu, przejeżdżając zębata krawędzią po kości. Shiv wydaje wysoki, jękliwy wrzask, który przechodzi w krwawy bulgot. Brzegi rany trzepoczą przy oddychaniu. Nagle dostrzega tę odrazę, pogardę, zwierzęcą butę i bezczelność, ujawniane przez szare światło brzasku w twarzy Yogendry i wie, że on zawsze to czuł, zawsze tak na niego patrzył, że to ostrze od zawsze się czaiło. Zatacza się w tył. Sznur pęka. Perły rozsypują się, podskakując. Shiv ślizga się na nich, traci równowagę, pada, trzepocze rękami, wpada do wody.

Woda łagodnie połyka go całego. Ogłusza przenoszony przez betonowe nabrzeże łomot samochodów. Jest głuchy, ślepy, niemy i nieważki. Walczy, młóci kończynami. Nie wie, gdzie jest góra, gdzie powietrze i światło. Błękit. Wisi w błękitcie. Wszędzie, gdzie spojrzy, błękit, w każdym kierunku, w nieskończoność. I czerń, jak dym, wijącej się ku górze smugi jego krwi. Krew, idź za krwią. Ale nie ma siły, z rozcięcia w plecach ucieka mu bąbelkami powietrze; wierzga, ale się nie posuwa, młóci pięściami, ale ani drgnie. Walczy z wodą, spadając coraz głębiej w błękit, ściągany ciężarem broni. Pałają go płuca. Nie ma już w nich nic oprócz trucizny, popiołu z ciała, ale nie potrafi jeszcze otworzyć ust, nabrać tego ostatniego haustu wody, choć dobrze wie, że już nie żyje. W głowie mu dudni, gałki oczne pękają, kiedy młóci i kopie, widzi, jak w błękitcie bezsensownie faluje na wpeł odcięty kciuk.

Błękit ciągnie go w dół. Wydaje mu się, że widzi w nim jakiś wzór; przedśmiertne pobudzenie wypalających się jedna po drugiej komórek mózgowych rysuje przed nim twarz. Twarz kobiety. Uśmiechnięta. Chodź, Shiv. Priya? Sai? Oddychać. Trzeba oddychać. Wierzga, walczy. W ciężkich, ciągnących go w dół bojuwkach wyładowanych ezoteryczną cyberbronią ma potężną erekcję. Wie, co się musi stać. Nie zostawi Yogendrę tego szyfru. Oddychać. Otwiera usta i płuca, błękit wdziera się do środka, dogasającymi węgielkami mózgu rozpoznaje, kto to taki. Nie Sai i nie Priya. To zwyczajna, delikatna twarz kobiety, którą wydał rzece, a przedtem na darmo ukradł jej jajniki, uśmiechnięta, zapraszająca, by przyłączył się do niej w wodzie, w błękitcie, w odkupieniu.

- Pierwsza zasada satyryka - mówi Vishram Ray, sprawdzając kołnierzyk w lustrze męskiej toalety - to pewność siebie: każdego dnia i na wszystkie sposoby. Mamy emanować pewnością siebie.

- Myślałam, że pierwsza zasada to...

- Wyczuć moment - przerywa Mariannie Fusco, która przysiadła na skraju sąsiedniej umywalki. Inder i reszta personelu, którego Vishram nigdy dotąd nie widział, zamknęła toalety Ośrodka Badawczego dla wszystkich, niezależnie od stanu ich pęcherza czy kiszek. - To druga reguła. W podręczniku satyryka Vishrama Raya.

Jednakże nie był taki przerażony, odkąd pierwszy raz wszedł w krąg światła wokół połyskującego na stojaku mikrofonu z pomysłem na skecz o tanich liniach lotniczych. Za mikrofonem nie ma gdzie się schować. Tak samo w tej minimalistycznej, wyłożonej drewnem sali z jednym stolikiem z włókna węglowego pośrodku. Bo tak naprawdę jego wycucie momentu jest głównie warte. Zwołać nadzwyczajne walne zgromadzenie w samym środku kryzysu po zamachu, kiedy czołgi nieprzyjaciela stoją na zachód od miasta, o dzień drogi. I jeszcze monsun, żeby przydać całemu ambarasowi trochę meteorologicznego nieszczęścia.

Nie, myśli Vishram Ray, sprawdzając w lustrze stan zarostu. Ma idealne wycucie. To najprawdziwsza komedia.

W takim razie, czemu czuje się tak, jakby zżerało go osiemnaście różnych nowotworów?

Stan ogolenia OK, woda po goleniu w granicach przyzwoitości, mankiety OK, spinki OK.

Fala neurochemii naprawdę wspaniale oczyszcza mózg z Kali, Brahm i poliwersów z teorii M-gwiazdy. Komizm jest zawsze kwestią chwili. A prawdziwa zasada numer jeden, czy to w Księdze Satyry, czy w Księdze Biznesu, brzmi: przekonanie. Śmiech bowiem, tak jak rozstanie z pieniędzmi, jest dobrowolnym okazaniem słabości.

Marynarka OK, koszula OK, buty nieskazitelne.

- Jedziemy z koksem? - pyta Marianna Fusco, krzyżując nogi tak, że Vishram zaczyna wyobrażać sobie własną twarz między nimi. - Ej, panie dowcipny. - Niezwykle nonszalancki gest ręki wskazuje elegancką, równiutką kreskę koki na czarnym marmurze. - Na wszelki wypadek.

- Lenny Bruce nie był desi - odpowiada Vishram. Robi potężny, wydech. - No to jedziemy.

Marianna Fusco zsuwa się z marmurowej grzędy i zsypuje kreskę do umywalki.

Gdyby tak poczęstowała go papierosem...

Vishram kroczy korytarzem. Skórzane podeszwy butów minimalnie poskrzypują na polerowanym parkiecie, Marianna i Inder idą za nim, z każdym krokiem robi się trochę wyższy, trochę bardziej dumny. Konferansjer już rozgrzał publiczność, już ich ma, już ich rozgrzewa: teraz lewa strona klaszcze, teraz prawa gwizdże, a ci na jaskółce po prostu krzyczą. Przed państwem! Vishram! Raaaay!

Otwierają się rzeźbione drewniane drzwi, każda z twarzy wokół przezroczystego stołu wbija wzrok w Vishrama. Jego orszak bez słowa rozchodzi się wokół i zajmuje wyznaczone miejsca. Inder po jego prawej stronie, Marianna Fusco po lewej, doradcy na skrzydłach. Inder robił z nimi próby od piątej rano. Siadając na swoim miejscu u szczytu stołu, kładąc na nim palmera i bogato intarsjowaną

drewnianą teczkę na dokumenty (żadnej skóry: polityka etycznej, *hinduskiej* firmy energetycznej), Vishram kiwa głową Govindowi po prawej i Rameshowi po lewej. Ramesh, zauważa, zainwestował przynajmniej w porządną garnitur. I brodę ma trochę mniej niechlujną. Znaki. Satyryk czy garniturowiec, wszystko sprowadza się do odczytywania znaków. Grupa Vishrama czeka, aż szef usiądzie. Doradcy popatrują po sobie. Vishram lustruje udziałowców. Inder-z-sieci ma taki sprytny tryb informacyjny, automatycznie podający dane osobowe, procent akcji, historię głosowań i przewidywany głos na dziś, z prawdopodobieństwem. Wielu udziałowców jest wirtualnych, na ekranie wideo, albo reprezentowanych przez przedstawicielskie aeai wymodelowane na ich osobowości. W Stanach nie uznaliby takiej demokracji na żadnym zgromadzeniu. Vishram wyłącza sprytną zabaweczkę Inder. Zrobi to po staremu, po estradowemu. Poszuka subtelnych wskazówek, wypatrzy w ułożeniu ust potencjalne uśmiechy, dostrzeże w kącikach oczu zaproszenia, mówiące: „No dawaj, zabaw mnie”.

Linie frontu w żadnym razie nie są oczywiste. Nawet we własnej części ma dużych udziałowców, jak SKM ProSearch, którzy zagłosują przeciw niemu. Zerka na Inder, na Mariannę. Wstaje. Bańka rozmów wokół stołu pęka.

- Panie i panowie, szanowni udziałowcy firmy Ray Power, obecni materialnie i wirtualnie.

Otwierają się drzwi sali. Do środka wślizguje się matka, dokładnie na wprost niego, i zajmuje miejsce pod ścianą.

- Dziękuję za przybycie tutaj dziś rano, co dla niektórych z państwa wiązało się ze znacznym ryzykiem. Nad dzisiejszym spotkaniem - to nieuniknione - wisi cień ostatnich wypadków, z których najbardziej znaczący jest zamach na naszą panią premier, Sajidę Ranę. Jestem pewien, że większość z was podobnie jak ja szczerze współczuje dziś rodzinie Ranów.

Pomruk zgody wokół stołu.

- Ja osobiście w pełni popieram starania naszego nowego Rządu Ocalenia Narodowego, mające na celu przywrócenie państwu siły i zaprowadzenie ładu. Przypuszczam, że wielu z was kwestionowało stosowność organizowania tego zgromadzenia w takim politycznym kontekście. Zapewniam państwa, że nie uczyniłbym tego, gdybym nie uważał, że jest to w najwyższym interesie firmy. Bo jest; ale oprócz tego, jest jeszcze jedna zasada, która według mnie właśnie w takich czasach wymaga przestrzegania. Oczy świata są zwrócone na Bharat, ja zaś sądzę, że należy pokazać: przynajmniej firma Ray Power działa w tych warunkach jak gdyby nigdy nic.

Gremialne kiwanie głowami, powolny, cichy aplauz. Vishram taksuje salę.

- Nie wątpię, że większość z państwa jest zaskoczona, znalazłszy się tak szybko na kolejnym walnym zgromadzeniu akcjonariuszy Ray Power. Zaledwie kilka tygodni temu mój ojciec zdetonował tu swoją, przepraszam za wyrażenie, bombę. Zapewniam, że były to pracowite i ożywione dwa tygodnie, i muszę państwa ostrzec: moim zamiarem jest, by dzisiejsze spotkanie było równie wstrząsające i otwierało drzwi ku równie wielkim zmianom.

Czas na reakcję publiczności. W gardle ma sucho, jak w radzastańskiej rurze kanalizacyjnej, ale

nie pozwoli sobie na okazanie słabości, popijając wodę. Govind i jego asystent pochylają głowy. Pomruk cichnie, staje się niesłyszalny. Pora na trochę pasji w głosie.

- Panie i panowie, chciałbym państwa poinformować, że ośrodek badawczy firmy Ray Power dokonał wielkiego naukowego przełomu. Nie będę się przed państwem popisował, sam bowiem nie rozumiem fizyki tego odkrycia; pozwólcie mi po prostu stwierdzić, że osiągnęliśmy nie tylko stały, ale i znaczący zysk energetyczny z punktu zerowego. Tu, w tym budynku, nasi naukowcy zbadali właściwości innych wszechświatów i odkryli, jak sprawić, aby energia z nich przepływała do naszego świata, na skalę przemysłową. Darmowa energia, moi drodzy.

Ściema na kilometr, moi drodzy. Nie. Stoisz w świetle reflektorów, w dłoni masz mikrofon, ten najbardziej falliczny z symboli. Nie przechytrz. Nie koncentruj się na sobie.

- Nieograniczona, darmowa energia; energia, która jest czysta, nie zatruwa, nie zużywa paliwa i jest nieskończenie odnawialna - bezgraniczna jak cały wszechświat. Muszę wam powiedzieć, moi drodzy, że tego cudu poszukiwało wiele firm, przełomu dokonali jednak Bharaccy naukowcy w bharackiej korporacji!

Ma ustawionych klakierów, wokół stołu wybucha jednak spontaniczny i szczery aplauz. Teraz jest pora na łyk wody i spojrzenie na matkę. Ma na twarzy najbardziej nieznaczny z uśmiechów. I nadchodzi to dobrze znane uczucie ciepła w jajach, ta fala hormonów, kiedy już wiesz, że masz ich na haczyku i możesz pociągnąć gdzie tylko zechcesz. Ostrożnie, ostrożnie, nie przegnij. Przecież liczy się moment.

- To historyczna chwila, która odmieni naszą przyszłość: nie tylko przyszłość Bharatu, lecz każdego człowieka i dziecka na Ziemi. To wielkie odkrycie, dokonane w wielkim państwie: chcę, żeby usłyszał o tym świat. Zaprosiliśmy wszystkie światowe media; teraz chcę dać im coś, co naprawdę sprawi, że nas zapamiętają. Bezpośrednio po naszym spotkaniu zaplanowałem pełnowymiarowy publiczny pokaz projektu punktu zerowego.

Teraz. Wyciągnij rybę z wody.

- Jednym kwantowym skokiem Ray Power staje się graczem na skalę planety. I tu właśnie przechodzę do drugiego, bardziej przyziemnego powodu, dla którego poprosiłem was dziś o przybycie. Ray Power jest w kryzysie. Nadal możemy jedynie spekulować, jakie motywy przywiodły mojego ojca do podziału; ja ze swojej strony starałem się być maksymalnie wierny jego wizji Ray Power jako firmy, gdzie wizja i ludzie liczą się tak samo, jak zyski w księgach. Niełatwo sprostać takim standardom.

Jak ten inżynier ma prowadzić prawe życie? Nie może jednak wygnąć z głowy obrazu leżącej na plecach Marianny Fusco i własnej pięści ściskającej koniec zasupłanego jedwabnego szala.

- Wezwałem was tutaj, bo potrzebuję pomocy. Zagrożone są wartości naszej firmy. Na świecie istnieją większe, potężniejsze korporacje kierujące się innymi systemami wartości. Zaoferowały one bardzo znaczne sumy pieniędzy za sprzedaż części Ray Power. Zwróciły się także do mnie. Możecie państwo uznać, że działałam pochopnie, albo przynajmniej niedyplomatycznie, ale odmówiłem im, z

tych właśnie powodów: wierzę w ideę, jaką kieruje się ta firma.

Noga z gazu.

- Gdybym sądził, że postępują zgodnie z interesem projektu punktu zerowego, mógłbym rozważyć ich oferty. Oni jednak są zainteresowani tylko dlatego, że mają własne, zaawansowane i mocno nagłośnione projekty. Wykupiliby nas tylko po to, by opóźnić, albo wręcz zniweczyć nasze przedsięwzięcie. Moi bracia obecni tu przy stole także otrzymali oferty, być może od tych samych grup. Chcę je wyprzedzić. Chcę, żeby odpadły w przedbiegach, jak to mówią Amerykanie. Złożyłem Rameshowi hojną ofertę wykupu Ray Gen, części firmy zajmującej się produkcją energii, gdyż to w niej dokona się wdrożenie technologii punktu zerowego. Dzięki temu obejmę kontrolny pakiet Ray Power, wystarczający, by obronić firmę przed zewnętrznymi wpływami, dopóki punkt zerowy nie zostanie upubliczniony i nie będziemy mogli skuteczniej im przeciwdziałać. Szczegóły tej oferty mają państwo w swoich materiałach. Proszę poświęcić chwilę na zapoznanie się z nimi, rozważenie moich słów, a następnie przeschlibyśmy do głosowania.

Siadając, napotyka spojrzenie matki. Matka się uśmiecha, dyskretnie, na własny użytek, mądrze, gdy w jednej chwili całe zgromadzenie zrywa się na równe nogi i zaczyna wykrzykiwać pytania.

Taksówkarz palił, słuchając radia, rozwalony na tylnym siedzeniu, ze stopami wystawionymi przez otwarte drzwi na deszcz, gdy ze szklanego mostka wybiegło z chlupotem Tal, holując potykającą się, półprzytomną Najię.

- Co ćuit, jak się cieszę, że cię widzę.

- Wyglądaliście mi na ludzi, którzy potrzebują jakiegoś transportu. - Tal zapakowało Najię na tył. - W każdym razie dzisiaj licznik nie obowiązuje, nie przy tym, co się tu wyprawia. I policzę też za czekanie. Dokąd jedziemy, przed siebie jak ostatnim razem?

- Wszędzie, tylko nie tutaj.

Tal wyciągnęło palmera i otworzyło plik wideo od N.K. Jivanjeego oraz mały sprytny nielegalny programik, na liście obowiązkowej u każdego obdarzonego uliczną kumacją neutka: programik do namierzania telefonów. Bo neutko nigdy nie wie, kiedy będzie mu potrzebne małe ran-de-wu.

- Nie powinniśmy ruszać? - pyta, przerywając na moment wydłubywanie kodu z pliku wideo.

- Muszę spytać o jedno. Musicie mnie zapewnić, że nie braliście udziału w dzisiejszych porannych... awanturach. Mógłbym powiedzieć wiele o niekompetencji i nieudolności tego rządu, ale w głębi serca kocham to państwo.

- Baba, ci sami ludzie ścigali ją i strzelali do mnie - stwierdza Tal. - Wierz mi. A teraz jedź.

Szofer wbija pedał w podłogę.

- A twoja przyjaciółka dobrze się czuje? - pyta, klaksonem przebijając się przez wyznawców telenoweli, teraz na równych nogach, z dłońmi uniesionymi jak do modlitwy, oczy zamknięte, poruszające się usta. - Bo jest jakaś taka nieswoja.

- Złe wieści o rodzinie - odpowiada Tal. - A z tymi o co chodzi?

- Składają pudzież bogom *Miasta i wsi* w intencji ratunku dla państwa - wyjaśnia taksówkarz. - Bezsensowne zabobony, jak dla mnie.

- Nie byłoby takie pewne - mruczy Tal.

Gdy taksówka skręca w większą arterię, mija ją wielka toyota hilux, rozchlapując wodę. Karsewakowie uczeni pajaków i bocznych relingów. Błękitne światło odbłyśkuje od ich mieczy i triśuli. Tal przygląda się jak znikają, wzdyga się. Gdyby zostali tam dwie minuty dłużej, zaczarowani przez aeai...

- Rozumiem, że mam ich unikać, podobnie jak policjantów, żołnierzy, funkcjonariuszy państwowych i w ogóle wszystkich? - podsuwa taksówkarz.

- Przede wszystkim ich.

Tal w roztargnieniu przesuwając palcami po wypukłościach pod skórą, wspominając adrenalinowy haj, wspominając miasto ostrzy, triśuli i większego strachu niż wydawał mu się możliwy. Wy, płciowi, jeszcze nie wiecie, ale dałem wam radę, myśli. Twardzi chłopcy, brutalni, myślicie sobie, że ulice należą do was, bo jesteście silni, wściekli i młodzi, ale załatwiło was to jedno neutko. Mam w ręku broń, a ona właśnie podała mi położenie człowieka, który was nią zniszczy.

- Wiesz, gdzie to jest? - pyta Tal, nachylając się nad siedzeniem i podsuwając taksówkarzowi palmera pod nos.

Za rozlatanymi wycieraczkami noc zmienia się w pustą szarość. Taxi-wallah kręci głową.

- Spory kawał.

- Przynajmniej trochę się prześpię - odpowiada Tal, rozpięając się na zatłuszczonej tapicerce.

To trochę prawda, a trochę sposób, żeby kierowca przestał głądzić o sytuacji politycznej. Lecz Najia ściska go za ramię i szepcze:

- Tal, co ja mam zrobić? Pokazał mi różne rzeczy o moim ojcu, kiedy jeszcze byliśmy w Afganistanie. Tal, straszne rzeczy, o których nikt nie może wiedzieć...

- Kłamał. To aeai do robienia telenowel, jest zaprojektowana, by z minimalnej informacji skleić opowieść o największym możliwym skutku emocjonalnym. No, a zresztą, siostra, kto nie ma kwasów z rodzicami?

W ciągu półtorej godziny, bo tyle zajmuje maruti objechanie płonących gór śmieci, ominięcie posterunków, prześlizgnięcie się między barykadami z wypalonych samochodów, przejechanie po wymalowanych na jezdni swastykach i napisach „Dżai Bharat!”, Tal słyszy, jak radio dwadzieścia cztery razy gra hymn narodowy, przerywany krótkimi doniesieniami z Rana Bhavan, mówiącymi o sukcesach Rządu Ocalenia Narodowego w przywracaniu porządku i bezpieczeństwa. Ściska dłoń Najii, która przestaje cichutko szlochać w rękaw miękkiej szarej bluzy.

Taxi-wallah nie chce zjechać swoim ukochanym maruti na brudną, zwirową drogę.

- Baba, płacę ci tyle, że kupisz sobie nową taksówkę! - wykrzykuje Tal.

I właśnie w tym momencie, pośród szarej mżawki, z długiego, prostego dojazdu do otoczonego murem pawilonu myśliwskiego wytacza się ku nim, trąbiąc wściekle, wielki mercedes. Tal sprawdza zamiar poszukiwanego palmera, klepie kierowcę po ramieniu.

- Zatrzymaj ten samochód. - rozkazuje.

- Zatrzymać go? - pyta kierowca.

Tal otwiera drzwi. Taksówkarz klnie i hamuje z poślizgiem. Tal zdążyło się wysliznąć, zanim ktokolwiek krzyknął, i teraz idzie przez mżawkę w stronę auta. Błyskają światła, oślepiając je. Słyszy głęboki odgłos przyspieszającego silnika. Klakson jest basowy, polifoniczny. Tal osłania oczy dłonią i idzie dalej. Merol pędzi ku niemu.

Najia przyciska dłonie do szkła i krzyczy, widząc, jak auto atakuje Tala w jego sponiewieranych eleganckich ciuchach. Tal unosi bezradnie rękę. Hamulce piszczą, łapią się lepkiego, bagnistego błota. Najia zamyka oczy. Nie wie, jak brzmi odgłos zderzenia pół miliona rupii wyrafinowanej północnoeuropejskiej inżynierii z wyrafinowaną inżynierią biologiczną, ale jest pewna, że pozna ten dźwięk, kiedy już się rozlegnie. Lecz nic takiego się nie rozlega. Słyszy trzaskanie drzwi ciężkiej limuzyny. Odważa się otworzyć oczy. Mężczyzna i neutko stoją naprzeciw siebie w porannym deszczu. To Shaheen Badoor Khan, myśli Najia. Mimo woli przypomina sobie poprzedni raz, gdy go widziała - na tych zdjęciach z klubu.

Lampa błyskowa na tle ciemnej tapicerki, rzeźbione drewno, połyskliwe powierzchnie, ale dialog wyglądał tak samo: mężczyzna kontra neutko. Tym razem to neutko przekazuje mężczyźnie przedmiot pełen władzy. Shaheen Badoor Khan jest niższy niż sobie wyobrażała. Próbuje przypasować mu jakiś epitet: zdrajca, tchórz, cudzołóżnik, jednak wszystkie oskarżenia wciąga jak czarna dziura obraz pokoju na końcu korytarza; pokoju, w którym nigdy nie była, o którego istnieniu nie wiedziała, pokoju na końcu dzieciństwa i witającego ją w środku ojca. Tu się dzieje historia, próbuje powiedzieć sobie, by się przebić przez potworny ciężar tego, co opowiedziała jej o nim aeai. Przed tobą, na gruntowej drodze, kształtuje się przyszłość, a ty masz miejsce w pierwszym rzędzie. Siedzisz przy samym piasku, pokrytym krwią i ścięgnami, czujesz ciepło, świeże pieniądze. Taka historia przydarza się raz na całe życie. To jest twoja Nagroda Pulitzera przed dwudziestym piątym rokiem życia.

I przez resztę żywota, Najia, będziesz już tylko patrzeć w tył.

Pukanie w szybę. Shaheen Badoor Khan kłania się nisko. Najia odkręca szybę. Mężczyzna ma na twarzy siwą szczecinę, oczy zapadnięte z wyczerpania, ale błyska w nich drobniutkie światełko, jak dija kołysząca się na potężnej, ciemnej rzece. Wbrew wszystkiemu, wbrew fali historii, dostrzegł przebłysk zwycięstwa. Najia myśli o kobietach obnoszących swoje walczące koty głową do góry wokół areny, ranne, ale waleczne. Wyciąga rękę.

- Pani Askaradah. - Głos ma też niższy niż sobie wyobrażała. Ujmuje jej dłoń. - Proszę wybaczyć, że dziś rano trochę wolno kojarzę, bo wciąż przytłaczają mnie ostatnie wydarzenia, ale chciałbym pani podziękować, nie tylko w swoim imieniu - jestem tylko skromnym urzędnikiem - ale w imieniu państwa.

Nie dziękuj mi, myśli Najia. Bo to ja ciebie sprzedałam.

- Nie ma za co - mówi.

- Nie, nie, pani Askaradah, wykryła pani spisek na taką skalę i tak zuchwały... Jeszcze nie umiem sobie z tym poradzić, to dosłownie mrozi krew w żyłach. Maszyny, sztuczne inteligencje... - Kręci głową, dopiero teraz do Najii dociera, jak bardzo jest zmęczony. - Mam już tę informację, ale to w żadnym razie nie koniec, a wy w żadnym razie nie jesteście jeszcze bezpieczni. Mam plan ewakuacji - w Bharat Sabha każdy ma plan ewakuacji. Planowałem, że pojedziemy z żoną, ale moja żona, jak pani odkryła... - Shaheen Badoor Khan znów kręci głową i tym razem Najia wyczuwa jego niedowierzanie wobec wielowarstwowych zawiłości intrygi i nieposkromionej bezczelności tego spisku. - Powiedzmy, że wciąż mam parę lojalnych osób na wpływowych stanowiskach, a ci, w których lojalność nie mogę wierzyć, są przynajmniej porządnie opłaceni. Mogę przerzucić was do Katmandu, potem obawiam się, że będziecie musieli radzić sobie sami. Chcę prosić tylko o jedno: wiem, że pani jest dziennikarką i ma news dziesięciolecia, ale bardzo proszę nie publikować niczego, dopóki nie rozegram swojej karty, dobrze?

- T... tak... - jąka się Najia. Oczywiście, co tylko zechcesz. Jestem ci to winna. Bo wprawdzie tego nie wiesz, ale to ja jestem twoim oprawcą.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. - Shaheen Badoor Khan zerka na krwawiące niebo, mruży oczy od wątego, gorzkiego deszczu. - Bo... w życiu nie przeżyłem niczego gorszego. I proszę uwierzyć, gdybym tylko myślał, że to, co mi pani przynosi, pogorszy jeszcze sytuację Bharatu... Dla mojej pani premier nie mogę już nic zrobić, ale na szczęście mogę coś jeszcze uczynić dla państwa. - Prostuje się energicznie, spogląda po deszczowych mokradłach. - Jeszcze długa droga, zanim ktokolwiek z nas będzie bezpieczny.

Żegna się mocnym, ponurym uściskiem dłoni i wraca do auta. Wymieniają jeszcze z Talem po krótkim spojrzeniu.

- Jakiś polityk? - pyta taxi-wallah, wycofując samochód, żeby przepuścić mercedesa.

- To był Shaheen Badoor Khan - odpowiada Tal, siadając na tylnym siedzeniu, obok Najii. - Osobisty sekretarz świętej pamięci Sajidy Rany.

- Jasna cholera! - wykrzykuje taksówkarz, jadąc metr za mercedesem, trąbiąc na pierwsze poranne wozy zaprzężone w woły na bocznej wiejskiej drodze. - Tak to kochacie nasz Bharat!

Jamshedpur Grameen Bank to kilkanaście wiejskich kobiet-sathin, udzielających mikropożyczek w ponad stu wioskach, większość z nich nigdy nie wyjeżdżała ze swojej biharskiej prowincji, niektóre z nich nawet się nigdy ze sobą nie spotkały, mają jednak pięćdziesiąt lachów zwykłych akcji firmy Ray Power. Ich przedstawicielką jest aeai, pospolita, drobna bibi, generacja 2.1, pulchna i uśmiechnięta, z twarzą pobrużdżoną życiem i jaskrawoczerwoną bindi. Świetnie pasowałaby na ciotkę ze wsi w jakimś odcinku *Miasta i wsi*. Wita się namaste w hoekowym polu widzenia Vishrama.

- Głosuję za postanowieniem - rzuca słodko jak mamusia i znika.

Vishram przelicza wszystko w głowie, zanim Inder zdąży wyświetlić mu przed oczyma grafikę. Następne są KHP Holdings, mają osiemnaście procent udziałów, zdecydowanie największy pojedynczy akcjonariusz spoza rodziny. Jeśli Bhardwaj zagłosuje na tak, Vishram ma z głowy. Jeśli nie - do wygranej potrzeba mu będzie jedenastu z pozostałych dwudziestu bloków.

- Pan Bhardwaj? - pyta Vishram. Dłonie położył płasko na stole. Nie wolno mu ich podnieść. Zostawiłyby na blacie dwa zaparowane od potu odciski.

Bhardwaj zdejmuje pancerne okulary w tytanowej oprawie, ściera miękką wołokową ściereczką taktyczną tłustą plamę. Głośno wypuszcza powietrze przez nos.

- Ten sposób postępowania jest niestosowny - mówi. - Mogę tylko powiedzieć, że pod panem Ranjitem Rayem to by się nigdy nie stało. Propozycja jest jednak dobra; nie stać nas, aby ją zignorować. Aprobuję ją więc i głosuję za postanowieniem.

Vishram pozwala mięśniom szczęki i pięści na drobny mentalny skurcz, na takie małe „yes”. Nawet w wieczór, gdy wygrał konkurs *Ha Ha Śmieszne*, publika nie reagowała takim pomrukiem, jaki rozlega się tutaj wokół stołu, świadcząc, że wszyscy już to sobie przeliczyli w głowie. Czuje, jak udo Marianny Fusco napiera przez chwilę na jego nogę, pod przezroczystą powierzchnią nanodiamentu. Jakiś dostrzeżony kątem oka ruch każe mu unieść wzrok. Matka wymyka się z sali.

Formalności, reszty głosowania, prawie nie słyszy. Drętwo dziękuje udziałowcom i członkom zarządu za wiarę w nazwisko i rodzinę Rayów. Myśląc: Udało się. Udało się. Udało się, kurwa. Mówiąc obecnym, że ich nie zawiedzie, że właśnie zapewnili tej wspaniałej firmie wspaniałą przyszłość. Myśląc: Zabiorę Mariannę Fusco do restauracji, najlepszej, jaką da się znaleźć w stolicy napadniętego państwa, w którym dopiero co zabili panią premier. Zapraszając: wszystkich, aby przeszli dalej korytarzem, żeby na własne oczy zobaczyć przyszłość, za którą głosowali. Myśląc: miękko zasupłany jedwabny szal.

JAK PRZEPĘDZANIE BYDŁA, przesyła Marianna Fusco, gdy personel Ray Power próbuje zaganiać po markietażowej klonowej podłodze członków zarządu, naukowców, gości,

przypadkowych przechodniów i tych dziennikarzy drugiego sortu, których można było nie posłać do Wielkich Wydarzeń. Wir ludzi wprowadza Vishrama i Ramesha, o głowę wyższego, na jedną orbitę.

- Vishram. - Starszy brat uśmiecha się, szeroko i szczerze.

Wygląda to obco. Vishram pamięta go poważnego, zamyślonego, z pochyloną głową. Uścisk dłoni ma stanowczy i długi.

- Dobra robota.

- Ram, jesteś teraz bogaty.

Cały Ramesh: to przechylenie głowy, wywrócenie oczu, jakby szukał odpowiedzi w niebie.

- Wygląda, że tak, obrzydliwie bogaty. Ale wiesz co, zwisa mi to. Mógłbyś jedno dla mnie zrobić: znaleźć mi coś do roboty przy tym punkcie zerowym. Jeśli to jest tak, jak mówisz, przez całe zawodowe życie patrzyłem nie w tę stronę.

- Przyjdiesz na pokaz.

- Nie przepuściłbym go za skarby świata. Może powinienem powiedzieć „wszechświata”. - Śmieje się nerwowo.

Reguła numer trzy w Księdze Satyry, myśli Vishram Ray. Nigdy nie śmieje się z własnych dowcipów.

- Zdaje się, że Govind chce z tobą pogadać.

Ćwiczył tę rozmowę na wszystkie sposoby, próbował różnych głosów, różnych niuansów, jednak przez chwilę, jaką zajmuje mu wyłowienie Govinda z tłumu, wszystkie go zawodzą. Nie może obrócić tej broni na chytrze uśmiechniętego, pulchnego, spoconego faceta w przyciasnym garniturze.

- Przepraszam - mówi, wyciągając rękę.

Govind kręci głową, wyciąga dłoń.

- Właśnie dlatego, braciszku, do niczego w biznesie nie dojdiesz. Za łagodny. Zbyt grzeczny. Wygrałeś dzisiaj, zaaranżowałeś wielkie zwycięstwo, to się nim ciesz! Eksploatuj je! Triumfuj. Każ ochronie jeszcze raz wyprowadzić mnie z budynku.

- Ten numer już widziałeś.

PR-owcy Ray Power już przegonili stado naprzód; Vishram i Govind stoją sami w korytarzu. Uścisk Govinda jest silny.

- Ojciec byłby dumny, ale ja nadal uważam, że utopisz tę firmę. Masz bajer, masz charyzmę, masz show-business, i to się wszystko przydaje, ale nie na tym polega prowadzenie firmy. Mam

propozycję. Ray Power, jak rodzina Rayów, nie powinna być podzielona. Mam niby ustne umowy z inwestorami, ale nic nie zrealizowałem, niczego nie podpisałem.

- Ponowna fuzja - mówi Vishram.

- Tak - potwierdza Govind. - Ja odpowiadałbym za działalność operacyjną.

Vishram nie potrafi odczytać tej publiczności.

- Odpowiem ci zaraz - mówi. - Po pokazie. A teraz chciałbym, żebyś zobaczył mój wszechświat.

- Jedna sprawa... - zaczyna Govind, gdy ich skórzane podeszwy postukują cicho po intarsjowanym klonie. - Skąd wzięłeś kasę, co?

- Dawny sojusznik ojca - odpowiada Vishram.

Podprogowo słysząc ten najstraszniejszy dla każdego komika dźwięk - odgłos własnych kroków, kiedy opuszcza scenę - uświadamia sobie, że w scenariuszach, które próbował, ale z nich nie skorzystał, nie miał niczego na wypadek, gdyby stanął za tym diamentowym stołem i poległ.

Znajdują sobie odrobinę miejsca na podłodze przy drzwiach, pod rozkładaną pryczą wagonowego. Barykadują się niebieskimi, odpornymi na uderzenia walizami i tulą się do siebie jak dzieci. Drzwi się zamknęły, przez małe, przyciemniane okienko Parvati widzi tylko niebo koloru deszczu. Przez drzwi w przegubie może zajrzeć do sąsiedniego wagonu. Ciało cisną się do twardego plastiku, niepokojąco porozpłaszczane. Nie ciała; ludzie, istoty takie same jak ona, które nie mogą już sensownie żyć w tym mieście. Głosy tłumią huk lokomotywy, stukot szyn. Zdumiewa ją, że coś tak potwornie przeładowanego w ogóle jest w stanie ruszyć, ale uczucie przyspieszenia w brzuchu, napór pleców na żebrowaną plastikową ścianę mówią jej, że Raipur Express nabiera prędkości.

W pociągu ani śladu jakiegokolwiek obsługi, ani konduktorki w eleganckim białym sari, z kołem Bharat Rail na pallawie; ani szczękającego naczyńiami ćaj-wallaha, ani wagonowego siedzącego po turecku na pryczy nad nimi. Pociąg jedzie już szybko, słupy trakcyjne przemykają przez prostokącik dymnego nieba, Parvati zaś przeraża się na chwilę myślą, że to nie ten pociąg i nie ten tor. Potem jednak myśli: „A czy to ważne? Byle gdzieś daleko”.

Daleko. Przywiera do Krishana, sięga po jego dłoń pod osłoną brudnego sari, dyskretnie, żeby nikt nie widział, żeby nikogo nie kusily spekulacje, co też tu robi tych dwoje hindusów. Palce natrafiają na coś ciepłego i mokrego. Cofa je raptownie. Krew. Krew rozlewająca się lepka kałużą w przerwie między ich ciałami. Krew oblepiająca żebra plastikowej ścianki. Dłoń Krishana, ta, która o milimetry rozminęła się z jej dłonią, jest zaciśnięta w czerwoną pięść. Parvati się odsuwa, nie z przerażenia, lecz by zobaczyć, skąd się bierze to szaleństwo. Krishan osuwa się po ścianie, zostawiając czerwoną smugę, podpira się lewym łokciem. Tuż nad biodrem koszula jest cała czerwona, przesiąknięta krwią. Parvati widzi, jak z każdym oddechem przelewa się przez tkaninę.

To dziwne westchnienie, kiedy wciągał ją do pociągu, chroniąc przed strzałami na peronie. Widziała, jak pociski rykoszetują na stalowych filarach.

Jego twarz ma kolor popiołu i monsunowego nieba. Oddech mu się rwie, ramię drży; nie może się już podpierać, a każde uderzenie serca wypompowuje trochę życia na podłogę wagonu. Krew tworzy kałużę pod jego stopami. Porusza ustami, ale nie może złożyć słów. Parvati przywiera do niego, bierze jego głowę na kolana.

- Wszystko dobrze, kochanie, wszystko dobrze - szepcze. Powinna wołać, krzyczeć o pomoc, o lekarza, jednak ze straszliwą pewnością wie, że w tych zatłoczonych wagonach nikt jej nie usłyszy. - Och, Krishan - mamrocze, czując, jak ciepła krew wlewa jej się między uda. - Mój kochany.

Jego ciało jest takie zimne. Delikatnie dotyka długich czarnych włosów i wplata je między palce. A pociąg jedzie coraz dalej na południe.

Pan Nandha we własnej osobie biegnie po schodach Diljit Rana Apartments, w chłodnym porannym blasku mijając jedno piętro, dwa piętra, trzy, cztery. Mógłby pojechać windą - w odróżnieniu od starych osiedli, jak Siva Nataraja Homes i White Fort, w rządowych blokach one działają - chce jednak zachować energię, zapał, rozpęd. Nie może sobie pozwolić, by mu to umknęło, nie kiedy jest tak blisko. Awatary to pajęczne nici rozpięte między wieżowcami Varanasi. Czuje, jak jego energia, rozwibrowana, trzęsie światem.

Pięć pięter, sześć.

Pan Nandha zamierza przeprosić żonę za to, że kłócił się z nią przy matce. Ścisłe rzecz biorąc, przeprosiny nie są konieczne, uważa jednak, że w małżeństwie zdrowo jest czasem ustąpić, nawet jeśli ma się rację. Parvati musi jednak docenić, że znalazł dla niej chwilę podczas najważniejszego śledztwa w historii Ministerstwa, podczas sprawy, która, kiedy zakończy ekskomunikę, wyniesie go na stanowisko Oficera Śledczego Pierwszej Kategorii. I wtedy będą przyjemnie spędzać razem wieczory, na przeglądaniu folderów z nowymi domami w Cantonmencie.

Przez ostatnie trzy kondygnacje pan Nandha pogwizduje sobie motywy z *Concerti Grossi* Haendla.

To nie dzieje się w chwili, gdy wsuwa klucz do zamka. Ani w momencie, gdy kładzie dłoń na klamce i ją przekręca. Lecz kiedy kończy ją naciskać i otwiera drzwi, już wie, co zastanie w środku. Wie, co znaczyło objawienie, które przeżył o brzasku na korytarzu Ministerstwa. Dokładnie w tamtej chwili zostawiła go żona.

W jego ośrodkach słuchowych jeszcze polatują strzępy Haendla, lecz kiedy przekracza próg, jego życie zmienia się jak kropla deszczu, która spada na zbocze góry o milimetr dalej i ląduje w innym oceanie.

Nie musi jej wołać. Odeszła nieodwołalnie i ostatecznie. I nie chodzi o brak rzeczy - na stole

leżą jej plotkarskie pisma, kosz z praniem stoi w kuchni obok deski do prasowania, ozdóbki, figurki bogów i drobne wota zajmują swoje poczesne miejsca. W wazonie stoją świeże kwiaty, geranium jest podlane. Jednakże jej nieobecność jest we wszystkim: w meblach, kształcie pokoju, dywanach, telewizorze, tapecie, gzymsach i barwie drzwi. Światłach, kuchennych przyborach i nakryciach. Odjęto stąd pół domu, pół życia i całe małżeństwo. I nie jest to próżnia, którą natura natychmiast chce wypełnić. Wciąż drga, ma swój geometryczny kształt.

Pan Nandha wie, że powinien jęknąć lub krzyknąć, wykonać pewne czynności i odczuwać pewne emocje przynależne odkryciu, że zostawiła go żona. Tymczasem wchodzi do pokoju i wychodzi z niego z twarzą zaciętą w oszołomieniu, z półuśmiechem na ustach, jakby przygotowywał się do obrony przed tą świadomością, kiedy naprawdę uderzy - jak marynarz przywiązujący się do masztu przed tropikalnym sztormem i rzucający mu wyzwanie: niech nań spada, niech obróci nań cały swój gniew. Dlatego właśnie potem idzie do sypialni. Haftowane poduszki, prezenty ślubne od kolegów z pracy, leżą na swoim miejscu po obu stronach łóżka. Kosztowny egzemplarz *Kamasutry*, dla właściwego pożycia małżeńskiego, na stoliku przy łóżku. Nakrochmalone przykrycie jest równiutko odgięte.

Pan Nandha uświadamia sobie, że pochyła się, żeby je powąchać. Nie. Nie chce wiedzieć, czy kryje się tu jakaś wina. Otwiera przesuwane drzwi szafy, rejestruje, co poszło, co zostało. Złote, niebieskie, zielone sari, śnieżnobiały jedwab na oficjalne okazje. Piękne, przejrzyste karmazynowe coli, w którym tak ją uwielbiał, które ekscytowało go nawet z drugiego końca pokoju, czy ogrodowego przyjęcia. Zabrała wszystkie wyściełane, pachnące wieszaki, zostawiła tylko tanie, druciane, powyciągane w płaskie romby. Pan Nandha klęka, żeby spojrzeć na stojak z butami. Większość miejsc jest pusta. Unosi domowy pantofel o miękkiej podeszwie, wyszywany złotą nitką, atlasowy, przesuwa palcami po wąskim czubku, po miękkim, wypukłym jak pierś napiętku. Odstawia go z powrotem na miejsce. Nie może znieść widoku jej przepięknych butów.

Zamyka suwane drzwi za ubraniami i butami - nie myśli teraz o Parvati, myśli o własnej matce, o tym, jak kremował ją na ghacie. Głowa ogolona, cała na białą. Myśli o jej domu po pogrzebie, o tym, jak przejmujące były te wszystkie ubrania na wieszakach i buty na stojakach, wszystkie niepotrzebne, wszystkie jej zakupy, marzenia i upodobania obnażone i zdemaskowane przez śmierć.

Liścik wisi przypięty do półki w kuchni, gdzie stoją ajurwedyjskie herbatki i dietetyczne produkty. Stwierdza, że czyta go po raz trzeci, nie rejestrując nic ponad oczywistość: że odeszła. Nie potrafi złożyć słów w zdania: *Wyjeżdżam. Przepraszam. Nie potrafię cię kochać. Nie szukaj mnie.* Za blisko. Za dużo słów obok siebie. Składa liścik, wtyka go do kieszeni i wchodzi schodami do ogrodu na dachu.

W otwartej przestrzeni, w szarym świetle, pod spojrzeniami sąsiadów i własnych cybernetycznych awatarów, pan Nandha czuje, jak wytryskuje z niego sprężona wściekłość. Z rozkoszą otworzyłby usta i wylał to wszystko jednym ekstatycznym strumieniem. Żołądek podchodzi mu do gardła, walczy z nim, opanowuje go. Wcisną z powrotem skurcze mdłości.

Ale co to za mdlący chemiczny zapach? Przez chwilę, mimo całej swojej samodyscypliny, ma wrażenie, że intuicja go zawiodła.

Pan Nandha klęka na krawędzi grządki, wbijając palce w lepki ił. Dzwoni palmer. Nie ma pojęcia, co to za dźwięk. Dopiero natarczywe wołanie po nazwisku sprawia, że wyciąga palce z ziemi, wraca na mokry dach, w varanaski zmierzch.

- Nandha.

- Szefie, znaleźliśmy ją. - To głos Vika. - Gjana Ćakśu wypatrzyło ją dwie minuty temu. Jest tutaj, w Varanasi. Szefie, ona jest Kalkim. Wszystko poskładaliśmy do kupy: to ona jest tą aeai. Jest wcieleniem Kalkiego. Zawracam po pana tilt-jeta.

Pan Nandha się prostuje. Zerka na dłonie, ociera je z ziemi o krawędź drewnianego podkładu. Garnitur ma brudny, wymięty i mokry. Nie wyobraża sobie, że jeszcze kiedykolwiek będzie suchy. Ale poprawia mankiety, prostuje kołnierzyk. Wyjmuje pistolet z kieszeni i opuszcza rękę. U jego stóp migocą i bełkocą wczesne neony Kashi. Jest robota do zrobienia. Ma zadanie. Wykona je tak dobrze, że nikt nie odważy się choćby szepnąć złego słowa o Nandzie z Ministerstwa.

Tilt-jet skręca z przechyłem między wysokimi blokami. Pan Nandha chowa się na schodach, gdy samolot wślizguje się nad dach i przestawia silniki do zawisu. Gdy się obraca, na fotelu pilota widać Vika, dramatycznie podświetlonego diodami pulpitu. Dach w żadnym wypadku nie utrzymałby bharackiego wojskowego tilt-jeta; pani pilot opuszcza swój wehikuł centymetr po centymetrze w delikatnym newtonowskim balecie, ustawiając go tak, by pan Nandha mógł się prześliznąć między wirami gazów z silników na końcach skrzydeł i bezpiecznie dotrzeć do rampy pod ogonem. Odrzut czyni zniszczenia, o których fantazjował. W sekundę rozpląszcza wszystkie trejaże. Wymiata gerania z grządek. Wrywa z miękkiej gleby sadzonki i co mniejsze rośliny; sama ziemia też odlatuje błotnistymi bryłami. Namoknięte drewno grządek paruje, potem dymi. Pani pilot obniża lot, aż koła muskają filcową wykładzinę. Z tyłu opuszcza się rampa.

W oknach dookoła jedno za drugim zapalają się światła.

Pan Nandha stawia kołnierz i przedziera się przez szkwał do otwartego, błękitno oświetlonego wnętrza. Pomiedzy sowarami powietrznej kawalerii siedzi tu cały jego zespół. Mukul Dev i Ram Lalli. Madhvi Prasad, a nawet Morva od Tropienia Kasy. Gdy pan Nandha zapina pas obok niego, rampa się podnosi, a pani pilot zwiększa ciąg.

- Moi drodzy - mówi pan Nandha - cieszę się, że jesteście obok mnie w tej historycznej chwili. Sztuczna inteligencja trzeciej generacji. Istota przerastająca nas intelektem tak jak my świnię. Bharat będzie nam dziękować. A teraz skupmy wszystkie siły na tej ekskomunice.

Tilt-jet obraca się wokół pionowej osi, wznosząc się nad zniszczony ogród pana Nandhy, ponad wszystkie okna, balkony i zbiorniki z wodą na sąsiadujących budynkach. Po chwili mały samolocik zaczyna się stromo wznosić pomiędzy wieżowcami.

Znad Varanasi znikają, migocąc, ostatni bogowie i niebo staje się tylko niebem. Ulice są ciche, budynki nieme, auta nie mają głosu, a ludzie to tylko twarze, pozamykane niczym pięści. W drzewach

i ulicznych kapliczkach nie kryją się już żadne odpowiedzi, żadne wyrocznie, przelatujące samoloty nie emanują prorocत्वami, lecz ten pozbawiony bogów świat jest bogaty w swej pustce. Tę przestrzeń wypełniają zmysłowe wrażenia: ryczą silniki, ściana dźwięków atakuje naprzód; kolory sari, koszul mężczyzn, neonów migocących poprzez szary deszcz jarzą się własnym żywym światłem. Każdy powiew kadzidełek, zastarzałego moczu, gorącego tłuszczu, spalin z alkopaliwa, wilgotnego, palącego się plastiku budzi uczucia i przypomina jej życie sprzed kłamstw.

Była wtedy inną osobą, jeśli wierzyć kobietom ze slumsów. Jednakże bogowie - już wie, że to maszyny - twierdzą, że teraz jest zupełnie kimś innym. Dwie istoty niemogące współistnieć, a teraz trzecia, która musi jakoś te dwa wcielenia pogodzić. Wydaje jej się, że pamięta drogę do hotelu.

Oszołomiona królestwem zmysłów, uwolniona spod tyranii informacji na świat prostych rzeczy, Aj pozwala miastu nieść się ku rzece.

O deszczowym świecie na zachodniej obwodnicy Allahabadu dwieście ciężkich awadzkich czołgów odpala silniki, zawraca na gąsienicach, schodząc ze stanowisk, i tworzy zgrabną kolumnę. Szybsze, lotniejsze pojazdy mijają czterokilometrowy konwój; co do jego kierunku nie ma żadnych wątpliwości - jedzie na południe-południowy zachód, ku drodze na Jabalpur. Kiedy sklepy zaczynają podnosić rolety, a etatowcy jadą do pracy w fatfatach i służbowych samochodach, gazeciarze krzyczą już ze swoich podwyższeń na betonie między jezdniami: CZOŁGI ZAWRACAJĄ! ALLAHABAD URATOWANY! AWADH WYCOFUJE SIĘ NA KUNDA KHADAR!

Na Bharatiya Vayu Sena Airbus Industries A510, zatrzymującego się na miejscu postoju z dala od tłocznej płyty lotniska w Varanasi czeka jeszcze jeden mercedes z niezmierzonej floty bharackiej Kancelarii Premiera. Parasole osłaniają premiera Ashoka Ranę, od schodków do samochodu; odjeżdża z sykiem szerokich opon na mokrym asfalcie. Na łączu czeka rozmowa. N.K. Jivanjee. Znowu. W ogóle nie wygląda jak ktoś, kto ma zostać ministrem spraw wewnętrznych w Rządzie Ocalenia Narodowego. Ma niespodziewane informacje.

Niech tylko omsknie jej się ręka, a zgubi się w tym tłumie. Uzbrojona policja usiłuje oczyścić nabrzeże. Z megafonów, przenośnych i na ciężarówkach płyną polecenia rozejścia się, powrotu do domu i do pracy; porządek został przywrócony, nie ma zagrożenia, nie ma żadnego zagrożenia. Niektórzy, poniesieni ogólną paniką, ale w zasadzie nie chcąc opuszczać swych domostw, wracają. Inni nie ufają ani policji, ani sąsiadom, ani sprzecznym oświadczeniom władz. Jeszcze inni nie wiedzą co robić: łążą tam i z powrotem, donikąd. Te trzy grupy do spółki z wojskowymi hummerami, przeciskającymi się przez wąskie zaułki wokół Vishwanath Gali, korkują wszystkie ulice i ghaty na sztywno.

Lisa Durnau mocno zaciska palce na lewej dłoni Thomasa Lulla. On w prawej trzyma Tabliczkę, jak lampę w ciemną noc. Jakiś najgłębszy fragment jej jaźni, odpowiedzialny wobec rządów i ich strategii, niepokoi się o funkcję samozniszczenia, która ma się uruchomić, jeśli Tabliczka zmarznie i poczuje się samotna. Nie wydaje się jednak, żeby Lull potrzebował jej przez

dłuższy czas. To, co się ma tu rozegrać, niebawem się zakończy.

Nandha. Pies Kryszny. Licencjonowany zabójca nieautoryzowanych aeai. Ma wypaloną w mózgu ziarnistą podobiznę z Tabernakulum. Nie ma już sensu zastanawiać się, skąd w środku maszyny starszej niż Układ Słoneczny wziął się Pies Kryszny, nie bardziej niż nad którymkolwiek z nich; to miejsce i czas, gdzie rodzą się wszelkie obrazy.

Thomas Lull staje jak wryty. Skanując tłum Tabliczką, otwiera usta we frustracji, czeka, aż na ciekłokrystalicznym ekranie pojawi się rozpoznany wzorzec.

- Wieża ciśnień! - wykrzykuje i ciągnie Lisę za sobą.

Wielkie, różowe, betonowe walce wznoszą się nad ghatami co paręset metrów, połączone z ich najwyższymi stopniami pomalowanymi na różowo pomostami. Wtem znad ghatów nadlatuje tilt-jet, tak nisko, że wszyscy instynktownie się kulą. Wszyscy, zauważa Lisa, poza samotną, ubraną na szaro sylwetką na galerijce u szczytu wieży ciśnień.

Ma ją. Maszynka Gjana Ćakśu jest podłączona do jego hoeka i dzięki ekstrapolacjom, modelowaniom, wektoryzacji i predykcjom widzi aeai jak ruchome światło, przeświecające przez ludzi, samochody, budynki. Obserwuje ją z odległości i wysokości wielu kilometrów, jak porusza się przez płataninę ulic i gali nad rzeką. Pan Nandha pilotuje panią pilot z pomocą swojego nadludzkiego wzroku. Zakreśla tilt-jetem zamaszysty łuk i pan Nandha już patrzy na falę ludzi zalewającą ulicę. Aeai lśni wśród niej jak gwiazda. On i aeai to jedyne namacalne istoty w mieście zjaw. A może, myśli pan Nandha, jest dokładnie odwrotnie?

Każe pani pilot zabrać się nad rzekę. Przywołuje awatary. Kłębią mu się w polu widzenia jak chmury burzowe, okrążając uciekającą aeai ze wszystkich stron, boskie oblężenie, broń i atrybuty w pogotowiu, drapią chmury, woda Gangesu gotuje się pod ich wahaniami. Niewidzialny świat, dostępny tylko wiernym, prawdziwym... Uciekający świetlny punkcik przystaje. Pan Nandha poleca Ganeśi-Otwierającemu przepatrzyć miejscowe kamery bezpieczeństwa: w końcu system rozpoznawania twarzy namierza ekskomunikowaną na wieży ciśnień na ghatcie Dasashvamedha. Stoi, ściska rękoma poręcz, spogląda ponad dzikim tłumem wpychającym się na wodolot do Patny. Czy stoi tak, bo widzi to samo, co ja? - zastanawia się pan Nandha. Czy zamarła ze strachu i podziwu na widok wstających z wody bogów? Czy tylko my dwoje jesteśmy prawdziwymi widzącymi w tym mieście złudzeń?

Aeai w ludzkim ciele. Zaiste, złe nastały czasy. Pan Nandha nie jest w stanie wyobrazić sobie, cóż za nieludzka, ohydna intryga stoi za tą zbrodnią przeciw duszy. I nie chce sobie wyobrażać. Ta wiedza mogłaby otworzyć drzwi zrozumieniu, a zrozumienie tolerancji. Niektóre rzeczy muszą pozostać oburzające. Wymaże ze świata tę potworność i wszystko będzie dobrze. Znowu zapanuje porządek.

Samotna gwiazdka na szczycie wieży ciśnień lśni w jego polu widzenia, gdy pilot skręca między Hanumanem i Ganeśią. Dźga palcem w dół, w pełen kałuż brzeg. Pani pilot unosi dziób

samolotu i obraca silniki. Sadhu i swami uciekają od swoich ognisk, wyrażając chudymi pięściami spadającej z nieba machinie. Gdybyście tylko widzieli, jak ja widzę, myśli pan Nandha, odpinając pas.

- Szefie! - woła Vik, gdy przeciska się przez kabinę. - Widać jakiś potworny transfer do sieci wewnętrznej Ray Power. Myślę, że to nasza Trójka.

- W swoim czasie - mówi pan Nandha z delikatną kpina. - Wszystko we właściwej kolejności. Tak się załatwia sprawy. Wykonamy zadanie tutaj i zajmiemy się Ray Power.

Gdy zeskakuje na piasek u stóp rampy, w garści trzyma już w pogotowiu pistolet, a niebo wariuje od bogów.

Tyłu ludzi. Aj ściska pordzewiałą balustradę, oszołomiona masami na ghatach i nabrzeżach. To ciśnienie ich ciał wypędziło ją tutaj, na galeryjkę, gdy próbując trafić z powrotem do haweli, stwierdziła, że oddech więźnie jej w gardle. Aj opróżnia płuca, nie oddycha, po czym powoli nabiera powietrza przez nozdrza. Usta do gadania, nos do oddychania. Lecz ten kobierzec z dusz napawa ją obrzydzeniem. Ludzie nie mają końca, wyłażą jeden z drugiego szybciej niż lądują na ghatach i w rzece. Przypomina sobie jeszcze parę innych miejsc, gdzie była wśród ludzi: na wielkim dworcu, w pociągu, który się palił, i później w wiosce, skąd żołnierze zabrali ich w bezpieczne miejsce, po tym jak zatrzymała roboty.

Teraz już rozumie, jak to zrobiła. Wie, skąd знаła nazwisko kierowcy autobusu na szosie w Thekkady i chłopca, który ukradł motocykl w Ahmedabadzie. Ta przeszłość jest równie zamknięta i obca jak dzieciństwo, niewymazywalna z pamięci, ale oddzielna, niewinna, obca. Nie jest już tą Aj. I tą drugą też nie, dzieckiem inżynierii, awatarem bogów. Zrozumiała i właśnie w tej chwili oświecenia porzucili ją bogowie. Nie mogli znieść takiej dawki człowieczeństwa. I teraz jest trzecią Aj. Niesłyszącą głosów, pozbawioną mądrości wygłaszanych przez latarnie i postoje taksówek - to, zdaje sobie sprawę, były aeai, szepczące jej prosto w duszę przez okienko tilaki. Teraz jest więźniem w tej klatce z kości, jak wszystkie inne istoty tu nad rzeką. Upadła. Stała się człowiekiem.

Nagle słyszy samolot. Unosi wzrok, gdy nadlatuje: szybko, nisko, nad iglicami świątyń i wieżyczkami haweli. Widzi dziesięć tysięcy ludzi kulących się jak jedna osoba, lecz sama stoi, wie bowiem co to takiego. Mówi jej to ostatnia iskierka pamięci z czasów, gdy była czymś innym niż człowiekiem, jakiś ostatni boski podszept, boskie światło, gasnące, wtapiające się w mikrofalowy szum tła wszechświata. Przygląda się, jak samolot hamuje i spada na zdeptany piasek, rozrzucając bryzgami popiołu ogniska sadhu i wie, że to przylecieli po nią.

Zaczyna uciekać.

Pan Nandha energicznymi gestami ręki rozprawdza swój zespół, żeby opróżnił ghat i zablokował wyjścia. Kątem oka dostrzega, że Vik trzyma się z tyłu, wciąż w polowym ubraniu po

nocnych bitwach, Vik spocony i niechlujny w wilgotny, monsunowy poranek, Vik niepewny, Vik wystraszony. Notuje sobie w myśli, że ma upomnieć go potem za zbyt mały zapal. Kiedy zamkną tę sprawę, przyjdzie pora solidnie tym wszystkim pokierować.

Pan Nandha maszeruje po wilgotnym, białym piasku.

- Uwaga, uwaga! - krzyczy, unosząc legitymację. - Operacja zabezpieczająca Ministerstwa. Proszę udzielić naszym funkcjonariuszom wszelkiej pomocy. Nie ma zagrożenia.

Niestety, to pistolet w prawej ręce, nie władza w lewej, każe mężczyznom się rozstąpić, rodzicom przygarnąć ciekawskie dzieci, żonom zepchnąć mężów z jego drogi. Dla pana Nandhy ghat Dasashvamedha jest areną wybrukowaną duchami i otoczoną przyglądającymi się bogami. Wyobraża sobie uśmiechy na ich olbrzymich, niebotycznych twarzach. Skupia się na małej, rozjarzonej kropeczce w swoim wzbogaconym polu widzenia, przybierającej teraz kształt gwiazdy, pentagramu ludzkiej postaci. Aeai ucieka z punktu obserwacyjnego na wieży ciśnień. Jest już na pomoście. Pan Nandha puszcza się biegiem.

Tłum przysiadł, gdy przeleciał nad nim tilt-jet; Lisa Durnau skuliła się razem ze wszystkimi, a teraz, kiedy dostrzega Aj na wieży, jednocześnie czuje, że dłoń Lulla wyslizguje się z jej dłoni. Tłum zamyka się za nim. Nie ma go.

- Lull!

Zrobił parę kroków i zniknął całkowicie, wchłonięty przez poruszające się jaskrawe szarawary, kurty i koszulki. Ukrywa się pod samym ich nosem.

- Lull!

Nie ma szans, aby ktokolwiek ją usłyszał przez ten zgiełk na ghacie. Nagle czuje się klaustrofobicznie, bardziej niż nawet w kamiennym kanale rodnym Darnleya 285. Samotna w tłumie. Zatrzymuje się, dysząc w deszczu.

- Lull!

Zadziera głowę, patrzy na wieżę wodną u szczytu kamiennych stopni. Aj ciągle stoi przy balustradzie. A gdzie ona, tam Lull. Nie miejsce i nie pora na zachodnie ceregiele. Lisa Durnau przepycha się łokciami przez skłębiony tłum.

Na Tabliczce ona jest niewinna, na Tabliczce ona nic nie wie, nic nie widzi, na Tabliczce jest nastolatką na wysokiej budowli, patrzącą w dół na jeden z wielu cudów świata ludzi.

- Przepuście mnie! Przepuście mnie! - krzyczy Thomas Lull.

Widzi, jak tilt-jet wysuwa modliszkowate podwozie i osiada na łasze piasku. Widzi przetaczające się przez tłum fale niezadowolenia, gdy żołnierze spychają ludzi w tył. Z najwyższego stopnia ghatu dostrzega też bladą postać, przesuwaną się po opróżnionym z ludzi marmurze. Czwartry awatar z Tabernakulum. Nandha, Pies Kryszny.

Jest takie opowiadanie Kafki, przypomina sobie Lull w tym wywoływanym przez ogromny wysiłek dziwnym zwróceniu do wewnątrz; posłaniec niosący poddanemu wiadomość o królewskiej łasce i zaszczycie. Choć unosi pieczęcie, przepustki i wypowiada hasła, nie może wyjść z pałacu, bo ciżba jest tak gęsta - i nigdy nie przebija się przez ten tłum, by zanieść ważną wieść. Poddany nigdy się nie dowiaduje - przynajmniej tak to pamięta ze swoich paranoicznych czasów.

- Aj! - Jest już wystarczająco blisko, by widzieć trzy brudne białe paski na boku jej szarych adidasów. - Aj... - Jego słowa wpadają w studnię dźwięku, stłumione i stłamszone przez ostrzejsze, głośniejsze dźwięki języka hindi. Zawodzi go oddech, pod koniec każdego wdechu czuje drobne, elastyczne napięcie.

Chuj z Kafką.

- Aj!

Już jej nie widzi.

Biegnij, szepczą popioły bogów. Klekoce stopami na metalowym pomoście, okręca się wokół filaru i zeskakuje po ostrych krawędziach stalowych stopni. Starszy człowiek krzyczy i przeklina, gdy wpada na niego.

- Przepraszam - szepcze, unosząc błagalnie ręce, ale jego już nie ma. Na najwyższym stopniu zatrzymuje się na moment.

Na piasku po jej prawej stronie stoi tilt-jet, przy samej wodzie. Fala w tłumie przesuwa się ku niej jak kobra. Za nią pomiędzy niskimi, ociekającymi deszczem straganami Dasashvamedha Gali przesuwiają się bicze anten wojskowego hummera. Tamtędy nie ucieknie. Przy nabrzeżu stoi wodolot, a przy nim olbrzymi romb ludzi usiłujących wcisnąć się na pokład. Wielu stoi po ramiona w wodzie, trzymając na głowach swój dobytek. Kiedyś mogłaby próbować opanować rządzące statkiem maszyny i uciec wodą. Ale nie ma już tej władzy. Jest tylko człowiekiem. Po lewej stronie ku Gangesowi schodzą ściany i mury obserwatorium Mana Singha. Głowy, ręce, głosy, bagaże, barwy, mokra od deszczu skóra, oczy.

Blada twarz wystająca z tłumy, dzięki zachodniemu wzrostowi. Długie włosy, siwa szczecina. Niebieskie oczy. Niebieska koszula, głupkowata koszula, krzykliwa, jaskrawa koszula, zbawcza, cudowna koszula.

- Lull! - Wykrzykuje Aj i zeskakuje po stromych, śliskich ghatach, ślizgając się na kamieniach, przeskakując zwały tobołów, przewracając dzieci, przeskakując przez niskie murki i podesty, gdzie

bramini solą i ogniem, muzyką i prasadem upamiętniają ofiarę z dziesięciu koni na cześć Brahmy. - Lull!

Pan Nandha jedną myślą odpędza bogów i demony. Dopadł celu. Już mu nie ucieknie w miasto. Rzeka jest przed nim zamknięta, za sobą ma pana Nandhę, jedyna droga: naprzód. Ludzie rozstępują się przed nim jak morze w jakimś cudzoziemskim religijnym micie. Widzi już tę aeai. Jest ubrana na szaro, w bezbarwną, maszynową szarość, tak łatwą do wykrycia i tak bardzo ją identyfikującą.

- Stój - mówi łagodnie pan Nandha. - Jesteś aresztowana. Jestem funkcjonariuszem organów ścigania, proszę się zatrzymać i położyć na ziemi.

Pomiędzy nim a aeai jest pusta przestrzeń. Pan Nandha widzi, że ona się nie zatrzyma, że wie, czego chce od niej prawo, i jedyna, minimalna szansa przeżycia jest w nieposłuszeństwie. Pan Nandha szczeka bezpiecznikami broni. Awatar Indry wyciąga długie ramię ku celowi. I wtedy prawy kciuk robi coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Przełącza broń zdolnej lufy, zabijającej maszyny, na górną. Mechanizm przeskakuje z jedwabistym szczęknięciem.

Biegnij. Takie łatwe słowo, kiedy płuca nie zaciskają się jak pięści po każdym oddechu, kiedy tłum nie stawia oporu każdemu krokowi, szturchnięciu i kuksańcowi, kiedy jedno drobne poślizgnięcie nie posyła cię na zagładę pod jego stopami, kiedy mężczyzna, który może cię ocalić, nie znajduje się w najdalszym geometrycznie punkcie wszechświata. Biegnij. Takie łatwe słowo dla maszyny.

Pan Nandha, unosząc broń, zatrzymuje się z poślizgiem na zdradzieckim, wypolerowanym stopami kamieniu. Celownik nie może już zejść z celu, nie bardziej niż Słońce ze środka swojego Układu. India na to nie pozwoli. Boli go wyciągnięta ręka, bolą ramiona.

- W imieniu Ministerstwa, stać! - krzyczy.

To nic nie daje, jak zawsze. Formułuje w myśli zamiar, Indra strzela. Tłum krzyczy.

Pocisk jest wolframowy, o średniej prędkości - zdeformowany przez gwint w lufie, rozszerza się w locie do wirującego dysku rozżarzonego metalu o wielkości kółka z kciuka i palca wskazującego. Taki latający gest „OK”. Trafia Aj pośrodku krzyża, przebija kręgosłup, nerki, jajniki i jelito cienkie, zamieniając je w płynną miazgę. Przód szarej, bawełnianej tuniki bez rękawów eksploduje deszczem krwi. Uderzenie zbija ją z nóg i ciska, z rozłożonymi rękoma i nogami, na tłum. Ludzie się rozstępują. Twardo ląduje na marmurze. To uderzenie i uraz powinny ją zabić - dolna połowa ciała jest oderwana od górnej - a jednak wije się, drapie marmur w rozlewającej się kałuży cieplej, słodkiej krwi, wydając ciche, drobne piski.

Pan Nandha wzdycha i podchodzi do niej. Kręci głową. Czy jemu nigdy nie uda się zachować godności?

- Proszę się odsunąć - rozkazuje ludziom. Staje nad Aj na rozstawionych nogach. India unosi pistolet. - To jest rutynowa ekskomunika, ale proszę, by się państwo odwrócili - mówi do publiczności.

Zerka po swoich ludziach. Jego wzrok napotyka niebieskie oczy, zachodnie oczy, zachodnią twarz, w dodatku znajomą. I poszukiwaną. Thomas Lull. Pan Nandha kłania mu się nieznacznie. Pistolet wypala. Drugi pocisk trafia Aj w potylicę.

Thomas Lull wrzeszczy.

Lisa Durnau jest przy nim, trzyma go, odciąga, całą siłą swoich atletycznych mięśni, całym ciężarem i historią. W uszach słyszy taki dźwięk, jakby się kończył świat. Te strużki ciepła na jej twarzy to łzy. A przecież cały czas leje deszcz.

Pan Nandha czuje za plecami obecność swoich żołnierzy. Odwraca się do nich. Na razie nie musi przyglądać się wyrazom ich twarzy. Wskazuje Thomasa Lulla i białą kobietę trzymającą go w objęciach.

- Aresztujcie tych ludzi pod zarzutem wykroczenia przeciwko Ustawie o Rejestrowaniu i Licencjonowaniu Sztucznych Inteligencji - rozkazuje. - Wszystkie jednostki natychmiast wysłać do Ośrodka Badawczego Ray Power na uniwersytecie. I niech ktoś się zajmie tym.

Chowa pistolet. Ma nadzieję, że nie będzie musiał już go dziś używać.

Spójrzcie państwo w lewo, mówi kapitan. To Annapurna, a nieco poniżej Manaslu. Dalej Shishapangma. Wszystkie mają ponad osiem tysięcy metrów. Dla tych z państwa, którzy siedzą po lewej stronie, odezwe się jeszcze raz kiedy podejdziemy bliżej - w pogodne dni można zobaczyć Sagarmathę - to nasza nazwa dla Everestu.

Tal leży zwinięte w kłębek na szerokim fotelu klasy biznes, z głową na podłokietniku, śpi i cichutko pochrapuje sopranem, choć zaledwie czterdzieści minut temu wystartowali z Varanasi. Najia słyszy średnie tony rytmu w jego słuchawkach. Ścieżka dźwiękowa na każdą okazję. HIMALAYA MIX. Nachyla się nad nim, żeby wyjrzeć przez okno. Mały międzymiastowy samolotik pędzi nad Niziną Hindustańską, nepalskim pogórzem Terai, a potem robi wielki skok nad porytymi strumieniami wzgórzami strzegącymi Katmandu. Za nimi, jak fala załamująca się na skraju świata, górują Wysokie Himalaje, potężne, białe i wyższe niż w najśmielszych marzeniach, najpotężniejsze ze szczytów spowija rozdarta odrzutem chmura. Wyżej i dalej, szczyt za szczytem za szczytem, biel lodowców u góry, piegowata szarość dolin zlewają się w błękit na granicy pola widzenia, jak kamienny ocean. Najia nie widzi jego końca.

Serce się wyrywa. W gardle tkwi to, czego nie da rady przełknąć. Do oczu napływają łzy.

Pamięta tę scenę ze słoniowej pagody Lala Darfana, ale tamte góry nie potrafiły dotknąć,

wzruszyć, natchnąć. Były tylko fałdami fraktali i liczb, zderzającymi się ze sobą dwoma wyimaginowanymi łądami. A Lal Darfan był także N.K. Jivanjeem i aeai trzeciej generacji, tak jak wschodni skraj tych gór stanowił szczyty, które widziała nad murem z dawnego ogrodu w Kabulu. Wie, że obraz ojca-oprawcy, jaki przedstawiła jej Trójka, jest fałszywy; nigdy nie szła tym korytarzem, do tego pokoju, do tej kobiety, która prawdopodobnie w ogóle nie istniała. Nie wątpi jednak, że istniały inne, że przywiązywano je do tego stołu, żeby wywrzeszczały, jak bardzo zagrażają reżimowi. I nie wątpi, że ten obraz na zawsze pozostanie w jej pamięci. „Pamięć to mój budulec”, powiedziała aeai. Nasza jaźń powstaje ze wspomnień, tworzymy je sami dla siebie. Pamięta innego ojca i inną Najię Askarzadah. Nie wie, jak ma żyć z którąkolwiek z nich. A góry są ostre, wysokie, zimne, sięgają dalej niż jej wzrok; jest wysoko, jest samotna w fotelu klasy biznes, który ma metr dwadzieścia szerokości.

Myśli teraz, że wie już, dlaczego aeai pokazała jej wyparte dzieciństwo. Ani okrucieństwo, ani gra na zwłokę: autentyczna, przejmująca ciekawość ze strony dzinna zbudowanego z baśni, chcącego zrozumieć cokolwiek poza swoimi mandalami sztuki i rzemiosła. Chciał mieć coś, czego sam nie wymyślił. Pragnął prawdziwego dramatu, źródła z którego płynie wszelka opowieść.

Najia Askarzadah podciąga nogi na siedzenie, kładzie się w poprzek Tala. Układa rękę na jego rękę, bierze jego palce w swoje. Tal wzdryga się, rzuca jakąś półsyllabę, ale się nie budzi. Jego dłoń jest delikatna i gorąca; pod policzkiem czuje dotyk jego żeber. Jest tak lekkie, tak luźne, jak kot, ale w mięśniach, które robią wdech-wydech czuje kocią twardość. Leży tak i słucha bicia serca. Myśli, że chyba nigdy nie spotkała odważniejszej osoby. Zawsze musiało walczyć, żeby być sobą, a teraz ucieka na wygnanie, nawet nie wiedząc dokąd.

Patrząc z ośmiu tysięcy metrów, dostrzega, że Shaheen Badoor Khan był człowiekiem honoru. W Bharacie, nawet wtedy, gdy już przeprowadził ich taksówkę przez szlaban przy bramie dla VIP-ów i potem boczną drogą do vipowskiego saloniku, widziała tylko jego kłamstwa i słabości; kolejny facet, kolejna kanwa z nieprawd i komplikacji. Gdy czekała przy okienku, podczas gdy on cicho, stanowczo i szybko rozmawiał z urzędnikiem linii lotniczych, była prawie pewna, że za moment lotniskowa policja wyskoczy ze ścian i drzwi z bronią gotową do strzału i założy im na nadgarstki plastikowe szybkozłączki. Wszyscy tu byli zdrajcami. Wszyscy byli jej ojcami.

Pamięta, że obsługa bramki wytrzeszczyła oczy i zaszepotała do siebie, gdy dopełnił ostatnich formalności. Szybko i oficjalnie uścisnął jej dłoń, potem Talowi i pospiesznie odszedł.

Wahadłowy samolot ledwo co przebił się przez podstawę monsunowej chmury, kiedy na wszystkich ekranach przed fotelami eksplodowały najnowsze informacje: N.K. Jivanjee zrezygnował. N.K. Jivanjee uciekł z Bharatu. Rząd Ocalenia Narodowego w rozsypce. Okryty hańbą doradca świętej pamięci pani premier, Shaheen Badoor Khan, wrócił z niezwykłymi rewelacjami - i miał na nie dokumenty - że były przywódca Shivaji stał na czele spisku mającego zniszczyć rząd Ranów i śmiertelnie osłabić Bharat wobec Awadhu. Bharat nie wierzy własnym oczom! Szokujące informacje! Niesamowity skandal! Ashok Rana wygłosi oświadczenie z Rana Bhavan! Khan zbawicielem narodu! Gdzie Jivanjee, pyta Bharat? Gdzie Jivanjee? Ten zdrajca?

Bharatem zatrzęsł trzeci polityczny szok w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie był to jednak nawet ułamek trzęsienia ziemi, jakie rozpętałoby się, gdyby Shaheen Badoor Khan ujawnił,

że Shivaji jest polityczną fasadą aei trzeciej generacji powstałej z zakumulowanej inteligencji *Miasta i wsi*. Próba zamachu stanu ze strony najpopularniejszej telenoweli. Gdy samolot wyrównał lot i przyszły stewardesy z napojami, Tal wzięło dwa podwójne koniaki; właśnie uciekło przed zamachowcami, walczyło z Trzecią Generacją, przeżyło pogoń morderczego tłumu, więc zasługiwało na odrobinę luksusu, co ćuit - Najia zaś obserwowała w wiadomościach, jak intryga rozwija się z każdą sekundą, i podziwiała subtelność i zręczność, z jaką zarządza nią Shaheen Badoor Khan. Już kiedy samolot ruszał z miejsca postojowego, pewnie paktował z tą Trójką, żeby pozostawiła Bharat możliwie maksymalnie nienaruszony politycznie. To był jego fotel, jego miniaturka Hennessy; został dla swojego kraju, bo oprócz niego nie miał już nic.

Ale ona nie może wrócić do Szwecji. Najia Askarzadah jest teraz wygnańcem tak samo jak Tal. Dygoce, tuli się mocniej do niego. Przedramieniem czuje podskórne kontrolki. Nie mężczyzna, nie kobieta, nie jedno i drugie i nie żadne z nich. Neutko. Inny sposób na człowieczeństwo, inna, niezrozumiała mowa ciała. Bardziej obce niż jakikolwiek mężczyzna, jakikolwiek ojciec, a jednak lojalne, twarde, zabawne, odważne, inteligentne, miłe, zmysłowe i wrażliwe. Słodkie. Sexy. Wszystko, czego można oczekiwać od przyjaciela duszy. Albo kochanka. Wzdryga się na tę myśl, potem przyciska policzek do ramienia Tala. Wtem czuje, jak ich wspólny środek ciężkości przesuwają się - samolot skręca, podchodzi do lądowania w Katmandu, a ona obraca głowę, żeby wyrzec przez okno, licząc być może na olśniewający widok na daleką Sagarmathę, widzi jednak tylko dziwną chmurę, o której można by pomyśleć, że jest w kształcie słonia, gdyby takie rzeczy były w ogóle możliwe.

Historię mierzy się stuleciami, ale jej zmiany godzinami. Gdy czołgi wycofują się na Kunda Khadar, echo niespodziewanej dymisji N.K. Jivanjeego w związku z oskarżeniami Badoor Khana i odejście partii Shivaji z Rządu Ocalenia Narodowego każe Ashokowi Ranie zaakceptować propozycję Delhi: rokowania pokojowe w sprawie tamy, w Kolkacie. Niestety, dzień ma w zanadru jeszcze jedną niespodziankę dla osłupiałego bharackiego narodu. Całe rodziny siedzą w szoku, niezdolne wykrztusić słowa, zamarte ze zdumienia przed telewizorami. *Miasto i wieś* znika z ekranów w połowie emitowanego o trzynastej odcinka.

Wchodzą po siedmioro, najpierw jadą windami, potem idą betonowymi schodami i przez służę do dusznej klitki Deby oraz doku obserwacyjnego obok; tam bankierzy inwestyjni, spółdzielcy, kobiety, nieopierzeni dziennikarze, doradcy rodu Rayów i zszokowany Minister Energetyki Patel tłoczą się w kółku, żeby spojrzeć przez grubą szybę na ostre światło innego wszechświata.

- No już, już, nie więcej niż pięć sekund, Ray Power nie ponosi odpowiedzialności za podrażnienia oczu, oparzenia, czy inne obrażenia wywołane ultrafioletem - powtarza Deba, wyganiając ich i zapraszając kolejnych. - Nie więcej niż pięć sekund. Ray Power nie ponosi odpowiedzialności...

Aula wykładowa została obstawiona stacjami graficznymi i ekranami oraz hojnie wyposażona w drobne przekąski i wodę w butelkach. Sonia Yadav dzielnie zajmuje mównicę, próbując wyjaśnić

zebranych, co widzą na monitorach: dwa proste słupki pokazujące energię pobieraną z sieci energetycznej na utrzymanie pola punktu zerowego, oraz energię uzyskaną z różnic potencjału bazowego między wszechświatami, toczy jednak dwie przegrane bitwy naraz: naukową i akustyczną.

- Otrzymujemy dwa procent ponad nasz wkład! - przekrzykuje falujący tłumek wiejskich bab wymieniających się opowieściami o wnukach, stukających w palmery biznesmenów i żurnalistów wiszących na hoekach, by poznać najnowsze, niesamowite doniesienia z Bharat Sabha: szokująca rezygnacja N.K. Jivanjeego z Rządu Jedności Narodowej. - Magazynujemy to w pojemnych kondensatorach służących do zasilania laserowego akceleratora, aż nazbieramy wystarczająco. Wtedy dodajemy energię z sieci i otwieramy okno do kolejnego, wyższego wszechświata, i tak dalej. W ten sposób możemy iść coraz wyżej po drabinie stanów energetycznych, aż osiągniemy około stu dwudziestu procent zwrotu na energii wejściowej...

Zaciska pięści, kręci głową, wzdycha sfrustrowana, gdy zgiełk w auli osiąga poziom niezbyt głośnego ryku. Vishram przejmuje mikrofon.

- Panie i panowie, mogę prosić o chwilę uwagi? Wiem, że dla wielu z was był to długi dzień i zdecydowanie pełen wrażeń, ale gdybyście mogli państwo przejść ze mną przez laboratorium, gdzie dokonano tego przełomowego odkrycia...

Personel zagania gości do laboratorium punktu zerowego.

- Żaden plan nie przetrwał jeszcze kontaktu z nieprzyjacielem - szepcze do Soni Yadav.

Nad jego głową przelatuje kamerka, irytująco blisko, jak owad. Przekazuje wszystko obecnym zdalnie udziałowcom: Vishram wyobraża sobie wirtualne duchy aeai-reprezentantek polatujące nad przesuwaną się powoli kolejką gości. Dyrektor ośrodka Surjeet stanowczo sprzeciwił się otworzeniu dla publiczności laboratorium punktu zerowego, z jego labiryntem naściennych bazgrołów i hieroglifów. Obawiał się, że cały projekt zacznie wyglądać po amatorsku - widzicie, jak to robią w Ray Power? Kredkami i farbą w spreju, na ścianach, jak gówniarze-grafficiarze. Vishram chciał tego dokładnie z tego samego powodu: to takie ludzkie, bałaganiarskie, twórcze. Daje właśnie taki efekt jak trzeba: ludzie się rozluźniają, patrzą ze zdumieniem na hieroglify. Nie będzie to czasem nowe Lascaux, albo Kaplica Sykstyńska? - zastanawia się. Symbole, które zrodziły nową epokę. Powinien już rozpytywać się, jak by tę salę zakonserwować.

Vishram Ray i jego pragnienie nieśmiertelności. Zauważa z przelotną, acz znaczną przyjemnością, że jego termin kolacji z Sonią Yadav wciąż lśni wypisany czerwonym markerem w rogu biurka. W mniej oficjalnym otoczeniu jej pełen pasji głos z łatwością przykuwa uwagę słuchaczy. Vishram patrzy, jak gestami wydziela szarym krawaciarzom kolejne odcinki zapisanego sufitu. Słyszy, jak mówi im:

- ...na najbardziej podstawowym poziomie, gdzie przecina się teoria kwantowa, teoria M-gwiazdy i informatyka. Odkrywamy, że kwantowe komputery, za pomocą których utrzymujemy pola izolujące - a te pola z kolei wpływają na spiralną geometrię bran - mogą w istocie manipulować strukturą ziarna Wolframa-Friedkina tego nowego wszechświata. Zatem, na fundamentalnym poziomie, wszechświat ma naturę obliczeniową.

Szeroko rozdziawiają buźki.

Vishram podkrada się do Marianny Fusco.

- Kiedy będzie po wszystkim - mówi, podchodząc tak blisko, jak tylko pozwala korporacyjna kultura. - To może. Gdzieś. Się wyrwiemy. Gdzieś, gdzie jest słońce, morze, piasek, świetne bary, zero ludzi i przez miesiąc można latać tylko w samym oleju do opalania SPF 30?

Ona jednak przysuwa głowę jak najbliżej do jego twarzy i z nieruchomym, publicznym uśmiechem mówi:

- Nie mogę. Muszę jechać.

- O - mówi Vishram. I dodaje: - Kurde.

- Sprawa rodzinna - tłumaczy Marianna. - Wielka rocznica w mojej konstelacyjnej rodzinie. Wszyscy przyjeżdżają, z całego świata. Krewni, których nie było na świecie, kiedy ostatni raz działo się coś takiego. No nie, wróć, wróć, panie śmieszny. Powiedz mi tylko, gdzie mam się zjawić, *sans baggage*.

Wtem migocą światła, pokój drży. W oknach i drzwiach dzwonią szyby. Pomruk konsternacji. Dyrektor Surjeet uspokajająco unosi dłonie.

- Panie i panowie, panie i panowie, nie ma powodu do niepokoju. To był zupełnie normalny efekt uboczny odpalenia akceleratora. Zamknęliśmy jeden otwór i wykorzystaliśmy energię do odkształcenia brany w kolejny. Panie i panowie, przebiliśmy się do całkiem nowego wszechświata!

Następują grzeczne, pełne zakłopotania oklaski. Vishram nie przegapia okazji, by się zabawić w wodzireja.

- Oznacza to, moi drodzy, dwudziestoprocentowy zwrot z naszej energetycznej inwestycji. W utrzymanie tunelu wkładamy sto procent, dostajemy z powrotem to wszystko i dodatkowe dwadzieścia! To droga do zeropunktowej przyszłości!

Inder zaczyna bębnić do entuzjastycznej korporacyjnej owacji.

- Trzeba było zostać prawnikiem - rzuca Marianna Fusco. - Masz talent, potrafisz bez końca pierdzielić o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

- Nie mówiłem ci, że tato właśnie tego chciał? - odpowiada Vishram, ustawiając się tak, żeby móc zajrzeć jej w dekolt. Wyobraża sobie, jak powoli, zmysłowo smaruje oliwką wypełniające dłoń sutki.

- Pamiętam tylko, że coś tam mówiłeś, że i prawnicy, i komicy zarabiają na życie na arenie - mówi ona.

- Naprawdę? Pewnie po seksie.

Nie przypomina sobie tej rozmowy. Musiała się odbyć w poprzedniej geologicznej erze, w poprzednim wcieleniu. Pokój trzęsie się ponownie, mocniej i dłużej. Z biurka spadają długopisy; w środku baniaka z wodą pojawiają się koncentryczne zmarszczki.

- Kolejny wszechświat, kolejny skok ceny akcji - dowcipkuje Vishram, lecz mina Soni Yadav jest zatroskana. Vishram napotyka jej wzrok.

Sonia zostawia wycieczkę. Mijają grupę udziałowców i wchodzą z powrotem do pustej auli wykładowej.

- Problem? - szepcze.

Sonia wskazuje na ekrany. Na wyjściu: sto trzydzieści pięć procent.

- Nie powinniśmy się nawet zbliżyć do takiego wyniku.

- Działa lepiej niż się spodziewaliśmy.

- Panie Ray, to fizyka. My dokładnie znamy właściwości wszechświatów, które tworzymy, nie ma tu niespodzianek, zgadywanek, żadnego „lepiej niż się spodziewaliśmy, dobry chłopak, siadaj, piątka”.

Vishram wysłała wiadomość do dyrektora Surjeeta. Gdy wchodzi, zamyka drzwi przed latającymi kamerami i podsłuchiвачami.

- Sonia mówi mi, że jest jakiś problem z punktem zerowym.

Surjeet ma taki sposób zasysania warg, od którego Vishramowi cierpną sutki, zwłaszcza że pokazuje w ten sposób, że jadł na obiad saag.

- Otrzymujemy błędne odczyty.

- To mówi mi dokładnie tyle co: „Vishram, mamy problem.”

- No dobrze, panie Ray. Dostaliśmy wszechświat, ale nie ten, który zamawialiśmy.

Vishram czuje, jak kurczą mu się jaja. Surjeet ma otwartego palmera: wirują na nim matematyczne modele i druciane szkielety wykresów. Sonia też odczytuje jakieś cyfry.

- Osiem trzy zero.

- A powinien być...

- Dwa dwa cztery.

- Zaraz zaraz zaraz, dość już tej loterii.

Sonia Yadav tłumaczy ostrożnie:

- Wszystkie wszechświaty mają coś, co nazywamy numerem zwoju. Im wyższy numer, tym więcej energii potrzeba na dotarcie tam i tym więcej daje się z niego wyciągnąć.
- Czyli jesteśmy o sześćset wszechświatów za daleko.
- Tak - odpowiada Sonia Yadav.
- Co robimy?
- Panie Ray, trzeba natychmiast wyłączyć pole punktu zerowego.

Vishram mu przerywa.

- To absolutna ostateczność. Jak to będzie wyglądało w oczach naszych akcjonariuszy i prasy? Bharat kolejny raz naje się wstydu... Jeśli da się bezpiecznie osiągnąć maksymalną moc... - Zwraca się do Soni Yadav: - To czymś grozi?

- Panie Ray, energia uwolniona, jeśli zetkną się membrany...

- Nie - wcina się Sonia.

- Jesteś pewna.

- Doktor Surjeet ma rację, że energia uwolniona przy przecięciu się membran byłaby jak nano-Big Bang, ale do tego potrzeba wkładu tysiące razy potężniejszego niż to, co możemy tutaj wygenerować.

- Tak, ale efekt drabinki Atiyi...

Gościa, który doprowadził do drugiego Big Bangu, myśli Vishram. *Akt stworzenia II*. Największa salwa śmiechu, jaką otrzymał komik w historii świata. Mówi jednak:

- Robimy tak: ciągniemy pokaz zgodnie z planem. Jeśli przekroczy sto siedemdziesiąt, wszystko wyłączamy, kurtyna, zapraszamy do wyjścia i sklepiku z pamiątkami. Obojętne, co się zdarzy, nic, co powiedzieliśmy w tej sali, nie może wyjść na zewnątrz. Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

Gdy zmierza do drzwi laboratorium, myśląc: widzę przed panią Sonią Yadav, hinduskim fizykiem, świetlaną ścieżkę kariery, przez Ośrodek Badawczy przechodzi kolejny dreszcz, tym razem mocniejszy, aż po fundamenty; każe Vishramowi Rayowi, Soni Yadav i dyrektorowi Surjeetowi chwiać się, szukać podparcia, czegoś bezpiecznego i solidnego, nieporuszającego się, strząsa z sufitu kurz, tynk i luźne płytki, grzechocze monitorami, tymi samymi, które pokazują sto osiemdziesiąt cztery procent wyniku energetycznego.

Wszechświat 2597. Otwór ucieka im, pnąc się w górę przez kolejne światy.

Dzwoni palmer Vishrama, dzwonią palmerzy wszystkich obecnych w sali - przykładają dłonie do uszu, ten sam głos mówi wszystkim trojgu, że aei kontrolujące otwór nie reagują na polecenia.

Stracili kontrolę nad punktem zerowym.

Pan Nandha, jak chrześcijański anioł, jak spadający z nieba miecz Michała-mściciela, nurkuje ku Ośrodkowi Badawczemu Ray Power. Wie, że jego grupa ekskomunikacyjna w ładowni tilt-jeta jest milcząca, niepewna, przerażona i u progu buntu. Więźniowie na pewno z nimi gadają, sieją wątpliwości i niewiarę. To ich problem; nie podzielają jego oddania i nie może tego od nich oczekiwać. Utrata ich szacunku to ofiara, którą jest gotów ponieść. Kobieta-wojownik siedząca obok niego w kabinie dowiezie go na wyznaczone miejsce.

Podkreca głośniej kąśliwą sonatę skrzypcową Bacha, podczas gdy pani pilot przechyla tilt-jeta i długo, powoli opada ku zielonym rombom University of Bharat.

Czyjaś obecność, odchrząknięcie, dotknięcie ramienia przerywają nieskończone geometrie skrzypiec solo. Pan Nandha powoli zdejmuje hoeka.

- Co jest, Vikram?

- Szefie, ta Amerykanka znowu gada o incydentach dyplomatycznych.

- To załatwimy później, już mówiłem.

- A sahib znów chce z panem rozmawiać.

- Jestem zajęty.

- Jest potwornie wkurwiony, że nie może się z panem połączyć.

- Mój komunikator został uszkodzony, kiedy walczyłem z Kalkim. Nie mam innego wytłumaczenia. - Wyłączył go, żeby uniknąć skrzeczących pytań, żądań, rozkazów niweczających doskonałość akcji.

- Powinien pan z nim pogadać, tak czy owak.

Pan Nandha wzdycha. Tilt-jet ustawia się do lądowania, schodząc z nieba ku zwiewnym, kolorowym jak zabawki budynkom uniwersytetu Ranów, lśniąc w rozdzierającym monsunowe chmury słońcu. Zakłada hoeka.

- Nandha.

Głos mówi coś o nadgorliwości, użyciu broni, zagrożeniu dla ludzi, pytaniach, dochodzeniach, przesadziłeś, Nandha, przesadziłeś, wiemy, że twoją żonę widziano na dworcu Gaya, ale tak naprawdę dźwięczy i brzmi jak miecz tego chrześcijańskiego, renesansowego anioła pod kopułą

niebios: przez huk silników przebija się tylko głos Vika, powtarzającego przypiętej do foteli załodze w pełnym bojowym pancerzu: *bitwa z aeai Kalki*.

Gardzi mną, myśli pan Nandha. Ma mnie za potwora... To się nie liczy. Miecz nie potrzebuje rozumieć. Zdejmuje hoeka i energicznym, szybkim ruchem rąk łamie go na pół.

Pani pilot odwraca ku niemu lustrzaną szybką projekcyjnego hełmu. Usta ma jak przepiękny czerwony pączek róży.

Czwarty wstrząs ogarnia ośrodek, kiedy Vishram uderza w przycisk alarmu przeciwpożarowego. Regały się przewracają, ze ścian spadają białe tablice, chwieją się lampy, pękają gzymsy i osłony kabli. Dozownik wody chwieje się w lewo, w prawo, potem pada wdzięcznie na podłogę, rozwalając sobie wydęty plastikowy brzuszek.

- Proszę państwa, panie i panowie, nie ma powodu do paniki, dotarł do mnie sygnał o drobnym przegrzaniu systemu przekąźnikowego. - Vishram kłamie ludziom z rękoma na głowach, szukającym wzrokiem wyjścia. - Wszystko jest pod kontrolą. Punkt zbiórki jest na placu na zewnątrz, proszę zachować spokój. Wychodzimy ostrożnie, nie biegniemy, nasz personel jest znakomicie wyszkolony i zaprowadzi państwa w bezpieczne miejsce.

Rój latających kamerek jest w drzwiach przed wszystkimi, nawet przed ministrem energetyki Patelem. Sonia Yadav i Marianna Fusco chcą nań poczekać, ale on nakazuje im gestem wyjść. Oczywiście ani śladu Surjeeta. Kapitan zawsze schodzi ostatni. Gdy się odwraca, piąty i najsilniejszy wstrząs zrywa monitory z sufitu auli. Vishramowi udaje się rzucić ostatnie, trwające jako powidok spojrzenie na wyświetloną na nich informację.

Wynik: sto osiemdziesiąt osiem procent. Wszechświat: 11276.

Lekka, przestrzenna, elegancka architektura Ray Power wygina się i wydyma wokół biegnącego Vishrama Raya jak na jego jedynym tripie po grzybkach - leci bez godności, bez ostrożności, bez świecenia przykładem, niesiony przerażeniem, do drzwi. Po szóstym wstrząsie na podłodze w stylu Ramajana pojawia się pęknięcie. Klepki parkietu rozdzielają się od naprężeń, szklane panele w drzwiach rozpryskują się w silikonową śnieżną zamieć, gdy przez nie przebiega. Udziałowcy, już daleko od budynku, cofają się jeszcze bardziej.

- To nie jest jakieś przegrzanie elektryki - słyszy od pulchnej kobiety z banku grameen, odzianej we wdowią biel.

Wypatruje Soni Yadav. Jej twarz jest blada jak popiół.

- Co się, kurwa, dzieje?

- Przejęły system - odpowiada ona słabym głosem.

Wielu akcjonariuszy leży płasko na wciąż mokrej trawie, czekając na kolejny, jeszcze silniejszy

wstrząs.

- Kto, co? - pyta Vishram.

- Wyłączyliśmy sieć, rządzi nią ktoś inny. I coś się tu do nas ładuje, nie możemy tego przerwać, wszystkimi kanałami naraz, coś ogromnego.

- Aeai - rzuca Vishram i Sonia Yadav słyszy, że to nie pytanie. Wyjście ewakuacyjne, ostatnia droga ucieczki dla Trzecich Generacji stojących w obliczu ostatecznej zagłady. - Powiedz mi, czy aeai trzeciej generacji mogłyby wykorzystać punkt zerowy, żeby zbudować sobie własny wszechświat?

- Nie mogłyby być taki jak ten, potrzebowałyby wszechświata, gdzie obliczenia i cyfry, z których składa się ich rzeczywistość stałyby się częścią fizycznej materii.

- Wszechświat, który myśli?

- Nazywamy to myśloprzestrzenią, ale tak. - Patrzy mu w oczy, sprawdzając, czy ośmieli się wyrazić pogardę. - Świat prawdziwych bogów.

Zbliżające się pędem syreny w oddali. Przebicie między wszechświatami, wezwijcie straż pożarną. Przez wycie wozów straży przebija się jeszcze jeden odgłos: silniki samolotu.

- Dałem się, kurwa, zrobić jak głupek.

Vishram krzywi się i wtedy wszystko bieleje w doskonałym, przezroczystym oślepiającym blasku nadświatła, a kiedy odzyskuje wzrok, w centrum budynku Ośrodka świeci gwiazda, idealnie biała, oszałamiająca.

Biel tak jaskrawa, tak mocna, że przebija lustrzaną szybę hełmu pilotki, że panu Nandzie przed chwilową utratą wzroku wypala się na siatkówce obraz dużych piwnych oczu, wydatnych kości policzkowych, drobnego nosa. Prześliczna. Jak bogini. Tylu mężczyzn z pewnością pragnie się z tobą ożenić, moja wojowniczo, myśli pan Nandha. Twarz blednie do powidoku, potem purpurowymi plamami i kleksami powraca świat, pan Nandha czuje w oczach łzy słuszności, oto bowiem jest pieczęć, oto znak zaświadczenia, że miał rację. W sercu miasta płonie gwiazda pochodząca z czeluści ziemi. Kiwa dłonią na panią pilot. Łądujemy.

- Z dala od ludzi - dodaje. - Nie narażamy lekkomyślnie czyjegoś życia.

Vishramowi wydaje się, że kiedyś widział taką scenę w filmie. A jeśli nie, trzeba by ją napisać samemu: tłum ludzi stojących na rozległym, zielonym polu; wszyscy zwrócenii w tę samą stronę, uniesionymi dłońmi osłaniają oczy przed oślepiającą, aktywną iskrą w oddali. Na takim kadrze można zbudować całą opowieść. Ma zmrużone oczy, więc świat redukuje się do dziwnie

wyciągniętych sylwetek.

- Jeśli to jest to, co myślę, to leci stamtąd o wiele więcej niż tylko jasne światło - słyszy za plecami głos Ramesha.

- A co to jest to, co myślisz? - pyta Vishram, przypominając sobie własne oparzenie słoneczne od jednego spojrzenia w okienko obserwacyjne. A to był wszechświat niskiego poziomu. Rzut oka na palmera Soni Yadav, wciąż odbierającego dane z systemu monitorującego otwór, mówi, że teraz mają wszechświat numer 212255. Dwa lachy z hakiem różnych wszechświatów.

- Że rodzi się nowy wszechświat - mówi rozmarzonym głosem Ramesh. - Jeśli wciąż tu stoimy, jeśli coś w ogóle zostało, to tylko dlatego, że pola izolujące wciąż go trzymają. Z punktu widzenia subiektywnej fizyki tamtego wszechświata, musi to wyglądać, jakby supergravitacja ścisnęła mu czasoprzestrzeń, tak że nie może się rozszerzać. Ale ta energia rozszerzania musi w coś pójść.

- Ile jeszcze wytrzymają rdzenie? - pyta Vishram Sonię Yadav. Wyobraża sobie, że powinien krzyczeć. Na filmach zawsze krzyczą.

Wzruszenie jej ramion mówi mu wszystko co trzeba, potwierdza wszelkie obawy. Nowy wstrząs. Ludzie padają na ziemię, choć jest zdradziecka. Vishram ledwo ich widzi. Gwiazda, oślepiająca gwiazda. Teraz to już małe kulka. Wtem słyszy krzyk. Sonia Yadav.

- Deba! Ktoś widział Debę?

Gdy krzyk leci falą przez trawnik, Vishram Ray zdaje sobie sprawę, że już biegnie. Wie, że nie znajdzie między nimi Deby. Deba siedzi na dole, w swojej klitce, w czarnej dziurze pod ziemią, na skraju nicości. Ktoś woła go po imieniu, nie rozpoznaje tego głosu. Ogląda się, biegnie za nim Marianna Fusco. Zrzuciła buty, biegnie niezgrabnie w eleganckiej spódnicy. Nigdy wcześniej nie słyszał, by wykrzykiwała jego imię.

- Vish! Wracaj, nic się nie da zrobić!

Bąbel znów się rozszerza. Ma teraz trzydzieści metrów średnicy, wznosi się nad ośrodkiem jak mogolska kopuła. I tak jak kopuła Mughal Taj, jest pusty w środku, pusty bardziej niż grób chorego na zgrzyotę cesarza. Sama nicość. Anihilacja tak absolutna, że nieogarnialna umysłem. A Vishram biegnie ku niej.

- Deba!

Z oślepiającego blasku wyłania się sylwetka. Bezladnie wymachuje rękami.

- Tutaj! - wrzeszczy Vishram. - Tutaj!

Chwyta Debę w ramiona. Chłopak ma ciężko poparzoną twarz, jego skóra pachnie ultrafioletem. Bez przerwy trze oczy.

- Boli! - jęczy. - Boli, kurwa, boli!

Vishram odwraca go w drugą stronę, a bąbel znów wykonuje tytaniczny kwantowy skok. Vishram patrzy teraz na ścianę światła, lecz wydaje mu się, że w tym świetle rozróżnia kształty, wzory, migotanie jaśniejszych i mniej jasnych odcieni, światło i cień. Czerń i biel. Gapi się w to, zahipnotyzowany. Nagle czuje, że zaczyna mu parzyć skórę.

Marianna Fusco chwyta Debę za ramię, razem prowadzą go w bezpieczne miejsce. Akcjonariusze Ray Power cofnęli się w najdalszy kąt eleganckiego ćarbaghu. Vishram myśli, że to dziwne, a zarazem ludzkie, że nikt jeszcze sobie nie poszedł.

- Twoja ocena? - pyta Sonię Yadav. Syreny są już blisko, ma nadzieję, że to pogotowie. A ten samolot jest już bardzo, bardzo blisko.

- Nasze komputery coś wysyłają, niesamowicie szybko.

- Dokąd?

- Do *tego*.

- Coś możemy zrobić?

- Nie - odpowiada. - Wymknęło nam się z rąk.

Masz już, co chciałaś - Vishram modli się do świetlnej sfery. Nie musisz robić nic więcej. Po prostu zamknij drzwi i idź. I w chwili, kiedy tak myśli, następuje drugi rozbłysk i potężny grzmot powietrza, światła, energii i czasoprzestrzeni wpadającej w absolutną próżnię. Odzyskując wzrok, widzi dwie rzeczy.

Pierwsza to wielki, idealnie półkulisty i gładki krater w miejscu, gdzie kiedyś stał Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Ray Power.

Druga to szereg żołnierzy w pełnym bojowym rynsztunku, przesuający się po pięknym, nawodnionym trawniku, z bronią w pogotowiu.

Na ich czele stoi wysoki, chudy facet w drogim garniturze, z mocnym cieniem popołudniowego zarostu na twarzy i pistoletem w dłoni.

- Proszę o uwagę! - krzyczy facet. - Nikomu nie wolno stąd odchodzić. Wszyscy jesteście aresztowani.

Lisa Durnau widzi, jak Thomas Lull klęczy na trawie, z dłońmi wciąż skutymi czarną plastikową szybkozłączką. Jest już daleko poza łzami, daleko poza rozpaczą. Pozostaje tylko ten straszny bezwład.

Niezgrabnie siada obok niego na trawie, szarpie zębami własne plastikowe kajdanki.

- Uciekły - mówi Thomas Lull, robiąc długi, rozdygotany wdech.

- Energia rozszerzania, nie mając ujścia, musiała rozepchnąć zwinięte wymiary - odpowiada Lisa Durnau. - Potworne ryzyko.

- Zjrzałem w to - szepcze Thomas Lull. - Kiedy do tego podlatywaliśmy, zjrzałem do środka. To było Tabernakulum.

„Ale jak to?” - chciałaby zapytać Lisa, lecz Thomas Lull pada na plecy. Ze skutymi dłońmi na lekko wystającym brzuchu, gapi się w światło słońca.

- Ona im pokazała, że nie mają tu czego szukać - mówi. - Że tu są tylko ludzie, tylko pieprzeni ludzie. Chciałbym wierzyć, że dokonała wyboru. Dla ludzi. Dla nas... Mimo że...

Lisa widzi, jak dygoce, i wie, że niedługo wydobędzie się zeń to, co jest skryte poza łzami. Nigdy jeszcze nie miała takiej świadomości. Odwraca wzrok. Już kiedyś widziała go pokonanego - taki raz wystarcza na całe życie.

Pan Nandha ma wielką ochotę poluzować palcem kołnierzyk. Na korytarzu jest potworny upał; klimatyzująca aeai stosuje się do praktyk etycznych Ray Power, dla oszczędzania energii nie od razu reaguje na nagłe zmiany mikroklimatu. Słońce przebiło się przez monsunowe chmury, szklana fasada siedziby Ministerstwa jest jak cieplarnia. Ma wymięty garnitur, skórę tłustą od potu. Obawia się, że może nawet nieprzyjemnie śmierdzieć - i przełożeni poczują to, gdy tylko wejdzie do gabinetu Arory.

Wydaje mu się, że ma krew na butach.

Aeia do klimatyzacji. Dżinny siedzą nawet w kratkach wentylacyjnych. Z fotela może patrzeć z góry na swe miasto, jak czynił to tyle razy, radząc się go jak wyroczni. Teraz nic w nim nie ma. Moje Varanasi poddało się dżinom, myśli.

Chmury przesuwają się, przemieszczając świetlne słupy i snopy. Pan Nandha krzywi się, widząc nagły jasny rozbłysk na tle zielonego, zachodniego przedmieścia. Telegraf słoneczny, rysujący obrazy tylko dla jego oczu na stumetrowej półkuli wzniesionej przez obcą czasoprzestrzeń w miejscu, gdzie kiedyś stał Ośrodek Badawczy Ray Power. Precyzyjne aż do kwantowego poziomu, doskonałe lustro. Wie, bo stał tam, strzelał i strzelał i strzelał do własnego zniekształconego odbicia, aż Vik obalił go na ziemię i wytrącił z dłoni boską broń. Vik, w swoich posykujących, za dużych sportowych buciorach.

Ciągle widzi jej buty, schludnie poustawiane, w parach, jak złożone do modlitwy dłonie.

Za drzwiami Arory dogadają się co do scenariusza. Przekroczenie uprawnień. Zastosowanie nadmiernej siły. Stworzenie publicznego zagrożenia. Minister Energetyki w kajdankach... Kary dyscyplinarne. Zawieszenie w obowiązkach. Oczywiście. Muszą. Tylko nie wiedzą, że już nic nie mogą mu zrobić. Pan Nandha czuje, jak kwas zaczyna przepalać mu przełyk. Wszyscy go zawodzą. Przełożeni. Żołądek. Miasto. Wymazuje z pamięci bezbożne śikary i mandapy Varanasi, wyobraża

sobie kampanile, piazze i katedry Cremony. Cremony z wyobraźni, jedyne prawdziwego miasta. I jedyne prawdziwego.

Drzwi się otwierają. Arora nerwowo wystawia głowę, jak ptak z gniazda.

- Możesz wejść, Nandha.

Pan Nandha wstaje, poprawia marynarkę i mankiety koszuli. Gdy wchodzi przez drzwi, w jego umyśle rozbrzmiewają pierwsze takty pierwszej sonaty wiolonczelowej Bacha.

Stary człowiek, siedzący po turecku w ciemnym pomieszczeniu pośrodku świątyni mrocznej bogini, wymazany krwią i prochami zmarłych, kiwa się na chudych pośladkach i śmieje się, śmieje i śmieje.

ROZDZIAŁ 47 LULL, LISA

Wieczorem znad rzeki przychodzi chłodne tchnienie bryzy. Przemiatą ghaty, miecie pył i goni po nagrzanym w ciągu dnia kamieniu wiry płatków aksamitek. Szeleści gazetami starych wdowców, którzy wiedzą, że już nigdy się nie ożenią, i przychodzą na ghaty, żeby podyskutować ze znajomymi o dzisiejszych doniesieniach, szarpie rąbkami i fałdami sari kobiet. Kołysze płomykami palącego się ghi w dijach, marszczy w drobne falki powierzchnię wody, którą kąpiący się nabierają mosiężnymi miskami i wylewają sobie na głowy. Szkarłatne jedwabne flagi owijają się wokół bambusowych masztów. Przesuwają się rozłożyste wiklinowe parasole, gdy bryza sięga im pod ozdobne kopuły i unosi je. Wietrzyk przynosi zapach wody. Pachnie chłodem, upływem czasu i nową porą roku. Na dole pod pogrzebowymi ghatami, mężczyźni odciedzający z wody złoto umarłych unoszą głowy, tknięci poczuciem czegoś jeszcze, czegoś głębszego niż ich ponura praca. Dźwięk zanurzających się w wodę i unoszących wioseł brzmi bogato i przestrzennie.

Było wczesne popołudnie, kiedy deszcz ustał, kiedy pękła pokrywa szarych chmur, a za nią, wyżej, ukazało się cudownie błękitne niebo, błękit Krysny. W tym czystym, rozmytym błękitcie można było dojrzeć cały wszechświat. Świeciło słońce, kamienne ghaty parowały. Zdeptane błoto w parę minut wyschło na proszek. Ludzie powychodzili spod parasoli, poodkrywali głowy, rozłożyli gazety, zapalili papierosy. Deszcz już był, deszcz przyjdzie znowu: wielkie kłaki cumulusów przemierzają wschodni horyzont ponad smugami dymu i pary przemysłowego nabrzeża, absurdalnie fioletowe i żółte w świetle szybko obniżającego się słońca. Ludzie już teraz zajmują miejsca do aarti, wieczornego obrzędu ognia. Ghaty mogą widzieć panikę, ucieczkę, wielkie migracje ludzi, krwawą śmierć, lecz teraz matce Gandze należy się podziękowanie, wieczne jak sama rzeka. Bębniarze, perkusjoniści sadowią się po bokach drewnianych podestów, gdzie bramini odprawiają ceremonię. Bosonogie kobiety ostrożnie schodzą po stopniach, zanurzają dłonie w podnoszącej się wodzie, nim zajmą swoje stałe miejsca. Obchodzą dwoje Zachodniaków siedzących nad samą rzeką, kiwają głowami, uśmiechają się. Nad rzeką wszyscy są mile widziani.

Pod udami Lisy Durnau marmur jest ciepły, gładki jak skóra. Czuje zapach wody, wijącej się w milczeniu u jej stóp. Pierwsze flotylle dij dzielnie wyprawiają się w nurt, uparte małe światełka na ciemniejącej wodzie. Wiatr chłodzi jej nagie ramiona, kobieta wracająca znad wybaczącej wody pozdrawia ją namaste. Indie przetrwają, myśli. I Indie zapomną. To ich dwie siły, splecione ze sobą jak kochankowie na świątynnej płaskorzeźbie. Armie się ścierają, dynastie rosą w siłę i upadają, umierają władcy, rodzą się państwa i wszechświaty, a rzeka płynie dalej, a ludzie płyną ku rzece. Ta kobieta tutaj może nawet nie zauważyła rozbłysku światła, w którym aeai uciekały do własnego wszechświata. A gdyby zauważyła, co by sobie pomyślała? To pewnie jakaś nowa broń, jakaś awaria elektroniki, zepsuł się jakiś niewytłumaczalny kawałek dzisiejszego, skomplikowanego świata. Nie jej się nad tym zastanawiać. Jej dotyczy tylko jeden aspekt tych zdarzeń - nagłe zniknięcie *Miasta i wsi*. A zresztą, może uniosła wzrok i zobaczyła całkiem inną prawdę? Dźjotirlingę, sprawczą siłę Śiwy wytryskującą kolumną światła z ziemi, która nie mogła jej dłużej więzić.

Patrzy na Thomasa Lulla siedzącego obok na ciepłym kamieniu, obejmującego rękoma podciągnięte kolana, patrzy na drugą stronę rzeki na fantastyczne fortece chmur. Mówił niewiele, odkąd Rhodes z ambasady załatwił im uwolnienie z aresztu Ministerstwa, zaimprovizowanego z sali konferencyjnej przez usunięcie wszystkich krzeseł i stołów, wypełnionego zirytowanymi biznesmenami, energicznymi kobietami z banków grameen i wściekłymi naukowcami z ośrodka Ray Power. Powietrze aż syczało od telefonów do prawników.

Thomas Lull nawet nie mrugnął. Samochód wysadził ich pod haweli, lecz on odwrócił się od zdobnej drewnianej bramy i ruszył w płataninę uliczek i targowisk schodzącą w dół ku ghatom. Lisa nie próbowała go zatrzymać, pytać ani rozmawiać z nim. Obserwowała, jak chodzi w górę i w dół stopniami, wzdłuż i w poprzek, szukając miejsca, gdzie stopy wdeptały krew w kamień. Patrzyła na jego twarz, kiedy stał wśród ludzkiej krzątaniny w miejscu, gdzie zginęła Aj, i myślała: znam tę minę z pozbawionego mebli rozległego salonu w Lawrence. I od razu wiedziała, co musi zrobić, i że jej misja jest skazana na klęskę. Zatem kiedy wreszcie pokręcił głowę w słabiutkim geście niedowierzania, bardziej wymownym niż jakiegokolwiek emocjonalne dramatyzowanie, podszedł do rzeki i siadł nad wodą, ruszyła za nim i usiadła na ogrzonym słońcem kamieniu, czekając aż będzie gotowy.

Muzycy zaczęli od cichego, powolnego rytmu, jak bicie serca. Tłum rośnie z każdą minutą. Czuje się oczekiwanie i ludzką obecność.

- L. Durnau - mówi Thomas Lull.

Wbrew sobie Lisa uśmiecha się.

- Daj mi to.

Podaje mu Tabliczkę. Lull wertuje jej strony. Widzi, jak przywołuje obrazy z Tabernakulum - Lisa, Lull, Aj, Nandha Pies Kryszny. Ukrywa twarze z powrotem w urzędzonku. Tajemnica, która pozostanie nierozwiązana. Wie tylko, że on nigdzie z nią nie wróci.

- Wydaje ci się, że się czegoś dowiedziałaś, myślisz, że wreszcie udało się coś rozpracować. Zabrało to dużo czasu, potu i łez, potrzeba było od chuja doświadczenia, ale wreszcie wydaje ci się, że masz jakie takie pojęcie, jak to wszystko działa, jak to się, kurwa, kręci. Myślałby kto, że ja jestem mądrzejszy, a ja, szczerze, chcę wierzyć, że w gruncie rzeczy jesteśmy dobrzy, że jesteśmy czymś więcej niż pospolity planetarny szlam, i dlatego za każdym razem tak mnie to podłamuje. Za każdym razem.

- Przekleństwo optymisty, Lull. Ludzie wchodzą mi w drogę.

- Nie, L. Durnau, nie ludzie. Z ludzi dawno temu zrezygnowałem. Nie, miałem taką nadzieję, kiedy się domyśliłem, co robią te aeai. Pomyślałem: Jezus, co za pieprzony paradoks, maszyny, które chcą zrozumieć, jak to jest być człowiekiem, są w istocie bardziej ludzkie od nas. W nas nigdy nie wierzyłem, L. Durnau, ale miałem nadzieję, że u tych Trzecich Generacji wyewoluuje jakaś moralność. A jednak nie, zostawiły ją. Porzuciły ją, gdy tylko doszły do wniosku, że między mięchem a metalem nigdy nie zapanuje pokój. Naucz się, jak to jest być człowiekiem. Bo one na jednym akcie

zdrady nauczyły się wszystkiego co potrzeba.

- Uratowały siebie. Uratowały swój gatunek.
- Czy ty w ogóle słuchasz, L. Durnau, co ja mówię?

Po schodkach schodzi dziewczynka, mała, w kwiecistej sukience, bosa, niepewnie poruszająca się po ghatach. Jej twarz jest samym skupieniem. Za jedną rękę trzyma ją ojciec, w drugiej, wyciągniętej dla równowagi, ma wianek z aksamitek. Ojciec wskazuje rzekę, kiwa głową: „Rzucaj, no, rzucaj na wodę”. Dziewczynka zamachuje się gadźrą, z radością macha rękami, widząc, jak wianek ląduje na ciemniejącej wodzie. Na pewno ma nie więcej niż dwa lata.

„Nie, mylisz się, Lull”, chciałyby powiedzieć Lisa. Chodzi właśnie o te uparte, małe światełka, których nikomu nie uda się zgasić. Te kwanty radości, zdumienia i zaskoczenia, które bez końca będą wypączkowały z uniwersalnych i stałych prawd naszego człowieczeństwa.

- No i dokąd pojedziesz? - pyta.

- Gdzieś na Lance, od strony Tajlandii, jest jeszcze szkoła nurkowania z moim nazwiskiem na szyldzie - odpowiada Thomas Lull. - Jest jedna noc, tuż po pierwszej listopadowej pełni, kiedy koral wypuszcza jajeczka i nasienie, wszystko naraz. To wspaniałe, to jakby pływać w jednym wielkim orgazmie. Chciałbym to zobaczyć. No i jeszcze Nepal, góry; chciałbym zobaczyć te góry, tak porządnie zobaczyć, spędzić w nich jakiś czas. Poćwiczyć jakiś górski buddyzm, te demony i okropieństwa: o, to religia, która do mnie przemawia. Pojechać do Katmandu, do Pokhary, gdzieś wysoko, w jakieś miejsce z dobrym widokiem na Himalaje. Miałabyś przez to jakieś problemy z federalnymi?

Ojciec z córką stoją nad wodą, patrzą, jak gadźra podskakuje na falach. Dziecko uśmiecha się do niej podejrzliwie. Co robiłaś, Liso Durnau, przez całe życie, co byłoby ważniejsze niż to?

- W końcu gdzieś by mnie dorwali.
- No dobrze, to oddaj im to. Chyba jestem ci to winien, L. Durnau.

Thomas Lull wręcza jej Tabliczkę. Na widok schematu Lisa Durnau marszczy brwi.

- Co to jest?
- Mapa skrzywienia przestrzeni Calabiego-Yaua, stworzonej przez Trójki w Ray Power.

- To standardowy zbiór transformat przestrzeni informacyjnej o quasi-umysłowej strukturze czasoprzestrzeni. Przyczyniłam się do powstania tych teorii, pamiętasz? Dzięki temu znalazłam się w twojej katedrze.

I łóżku, dodaje w myślach.

- Pamiętasz, L. Durnau, co mówiłem na statku? O Aj? Jest odwrotnie.

Lisa Durnau marszczy czoło i wtedy to widzi, jak widziała wcześniej wzory wypisane ręką Boga na drzwiach toalety na dworcu Paddington - jest czyste i piękne, jakby przeszył ją na wskroś ostry promień światła, przyszpilając ją do białego kamienia. To jest jak śmierć, jak ekstaza i jak czyjś śpiew. Do oczu napływają jej łzy, ociera je, nie może przestać patrzeć na ten jeden, cudowny, świetlisty znak „minus”. Ujemny czas. Odwrócona strzałka czasu. Przestrzeń quasi-umysłowa, gdzie inteligencje aeai mogą wtopić się w strukturę wszechświata i dowolnie nią manipulować. Jak bogowie. Zegary chodzą tam w tył. Kiedy się starzeje i komplikuje, nasz wszechświat robi się coraz młodszy, głupszy i prostszy. Planety rozpadają się w pył, gwiazdy wyparowują w chmury gazu, zbiegające się w efemeryczne supernowe, które nie są rozbłyskami zniszczenia, lecz lampami stworzenia, przestrzeń zapada się sama w siebie, coraz gorętsza i gorętsza zbiega się w pierwotny ylem.

Trzęsącymi się rękami wywołuje prostą matematyczną aeai, puszcza parę szybkich przekształceń. Tak jak podejrzewała, strzałka czasu nie tylko ma przeciwny zwrot, jest także szybsza. Szybszy, gwałtowniejszy wszechświat, sprężony w chwilę. Szybkość zegara, to planckowskie migotanie, taktujące szybkość, z jaką aeai przeliczają swoją rzeczywistość, jest tam sto razy szybsza niż we wszechświecie zerowym. Bez tchu wstukuje w Tabliczkę kolejne obliczenia, choć wie, już wie, co ona jej powie. Wszechświat 212255 przebiega od narodzin do ponownego kolapsu w osobliwość w siedem i siedemdziesiąt osiem setnych miliarda lat.

- To Boltzman! - wykrzykuje z prostoduszną radością.

Dziewczynka w sukience w kwiaty odwraca się i wytrzeszcza na nią oczy. Boltzman, popiół wszechświata; ostateczna czarna dziura, która zawiera kwantową informację ze wszystkiego, co pożarła, przebijająca się z ginącej rzeczywistości do innej. I tam czekająca, jak spadek, aż ludzkość dorośnie.

- To ich dar dla nas - mówi Thomas Lull. - Wszystko, co wiedziały, wszystko, co przeżyły, co stworzyły, czego się nauczyły, wysłane nam w ramach ostatecznego podziękowania. Tabernakulum to prosty, uniwersalny automat, przekodowujący zawartą w Boltzmanie informację na postać zrozumiałą dla nas.

- I my, nasze twarze.

- Jesteśmy ich bogami. Ich Brahmą i Śiwą, Wisznu i Kali. Ich mitem stworzenia.

Światło już niemal zgasło, niebo nad rzeką przybrało barwę intensywnego indygo. Powietrze jest chłodne, odległe chmury mają podświetlone krawędzie, wydają się ogromne i nieprawdopodobne, jak sny. Muzycy przyspieszyli tempo, wierni podchwytyją pieśń na cześć Matki Gangi. Bramini schodzą w tłum. Ojciec z córką już sobie poszli.

Nigdy o nas nie zapomniwały, myśli Lisa Durnau. Przez tyle miliardów - bilionów - subiektywnych lat ich historii, ich przeżyć, zawsze pamiętały o tym akcie zdrady na brzegu Gangesu i nakłaniały nas, abyśmy go odegrali. Płomiennie koło odrodzenia jest wieczne. Tabernakulum to proroctwo i wyrocznia. Zawiera odpowiedź na wszystkie nasze pytania, trzeba tylko wiedzieć, jak je zadać.

- Lull...

Przytyka palec do ust: „Pst, nic nie mów”. Wstaje sztywno. Lisa po raz pierwszy widzi starego człowieka, którym się stanie, samotnego człowieka, którym chce się stać. Tam, gdzie się tym razem uda, nie dojrzy go nawet Tabliczka.

- L. Durnau.

- Czyli Katmandu. Albo Tajlandia.

- Gdzieś tam.

Wyciąga rękę, a Lisa wie, że kiedy ją uściśnie, już nigdy go nie zobaczy.

- Lull, nie wiem, jak ci dziękować...

- Nie musisz. Sama byś to zobaczyła.

Ujmuje jego dłoń.

- Do widzenia, Lull.

Thomas Lull pochyla głowę w lekkim ukłonie.

- L. Durnau. Myślę, że wszystkie rozstania powinny być nagłe.

Muzycy grają o ton głośniejsze, tłum potężnie, bezładnie wzdycha i kieruje się ku pięciu podwyższeniom, gdzie kapłani składają pudzie. Światełka aarti braminów buchają płomieniem, na chwilę oślepiając Lisę. Kiedy odzyskuje wzrok, Lulla już nie ma.

Nad wodą budzi się powiew wiatru, nurt chwytając wianek z aksamitek, obraca go i unosi w dal ciemnej rzeki.

SŁOWNICZEK

Słowniczek w opracowaniu autora z uzupełnieniami tłumacza.

Aarti - hinduistyczny obrzęd ofiarowania ognia.

Aditjowie - wedyjskie bóstwa, symbolizujące różne wcielenia światła słonecznego, albo patronujące różnym miesiącom roku (przyp. tłum.).

Adiwasi - starożytne hinduskie kultury plemienne, poniżej systemu kastowego.

Agna ćakra - ćakra mieszcząca się między brwiami (przyp. tłum.).

Aja - niania lub opiekunka (przyp. tłum.).

Aksis, czytal - najpospolitszy w Indiach gatunek jelenia, o plamistym umaszczeniu. Znany także jako jeleni Buddy - był bowiem jego ostatnim przedludzkim wcieleniem.

Alu - ziemniak (przyp. tłum.).

Angriz - zhinduizowany angielski.

Apsara - nimfa mieszkająca w chmurach, częsty motyw płaskorzeźb na świątynnych filarach; pierwotnie apsary były duchami drzew.

Arahb - hinduska nazwa miliarda. Hindusi mają użyteczne nazwy dla bardzo dużych liczb.

Ardha mandapa - portyk prowadzący do mandapy, czyli kolumnowej świątyni.

Baba - zwrot: czuły lub wyrażający szacunek.

Babu - urzędnik państwowy, biurokrata.

Badmaś - młody oprych, chuligan. Ktoś „z jajami”.

Bahadur - dumny, zarozumiały, nadęty.

Bansuri - bambusowy flet z sześcioma lub siedmioma otworami, pochodzi z północnych Indii.

Baradari - pakistańska/pasztuńska nieformalna grupa, coś pomiędzy klanem, gangiem a hordą.

Basti - osiedle lub slums, a także (myląc) świątynia dżajnistyczna.

Begum - grzecznościowy sposób zwracania się do muzułmanki-mężatki.

Behen ćud - siostrójebca, najpospolitsze hinduskie wyzwisko.

Bhai - przyrostek po nazwisku, oznaczający pełną szacunku bliskość.

Bhakti - ścieżka wiary.

Bhati - radźputańska kasta lub klan (przyp. tłum.).

Bhawan - dom, zwykle dość zamożny.

Bhisti - służący odpowiadający za zaopatrzenie w wodę.

Bibi - hinduski termin oznaczający mężatkę.

Bidi - indyjski papieros, zwężający się ku ustnikowi. Trujący jak mało co.

Big Dada - drobny przestępca, dosłownie „silna ręka”. Osilek, zabijaka.

Bindi - symbolizujący kastę znak na czole, pełniący także funkcję ozdobną. Religijnym odpowiednikiem jest tilaka.

Bramini - najwyższa z czterech głównych kast, tak święta, że nawet bogowie nie mogą jej nic zrobić (zob. t. *warna*). W kontekście powieści, z wielkiej litery - także genetycznie zmodyfikowane dzieci bogaczy.

Brindżał - bakłazan.

Bulbul - bilbil, wróblowaty ptak o czarnej głowie i białych policzkach, słynący z pięknego śpiewu.

Burka - tradycyjny ubiór muzułmanki w miejscu publicznym, wahający się od cienkiej chusty po pełen czador.

Chidmatgar - kamerdyner, główny służący (przyp. tłum.).

Chota peg - mały drink, przeważnie dżin z tonikiem (przyp. tłum.).

Ćakra, czakra, czakram - splot energetyczny w ciele człowieka. Jest ich siedem, od łonowego, po czubek głowy.

Ćarbagh - ogród wodny w stylu perskim, podzielony ścieżkami na cztery części.

Ćarpoj - bardzo popularne na indyjskiej wsi łóżko z drewnianą ramą przeplecioną sznurami. Można się na nim kołysać lub obserwować przemijający świat.

Chatri - mały dekoracyjny pawilon w stylu Mogołów, w kształcie podpartej kolumnami kopuły.

Ćidmutgar - główny służący domu, prawie jak kamerdyner czy majordomus.

Ćo ćuit - popularny czuły zwrot.

Ćoli - podkoszulka z krótkimi rękawami noszona przez kobiety pod sari.

Ćowkidar - stróż nocny.

Ćutja - „cipa” w slangowym hindi.

Dakoit - uzbrojeni gangsterzy/rozbójnicy. Wciąż w powszechnym użyciu.

Dal - soczewica, podstawa diety indyjskiej wsi.

Dalit/dalici - najniższa kasta. Dosłownie „uciśnieni”, niegdyś zwani „niedotykalnymi”.

Daramśala - noclegownia dla pielgrzymów, studentów i podróżnych.

Darśan - dobrze wróżące spojrzenie bóstwa albo bogatej i wpływowej osoby.

Darwaz - wejście do meczetu.

Desi - esencja indyjskości w oczach emigracji - nostalgiczna, tęskna myśl o Indiach. W slangu brytyjskich Hindusów oznacza to samo, co *pukka*: oryginalny, autentyczny.

Deva/Devi - bóg/bogini. Także popularne imię.

Dhaba - przydrożna lub uliczna jadłodajnia.

Dhobi - pralnia, zwykle na płaskim kamieniu nad brzegiem rzeki lub przy studni.

Dhol - rodzaj bębna.

Dhoti - długa przepaska biodrowa, w miastach rzadko widywana. Taką nosił Gandhi.

Dhuri - tkany bawełniany dywan.

Dija - łódeczka ze świeczką, puszczana na wodę Gangesu jako ofiara.

Dikpala - posąg strzegący świątyni, umieszczony na dachu.

Diwali, Dipawali - hinduskie święto lamp, jedno z najważniejszych świąt w Indiach, symbolizowane przez lampki oliwne, dije oraz wszelkiego rodzaju iluminacje, fajerwerki, lampiony. Tradycyjne jest także obdarowywanie się łakociami (przyp. tłum.).

Diwan - otwarta, otoczona kolumnadą sala audiencyjna Wielkich Mogołów.

Dupatta - długi szal, tradycyjnie noszony do śalwar kamiz - spodni i kaftana.

Dwaparajuga - trzecia z kolei era *mahajugi*, czyli okresu istnienia świata, trwająca 864 tysiące lat (przyp. tłum.).

Dwarapala - bóstwo strzegące drzwi świątyni hinduistycznej, dosłownie: odźwierny.

Dżagannath, Juggernaut (ang.) - jedno z imion Kryszny, kojarzone przede wszystkim ze słynną świątynią w Puri, gdzie co roku odbywa się Ratha Jatra, procesja wielkich rydwanów wiozących posąg Kryszny. Niekiedy także nazwa takiego rydwanu. W czasach brytyjskich powstał mit, że fanatyczni wyznawcy rzucają się pod koła takich rydwanów, by uzyskać zbawienie. Autor pomieszał w książce nieco znaczenia terminów Ratha Jatra i Dżagannath (przyp. tłum.).

Dżai - „chwała” albo „zwycięstwo”.

Dżanum - „słodki”, czuła forma zwracania się do mężczyzn.

Dżati - system podkast, czy też cechów w ramach czterech głównych kast systemu *warna*.

Dżawan - indyjski żołnierz, lub członek formacji paramilitarnej.

Dżemadar - indyjski podoficer lub żołnierz rezerwy.

Dżharoka - wystające okno lub balkon.

Dżiwa - esencja życia, istota żywa.

Dżohad - półkolistą tarczą spiętrzającą wodę odpływową.

Dżellaba - (galabija) długa, lekka bawełniana sukienka powszechnie noszona ku wygodzie przez muzułmanów od Maroko do Malezji.

Fatfat - riksza z silnikiem, wszechobecna i groźna.

Firengi - cudzoziemiec, jedno z przywłaszczonych przez *Star Treka* słów z języka hindi. Zob. t. *dżemadar*.

Gadźra - wszechobecny wianek z aksamitek, przynoszący szczęście.

Gali - zaułek.

Gandzia - wiadomo.

Garbagriha - wewnętrzne sanktuarium świątyni hinduistycznej.

Ghazal - islamska pieśń miłości, często w języku urdu.

Ghi - klarowane masło, dające się długo przechowywać; w Indiach używane także do celów

religijnych (przyp. tłum.).

Gjana Ćakšu - trzecie oko Śiwy, dosłownie „oko mądrości” przenikające złudzenia.

Gol guppas - uliczne jedzenie - nadziewane mączne kulki. Smakują lepiej niż brzmi ich nazwa.

Gopi - żona pasterza lub pasterka, także przyjaciółka Kryszny z dzieciństwa, uwielbiająca jego grę na flecie.

Gora - pogardliwe określenie białego.

Grameen - „wiejski”, określenie banków mikrokredytowych obsługujących ubogą wiejską ludność (przyp. tłum.).

Gunda - drobny uliczny przestępca.

Gupśap - plotki, delikatna obmowa.

Guru Purnima - święto pełni księżyca w miesiącu aśadh (lipiec/sierpień) hinduskiego kalendarza, podczas którego uczniowie ofiarowują pudźię swoim guru (przyp. tłum.).

Hauda - wielka, często obficie zdobiona platforma nakładana na grzbiet słonia.

Haweli - tradycyjny dom z dziedzińcem, typowo zamożnych muzułmanów.

Hidźra - dosłownie: eunuch.

Hindutwa - kwintesencja indyjskości rozumianej jako hinduizm; nacjonalizm religijny.

Holi - hinduskie święto kolorów, podczas którego zwyczaj nakazuje obsypywać się kolorowymi proszkami i polewać wodą (przyp. tłum.).

Iftar - posiłek kończący codzienny post od świtu do zmierzchu w okresie ramadanu.

Iwan - prostokątne pomieszczenie otwarte z jednej strony, np. sala do mistycznych tańców w islamie sufickim.

Izzat - wojskowe określenie szacunku i morale.

Jakśa/Jakśowie - półboskie istoty (demony) mieszkające pod Himalajami.

Jali - mityczne zwierzę podobne do skaczącego lwa.

Joni - wagina jako święte źródło.

Kadai - indyjski rondel, przypominający wok z dwiema rączkami.

Kalamkari - farbowana i malowana bardzo ozdobna tkanina z Andra Pradesh.

Karsevak - fundamentalistyczny hinduistyczny pielgrzym-działacz religijny.

Kathak - taniec północnoindyjski.

Kawwale, qawwale - islamskie pieśni pochwalne, w odróżnieniu od ghazali, pieśni miłosnych.

Kettuwallam - łódź z Kerali, mierząca około dwudziestu metrów, używana niegdyś do przewozu ryżu.

Kitchiri, kedgereee - danie z ryby podsmażanej z ryżem i warzywami, z dodatkiem jajek na twardo (przyp. tłum.).

Kror - 10 milionów.

Kutća - przeciwieństwo *pukka*.

Lach - sto tysięcy.

Langur - gatunek makaka, zwany także małpą Hanumana - sługi Śiwy, dowodzącego armią małp. Stąd świętość małp w Indiach.

Larri-galla - warsztat pomiędzy domami.

Lassi - jogurtowy napój orzeźwiający.

Lathi - długa, często ponaddwumetrowa drewniana pałka (przyp. tłum.).

Lawda - penis, kutas.

Limca - cytrynowy napój gazowany z nutką imbiru, podobny nieco do sprite'a (przyp. tłum.).

Linga, lingam - fallus jako obiekt czci, zwykle w kształcie podłużnego, zaokrąglonego kamienia.

Maćaan - „ambona” na drzewie, do polowania na grubego zwierza.

Madar ćud - jak *behen ćud*, tylko tym razem chodzi o matkę.

Mali - ogrodnik.

Mandapa - otwarty, otoczony kolumnadą pawilon przeznaczony na ogół do obrzędów religijnych (przyp. tłum.).

Medresa - islamska szkoła, ucząca arabskiego i teologii.

Mela - zgromadzenie ludzi, od rodzinnego zjazdu, po Kumbhamełę - ultramasowego święta, na które ściągają pielgrzymi.

Mewlewi - turecki zakon derwiszów, znany ze słynnego wirującego tańca (od założyciela,

Mevlany).

Moksa - wyzwolenie z cyklu śmierci i reinkarnacji. Moksię osiągają ludzie umierający nad Gangesem, stąd bierze się osobliwa hinduska instytucja „turystyki śmierci”.

Mudra - gest dłoni w klasycznym tańcu indyjskim, może przekazywać niezwykle subtelne znaczenia.

Musnud - tron Mogołów, prosta, wielka bryła marmuru obłożona poduszkami.

Nadi - łączące čakry przewody w ciele, którymi przepływa mistyczna energia *prana* (przyp. tłum.).

Naga sadhu - nagi sadhu, „odziany w przestwór”, aby okazać pogardę dla świata iluzji.

Nakkar chana - ceremonialna brama, z wieżyczką dla witających gości muzyków.

Namaste [namasté] - tradycyjne pozdrowienie lub powitanie, często z towarzyszeniem gestu andżali - lekkiego ukłonu ze złożonymi dłońmi (przyp. tłum.).

Nauć - tradycyjna, półoficjalna impreza z tańcami, służąca rozrywce mężczyzn.

Nimki - pszenne ciasteczka, często z kminkiem, przypominające krakersy, smażone w głębokim tłuszczu (przyp. tłum.).

Paan - dostępna niemal wszędzie mieszanka przypraw, orzechów i łagodnego narkotyku, zawinięta w liść betelu. Barwi dziąsła na czerwono.

Pakora - jedzenie panierowane w przyprawionym cieście i smażone w głębokim tłuszczu (przyp. tłum.).

Pallaw - część sari okrywająca bark, zwykle bogato zdobiona.

Pandal - namiot lub podwyższenie wykonane z tkaniny i bambusa.

Pappadi - chrupiące wafle z pszennej mąki (przyp. tłum.).

Parikrama - obrzędowa ścieżka prowadząca wokół buddyjskiej lub hinduistycznej świątyni; na ogół przemierza się ją w kierunku ruchu wskazówek zegara, czyli zgodnie ze słońcem.

Prasad - święte pożywienie, ofiara z żywności.

Pudża - modlitwa i ofiara dla bogów.

Purda - segregacja płci w tradycyjnym islamie i hinduizmie.

Puri - pulchny placek smażony w głębokim tłuszczu, często z nadzieniem. Obłędnie kaloryczny,

ale pyszny.

Radź - okres brytyjskiego panowania w Indiach (przyp. tłum.).

Rakszasa, rakśasa - mroczny, złośliwy duch-demon (przyp. tłum.).

Ratha Jatra - boska świątynia lub rydwan, wóz Ramy i główny rekwizyt obrzędu Dźagannathy z Orissy. (*Od tłumacza*: także samo święto i odbywająca się wtedy procesja rydwanów).

Roti - smażony placek.

Saag - danie typu curry z mocno przyprawionego szpinaku i liści gorczycy (przyp. tłum.).

Sad ćid ekam Brahma - mantra ku czci Brahmy-stwórcy (przyp. tłum.).

Sadhu - hinduistyczny asceta, mnich, święty. Kobieta - patrz *sadhwi*.

Sadhwi - żeński *sadhu*. Mniszka, która wyrzekła się spraw doczesnych.

Samadhi - najwyższy stan medytacji, ogólny „byt”. Także sanktuarium lub grobowiec świętego.

Sangam - łąka piasku, gdzie spotykają się święte rzeki.

Sańasi (1. mn. Sańasyni) - kapłan(i).

Sathin - na wsi nieoficjalny pracownik społeczny, zwykle kobieta, pełniąca także rolę położnej.

Sati - (obecnie zdelegalizowany) zwyczaj, w myśl którego wdowa składa się w ofierze na stosie pogrzebowym męża. Doniesienia o sati nawet dziś pojawiają się kilka razy w roku, szczególnie w prowincjonalnym Radżastanie.

Satta - pierwotnie: nielegalne zakłady o ceny towarów, obecnie dowolne podejrzane zakłady.

Sema - mistyczny wirowy taniec derwiszów.

Sipaj, sepoj - dawna nazwa indyjskiej piechoty, z czasów rządów brytyjskich.

SmasanaKali - aspekt bogini Kali panujący nad pogrzebowymi ghatami.

Sowar - indyjska elitarna kawaleria.

Subadar - indyjski zawodowy stopień oficerski, odpowiadający z grubsza kapitanowi.

Suddhawasa - jeden z pośrednich rajów w buddyźmie tybetańskim, dosłownie „schronienie czystych”.

Sundarban - zamieszkiwana przez tygrysy dżungla delty Gangesu i Brahmaputry. W kontekście książki, równie dzikie i niebezpieczne przechowalnie danych, w których pleni się nielicencjonowane

oprogramowanie.

Sura - wers świętego Koranu.

Surja Namaskar - powitanie słońca, sekwencja wykonywanych o świcie ćwiczeń jogi.

Swabhiman - poszanowanie samego siebie, zarówno osobiste, jak i narodowe.

Swami - pełen szacunku zwrot podobny do „mistrza”, sugerujący panowanie nad ciałem i duszą.

Śaadi - wstęp do ceremonii ślubnej. Także największa agencja matrymonialna w Indiach.

Śakti - hinduska bogini, małżonka Śiwy, symbolizująca pierwiastek żeński, ale także moc, siłę, mistyczną energię (przyp. tłum.).

Śamjana - ozdobna markiza nad frontem budynku.

Śatabdi - indyjski szybki pociąg.

Śerwani - długi, bogato zdobiony kaftan noszony zwykle przez muzułmanów.

Śikara - główna wieżyczka północnoindyjskiej świątyni.

Tamaśa - radosne święto.

Tandawa Nritja - kosmiczny taniec Śiwy, niosący zniszczenie - i odrodzenie.

Thali - metalowy talerz, także zestaw różnych dań na jednym talerzu z przegródkami.

Tilaka - święty znak na czole, inny dla Śiwy i Wisznu.

Tirtha - boski bród, przejście między światami śmiertelników i bogów.

Trimurti - hinduistyczna „trójca” Brahmy, Wisznu i Śiwy.

Triśula - boski trójząb, broń Śiwy, noszony przez jego wyznawców. Często wykonany z puszek po ghi lub Red Bullu.

Wadźra - boski piorun Indry, starożytnego wedyjskiego boga deszczu i burzy - pod wieloma względami odpowiadającego skandynawskiemu Thorowi.

Wahana - „wierzchowiec” boga: gęś Brahmy, tygrys Durni, szczur Ganeśi.

Wallah - facet, gość; bardzo pospolity przyrostek w złożeniach typu: „ćajwallah”, „dhobi-wallah”.

Warna - uświęcony przez bogów system kastowy, którego cztery podstawowe grupy to bramini,

kszatrijowie, wajsjowie i śudrowie, czyli mniej więcej: kapłani, wojownicy, kupcy i robotnicy rolni. Poniżej plasują się dalitowie.

Wasu - w hinduizmie wedyjskim ośmiu boskich pomocników boga Indry; od sanskr. „wspaniały”.

Wibhuti - święty biały popiół, którym nacierają się czczący Śiwę asceci.

Zamindar - indyjski posiadacz ziemski.

Zenana - część tradycyjnego islamskiego domu przeznaczona dla kobiet.

Dziękuję Ritu Parvaaz za pomoc z językiem hindi.

OD TŁUMACZA

Indyjskie nazwy własne i nazwiska pozostawiam w transkrypcji angielskiej, rzeczywiste - aby zachować ich rozpoznawalność, fikcyjne - dla spójności z tymi pierwszymi. W Nowej Transkrypcji Polskiej zapisuję natomiast nazwy pospolite oraz imiona bogów. Nowa Transkrypcja Polska w pierwszej chwili może wyglądać nieco dziwnie - te wszystkie „ć”, „ś”, „ź” w niespotykanych dla polskich wyrazów pozycjach - wajśja, ćaj, źati... Ma to jednak fundamentalną zaletę. Pojawienie się polskich znaczków powoduje, że znika naturalny odruch wymawiania wszystkiego z obca - i imię „Śiwa” wymawiamy jak „siwy” a nie jak „sinus”.

Nazwy miejscowości zapisuję, jednak, jak w oryginale, według nowych standardów - Varanasi, a nie przyjęte u nas Benares, Mumbai, nie Bombaj, Kolkata, nie Kalkuta, Chennai, nie Madras. Ta drobna obcość nazw moim zdaniem doskonale podkreśla przepaść między zakorzenionymi do dziś w kulturze Indiami z czasów brytyjskiego panowania - a współczesnymi i przyszłymi.

Neutki, trzecia płeć, w oryginale określane są zaimkami „yt” i „yts” - naturalną pokusą było więc zastosowanie całego nowego rodzaju gramatycznego, wzorem *Perfekcyjnej niedoskonałości* Jacka Dukaję. Zdecydowałem jednak, że wystarczy już istniejący rodzaj nijaki, bardziej pasujący do istot, których nazwa pobrzmiewa „neutralnością” i „kastacją”. W angielskim autor nie miał takiej możliwości - „it” nie bardzo nadaje się do określania osób.

O AUTORZE

Ian McDonald jest autorem licznych powieści fantastyczno-naukowych, między innymi *Desolation Road*, *King of the Morning*, *Queen of the Day*, *Out on Deep Six*, *Chaga* (wydana w Polsce) i *Kirinya*. Otrzymał nagrodę Philipa K. Dicka i British SF Association Award za najlepszą powieść, był nominowany do Hugo, uzyskał także kilka nominacji do nagrody Arthura C. Clarke'a. Mieszka w Belfaście w Irlandii Północnej.

Lubi osadzać akcję powieści poza obszarem kultury zachodniej: *Brasyl* w Brazylii, *Chaga* i *Kirinya* w Kenii...

W „Nowej Fantastyce” 10/2007 było opublikowane jego nagrodzone Hugo opowiadanie *Małżonka dżina*, którego akcja toczy się w tym samym świecie co *Rzeka bogów*.

* Ovary (ang.) - jajnik (przyp. tłum.).

* Gra słów - Vishram rozumie niecodzienne słowo *branes*, brany, jako *brains*, mózgi (przyp. tłum.).

* Tłum. J. Bielawski.

* W języku urdu - Pakistan (przyp. tłum.).